

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

NAUKOM, SZYUKOM I PRZEMYSŁOWI

1853.
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Tom trzeci.

WARSZAWA

4767/57

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1853.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LI.

WARSZAWA.

przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawnej Bibliotece Żaluskich.

1853.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

4620 / 1853.3

II

NAUKOM, SZTUKOM I PRZYRODZIE

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie d. 10²³ czerwca 1853 roku.

Starszy Cenzor,

ASSESSOR KOLLEGIALNY, **J. Papłoński.**



30.000,-

X-14150
46201 4

3.

/1853

1853

ŻYCIE DOMOWE JADWIGI I JAGIEŁŁY.

Z REGESTRÓW SKARBOWYCH Z LAT 1388—1417.

PRZEDSTAWIONE PRZEK

Alexandra Przędziękiego.

Wstęp.

Nowe i nader obfite w ciekawe szczegóły, co do domowego życia Jadwigi i Jagiełły, odkrywa się źródło w oryginalnych *rejestrach przychodów i rozchodów królewskich* z lat 1388, 1389, 1390, 1393, 1394, 1395; dalej z lat 1403—1405, 1411—1417, przechowanych w archiwum Rządowej Komisji Skarbu (1).

Podaliśmy o nich krótką wiadomość w *Bibliotece Warszawskiej* na rok 1852 (T. III str. 561), przy wyciągach z tychże samych rejestrów, *o muzyce, malarstwie i o złotnictwie, przy schyłku wieku XIV w Polsce*, przez barona Rastawieckiego ułożonych. Najciekawsze są *księgi wydatków zamku Nowego-Miasta Korczyna, od 13 lipca 1388 r. po 21 maja 1390 roku*; także *rejestra Hinczka z Przemankowa podskarbiego królewskiego, i Krystyna kanonika sandomierskiego*,

(1) Miło mi jest oświadczyć tu wdzięczność księciu Tadeuszowi Lubomirskiemu (zaczemu wnukowi przez matkę, Tadeusza Czackiego), który pierwszy zwrócił uwagę moją na te zajmujące rejestry.

prokuratora jeneralnego ziemi krakowskiej, od roku 1393 do 1395; oraz *wydatki królowej Jejmości (Anny Cylijskiej)* w Sączu, z roku 1412 (1).

Mniej ważne od tamtych, ale zawsze ciekawe są *rejestracje wice-prokuratorów zamków: Nowego-Miasta, Wiślicy, Niepołomic, Proszowic, Słomnik i Żarnowca*; oraz *Uścia i Wojnicz*, (1393—1394), *Nowego-Miasta* z lat 1403—1408; na koniec: *rejestracje stacyi królewskich w Nowem-Mieście, w Wiślicy i w Przemankowie* (1403—1417).

W tych *rejestracjach* znajdujemy wzmianki o rozmaitych, często nieznanych z kądziąd wydarzeniach: o podróżach króla i królowych po kraju; o książętach litewskich, ruskich, szląskich i zagranicznych, bawiących na dworze Jagiełły; o osobach należących do tego dworu, lub mających z nim jaką styczność; tudzież szczegóły o koniach, powozach i porządkach stajennych, o zbrojach i porządkach wojennych, o ubiorach i przedmiotach należących do ubrania; o kuchni, artykułach żywności i napojach; niemniej o sztuce malarskiej i złotniczej, tudzież o muzyce. Na koniec łacina, którą pisane są te *rejestracje*, nastrzępiona jest wyrazami technicznymi polskimi, które stanowią ważny zabytek języka i piśmowni polskiej z XIV wieku.

Szczegóły powyższe systematycznie wybrane i na właściwe kategorie podzielone, stanowiłyby rodzaj suchych tablic, które tylko za spis rzeczy rozumowany do samych rejestrów posłużyćby mogły; cały zaś koloryt obyczajowy tak oddalonego od nas wieku wygląda właśnie z mieszaniny ważniejszych wydarzeń, stanowiących *historię*, i tych drobniejszych, z których się *domowe życie* osób historycznych składa. Sądzymy zatem, że zajmą czytelników naszych wyjątki żywcem wzięte z *rejestrów skarbowych*, które tu w tłumaczeniu polskim podajemy, a w końcu, podwójnym spisem rzeczy: *rozumowanym i alfabetycznym*: dopełnimy.

Dla zrozumienia jednak wartości i podziału monety przy schyłku XIV wieku używanej, musi poprzedzić *tabelka monet*

(1) *Procurator generalis*, czyli jak go później zwano *wielkorządca krakowski*, był administratorem dóbr stołowych królewskich. Uczony *Ambroży Grabowski* podaje nam nazwiska wielkorządców krakowskich (w *Starożytnych wiadomościach o Krakowie*, str. 52); z rejestrów naszych możemy je uzupełnić jeszcze.

z samychże *rejestrów* wyciągnięta, wraz z ocenieniem na monetę dzisiejszą wedle tablicy przez *Tadeusza Czackiego* ułożonej (1).

Wartość na naszą
monetę z r. 1800.

- 1) *Kopa groszy* (*Sexagena*) to jest 60 *groszy*. . . złp. 60
- 2) *Grzywna* (*Marca*) to jest 2 *floreny* czyli
4 *wiardunki*, albo 24 *skojce*, lub 48 *groszy* złp. 48
- 3) *Floren* (*Florenus*) to jest 2 *wiardunki*, czyli
12 *skojców*, albo 24 *grosze*. złp. 24
- 4) *Wiardunek* (*Ferto*) t. j. 6 *Skojców*, czyli
12 *groszy* złp. 12
- 5) *Skojec* (*scotus*) t. j. 2 *grosze*, 4 *kwartniki* złp. 2
- 6) *Grosz* (*Grossus*) t. j. 2 *kwartniki*, czyli 16
denarów złp. 1
- 7) *Kwartnik* (*Quartulis*) t. j. $\frac{1}{2}$ *grosza* czyli
8 *denarów*. złp. $\frac{1}{2}$
- 8) *Denar* (*Denarius*) t. j. 16^a część *grosza*,
32ga *skojca*, 768ma *grzywny*. 1 gr. i $\frac{7}{8}$

Za 5 *grzywien groszy szerokich*, do wydatków zagranicznych, płacono 6 *grzywien*, a niekiedy dodając po 8 *skojców* do każdej *grzywny*, 6 *grzywien* i 16 *skojców*. Za *rubel litewski* dawano pospolicie *dwie grzywny groszy pragskich*.

I.

**Wyciąg z rejestrów zamku Nowego-Miasta (Korczyzna)
od 13 lipca 1388 r. po 21 maja 1390 roku.**

O wydarzeniach z 1388 i 1389 roku nie mamy prawie żadnej wiadomości ani w *Długoszu*, ani w *Wapowskim*, a tém mniej w późniejszych dziejopisach. Wiemy, że na początku roku 1387, Jagielło i Jadwiga przybyli do Wilna dla wprowadzenia wiary chrześcijańskiej do Litwy i fundowania katedr

(1) W dziele *O litewskich i polskich prawach*, wyd. war. T. I str. 178. Tablica ta powtórzona jest w uczoneń dziele p. Zagórskiego *O monetach dawnej Polski, w Warszawie, 1845*, przy str. 104, z ewaluacją na monetę w dzisiejszym czasie używaną. *Grzywna* wypada tu na złotych polskich 52, a *grosz* na 32 grosze, 1 szeląg i 3 denary z ułamkiem.

w Wilnie i w Miednikach, a kościołów po całym kraju. Rządy Wielkiego Księstwa oddał Jagiełło bratu rodzonemu *Skirgielle*, poddając mu czterech nowo-mianowanych przez siebie wojewodów. Siostrę rodzoną *Alexandrę* wydał za *Ziemowita* księcia mazowieckiego; stryjeczna Anna (siostra rodzona Witolda) była już za bratem Ziemowita, Januszem. Pierwój jeszcze (jak chce Długosz) odesłał był królową Jadwigę do Krakowa, a sam rok cały na pracach apostolskich na Litwie przesiadzał. Królowa Jadwiga za powrotem do Krakowa, w pierwszych dniach grudnia 1387 roku, listem swoim do rajców krakowskich zaleciła im, aby króla męża jój, i teraz, i na przypadek jój śmierci, za pana swojego uznali (1). Pomimo tego jednak, Jagiełło za powrotem z Litwy uwierzył w potwarz niecnego Gniewosza z Dalewic podkomorzego krakowskiego, jakoby Jadwiga z Wilhelmem księciem austriackim (który przebrany do Krakowa miał przybyć) tajemne schadzki miewała. Ledwie obroniły królowę przed zazdrosnym gniewem męża mądre upominania senatorów i przysięga *Jaśka z Tęczyna* kasztelana wojnickiego na zjeździe w Wiślicy; a Gniewosz musiał oszczerstwo swoje zpod ławy odszekać. Dwa razy o tym wypadku wspomina Długosz: pod rokiem 1388 i 1389; ale te niesnaski małżeńskie musiały już być uśmierzone w pierwszej połowie 1388 roku, przed drugą podróżą Jagiełły do Litwy, o której pod tym rokiem wspominają nasze rejestra, chociaż w Długoszu o tém wzmianki nie ma; gdyż widzimy w nich króla i królową w najlepszej zgodzie, bądź razem, bądź na spotkanie swoje wzajemnie podróżujących.

Rejestr rozchodu Nowego-Miasta (Korczyna). (Registrum distributionis Nove civitatis). Roku od wcielenia Pańskiego 1388 (2).

W sam dzień św. Małgorzaty (13 lipca) z rozkazu króla JM. pan *Krystyn* proboszcz kościoła czechowskiego objął

(1) Ob. *Michała Wiszniewskiego: Pomniki historii i literatury polskiej* t. IV str. 91. Oryginał na pergaminie z pieczęcią Jadwigi, znajduje się w archiwum Senatu miasta Krakowa.

(2) Opuszczone są tylko szczegóły niemające żadnego interesu, albo też powtarzające się codziennie.

wice-prokuratorą (1) Wiślicy i Nowego-Miasta zwanego *Korczynem*, po wystąpieniu z niej pana *Pelki* dziedzica z *Gnojna*, podówczas prokuratora generalnego; (2) i tam w Wiślicy i w Nowém-Mieście zapisywało się potrochu, jak się to lepiej z samego rejestru okaże.

A naprzód następuje *expens p. Krystyna* z tegoż dnia: Za jeden achtel (3) piwa tamże w Nowém-Mieście 7 *skojców*. Za mięso świeże 3 *grosze*. Za sól 1 *grosz*. Chlób, kapusta i inne zapasy domowe, podobnież owies i obrok dla koni. *Summa dnia 9 skojców*.

W *sobotę* (18 lipca) Andrzej podskarbi (4) ze skarbem przybył jadąc za królem JM. do ziemi litewskiej. Za ryby 2 *skojce*. Za jeden achtel piwa, 7 *skojców*; reszta swoje. Koniom jego oraz koniom woźnic królewskich owsa trzy miarki (*measure*) własne (5). *Summa dnia, 9 skojców*.

We środę (26 sierpnia) pan prokurator przybył z Wiślicy na noc, poprzedzając króla JM.

We czwartek (27 sierpnia) król JM. z królową JM. przybyli z Wiślicy do Nowego-Miasta na wieczerzę (*ad cenam*).

Na wieczerzę dla króla JM. i dla królowej JM. 2 woły (*pecora*) własne, 2 wieprze dawniej kupione. Za 2 wieprze czyszczone (*castrati*), 9 groszy. Za 4 prosięta 5 groszy. Za 4 gęsi (*p. III aucis*), 3 grosze. 80 kurcząt i 280 jaj własnych. Za mleko i śmietankę (*pro lacte et crema*), 3 *skojce*. Za masło (dla obudwóch kuchni) 11 gro. Za trzydzieści serów, 3 *skojce*, 1 *grosz*. Za raki 4 grosze. Za ocet 1 *grosz*. Za rzepę 3 kwartniki. Za anyż 2 *skojce*, 1 kwartnik. Za chlób biały w Opatowcu kupiony, 1 *skojec*. Za świece łojowe 3 *skojce*. 6 achtelów piwa dla króla JM. i królowej JM. własnego wywaru.

(1) Vice-procuraciones.

(2) Procuratoris generalis.

(3) *Octuale*, achtel, jak w tych samych rejestrach czasem napotykamy, ósma część *beczki*.

(4) Andr. Vicethesaurarius, podskarbi nadworny. W następnym roku był podskarbisem *Dymitr*, wymieniony z tym tytułem w dyplomie Jagiełły z d. 21 sierpnia 1389 r. w Krakowie. (Obacz *Kodex dyplomatyczny Rzyszczewskiego i Muczki*. II st. 257.)

(5) *Tojest*, nickupne. *Mensura*, miarka, była ćwiercią *korca*, a dzieliła się na trzy *korczyki* (*chori*).

Na wydatki książąt litewskich: dwa woły (*pecora*) dawniej kupione, ośm serów, tyleż kurcząt i jaja własne. 7 statków (*vasa*) piwa tak rzeczonym Litwinom i Rusinom, jako też i Polakom, własnych.

Wieczera dla księcia *Kazimierza* brata króla JM., który z Krakowa już po wieczery do Nowego-Miasta przybył (1):

Szafarzowi jego dla przyrządzenia mu wieczery, dałem 1/2 grzywny. Kamień toju do lamp i dla psów myśliwych. Dla koni króla JM. i królowej JM. 54 miarki owsa, siano i trawa, własne. Dla koni pana prokuratora 2 miarki także własne. Summa dnia 2 grzywny, 1 skojec.

W piątek (28 sierpnia) dla króla JM. i królowej pani wraz z gośćmi, gdy król JM. potraw nie jadł (2): Za ryby 2 grzywny 15 skojców. Za raki 6 groszy. Za mak 1 skojec. Za cebulę 1 skojec. Za 1 miarkę grochu białego 9 groszy. Za gruszeki, jabłka i orzechy, 3 grosze. Groch, jagły i inne wszystkie zapasy, swoje. Za mięso dla sokołów i jastrzębi 3 grosze. Sześć statków piwa do spiżarni króla JM. i królowej JM. własnego wywaru. Pół kamienia toju do lamp i dla psów.

Na potrzeby książąt litewskich, tudzież dla Rusinów i Litwinów, oraz dla pana marszałka (3) i dla wszystkich Polaków, 7 statków piwa własnego wywaru. Na śniadanie (*ad collationem*) dworzanom króla JM. i królowej JM. i drugim, trzy statki piwa własnego wywaru. Summa dnia 3 grzywny, 3 skojce. — Za wypranie obrusów króla JM. i królowej JM. 2 skojce. — Summa tygodnia 19 grzywien 5 skojców, 3 kwartniki. Owsa własnego 64 miarki, kupnego 56.

W niedzielę, w sam dzień śś. *Felixa* i *Aukta* (30 sierpnia) obiad (*prandium*) dla króla JM. i królowej pani. Po obiedzie król JM. odprawił się do *Szydłowa*, zostawując tu

(1) Księżę *Kazimierz* przed ochrzczeniem *Korygiełło*, brat rodzony Jagiełły, dwa lata później (w r. 1390) przez Witolda i Krzyżaków oblężony w zamku wileńskim, dostał im się w niewolę i pod zamkiem ścięty został.

(2) Jagiełło pościł w piątki o chlebie i o wodzie.

(3) Marszałkiem dworu był już podobno *Dymitr* z *Garaja*, który wiele przyczynił się do małżeństwa Jagiełły z *Jadwigą*; gdy wyrwaniem toporka z rąk królowej, wstrzymał ją od przywołania księcia *Wilhelma* rakuzkiego do zamku krakowskiego.

królowę i rozkazując panu prokuratorowi wykupić zastawy książąt litewskich i ruskich po ich gospodach.

A naprzód srebra księcia *Alexandra* brata króla JM. (1) wykupiłem (2) u *Opiękta* mieszczanina za 2 grzywny.

Za księcia *Kazimierza*, *Janowi* gospodarzowi jego, 1 grzywnę i 15 skojców.

Za księcia *Starodubowskiego* (3) i za *Wolkosza* pisarza ruskiego (*Notario ruthenico*) króla JM., *Henrykowi* gospodarzowi ich 17 skojców. Summa dnia, 10 grzywien, 3 wiarunki, 1 grosz.

We wtorek, w dzień św. Idziego (1 września) za okucie koni królowej Jmć 4 skojce; za pranie chust 1 skojec.

Po obiedzie królowa JMć odprawiła się ku Sandomierzowi.

W sobotę, w wigilią wigilii św. Mateusza (19 września) p. prokurator przybył z Sądca na obiad.—Za ryby 1 skojec, reszta swoje; za dwa konie, jednego białawej maści (*semi albi coloris*) zwanęj *sinę*; drugiego *plowęj* maści (4), kupione w Opatowcu dla króla JM. 8 grzywien, które za przybyciem p. prokuratora do Lublina, w sobotę po śłym Michale (4 października) król JMć dla skarbu odebrał. Summa dnia, 8 grzywien, 1 skojec i dwie miarki owsa.

(1) Książę *Alexander* przed ochrzczeniem *Wigunt* książę kiernowski, brat rodzony Jagiełły, obyczajami i rozumem wpośród wszystkich książąt litewskich celujący, umarł w r. 1392, podobno przez domowników własnych otruty; a podejrzenie z tego powodu na Witolda padało, który najwięcej na jego śmierci korzystał, obejmując po nim rządy W. księstwa litewskiego.

Ożeniony był z *Jadwigą* córką *Władysława księcia opolskiego* i *Ofki* (Eufemii) księżniczki mazowieckiej, ale nie zostawił z nięj potomstwa.

(2) Pisarz utrzymujący rachunki prokuratora, czyni tu wzmiankę o sobie samym.

(3) Książę *Starodubowski*. Nie wiadomo mi który z książąt litewskich panował wówczas nad *Starodubem siewierskim*. W r. 1392 księstwo to po śmierci księcia *Alexandra Wigunta* dodane zostało *Skirgille* do *kijowskiego*. W r. 1398 i w 1402 był księciem starodubowskim ks. *Alexander* syn *Patryka*.

(4) Pro duobus equis, uno semi albi dicto Sijni, et alio plovi coloris in Opatovecz pro D. Rege emptis VIII marcas.

Roku Pańskiego 1389.

W poniedziałek w dzień Katedry św. Piotra (18 stycznia) za dwie pary skorni (1), *Typpie* Litwinowi i towarzyszowi jego, 6 skojców.

W niedzielę zapustną (24 stycznia) wice-prokurator z domem przez cały dzień, i z Litwinami, których król JMé w Nowém-Mieście zostawił, tojest: z *Jakóbem* ze Żmudzi, *Mikołajem* Rusinem i drugimi Litwinami, wydał 5 kwartników.

We czwartek po św. Grzegorzu (19 marca) po obiedzie, p. prokurator odprawił się na noc do Wiślicy dla przygotowania porządków dla króla JMci, przybywającego z Sieradza do Wiślicy.

We wtorek po św. Benedykcie (24 marca), *Tomasz* wojewoda litewski (2) w 14 koni z *Pozańca* przybył do *Nowego-Miasta* o godzinie niesporów, a miał list otwarty od króla JMci do wszystkich prokuratorów i wice-prokuratorów, aby mu na wszystkie potrzeby jego dawali z polecenia króla JMci.

Dla tegoż *Tomasza* za ryby świeże i solone 15 groszy; śledzie dawniej kupione; za olej, obwarzanki (*pro circulis*) i pasternak 3 kwartniki. Za aachtel piwa miejskiego 6 skojców. Chleb i reszta własne; dla koni jego i p. prokuratora 4 miarki owsa. Summa dnia, 16 skojców.

We środę w dzień Zwiastowania N. Panny Maryi (25 marca) obiad dla p. prokuratora i p. *Tomasza* z domowemi. Po obiedzie rzeczony p. *Tomasz* pojechał na spotkanie króla JMci do Wiślicy.

Za 6 łososiów dla króla JMci i królowej JMci nierazem kupowanych, 5 grzywien, 6 skojców i 1 grosz.

Za wybicie oleju z maku, tojest ze czterech *korczyków* (*choris*) maku i dwóch *miarek* (*mensuris*) siemienia konopnego, 3 skojce.

(1) *Pro binis ocreis*; skórnice, długie bóty, obuwie skórzane, zachodzące na goleń.

(2) O *Tomaszu* wojewodzie litewskim, pierwszy raz znajdujemy wzmiankę. Jagiełło za pierwszym przybyciem z Polski do Litwy ustanowił tam dwóch wojewodów i dwóch kasztelanów. (Ob. *Działyńskiego* Zbiór praw litewskich str. 21) którzy już w akcie unii horodelskiej występują pod nazwą *wileńskich i trockich*.

W piątek po niedzieli *Laetare* (3 kwietnia) król JM. przybył z Wisłiey do Nowego-Miasta, poszcząc o chlebie tylko i o wodzie; dworzanom i gościom kazał obficie potraw dostarczyć.

Henrykowi i sokołnikom Rusinom dla sokołów i jastrzębi, 2 skojce. Za siano na łoża dla króla JMci 1 skojec; swoje siano nie przydało się bowiem na łoża, bo zanadto grube było. (*Quod fuit spissum fenum*).

W sobotę (4 kwietnia) na obiad dla króla JMci, dla dworu jego i dla gości: za ryby świeże 2 grzywny, 3 skojce; za *odrosłe* (*odroszlij*) 3 kwartniki (1); za *pusternak* 3 kwartniki; za ryby zwane *płocice* (*płocizce*) dla króla JMci, 2 skojce; za *kruczmorkę* (*Cruczmorku*) 1 grosz (2); tudzież beczulkę śledzi dawniej kupionych. Ryby solone, groch, jagły, olej, lój, dawniej kupione, tak do kuchni króla JMci, jak na wszystkie dyspartymenta. Trzy statki piwa do spiżarni króla JMci własnego wywaru. Pięć statków piwa na wszystkie dyspartymenta, także własnego wywaru; chleb wszystkim domowy. Dwa statki miodu (*inedonis*) własnego wywaru i pół kamienia wosku do skarbu na świece dla króla JMci.—Porządki króla JMci do łaźni w zamku Nowego-Miasta: za nową beczkę (*tunna*) 2 skojce; za kwartę (*quartale*) nową do przynoszenia wody na kąpiel; za 2 szalliki (*tinie*) i 4 krużyki (*urcei*) (3) 3 skojce.—Dla koni króla JMci i dworzan, 40 miarek owsa dawniej kupionego.—Za poprawienie pieca (*fornacis*) w wielkiej łaźni (*stuba*) i za wstawienie okien oszklonych (*fenestrarum vitrearum*) w tejże łaźni królewskiej, *Marcinowi*, *Stanisławowi* i *Junowi* z *Krakowa* mularzom, którzy także piec w łaźni królowej JMci poprawili, dałem zapłaty 1 *kopę groszy*, oprócz utrzymania, według układu z majstrem *Hinczą*. Tudzież za szyby szklane (*pro membranis vitreis*) do wszystkich okien wielkiej łaźni, *Mikołajowi* szklarzowi krakowskiemu (*vitreatori de Cracovia*) za-

(1) *Odrostki* od warzywa do przypraw używane, dziś *włoszczyznę* zwane.

(2) *Kucmerka* (u Siennika *Kucmorha*) nazwisko rośliny baldaszkowój, dziś pod nazwaniem *cukrowych korzonków* na jarzynę używaną. Nasze rejestra prawie zawsze nazywają tę roślinę: *Cruczmorka*.

(3) Naczynia gliniane do wody.

platy 7 grzywien według tego, jak tenże majster rzeczony *Hincza*, *Mikołajowi* szklarzowi, rzezione szkło oszacował.—Za dwie pary skórn *Jakóbowi* Żmudzinowi (*Zmojczino*) i *Mikołajowi* Rusinowi, czy też Litwinowi, 7 skojców.

W niedzielę *Judica* (5 kwietnia) przez cały dzień królowi JMci z dworem i gośćmi z Litwy, tojest z panem *Tomaszem* i drugimi biskupami i Polakami, oraz z p. *Janem* kustoszem krakowskim: Za ryby i t. d.

Henrykowi sokolnikowi na kupno konia *plowój* maści, dałem 4 grzywny.

Tegoż dnia na rozkaz wyraźny króla JMci dałem panu *Tomaszowi* wojewodzie litewskiemu wóz nowy całkiem żelazem okuty (*circumductum*), z nakryciem podbitem płótnem szarém (*flavea subducta tela*); a w miejsce tego wozu król JMć kazał mi inny nowy przysposobić i sporządzić, o którego kupnie niżej będzie.

W poniedziałek (6 kwietnia) obiad dla króla JMci z jego dworem i t. d.: Za ryby świeże 2 grzywny i 3 grosze; za *odrośle* 1 grosz; za *kruczmorekę* i *pasternak* 1 skojec. Tudzież za dwa woły w *Sendziszlawicach* dla doorania folwarku, 2 grzywny.

We wtorek (7 kwietnia) na cały dzień dla króla JMci i dworu jego: za ryby i t. d., za *odrośle* i rzepę 4 grosze; za grzyby zwane *smarże* 3 kwartniki.

We środę (8 kwietnia) z rozkazu króla JMci, Rusinowi Koniuchowi (*Conuchoni*) i towarzyszym jego, na podejmowanie ich w gospodzie (*pro exemptione de hospitio*) 3 skojecc. Tudzież panu *Dymitrowi* (1) dla urządzenia potrzeb królewskich (*ad ordinando necessaria Dⁱ regis*) w Szydłowie przez *Wojciecha* domownika jego (*Albertum familiarem suum*) posłałem 2 grzywny.

We czwartek (9 kwietnia) na obiad dla króla JMci: za ryby świeże 1 grzywna i 13 skojców; za 300 śledzi 15 skojców; za rzepę i kapustę (*caules*) 5 kwartników. Po obiedzie król JMć z Nowego-Miasta wyjechał na noc do Szydłowa.

Zbramira z bratem jego i sześciami towarzyszami i psami myśliwymi zostawił, rozkazując ludziom i psom wszelkie potrzeby dostarczać.

(1) *Dymitr* z *Goraja* marszałek i podskarbi nadworny.

Za wóz nowy całkiem żelazem okuty i z nakryciem podbitym płótnem szarém, na wyraźny rozkaz króla JMci w miejsce wozu danego panu *Tomaszowi*, dałem 4 grzywny; a jednak lepszy był wóz, który p. *Tomasz* od pana prokuratora dostał z rozkazu króla JMci dla przeprowadzenia sprzętów litewskich (*ad deducendas res Lijthuanicas*).

W piątek (10 kwietnia) dla zrobienia *tluczy* (*osypki; pro tlucz facienda*) dla psów myśliwskich, 2 miarki (*measure*) owsa dawniej kupionego.

W poniedziałek po niedzieli *Cantate domino* (16 maja) królowa JMci z *Brzeska* (1) przybyła na obiad do Nowego-Miasta z domownikami i z dworem swoim, ponieważ król JMci miał podtenczas powracać. Zatrzymał się jeszcze w klasztorze mogińskim, zwanym *Clara Tumba* (2), oczekując na księcia Władysława opolskiego, którego ludzie przeszłej niedzieli zamek krakowski przez fortel, jak powiadają, posiąć chcieli. Ale wkrótce ci ludzie zostali tamże na zamku przez starostę (3) i innych ziemian JKMci odkryci, wraz z samym księciem. Miasto Kraków było zamknięte, i za taką zdradę, bez rozkazu króla JMci, księcia tego z Krakowa wcale nie ważono się wypuszczać ani wysyłać; aż dopiero za poręką posłany został do króla JMci i dostawiony do *Mogily* (4).

(1) *Brzesko Nowe* (dziś *Słomiane*), miasteczko nad Wisłą, w powiecie proszowskim, gdzie był klasztor Norbertanów, fundacyi Iwona biskupa krakowskiego około r. 1223.

(2) *Mogila* pod Krakowem, opactwo Cystersów, fundacyi biskupa Iwona z r. 1226, nazwę swoją od *mogily Wandy* wzięło.

(3) Starostą krakowskim był *Sędziwój z Szubina* wojewoda kaliski, z tym tytułem wymieniony jako kommissarz królewski do traktacyi z Krzyżakami, jak świadczy dyplomata z 14 maja 1389 roku w Niepołomicach (Ob. *Kodex diplomat.* t. II część II st. 772).

(4) Historia Władysława księcia opolskiego wielkorządcy Polski całej za króla Ludwika i fundatora klasztoru częstochowskiego, pozostaje jeszcze do napisania. Szczegół niniejszy po raz pierwszy napotykamy, dlatego sądzimy potrzebnym text oryginalny tu załączyć: *D. Regina de Brzeszco ad prandium in Novam Civitatem venit cum familia, et cum curiensibus D. Regine quia pro tunc D. Rex revenire volebat, ac tamen in monasterio Clare tumba dicto Mogila morabatur expectans ducem Ladzislaum Oppoliensem, cujus homines precedenti proxima dominica castrum Cracoviense dolo se cupiebant possidere, prout r. f. t. Sed tamen ibidem mox prefati homines ejusdem ducis per Capitaneum et alios*

We środę (dnia 18 maja) król JM. z *Mogily*, inaczej zwanéj *Clara tumbo*, przybył z dworem swoim do Nowego-Miasta na obiad. Na kolacyą dla króla i dworu Jego: Za ryby białe kupione u *Stefana Opiekły* 7 skojców, tojest za *leszcze* i *jazice*.

We czwartek (19 maja) *Stanisławowi* i towarzyszowi jego z którym pasł konie królewskie.

Tegoż dnia król JM. po obiedzie do *Szydłowa* z dworem swoim na wieczerzę pojechał, zostawując tu w Nowém-Mieście królowę JM. Na kolacyą dla królowej pani, Jój dworu i gości: Za miód dla pani *Miklaszowej* (*Dne Miclussonisse*) 10 denarów (1).

W niedzielę *vocem jucunditatis* (22 maja): Na wieczerzę dla królowej pani, za ciasta (*pro tortis*) czyli za chleb biały, 2 skojce; za *flaki* 1 grosz.

W poniedziałek (23 maja): Świece dawniej sporządzone, kwarta łożu do lamp do sypialni (*dormitorium*) królowej pani.

W piątek (27 maja) pan prokurator dla braku pieniędzy nie dawał na wydatki królowej JM., ale pan *Krystyn* mistrz dworu królowej pani naszéj, wszystko ze skarbu wydawał, oprócz niektórych rzeczy, jak to się niżej okaże (2).

terrigenas D. Regis in castro fuerunt delecti et cum eodem duce; Civitas Cracoviensis erat serata, pro tali dolo, sine mandato D. Regis, eundem Ducem de Cracovia nullas exire et mittere presumentes, nisi supra fideiussoria cautione ad D. Regem est missus et adductus in Claram tumbam.

Może wtenczas wymógł na nim Jagiello zapisy *Włocławka*, *Tuczna*, *Bydgoszczy* i *ziemi dobrzyńskiej*, uczynione dnia 25 stycznia następnego roku 1390, na rzecz córki Władysława opolskiego *Jadwigi*, małżonki *Alexandra Wigunta księcia kiernowskiego*, ulubionego brata Jagielly. O czém świadczą dyplomata drukowane w *Kodexie dyplomatycznym Rzysszczewskiego i Muczkowskiego*. (Tom II, część II str. 773—780).

(1) Mogła to być księżna *Miktaszowa raciborska*, o której rejestra z lat późniejszych wspominają.

(2) *Krystyn* z *Ostrowa* wymieniony jako świadek na dyplomacie Jagielly, 21 sierpnia 1389 r. w Krakowie. „*Cristino de Ostrów, Magistro curie nostre*”; a w dyplomacie tegoż Jagielly z 11 października 1390 roku w Radomiu: „*Cristino de Ostrow, Magistro curio Serenissime Principis D. Medvigis, consortis nostre charissime*.” Zapewne on to już był *kasztelanem sandomierskim* r. 1401, a *kasztelanem krakowskim* od r. 1407—1431 r. w którym umarł. (Ob. *Codex dyplom* t. I str. 257, 258, 272. T. II część I str. 409—413).

W niedzielę *Exaudi* (29 maja) królowa JM. z Nowego-Miasta wyjechała naprzeciwko króla JM. ku Radomiu, polecając panu prokuratorowi, aby lutnistom Jój (*citaristis*) *Handzikowi* z towarzyszymi dano 9 groszy.—*Hinczy* mularzowi za poprawienie wielkiej łaźni i małej, dałem 2 grzywny.

W piątek (10 czerwca) *Swozsko* (1) z końmi królewskimi przybył jadąc z *Bochni* do *Nowego-Miasta* naprzeciwko króla do Radomia; którego zastawy wykupiłem w gospodzie za wydatki u *Andrzeja Opiekły* (*apud Andream Opeklonem*) za 3 skojce.

We czwartek w sam dzień *Bożego Ciała* (16 czerwca), sokolnicy z łowczymi i z koniuchem (*conuchone*) Litwini i Rusini, od króla JM. z Radomia w liczbie 39 osób i w tyleż koni, i z wielą końmi króla JM. przybyli do Nowego-Miasta, którym dano obiad i wieczerzę.

We środę nazajutrz po *Św. Małgorzacie* (14 lipca) *Borowcowi* słudze (*familiari*) króla JM. na rozkaz listowny samego króla, dałem 3 grzywny.

We czwartek w dzień *Hozesłaniu apostołów* (15 lipca), *Sasin* podkoniuszy królowej JM. (*subagazo Dⁱ Regine*) z końmi królowej pani z *Bochni* do *Sandomierza* jadąc, przybył do Nowego-Miasta na noc, któremu do gospody chleba domowego kopę jedną, 2 grosze.

W poniedziałek w dzień *św. Anny* (26 lipca) królowa JM. przybyła z *Sandomierza* do Nowego-Miasta na obiad. Za gruszki 1 skojec; za ogórki 1 grosz.

We środę (28 lipca) królowa JM. z rana wyjechała do *Proszowic*, rozkazując p. prokuratorowi, obiad dla siebie i dla dworu dostarczyć po drodze z Nowego-Miasta do wsi *Podolan*, co też uczynił.

Tegoż dnia z rozkazu króla JMci i królowej JMci czary srebrne samej królowej pani (*cyphos ipsius De Regine argenteos*) wykupiłem od rajców (*consules*) Nowego-Miasta za 2 grzywny i 15 skojców. — Za dawniejszą robotę *Wojciechowi* (*Alberto*)

(1) Czyli ten *Swozsek* nie należał do rodziny mieszczan krakowskich, która wydała słynnego rzeźbiarza naszego mistrza *Wita Stwosza*? P. Ambroży Grabowski któremu zawdzięczamy tyle studyów nad *Stwoszem*, znalazł w aktach krakowskich podobne nazwiska, ale w czasach późniejszych. (Ob. Ambrożego Grabowskiego *Starożytnicze wiadomości o Krakowie* str. 283).

kowalowi z *Nowego-Miasta*, to jest za okucie koni królowej JMci dałem 1 grzywnę i 5 skojców z rozkazu króla JMci i królowej pani.

We czwartek (5 sierpnia) król JM. z *Wiślicy* przybył do *Nowego-Miasta* na obiad z dworem swoim.

Dla książąt litewskich i ruskich poszczących, za ryby i raki 7 skojców. Za mak 1 grosz. Chleb, kapusta i inne zapasy własne. Po obiedzie król JM. na noc do *Wiślicy* powrócił.

W sobotę (7 sierpnia) król JM. przybył z *Wiślicy* do *Nowego Miasta* na łaźnię i obiad.

Łaziennikowi króla JM. 1 grosz. Litwinowi jednemu posłanemu przez króla JM. na Litwę, dałem 1 wiardunek.—Po obiedzie król JM. do *Wiślicy* na noc powrócił.

We wtorek w sam dzień św. Wawrzyńca (10 sierpnia) król JM. z książętami litewskimi z *Wiślicy* do *Nowego-Miasta* na wieczerzę przybył. Wieczerza dla książąt litewskich i ruskich Alexandra i Hleba (1).

We czwartek (12 sierpnia) po obiedzie król JM. pojechał do Krakowa.

W sobotę po niedzieli *Ecce Deus*, (23 października) z *Zagościa* (2) do *Nowego-Miasta* przywieziono trzy achtele wina własnego na przybycie króla JM. i królowej pani.

W poniedziałek w dzień św. *Kryszpina* i *Kryszpiniana*, (25 października) król JM. ze swoim dworem przybył z *Buska* do *Nowego-Miasta* na obiad.

We wtorek (26 października) królowa JM. po obiedzie z *Polańca* do króla JM. przyjechała.

W piątek po św. *Szymonie* i *Judzie* (29 października). Obiad dla dworu królewskiego, gdyż sam król JM. pościł o chlebie i wodzie: Za ryby dla p. *Dymitra* (3) groszy 5; za jeden achtel piwa dla pana marszałka, 5 skojców.

(1) Zapewne *Alexander* książę kiernowski, brat rodzony *Jagielly*. *Hleb* mógł być albo syn księcia *Konstantego Czartoryskiego*; albo syn księcia *Świętosława smoleńskiego*, a brat żony *Witolda*. Obu wspomina Strykowski pod r. 1390 w którym zginęli w bitwie *Skirgielly* z *Witoldem*.

(2) *Zagość* nad Nidą pomiędzy *Wiślicą* a *Buskiem*.

(3) *Dymitr z Goraja* marszałek i podskarbi nadworny królewski.

W sobotę w wigilią *Wszystkich Świętych* (30 października) obiad dla króla JM., tudzież dla gości jego i dworu: Panu *Tomaszowi* (1) i drugim Rusinom, za mięso świeże na cały dzień i t. d.

W niedzielę (31 października). Za drwa suche do kuchni i do łożnicy króla JM. (*ad coquinam et ad lectuarium*) 4 grosze. Na dyspartymenta dla dworzan króla JM. tak Polaków jako też Litwinów i Rusinów: Za 6 kurcząt dla pana *Tomasza* 3 grosze i 4 denary. Za 1 ahtel piwa wiślickiego dla marszałka, 1 wiardunek. Za 1 ahtel piwa dla pana *Tomasza* 1 wiardunek. Za 1 ahtel piwa wiślickiego z rozkazu króla JM. dla pana *Drogosza* sędziego krakowskiego (2) 1 wiardunek. Jeden ahtel wina przywiezionego z Zagościa, dałem mu także z rozkazu króla JM. Tegoż dnia wieczerza dla królowej JM. i jej dworu.

W poniedziałek w sam dzień *Wszystkich Świętych* (1 listopada) obiad dla króla JM. z dworem jego i gośćmi; obiad dla królowej JM., wieczerza dla króla JM. i jego dworu; wieczerza dla królowej JM.

We wtorek nazajutrz po *Wszystkich Świętych* (2 listopada) za drwa suche do kuchni i łożnicy królowej JM., 4 grosze. Z polecenia pana *Dymitra*, za jeden kamień wosku do skarbu, dałem dwie donice (*urnas*) miodu.

We czwartek (4 listopada) po obiedzie król JM. do *Buska* pojechał, a królowa JM. do *Skalbmierza*, każdy ze swoim dworem osobno. Ale pan *Dymitr* pozostał w *Nowem-Mieście*, dla wyprawienia porządków królewskich.

Roku Pańskiego 1390.

W piątek po Trzech Królach (8 stycznia) dwanaście psów myśliwych króla JMci przyprawiono z rozkazu królewskiego z *Niepołomic* do Nowego-Miasta na wykarmienie.

(1) Pan *Tomasz*, Rusin; niezawodnie ten sam wojewoda litewski, o którym już wyżej wzmianka była.

(2) *Drogosz* ten, wymieniony jeszcze z tytułem sędziego krakowskiego w dyplomacie Jagielly z 10 sierpnia 1392 r. w *Zukowicach* (ob. *Kod. dypl.* t. I str. 262).

W piątek w dzień *św. Wincentego* (22 stycznia) *Popkowi* (*Popconi*) jadącemu z listami do króla JMci do *Lublina* dałem 1 wiardunek. Urzędnikom (*Officialibus*) w żupie bocheńskiej od mierzenia i warzenia soli, 6 groszy.

W niedzielę *Reminiscere* (27 lutego) *Andrzejowi Chechelskiemu* (*Andree Chechelszkemu*) i *Orzeszkowi*, prowadzącym konie do *Bochni* dla króla JMci dałem 3 skojce.

We czwartek, w dzień *św. Gourada* (5 maja) królowa JMé z dworem swoim z *Tarnowa* do Nowego-Miasta na wieczór przybyła (1). Na dyspartymenta dla koni królowej JMci i gości jej, których podówczas było wielu przybyłych dla pojedynku *Kmitły z Tomaszkiem* (2) 30 miarek owsa dawniej kupionego, tudzież jedna kopa świec własnych, i jedna kwarta łożu do lamp, na dwa dni, własne.

Panu *Zaklice* kanclerzowi króla (3) z rozkazu królowej JMci dano poleć słoniny dawniej kupionej, tudzież 8 kurcząt swoich, ahtel piwa własnego wywaru, i 1 kopę chleba domowego.

Na dyspartymenta kasztelanowi krakowskiemu (4) z rozkazu królowej JMci 1 poleć słoniny dawniej kupionej, 6 kurcząt

(1) Królowa Jadwiga powracała zapewne z wyprawy na Ruś, o której *Długosz*, a za nim wszyscy dziejopisowie nasi piszą. Wybrawszy się w pięć dni po Wielkiéjnocy (która przypadła 3 kwietnia), we cztery tygodnie niespełna wszystkie zamki przez załogi węgierskie i szlązkie od śmierci króla Ludwika zajęte, w posiadanie swoje odebrała. Jagiello w tymże czasie odbywał wyprawę na Litwę przeciw zbuntowanemu a sprzymierzonemu z Krzyżakami Witoldowi.

(2) *Propter Kymitte et Thomaszonis duellum*. O tym wypadku żadnąż żadnej wiadomości nie mamy. Żył podówczas *Piotr Kmita* starosta łęczycki, kasztelan lubelski, syn *Jaska Kmitły* starosty sieradzkiego, zabitego przez Węgrów w tumulcie krakowskim w roku 1376.

(3) *Mikołaj z Międzygorza Zaklika* herbu *Topór* proboszcz sandomierski i kanclerz królewski. W skarbcu katedry sandomierskiej zachowuje się blaszka srebrna, która służyła zapewne na podstawę jakiego naczynia kościelnego; wyryty na niej herb *Topór* i napis następujący idzie wokół: „*Istud opus comparavit Dus Zaklika prepositus sandomiriensis Anno domini millesimo trecentesimo octuagesimo nono*”. Przed słowem „*istud*” wyrytowana główka Chrystusa Pana z długimi włosami i brodą.

(4) Kasztelanem krakowskim był wedle *Niesieckiego Krzesław Wojszyk z Wojcieci*, zmarły w tymże roku. (Ob. *Paprockiego* pod herbem *Ogończyk*). Nasz rejestr nazywa go niżej *Dobiesławem*.

swoich, 1 kopę chleba i 4 *żemły* (chleb pszenny, 1111 *ze-mellus*).

W piątek, w dzień św. Jana *ante portam Latinam* (6 maja) za ryby dla mistrza dworu *Krystyna* i dla pana kanclerza królewskiego zwanego *Zaklika*, 11 groszy; inne zapasy własne i 1 ahtel piwa domowego. Tudzież na dycty wszystkie (*pro dijaris omnibus*) dla kasztelana krakowskiego i innych dworzan ryby dawniej kupione. Za buraki (*beta*), pietruszkę, rzę-zuchę (*serucha*) 1 grosz.

Za sprowadzone z Krakowa dla królowej JMci: 8 garnków (*ollis*) masła, tojest 5 wielkich i 3 mniejsze, 3 wiardunki. Za 28 szklanek (*vitrus*) (po 4 denary) 7 groszy. Za 32 misek (*scutellis*) (po 2 denary) 2 skojece.

W niedzielę, w sam dzień św. *Stanisława Bpa. Mka.* (8 maja) obiad dla królowej JMci i jej domowników, tudzież za chleb biały w *Opatowcu* 3 grosze, ponieważ królowa JMci domowego chleba białego z paniami swemi jeść nie chciała (1). Za 12 kurcząt młodych dla kasztelana krakowskiego p. *Zakliki* i innych dworzan, 6 groszy.

Tegoż dnia wieczerza dla królowej JMci: za jarzynę (*pro oleribus*) zwaną *gker* (*kierz*) $\frac{1}{2}$ grosza (2).

W poniedziałek w sam *dzień krzyżowy* (9 maja). Obiad królowej pani: 50 jaj i 8 sérów własnych dla upieczenia *ciasta* (*tortas*) dla królowej pani, i 3 garnki masła dawniej kupionego. Chleb biały dawniej kupiony w *Opatowcu* dla *gęby* i *stołu* (*pro ore et mensa*) królowej JMci. Dyspartymenta *Dobiesławowi* kasztelanowi krakowskiemu (3), *Zaklice* kanclerzowi i drugim.

We środę w *wigilię Wniebowstąpienia* (11 maja) obiad królowej JMci z jej domownikami:

(1) *Item pro pane albo in Opatowecz 111 gr. quia D. Regina proprium album panem cum Dominabus volebat manducare.*

(2) *Kierz* (*Gier* u Szymona z Łowicza, *Gir* u Falimirza, *Girz* u Spiczyńskiego, *Gierz* u Syreniusza) nazwisko rośliny baldaszkowej, której korzeń używają za jarzynę jak selery lub pietruszkę.

(3) *Dobeslao Castellano Cracoviensi.* Był kasztelanem krakowskim *Dobiesław* z *Kurozwęk* od r. 1379, ale wedle *Niesieckie-go* umarł r. 1387; po nim nastąpił *Krzyształ* z *Wopszyk* zmarły r. 1390, a po tym *Jan* z *Tęczyna*. Pozostaje do wyjaśnienia, co za *Dobiesław*, wymieniony tu jako *kasztelan krakowski*; jeżeli nie napisano błędnie *Dobeslao* zamiast *Creslao*.

Za dwadzieścia *wiązanek (szanki)* lamp po 0 denarów, 7 1/2 groszy.

Tegoż dnia *Forsztkowi (Forsztkoni)* komornikowi (*cubiculario*) królowej JMci dałem 1 grzywnę na kupno konia dla tegoż *Forsztki*.

Tegoż dnia o godzinie nieszporów, przez *Zygmunta* komornika królowej JMci posłałem pół grzywny na jej potrzeby.

We czwartek w sam dzień *Wniebowstąpienia Pana Jezusa Chrystusa* (12 maja) obiad dla królowej pani z jej dworem, wieszera i t. d. Za wołu 20 skojców; za 1 cielę 5 skojców; za 3 kapłony 3 grosze i 6 denarów; za ryby świeże dla królowej pani 7 skojców, gdyż z mięsem nie jadła. Za napój marcowy (zapewne piwo, *pro potu martiali*) 1 skojec, dla starościny i drugich pań i panienek (1). Chleb biały dawniej kupiony w Opatowcu dla królowej JMci. Studentom śpiewającym (*seolaribus cantantibus*) na rozkaz królowej pani, 1 grosz. *Sulkowi* podskarbiemu królowej JMci (2) na rozkaz téjże królowej pani, dałem 1 grzywnę; a 1 grosz z polecenia mistrza dworu (3).

W piątek *nazajutrz po Wniebowstąpieniu* (13 maja) za smarowanie wozu (*pro unccione currus*) królowej pani, woźnicom (*vectoribus*) i za kamień łoju, 2 wiardunki. Za 2 achtele piwa, które wypił kasztelan krakowski u brata w gospodzie w Nowém-Mieście (4), 10 skojców. Za 2 achtele piwa które wypił p. *Zaklika* kanclerz polski (*Cancellarius Polonie*) w go-

(1) *Capitaneisse et alijs dominabus et dominicellabus*. Starościna niewątpliwie krakowska. Byłaby to *Elżbieta* podobno z *Tęczyna*, żona *Spytka z Melsztynu* wojewody krakowskiego, już starosty krakowskiego w roku 1390 (na miejscu *Sędziwoja z Szubina wojewody kaliskiego*), jak świadczą dyplomata z tego roku w archiwum kapituły krakowskiej. Po śmierci pierwszego męża, który poległ walcząc z Tatarami w r. 1399, *Elżbieta* wyszła za księcia *Ziembickiego (Monsterberskiego)* na Szlązku). Ob. *Długosza* księga XI, str. 521 wyd. lipsk. i *Niesieckiego* Korona polska t. IV, str. 321.

(2) Niewymieniony z nazwiska ten *Sulko* czyli *Sulisław* podskarbi królowej, o którym inné wiadomości nie mamy.

(3) *Krystyn z Ostrowa*.

(4) A więc brat kasztelana krakowskiego trzymał gospodę w *Nowém-Mieście (Korczynie)*.

spodzie u wdowy *Kamieńca* (*apud relictam Camenczonis*)
10 skojców.

Wysłuchawszy mszy świętej królowa JMć pojechała na
obiad do *Stobnicy* (1).

(1) Przy końcu dołączony będzie *Dyaryusz podróży Jadwigi
i Jagiełły* z lat, z których posiadamy rejestra, uzupełniony datami
wybranymi z dyplomatów, tudzież z innych wiarogodnych źródeł.

— 1172 —

PIĘRWSZE POMNIKI JĘZYKA POLSKIEGO.

PRZEZ

A. Bielowskiego.

Najnowszy okres literatury polskiej odznacza się głębszém niż kiedykolwiek zamiłowaniem języka ojczystego i wielorakich jego pomników. Jakoż, pominąwszy już oburzenie, z jakim w nowszych szczególnież czasach, przeciw niepotrzebnemu używaniu języków obcych, niekiedy aż do znudzenia rozprawiano, a ograniczając się na same wypadki; wyznać potrzeba, że w ostatnich dwóch dziesiątkach lat niezmiernie wiele pod względem językowości zrobiono. Zebrano skrzętnie to z rękopismów, to z druków rzadkich, wszelkie zabytki pismienne; zgromadzono pieśni ludu, przysłowia i powiastki z rozmaitych okolic, usiłowano przelać je w twory umnicze i robiono nad nimi obszernie komentarze; przetłumaczono nakoniec znaczną część kronik ojczystych. A chociaż robione w tym względzie postrzeżenia niezawsze zalecały się trafnością, a plony rzeczywiste nie odpowiadały robionym sobie o nich nadziejom; chociaż ani z rozbioru przysłów, filozofii rodzimój nie odstoniono, ani z piosnek nie wywiązano ojczystej epopei, a wydawaniem źródeł w tłumaczeniu, nienajwłaściwszą dziejom robiono przysługę: wszelako nie można nie widzieć celu, jaki się w tym kierunku ducha narodowego ukrywa i do którego natchnieniem niejako zmierzamy. Chcemy oto zsummować naszą przeszłość, a przede wszystkim dzieje języka; chcemy, pomniki jego zebrawszy, poznać najdokładniej kolej uprawy jego dotychczasowej, aby tém pewniejszy tor obrać ku największemu jego udoskonaleniu.

Dziś tedy leży już bardzo wiele faktów przed nami, na których się opierając, możemy się posuwać wnioskami do ogólnego na ten przedmiot poglądu. Przypatrując się pomnikom językowym polskim, zastanawiają przedewszystkiém dwie okoliczności. Pomimo, że pomniki te są i dość liczne i niepośledniej w sobie wartości, sięgają jednak wstecz nie dalej, jak tylko do wieku XIV. To jest kres, w którym jakby mur chiński wyciągniono, a z za którego, choćbyś Bóg wie jak słuch twój wyteżał, nie zaleci cię nic, prócz *hymnu Bogarodzicy*: stary on jest i bez wątpienia najstarszy; ale w tej, w jakiej nas doszedł formie, zgęsta wstawkami późniejszymi nadłatany. Uczenni nasi pokazują nam niekiedy jakoweś drobne okruchy bądźto wierszyków, bądź prozy, które zdaniem ich nibyto poza wiek XIVty sięgać mają; wszelako są one po większej części takie, iż zbliżka się w nich rozględniejszy, powiedzieć można, że je raczej fantazyja utęsknionych za dawnymi pomnikami badaczy, niżli znamiona wyraźne poza wiek XIVty przesuwają. Druga okoliczność uwagi godna jest ta, że pomnikom polskim XIVgo wieku, acz dojrzałym i znakomitym co do osnowy, towarzyszy jednak zawsze prawie największe niemowlęctwo pisowni, i nasuwa się mimowolnie myśl, że to jest szata świeżo im narzucona, i bynajmniej nie przyswojona dłuższém używaniem tak, iżby do brzmień naszego języka podawać się i z naturą ich jako tako licować mogła. Oba te zjawiska nie są dostatecznie wytłumaczone przez naszych historyków literatury. To bowiem, co z nich jeden lub drugi powiada, iż w pierwszych wiekach chrześcijaństwa u nas, nie było nigdzie we zwyczaju pisać językiem narodowym, lecz tylko łaciną, może wprawdzie służyć do wyjaśnienia jednego lub drugiego szczegółu literatury u narodów szczepu romanckiego, ale w zastosowaniu do nas jest prawie niedorzecznością. Pismienność bowiem powstawała zawsze potrzebą. Naród, który już od wieku Xgo na obszernej władał przestrzeni, i tak znaczną rolę odgrywał między swemi słowiańskimi i niestowiańskimi a pismiennymi już sąsiadami, musiał mieć pismo jako organ swoich na zewnątrz i na wewnątrz stosunków. W sprawach z Rzymem lub cesarzami, usługiwał mu najczęściej cudzoziemiec; ale w sprawach z pobratymcami i w wewnętrznym kraju zarządzie, krzątająca się massa rodaków, trącana potrzebą ku pismienności, pisała jużćieć nie inaczej, jak tylko w języku ojczystym. Zagraniczny tedy zwyczaj ustą-

pić tu musiał konieczności, bo trudno było jednem pokropieniem wody nauczyć cały naród łaciny. Łatwo gdzieindziej upowszechniana, rozbijała się tu ona o trudność jęj nauczania się: raz z powodu obcego słowiańszczyźnie swego pierwiastku; drugi raz z powodu braku środków, ułatwiających jęj nauczanie, na których w wiekach owych powszechnie zbywało. Jakoż i najuczeńsi owych czasów obcy mężowie zwykle się co do łaciny jękają.

Od Xgo więc do początku XIVgo wieku, przez lat cztery-sta bytu społecznego, liczba pismiennych pomników w języku narodowym musiała być przeważająca nad łacińskimi. Trudno uwierzyć, iżby wszystkie one przypadkiem tylko wyniszczaly: bo jakkolwiek kraj nasz bardzo mnogim publicznym i prywatnym kłeskom podlegał, przecież doszły nas ważne pomniki łacińskie z owego okresu, chociaż liczba ich była mniejsza; gdzież się podziały narodowe? czy nie pozostał jaki taki ślad ich? i co nakoniec przyczynić się mogło do ich całkowitej zagłady?

Nie jest tą razą zadaniem naszym dać dostateczną i przedmiot ten wyczerpującą odpowiedź; chcemy tylko tym, których rzecz ta bliżej obchodzi, nasunąć niektóre skazówki, mogące posłużyć do trafniejszego niż dotąd kwestyi tej rozwiązania.

Wiadomo, że na pieniążkach naszych Piastowskich zachodzą niekiedy napisy głoskami kirylskimi. Taki pieniążek znaleziono w r. 1847 w wykopalisku pińczowskim, który w Warszawie w następnym roku oglądałem. Opisał go wraz z innemi znalezionemi tamże monetami Kazimierz Stronczyński w broszurze osobnej pod napisem: „Nowości numizmatyczne“ i wierne wizerunki ich załączył. Pieniążek ten ma z jednej strony napis: Болеславъ (Bolesław) wokoło popiersia księżęcego; z drugiej strony krzyż patryarchalny z takimże wkoło napisem. Uczony nasz numizmatyk przyznaje stanowczo tę monetę Chrobremu, mniemając, że ona bita była prawdopodobnie w Kijowie, po zdobyciu jego w roku 1018 przez tego króla. Gdy atoli już Galus, o Polakach mówiąc, dzieli ich na lud dwojga obrządków: słowiańskiego i łacińskiego (1), a Matylda w liście do syna Chrobrego, Mieczysława, język i obrządek słowiański własnym jego

(1) *Latinorum et Slavorum quotquot estis incolae.* Gal. I, 16, wyd. Bandt., str. 83.

czyli ojczystym nazywa (1); gdy według słów stariej słowiańskiej legendy, tak zwana *kiryllica* podana była przez swoich wynalazców „najpierw Morawcom, Czechom i Polakom, a później dopiero Rusi“ (2); a z Sokołowskiego wiemy, że Kiryłę i Metodego w Gnieźnie samem za pierwszych apostołów Polski uważano: (3) możnaby tedy mniemać, że pieniążki ze słowiańskim kirylickim napisem, niekoniecznie w tak zwanój Rusi i niekoniecznie aż dopiero po zdobyciu Kijowa, ale w samėje Polsce wybijano. Wstrzymujemy się jednak od wszelkiego pewniejszego wniosku w tój mierze, bo dopiero jeden taki znany exemplarz, a zwrócimy uwagę na świadectwa w tój mierze wyraźniejsze.

Nawracanie pogańskich Prus było niegdyś usilnóm staraniem Polaków, którzy od tych pogan najwięcej klęsk doznawali. Co rozpoczął św. Wojciech wspierany od Bolesława Chrobrego, dokonał z niejakiem powodzeniem Chrystian, wspierany przez mazowieckiego Konrada. Mnich ten oliwski, rodem z Pomorza, biskupem pruskim około r. 1214 mianowany, i przez papieża szczególnym względem mazowieckiego księcia i kapituły płockiej polecony, gdy już w apostołowaniu swoim znaczne zrobił postępy, zabrał się do skreślenia dziejów ludu, któremu apostołował. I w tём największą znowu pomoc wyniósł ze stolicy Mazowsza. Kanonik kapituły płockiej, Jarosław, pożyczył mu kronikę czyto przez siebie, czy przez któregoś z poprzedników swoich napisaną, a zawierającą najdawniejsze podania Prus i Mazowsza. Byłto utwór miejscowy, płocki. Autor jój opowiadał, jak za czasów Oktawiana Augusta wysłany był z miasta bityńskiego Salury, niejaki Diwones wraz z swemi towarzyszami dla robienia postrzeżeń naukowych w krajach północnych (4); przybył on do Prus

(1) Dethier Epist. ined. Math. str. 4. „Cum in propria et in latina Deum digne venerari posses, in hoc tibi non satis, graecam superaddere maluisti”.

(2) Wstęp krytyczny, str. 509.

(3) „Qui nos per beatos pontifices et confessores tuos nostrosque patronos Cirillum et Methodium ad unitatem fidei Christianae vocari dignatus est”. Off. propr. SS. Patr. Reg. Pol. Crac. 1596 str. 71.

(4) Bayer, a za nim Voigt trafnie uważają, że to podanie odnieść należy do rzeczywistego pomiaru państwa rzymskiego, który za Juliusza Cezara rozpoczęty trwał przez lat 32 do 10

i Mazowsza: widział lud pięknego wzrostu i chędogi, który żył w wielożeństwie, w jedzeniu i napojach był wstrzemięźliwy, w obyczajach prosty i gościnnie, a za bogów czeił słońce i księżyc. Między nim zostając czas niejaki Diwones, zapisywał starannie swe postrzeżenia i w Płocku umarł. Było dalej w tej kronice jak książę mazowiecki *Marco*, jechał co roku do Prus dla odbierania dani i zakładników: a mieszkańcy Prus mieli to sobie za zaszczyt i z radością dzieci mu swoje powierzali. Jak lud cymbryjski ze Skandynawii przybyły podburzył Prusaków przeciw Mazowszanom, i dokazał tego, że przez 40 lub więcej lat dani im nie dawali. Jak potem król mazowiecki Andysław podbijał na nowo Prusaków i t. d. Słowem w kronice Jarosława, która się głównie Mazowszem i Prusami zajmowała, zapisane było to, czego dziś w żadnych ani w polskich i pobratymczych, ani nawet w obcych kronikach nie natrafiamy. Obaczmyż teraz jak ta kronika wyglądała.

Książka ta, mówią świadkowie wiarogodni Szymon Grunau i Łukasz Dawid: „*pisana była w języku ruskim, a greckimi głoskami*“ (1). Słowiańska tedy była to książka, chociaż w stolicy Mazowsza uktadana, a przez kanonika łacińskiego obrządku czytana i posiadana. Czytał ją z łatwością i wypisywał

konsulatu Augusta; rozciągał się zaś aż do krain scytyjskich w których kierował nim niejaki Theodotus. (Ob. Voigt Gesch. Preuss. I. str. 33.

(1) „In Reuscher Sprache aber mit Greckschen Buchstaben geschrieben“. Luk. Dawid. Preus. Chron. str. 10. Wyd. królewskie z r. 1812 4. Porów. Voigt Gesch. Preuss. I. 624. Język cerkiewny którym Kirył i Metody od Rościława księcia powołani, Słowakom morawskim i ich sąsiadom pismo święte wykładali, mógł się najwłaściwiej zwać słowackim albo morawskim. Ale że Morawę zwali cudzoziemcy niekiedy *Ruzyą* i to już w wieku X (ob. Wstęp kryt. str. 511), wypływało więc ztąd, że i językowi cerkiewnemu dostawało się częstokroć nazwisko języka ruzyjskiego czyli ruskiego. Tak mówi Jan XIII papież w bulli swojej z roku 967, kiedy Rus waragska była jeszcze w poganstwie: „non secundum ritum aut sectam Bulgariae gentis del *Ruziae* aut *Sclavonicae* linguae“. (Ob. Kozmy kr. str. 49), rozumiejąc pod językiem *ruzyjskim* oczywiście nie co innego jak tylko język cerkiewny czyli język Słowian morawskich. W takiem, jak mnie mam, znaczeniu używa przytoczony przez nas Łukasz Dawid wyrazów *Reussische Sprache*, a Benedykt z Poznania, o którym będzie niżej: *rutenticus contextus*.

jej wiadomości mnich cysterski Chrystyan: bo umiał dobrze po polsku jako rodowity Pomorzanie, a język ówczesny polski, jakos się od języka, w którym ta książka była pisana, nie różnił. Gdy zaś wiemy, że jedne głoski słowiańskie są do żadnego z europejskich abecadeł niepodobne, i noszą nazwę glogolicy; drugie zaś zbliżone wielce do alfabetu greckiego, bo nawet z niego, z drobnymi tylko zmianami, urobione: więc jest widoczna, że kronika Jarosława kirylicą była pisana.

Zajrzmy teraz w stronę przeciwną Polski, sąsiadującą z Niemcami. Głośny w dziejach naszych Piotr wojewoda, zwany powszechnie Duninem, chwalony jest przez współczesnych zarówno z męstwa jak i z nauki. Bogufał nadmieniwszy o jego smutnych przygodach, urywa ich opowiadanie uwagą: że one są już przez niego samego opisane (1). Późniejsi nasi pisarze łaciniści zachowują o tém głębokie milczenie. Między licznymi fundacyami Piotra była jedną z najznakomitszych i jemu najulubieńszych, klasztor św. Wincentego w Wrocławiu, w którym wraz z żoną swoją był pochowany (2). Jeśli tedy komu, to najprędzej mnichom tego klasztoru poruczyć on musiał swoje duchową puścić. Otoż słuchajmy, co nam w tej mierze powiada piszący na początku XVI wieku Benedykt z Poznania, który się losami Piotra wielce zajmował: „Widziałem, powiada on, w bibliotece klasztoru św. Wincentego książeczkę pergaminową, w której niewiasty tej (Krystyny żony Władysława II) haniebnę przeciw Piotrowi wojewodzie podstęp i tragiczna jego przygoda spisana była *ruskiem* pismem“ (3). A na boku dodano: „Mała jestto książeczka w safian czerwony oprawna, z łańcuszkiem“ (4). Z tych szczegółów niegodziż się wnosić, że tą starannie oprawną a na pergaminie pisaną książeczką, był ów przez Bogufałą spo-

(1) *Piotronis gesta que per se scripta habentur, omittentes.* Sommersb. II, 42.

(2) Klose: *Briefe ueber Bresl.* I, 240.

(3) „Vidi ego in Bibliotheca monasterii divi Vincentii, in libello quodam pergameneo, hujus feminae (Christinae) in Petrum Comitem nefandae machinationis *ritinco contextu* descriptam traegediam“. *Historia sive cronica Petri Comitis per Benedictum Posnaniensem conscripta*; rkp. 23.

(4) „Parvus liber est, rubeo tectus corio cum catenula“.

mniany pamiętnik, czyli, jak się to niektórym z późniejszych pisarzy nazwać podobało, kronika Piotra Dunina?

Najznakomitszy tedy swojego czasu pan Polski, przyjaciel i prawa ręka Krzywoustego, pisał około roku 1148 pamiętniki swe kirylicą, bo w niej złożone było całe nasze pismienictwo rodzime owych czasów, a po łacinie mało jeszcze kto potrafił pisać wtedy z rodaków.

Przenieśmy się teraz nad brzegi Noteci, do owéj Wielkopolski, w której żywiłach językowych zwykle typ najpierwszy i miazgę szczeréj polszczyzny upatrują. W województwie niegdys gnieźnieńskim, powiecie keyńskim, znane jest miasteczko *Szubin*, dawniej własność Czarnkowskich, którzy tu mieli zamek warowny. Niesiecki Kasper pisarz, który jak w ogólności nie jest bez krytyki, tak téż co do téj oto kwestyi bynajmniej podejrzany być nie może, wyjawia nam ciekawą jedną okoliczność. Powiedziawszy, że Paprocki na przywileju klasztoru trzemeszeńskiego oparty, w dziele swoim: *Herby Rycerstwa* (str. 149) podaje za protoplastę herbu Nałęcz Dzierzycraja, księcia na Czołpie, (w województwie poznańskim) dodaje sam te słowa. „Potwierdza toż samo dawny manuskrypt w kolegium (Towarzystwa Jezusowego) poznańskim znaleziony; Choryński takóž w kazaniu pogrzebowém, którzy powiadają, że w zamku szubińskim wielką niegdys księgę i pięknie oprawną, wielkiej starożytności dokument, chowano, to *słowiańskim*, to łacińskim językiem zapisaną: w niej różne herby i familie skonnotowane widzieć było, o których temi czasy nie słyhać. Ale niedawno przedtém, kiedy to oni pisali, trafunkowym spłonęła ogniem (1)“. A więc i w Wielkopolsce znano w dawnych czasach i umiano czytać pismo słowiańskie: to bowiem jest dawniejsza nazwa kirylicy, która wtedy dopiéro, gdy u innych Słowian wyniszczona, u saméj niemal Rusi pozostała, słusznie ruskiém pismem nazywana być mogła.

Mamy więc z trzech różnych i odległych od siebie stron Polski, mianowicie: z Mazowsza, Szlązka i z województwa gnieźnieńskiego zgodne świadectwa o tém, że pierwsze pomniki polskie kirylicą były pisane. W tém abecadle znajdowały się gło-ski, które zupełnie brzmieniem języka naszego odpowiadały, ja-

(1) Niesiecki, Kor. Pol. I, 349.

koto: głoska nosowa *q* (Ж) czyli tak zwane *jus* (1), takąż głoska *e* (А) *jał'* (2); spółgłoski syczące *sz* (Ш), *cz* (Ч), *szcze* (Щ), *dz* (С) czyli *dzelo* i t. p. pojedynczemi znakami oddawane, a na które w piśmie łacińskiem trzeba było składać po kilka głosek, aby ich brzmienie od powinowatych brzmień wyróżnić. Potrzebowano więc bardzo długiego czasu i niemało mozółu, aby łacińsko-polską pisownię uprościć i zrobić powszechniejszą. I to właśnie tłumaczy nam owe zjawisko, któreśmy wyżej wymienili, mianowicie: zupełne niemowlęctwo pisowni łacińsko-polskiej w wieku XIV. Dopiero bowiem około tego czasu wzięto się powszechnie do głosek łacińsko-polskich, kirylicę i jej pomniki dawniejsze na boku zostawiając, a tylko niekiedy szukając w niej środków zaradczych. Jakoż godna jest uwagi, że jeszcze w kronice Miechowity (3) głoska nosowa w imieniu Wandy, którą Bielski Wędą nazywa, podobniejsza jest do głoski kirylickiej А (e) niż do którejkolwiek z głosek łacińskich; a w najstarszym kodexie ustaw wiślickich głoska *dz* w wyrazie *petnadzesta* i tym podobnych, oddawana jest znakiem pojedynczym, który widocznie jest tylko niezgrabnem naśladowaniem wielkiej kirylickiej głoski С (dzelo) (4). Co się zaś tyczy zarzuconych odtąd pomników kirylicko-polskich, nasuwa się tu mimowolnie ta jeszcze uwaga, że gdy u wszystkich Słowian pismiennictwo dawne z samych niemal liturgicznych i tym podobnych ksiąg składa się, tak, iż na sto a czasem i dwieście lat trudno znaleźć jedną książkę kirylicą pisaną, któraby dzieje lub tym podobny świecki przedmiot zawierała; tymczasem u nas widzimy w wyżej wskazanych śladach, w przeciągu niemal jedne-

(1) Ж (*jus*) znaczyło *q* lub *e*, tak samo jak dawne polskie Ѡ. *Przyp. J. P.*

(2) А (nie *jał'* lecz *ja*, bo *jał'* pisało się Ъ) znaczyło nie *e*, lecz *je* lub *jq*, i używane było tylko po spółgłoskach. *J. P.*

(3) Str. 8 wyd. krak. z r. 1521.

(4) Ob. Bandtk. *Jus. Pol.* Warsz. 1831 str. 127, 129 i dalsze.

Oprócz tego w Psalterzu Małgorzaty dwa razy kirylicie II użyte jest zamiast łacińskiego I, a mianowicie w psalmie 36 w. 38, w ps. 39, w. 3. *Przyp. J. P.*

go wieku trzy dzieła różne, z których jedno dzieje właściwe, drugie pamiętnik przygód własnych, trzecie nakoniec heraldykę krajową obejmowało. Czy to samo już nie pozwala wnosić, że i ta część literatury narodowej była u nas silniej niż gdzieinądziej uprawiana, i że pomniki jój musiały być niepośledniej wartości?

Z tych kilku danych można już sobie zrobić niejaki wyobrażenie, jaką kolej przechodziło najdawniejsze pismienictwo polskie. Polityka Rzymu w IX i X wieku nie była przeciwna uprawie języka ojczystego przez zrobienie go organem wiary narodu i jój obrzędów. Kirył i Metody jak z Rzymu wynieśli swoją dostojność, tak w Rzymie główne swe wsparcie znachodzili. Szła ich nauka bez przeszkody z tój strony, w krainy Polski, orężem ostatniego książećcia Słowian morawskich podpierana. Później wzięli w części na siebie missyą tę Benedyktyni, dość często przez piérwszych naszych książećat do Polski sprowadzani. Urządzenie tego zakonu mądrą polityką papieżów, łączyło w sobie oba obrządkie Słowian, regułę św. Bazylego z regułą św. Benedykta jednocząc. Z powołania więc swego znali kirylicę polscy Benedyktyni, i obok łaciny, po klasztorach ją swoich pielęgnowali, mając w niej organ porozumiewania się z masą narodu. Byłito czerńcy (monachi nigri) tak jak czerńcami zowią podziśdzień w mowie ojczystej Słowianie zakonników św. Bazylego. Takiehto czerńców benedyktyńskich osadził wojewoda Piotr w Wrocławiu w klasztorze św. Wincentego (1). Alić już w piérwszych latach wieku XIIIgo uznano potrzebę rugować tych Benedyktyńców z swych siedzib, zastępując ich mnichami białymi i popielatami, których Gawłami, Premonstratami i tym podobnemi imionami nazywano, a sprowadzano do Polski z Francyi, Niemiec, Helwecyi i z rozmaitych stron świata. Co za skutki pociągnąć musiała ta nagła zmiana w narodowej oświacie, łatwo obaczyć. Zakon węzłem języka ściśle z narodem związany i sam niejako unarodowiony w Polsce, wyrzucany z swych siedzib przez cudzoziemców (bo z takich tylko składały się piérwsze owe białych mnichów zakony), zostawiał w ich ręku książki,

(1) Benedykt z Poznania mówi: („Petrus) ecclesiam quasi ruthenico more in honorem s. Vincentii aedificavit, et fratres ordinis... s. Benedicti de monasterio Tineconsi recipiens ipsis penes praefatam ecclesiam divi Vincentii monasterium extruxit” Historia sive Cronica str. 12 rkp.

których oni po większej części czytać nie umieli, i które tém samém były dla nich zupełnie obojętne. Niszczały więc owe zabytki piśmiennictwa narodowego jeśli nie przez złą wolę nowych ich posiadaczy, to przez to, że były dla nich martwemi. Nim więc i te nowe zakony powoli krajowcami zapelniać się i przenaarodawiać poczęły, został już zaledwie jeden lub drugi ze słowiańskich zabytków. Nie dziw tedy, że od czasów Boguśły leżał pamiętnik Piotra wojewody w klasztorze ś. Wincentego nieopstrzeżenie, aż na początku XVIgo wieku zajrzał do niego Polak Benedykt, a to co o nim w swoim dziełku napomknął, posłużyć mogło do zniszczenia go jakiemu cudzoziemcowi i stronnikowi dostojnego rodu Krystyny; lub téż do schwycenia jakiemu bibliomanowi. Wszelkim zaś innym tego rodzaju pomnikom piśmiennym zadały cios ostateczny wszczęte z początkiem XVgo wieku religijne sekciarstwa, zwykle w języku narodowym szerzone, i wynikła ztąd słuszna duchowienstwa katolickiego obawa, iżby podobnemi pamiątkami narodowemi zasilając się, przy pokusach zwłaszcza od Carogrodu, nie skończyły się one oderwaniem się narodu polskiego od Rzymu. Dziś, gdy wszelkie tego rodzaju walki ucichły i niebezpieczeństwa zniknęły, może Polak spokojnie i bez uprzedzenia rozpoznawać koleje uprawy swego języka, ścigając i najdrobniejsze ślady, które do wszechstronnego wykrycia prawdy prowadzą.

Dzieje języka cerkiewnego w naszych dopiéro czasach rozpoznawać poczęto. Za gniazdo i pierwszą kolebkę języka cerkiewnego uważał uczony Dobrowski Bułgaryą (1). Kopitar przeciwnie usiłował dowieść, że pierwszą kolebką jego była Pannonia. Wyniki do jakich doszli badaniami swemi Dobrowski i Kopitar, niemałym uległy w naszych czasach modyfikacyom; jest bowiem rzeczą widoczną, że tak zwany język cerkiewny nie kto inny, jak tylko Słowianie morawscy wypielęgnowali (2).

(1) Dobrowski język staro-bułgarski czyli cerkiewny nazywa serbo-bułgaro-macedońskim, przypisując używanie go Słowianom, zamieszkującym dawną Macedonię, a temi są Serbowie i Bułgarowie. Pierwszy Szaffarzyk odniósł go tylko do Bułgarów.

Przyp. J. P.

(2) Zdanie to opiera się rzeczywiście na historyi, ale nie na badaniach językowych; cerkiewny nie mógł być morawskim, raz dlatego, że morawski, jak wiadomo, należy do szczepu zachodniego, a cerkiewny do wschodniego; że, że Kirylli i Metodyusz przy-

Jakoż to tylko twierdzenie popiera najsilniej historia, i można śmiało powiedzieć, że jak Kirył z Metodym byli niejako twórcami cerkiewnego języka, tak Rościsław ze Świętopelkiem jego pierwszymi rozpowszechniaczami u ludów słowiańskich (1). Jak daleko tedy stosunki morawskiego państwa w głąb słowiańszczyzny sięgnęły, tak daleko sięgnął i język, stając się ich językiem książkowym.

Bogate nakoniec zbiory cerkiewnych kirylickich kodexów w Rosyi, podały sposobność uczonemu Wostokowowi wyjaśnienia nowych niektórych szczegółów tego języka, mianowicie okazania najdowodniejszego głosek i brzmień jego nosowych. Dziś robi wiele trafnych na polu filologii słowiańskiej postrzeżeń uczoney *Franciszek Miklosicz*.

Kiedy więc w rozpatrywanych dotąd rękopismach kirylickich dostrzeżone i dowodnie wykazane zostały znamiona, które ich stanowczo do rodziny bułgarskich, ruskich, serbskich lub czeskich odnieść każą; nie jest tedy rzeczą niepodobną, iż w masie rozrzuconych po różnych krajach kodexów słowiańskich, dadzą się z czasem wykryć i takie, z których znamion zawiązać będzie można z pewnością, iż pierwotnie w Polsce były pisane, lub z dawnych kodexów polskich i pod wpływem polszczyzny pisanych, kopiowane.

byli już z gotowym językiem, a nie dopiero u Morawów mieli się go uczyć. Przypominamy, że oni byli z Tessaloniki, a zatem z miasta na granicy bułgarskiej leżącego. Ze zaś wówczas języki słowiańskie były więcej do siebie zbliżone, to inna kwestya; zawsze jednak niktyle, aby stanowiły jedno i toż samo.

Przyp. J. P.

(1) Tojest u Morawów, bo jednocześnie Hezilo windski znad jeziora Balaton (Platten-see) rozpowszechniał liturgią słowiańską między swym ludem, a Metodyusz nawet czas jakiś na dworze jego przebywał. Bohorys lub Borys król bułgarski w roku 861 przyjął chrzest z rąk Metodyusza, co w r. 873 uskutecznił i czeski książę Burzywoj. *Przyp. J. P.*

KRÓL LOIS.

Ustęp z dzieła Karola Szajnochy:

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO I JADWIGA.

.....**W** wieśniaczęj Polsce Kazimierza Wielkiego, nastąpił po nim wychowanek najświetniejszej, najwykwintniejszej w Europie rodziny. Dom andegaweński, gniazdo naszego króla *Loisa* (1), słynny już swoim braterstwem z Kapetyńską rodziną świętego króla Ludwika, zasłynął jeszcze głośniej swoim odosobnieniem się od niej. Stało się to w skutek łaskawego przez stolicę papieżką zawezwania brata św. Ludwika, Karola Andegaweńskiego na tron neapolitański, opróżniony upadkiem wrogich papieżom Hohenszaufów. Odtąd miała stolica apostołska Andegawczyków neapolitańskich za ród wybrany. Jak Neapol, tak i królestwo węgierskie winni byli Andegawczykomie głównie opiece i najusilniejszym trudom dworu rzymskiego. Podnosząc zaś polityczną ich wielkość, zwiększał on również i religijną ich sławę. Pomnożyła ją niedawna kanonizacya nowego św. Ludwika, biskupa tolozańskiego. W ka-

(1) Tak, nie „Ludwik” zwano w mowie potocznej ojca Jadwigi. Tworczy Chron. Hung. II, XCV „filius, quem... *Lays* prægandio (ojciec) appellavit”. Sarnicki, Descript. v. et n. Pol. wydania lipsk. str. 1901. „Ludovicus quem nostri *Loissum* voca”. Paprocki Herb. rycer. 313 „za czasu Loysa król. węg. i polsk.” Biel-ski: Sprawa rycer. 30 „Za króla *Loysza* i Władzisława”. Bandtke J. P. str. 186 „Finis privilegii *Loysch* regis” (1374). I Długoszowi nie jest obce to nazwisko. Histor. IX, 1076 „Loyzo alias Ludovico.”

zdem téż papieżkiem odezwanu się do przodków Jadwigi powtarza się chwala dziedzicznej w ich domu świętobliwości. Obok palmy niebieskiej, zdoił ich także wieniec sławy światowej. Brata biskupa tolozańskiego, a dziada naszego króla Loisa, króla Neapolu Roberta, władcę jednego z najrozkośniejszych państw świata, czczył wiek XIVty jako mędrca, powiernika najskrytszych tajemnic przyrody, wspieracza nauk. Toż jak stolica apostolska, tak i wszyscy sławni ludzie onego czasu kochali Andegawęńczyków.

Podziśdzień rozmawia Dante w Boskiej Komedyi, w raju, na planecie Venus, z swoim królewskim przyjacielem Karolem Robertem, dziadem Jadwigi. Podziśdzień płonie Boccaccio w swojej elegii pod napisem *Fiametta* najgorętszą miłością ku przyrodzonej córce onego króla-mędrca, Fiamecie czyli Maryi. Petrarka lamentuje szumnemi słowy nad zamordowaniem stryja Jadwigi, królewicza Andrzeja, męża i ofiary Joanny neapolitańskiej; a Cola Rienzi szuka przytulku u brata Andrzejewego, Loisa, ojca Jadwigi. Zwłaszcza téż król Lois wzbudzał cześć ludzką. Jako pan Polski, Węgier, zdobywca Dalmacyi, zwierzchnik wielu pomniejszych państw naddunajskich, prawy dziedzic Neapolu, liczył on w swojej intytulacji królewskiej sam jeden tyle poddanych królestw, ile wszyscy królowie europejscy pospołu. Samego królestwa węgierskiego kopalnie czyniły go tak bogatym, że ubytek dochodów wielu rozszafowanych ziem polskich mógł za nic ważyć. Przed tyłą potęgi i dostatków, nie wahali się sami cesarze byzantyńscy ukorzyć czoła, błagając pomocy przeciwko Turkom. Papieże nie mogli dość pochlebnych znaleźć dlań słów. Według ich pieszczot, jest on „najswiętobliwszym, najukochańszym księżciem, pierworodnym świętego kościoła Bożego, prawdziwym synem łaski, chrześcijańskim nad wszystkich królem (christianissimus).“ Uradowany zaś zapowiedzianą przez Ludwika przeciw heretyckim Bośniakom wojną, obdarza go Innocenty VI tytułem „chorążego kościoła“. A Ludwikże cóż na to? Ludwik pozwala wyrządzać sobie wszelką cześć, nadawać wszelkie tytuły, modli się za to w skrusze do św. Pawła i Matki Boskiej, lecz ani dla swojej pobożności, ani dla owój czci, nie zaniedbywa na chwilę swojego ziemskiego dobra, swojego interesu, swojej chciwości. Zwiódlszy świat zapowiedzianą krucyatą bośniacką, uderza „chorąży kościoła“ swoim wojskiem

krzyżowém na wenecką Istrią i *Dalmacyą*, dodając do politycznego podstępu wielką w onych czasach podłość rycerską, gdyż uderzył bez wypowiedzenia wojny. Tym obłudnym i samolubnym rozsądkiem stał Ludwik w zupełnej sprzeczności z swoim naiwnym nadwiślańskim narodem i całym dawnych jego książąt szeregiem.

Cała też powierzchowność odróżniała go od nich. Król Lois męczyzna słusznego wzrostu, nosił przeciw ówczesnemu obyczajowi Polaków gęstą brodę; miał wydęte wargi, wypukłe oczy, ramiona nieco z ukosa, a od postrzału pod Awersą chromał na jedną nogę. W umyśle, przyrodzona porywczosć walczyła z przyswojoną rozmyślnością. Gdy jednego razu we Włoszech, koniuszy królewski na uporczywy rozkaz Ludwika w głęboką wodę z koniem puściwszy się, tonąc zaczął; rzucił się młody król za nim w rzekę. Lecz na uczynione sobie przez swego przeciwnika, Ludwika z Tarentu, przedłożenie rozstrzygnięcia wojny rycerskim pojedynkiem, odpowiedział Ludwik nieśmiałą trudnością w wyborze miejsca walki, czém cała sprawa rozchwiała się. Syn ojca, który ślubem do odmawiania codziennie po kilkadziesiąt a niekiedy nawet po dwieście Ojczenaszów i Zdrowaś-Marya obowiązał się, a popadłszy w znaczne zaległości tych modlitw, pokornie absolucyi papieżkiej i umniejszenia ślubu do codziennj liczby piętnastu pacierzy, na drodze dyplomatycznj w Awinionie poszukiwał; nie dał Ludwik lada komu wyprzedzić się w pobożności. Wszakże religijność jego ograniczała się na zawieszonym u szyi relikwiarzu, na wymownych dyplomatach ku czci Najświętszj Panny, na nienawiści ku żydom i zupełném ich z kraju wygnaniu, na prześladowaniu Słowian wschodniego obrządku, w najlepszym zaś razie, na sprowadzeniu ciała świętego Pawła eremity z Wenecyi i zbudowaniu kilku monasterów ulubionym mnichom Paulinom. Aby w prostodusznj szczerocie pobożność swoje czynem słowiańskiej hojności, rozrzutności, w życie wprowadzić, na to był Ludwik nadto rozsądnym. Owszem, pomimo osobistj dewocyi króla, mimo rodową sławę świątobliwości, biadało duchowienstwo na ciężkie, najcięższe za króla Loisa czasy. Niewolno było nikomu ani darem, ani testamentem zapisywać dóbr ziemskich na rzecz kościoła. Wszystkie praelstwa, dostojenstwa duchowne i beneficye, rozdawał

Ludwik po swojej samowolności, znieważając wszelkie prawa zwierzchności kościelnej. Jak na pobożnego ojca, Roberta, tak i na syna, Ludwika, musiało duchowienstwo węgierskie płacliwe u papieża rozvodzić skargi; a zakłopotany papież upraszał dopiero pobożniejszą matkę królewską, Polkę Elżbietę, o zarządzenie temu. W Polsce nie ustawały swary między królem a duchowienstwem o podatki z włości duchownych; roczniki miechowskie narzekają, iż ponoś żaden z królów onego wieku nie zadał tyle klęsk klasztorom, co król Ludwik. Za to zjednał on sobie popołu z zdzierczym zakonem Krzyżaków sławę doskonałego administratora. Żadnemu królowi polskiemu „nie wpływały podatki i dochody królewskie tak regularnie i tak nieuszczuplone, jak Ludwikowi”. To wzorowe administratorstwo zwracało wszelkie jego społeczenie ku stanowi kupieckiemu, mieszczaństwu. Śród najsroźszej wojny utrzymywał Ludwik bezpieczeństwo dróg i handlu. Krzyżacy nie mogą w listach do Jadwigi nachwalić się złotego w Polsce dla kupców wieku, za panowania jój ojca. Taż żyłka handlowa i towarzysząca jój zwykle zazdrość kupiecka, zapalały go dziwną w bogobożnym królu, bo wcale bezbożną wściekłością, przeciw kupieckiej Rzptój weneckiej. „Sprzymierzylśmy się—mówi sam Ludwik—z szlachetnym księżciem rakuzkim Albertem, ku zgubie, pohambieniu, sromocie, wysączeniu ostatniej kropli krwi i zupełnej zagładzie miasta Wenecyi.” Również gorąco „kochał i wywyższał Ludwik” jak niegdys jego ojciec, miasta własnego państwa. W ogólności sprzyjał on, jako raczej administrator niż rycerz, wszelkiej nieszlachcie; przez co ze stanu kmiecego „z dworskiego służebnictwa“, „zpod strzechy wiejskiej”, wybierał on rad swoich ulubieńców i urzędników, rozbijając nimi potęgę szlachty. Dla téjto nowój klasy, dla mieszczan, założył Ludwik akademię w Pięciu-kościolach. Wszystko to byłoby rzeczą bardzo chwalebnią, gdyby nie okoliczność, że, czyto w Węgrzech czy w Polsce, przeważenie się serca królewskiego na stronę miast i kupiectwa, było przeważeniem się na stronę cudzoziemszczyzny, która groziła za niego głównie przeto niebezpieczeństwem, iż cudzoziemskość samegoż króla nie przejmowała go, jak naprzykład Kazimierza Wielkiego chęcią zespolenia jój z żywiołem narodowym. Bez niej był Ludwik w Węgrzech i w Polsce raczej niemieckim, niż narodowym królem. Ta na francuzkim pniu zaszczipiona

cudzoziemczyzna, stanowi najznamienitszą cechę jego charakterystyki. Przez trzydzieści lat czekania na tron polski (1339—1370) nie dbał Ludwik o nauczanie się mowy polskiej, a rozmawiał rad po niemiecku. Obojętny dla szlachty krajowej „kochał się w Niemczech“. Skąpy dla duchowienstwa, okazywał się hojnym dla swoich Niemców, a „oni też tłumnie do niego zbiegali się“. Zamiast jak jego poprzednicy w Polsce, starać się o związki z Litwą, bratał się Ludwik chętnie to favorami handlowemi, to własnoreczną w młodszych latach pomocą zbrojną, z czyhającym na zgubę polską niemieckim zakonem Krzyżaków. Ku niemieckim też domom, rakuzkiemu i czeskiemu, brata waga cała jego polityka dynastyczna.

Brak męskiego potomstwa zniewalał go szukać zdolnych do berła zięciów, a tych pragnął on znaleźć w pomienionych rodzinach: z kąd ciągnęto pomiędzy temiż dwoma niemieckimi domami zazdrość, ciągle spółubieganie się o pozyskanie większej puścizny łask Ludwikowych. Przemagał w téj walce nasamprzód dom rakuzki. Położenie geograficzne wiążące Rakuzy i Węgry spólnym Dunajem, wymagało oddawna ścisłego pomiędzy obydwoma dynastjami sojuszu; jakoż oddawna wiązały się obie nadmiar częstemi traktatami. Historia i dyplomacya przechowały nam świadectwa takowych zapewnień przyjaźni i obopólnej pomocy z lat 1345, 1349, 1353, 1356, 1357, 1358, 1359, 1361, 1362. Przyszło nawet do sukcesyjnego przez Ludwika przyrzeczenia domowi Habsburskiemu korony węgierskiej wraz z ręką jednéj z córek, po śmierci ojca. To ubodło spółzawodniczących Luxemburczyków, mianowicie cesarza Karola IV. Chcąc mieć także jakąkolwiek stawkę w rakuzkiej grze fortuny, uwikłał on w roku 1364 braci Habsburskich, Albrechta i Leopolda w traktat sukcesyjny z Czechami. Kto z książąt rakuzkich lub czeskich przeciwną stronę przeżyje, ten miał odziedziczyć jój państwa. Owszem, w coraz dalszém przechylaniu się szali fortuny na stronę Czechów, przeinaczył Ludwik owo przyrzeczenie sukcesyjne w ten sposób: iż przy obecnej jednoistości Czechów z domem rakuzkim, zaręczył téj stronie sukcesyą w Węgrzech, którą on sam później wybierze. W końcu wypadli książęta rakuzcy zupełnie z łaski Ludwika. Na trzy lata przed śmiercią Kazimierza Wielkiego, w roku 1367, zerwały się formalnie wszelkie między niemi a królem węgierskim węzły. Lubo w téj porze i dla rodziny

luxemburskiej przychylność Ludwika nieco oziębla, pozostał przecież plac zawodnictwa na chwilę przy rodzie luxemburskim. Z nim też gdy wkrótce dawna przyjaźń wróciła, odnawiają się naprzód traktaty sukcesyjne. Rozpoczęto w roku 1372 układy o małżeństwo między królowną węgierską Maryą, a królewiczem czeskim Zygmuntem; czem zmartwieni książęta rakuzcy rzucają się do wzajemnego teraz podkopania fortuny luxemburczyków, a przynajmniej do wyrównania im w zabiegach o puściznę węgierską. Nim dwa lata upłyną, obaczym także same układy, jak względem Maryi i Zygmunta, zawiązane między Habsburgami a Ludwikiem względem drugiej jego córki Jadwigi, a Leopoldowego syna Wilhelma. I znowu oba domy niemieckie zbliżyły się ku sercu Ludwikowemu; a Polska, polskie stosunki i korzyści, pozostawały w zapomnieniu.

Jak Ludwik dla Polski, tak też Polska dla Ludwika była zupełnie obcą. Mowa narodu brzmiała niezrozumiale jego uszom. „Aura Polski“ szkodziła jego piersiom. Dawne prowincye Polski, krainy szląskie, wbrew zaprzysiężeniu starai o odzyskanie utraconych ziem polskich, służyły mu tylko za myto, którym sobie przekupował uległość niemieckich Luxemburczyków. Koronę i królewskie insygnia polskie włożył Ludwik po koronacji w Krakowie jak sprzęt na wóz i uprowadził z sobą do Budy.

Niezwyuczajna fortunność rodu, prowadząca Andegawenczyków w okrąg Europy z tronu na tron, ośmielała fantazyą królewską do najbujniejszych marzeń. Rad też rozkoszował w nich ojciec Jadwigi. Przy wszelkich bowiem talentach administratorskich, posiadał on także namiętny pociąg do życia kontemplacyjnego, zadumczywości. Przyczyniło się do tego powszechne onych czasów zamiłowanie w wróżbiarstwie astrologiczném; nie masz prawie księżęcia, któryby wtedy nie hołdował téj manii. Sławny król francuzki Karol V Mądry, stryj Wilhelma rakuzkiego, książę Albrecht, wielki mistrz krzyżacki Henryk de Plauen i mnodzy inni, albo sami z znaków niebieskich wróżyli, albo opłacali wróżbitów. Najgłośniejszym mistrzem téj umiejętności tajemniczój znano i sławiono krewniaka Ludwikowego, mądrego króla Neapolu, Roberta. W czasie długoletnich wojen między Anglią a Francją, „rzucił on wielokrotnie wróżebne względem przyszłości obydwóch królestw

losy i dochodził wszystkiego astrologią.“ Za przykładem mędrca bratanka „pracował i Ludwik z najgorętszą chciwością w astrologii“. Poznawszy więc główne rysy jego charakteru, udajmy się za nim i do pomocnej pracowni jego marzeń. Tam napoty w modlitwie, napoty w mistycznych dumaniach pogrążony, snuł on dalej nie tych dumnych zamysłów, jakie już ojca, Karola, zaprzętały. Ojciec Karol-Robert marzył o założeniu pobratniej rzeszy królestw, z których jednemu, Węgrom, panowałby jeden syn, Szczepan; drugiemu, Polsce, Ludwik; trzeciemu, Neapolowi, trzeci syn, Andrzej. Złowrogi los zawiódł krwawo plany ojcowskie. Szczepan umarł w młodości bez korony, a jeszcze młodszy, Andrzej, padł pod ciosami neapolitańskich morderców. Odmiennie położenie trzeciego pozostałego syna, Ludwika, dziedzica wszystkich trzech koron, w odmienną postać dzisiejsze jego zamysły kształtowało. W jego oczach wszystkie jego królestwa miały tylko wartość jako posag jedyńnych jego dziedziczek, trzech córek: Katarzyny, Maryi i Jadwigi. Każda z nich miała otrzymać po koronie. Która jednak którą koronę weźmie, kryło się właśnie w mroku przyszłości. Jój rozstrzygnięcie zależało od zięciów. Na dwóch, Zygmunta luxemburskiego i Habsburga Wilhelma, rzucił już Ludwik, jakeśmy nadmienili, wzrok wyboru. Teraz zajmowała go myśl o trzecim. Zapragnął on go daleko, w rodzinnej Francyi z pokrewnego szczepu królów francuzkich, zpomiędzy synów króla Karola V Mądrego. Temu przeznaczył Ludwik najbliższy Francyi Neapol, a jako najdosłojniejszym z wszystkich zięciów, pozostawił mu wolność wybrania którejkolwiek z trzech córek. Francuzki zatém oblubieniec miał wyborem swoim stanowić ostatecznie o rozpodzieleniu trzech królestw pomiędzy trzy królowny i podobnymże podziale dwóch pozostałych królewien, pomiędzy dwóch innych zięciów. Na Ludwiku ciążyła tylko troska, aby każdej z córek po koronie w posagu stało. Ale spełnienie tego życzenia tamowały różne przeszkody. Łatwiej było marzyć o trzech posagowych koronach, jak to Ludwik istotnie w dyplomatycznej korespondencji z dworem paryzkim czynił, niż te korony rzeczywiście zięciom dać w posiadanie. Królestwo neapolitańskie miał oblubieniec francuzki wydrzeć dopiero z rąk posiadającej je obecnie królowej Joanny. W Węgrzech, nieprzyznających córkom prawa do dziedzictwa po ojcu, chyba tylko wzgląd na zasługi Ludwika około Węgier, mógł

zapewnić córce następstwo. Największe atoli trudności groziły ze strony Polski. Względem téj obowiązał się był Ludwik, jeszcze na piętnaście lat przed śmiercią Kazimierza Wielkiego, w roku 1355, wyraźnym paktem pisemnym, nie myśleć o przekazaniu córce tronu polskiego. „Jeśli by—prawił jawnie jeden z warunków dokumentu—przygodziło się, iżby (co uchowaj Boże!) albo my (Ludwik), albo książę Jan nasz synowiec, (jedyne wówczas mężki spadkobierca Ludwików) mieliśmy zejść bez potomka płci męskiej z tego świata: natenczas wszelkie pakta, umowy, rozrządzenia, ordynacye, tudzież przysięgi wierności i hołdu, wreszcie wszelkie zobowiązania się (narodu polskiego względem Ludwika) mają być tém samém zniweczzone, unieważnione i bezskuteczne.“ Jeśli by zaś przypuszczono nawet pleć niewieścią do berła, toć miała Polska w pozostałych dwóch córkach *Kazimierza Wielkiego*, Annie i Jadwidze, bliższe od córek Ludwikowych dziedziczki. Owoż te obiedwie przeszkody, ów złowrogi dokument i niebezpieczeństwo ze strony sierot Kazimierzowych, zagradzały córkom Ludwikowym drogę do Polski. Chcąc ją posagiem dla jednéj z nich zostawić, należało wprzód te dwie przeszkody usunąć. Uporczywy Ludwik nie uląkł się dzieła trudnego. Powszechna bezskrupulatność ówczesnego świata, nie przebierała w środkach. Sam Ludwik nie sływał z rzetelności. Ciężka przeto krzywda padła sierotom Kazimierzowym gdy Ludwik naprzd do uwolnienia się od nich przystąpił.

Skoro koronacya Ludwika w Krakowie się odbyła, zostały Anna i Jadwiga do Węgier uwięzione. Tam w obczyźnie odsądzono je od wszelkich praw do tronu ojczystego. Złożony w tym celu z duchownych i świeckich sędziów trybunał, zważywszy, iż zmarły ojciec, król Kazimierz, pojął ich matkę, swoją trzecią małżonkę jeszcze za żywota odprawionéj do Niemiec *drugiej* małżonki Adelajdy; uznał obiedwie dzieweczki nieprawych ślubów potomstwem, które teraz wprowadzie ulegitymowano, lecz zarazem za niegodne korony ogłoszono. Nadto, potrzeba było uwięzić je w podlém małżeństwie, któreby stanęło nad niemi strażą przeciw wszelkim do dziedzictwa ojczystego zamysłom. Uległa temu losowi starsza Kazimierzówna, Anna (1). Wtrącił ją król Lois w istną pieczare hań-

(1) Długosz Hist. X, 12, mówi o wydaniu za mąż obydwóch. Tymczasem wymieniony przezeń małżonek drugiej, Jadwigi, książ-

by: był nią styryjski dom hrabiów cyllejskich. „Jakieś osobliwsze zbrodniarstwo” przechodziło w tym rodzie spadkiem z ojca na syna. Niedawnemi czasy od cesarza Karola IV do godności udzielnych hrabiów cesarstwa wyniesieni, uwielmżyli się oni głównie wystugami u dworu węgierskiego. Było ich obecnie dwóch: stary stryj Herman, głowa rodu, i synowiec Wilhelm. Najniemorálniejszym był syn Hermana, grał Frydryk. „Srogi, nieużyty, krwiządny, okrutnik, skąpiec, wróg duchowienstwa, niecierpiący obrzędów kościelnych, zły pan, zły sąsiad, żarłok, rozpustnik”, dusi on własną żonę w łożu małżeńskim, zapragnawszy połączyć się z lubieżnicą, wkrótce potem na rozkaz starego ojca grafa Hermana, jako czarownica utopioną. Syn Fryderyków Ulryk, ku starości już pochylony, sprzykrzywszy sobie podobnież małżonkę prawą, aby tém swobodniej żyć z cudzą żoną, każe zabić męża swój „Herodyady”. Natenczas stary ojciec łożobójca, napomina starego syna, rozpustnika, do poprawy żywota. Syn zaś lękając się stanąć osobliście przed obliczem ojcowskim, wysyła naprzód swoją miłośnicę dla przejednania starca. I owo odgrywa się w łonie tej rodziny scena, godna czasów Sardanapala. Naprzeciw zbliżającej się „Herodyady” synowskiej, wychodzi z rozkazu pana Herodyada ojcowska. Otoczone świetnym dworem frejlin i edelknechtów, oddają sobie obiedwie z wszelką powagą cześć wzajemną. Po ceremonialném powitaniu się grzesznic, spotyka się zgrzybiały rodzic-karciciel, z pięćdziesięcioletnim synem występny. Ojciec wyrzuca synowi odepchnięcie własnej małżonki i śmierć małżonka nalożnicy. Syn przypomina ojeu zabójstwo matki w łożu. Tém karcony winowajca, zamienia się w oskarżyciela. Skruszony wymową synowską starzec przyznaje sobie winę wszystkiego. Z żalu w rozczulenie

zę Romer, zresztą nikomu nieznany, zdaje się być przez pomyłkę tym samym „księciem saskim Romanem”, który w księdze IX, str. 112 jest małżonkiem najstarszej córki Kazimierzowej, Kunegundy, zmarłej 1357 r. na kilka lat przed mężem, zmarłym 1365 r. Ztąd zamęcie Jadwigi podlega wątpliwości. Zawarta zaś w testamentnie ich ciotki Elżbiety z r. 1380 wzmianka: „córce króla „polskiego Kazimierza zapisuję” ... (Katona X, 671 — 677) stosująca się widocznie nie do hrabiny cyllejskiej Anny, lecz do jakiejś, żadnym męzowskim tytułem nieodznanzonej, Jadwigi, czyni jej niezamężność prawie niewątpliwą.

przechodząc, otwiera synowi uścisk przebaczenia i pojednania. „Naprawdę!” — woła. — „nie obmyć cegły z czerwieni! Zyj, synu, po serca twego woli”.

W takito dom wtrącił Ludwik sierotę Kazimierzową. Pojął Annę w małżeństwo stryjeczny brat owego łobobójcy, graf Wilhelm (1). W jego rodzinie zdała się Ludwikowi krew Kazimierza Wielkiego, na wieczność w niepamięć pogrążoną. Dla zapewnienia tronu polskiego krwi Ludwikowej, pozostało jeszcze tylko unieważnić ów przeciwny następstwu niewieściemu dokument z roku 1355. Troskę o to podzielała z Ludwikiem matka, Elżbieta, pozostawiona przezeń jako rządczyni Polski w Krakowie.

Rola królowej Elżbiety w Polsce była nieskończenie świetniejszą, niż obecna jój pamięć. Po rozstąpieniu okolicznościowych uprzedzeń, poznajemy w babce Jadwigi a siostrze Kazimierza Wielkiego znamienitą niewiastę. Pobożna przedewszystkiem, fundatorka mnogich przybytków franciszkańskich w Aradzie, Szatmar-Nemethi, Szaz-Varoz i innych miejscach; posiadała ona w Węgrzech odrazu tak stanowcze uczestnictwo w rządach syna Ludwika, że podziśdzień pozostały jój tam urzędowy tytuł i godność współrządczyni, „korrejentki“ królestwa. Żadne prawie z rozporządzeń „Wielkiego“ jak on u Węgrów słynie króla Ludwika, nie obeszło się bez wyraźnej wzmianki o przyzwoleniu „naszój najukochańszój matki królowej Elżbiety“. Ilekroć jakie trudniejsze dzieło umiejętnego rozwikłania węzła żądało, zawsze tam rękę Elżbiety w ruchu widzimy. A miała tylko jedną: gdyż drugą rękę odrąbał jój przed laty trzydziestu kilku rozjuszony wróg ojca Ludwikowego, stary Felicyan Żach, napadłszy z dobytem mieczem na siedzące przy obiedzie królestwo. Nieodgadnionej dotąd przyczyny tego szalonego, a niebawem na całej rodzinie Felicyanowej okropnie pomszczonego zamachu, nie kładziono nigdy w Węgrzech na karb cnotliwej, czczonej powszechnie królowej.

(1) Naruszewicz. Hist. wyd. 1803 r. Tom VII, 45, 210 poprawia niesłusznie Długoszwą nazwę: Wilhelm, na Herman II. Główne źródła: Chron. d. gr. v. Cilli u Hahna II, 678. Katona Hist. crit. XI, 501 zgadzają się z Długoszem. Toż samo Necrologium krakow. ks. Gładyszewicza. Rękp. p. 73. nazywa drugą małżonkę Jagiellową Annę, córkę naszój Kazimierzówny Anny, splotzoną „ex Wilhelmo comite de Czilo“.

Owoż taką trudną do rozwikłania sprawę znalazł Ludwik u samego wstępu panowania, w utwierdzeniu swego młodszego, nieukoronowanego jeszcze brata Andrzeja, na tronie neapolitańskim, zaprzeczanym mu przez własną żonę, młodą Joannę. Zaraz tedy pospiesza matka Elżbieta osobiście do Włoch. Dla okazania w obliczu Europy świetności korony węgierskiej, towarzyszy tej podróży bajeczny prawdziwie przepych. Nie było liczby dworskiemu orszakowi niewiast, pańien, urzędników, rycerstwa. Kilka okrętów weneckich przewoziło podróżny dwór królowej przez Adryatyk. Oprócz bitej monety do codziennego użytku, znajdowało się w skarbcu wędrownym najczystsze złota i srebra, w sztabach i bryłach przeszło ośm milionów złotych węgierskich. Wkrótce też po przybyciu królowej do Neapolu, wypogodziło się niebo nad młodzieńczym królewiczem Andrzejem. Równie młodzieńcza, bo dopiero czternastoletnia Joanna, zdawała mu się przychylną. Wyprawione do Awinionu węgiersko-neapolitańskie poselstwo, wróżyło rychłe ze strony papieża Klemensa przyzwolenie na koronację Andrzeja. Tymczasem pobożna siostra Kazimierza Wielkiego postanowiła zwiedzić pobliskie progi apostolskie, stolicę św. Piotra, tak niegdyś przyjazną jej ojcu, Łokietkowi. Podjętą z całym dworem pielgrzymkę, malują spółczesne kroniki jako ciągły pochód tryumfalny. „A słysząc ludzie“ opowiada kanclerz jej syna Ludwika, „że królowa Elżbieta przystojnością obyczajów i niezwyčajną pobożnością jak światła zorza jaśnieje, i że dwór jej skromnie a spokojnie podróż odbywa, wybiegali wszędy na gościńce i ulice, aby się jej przypatrzeć. A napoiwszy się jej widokiem, chwalili wszyscy Boga, iż tak zocna pani i pobożna królowa, opuściwszy dom i królestwo, przybyła z kończyn świata, jako druga królowa Saba, błagać o łaskę Zbawiciela. Owoż gdy po kilku dniach drogi zbliżano się do Rzymu, poruszyła się cała okolica. Wyszli naprzeciw królowej po jednej stronie Tybery, Kolumnowie, po drugiej Ursyni, i powitali królowę z czią niezmierną; a pospólstwo i reszta Rzymian, wielcy i mali, niewiasty i dzieweczki, cisnęli się kędy tylko przejeżdżała królowa, wołając w głos: „Niech żyje pani węgierska!“ I trzęsa się ziemia od tych okrzyków. A u bramy kościoła świętego Piotra przyjęło królowę całe kollegium rzymskie z processyą i wielką solennością i czią. Ofiarowała zaś królowa oltarzowi świętego Piotra bogate upo-

minki w kielichach i ornatach i brzęczącej monecie, według wielmożności królewskiej. Potem zwiedziła mnogie klasztory, kościoły i przybytki świętych, które podobnież bojnymi udarowała ofiary. Pozwolono jęj także przypatrzeć się zblizka wizerunkowi twarzy Chrystusa Pana, czyli Weronice, którą dwa razy, po stopniach wlażąc w wielkiej skrusze i pokorze adorowała. Co wszystko sprawiwszy wróciła w oktawę świętego Franciszka z radością i tryumfem do Neapolu“.

Pamięć odwiedzin Polki Elżbiety, została na długie lata drogą Rzymianom. W oznakę wdzięczności za jęj kosztowne dary, pomiędzy któremi osobliwie duży srebrny obraz z rzeźbą św. Piotra celował, ustanowili kardynałowie na cześć tęg królewskiej pielgrzymki coroczne święto pod nazwą „anniwersarz królowęg“. Wróciwszy do Neapolu, zabawila Elżbieta jeszcze pół roku na dworze swojej synowęg. W tym przeciągu dojrzały negocyacye awiniońskie, po przebyciu różnych trudności, do pożądanego nareszcie skutku. Dnia 2 lutego 1344 roku podpisał Klemens VIty bullę koronacyjną. Zadowolona królowa mogła pełna otuchy pożegnać królewicza. Przy ostatniem jednak rozstaniu się matki z synem, ustąpiła odwaga królowęg. lękliwemu przeczuciu serca macierzyńskiego, światło rozumu, zabobnowi miłości. Wisząc na szyi dziecięcia, wsunęła mu na palec pierścien cudowny, zapewne jakieś świętości zawierający, nieomylny amulet, zabezpieczający od zabójczości żelaza i trucizny.

Nie śmiąc się targnąć nań sztyletem ani trucizną, *udusili* go Włosi. Po tym okropnym wypadku, dopiero w rok po odjeździe Elżbiety dokonany, poświęciła ona całą pieczołowitość synowi i państwu węgierskiemu. O ważności spółrządztwa Elżbiety w Węgrzech świadczy rozciągłość jęj stosunków dyplomatycznych: obejmowały one sprawy pierwszego rzędu, sięgały najodleglejszych dworów. Sławny angielski król Edward IIIci pociesza ją po śmierci syna Andrzeja listem przyjaznym. Każdy z następujących po sobie papieżów przesyła jęj wyrazy czci, dziękczynień i prośb. Jan XXII wychwala ją jako „córę błogosławienstwa i łaski“, za dzieła pobożności, jak naprzykład wspomniane powyżej fundowanie przybytków franciszkańskich. Klemens VI przyrzeka załatwić sprawę neapolitańską „według rad jęj roztropności.“ Grzegórz XI poleca zagrożone duchowienstwo węgierskie potężnej opiece królowęg. Była tedy

Elżbieta skończoną już mistrzynią ówczesnej polityki, była głośną u wszystkich dworów zagranicznych, gdy Ludwik Polskę objął. Aby to nowe królestwo pomimo niewielkiej dlań gorliwości Ludwika, niezachwianie berłu węgierskiemu utrzymać; aby co więcej zniewolić Polaków nieznacznie do uznania następstwa płci żeńskiej: potrzeba było równej jak w Neapolu staranności. Przeto jak niegdyś za morze Adryatyckie, tak teraz po śmierci brata, Kazimierza Wielkiego, pospiesza Elżbieta do Krakowa. Osiadła ona tam nietylko jako namiestniczka syna Ludwika, lecz owszem, jako „królowa polska“. Lubo nieukoronowanej w Polsce, ani małżonce króla polskiego, dawano jej ten tytuł w aktach publicznych; miał on według życzenia króla Ludwika uświęcić publicznie jej wpływ na rządy w Polsce. Co tém łatwiej pojąć da się, ile że w nieoswojonym z królewską władzą niewiast narodzie, panowanie matki królewskiej miało widocznie przysposobić umysły do powolności względem przyszłych rządów jednej z córek królewskich.

Uprzedzenia miejscowe rzuciły niezasłużony cień na czynności Elżbiety w Polsce; przecież żadnej z nich nie można odmówić rozsądnego zamiaru. Naprzód dla złagodzenia sprzeczności między Wielką a Małopolską, doradziła królowa Ludwikowi pokusić się o poruczenie wielkorządztwa w pierwszój, Małopolaninowi Ottonowi z Pilicy, herbu Topór. Niepomyślny skutek tego kroku, uporczywe przez Wielkopolan zmuszenie Ottona, jako nieziemianina, do ustąpienia Wielkopolaninowi Sędziwojowi z Szubina, dowodzi tylko tém naglejszój potrzeby podobnych środków pośredniczenia obydwóch spornych prowincyj. Również trudno mieć za złe, że Elżbieta następnie usunęła ze starostwa kujawskiego dwóch bratanków, Bartosza z Sokołowa i zacnego zresztą Bartosza z Wissemburga, którzy za dzierżawę dochodów ziem kujawskich, rocznie tylko 800 grzywien płacili; a wypuściła też dzierżawę Pietraszowi Małosze z Małochowa, który za nią z mniejszą dla siebie, z większą jednak dla skarbu publicznego korzyścią, 2,000 grzywien co roku ofiarował (1). Dalszą względem podniesienia skarbowych i krajowych bogactw ustawą, wyświadczyła Elżbieta zaamiętę ojczyźnie swój dobrodziejstwo. Jest niém

(1) Archid. gnieź. 118. Liczba 80 u Naruszewicza wydan. Mostowsk. VII 93 jest pomyłką, zamiast „octingentas“.

pierwszy statut dla żup kruszcowych, w szczególności dla żup olkuskich. Zapewnia on Elżbiecie czestne miejsce obok brata, Kazimierza Wielkiego, urządziela żup solnych. Głównem wszakże jój zadaniem było przeprowadzenie sukcesyi żeńskiej. Pomyślnemu rozwiązaniu onego, zawdzięcza Polska swoje późniejszą wielkość. Zważając zaś wszelkie okoliczności, musimy niemałą część tój zasługi przypisać matce Elżbiecie, przybyłej do Polski głównie w zamiarze poparcia sprawy królewien, odjeżdżającej z Polski skoro ta sprawa do skutku przyszła, znoszącej dla niej obecność osób, ku którym zresztą wstępczula; spotwarzonej wreszcie na wieki dla tój sprawy od przeciwników następstwa żeńskiego (1).

Stał córkom Ludwikowym, jak już wiemy, najbardziej ów niewczesny dokument z roku 1355 w drodze. Wypadalo jakimkolwiek sposobem wydobyć go z rąk narodu. Ale wydrzcć komu przywilej, było wówczas niepodobienstwem. Przywilej, to najkosztowniejszy skarb onych wieków. Po relikwii, uderzał pierwszy poklon—pargaminowi. Nierozmnożony licznemi, jak dziś rozlicznych kancelaryj, odpisami, nierozsiany po świecie drogą urzędowego dziennikarstwa, częstokroć w jedynym istniejący exemplarzu, stanowił ówczesny dokument nierzadko jedyny tytuł jakiegokolwiek własności. Udzielenie komuś przywilejowego pisemnego poświadczenia tój lub owój użyczonej mu łaski, poczytywało się za dobrodziejstwo, równające się podwojeniu tój samej łaski. Toż nadzwyczajnie drogo, niekiedy dziesięciną odniesionój przywilejem korzyści, opłacano to cenne dobrodziejstwo. Uzyskany dokument spoczywał pod obroną grubych murów, straży, zamków, w najskrytszym schowku, w skarbcu, czyli jak wtedy mówiono „w komorze.” Kilku właścicielom wspólny, kilka osób wzajemnie obowiązujący dokument, szedł, w kilkoro rozkrojony, w podział pomiędzy strony. Jeśli właściciel podróż daleką podejmował, pargaminowy skarb nikomu niepowierzony, misternie w suknię zaszyty, towarzyszył mu nieodstępnie na pierśsiach, podczas gdy w domu tylko uroczyste, w obecności arcybiskupa sporządzony odpis zostawał. Umierający przykazywali na łożu śmiertelném, aby ich umiłowane w życiu, wygasające z nimi pargaminy, kładziono im do grobu w ręce skostniałe. Falszerze dokumentów równali się, według słów bulli papieża

(1) Obacz Dopisek na końcu.

Marcina V, „poganom, kacerzom, żydom i antipapieżowi Benedyktowi XIII”. Czekał ich stos nieochybny, „pamięć przeklęta”. Nielatwo tedy było targnąć się na przywilej prawdziwy; nielatwo było królowi i królowej zniweczyć pargaminową świętość narodu, spoczywającą od lat blisko dwudziestu w skarbcu krakowskim. Podjął się tego młody archidyakon i kanclerz krakowski Zawisza, syn wojewody krakowskiego Dobiesława.

Mając o przeistaczaniu losów całego narodu mówić, niewola nam mówić zaraz po królu i królowej o księdzu; bo tłem całego obrazu społeczności ówczesnej była księzowska sutanna. Wszystko co się działo, działo się przez księży, zwykle dla księży. Rzecz to wiadoma; lecz wiadomaż i cała rozciągłość téj rzeczy? Umiemyż wyobrazić sobie, jak dulece całe życie ówczesne z swoim strojem, językiem, obyczajem, stanem każdym, każdą chwilą istnienia, duchowną miało barwę? Cóż za różnica między skromnym widokiem dzisiejszego, tak nielicznego, cichego, w powszechności przykładowego duchowieństwa; a widokiem jakiby nas zadziwił, gdybyśmy się naraz śród duchownego świata średnich wieków znaleźli!...

Cała ówczesna ludzkość dzieli się statecznie tylko na duchownych i nieduchownych, kleryków i laików; inaczej: na oświeconych i nieoświeconych, gdyż wyraz „kleryk” obejmuje zarazem wszelką uczoneść wieku. Przy takim podziale rodu ludzkiego, o ileż duchowna jego połowa była wówczas nieobliczenie większą od dzisiejszej liczby kapłaństwa! W jednym mieście, jedyniej cudzoziemczej osadce ludności tegoż miasta, parochowało po trzydziestu proboszczów z przełożonym. Oprócz urzędujących sług kościoła, snuły się wszędzie chmary kleryków bez obowiązku, tak zwanych „wagabundów”. Gdy papież Klemens VI przy wstąpieniu na tron papieżki, powszechną jałmużnę ubogiemu duchowieństwu ze skarbów papieżkich przyrzekł; zleciało się sto tysięcy takich duchownych wędrowców do Awinionu. A cóż za tłumy mnichów w każdym klasztorze! Co za mnogość klasztorów w każdym kraju! Co za namietność zakładania coraz nowych zakonów! Któż, obeznany z nazwami głównych zakonów, zna dziś ówczesnych braci świętego Antoniego, braci z Fonteoraud, braci Męki Pańskiej czyli Pozdrowienia Anielskiego, Jezuatów, różnorakich eremitów świętego Hieronima, Celestynów, Oliwetanów, Lollhardów, Beghardów i bez miar innych męzkich i żeńskich zakonników!

Samí zakonnicy bronili się od nattoku przybyszów ustanawianiem pieniężnego okupu za przyjęcie do klasztoru. Papieże zakazywali wymyślać nowe zakony, „aby przez zbytnią onych rozmaitość, nie stało się zamieszanie w kościele Bożym”. Wszystko napróżno! Każdy żonaty czy nieżonaty, świeckiem żyjący życiom pragnął bogdaj poza klasztornym, wolno po świecie zatrudnionym tercyarem jakiego zakonu zostać. Owe roje wędrownych w trzynastym i czternastym wieku „Braciszków” (fratricelli), pastuszków (Pastorelli) i biczowników, jakieś własne uliczne praktykujących nabożeństwo, były w znacznej części potępionemi przez papieżów odroślami zakonów żebrzących, wybujałością powszechną namiętności duchownej. A nawet nieczujący jej wcale, obojętni dla swojego zbawienia ludzie, z niemłą korzyścią udawali że są księżmi. Lecz takie samozwaństwo groziło smutnemi następstwami; niemieckiego Begharda, za twierdzenie: iż człowiek świecki może rozumieć prawdy wiary tak dobrze, jak kleryk, spalono żywcem. Świeckim, którzy święcenia przyjąć nie chcieli, niewolno było pobierać nauk wraz z klerykami. Duchowieństwo strzegło zazdrośnie wyłączności swojego wykształcenia, lubo samo mieszało się we wszystkie sprawy świeckie. Wsiąknąwszy w siebie wszelkie żywsze umysły wieku, ludzkości, zalewał stan duchowny wzajemnym odplywem każdą czynności ludzkiej gałąź. Sama burzliwość czasu zamieniała biskupów w wojowników, często w wodzów wyprawy. Nie naliczyć przykładów księży rycerskich. Księża pełniący urząd ambassadorski, stanowili prawie jedyny rodzaj ambassadorów. Czyto idzie o rokoszowe sprowadzenie Karola z Neapolu przeciw matce naszej Jadwigi do Węgier, czy w kilkanaście lat później Henryka IV przeciw Ryszardowi II z Francji do Anglii; w każdym razie biskup głównym posłem i sprawcą. Księża gospodarze, byli najlepszemi gospodarzami. Sam Kazimierz Wielki nie mógł dla dóbr królewskich w ziemi krakowskiej znaleźć lepszego zarządcy, jak późniejszego biskupa Bodzantę. A gdzieś handlownik nad arcybiskupa Mikołaja, który własnemi okrętami prowadził nadzwyczajnie korzystny handel mąką i słoniną, aż do wybrzeży flandryjskich. W ogólności wszelki handel wzrósł na rękę kościoła. Uroczystości kościelne ze swoim napływem pobożnych zewsząd gości; bywały „zwyczajnie” zarazem jarmarkami. Klasztory trudniły

się wyrobem sukien. Mnich według powszechnego podania wynalazł proch; długo też po większej części mnisi go przyrządzali. Pożarem z celi alchemicznój w klasztorze św. Trójcy, gorzał raz Kraków. Księża znajdujem budowniczym zamku włodzimirskiego; ksiądz dzierżawi żupy wielickie. Pralaci, biskupowie, dążyli później do osiągnięcia dostojęstwa udzielnych ksiąząt świeckich. Niedosć że biskup wrocławski kupnem ziemi grotkowskiój, a biskup krakowski uksiążcił się kupnem siewierskiój, ależ nawet proboszcz z Sielunia urosił sobie prawo do mitry świeckiój i do poźna jako ksiązę sielunski *directum dominium*, nad okoliczną szlachtą wywierał. Osobliwie w tę wyższą szlachecką świeckiego społeczeństwa sferę, cisnął się wpływ duchowieństwa. Najpoważniejsze głosy owego czasu wmawiały w szlachtę „że jak w jajku żółtko nie może istnieć bez białka, ani też białko bez żółtka, tak nie mogą istnieć księża i panowie bez siebie.“ Ztąd każdego pana otaczała ćma księży, kapelanów, kleryków: onito z nim się modlili, oni mu listy pisali, oni go śpiewaniem przeróżnych piosnek świeckich, czytaniem starych romansów, opowiadaniem przygód, rozweselali. W każdój chwili, w każdym miejscu natrącał ci się ksiądz, zawadzał ksiądz. Czuli to ciężko społecśni. Konstancyeński przeciwnik Hussa, sławny kanclerz Akademii paryzkiój Gerson, uskarża się gorzko na mnogość i rozmaitość zakonów, „które całemu społeczeństwu nieznośnym są ciężarem“. A sam Huss sarka: „Patrzcie! burgrabią — ksiądz; przełożonym tabuli krajowej — ksiądz; najwyższym sędzią — ksiądz; podkomorzym — ksiądz; królewskim kuchmistrem — ksiądz; pisarzem ziemskim — ksiądz“. A dzisiejszy dziejopis owych czasów, wtoruje: „mógł jeszcze dodać: wodzem naczelnym — ksiądz; najwyższym kanclerzem — ksiądz“. Było to w jedynym kraju, w jedynój Pradze, pod królem nieprzychylnym duchowieństwu. A jak Czechy, tak też cała ludzkość świecka, jak sekretarz Jagiellowego szwagra, cesarza Zygmunta prawi: „była przydużona od duchowieństwa“. W takim stanie wszelka krew życia biła nienaturalnie w duchowną część ciała narodowego. Onato wniosła ofiarami pobożnemi trzecią część Węgier w posiadanie duchowieństwa. Królowie czescy musieli wzbraniać dalszych zapisów dóbr kościołowi. Nawet w Polsce ucickał się obyczaj ziemski do podobnego środka. Mimo to, płynęły ziemie i złoto niepohamowanym prądem w morze du-

chowne. Nikt nie wychodził z kościoła, nie zostawiwszy brzęczącej ofiary na ołtarzu. Takie jałmużny stanowiły znaczną część dochodów parafialnych. Plebanowie ustronnych kościołków znachodzili u stopni sielskich ołtarzy znaczne majątki, pozwalające im opuścić swoją zaciszę domową, udać się na wieloletnią naukę za granicę, wyjść na biskupów, na panów. Nuż złote góry rosnące z jałmużn odpustowych, z ofiar miłościwego lata! Bez względu na straszną dżumę, która po świecie grasowała, bez względu na trudność podróŜowania, wysłała nieludna podówczas Europa w jednym roku (1350) wraz z naszym Ludwikiem, w zimie jeden milion i 120,000, na wiosnę dalszych 800,000, z końcem lata jeszcze 200,000 pielgrzymów do stolicy św. Piotra. A każdy przynosił datkę ofiarną, który w ksiąŜących, królewskich ręku ważył tyśiące. ToŜ, gdy nieco później najwyższy poborca summ odpustowych, komornikowi papieża Bonifacego IXgo z uzbieranych pieniędzy odpustowych liczbę, w domu bolońskiego bankiera składał, trwały rachunki przez dni 16. Było więc z czego zostawić przy śmierci, jak papież Jan XXII, jeśli rozrzutność nie strwoŋiła, po 28,000,000 gotowizną i kosztownościami w komorze apostolskiej. Ale i podrzędne stolice duchowne nie biędowały. Biskup wrocłowski zwał się powszechnie „złotym biskupem“. W spisie skarbów i kosztowności jedyne go kościoła gnieźnińskiego, chowanych czasu wojny w twierdzy checińskiej, pomiędzy mnogością innych naczyń, krzyŜów, obrazów kruszcowych, liczono samych kielichów złotych 400.

JakoŜ potrzeba było w istocie tak licznych skarbów, tak zapaśnej zbrojowni kościelnej. Nadmiarowi bowiem ofiarniczój, jałmuŜniczającój naboŜności ludzkiej, odpowiadał nadmiar najrozmaitszego naboŜeństwa kościelnego. Gdy cała ludzkość w pieluchach kościelnych spoczywała, całe tóz życie było nieustającą uroczystością niedzielną. HeŜto coraz nowych, coraz okazalszych ůwiąt i obrzędów! W przeciagu lat dwudziestu weszły w powszechniejszy zwyczaj trzy nowe uroczystości, jakoto: ůw. Trójcy, włóczni i gwoździ krzyŜowych, i najsoleńniejsza ze wszystkich, BoŜego Ciata. Dla uzupełnienia siedmiu ůwiąt Matki Boskiej, dodano w tych czasach do dawnych pięciu dwa nowe, tojest: upowszechnione przez papieża Urbana VI ůwięto Nawiedzenia, a przez Grzegorza XI, ůwięto Matki Boskiej Gromnicznój. Dawne i nowe uroczystości tworzyły ra-

zem nieprzerwany prawie łańcuch świąteczny. Wszystkie pomniejsze święta Chrystusa Pana, jakoto: święto Obrzezania, Trzech Króli, Wniebowstąpienia, Bożego Ciała i Zmartwychwstania, obchodziły się z równą jak dzisiejsze święta Bożego Narodzenia, Wielkiej-Nocy i Zielonych-Świątek solennością; to jest kościół przypisywał im trzydniowy przeciąg, a pobożność chrześcijańska czciła niektóre po cztery, po ośm dni. Prócz tych, zalecały statuta kościelne aż nazbyt skorzej ochocie ludzkiej 37 świąt powszechnych, tudzież kilka miejscowych, jakoto: święto patrona dyecezyi, patrona każdej parafii i t. d. Dodajmyż do tego uroczystości patronów różnych klas społeczeństwa. Miał go stan każdy: rycerze, św. Jerzego; teologowie, śśw.: Jana, Tomasza i Augustyna; prawnicy, św. Iwona; lekarze i aptekarze, św. Kosmę i Damiana; filozofowie, mówcy, poeci, św. Katarzynę; malarze, św. Łukasza; muzycy, św. Cecylią; kupcy, św. Frumencyusza i Guidona; studenci, św. Grzegorza. Od powietrza chronili śśw.: Antoni, Roch, Sebastyan, Adryan i Kryzstofor; od epilepsyi św. Walenty; od febry św. Petronella; od bólu zębów św. Apolonia; od kamienia św. Liboryusz; i t. d. Każdy człowiek miał jakiegoś szczególnie wielbionego orędownika w niebiesiech, a każdego patrona święto doznawało ze strony zwolenników, nie cichiej jak dziś, lecz głośniejszej obrzędowej, processjonalnej czci. Wszystkie zaś święta urzędowe w liczbie sześćdziesiąt, wszystkie niedziele, wszystkie święta patronów, wszystkie nadto wigilie i oktawy zliczywszy i liczbę onych z liczbą dni w roku porównawszy, znajdziemy w istocie każdy dzień świętem, całe życie ówczesne nieustającym obrzędem religijnym. Wreszcie nawet *anti-religijne* uniesienia, wybuchy gniewu, wychodziły w duchownej sukience na świat. „Na pięć ran boskich!"; „na krew Pańską!"; „na mykę świętego Antoniego!"; brzmiały zwyczajne przekleństwa. „W Imię Boże!" bywało co trzeci wyraz powtarzanem przysłowiem. Niektóre wyrazy dzisiejsze, mogą tylko wyjaśnieniem swego duchownego pochodzenia zrozumiałości nabyć. „Sine cura" naprzykład, była niegdyś wyłączną duchowieństwa przyjemnością, oznaczając prebendę „bez obowiązku", w sprzeczności z prebendą „cum cura" z obowiązkiem. Gdyż jak wiadomo, pożywano bardzo wiele duchownego chleba, nieobciążonego żadną wzajem wysługą. Możliwość korzystania zeń nie wymagała koniecznie wyższych święceń kapłań-

skich; owszem niezmiernie rozprzestrzenienie się wielostopniowego stanu duchownego dopuszczano, iż nawet wyższe dostojęstwa kościelne stały otworem niewyświęconym, niekiedy świeckim wcale osobom. Opat niebędący wcale kapłanem, jest pospolitym owego wieku charakterem. Nawzajem kapłani żyjący z synekury, zajmowali się sprawami świeckimi, *polityką*. I takiego głównie interesem rządowym oddanego męża stanu, mamy w młodym księdzu Zawiszy, ambitnym kanclerzu krakowskim, którego królowa Elżbieta do unieważnienia dokumentu królewskiego z roku 1355 użyła.

Należał on do jednej z możnych rodzin, jakie w Małopolsce rej wiodły. Gniazdem jej było miasteczko Kurozwęki w województwie sandomierskiem po lewym brzegu Wisły, w bliżkiem sąsiedztwie Oleśnicy, gniazda Oleśnickich herbu Dębno. Kurozwęccy mieli w herbie Różę, a zwoływali się pod chorągiew hasłem Poraj, brzmiałem także wtedy w ich wsiach rodzinnych, gdy czasu gwałtów kmieci zgromadzić chciano. Ojciec Dobiesław, siedział od lat kilku na województwie krakowskiem. Jeden z synów Krzesław, kasztelan w grodzie sandomierskim, drugi nasz Zawisza, bystrego umysłu, ambitny młodzian, obrał zawód naukowy. Synom rodzin możnowładnych, poczytywano to czasem za złe. W uczoneści dzieci królewskich i własnych synów, upatrywała rubaszna wielmożność szlachecka zagrożenie obyczajów starodawnych, skazę równości w narodzie. Gdy młody Zawisza pracy umysłowej się oddał, chodziło już tylko o to, aby mu potęgą rodu jak najprędzej do zaszczytów dopomódz. Potęgę familijną składali wówczas nietylko bliżsi krewni; cała rzesza najodleglejszych bratanków, cały orszak ich „chlebojedzców“ i popleczników, cała społeczność jedno-herbowa, stały jako tak zwani „przyjaciele“, za popieranym przez siebie „bratem i klejnotnikiem“. Poparcie Zawiszy wróżyło tém pomysłniejszy skutek, iż ówczesny biskup krakowski Bodzanta był spółnego z nim „szczytu“ czyli tarczy herbowej, Różycem. Innego możnego „przyjaciela“, acz nie spółklejnotnika, miał wojewodzie krakowski przez całe życie w późniejszym biskupie poznańskim, Mikołaju z Kurnika, „cechu“ Łódzia (1). Nadzwyczajny rozum,

(1) Dzisiejszy steryotypowy „herb“ zwano dawniej „erbem“ „piątnem“ „cechem“ (Paprocki Herb. 6, 7, 8) „szczytem“, „znakiem“.

jaki najzjadlejsi przeciwnicy Mikołajowi przyznają, każe nam w jego druhu, Zawiszy, godny przyjaciela, pobratni wnioskować umysł. Sam Mikołaj chwalił się, iż Zawisza wszystko czego później dostąpił, jemu zawdzięcza. W takim więc stanie rzeczy opróżnił się archidyakoniat krakowski. Byłto znakomity w hierarchii kościelnej urząd sędziego duchownego i wizytatora dyecezyi, wglądającego w uzdolnienie naukowe i obyczaje plebanów. Posiadł go już był ksiądz Jan z Buska, gdy wtém wojewoda Dobieśław, biskup Bodzanta, całe stronnictwo Zawiszowe, gwałtownie nań natarli, aby go ustąpił Zawiszy. Uczynił co musiał: Zawisza został archidykonem. Odtąd widzimy go wraz z przyjacielem Mikołajem, obecnie proboszczem przy kościele Panny Maryi i kanclerzem wielkopolskim, u dworu Kazimierza Wielkiego. Lubo stary Kazimiérz, młodego, nieco lekkomyślnego archidykona, jak łatwo pojąć, niezbyt szanował; bywał on przecież do poważnych prac używanym. Kazimierzowski statut żupniczy wymienia Zawiszę pomiędzy swemi najpiérwszemi „kompilatorami“. Jakoż wszystkie jego późniejsze czynności polityczne przypominają szkołę Kazimierzowską, szkołę młodszego pokolenia. Panujący tam duch gorszył starą szlachtę i duchowieństwo. Przyczepione przez panów Kazimierzowi imionisko „król kmieci“, płynęło goryczą żółci. Wspomnienie Kazimierzowskiej rady *krzesiwa* i *hubki*, dane kmieciom przeciwko dziedzicom, słusznie bolało. Książę przypominali sobie z oburzeniem zabójstwo Baryczki i zmuszenie poddanych biskupich we wsiach sędomierskich z rozkazu królewskiego do danin i robocizny.

Ztémwszystkiém, tak opieka nad ludem, jak chęć pociągnięcia uprzywilejowanych dóbr kościelnych do porównego udziału w ciężarach publicznych miały sprawiedliwość, miały spółzucie całego nowszego pokolenia za sobą. Hołdował im Kazimiérz, hołdowały im wszystkie jaśniejsze umysły wieku, a między temiz i nasi dwaj przyjaciele. Osiągnąwszy później stolice biskupie, Mikołaj poznańską, Zawisza krakowską, okazali się obaj nieprzyjaciółmi przywilejów kościelnych; obaj piérwsi ze wszystkich biskupów polskich, kościelne dobra swych dyecezyj „pod jarzmo corocznych dania wtłoczyli“. Mikołaj „rozniecał nadto nieskończone między szlachtą wielkopolską a wiejskim gminem, waśnie“, przywodzące w pamięć ową radę Kazimierzowską, ile że „geste pożary“ z nich wyniknęły. Atoli

takie postępy, takie nowoczesne sympaty, stawily archidyakona i proboszcza Panny Maryi, jako księży, w sprzeczności z własnym stanem; jako szlachtę, w sprzeczności z surową dla kmieci wielkopolszczyzną starodawną. Zład u fanatycznych księży, u żarliwych Wielkopolan, biada pamięci obudwóch. Zwłaszcza gdy nad sprawę duchownych i szlacheckich poddanych, wyższa wytoczyła się sprawa, sprawa żeńskiej successyi tronu. Dla jej uistoczenia należało dworowi przynajmniej głównych urzędników koronnych przychylnosc zjednać; tymczasem podkanclerstwo krakowskie spoczywało w ręku namiętnego Wielkopolanina archidyakona gnieźnieńskiego, kronikarza, Janka z Czarnkowa. Po długich więc zatargach, w których królowa Elżbieta bannicyą na Janka rzucić musiała, a on, wbrew bannicyi do Wielkopolski wróciwszy, nawzajem wykłął królową; wydarto wspólnemi całej rzeszy Rożyców usiłowaniami podkanclerstwo Jankowi, a poruczono Zawiszy. Wreszcie postąpienie przyjaznego dworowi kanclerza Janusza na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, posunęło Zawiszę na kanclerstwo. Podkanclerstwem zaś chciała królowa, jak się zdaje, ułagodzić rodzinę niespokojnego Janka, powierzając je ponoś jego bratu Szymkowi.

Ambitny Zawisza stanął wpół drogi życzeń. Kanclerstwo ceniono oddawna jako jedno z najzaszczytniejszych dostojństw. Pieczęć kanclerska, w ogólnosci wszelka pieczęć, była przedmiotem czci bałwochwalczej. Mówiliśmy już o ówczesnej świętosci dokumentów; owoż główną rzeczą, sercem dokumentu, to jego pieczęć. Większa część ówczesnego niepismiennego świata, umiała z całego dokumentu tylko jego pieczęć przeczytać, poznać. Do podwładnego „groddzierzcy” przynosi oszust pierwszą lepszą kartę pergaminową, mieniąc ją listem od pana. W tym liście ma być rozkaz poddania zamku dowództwu i orszakowi nieznajomego. Rycerski groddzierzca „nie umiał wprawdzie czytać”, opowiada kronikarz, „lecz znał się doskonale na pieczęciach”, a u fałszywego szpargału, będącego w ręku oszusta, wisiała w istocie pieczęć pańska. Przypatruje się tedy ze znanstwem woskowemu gołdu i każe sobie odczytać słowa rozkazu. Oszust wygłasza napozór z pergaminu, w rzeczy z pamięci, najdobitniejsze zlecenie otworzenia bram zamku; poczem rycerz zaspokojony pieczęcią, poddaje zamek. A zaspokajając nieumiejętnosc czytania, służyły pieczęcie nieumiejącemu pisać za jedyny surogat

pisma. „Ktoby podpisać nie umiał, pieczęć przyłoży”, stanowi prawodawca. Przypuszczano wtedy, że każdy może mieć swój znak pieczęciowy, swoje „piętno”, to jest swój herb. Nawet wyswieciana z miasta czarownica niemiecka, przyrzekając na piśmie nigdy więcej w okolicy nie pojawić się, przeprasza, iż w przypadkowym braku własnej pieczęci, pozwala dwom szanownym mieszczanom przyłożyć swoje za nią. Mieszczanom pieczęci odmawiać nikt nie pomyślał.

Jak powszechna była nieumiejętność pisania i czytania, jednym słowem ciemnota, główne źródło tych znaków pieczęciowych, piąt, herbów; tak powszechne było ich używanie, tylko jeszcze niustalone. I tak na przykład: przed śmiercią ojca wzbraniało prawo synom używać innej niżli ojciec pieczęci; po śmierci ojca, mogli to czynić. Powszechna też panowała niejednostajność, niepewność herbów, nawet krajowych. Jeszcze niebardzo dawnymi czasy Władysław Plwacz używał orła, Przemysław trzech lilij, jego brat Bolesław smoka pod stopami rycerza; zapewne świętego Jerzego. Przemysław Iszy czy Hgi naprzód lwa, potem na tarczy orła, na proporcu zaś lwa i lilii. Podniesionego przez króla Przemysława dla całej Polski orła, dopiero Łokietek ustalił. Wszelako, jakkolwiek niestałe i zmienne, uderzały przecież te znaki świeższą wówczas fantazją ludzką, tajemniczym urokiem. Brała ona chętnie znak za rzecz, pieczęć za samą osobę; ztąd też sama cześć dla pieczęci co i dla osoby. Rzucenie jej o ziemię, łącząc właściciela, podlegało surowej karze. „Hańbicie uczciwą pieczęć miejską” pisze do rajców stolpeńskich znany światu lichwiarz, zakon krzyżacki, oburzony nieoddaniem w terminie zaciągniętego przez miasto długu. I też sama troskliwość o bezpieczeństwo pieczęci, jak o bezpieczeństwo osoby. Miano ją zawsze przed oczyma, na palcu. Pierścieniowy kształt „sygnetu“, to jest pieczęci, zamierzał ułatwienie trzymania jej ciągle w ręku. „Naszej wielkiej pieczęci”, mówią Krzyżacy w liście „nie powierzamy żadnemu śmiertelnikowi, lecz kryjemy ją w dzień i w noc pod zamkami”. Jakoż samemu sposobowi używania pieczęci, towarzyszyły tysiączne względy i formalności. Zależało wiele na tém, czy pieczęć na zwykłym białym, czy na czerwonym wybito wosku. Pozwolenie miastom wosku czerwonego, oznaczało szczególną łaskę królewską. Bohaterskiemu odzyskaniem utraconej w boju chorągwi, dobiła się téj łaski cała

szlachta sieradzka. Zresztą tylko magnaci i urzędnicy ziemscy śmieli pieczętować się znakiem czerwonym. Owę wielką pieczęć przykładali Krzyżacy tylko u listów do papieża i cesarza. Już od czasów królów Przemysława i Łokietka rozróżniano pieczęcie majestatyczne, wyobrażające całą osobę królewską na tronie z berłem i jabłkiem w ręku, od mniejszych o samym herbie państwa. Wielkie pieczęcie, duże krążki wosku, na jedwabnym sznurze lub pargaminowym rzemyku u dokumentu wiszące, niekiedy w blaszanej puszcze zamknięte, miały z obudwóch stron wyciski, tak zwaną kontrasygillacją. Aby utrudnić fałszerstwo, stwierdzała kancelarya królewska dawne przywileje, drugą i trzecią pieczęcią. W ogólności im więcej pieczęci, tém ważniejszy dokument. Sto dwanaście było niektórym aktom zamało. Soborowi konstancyeńskiemu przesłali hussyccy Czosi okryte pismem „skóry ogromne, obramowane wokoło wieńcem pieczęci zdumiewających swoją mnogością”. Po śmierci każdego króla, kruszono przy pogrzebie gipsowe modele jego pieczęci. Wyrzeczanie nowych powierzano zaufanym osobom, nierzadko biegłym w kwitnącej podówczas sztuce złotniczej dostojnikom, vicekomesom, kasztelanom. Zastuga sporządzenia pieczęci, równająca się w takim razie zachowaniu głównego grodu prowincyi, otrzymywała przynajmniej wieś w nagrodę. A trwało to rzezanie tak długo, iż niekiedy najważniejsze dokumenta zamiast pieczęci, zawierały tylko przyrzeczenie nieochybnego jój przywieszenia, skoro narzędzie sporządzone zostanie. Nowym pieczęciom zapewniano w osobnym dopisku takąż samą moc i powagę, jaką miały stare stracone.

Gdy więc narzędziu, gdy sporządzielowi narzędzia, tak znamienite służyły względy: snadno zrozumieć, jak wysoka była dostojność urzędnika Zawiszy, który władał narzędziem, który, jak się zdarzało, mógł go temu lub owemu dokumentowi odmówić. Wszakże mimo swoją znamienitość, nie zrzekał się nowy kanclerz przywileju swoich lat młodych i czasu w którym żył, to jest: lekkiej, wesołej myśli, żądzy bawienia się. W téj mierze myliłby się każdy, ktoby płochą światowość, nawet rozpustność którejkolwiek z ówczesnych postaci historycznych, kładł jedynie na karb indywidualnego usposobienia. Stosownie do przysłowia o bliżkiem powinowactwie wszelkich ostateczności, były wspomniane przywary przeważną cechą wie-

ku wygórowania duchowieństwa. Owszem, samo duchowieństwo trzymało prym w powszechnej książąt, szlachty, miast, „kleryków i laików“ wesołości. Przyjdzie o nią często jeszcze przemówić. Tu przypomniemy tylko znaną wesołość dworu Elżbiety. Bawiący przy nim Zawisza, nie potrzebował mieć wrodzonej sobie namiętności do wszelkich uciech światowych, aby na imię lekkomyślnika zasłużyć: toć wszyscy jego współcześnicy są zarówno płochemi światowcami, trzpiotami.

Najmilszą z niewinniejszych zabaw polskiego duchowieństwa, polskich owego czasu biskupów, była muzyka, były śpiewki światowe. Jan Łódzia biskup poznański, autor wielu hymnów pobożnych, nie znał chwil szczęśliwszych nad owe „gdy sobie doma gwoli wesołości na cytarze przygrywał“. Arcybiskupa Mikołaja nie zadawałniał jeden instrument muzyczny. Lubiący także cytare, rozkoszował przeciw najchętniej w gwarnym „luteń, trąb, piszczałek i reszty gędziobnych narzędzi chórze“. Nawet godnością opata udostojniony, kantor klasztoru żegańskiego „wracał rad do pulpitu na chórze i na organach sobie przygrywając, wesołe często piosnki w kole zebranych mnichów śpiewał. Jak ów biskup Jan Łódzia, składało wielu biskupów, acz zresztą nieuczonych, lacińskie do śpiewu rymy. Celował w tém osobliwie biskup wrocławski Konrad. Poznański biskup Stanisław Ciołek, niewielkiego rozumu, a żartowniś i krotofilnik, tylko swojej przyrodzonej poetyce podkanclerstwo zawdzięczał. Przerwę między jedną a drugą w biesiadniczym kole brzmiącą nutą wesołą wypełniały znane już pod tą nazwą „facecye i dykteryjki“ wesołych księży. Nie było końca żartom i śmiechom, „gdy pretendent do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, kujawski biskup Kropidło, pełen facecyy i dykteryek, w książęcém gronie, przy uczcie, jął przypowiadać i barszkować. Ani płasów nie wzdrygał się taki młody wesoły biskup.“ Magdeburkiemu biskupowi pozostał od nich przydomek „Skoczek“. Potrzebny do płasów światowy, a zgodnie z ówczesnym smakiem, jaskrawy i różnobarwny strój, nadał znanemu biskupowi warmińskiemu Janowi, przydomek „Pstrokaty“. Za kusym strojem i płasem, szło nieuniknioném następstwem, zalotnictwo.....

Owoż takim strojnym, śmiejącym się, do śpiewki i facecyy, do płasu i zalotów ochoczym, w koniach i dworności rozmiłowanym światowcem, wyobraźmy sobie naszego kanclerza, przy wesołym dworze Elżbiety. Lekkomysłność czasu zrobiła go

chcąc nie chcąc płochym, a przyrodzona krewkość, namiętność, rozplamiała wszelką płochość w rażący zbytek. Strojnistwo posuwało się u niego, jak to później obaczymy, do bajecznego w onych czasach przepychu. Zalotniczość przekraczała granice ostrożnej przyzwoitości; bo tylko tę przesadność i otwartość poczytują mu głównie za winę. Sam jego nieprzyjaciel zarzucił mu nietyle istotę grzechu, ile że „nieostrożnie“ grzeszył. Swoją gorszącą nieprzezornością, swemi zbytkami, naprzykrzył się Zawisza nawet pobłażliwej Elżbiecie. Strofowała go ona nicraz surowo. Pragnęła nawet szczerze pozbyć się jego obecności u dworu. Wszelako powierzony mu urząd kanclerski, potęga domu i przyjaciół, tak potrzebna w przeprowadzeniu zmian politycznych, przedewszystkiém zaś śmiałe, stanowcze przyrzeczenie Zawiszy, iż wymoże u szlachty zwrócenie owego niepomyślnego przywileju z roku 1355, kazały patrzeć przez szpary. Co więcćj, Elżbieta musiała coraz nowemi przywiązywać go sobie laskami.

Jakoż był Zawisza mocen spełnić, co przyrzekał. Najniebezpieczniejszy opór następstwu kobiet stawiała Wielkopolska. Miększa, nowomyślna Małopolska, przychylna wszelkim reformom, już w statucie wiślickim możność dziedziczenia płci żeńskiej w braku męskiej przyznawszy, nie miała do bezwarunkowej opozycji powodu. Wpływ całego możnowładczego rodu Kurozwęckich mógł ją do reszty skłonić. A podczas gdy ojciec wojewoda, brat kasztelan, bratanki i przyjaciele zamysłem dworskim do serc *Krakowian* drogę mościli; wierny druh i główny poplecznik Zawiszów, wielkopolski kanclerz Mikołaj, jednał im u „*Polaków*“ stronnictwo. Zrozumiałem więc okazuje się śmiałe zobowiązanie się Zawiszy. Lecz żadna wówczas przysługa, żaden dług wdzięczności nie obszedł się bez lichwiarskiej nagrody. W średniowiekowym społeczeństwie, chęć zysku nie znała granic. Jak żołądek dziecinny, tak chciwość młodego w one czasy narodu, miała wilcze zęby, wilczą żarłoczność. Gwałtowniejszy ród Wielkopolan plądrował niekiedy po gościńcach, polerowniejsi panowie małopolscy, wymuszali na książętach ogromne myto przekupstwa. Tylko sprzedajności małopolskich doradców Kazimierza Wielkiego, karmionych ustawicznie darami zamków i posiadłości, corocznemi pensjami, winien był król Ludwik osiągnięcie tronu polskiego. Przedajność elektorów niemieckich unieśmiertelniona

pozostałymi kwitami, wyniosła jego spółczesnika Waclawa na tron cesarski. Nawzajem Waclawów brat, cesarz Zygmunt, wystawiał na targ przywileje, kraje, przymierza. W wieku jawnego w Niemczech sprzedawania szlachectwa, w całej Europie odpustów i zbawienia, wszystko było sprzedajne. Nie dziw zatem, że i Zawisza pomoc swoją skorzystać pragnął. Kosztowała ona nadmiar drogo Elżbietę; najmniejszą ofiarą były przyrzeczenia wyższych dostojenstw. Synowi, kanclerzowi, padła obietnica pierwszego opróżnionego biskupstwa; ojcu, wojewodzie, kasztelanii krakowskiej, a innym panom, innych urzędów. Nieufność sprzedajnego pokolenia żądała na każdą z obietnic dokumentu; oprócz którychto pergaminowych zaręczeń, płynęła na wszystkie strony brzęcząca gotowizna. „Wszystkim wielmożom sypał król Jegomość bojnje pieniądze“. Tylą wspólnemi króla, królowej, Zawiszy, jego rodziny i przyjaciół zabiegami, przeparto wreszcie zamiar. „Stało się“, mówi z zwięzłością gniewu niechętny tój sprawie kronikarz wielkopolski, jedyny zwiastun tój wielkiej wiadomości, „iż pokrewieństwem, złotem i przyrzeczeniami uwiedzeni panowie, zezwolili na złamanie dawnego listu swobody“. Na zjeździe w Koszycach, *pięrczym* z dwóch w témże mieście odbytych zjazdów, mało zwyczajnie uwzględnianym, uznano pierworodną córkę Ludwika, Katarzynę, dziedziczką korony polskiej (1).

Zawisza dopełnił dzieła: ambicya króla Loisa i jego kanclerza pała się najpiękniejszymi widzeniami przyszłości. Królowi uśmiechało się ziszczenie jego marzeń o trzech posagowych koronach; kanclerz widział się w duchu biskupem, księciem kościoła. Wtém na kwiecistym obrazie ludzkich rojeń ukazał się palec Boży. Obrął on sobie rodzinę andegaweńską za widoczną igraszkę swoją. Nie było domu, na któryby losy zlały tyle łask i fortuny; nie było domu, któremuby one mie-

(1) Moźnaby wnosić, że to stało się roku 1373. Powodem wniosku jest wiadomość podana przez Czackiego, (Dzieła I, 297), jako roku 1373 i 1374 celniejsze miasta dały Ludwikowym córkom przyrzeczenia wierności. Takie dokumenta miejskie z roku 1374 były zapewne skutkiem zawartej w tymże roku ugody koszyckiej. Dokumenta z roku 1373 zdają się przypuszczać podobną ugode roku 1373, wcześniejszą od koszyckiej, właśnie tę o której obecnie wzmianka.

szaly sroźój wszystkie zamysły. W cóż obrócily się plany Ludwikowego ojca, Karola, rojącego o trzech synach i trzech królestwach? Równą z bajki gminnej nicością rozwiwały się rojenia syna, Ludwika, o trzech córkach i trzech posagowych koronach. Gdy właśnie teraz, przyjęciem córki Katarzyny na tron polski, główna zapora ich przejścia w życie usunięta została; zdarzył się wypadek, który je nagle zniweczył:—królowa Katarzyna umarła. Marzenie Ludwika ochromiało. Pozostały mu tylko dwie koronne głowy w rodzinie: témci goręcej uderzyło serce ojcowskie chęcią zapewnienia im tronów. Atoli śmierć obranej przez Polaków następczyni, wróciła im dalszą swobodę; zaszła tedy potrzeba nowych trudów. Wprawdzie dzieło Zawiszy odjęło przedsięwzięciu najprzeciwniejszą mu cęchę niezwyčajności, złamało raz przeciwnika, nadto mogło ono liczyć i nadal na pomoc stronnictwa Zawiszowego, na przychylność Małopolan; lecz niespodziany powrót do pierwotnego stanowiska, podniecał oporność przeciwniej strony do tém sroźszej zapalczywości. Pokonała ją dopiéro na *drugim* zjeździe w Koszycach najgwałtowniejszych środków użycie.

D O P I S E K.

O charakterze siostry Kazimierza Wielkiego, Elżbiety.

Przeciw wszelkim dowodom zacności charakteru Elżbiety, stoi jedyne świadectwo archidyakona gnieźnieńskiego jej nieprzyjaciela, mszczącego się na niej za proces względem zadanego sobie przeniewierstwa i za banniczą z królestwa. Jeszcze i to jedyne świadectwo, ograniczające się zresztą na same frazesa łajzące, bez faktów istotnej w czémkolwiek przewiny, nie zgadza się z samą sobą. Wyrzucają bowiem królowej protegowanie rozpustnego Zawiszy, nadmienienia sam archidyakon wyraźnie, że bardzo często strofowała go królowa. „Quem ut dicitur, ipsa sepissime arguebat de factis instabilibus“, że „dla pewnych dokumentów, których król Ludwik panom polskim udzielił, a które Zawisza wydobyc od nich przyrzekał, musiała cierpieć go“; „quem licet eadem regina de curia sua evadere cupiebat, tamen quia quosdam litteras per filium suum dominum Ludovicum regnicolis Poloniae datas rehabere affectabat id circum ipsum toleravit...“ Jakże daleko od tego „strofowania“ Zawiszy, od tego „cierpienia“ go dla ważnych politycznych przyczyn u dworu, aż do gamradztwa między młodym prałatem a sędziwą, pobożną, od surowo-moralnego syna pokornie szanowaną, od papieżów stawioną, codziennie (jak z testamentu okazuje się) na brewiarzu modlącą się, osmdziesięcio-letnią królową! Wszelako rządóm niewieścim, maniera amplifikacyjna, mnożąca niepotrzebnie wyrazy, a w końcu zawsze przeistaczająca niemi przyrodzoną barwę wypadków, wreszcie właściwa Długoszewi złośliwość, skłoniły tegoż pisarza nietylko do uwierzenia oszczerstwom archidyakona i przyjęcia ich do swój historii; lecz owszem do tém czarniejszego, systematyczniejszego oszpececia wizerunku Elżbiety. W tym celu nie zaniedbywa Długosz w księdze IX na str. 1004 pod rokiem 1330 zapisać: *mniewanie* niektórych ludzi „habet et nonnullorum assertio“; jakoby Elżbieta swojemu bratu Kazimiérczowi Wielkiemu, jeszcze młodzieńcem będącemu w Węgrzech, u swego dworu królewskiego nastęrczyła niegodziwie sposobność do zbanbienia nieszczęsnej Klary, córki Felicyanowej, co później miało stać się powodem na-przód mściwego zamachu ojca Felicyana na życie króla Karola i królowej Elżbiety, a następnie okropnego za karę wytępienia rodziny Felicyana i zbiegnięcia kilku jej członków do Polski, „gdzie oni“ jak Długosz tamże dodaje; „pod nazwiskiem Amadejów podziśdzień w ubogim żyją stanie“. Cała ta „assertio niektórych ludzi“ jest nowym pociskiem potwarczym przeciw Elżbiecie. Żaden z dziejopisów węgierskich, którym ten wypadek powinienby być najdokładniej znanym, nie wie o owém stręczyelstwie Elżbiety. Przeciwnie wszyscy, mianowicie najznakomitszy Pray, malują Elżbietę jako enotliwą, bogobojną niewiastę, broniąc ją stale od wszelkich „oszczerstw“. (Pray, An-

nal. II, 147) „ut Elisabethae famam adversus paucorum scriptorum dicacitatem tueremur.“ Zreszta, jak owe świadectwo archidyakona, tak téż i niniejsza wzmianka Długosza jest z sobą sama w sprzeczności. Bawiący w Polsce Amadejowie nie byli krewnemi Felicyana, zbiegliemi do niej, w skutek tegoż zamachu. Znaczyłyby to uciec z deszczu pod rynnę, gdyż niepodobna przypuścić, aby czyto Łokietek, ojciec, czy Kazimierz Wielki, brat królowej Elżbiety, która owym zamachem krwawą ranę odniosła i omal życia nie postradała, użyczali gościnnego przyjęcia zbiegom obwinionym o współwinowajstwo w zbrodni przeciwko córce lub siostrze. Ci Amadejowie, jak samo nazwisko wskazuje, a okoliczności stwierdzają, pochodzili od wojewody węgierskiego Amadeja, o którym sam Długosz (Hist. IX, 902, 906) opowiada, że gościł u siebie wygnanego z kraju Łokietka, a nawet dał mu znaczną pomoc orężną, złożoną (rozumie się) po największej części z swoich bratanków, gdy Łokietek przeciw Wacławowi do Polski napowrót wkroczył. To téż uwzględniając tak oczywisty zbieg okoliczności, odrzucili późniejsi pisarze wzmiankę Długosza o pochodzeniu Amadejów od Felicyana, i jak naprzykład Bielski w swoich kronikach (Gałę. III 10) wywodzą ród i herb Amadejów od wspomniałego obrońcy Łokietkowego Amadeja. Jednakże sprostowawszy błąd Długoszów, popołniony względem tych cudzoziemskich przybyśców, nie sprostowano ani archidyakonowych, ani Długoszowych potwarzy, krzywdzących królową Elżbietę. Wszyscy następcy Długosza poszli z nim za całe podejrzaniem, z całą biografią niezgodnym, z sobą samem sprzecznem świadectwem zawziętego Wielkopolanina Jana z Czarnkowa. Dzisiejsi zaś pisarze mówiąc o królowej Elżbiecie, wyczerpują zwykle cały słownikowy zapas obelg, nazywając ją w stopniowej progressyi (Naruszewicz) „niedoleżną, dumną, prózną, łakomą, wszeteczną,“ (Wiszniewski) „rozwiązłą“ i t. d. O Szyllerowski „sądzie ostateczny“ historyi!! W innych zreszta ustępach naszego dzieła, znachodzą się wzmianki wyjaśniające bliżej przyczynę ówczesnej nienawiści przeciw Elżbiecie.

WODNICA.

(Obrazek podług opowieści ludowej z okolic Duszy i Metel).

Dymiących chat
Tam czernią się gromady,
A wkoło nich
Zielenią niwy, sady;
Na niebios toń
Wyłynął księżyc bladey,
I płonie jak gromnica
U trumny, gdy oświeca
Zmarłego skroń.

Za siołem krzyż
Na wzgórza błyszczy czole,
Wspaniale lśni
W zielonych mogił kole;
A ramion cień
Rozlewa się na pole.
Owiały go mgły, cisze,
Jak orzeł się kofysze
Wśród nocy technień.

I sioła spią.
Na lipie bocian stary,
Rodziny stróż
Zadrzymał; a komary
Brzmią w skrzydeł brzęk.
I liście szepty, gwary,
Kozgówor cichy wiodą,
Z szumiącą zdroju wodą,
Jak duchów jęk.

Czy widzisz tam,
Z jeziora wód topieli

Wypłynął duch,
 Jak dziewa smukła w bieli;
 Przez morze traw
 Promienném skrzydłem strzeli:—
 I fale zbóż kłosiste,
 I smugi łąk kwieciste
 Przebywa wplaw.

A włos do stóp
 Kędziorem złotym płynie,
 A kędy dłoń
 Skrzydlatej dziewicy skinie:
 W gwiazdzisty blask
 Kwiat falą się rozwinie.
 A dziewa wpośród cieni
 I lśni się i promieni,
 Jak jutrzni brzask.

A przed nią rój
 Motyli skrawych dzwoni,
 A ona go
 Promykiem oczu goni;
 Z wiatrami włos
 Igrając dumy roni:
 I kwili, jęczy smutnie,
 Jak z bolejącej lutnie
 Żaloby głos.

A na dźwięk ten
 W gęstwinach ptak się budzi,
 Z spróchniałych trun
 Szkielety wstają ludzi;
 I ciepły wiew
 Majowych technień się studzi:
 A rosa w lody ścięta,
 Jak perła otrząśnięta
 Opada z drzew.

I słyszą śpiew
 Rybacy na jeziorze;
 Z rąk niknie sieć
 I kryją się w rogoże.
 A błędna łódź,
 Bez wiosel fale prze;
 A ducha grają włosy,
 I straszne, aż w niebiosy
 Zagrzmiało: „Pójdź”!

I w gęstwę traw
 Rybaków padły czola,
 A dziewicy pieśń
 Owiąta ich dokoła;
 Fal modrych szum
 Obudził ją i woła:
 „Hej! na dno! tu swoboda,
 Przejrzysta, chłodna woda,
 Ryb-dziewic tłum”!.....

Rybacy drżą,
 A stopy wrosły w ziemię,
 I próżno chcą
 Podźwignąć ciała brzemię.
 Bałwany fal
 Całują im piers, ciemię;
 A trzciny i rogoże
 Spiewają: „O mój Boże!
 Żal ich nam, żal!”

W rybaków łódź
 Usiadła straszna dziewa,
 Jeziorem mknie,
 Włosami dzwoniąc śpiewa;
 Traw wtórzy lud:
 „Mnie biją czołem drzewa,
 Słuchają mnie gwiazd lica
 I morza—ja Wodnica,
 Ja pani wód.

Harol Brzozowski.



PÓLNOĆ SKANDYNAWSKA

W CIĄGU OSTATNIEGO PÓLWIEKU.

O ruchu umysłowym w Danii.

Dania składając się z półwyspu i archipelagu, należy zarówno do stałego lądu Niemiec i do Skandynawii. Naturalna granica nie oddziela żyznej Jutlandyi wraz z Szlezwigiem od Niemiec; jedynie tylko idea narodowa wzniosła na północ *Ejdery* ów chlubny starożytny szaniec, który opierał się zarówno zbrojnej napaści Rzymian, jako téż zalaniu Germanów. Według Eddy, wyspa Zeelandya, owo serce Danii, stanowi część wielkiego półwyspu szwedzkiego. Gylf, potężny władca Szwecyi, poprzednik wielkiego Odina, według podania, przyrzekł w posiadanie bogini *Gefion* nadać taką ilość ziemi, jakąby w ciągu doby mogła oborać pługiem. Bogini przywołała zatem czterech Odyńców synów Olbrzyma, wprzęgła ich w jarzmo do ogromnego pługa, zanurzyła lemiesz głęboko w ziemię i puściła ich cwałem. Rozhukane Odyńce uniosły w szybkim biegu oboraną przestrzeń ziemi na wybrzeża południowo-zachodnie, spławiły ją przez wody *Skager-Rack* i Zundu, nakoniec zatrzymały się wpośrodku cieśniny, która dziś dzieli Danią od Szwecyi. Ztąd powstała piękna wyspa Zeelandya. Jezioro Meler zapełniło próżnią powstałą na stałym lądzie szwedzkim, przez ubytek tak znacznej ilości ziemi.

Zbliżając się ku południowej stronie Zeelandyi, widzimy zaraz wpływ łagodniejszego klimatu i cieplejszych powiewów, albowiem pola i bory okalające duńską stolicę, nie przypominają

wcale wschodnich brzegów Szwecyi. W miejscu ponurój sosny, buk panuje w lasach frydrychsborgskich; temperatura wilgotna nadaje mu jasno-szmaragdowe barwy, co się nie często zdarza pod tym stopniem geograficznój szerokości. Podczas gdy w Szwecyi nagłe przejście z jednój pory roku do drugiej, znamionuje potężną, lecz ostrą przyrodę; w Danii tymczasem wiosna napelnia wonią ogrody, a jesień nadobnie złoci lasy. Słowem, Szwecyą nazwaćby można niezmierzoną lecz pustą przestrzenią; Danią nadobnym i ludnym archipelagiem. Szwed u stóp ponurych lasów, na wybrzeżu cichych i spokojnych jezior, dumać lubi samotnie; Duńczyk trudni się rolnictwem lub żegluga. Wpływ wdzięcznych krajobrazów oraz rolnicze prace, łagodzą mu charakter i napelniają go dziwną słodyczą i prostotą, gdy tymczasem bliskość morza czyni go zwinnym i giętkim, tak co do umysłu, jak i ciała.

Między Szwecyą a Danią nareszcie zachodzi wielka różnica pod względem ducha religijnego i rycerskiego. Duńczycy skłonni są do tolerancyi religijnój, wywołanój z prawodawstwa szwedzkiego; idą chętnie z postępem wieku, lubią filozofować i dalekimi są od wszelkiego zabobonu. Równy wprawdzie wojenny duch zachował się tak w Szwecyi, jak i w Danii; ależ zagorzalcy dalekarlijscy, żyjący zaledwie korą z brzozy i pijący wodę, gotowiby dziś jeszcze walczyć z zapalem starożytnych Wikinów, podczas gdy Duńczyk jest sobie tylko dzielny i ochoczym wojakiem, przywiązany szczerze do kraju i chorągwi.

Kopenhaga nie przypomina wcale Sztokolmu. Nie można jój pod względem wspaniałości równać z północną Wenecyą, ale za to cudzoziemiec dostrzege w niój ruch i zwyczaje stałego ładu. Stołica Danii więcj zajmuje uwagę, niż inne miasta skandynawskie: bo jakkolwiek duchem przemysłu i zbytkiem stoi na równi z spółczesnymi miastami, zachowała przecież wiele zwyczajów średniowiecznych. Starożytne bractwo św. Trójcy zbiera się w ogródku dla strzelania z łuku, a napis u wnijscia zawiera zbawienną dla łuczników przestroge, że: „linia prosta jest najkrótszą od jednego punktu do drugiego“. Majtkowie nader liczni w Kopenhadze, zamieszkują od wieków oddzielną część miasta niedaleko portu poza lasem żagli i masztów, i zachowują dotąd właściwe sobie obyczaje i narzecze. Ich śpiewki i krotofile krążą zarówno w mieście, gdzie tworzą pewien rodzaj

literatury ludu, naznaczonej oddzielną barwą. W jednej z ulubionych owych pieśni, stary majtek na widok rodzinnego wybrzeża woła na towarzyszy: „Wkrótce, o bracia moi, złamany laty, dopłynę do ostatecznej przystani. Pamiętajcie otulić mnie w ciasnym moim hamaku choć połą *Danebrogu*, a gdy w dniu ostatnim wielki *Bossman* zwola na pomost wszystką służbę, toć i ja gotów będę do apelu. Skoro przeczytają moje imię, postąpię naprzód dwa kroki.—Cóżto, zawoła kapitan—i ty tu stary kruku? Ruszaj, bo pan cię woła. I wnijdę do kajuty wodza nad wodze i napotkam tam *Tordenskiolda*, *Juella*, *Ruda* (1) i jednookiego“..... (2).

Żyje dotąd w Kopenhadze stary śpiewak nocny, żyjący pomnik średnich wieków; przebiega on ulicę z okutym koszturzem w rękę i latarką u pasa, śpiewając od godziny do godziny, na rzewną nutę, zwrotki znane, od dwóch wieków tak popularne na Północy: „Gdy noc pokrywa ziemię, gdy światło dzienne ucieka, czas wspomnieć chłodny grobowiec. Miły Jezul oświecaj kroki nasze!“

Jeżeli Dania słodyczą obyczajów i czynnością widną w wielkich miastach, zbliża się do stałego lądu; nie pogrążyła przecież własnej narodowości w narodowości niemieckiej. Od pół wieku pracuje zwłaszcza nad wyrobieniem sobie stanowiska samodzielnego tak w dziedzinie ducha, jakoteż społecznego i politycznego. Pięćdziesiąt lat temu, duch duński naśladował ślepo obce literatury; był on naprzemiany satelitą Niemiec lub Francji, słabem echem Szyllera, Goethego lub encyklopedystów. Rewolucya francuzka rozwiązała go nakoniec z więzów, które wielokrotnie zerwać już usiłował, a *Oehlenschlegger* stworzył na początku obecnego wieku prawdziwie narodową literaturę.

I.

Dania od półtora wieku zaledwie posiada własną literaturę, a ta literatura nabrała dopiero właściwie rodowej cechy od czasu rewolucyi francuzkiej. Ten wypadek powtarza się u wielu ludów, zajmujących wschód i północ Europy. Pozostały one aż do XVIIgo wieku poza obrębem życia społecznego, które się

(1) Sławni admirałowie duńscy.

(2) Król Krystyan IVty.

objawiło w następstwie średnich wieków wśród narodów zachodnich. Kiedy Anglia, Francya, Włochy, Hiszpania, a nakoniec same Niemcy otrzymały jako puściznę po starożytnym Rzymie i chrześcijaństwie tak wewnętrzne instytucje, jako też uprawę umysłową i moralną; państwa skandynawskie niszczyły się nawzajem w wojnach domowych, i usiłowały wyrobić sobie stanowisko w politycznej sferze stałego ładu. Poprzedzone w ogólnym pochodzie ku cywilizacyi europejskiej przez narody więcej zbliżone do Rzymu, owego ogniska światła, otrzymywały one zwolna, pośrednio, i nie bez oporu dogmat i napływ nowych idei.

Pomiędzy narodami, na których starożytny Rzym i chrześcijaństwo wycisnęły podwójne piętno, Francya w najkrótszym czasie najwięcej przetrawiła w sobie żywiołów. Gieniusz jej pełen bystrzej nauki i ładu, nadał niezaprzeczone pierwszeństwo jej literaturze w XVIIIym wieku, a w XVIIIym uczynił ją ogniskiem wyobrażeń socyalnych i politycznych.

Od wskazania owego wpływu francuzkiego na Północy, należy rozpocząć dzieje współczesnej duńskiej literatury. Na wzór Francyi, a może nawet skutkiem działania posła francuzkiego pana *Terlon*, korona duńska pochwyciła wodze rządu w wypadkach 1660 roku, sprzymierzając się z średnim stanem narodu, przeciw dumnej i przeważnej szlachcie. Wprowadzenie żywiołu mieszczańskiego, pobudziło ducha i nadało popęd literaturze. Ponieważ dwór duński przyjął politykę francuzką, więc też i uczeni duńscy naśladować zaczęli pisarzy i poetów francuzkich. Byłto właśnie czas, w którym, według wyrażenia pana de *Lionne*, woń lilii rozchodząc się po Niemczech, zaniósła i do Danii język Kornela, Descarta, następnie Bossueta i Ludwika XIVgo. Na ową formę pełną i skończoną, ulewały się wzrastające europejskie literatury.

Pierwszym wielkim poetą duńskim był *Holberg*, który wydał znane komedye około 1725 roku. Zaczął on zawód literacki od ustępów historycznych, dalej pisał satyry, poemata bohaterko-komiczne, nakoniec wyborne, pełne znakomitej zdolności komedye. Mistrzem jego był *Molier*; od niego *Holberg* przejął formę, oraz szczerą i pełną prostotę komikę. Często napotykamy wychodzące spod pióra duńskiego poety postacie tkliwych i wymownych subrettek, chytrych skąpców, świętoszków i pedantów. Wszakże nie można go obwiniać o brak samoistnego

poglądu. Jakkolwiek wady i namiętności, które obadwaj wyszydza, są smutną puścizną całego ludzkiego rodu; przecież styl i osoby Holberga o tyle są duńskimi, o ile postaci Moliera należą wyłącznie do Francyi: to właśnie jest głównym powodem popularności obudwóch wielkich pisarzy. Holberg pozostał dla Danii pisarzem klasycznym. Wyrażenia jego pełne dowcipu i prostoty, zamieniły się dziś w przysłowia: *lepić garnki z cyny*, znaczy w Kopenhadze rozprawiać o polityce, jak to czynił Hartman garncarz i burmistrz; opowiadać podróż z *Haderleben do Kiel*, gawędzić o *sławnym Aryuszu* lub o *elektorach niemieckich*, znaczy to samo, co kłamać wierutnie.

Holberg naśladował Moliera w sposób, w jaki wielcy francuzcy pisarze naśladowali starożytnych; dorównał mu nawet niekiedy, ale uczniowie jego i następcy ogłosili się bezwarunkowo czcicielami i naśladowcami francuzkiej szkoły, nie pojmując jej wcale. Nie ograniczyli się oni już na braniu wzorów z Moliera, Rasyna, Kornella, ale brali je zarówno z tragedyi Woltera i Kribillona, z komedyi *Sedena*, *Gressetu* i *Destoucha*. O tych Holberg zwykł był mawiać: „Piękneto wprawdzie dyalogi, ale wcale nie sztuki teatralne.“ Zimny i uczony duch encyklopedyi powiał i w Danii. Zmienił on w pewnym względzie oblicze społeczeństwa, oraz wycisnął piętno na ówczesnej literaturze. Duńczycy ukorzyli się przed zewnętrzną formą francuzkiej poezyi, nie pojmując jej ducha, a aleksandryny wraz z troistą jednością, stały się niezachwianą posadą poezyi, nie pojmując jej ducha. W owym czasie wędrowna trupa Włochów założyła teatr w Kopenhadze; opera zajęła umysły, niemniej jak i pięcio-aktowa tragedia; przyklaskiwano wszelkim rodzajom dramatycznej sztuki, a chłodne sielanki o Zemirach i Azorach wcisnęły się w utwory klasyczne dwóch ówczesnych traików, *Pryama* i *Thaarupa*. Pryam i Thaarup byli bohaterami szkoły naśladowniczej, tak chłodnej a jałowej. Pryam przekładał: Sierotę chińską, Inez de Castro Lamota, nakoniec opery Marmontela. Od nudnych tych przekładów nie były lepszemi oryginalne utwory jego pióra, jakoto: *Damon i Pythias*, *Fingal* i *Frode* i t. d. Brak w nich zupełnie prostoty. Thaarup nie był szczęśliwszym: chciał on uchodzić jednocześnie za dowcipnego i czulego, zatem nie bez przyczyny powiedziano o nim: że jego proza ostrą jest jak żądło pszczoły, a poezya ma słodycz jej miodu.

Chęć otrząśnienia się z ckliwości zrodziła w Danii nową sztukę. Młode i zapalone umysły jęły naśladować Niemców. Wiadomo, jakim światłem zabłysła literatura niemiecka w XVIII wieku. *Bodmer*, *Winkelman*, a nadewszystko *Lessyng*, zaktnęli nowy sztandar przeciw szkole klassycznej *Gottscheda* i *Gellerta*. *Klopszok*, jeden z naczelników owego odrodzenia, biędny i pozbawiony wszelkiej pomocy w ojczyźnie, przyjął w 1770 roku wspaniałomyślną gościnność ministra duńskiego *Andrzeju Bernstorfa*, który za czasów Fryderyka Vgo wzywał do Kopenhagi uczonych europejskich. *Klopszok* żył więc spokojnie w Kopenhadze, otoczony gronem znakomych przyjaciół, między któremi był *Kramer* słynny predykatör i stary *Szlegel* dziejopis duński. Tamto stworzył on niejedną pieśń *Messyady*. Łatwo wnieść, jaki zapal poezya tak szczytna musiała obudzić w Danii. Mistycyzm tchnący w poemacie *Klopszoka* przystał do ducha skandynawskiego gieniuszu, a bogata wyobraźnia niemieckiego wieszca zapaliła wiele zagorzałych umysłów. Pięrszym uczniem *Klopszoka* w Kopenhadze był *Ewald*.

Ubogi, a obok tego rozrzutny, ognisty i marzyciel, *Ewald* po przeczytaniu *Robinsona* dziwnym przejęty zapalem, puszcza się w świat bez grosza. Zaciąga się zrazu do pruskiego wojska, ucieka, i potajemnie wchodzi w austryacką służbę w nadziei, że zostanie wkrótce generałem. Służy przecież długo w stopniu prostego żołnierza, aż rodzina ulitowawszy się jego losu, po wielu trudnościach wykupuje go. Ale innego rodzaju zawody czekają *Ewolda*. Kocha młode dziewczę całym ogniem namiętnej duszy. Ukochana jego oddaje rękę drugiemu. Znużony wreszcie życiem, zawiedziony w marzeniach, rzuca się na drogę poezyi, szuka w niej ulgi i pociechy. Któż nie wie, o ile doznane wrażenia wzmacniają umysł i serce człowieka, naznaczonego piętnem poety! *Ewald* pchnięty wypadkami życia w zawód poetyczny, puścił się z zapalem w ślady *Klopszoka*. Nieszczęście poruszyło liryczne struny jego muzy. Naśladował niemieckiego wieszca w elegiach i odach. Niektóre z nich są niezrównanej piękności. Naśladował go zarówno w dramacie religijnym p. n. *Adam i Ewa*, ale piękność chórów i kilka namiętnych zwrotek, nie stanowią głównych zalet dramatycznego dzieła. *Ewald* nie zdołał przeprowadzić akcji jednostajnie do końca, nie rozwinął przedmiotu dostatecznie. Uczucie rodowe znamionuje dobitnie utwory *Ewolda*; w niem lira

jego nieraz czerpie natchnienie. Myśl do dwóch jego sztuk p. n. Śmierć *Baldera* i *Rolf-krage* wyczerpniętą jest z piérwiastkowych dziejów skandynawskich, których bogactwo nieznanne było jeszcze Duńczykom w XVIIIym wieku. Piérwsza z nich należy do najcenniejszych dzieł poety, druga pisana poetyczną prozą, stylem częstokroć nadętym i napsuszonym, nie mogła przystać do sceny. Obiedwie uważać można jako piérwsze proby rodzimój poezyi duńskiej, jako podwalinę, na której *Oehlenschlegler* wzniósł gmach potężny i wiecznotrwały; wreszcie jako dowód samodzielności niezaprzeczonej Ewalda, który potrafił za pomocą niemieckiego natchnienia wzbudzić uśpioną iskrę samorodnej duńskiej poezyi. Myśl i uczucie narodowe przebija w pięknym śpiewie na cześć Krystyana IVgo (śmierć Baldera); każdy Duńczyk umie go od dzieciństwa: „Król Krystyan stoi u maszty, owiany tumanem dymu; wywija szpada dzielnie, płata szyszaki i głowy. Broń Gotów i ich maszty padają w kłębach dymu. „Uciekajmy! krzyczą Goci, któż z nas zdolny mierzyć się z Krystyanem?“

Przecież niebezpiecznym był dla ducha duńskiego ślepy zapal ku niemieckiej literaturze. Narody północne wprawdzie rade oddają się marzeniu, ale mistycyzm nie przypada do nich bynajmniej. Mistycyzm nie jest czém inném, jak tylko nadużyciem wyobraźni; w Szwecyi dają się wprawdzie napotykać jego ślady, przecież jest on wyłącznie chorobą Niemców: Duńczyk tymczasem nie ma nic niemieckiego ani we krwi, ani téż w duchu. Ewald wielbił Klopsztoka, ale nie utopił w naśladownictwie samoistnego natchnienia; za to uczniowie jego zbyli się wszelkiej niepodległości i wpadli w przesadę uczuć i wyrażen, wprost przeciwnój gieniuszowi ich narodu. Wówczas Dania zarówno jak i Szwecya przeszła przez epokę sztucznego romantyzmu, pod którego wpływem skrzywiły się pojęcia, język skaził i napełnił się mnóstwem niemieckich zwrotów.

Wessel obdarzony zdrowym i pełnym prostoty umysłem, postanowił sprostować owo skrzywienie. Nie będąc zwolennikiem żadnej szkoły, żył swobodnie i bez przymusu. Ubogi i rad z swego stanu, nie przejął ani ponurego liryzmu niemieckiego, ani fałszywój błyskotliwości francuzkich klasyków. Stając się na czele młodych norwęskich poetów (Norwegia była wówczas połączona z Danią), zaczął wraz z młodemi przyjaciółmi romantyzm niemiecki bronią krytyki, listów i satyr.

Nie przepuścił zarówno tragedyi i jęj szumnym aleksandrynom i troistęj jedności; sparodyował ją wraz z operą, w znanęj sztuce (1772 r.) p. n.: „Miłość bez pończoch.” Kilka lat temu grywano jeszcze w Kopenhadze tę komedią pełną lekkiego i wesołego dowcipu, a tłumy przyklaskiwały jęj z zapalem.

Wessel nie napisał nic lepszego nad wspomnioną komedią. Nie przyniósł on bynajmniej własnej cegielki do wznoszącęj się duńskiej literatury: okrył tylko śmiesznością przestarzałą formę i wskazał drogę, na jakięj smak publiczny rozwijać się powinien. Ale reakcyja Wessla pozostała bezpłodną; towarzystwo norweskic nie mogąc ostać się o własnej sile, pragnąc przedewszystkięm uniknąć niemieckiego wpływu, przechyliło się na francuzką stronę. Wówczasto krytyka ustalać się poczęła w Danii; była ona wyłącznęm dziełem *Rahbeka*: on pięrszy położył główne zasady duńskiej prozy.

Nieraz się to już zdarzało, że epoka krytyki poprzedziła i sprowadziła nowy wiek literatury; albowiem pomijając krytykę właściwą czasom zniedołężnienia, wnikającą w drobne i nieznaczące szczegóły, jest jeszcze inna krytyka cechująca epoki przejścia, prostująca ścieszki wzrastającęj literatury. O ile pięrsza gromi, nie wskazując właściwych wzorów; o tyle ta nie spuszcza z oka ideału i ukazuje go poecie. Woli raczęj sypać pochwały, nizeli razić bronią szyderstwa; zachęca raczęj, a nie zbija, i staje się siłą twórczą, a nie siłą zagłady. W ciągu ostatnich piętnastu lat XVIII wieku, Rahbek spełniał z godnością powołanie krytyka. Nie chwytając się żadnej szkoły, był on kapłanem bezwzględnego piękna i prawdy; a sam pisarz i poeta znakomity, uczył zarazem przykładem i słowy. Urodzony 1760 roku, zmarły 1830, Rahbek wydawał od 1785 do 1809 roku *Minerwę* i *Spektatora*, dwa pięrsze zbiory peryodyczne, których wpływ przewaźnym był w Danii. Pełen zapalu dla idei filozoficznych XVIII wieku, zwolennik Russa a nie Woltera, umiał uniknąć chorobliwych czulości szkoły do której się skłaniał. Powstawał przeciw wszelkim nadużyciom, miał szczere współczucie dla *Carnota*, księdza *Gregoire* i *Lanjuinais*. Nie tańl przecięj uwielbienia jakie budzili w nim: August, Kromwel, i Napoleon. Jemu winna Dania wprowadzenie postępowych wyobrażeń. Współpracownikami *Minerwy* i *Spektatora* byli: *Heiberg* ojciec i *Malte-Brun*; ci jednak mnięj umiarkowani, przypłacili wygnaniem zasady swoje. Pisma te stały się dla Danii

organem nowych wyobrażeń, tak we względzie politycznym jako też czysto estetycznym, a Rahbek niez mordowany w literackim zawodzie, zmuszając prozę duńską do wyrażenia wielu nieznanych dotąd myśli, zastosował język do potrzeb tegoczesnych, uczynił go giętkim, oczyścił z zwrotów łacińskich Holberga, jako też i germanizmu następnych poetów. Jako uczeń XVIII wieku, pełen zdrowego poglądu i umiarkowania, Rahbek był w Danii głównym przedstawicielem ważnej epoki przejścia. Następcy jego są wyłącznie dziećmi nowych wyobrażeń.

II.

Już naśladownictwo obcych, a obok tego krytyka wywarły były znakomity wpływ na umysły w Danii, gdy wybuchły wypadki 1789 roku. Narody europejskie zwróciły oko na Francją, a każdy z nich niemal uczuł w własnym łonie odbicie owych wypadków. Ponieważ zaś literatura jest przedewszystkiem wyrazem wewnętrznej myśli, stąd wypływa, że koniec XVIII wieku nadał nowy popęd nowoczesnej literaturze.

Spostrzegamy w wielu owoczesnych dziełach ślady głębokiego wstrząśnienia, które jak iskra elektryczna przebiegłszy Europę, odbiło się na Północy. Pamiętniki *Stefensa*, uczonego filozofa, wskazują nam jakie wrażenie sprawiły w Kopenhadze wieści z stałego łądu.

Pamiętniki te pisał Stefens w 1789 roku, i jak w pierwszym tomie ich widzimy nadzieje lepszej przyszłości, tak w następującym znajdujemy rozezarowanie. Lęka się on przyszłości, którą wymarzył tak piękną; wyobraża sobie, że burza wstrząśnie zarówno Danią.

„Jak we śnie, mówi on, ludzkie kształty wydają nam się dziwaczne, straszne; tak i ja widziałem dokoła siebie na tle krwawej przyszłości zbrodnie zrodzone w francuzkiem zawichrzeniu: i słyszałem dzikie okrzyki pospólstwa, czułem się uniesiony szalonym pędem na mętnej fali i uląłem się sam siebie, jakby ohydneho widma“.

Widok wielkich nieszczęść wznosi duszę nad pospólitą pogląd i budzi w niej uczucie wewnętrznej godności. Stefens obdarzony gorącym sercem i żywą wyobraźnią, nie chciał pozostać obojętnym świadkiem chłodnego racjonalizmu, zaszczenio-

nego w Danii wpływem encyklopedyi. Namiętny uczeń świetnej filozofii Schlegla, usiłował otrząsnąć kraj swój z dotychczasowego materializmu i wprowadzić doń spirytualizm XIX wieku. Mnóstwo duńskiej młodzieży gromadziło się na jego publiczne prelekcye w 1803 roku, i niebawem w Kopenhadze idee jego szerzyć się poczęły. Dążność głęboko religijna, jaką tchnąć usiłował w słuchaczów, nie odpowiadała zupełnie pojęciom protestantyzmu; posądzano zatem Stefensa o sklanianie się do katolickich wyobrażeń. Prawdą jest przecież niezaprzeczoną, że nauka jego wzniosłą była i nie okazała się bez owocu; wydała bowiem Danii wielkiego poetę Oehlenschlegera.

Raz wśród zebrania literackiego w Kopenhadze, na którym obecnym był Oehlenschleger znany już z poetycznych próbek, ukazał się Stefens. Sława ostatniego naówczas nie rozeszła się jeszcze była po świecie; przecież głoszone go już jako stronnika nowej niemieckiej szkoły, a Oehlenschleger uprzedzony był, aby się strzegł jego zasad. Rozmowa toczyła się o nowoczesnej poezyi i teatrze; od szczegółów przyszło do zasad: wszyscy zwrócili oczy na Stefensa. Przemówił rzeczywiście, wskazał, że głównym zadaniem życia ludzkiego jest wzniesienie się ku Bogu, albowiem Bóg jednoczy w sobie piękno, prawdę i dobro, to jest urzeczywistnia w sobie ideał najwyższy wszelakiej idei. Zatem głównym zadaniem sztuki i jej ogólnym prawidłem jest naśladowanie owego idealnego pierwowzoru, który ludzka nauka pojmować koniecznie musi. Pojęcie to tém łatwiejszem jest dla artysty, że w wyobraźni jego więcej jest ładu, w rozumie więcej prostoty, w duszy szlachetniejsze płoną uczucia. Wyzwalając zatem sztukę z ciasnych szranek w jakie stara szkoła zamknąć je usiłowała, Stefens wciął ją niejako w przedwieczne warunki bytu, dla których człowiek stworzonym został, tak, że wieszcz ukształcony według jego zasad musiał mieć serce czyste i duszę niezłomną. Dodał nadto, że aby osiągnąć wieniec poety, należało oddać się głębokiej pracy i rozmyślaniu, a każdy krok posunięty na owej ciężkiej drodze, byłby za trud podjęty dostateczną płacą, albowiem cel jest równie wielkim, jak niełatwym do osiągnięcia. Oehlenschleger wprawdzie zaprzeczał Stefensowi w pewnych drobnych szczegółach, chwalił nawet Lessynga, wbrew jego zdaniu. Obecni po oddaleniu się Stefensa okazali mu zadowolenie, że bronił dobrej sprawy; ale poeta wstrzymał ich: „Przyjaciele moi, rzekł,

mylicie się, jeżeli sądzicie, że jestem przeciwnikiem tego człowieka: Stefens i ja połączeni jesteśmy na wieki. Może miałem przeciw niemu słusność w nieznaczących szczegółach, ale za to jakież w nim pojęcie sztuki, jaka wzniosłość, jaki sąd, jaka wymowa, jaki rozum!"... I pozostawiwszy zdziwionych towarzyszków wyszedł i udał się za Stefensem.

W takich okolicznościach Stefens i Oehlenschlegler spotkali się po raz pierwszy. Rozmowa między nimi po owym wieczorze trwała noc całą. Oehlenschlegler przyniósł nowemu mistrzowi swemu kilka wierszy lirycznych, ale byłyto wiersze ułożone według przestarzałych zasad. Stefens wyznał mu, że czytając to co dotąd utworzył, wziął go za starego wierszopisa w peruce. Skutkiem tego Oehlenschlegler, który w kilka dni potem miał oddać księgarzowi ostatnie karty swych poezyj, pobiegł do drukarni, i zniszczył odbite już formy. I począł pisać na nowo, według nowych zasad i nowego zwrotu; wkrótce nawet utworzył pełen barwy i zapału poemacik „Aladin.” Jako bohater Tysiąca i jednej nocy znalazł nakoniec cudowną lampę, a literatura duńska zdobyła świetną gwiazdę, która jej odłąd przyświeca.

Główną jest zaletą Oehlenschleglera, że tchnął duchem prawdziwie poetycznym w literaturę pozbawioną wszelkiego wyższego natchnienia od czasu *Ewalda*. Wiele drobnych szczegółów przytoczonych w świeżo wydanych jego pamiętnikach dowodzą jasno, do jakiego stopnia skrzywione było ogólne pojęcie sztuki. Wzbroniono przedstawiać na duńskiej scenie naśladowania Molierowskiego Don Juana, albowiem pojawienie się ducha, przeciwne było wyobrażeniom religijnym; umyślono zastąpić nadziemskie zjawisko zesłane z piekieł, jakimś przyjacielem Don Juana, który przybywał, aby mu dać zbawienne rady. Grywano tylko na duńskiej scenie przekłady chłodnych i bezbarwnych sztuk Kotzebuego, czytowano tylko wodnisto-czule romanse Augusta Lafontaine. Sztuka zmieniła się w rzemiosło. Oehlenschlegler targnął się na zastarzały zwyczaj. Poemata dydaktyczne lub opisowe, naśladownictwa obce zastąpił poezją liryczną najwznioślejszą niewątpliwie, ale która otwierając szeroko pole gieniuszowi, wymaga samodzielnej twórczości. W owejto sferze, znanéj zaledwie z poezyj Ewalda, rozwinął on bogaty zasób wyobraźni, a obok najwyższego wzniesienia ducha, nie spuszczał nigdy z oka ziemi. Z podziwieniem dostrzeżono w poezjach jego wydanych

w 1805 roku wszechstronne zalety: barwę miejscową, dziwne bogactwo fantazyi a zarazem głęboką naukę, obrobienie w szczegółach, w wyrażeniach nieznaną dotąd harmonią. Oehlenschleger stawiał naprzeciw materyalizmu XVIII wieku najpoetyczniejszą w dziejach epokę średnich wieków. Może być obojętnym dla nowój generacyi wspomnienie owych wieków naiwnej prostoty i wiary, które wykołysały wiek dzisiejszy? Ktokolwiek mógłby je przepomnieć, dałby niewątpliwie dowód oschłości duszy. Oehlenschleger wzniósł się nad współczesnych, gdy wyrzekł: „czerpmy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa zrodzone w nich poetyczne i religijne natchnienia. Zadałoby protestantyzm gasząc pochodnię sztuki, tak godnie przyświecającą religii i wzmacniającą jej posady. Gdzież owe katedry gotyckie, gdzież owe świątynie pańskie, zdobne w arcydzieła pędzla! Gdzież czarujące organów chóry i harmonijne pienia? Duch ponury ował protestantyzm. Ziemia jest/c smutnym padolem też i boleści? bez życia? bez pociechy? Mamyż dostrzegać na niej same jeno groby, tylko straszliwe ślady śmierci i zniszczenia, tylko popiół i prochy?” Ktokolwiek podróżował w krajach skandynawskich, pojmie słowa poety; trudno bowiem wyrazić, jakie uczucie smutku i tęsknoty budzi widok północnych kościołów. Padają w gruzy stare katedry Upsali i Roeskildu, gdzie przechowują się podziśdzien pokryte pyłem szczątki dawniej religijnej świetności. W nowych zaś przybytkach Danii i Szwecyi jaki chłód, jaka pustka, nawet podczas gdy słowo płynie z kazalnicy, wobec zgromadzonych słuchaczy; nawet gdy odgłos psalmów obija się o puste ściany, bez widomych symbolów uwiecznionych pędzlem: o ołtarze, na których nie spełnia się już poświęcona ofiara.

Oehlenschleger nie poprzestał na wyczerpaniu barwy religijnej średnich wieków; pragnął zarazem zagrzać serca Duńczyków wspomnieniem wielkich dzieł ich praojców. Badał on islandzkie starożytne sagi, a obfite źródło poezyi wytrysło z nich pod dotknięciem czarodziejskiej jego laski. Jak niegdyś literatura zachodnia odrodziła się pod wpływem starożytnego klasycyzmu; tak nowa szkoła, na której czele stanął Oehlenschleger, jęła czerpać w dawnych skandynawskich mytach wzór i podniecie. Poetyczne dzieje przeszłości nadały życie wzrastającej poezyi, głębokie badania czysto rozumowe, obróciły się na korzyść serca. Takąto naukę dał Oehlenschleger współczesnym w poe-

zych skandynawskich, w tragediach *Palnatoke, Hakon, Jarl*, a nadewszystko w wielkim poemacie: *Bogowie północy*.

Odtąd powstała w Danii poezya rodzima, odmienna duchem i barwą od wszelkich innych literatur europejskich, a bynajmniej nieprzypominająca niemieckiej literatury. Oehlenschlegger wprowadził na wzór wielu innych pisarzy duńskich przekładał własne utwory na niemiecki język. Zwyczaj ten zachowywał się od czasu, jak królowie duńscy byli Niemcami rodem i sercem. Później spory wzajemne, nakoniec wojny rozdzieliły umysły, a razem i literatury. Wielka zresztą zachodzi różnica pomiędzy duchem niemieckim głęboko mistycznym, a duńskim, pełnym prostoty i giętkości. Do Anglii zaś od roku 1801 i od 1807 Duńczycy czują wstręt nieprzezwyciężony. Oehlenschlegger nakoniec odwrócił ich od naśladownictwa francuzkiego. Duńczycy posiadają wyłączne zalety. W sztuce dramatycznej mają oddzielną, właściwą sobie barwę, podobną nieco do humoru angielskiego, ale delikatniejszą i w lepszym smaku. Toż samo spostrzegać się daje w powieści; nadto wielu pisarzy duńskich celuje w rodzaju opisowym. Poezja liryczna w krainie Oehlenschlegera wolną jest od mgły otaczającej poemata niemieckie. W naukach tylko filozoficznych nie zachowali oni wyłącznej samodzielności; tu widnym jest wpływ niemieckiej abstrakcyi. Wyobrażenia religijne niemniej dzielą Danią od okolicznych narodów; w Kopenhadze mieszkańcy nie święcą niedzieli tak skrupulatnie jak w innych protestanckich krajach. Panuje tam duch raczej sceptyczny, zarówno oddalony od nietolerancyi szwedzkiej, jak i od niemieckiego pietyzmu.

Wpływ Oehlenschlegera nie ograniczył się przecież w obrębie własnego kraju. Trzy narody skandynawskie usłyszawszy wspomniane imiona: *Wodana, Thora* i *Frya* zbudziły się nagle z długotrwałego uspienia, i jakby elektrycznym drgnieniem, odpowiedziały pocię duńskiemu; kładziemy zatem Oehlenschlegera nietylko na czele poetów duńskich ostatniego wieku, ale raczej na czele poetów skandynawskich, których owiał niejako potężnym technieniem własnego gieniuszu.

Wiele miała do zwalczenia nowa szkoła, nim założyć zdołała pierwsze istnienia swego posady. Powstała zarazem walka literacka i religijna. Teorye Oehlenschlegera zrywając hamulec krępujący dotąd umysły, napotkały wiele przeciwności i przeszkód. Poeta sam, obwiniony o błędy popełniane przez

jego uczniów, widząc żywą polemikę toczoną przeciw niemu, usunął się od zgromadzeń literackich i rozpoczął życie w ciasnym kółku, złożonym z Rahbeka, Stefensa i dwóch braci Oersztedtów, z których jeden, minister, był szwagrem, drugi słynny uczony, przyjacielem poety. Najglówniejszym przeciwnikiem Oehlenschlegera i skandynawskiej mytologii był *Baggesen*, satyryk bystry i dowcipny, ale z sercem oschłym i zimnym. Uosabniał on w owój walce literackiej żyjącego jeszcze ducha XVIII wieku, to jest zbieranie idei encyklopedystów francuzkich, filozofów angielskich i materyalizmu niemieckiego, który poprzedził świetną epokę niemieckiej literatury. Drugim wrogiem Oehlenschlegera był człowiek niepodobny wcale do Baggesena ani dążnościami, ani charakterem:—*Grundtwig*, dziś starzec złamany wiekiem, szanowanym jest od współczesnych i ceniony wysoko za dar wymowy, którym zajaśniał równo na chrześcijańskiej kazalnicy i w sejmowej sali, gdzie zasiada jako członek wyższego duchowieństwa. Grundtwig surowy protestant, uląkł się zwrotu religijnego Oehlenschlegera, uląkł się poetycznej jego wyobraźni, która tak chętnie skłaniała się do katolickich podań z średnich wieków.

„Powaga religijna (pisał on do poety w sławnej odezwie, którą Oehlenschleger dał poznać), powaga religijna nie panuje w ostatnich utworach pańskiego pióra. Pojmiesz pan snadno, że zmiana ta nie może być dla nas obojętną; źródło jej bowiem leży zapewne w sumieniu pisarza. Poeta odpowiedzialnym jest przed Bogiem za pewność i nicomylność swęj doktryny, albowiem snadno mu przychodzi niebaczniemi słowy obłąkać umysły bliźnich. Winien zatem strzedz się próżnego dowcipkowania i ponętnych słówek, w których nie ma ani nauki, ani zbudowania.“ Na to surowe przemówienie odpowiedział Oehlenschleger obszernie. Dajemy tu krótki urywek słynnej odpowiedzi poety:

„Nie jest bynajmniej obowiązkiem poety, aby jako kapłan, czerpał wyłącznie żywioł boski z świata religijnego i filozoficznego. Bóg sam stał się człowiekiem, duch przyoblekł się w ciało; tak też i poeta niedość śmiały, aby odważył się malować bóstwo, szuka raczej jego odblasku, obrazu w uczuciach i namiętnościach ludzkich. Nie czekała nieśmiertelna miłość w objawieniu się światu przyjscia Chrystusa na ziemię; sfera poety rozciąga się zatem aż do pogańskich czasów. Głównym artysty celem być powinno, aby wychowywał moralnie bliźnich swo-

ich. Z téj drogi, zda mi się, nie zboczyłem. *Palnatoke, Axel i Valborg, Korregio i Stoer-Kodder* ostatnie dzieła moje, służą mi za świadectwo. Tragedya *Hakon-Jarl*, jako przedstawiająca walkę chrześcijaństwa z pogaństwem, zajęła więcej może ogniste umysty; ależ w innych dziełach moich głębiej jest nierównie wyciśniętą religijną cechą: dowodzą bowiem spokojniejsze przekonanie i nie dotyczą dogmatów. Idea odkupienia i miłości Bożej, obraz religijnego poddania się i nieśmiertelnej nadziei odbijają w każdym słowie i świadczą dostatecznie, że pióro nie dla lekkomyślnéj igraszki kreśliło owe żywotne obrazy. Serce nie skamieniało mi bynajmniej w ciągu ostatnich prac, ale raczej wzniosło się i uszlachetniło.

Głęboki spór powstał pomiędzy sztuką domagającą się swobodnego polotu, a ciasnym i krępującym dogmatem: pomiędzy poetą a duchownym. *Grundtwig* był w sprzeczności sam z sobą, mimowoli bowiem cudowny urok staréj skandynawskiej mytologii, który umiał roztoczyć *Oehlenschleger*, wpłynął i na niego. *Grundtwig* znany jest w Danii ze czci gorącój, jaką ma dla starych bohaterów skandynawskich. Zna on dokładnie dawne sagi, a poetycznego ich języka i pięknych przenośni używa rad tak w poezyi, jak i w rozprawach: Uczucie rodowe wraz z przekonaniem religijném stało się główną zasadą jego charakteru, a cokolwiek nie nosi barwy skandynawskiej, jest dlań obojętném i obcém. Nadewszystko zaś jest nieprzyjacielem teutonizmu; a gdy w ostatnich latach uniwersyteta Chrystyanii, Kopenhagi, Lundu i Upsali jednoczyć się zaczęły, wychylając zobopólnie czarę na cześć skandynawskich bogów: zadrżało serce *Grundtwiga*, i młodzież przewała go nie bez powodu wielkim kapłanem skandynawskim. Tu przynajmniej *Grundtwig*, jakkolwiek jawny przeciwnik *Oehlenschlegera*, musiał się z nim zjednoczyć i przyklasnąć jego powodzeniu, a nawet skrupuły jego religijne zachwiały się wobec prawdziwie religijnego natchnienia, jakie się odtąd objawiło w literaturze i duchu publicznym. Poklaski wywołane ostatniemi dziełami wielkiego poety, przygłuszyły głosy, które kiedykolwiek odważyły się powstać przeciw niemu.

III.

Zwycięstwo nowéj szkoły nacechowało ducha duńskiego prawdziwie młodzieńcém piętrem. Szerokie pole otworzyło się

dla wszelkiego rodzaju poezyi. Najwznieściejszy przecież rodzaj liryczny, wydawszy tyle arcydzieł pod piórem Oehlenschlegera, naliczniejszą stworzył szkołę. Odnaczyli się w poezyi lirycznej pp. *Ingeman* i *Winther*. Pierwszy z nich społecznym Oehlenschlegera, stanął niemal obok mistrza wzniósłością religijnego poglądu i siłą wyobraźni. Znakomite dzieła drugiego pojawiły się w ciągu ostatnich lat dwudziestu i służyć mogą za skazówkę, jaką koleją rozwijał się liryzm w Danii. Liryzm Ingemana urozmaicił się w dziełach Winthera pewną bohaterką barwą, rozsianą umiejętnie i zręcznie. W ogólnym zbiorze poezyi Winthera ogłoszonym 1828 roku p. n. *Drzeworytły*, odbija wydatnie odcień różniący go od poprzedników, a który zaczerpnął widocznie z obyczajów i gieniuszu duńskiego.

Po lirycznej poezyi zajęła najżywiej umysły Duńczyków poezya dramatyczna. Powiedzieliśmy już kiedyś (1), że w wielkim koncercie literatur północnych, Dania wyłącznie uosabiała żywioł dramatyczny. Po Holbergu i Wesslu, Oehlenschleger wzbogacił scenę duńską świetnymi klasycznymi dziełami. W głównych utworach wyczerpnął on z starożytnych skandynawskich dziejów wysoki liryzm, którego nadużyli jego naśladowcy, krzywiąc go i przekraczając w nim granice dobrego smaku. Około 1830 r. pp. Hejberg i Henryk Hertz stanęli na czele reakcyi i usiłowali oswobodzić dramat z osnowy lirycznej. Tym sposobem udało im się zastosować dramatyczną sztukę do pojęcia i smaku Duńczyków. Hejberg (syn wygnańca, zarówno dramatycznego autora, który wraz z *Malle-Brunem* zmuszony był opuścić Danią), Hejberg mówię, pisał dowcipne komedye i zajaśniał jako poeta w wydany poemacie: *Ihusze po śmierci*. Zapewnił on powodzenie komedyi popularnej w Danii, oczyszczając ją z ekliwój i przestarzałej sentymentalności.

Podczas gdy komedya wzrastała pod przewodem Hejberga, tragedia klasyczna jakkolwiek niezupełnie jeszcze zarzucona, zbladła przecież przed dramatem czysto skandynawskim, którym tak świetnie jaśnieje w obecnej chwili literatura społeczna ludów północnych. Tyberyusz i Bajazet Hanscha, pomimo rzeczywistych zalet pisarza, nie zyskały nigdy sławy, jaką zjednał sobie dramat *Dom-Swen-Dyryng* utworu Herta.

(1) Patrz Szwecya w ostatnim półwieku. Bibl. Warsz. miesiąc luty 1852 rok.

Powieść i romans wymagają zarówno jak dramat i kome-
 dy żywego przedstawienia akcji, wreszcie wiele zręczności
 w prowadzeniu rzeczy. Zalety powieściopisarza i dramatyka
 jakkolwiek zbliżone, odmienne są w pewnym względzie. Hejberg
 przecież umie je w sobie połączyć: jest on naprzemiany poeta
 komicznym i zajmującym powieściopisarzem.

Blicher zręcznym jest malarzem obyczajów i cnót ludowych;
 opisał on pełnym wdzięku wierszem wiejską biesiadę, ciche
 wiejskie życie, i usiłował dowieść, że prostota serca właściwa
 mieszkańcom wioski, natchnie częstokroć człowieka chęcią do
 dobrych i szlachetnych czynów.

Oto mała probka jego pióra:

„Burzą wrą fale Kategatu, łódź płynie po morzu, i całą
 noc walczy z rozhukanemi wały, walczy bez nadziei. Śmiały
 żeglarz wiódł ją wprawną dłonią. Nie drżał on przed śmiercią,
 bo wobec śmierci wzrasta dzielność Duńczyka.

Walczy długo, aż wichur uniósł łódź szalonym prądem
 i miotał nią o rozhukane fale. Przy połysku zorzy spostrzegł
 straszną skałę, o którą łódź już już roztrącić się miała.

Z nim było dziecko: pochwyił je w dłoń silną. — Nie płacz,
 mały—zawoła— chłodne łożo gotowe, po co łyż trwonąć próżne?

Szumią z łoskotem fale, łódka daremnie z niemi walczy.
 On w lewej ręce trzyma dziecko, prawą przywiązuje się do łodzi.

Spostrzega ziemię, ale niestety! między nim a nią przepaść
 niezgłębiona. Stopa jego nie dotknie już błogostawionego lądu,
 chyba że niebo ześle pomoc.

W téjże chwili prosty wieśniak pojawia się nad brzegiem;
 nazywa się *Soeren Kanne*.—Ojczy, rzece do będącego przy
 nim starca—łódź ta utonie za chwilę.

I bieży po parę koni uwiązanych opodal na wzgórk; nieba-
 wem wraca nad otchłań zadyszany.

Stary ojciec wstrzymuje go skinieniem.—Synu, zawoła,
 potopisz konie i siebie, a łodzi ocalić nie zdołasz.

Ale Soeren siada na swego konia, spojrzy na starca: — oj-
 cze, odpowię, jeżeli mnie spotka nieszczęście, czuwaj nad Kata-
 rzyną!

I uderza konia nogą i zapuszcza go w morze; drugiego zaś
 uwiązanego z boku, ciągnie gwałtem. I oba konie płyną po
 wierzchu fali.

I nad otchłanią, okryty spienionym wałem, walczy z straszliwym wirem. Któżby odgadł czy dosięgnie łodzi?

Pędzi, pędzi po wierzchu rozhukanój fali; wtém wystają koniom uszy, już ukazują się głowy, już i grzywa wygląda: konie dobiegają łodzi.

— Przyjacielu — rzecze — siadaj co rychło a trzymaj dziecko uważnie.—I zabiera się do dzieła. O! trudniejszać to sprawa, niżeli uprawa cichój roli.

I znów spienione waly szumią z łoskotem nad nimi, ale oni siedzą na koniach, jeden przy drugim. Otóż dobiegli ziemi, wszyscy trzej za jednym skokiem stoją już na wybrzeżu.

I padają na kolana i modlą się gorąco.—Pójdź ze mną do chaty — rzecze Soeren. — Patrz, łódź twa rozbita na sztuki, dziecię chwije się jak trzcina za powiewem wichru.

Żeglarz bije ręką o rękę zdrewniałą od chłodu. — Jakże ci podziękuję—zapyta wieśniaka.

— Pójdź tylko do chaty i ogrzej się u ogniska — odpowió Soeren.

I przygarnął żeglarza i dziecinę: jedli z jednéj misy ciepłą polewkę i mięso. To była nagroda, jakiej żądał dzielny Soeren-Kanne.

Takto winniście Duńczycy kochać się i wspierać wzajemnie w śmierci i niedoli. Taką winniście sobie pomoc, czy to gdy prujecie czarną ziemię, czyli też morskie waly“.

Znakomite miejsce pomiędzy duńskimi powieściopisarzami zajmuje *Andersen*: jest on obecnie jednym z najpopularniejszych pisarzy na Północy. W powieściach jego dziwna panuje prostota; ale obok prostoty i słodczy, odbija jeszcze nadzwyczajna żywość, która stanowi główną zaletę literatury duńskiej. Mały wyjątek da nam o nim lekkie wyobrażenie.

„Stara babka bardzo już zaszła w lata. Ma zmarszczki na czole i obliczu, a szron ubielił jój włosy; w oku jój przecież lśni życie i odbija słodczy. Lubi ona opowiadać stare dzieje, a suknią ma jedwabną w kwiaty, która z chrzęstem ociera się o mur ściany. Stara babka wiele wie rzeczy, bo dawno żyje na świecie, dawniej niż ojciec i matka bez wątpienia. Stara babka ma książkę z kantyczkami, z zapinką srebrną, i często bardzo czytuje na owój książce. W środku pomiędzy kartkami jest róża wyschła i splaszczona, a choć nie tak świeża jak róże w szklan-

co wody stojące na oknie, przecież babka uśmiecha się do niej rada, i łza zachodzi jej oko ilekroć na nią spojrzy. Dlaczegoż tak babunia przygląda się róży zasuszonej w książce kantyczkowej. Chcesz wiedzieć?— posłuchaj. Ilekroć łza babuni spadnie na ową różę, lodyga jej ożywia się, barwy płoną nadobnie, woń ulatuje cudowna: wówczas mury otaczające pierzchają jak obłok, a dokoła babuni zieleni się dąbrowa, słońce przedziera się przez liściaste drzew konary. Wówczas wracają młode babuni lata i staje się nadobnym dziewczęcikiem z jasnym i bujnym włosiem, z rumieńcem na licu, świeża jak kwiat wiosenny. Obok niej siedzi wysoki i dorodny młodzieniec, podaje jej różę, a ona się doń uśmiecha. Odjechał, myśli i marzenia tłumnie się cisną do głowy. Piękny młodzian odjechał! Babunia patrzy na zasuszoną w książce różę, pada na krzesło, ogląda raz jeszcze kwiat zwiędły i umiera! I włożono ją w czarną trumnę, ubrano w bieliznę; o jakże była piękna! Oczy jej przymknęły się spokojnie; znikły zmarszczki na obliczu, uśmiech zastąpił na ustach, a włos srebrny wieńczył poważnie czoło. Widok zmarłej nie budził odrazy: byłato też sama babunia, dobra i kochana babunia. Kantyczki schowano do trumny pod głowę: tak żądała za życia, a róża była w środku książki. Pochowano babunię pod kościółkiem. Na mogile posadzono krzak róży, a za powiewem wiatru kwitnące róże skłaniały się nadobnie i szeptały zeicha: „jakżeto błogo kąpać się w rosie o mroku, przy srebrnem świetle księżycy! Najpiękniejsze z nas zerwie dłoń tkliwa i poniesie w darze najpiękniejszej z wioski”. A słowik dosłyszał róż poszepty i zaśpiewał piosenkę na cześć róży, owęj róży, którą niegdyś dziewczę młode ukryło w książce. „Jak błogo żyć w wspomnieniu“, tak brzmiała pieśń słowika. A podczas gdy śpiewał drobny słowik, organy kościółka zabrzmiały na tony psalmów zawartych w książce, na których spoczywała głowa zmarłej, a księżyc świecił pełnym blaskiem.“

Dziełem Oehlenschlegera było odrodzenie duńskiej poezji: dokonał on je odwołując się do ducha narodu, oraz do instynktu duchowego skandynawskich szczepów. Następcy jego rozwinięli tak na scenie, jako i w romansie zasady mistrza pod którego wzrosli cieniem. Dzisiaj pisarze trzymają się jeszcze téjże drogi. W następnym urywku Grundtwiga odbija się duch rodowej duńskiej poezji:

Są na obszerniej ziemi wspanialsze góry niż duńskie wzgórza; ale dla nas pięknymi są nasze równiny i zielone pagórki. My nie stworzeni do wspinania się po wyżynach, ani do szumu i wrzawy; nam dobrze na płaszczyźnie.

Wędrowiec znajdzie w innej stronie piękniejsze krajobrazy; ale dla Duńczyka powabną jest kraina ocieniona starymi buki: Duńczyk lubi od kolebki do grobu przebiegać kwieciste pola, oblane wzburzonym oceanem.

Inni ludzie, na innej ziemi, świetniejsze wykonywali dzieła: niedarmo przecież lwy i serca zdobią duńską tarczę. Niech orły panują światu: Duńczyk nie pragnie zmienić tarczy ani chorągwi.

Są podobno narody mędrsze od tych, jakie osiadły krainę między *Zundem* a dwoma *Betty*; ależ i my mamy rozum dla siebie, a żaden z nas nie zapragnie myśla osiągnąć Boga. Niech tylko serce nasze goreje dla prawdy, dla prawa, a przyszłość uzna nas mędrcami.

Inne języki ludzkie wznioślejsze, piękniejsze mają dźwięki; ale i mowa duńska ma wyrazy na oddanie tego, co zachwyca i zapala duszę. Słowa nasze trafiają do celu, choć nie uderzają blaskiem, ale płyną zwolna jak strumień wody.

Inni dobywali złoto i srebro z łona gór, lub z łupów wroga; Duńczyk z łona ziemi dobywa chleb powszedni: nie braknie go tak w chacie, jak i na stole bogacza. Jesteśmy zatem bogaci; a jeżeli mało kto z nas używa do zbytku, za to nikomu nie zbywa na koniecznej potrzebie“.

IV.

Ażeby pochwycić rozwój duchowy narodu w całej jego samodzielnosci, trzeba go śledzić nie tylko w dziedzinie dramatu i ody, ale nadto w naukach ścisłych i filozofii. Zatem spirytualizm i duch rodowy, którym rzecz można winna być literatura duńska, stworzyły zarówno nową epokę ścistyficzną. Należy o niej wspomnieć, gdy chcemy dać rzetelne wyobrażenie o Danii w XIX wieku.

Oersztod stanowi tu epokę. Zaledwie stos Wolty (wynaaleziony w 1800 roku) zwrócił jego uwagę, potrafił go zastosować w najrozliczniejszy sposób. Spostrzegłszy 1820 roku wpływ

elektryczności na igłę magnesową, wynalazł elektro-magnetyzm. Stawszy się panem jednéj z najważniejszych tajemnic w przyrodzie, Oerstedt zachwycał się myślą o przewidywanych skutkach i zastosowaniach, a nowemi spostrzeżeniami wzmacniając zdobyte twierdzenie, doszedł do nowéj syntezy, którą objawił w świeżo wydaném dziele pod napisem: „Duch w przyrodzie.“

O ile Oerstedt w spekulacyjnych wywodach pozostał wiernym literze oraz duchowi dogmatu, trudno było określić. Grundtwig zaczął go równo jak i Oehlenschlegera. Biskup kopenhagski p. *Mynster* okazał się spokojniejszym i wyrozumialszym przeciwnikiem, a przeto może nawet i straszniejszym. Owa polemika, jak się spodziewać było można, dała nowy przykład nieustających sporów pomiędzy literą pisma, a postępem ludzkiej wiedzy. Grundtwig obwinał Oerstedta o zaprzeczanie biblii. *Mynster* zarzucał mu między innemi, że nie uznawał dość mocnym Boga do zmienienia praw odwiecznych.

Jakkolwiek nauka do takiego posunięta szczytu, należy raczej do świata i nie ma właściwie ojczyzny; snadno przecież temu, kto porówna Ducha w przyrodzie z Kosmosem pojawiającym w tymże samym czasie, odróżnić duch niemiecki od duńskiego. Gieniusz niemiecki przedstawiony przez Humboldta, zda się być bezwzględna nauką, śledzącą badawczém okiem przyrodę i niebo, człowieka i geografiją, politykę i dzieje; dzieło duńskie jest raczej nacechowane rozmyślaniami niż nauką. Język w niém słodki, prosty i przekonujący, jaki przystoi spekulacji filozoficznej i moralnej. Jakkolwiek siła języka wzrasta wraz z przedmiotem, gdy autor usiłuje połączyć w jedną całość istnienie materji i ducha; przecież niekiedy zaledwie dochodzi do wielkości i potęgi niemieckiego dzieła, tak doskonale określonego tytułem (*Cosmos*). Ale jakkolwiek Oerstedt wznosi się wysoko, czuć przecież zawsze, że umysł pisarza jest zastanawiającym się, a nadewszystko praktycznym. Dzięki właściwym sobie zaletom, Oerstedt wywołał wpływ przeważny na Danią. Podczas gdy w kraju zaprowadzał szkoły w celu upowszechnienia nauk ścisłych mało dotąd uprawnych; podczas gdy układał nomenklaturę języków skandynawsko-germańskich; podniósł również w umysłach młodych uczonych skandynawskich niezrównany zapal. Oehlenschleger odwrócił pisarzy duńskich

od obcych naśladownictw, otwierając im źródło poezyi i literatury narodowej; Oerstedt uczynił toż samo w dziedzinie nauki. Jego dzieła i prelekcye utworzyły nową szkołę naturalistów duńskich, którzy nie chcieli już poprzestać na przekładaniu i rozbieganiu prac współczesnych uczonych. Pomijając nawet chwałę jaka ich czekała za tworzenie dzieł oryginalnych, widzieli oni dokoła siebie ważne do badania przedmioty, których w żaden sposób zaniedbywać nie należało, jakoto: dzieje plemion skandynawskich, naturę ziemi skandynawskiej i t. d. Oerstedt zachęcał współczesnych uczonych do skupienia całej uwagi na Skandynawia; naprzód aby ją uczyć, a potem, ażeby usposobić szkołę duńską do rozleglejszej spekulacji. Uczeni zarówno jak i poeci zabrali się do dzieła, a podczas gdy pierwsi czerpali z starych sag samorodną literaturę, geologowie i botanicy badali ziemię i florę skandynawską i odłączali je starannie od gleby i flory niemieckiej.

Trudnię było wyszukać zatarte ślady plemion skandynawskich. Przecież pierwszém zadaniem Duńczyków było wykazać, że plemiona północne nie miały żadnego związku z niemieckimi. Skandynawi odgrzebali w własnych podaniach wiek bohaterski, który o wiele poprzedził najdawniejsze podania Germanów. Germania była jeszcze bezkształtnym odmetem, w którym wrzała wojna domowa i który stawiał bezładny opór napaściom rzymskim, podczas gdy Wikinsy wyruszywszy z Jutlandyi, okrążali ocean i Bałtyk, jako władcy morza, jako panowie wysp, jako straszni zaborcy wybrzeży zachodniej Europy. Skandynawia nie była jak mniemano wielką kolebką napastniczych ludów Vgo wieku, ale dawała chwilowe schronienie znacznej liczbie narodów, których barbarzyństwo ohok żywotnej siły, miało być jednym z żywiołów chrześcijańskiego odrodzenia. Dzikie ludy przybywały tam naznaczone jeszcze na czole piętnem mistycznem i religijnem Wschodu; tamto zetknęły się one z chłodnym klimatem północy. Część ich pokoleń wychodziła ztamtąd przygotowana do przyjęcia oświaty, a druga część pozostawała na zawsze w kraju. Uczni duńscy przedsięwzięli gorliwie wygrzebywać ślady owego starożytnego pochodzenia, wynajdywać w tajemniczych kombinacjach lingwistyki, w runach wyrytych na skałach i grobowcach, pomniki owej dziejowej przemiany. Wielu znakomitych badaczy poświęciło się temu wyłącznie. Tym sposobem usiłowano wstrzymać nie-

mieckio roszczenia w chwili, gdy nauka archeologii przez zadziwiające odkrycia, zdaje się przywracać narodom prawa. Uczeni archeologowie i erudyci poczęli odróżniać texta islandzkie i grzebać w łonie ziemi. Wówczasasto po pojedynczych rozprawach Arne-Magnussona i Suhma nastąpiły wspólne prace kierowane umiejętnie. *Arne* umierając w 1730 roku pozostawił szacowny zbiór dwóch tysięcy rękopismów islandzkich i skandynawskich: wyznaczono umyślną kommissją do ogłoszenia owych szacownych rękopismów. To stało się źródłem wielu ważnych dzieł nowożytnych erudytów duńskich. *Rask* słynny lingwista i niezmordowany podróżnik wydał na początku wieku uczone rozprawy o języku islandzkim i o starożytnych skandynawskich pomnikach. *Finn-Magnussen* nakoniec, Islandczyk rodem, wykazał jak odległe źródła wiążą pierwotną wiarę ludów północnych z głównymi religiami starożytności. Dziś już popęd został nadany dostatecznie. Stowarzyszenie królewskie w Kopenhadze odłożyło na bok pracę około słownika duńskiego, prowadzoną od dziewięćdziesięciu siedmiu lat, dla ogłoszenia wielu starożytnych skandynawskich pomników; a od dwudziestu pięciu lat powstała znaczna liczba stowarzyszeń uczonych, których jest głównym celem, aby nie dać upaść gorliwości erudytów.

Antykwarjuszycie tymczasem jęli rozkopywać grobowce i torfowiska; ostatnie zwłaszcza stały się dla nich nowem *Herkulanum* i *Pompeja*. Ztamtądto, sztuka po sztuce, w przeciągu lat trzydziestu wyszło całe muzeum kopenhagskie. Przeszło dziesięć tysięcy przedmiotów objętych katalogiem, tworzą tam dokładne dzieje poganizmu i pierwszych lat chrześcijaństwa na Północy. Obok owego muzeum narodowego, jest muzeum etnograficzne, do którego liczne wyprawy marynarki duńskiej dostarczają codziennie z Grenlandyi i Syberyi mnóstwo ciekawych zabytków, świadczących o jedności szczerpu z ludami skandynawskimi. Łatwo pojąć, jakie światło rzucają owe porównania i świadectwa. *PP. Thomsen* i *Worsade* główni nadzorcy galeryi, mogli za pomocą owych pomników otworzyć nauce etnografii zupełnie nową drogę. Przechodząc widnokrąg skandynawskich dziejów, wykazali oni przez uczone poszukiwania istnienie rozlicznych ludzkich plemion, o których nie wspominają ani kroniki pismienne, ani nawet podania. O pierwszych postępach ludzkości świadczą

wymownie niezliczone szczątki pogaństwa, zawarte w zbiorach kopenhagskich i po nich jak po szczeblach można doszedzić ciekawy zwrot ludzkiego przemysłu. Łatwo pojąć, jak dalece owe galerye stały się popularnemi w Danii, skoro wspomniemy, do jakiego stopnia oświaty doszedł lud tamtejszy, i o ile *Tompson* potrafił sobie zjednać szczerą życzliwość ludności kopenhagskiej. Widziano nieraz szanownego antykwaryusza tłumaczącego żołnierzom, kobietom i dzieciom w najdosłowniejszy sposób, użycie i pochodzenie broni i innych przedmiotów objętych katalogiem, i w téjże chwili zwracającego się do cudzoziemców i przemawiającego do nich z równą łatwością językiem angielskim, francuzkim lub niemieckim. Oto na próbę przytoczmy własne jego słowa, które według staréj ballady wyrzekł, ukazując złoty krzyżyk z pierwszych czasów chrześcijaństwa, niegdyś należący do królowéj *Dagmar*, żony *Waldemura zwycięzcy*: „Byłyto dla wszystkich (mówi ballada), dla wielkich jako i dla małych, bogatych i ubogich, dla kmienci i mieszczan, szczęśliwe czasy, czasy królowéj *Dagmar*. Wspierała ona kmiotka, który za jéj czasów był spokojnie i bez mocołu. Gdyby Dania zawsze takie kwiaty miała na kwietniku, byłoby jéj czego pozazdrościć.“ Słyszając owe popularne imię, dziewczęta i drobne dzieci otaczają tłumnie pana *Tompson* i z poszanowaniem oglądają pamiątkę po dobréj królowéj *Dagmar*.

P. Worsade młodszemu od *Tompsona* i już wsławionemu w archeologicznych pracach, odgrzebuje gorliwie tak w Szwecyi, jak i w Norwegii, w północnych Niemczech, Anglii, Irlandyi, Szkocyi i Francyi, ślady języka i cywilizacyi starożytnych Skandynawów. W zeszłym roku właśnie zwiedził Normandyą, do którój dziejów doda niewątpliwie ciekawą kartę.

Ktokolwiek zapuści się w głębokie badanie archeologiczne, musi się spotkać ze Wschodem. Uczniowie duńscy uwikłani w naukę starożytności północnych, chcąc sięgnąć do samego źródła narodów skandynawskich, ujrzeni się u owéj wspólnej kolebki ludzkiego rodu, i niebawem zajęli znakomite stanowisko pomiędzy orientalistami europejskimi.

Już w końcu XVIIIgo wieku, wyprawa wysłana przez duńskiego ministra *Bernstorfa*, zaprowadziła ścisłe i nieustające zwiazki ze Wschodem.

Rask zmarł wprawdzie w 45 roku, przywiózł jednak z Persyi i Indyi znakomity zbiór starożytnych wschodnich rękopismów, z których wiele zaczerpnął wiadomości. *Lussen* pracował zarówno w tym przedmiocie. W ostatnich czasach *Westerguard* dał się poznać niezmqordowaną pracą nad badaniem pisma *Kuneiformskiego*, owęj nowęj zagadki uczonej Europy. Tym sposobem gorliwość nowęj szkoły duńskiej ku zgłębieniu własnej przeszłości, zaprowadziła Danią na pole obszerniejszęj nauki. Wynajdując pierwiastkowy rodowód plemion osiadłych dziś na północy Europy, szkoła ta zajęła znakomite stanowisko w nowożytnęj nauce i dorzuciła plon niemały do nowych dziejowych odkryć. (Z francuzkiego).

POCZCIWA SZLACHTA.

POWIEŚĆ

Leona Kunickiego.

I.

W jednym z cichych, lesistych zakątków wołyńskiego Polesia, w powiecie włodzimierskim, na uboczu od gościńców, leżała wioska z kilkudziesięciu chat złożona, zwana *Międzybórz*. Położenie jej z nazwiskiem ścisły miało związek, albowiem naokoło niej szumiął gęsty bór sosnowy, zmieszany z dębina i brzezina; a opasując wieńcem okoliczne czarnoziemne pola, licznymi po drózkach najeżone krzyżami: gdzieniegdzie tylko wąską trybą dawał widzieć dalsze pola i lany. Nie było to wszakże smutne i ponure ustronie, jakby się można spodziewać po tej lesistej okolicy; był las, była i woda tworząc jeziorko niewielkie, ale czyste, poza dworskim ogrodem rozciągnięte, w którym się odbijały wysokie lipy ogrodu po jednej, a lasu po drugiej stronie. Prawda, że w czasie burz i jesiennych wiatrów niewesoło być mogło w Międzyborzu, bo ponury i ogromny szum drzew zagłuszał wszystko, i jeziorko płaskaniem swych fal i szumem trzciny, pęczkami po brzegach od strony lasu rosnącej mu wtorowało; zresztą w burzliwej i jesienniej porze gdzież u nas wesołość! Ale wiosną i latem, w czasie poranków i wieczorów cichych, spokojnych, ileż poezyi było w tym dzi-
kim, lecz oryginalnym widoku! ileżto odgłosów ptastwa roz-
chodziło się po okolicznym lesie! Chóry żabek w jeziorze,

derkaczy po sitniskach, dzikich kaczek kwakania i mnóstwo innych głosów żyjątek wraz z wrzawą wioski, podwójnie pełną przybierały harmonią, i każde psa szczeknięcie we wsi, odgłos fujarki pasterza, klaśnięcie z jego batożka, lub pianie kogutów, długo brzmiały odbijając się echem po lesie..... Chaty międzyborskie sznurem po obu stronach szerokiej i czystej, z kołowrotem ciągnące się ulicy, odznaczały się lepszą budową i większym wkoło porządkiem, aniżeli pospolicie w tamtych stronach widziano. Przy każdej z nich ogródek z kilkoma śliwami lub gruszkami; gdzieś pasieki, a krzyżów z przewiązanymi plachtami wiele. Niedaleko karczmy cerkiewka o trzech blaszanych kopułkach, czarna, dranicami kryta, zielonym mchem porośła, lipami i brzozą płaczącą ocieniona.

Z głównej ulicy między opłotkami z chrustu. wiodła droga na dziedziniec do dworu: niewielki ale z symetrią w okrągłe trawniki powyrzynany dziedzińczyk, w kłomby kwiatów przystrojony, wabił oko barwą georgin, astrów, malw i zielonością trawników. Na tle zielonem drzew ogrodowych, wysokich, lip, topoli i kilku świerków, w ogród wpuszczony, rysował się dwór a raczej dworek o dwóch kominach, niewielki, drewniany, z ganeczkiem na dwóch drewnianych słupkach wspartym, słomą poprostu kryty; dokoła niego czysto i schludnie, i ściany białe otynkowane. Zdawał on się patrzeć spokojnie i wesole czystymi dużymi szybami na dziedziniec; i tak jak z oczu i twarzy o duszy, tak z jego powierzchowności i okien zdawało się, iż można wnosić o spokoju i porządku panującym w tym dworku. O kilkanaście od niego kroków stała podobna mu kuchenka, o jednym poczeriałym od dymu kominie; po jednej jej stronie przez zakopane okna widny płomień oznaczał samą kuchnię, po drugiej okno o czystych szybach firanką białą do wół z wewnątrz ostionięte, dawało poznać porządniejsze czyjeś mieszkanie. Stodoły, stajnie i spichrze słomą poczerniałą kryte, z bocianiami gniazdami, z krzyżami powystrzyganymi pośrodku dachów, skupione były po jednej stronie. Za kuchnią rozciągał się ogród warzywny, i przytykał do drogi od głównej ulicy ponad jeziorem w las prowadzącej. Wnętrze tego dworu odpowiadało schludnej a miłej i prostej jego powierzchowności. Ścianę cegłą wyłożoną, wieńcami z dożynek obwieszona; z niej kilkoro drzwi białe pomalowanych ze

świadącemi klamkami wiodło do pokoi, których było nie zawiele, nie zamato, ale jak zwyczajnie u dostatniego szlachcica.

Pierwszy pokój jadalny o dwóch oknach, biały, widny, z portretami przodków gospodarzy, z podgolonemi czuprynami i perukami Stanisławowskich czasów; meble jesionowe stare, ale całe i lśniące; dalej gabieciak z szafkami, za których szklanemi drzwiami widno były dzieła klasyków naszych i dzieje krajowe. Następnie salonik z drzwiami szklanemi na ogród, więcej jak inne pokoje przyozdobiony. Na jego białych ścianach wisiło kilka lusterek w złożonych ramach, na kominku staroświecki zegar cykał poważnym chodem; i tu meble widocznie stare z tym połyskiem nie przez politurę, lecz przez czas wywołanym, kryte wzorzystemi perkalikami. Między oknami fortepianik z pliką nut, firanki u okien muslinowe i jak śnieg białe, a kwiaty w szklanych rżniętych puharach, ogrodowe, ozdabiały okna i okrągły staroświecki o jednej nodze stolik, stojący przed główną kanapą.

W tych pokojach nie było nic z zbytkowych ozdóbek, cacek, kanapek i kozetek *rococo*, jakie się po pańskich dworach napotykać dają; nie było tam tych serwantek za szkłem z cukrowemi aniołkami i *lanszaftów* z żurnali mód oprawionych, jakie po mniejszych dworach znaleźć można: ale był smak, ład i porządek w tém urządzeniu pokoi, w ustawieniu starych ale jeszcze zdatnych do użytku sprzętów; był jakiś szyk i wesolość, któremi te pokoje tchnęły. A po drugiej stronie sieni był pokój gospodarza domu: tam stało łóżko wzorzystą włóczkową osłonięte kapą; w głowach na ścianie wizerunek Najświętszej Panny Boczajowskiej w srebrnych ramach i sukienec, stół zarzucony regestrami i broń myśliwska w trofea na ścianie rozwieszona.

Dziedzicem tej jednej wioski lasami otoczonej był pan *Piotr Zielonka* wojskowy, dawny kapitan podobno, a teraz prawdziwy szlachcic na zagrodzie. Był to typ tej rzadko widzianej u nas szlachty, która święcie zwyczajów dawnych strzegła, i przechowywała w sobie wszystkie ojców naszych cnoty; a której nawet powierzchowność butna, gdyby zamiast tegoczesnego ubioru przywdziała dawny strój, w niczémby się nie różniła od tych postaci, wiszących na portretach w jadalnym pokoju. Dostyc było spojrzeć na pana *Piotra*, ażeby się domyśleć czém był i jakim był: wysoki, dość otyły z podniesioną głową, twarz miał ogorzalą, lecz rumianą, podbródek duży, wąsy naje-

żone do góry, oczy ciemne przenikliwe, czub rzadkich już, lecz czarnych włosów, z boków głowy na czoło zaczesanych. Głos jego gromki, śmiech głośny, w całej postaci i w twarzy jakaś hulaszczność, jak mówi Czajkowski, ale zarazem poczciwość i otwartość. Przyjacielski, łatwo się dawał ujmować uczuciom przyjaźni; otwarty, wypowiadał wszystko co czuł i myślał, co miał do kogo bez ogródki, a do swój rozmowy mieszał zwyczajnie wyrazy ruskie, jakich lud w tamtych stronach używa. Po-pędliwy z natury, ale prawego serca i szlachetny, gorąco ujmował się za prawdą i uciśnionym, i nieraz zasuwowym był w są-dzie o wykraczających; z drugiej strony czuły i tkliwego serca a wesołego ducha, rozkładał się lada piosnką przypominającą mu lata młodości, oczy mu łzami zachodziły, gdy mu opowiadać było lub czytać coś tkliwego. Jak dawniej wojak waleczny i zapamiętały, tak teraz rolnik zawołany, umiejętnie gospodarował w Międzyborzu pomnażając dostatnią fortunę. Dla swych włóścian był surowym ale sprawiedliwym; bano się jego gromkiego głosu, ale go kochano. Gospodarka szła u niego po żołniersku i systematycznie, a oficjalisci w żołnierskim rygorze byli utrzymywani. Pan Piotr miał renomę u wielu *poczciwego szlachcica*, t. j. rubachy, hreczkosieja, co się zwykle pod tą rozumie nazwą; istotnie zaś byłto człowiek należący do sfer-y średniej, ale poczciwej i prawdziwie godnej, który nie starał się o odznaczanie się powierzchowne przez życie wystawne, na jakie jego majątek mógłby wystarczać, ale który szukał prawdziwej uciechy w pracowitem a cichem życiu, w pożyciu małżeńskim i w uczuciach domowych.

Żonę kochał, ubóstwiał nawet, ale bo też zasługiwała na to w całym znaczeniu.

Pani Emilia Zielonka z domu hrabianka N., o kilka lat młodsza od męża, nie była taką, jakąby się po jej pochodzeniu spodziewać można. Była to kobieta praktyczna, najmniejszego cienia dumy w sobie niemająca, tkliwa, łagodna i pracowita. Wychowana na dworze starego ojca, który po hrabiowski dom prowadził i pańskie starał się jej dać wychowanie, ładna podówczas hrabianka mogła się spodziewać świetnego losu w przyszłości; szczęściem dobre zasady głęboko w nią wpojone, zwalczyły przesady towarzystwa, w którym żyła: ona pojmowała życie, pojmowała co prawdziwie uszczęśliwić może człowieka, i tą drogą poszła. Pokochawszy dziarskiego pana

Piotra, postanowiła przebłagać ojca, nie zważać na krzyki rodziny, która to za wielki uważała *mezalians*, i dzielić złe i dobre losy z ukochanym Piotrusiem. Kochający ją ojciec długo się zrywał i nie pozwalał, wreszcie zezwolił; lecz rodzeństwo nie mogło do dziś dnia darować Emilii, że poszła za *monsieur chose*, którego nazwisko uważało za tak niskie i dziwaczne, że go nigdy sobie przypomnieć nie mogło. Pan Piotr oprócz szczęścia posiadania kochanki, za wielki uważał honor i za wielkie ze strony Emilii poświęcenie, że hrabianka postanowiła dzielić jego losy, i starał się ją obsypywać tą wytworną okazałością i dostatkiem, do jakich przyzwyczajoną była. Emilia wszakże odmawiała: jój było dosyć skromny a przyzwoity domek, praca i miłość Piotra.... Nie trzeba znów sądzić, aby pan Piotr za przykładem wielu mężów ubóstwiających swe żony, ślepo zostawał pod bezpośredniem jój władaniem; to nie: byłoby małżeństwo rzadkie, prawdziwą skojarzone skłonnością, w późniejszym czasie wzajemnym szacunkiem życie słodzące; małżeństwo, którego pierwotna młodzieńcza miłość zamieniła się w najczystsza przyjaźń i wylanie się serc wzajemne.... Kiedy nieraz pan Piotr nalegał, ażeby w Międzyborzu nowy dom, pałacyk wystawić, przyozdobić go i uczynić godnym mieszkania hrabianki; Emilia z łagodnością sprzeciwiała się temu, mówiąc, że dworek ten choć stary, ale wygodny, że w nim meble jeszcze dobre, że to lepiej schować na posąg dla *Maryłki* jedynaczki, ku której rodzicielska miłość jeszcze ścisłejszy węzeł ich przywiązania stanowiła. Powierzchność pani Zielonki aczkolwiek już w wieku, zachowała ślady dawniej piękności; twarz jój delikatna i blada pełną była szlachetności i łagodności, ułożenie giętkie i miłe umiało się zastosoować do każdego stanu i wieku i jednało serce każdego.

Maryłka jedynaczka, dziś już dojrzała lat ośmnastu panna, byłoby dziewczątko miłe, ładne, wesole i dobre: postawa wiotka, zgrabna, nóżka mała, twarzą rumiana, choć nieco opalona, oczki czarne, figlarne. włosy czarne przystrzyżone i w pukle około szyi zwijające się. Była w całym znaczeniu ładna, hoża i zdrowa córa wsi; ale niedość na tém: w tych oczkach żywych widny był dowcip przy wesołości, na czole gładkiem rozsądek, na usteczkach rumianych uśmiech, który dawał często widzieć białe jój zębki. Wdzięczną i miłą powierzchowność *Maryłki* podnosiły ułożenie jój proste, łagodność cha-

rakteru i zdrowy sąd o rzeczach, a co najwięcej, wesołość naiwna, swobodna, którą zda się ożywiało każde miejsce w którym się znajdowała; zdawało się, że tam gdzie dźwięczał jej srebrny głosik i uśmiech szczyry rozjaśniał figlarną twarzyczkę, tam było weselej i miliej. Jakże jej dobrze było w niebieskiej lub białej muślinowej, pod szyję z białym wyłożonym kołnierzykiem sukience, która tak wdzięcznie i wyraziście rysowała zgięcia i kształty jej zgrabnej postaci, a czasem zaszadzona za włosy georginia lub inny z ogrodu kwiatek, jakże wdzięcznie przypadają do tej okrągłej i ładnej jak one twarzyczki!

Wychowanie Marylki było proste, więcej skierowane do serca, uczucia, aniżeli powierzchownych i błyskotliwych, a jednakże tak popłacalnych zalet. Przygotowywała się w Marylce kobieta praktyczna, rządna gospodyni, dobra żona, matka i obywatelka; wszakże nie zaniedbano w niej i tych niezbędnych dobrej edukacji warunków, które sumiennie wychowana panienka posiadać musi. Oprócz więc dokładnej znajomości własnej literatury i historii, grała nie biegle; ale wdzięcznie i z czuciem na fortepianie, umiała po francuzku, tańczyła zgrabnie i lekko, i w całym ułożeniu była naturalną, giętką i dość śmiałą; a wesołość którą miała wrodzoną, dodawała jej jeszcze więcej uroku. To tylko było może w niej do zarzucenia, że znała tylko ojczyzną literaturę, że grała stare mazurki i krakowiaki, że rzadko i tylko z musu mówiła po francuzku, a w ułożeniu (jakby wielu twierdzić mogło) zanadto była naturalną i trzpiotową. Jednakże rodzice z Marylki byli zupełnie radzi; matka z miłością patrzyła na swoje dziecko i widziała jak w miarę zaokrąglania się jej ładnej twarzyczki, i serce i główka pod jej kierunkiem rozwijały się pocziwie, cicho ale jasno; i radowała się w duszy, bo ją widziała taką, jaką mieć pragnęła, jaką wymarzyła jeszcze w dziecięcych jej latach.

Marylka kochała rodziców całą miłością dobrej córki: każdą radę, przestrożę lub naukę matki, przyjmowała pochoinnie, zatrzymując ją niezatartą w sercu. Zarządzała domem, krzątała się z kluczami wyręczając matkę, grała na fortepianie, słuchała szumu lasu, który ulubiony jej Międzybórz otaczał, lubowała się widokami prostemi, a tak wszakże przemawiającemi do duszy w tém ustroniu, i była zawsze wesołą i śpiewającą. A nieraz gdy się rozswawoliła, to Marcinowi staremu karbo-

wemu z dużemi siwemi wąsami i łysą głową, włożyła czépek staréj Józefowéj kucharki na głowę, albo swój kapelusz, i skacząc przed nim śmiała się i klaskała w białe i pulchne rączki, i prowadziła do ojca lub do mamy; to znów po ogrodzie kazała staréj Józefowéj uciekać, a sama ją gonić chciała, lub odwrotnie.

Starzy studzy chętnie to wszystko robili dla dobrej pańienki, bo ją kochali, bo każde żądanie Marylki było łagodną prośbą, a nie rozkazem; i stary Marcin nie wzdygał się bynajmniej być ubranym w czépiec z ogromnemi szlarkami lub w kapelusz z kwiatkami, a Józefowa pomimo starości i zapadając na jedną nogę, chętnie *uciekala* lub *gonila*, a Marylka śmiała się serdecznie pokazując białe ząbki, tym śmiechem, w którym cała swoboda dziecięca i naiwność się przebijały.

Wrodzona wesołość Marylki w miarę jej wieku, z dziecińnej i pustej przechodziła w swobodną, wdzięczną a poważniejszą, objawiając się wszakże pogodą i wesołością oblicza, częstym uśmiechem i żartem naiwnym a nieszkodliwym. Bo i czemuż nie miała być wesołą, kiedy żyła przy ukochanych rodzicach, pod okiem drogiéj matki; kiedy jej zajęcia były tak miłe, tak lekkie napozór, a każda pora roku właściwe sobie powaby i zatrudnienia nastęrczała; kiedy wreszcie jej serce zdawało się jeszcze nie nie pragnąć, tylko modlitwą czystą i prawdziwą dziękowało Bogu za byt terażniejszy i prosiło Go o zdrowie osób ukochanych i dalszą łaskę niebios, która zda się Międzybórz swemi promieniami okalała. Jednakże to wesołe Marylki usposobienie miało chwile nowe i nieznanne: kiedy nieraz w piękny dzień letni z książką w ręku chodziła po ogrodzie, gdy woń kwiatów wznosiła się w powietrzu, muszki i pszczoły brzęczały, motyle podlatwały z kwiatu na kwiatek, a lipy ogrodu i las sosnowy w oddali, tajemniczo i lekko szumiały; nieraz uczuła serca żywsze bicie, a w myślach jakąś nieokreśloną tęsknotę, rzewność i westchnienie nieproszone, bez przyczyny, wzdymało jej piersi....

Ciche i spokojne było życie mieszkańców Międzyborza; pojęcie i wykonywanie obowiązków, wzajemne uczucia, dostatek przy skromności i godności w użyciu, zamiłowanie zatrudnień zwyczajnych: stanowiły pasmo tego spokojnego pożycia, tego zadowolenia z samych siebie, jakiego dusze cnotliwe swoim oddane obowiązkom kosztować mogą. Słowem, międzyborski

dworek jakkolwiek słomą kryty, w porównaniu z innemi naszymi dworami mógł być uważany za przybytek szczęścia i spokoju, przybytek cnót naszych dawnych, za wzór ładu i prostoty; Państwo Piotrowie jako typy poczciwych i zacnych obywateli naszych, Marylka dziewczątkiem powabnym i dobrze wychowanym; dziewicą, która kiedyś dobrą żoną i matką zostać miała. Jednakże, czyliż prawdziwa wartość bywa ocenioną tu na tym świecie, czyliż sąd ludzki powodowany zazdrością, zawiścią często bez przyczyny, wydaje wyrok sprawiedliwy?—bardzo rzadko w świecie, a tém rzadziej w sąsiedztwie. To téż w większej części dworów sąsiedzkich Międzyborza, które składała arystokratyczna familia Emilii, niemogąca jej darować *mezaliansu* i tak niskiego prowadzenia domu; dwór międzyborski uważany był za mizerną i bez gustu słomianą kłétkę, państwo Piotrowie a szczególnie pan Piotr za kutwę, rubachę i dziwaka, a Marylka, Boże odpuść! za trusiątko nieokrzesane i trzpiotowate. Pomimo to jednak członkowie familii po większej części zadłużeni w pańskich majątkach, często zaszczycali swą bytnością międzyborski dworek, politykując, choć zaoeznie krzycząc, gdyż państwo Piotrowie jako zasobni i majetni, często wielką im mogli być pomocą. Oprócz tych i inni sąsiedzi licznie odwiedzali Międzybórz, a gość każdy bez różnicy czyto z karety, czy z bryczki polówki, zarówno uprzejmego i gościnnego doznawał przyjęcia. Dla członków familii swój żony pan Piotr może był trochę nieśmiałym i więcej unizonym,

II.

W piękny dzień lipcowy, przy otwartych oknach dworu, w popołudniowej porze, słychać było gromki głos pana Piotra w swoim pokoju. Tam koto drzwi stał staruszek rumiany z siwym wąsem, łysą głową, pochyłony naprzód, z oczami od starości zmatowanemi, z otwartą gębą. Ubrany był w długą szaraczkową kapotę z metalowemi guzami i bóty długie juchtowe: wyprostował się jak mógł i ręce po bokach trzymał prosto po żołniersku, a w twarzy jego znać było zakłopotanie i frasunek. Pan Piotr w płóciennym kitlu, z krótką fajeczką w ustach, przechadzał się po pokoju i ostro spoglądając na staruszkę, groźnie go strofował.

— Wstydz się stary, wstydz; kiedy raz co powiem, to powinienes święcie tego dopełnić. Kiedym mówił: wracaj zaraz, to było *sia wertaty*, a nie hać się i nie wstępować na pogadanki!

— Skusilo mnie coś *przez urazy JW. panie*— chropawo odpowiedział stary— i jak ja wstąpił do *Komarowój*, ta i zagawędził się z Kalinowskim anim wiedział kiedy, a dziś niedziela.....

— Dziś niedziela; ale mój przykaz był inny. Mówilem ci: wracaj zaraz, a *znajesz szczo ja toho ne lublu*.

Wtém wbiegła Marylka przybrana w białą muślinową sukienkę, ze świeżym w ręku bukietem, biegiem zarumieniona, a spostrzegłszy starego tak zafrasowanego i ojca gniewnie go strofującego, zapytała:— Cóż to, papcio, Marcin zrobił?

Stary spojrział z miłością na hożą panienkę, którą kiedyś na rękach piastował, poruszył się tylko, ale nic nie rzekł.

— Marcin mi znów skrewił — łagodniejszym głosem odezwał się pan Piotr— zamiast powrócić dziś rano z Zahajek, jak mu przykazałem, wstąpił do Komarowój i tak *rozhoworywawsia do toj pory*.

Marylce żal się zrobiło poczciwego Marcina, widząc jego zafrasowaną minę; całując ojca w rękę, rzekła łagodnie:— Niech papcio się już nie gniewa na Marcina: dziś niedziela, zresztą on tego już więcéj nie zrobi: nieprawdaż Marcinie?

Stary nic nie odrzekł, ale znać było po jego twarzy jak był wdzięcznym Marylce za to wstawienie się do ojca.

— No pamiętaj stary, *koby meni toho na druhij raz ne buło*; a teraz idź z Bogiem, a jutro na *Barwinkach*, jak mówilem, trzydzieści czeladzi do suszenia siana.

— Dobrze JW. panie — udobruchony mówił stary i obracając się niezgrabnie a po żołniersku, już miał wyjść, gdy sobie coś przypomniał.

— *Przez urazy JW. pana*, pan Adam już wrócił do Komarowój; kazał się kłaniać JW. państwu i panience, i sam pewnie tu dziś przyjedzie.

— To przecież już przyjechał — z widocznie rozpromienioną twarzyczką zawołała Marylka, i z wdzięcznością za miłą wiadomość spojrziała za odchodzącym starym Marcinem; ale jak gdyby się spostrzegła, że zanadto jawnie tą wiadomością ucieszyła się, przybrała minę surową, i gdy ojciec zasiadł

do stolika i zaczął przeglądać rejestra, zbliżyła się do okna, zwiędte kwiaty wyjęła i wstawiała świeże, nucąc coś sobie półgłosem. Gdy ukończyła, odstąpiła kilka kroków i przypatrując się kwiatom, rzekła: — No, ma papcio znowu świeże aż do jutra wieczór.

— Dziękuję ci, moje życie.

Marylka wyszedłszy z pokoju ojca, zwróciła się na dziedziniec, przebiegła żwawo do kuchni, tam z sionki na lewo, gdzie prowadziły drzwi jednotaflowe lecz czystsze i z porządniejszą klamką od przeciwległych, weszła żwawo do wesołej, widnej izdebki z belkowanym sufitem, z kominkiem i piecem, podłogą z tarcie czysto umiecioną i dwoma oknami z białymi firankami i wazonikami kwiatów. W jednym rogu stało łóżko białymi pierzynami i kilkoma poduszkami wysoko zasłane, nad niem krzyżek mosiężny, kilka obrazków świętych z odpustu, palma, gromnica i wianeczki święcone. Pod jednym oknem stół czarny dębowy z różnemi gracikami, jakoto: szkatuleczką, kartami, poduszczykami na śpilki i t. d.; na ścianie zegar z wagami mruczący i opylony; dalej pod drugim oknem kuferek zielony, w rogu szafka czerwono pokostowana i lusterko zbite między oknami. Przy stoliku siedziała zgarbiona starowina z twarzą pomarszczoną, w okularach mosiężnych ściskających nos miękki i pęczkowały, z ustami dla braku zębów wpadłymi i zaciśniętymi, z policzkami, które w miejscu rumieńca pasowemi żyłkami były pokryte. Zpod dużego ze szlarkami czépeca, zawiązanego fioletową jakąś i wypłowiałą wstążką pod pomarszczoną szyją, wymykały się włosy rzadkie a srebrne; ubraną była w szlafroczek jakiś stary i wypłowiały z wysokim stanem, i w chustkę popielatą w kratki, naokoło szyi zarzuconą. Z pilnością robiła pończoszkę, której brunatna barwa świadczyła od jak dawna już nad nią pracować musi; pilnie patrzyła zaczerwienionemi oczyma, a druty niepostudzane za każdym oczkiem drżały i mijały miejsca stosowne. Była stara Kowaleska niegdyś ochmistrzyni dworu rodziców Emilii, dziś rezydentka na łaskawym chlebie, modląca się, robiąca pończoszkę i kładnąca kabalę.

— Dobry wieczór, Kowalesiu — zawołała żywo wbiegając Marylka aż staruszka drgnęła, i siadając na łóżku zarumieniona biegiem — czemużto dziś Kowalesia (zapytała) obiadu z nami nie jadła?

Starowina przestała robić, i podnosząc głowę i przez okulary patrząc z uśmiechem na Marylkę, przez nos ściśnięty odrzekła:— Bo mnie dziś kości strasznie bołą, moje serdeczne kochanie: pewnie dêszech będzie.

— Dostała Kowalesia naleśników?

— Dostałam, serdeczne kochanie.

— Kochana Kowalesiu i mnie jakoś dziś niedobrze, smutno, tęskno—mówiła strojąc figlarną a niby smutną minkę. — Chciałam cię prosić, żebyś mi pociągnęła kabalę; chcę wiedzieć—mówiła wdzięcznie się na rączce podpierając—czy on przyjedzie?

— Któżto taki, duszyczko moja?

— On....ten, co na niego zamyślę w kabale, co jest w królu czerwinnym.

— Aha, ten hrabia albo książę, coto zawsze w kartach *kole* ciębie wypada....

— Niechaj będzie i ten, tylko mi połóż, moja Kowalesiu!

— Dobrze serdeczne kochanie moje, zaraz... zaraz...

I złożyła robotę na stole i wziąwszy talią zatłuszczonych kart, zaczęła je z miną poważną niezgrabnie tassować, mówiąc:

— A taki uważałam, że ten król czerwinnny regularnie przy wyżniku stoi. Śmieję się nie śmieję duszyczko moja, ale lada dzień patrzeć jak jaki śliczny i bogaty panicz przyjedzie tu o twoję rączkę, serdeczne kochanie.

— A nie możesz mi Kowalesiu powiedzieć z tój kabaty, jak ten mój konkurent wygląda?

— Tego nie można wiedzieć—dając do zebrania karty, ciągle z powagą mówiła stara—ale że bardzo bogaty, to najpewniej, bo żółdzi dużo zawsze *kole* niego.

I zaozęła kartę koło karty układać:— O! widzisz, duszyczko moja—zawołała—znowu formalnie za każdą razą król czerwinnny o zakład *kole* pampfila; tylko go czekać: przyjedzie, ożeni się z tobą, serdeczne kochanie, i moja Marylka będzie wielką, bogatą panią, ale stara Kowaleska może tego już nie doczeka.... O! wyraźnie stoi dla ciębie małżeństwo i to niedługo...

— A prędko przyjedzie?—figlarnie zapytała Marylka.

— Ten konkurent, duszyczko moja?

— Aha!

— Tu stoi, że niedługo, bardzo niedługo.

— A! teraz widzę, że Kowalesi kabata choć raz prawdę powiedziała. Przyjedzie naprawdę dziś albo jutro ten, com na niego zamyśliła w królu czerwinnym, a zwiódłam cię Kowalesiu, bom zamyśliła na kogo innego.

— No, na kogoż, serdeczne kochanie?

— Na Adasia!—mówiła śmiejąc się i patrząc na lekkie zakłopotanie stariej, która swój kabale zawsze pewną prawdziwość nadać chciała.

— Ej ty, ty figlarczyko kochana—składając karty mówiła stara—zawsze to było swawolne. To pamiętam jak z Adasiem dziećmi byliście małemi, to bywało proszą mnie: Kowalesiu, bądź księdzem biskupem; i ubierali mnie w długą chustkę, papierową mitrę sadzali na głowę i śpiewali niby processya. A ten Adaś to taki zawsze był swawolny, co niech ręka Boska broni: to nieraz odbiora tobie lalkę, a ty płaczesz; to potem przeprasza, to biegają po ogrodzie, w chowanie grają, za krzaki się pochowają i hukają, a Kowaleska ich szukać musi. Ale Kowaleska wtenczas mogła jeszcze żwawo chodzić, a dziś z laską lézie babina stara....

— Teraz Marylka lalkami przestała się bawić; prawda Kowalesiu?

— Ho ho! już Marylco iść za mąż i być panią.....

— A Adaś chłopaczek dorosły, przystojny, wesoły.....

— Oj, takato kolej rzeczy, serdeczne kochanie; a bywało, jak się bawicie z Adasiem w ogrodzie, a pan hrabia (nazywała pana Piotra hrabią dlatego zapewne, że Emilia była z domu hrabianką) i pani hrabina i opiekun Adasia siedzą i patrzą, to pan hrabia woła ciebie duszyczko moja i Adasia i pyta ciebie: „Czy chcesz Marylko iść za mąż za Adasia?"; to ty śmiało mówisz: „O chcę, papciu!“. „A dlaczego?“, „bo wesoły i ładny, a choć się czasem sprzeciwia, to taki zabawki zawsze wynajduje i przywozi i potem przeprasza.....“

Marylco znać te wspomnienia mile płynęły do duszy, bo na twarzy wykwił uśmiech zadowolenia, piersi wznosiły się westchnieniem i z zajęciem słuchała stariej, która znów pończochę drząco i koślawo robić zaczęła.

— A teraz wiesz Kowalesiu, gdyby mnie się tak samo jak wtenczas spytali czy chcę za męża Adasia, to wiesz cobym odpowiedziała?

— No co, serdeczne kochanie?

— Zgadnij!

— *Albo* ja wiem?

— Powiedziałałabym tak jak wtenczas—i zaczęła się śmiać serdecznie przechylając główkę.—*Albo* nie! żartuje, powiedziałałabym tak—podnosząc się nieco i paluszek swój biały i pulchny trzymając do góry z minką poważną:—nie chcę *Adasia*, bo mnie *Kowalesia* w kabale zawsze wyciąga jakiegoś ślicznego i bogatego konkurenta, za którego pójdę.

— Oj ty, ty figlarko; niech ci Bóg daje zdrowie.

I powstając *Marylka* spiesznie:—No! do widzenia się, *Kowalesiu*—rzekła—chociaż raz jestem zadowolona z twojej kabały. A czy przyjdiesz dziś do nas?

— Oj *ni*, serdeczne kochanie, bo mnie coś strasznie kręci po nogach: pewno dęszcz będzie.

— No, to *adieu*, *Kowalesiu!*

I jak motylek wybiegła swobodnie i chyżo, nie zważając na promienie słońca, które mocno jeszcze ziemię ogrzewały, a które mogły do reszty opalić jej ładną twarzyczkę.

Przebiegła nucąc wesoło pokój jadalny, gabinecik i weszła do salki, której drzwi na ogród były otwarte. Pod jednym oknem siedziała *Emilia* zajęta robótką, ubrana czarno i skromnie lecz z gustem. W jej bladawej, delikatnej, pełnej szlachetności i wyrazu twarzy, wiele było podobieństwa do *Marylki*; wszakże powolna łagodność, którą się jej ułożenie cechowało, różniło ją nieco od córki, która w żywości do ojca więcej była podobną.

— Gdzieżeś biegła, *Marylko*? Pewnie po słońcu?

— Do *Kowalesi*, moja mamó.

— A pewnie bez parasolika. Głowę sobie przepalisz, a przynajmniej opalisz sobie twarz okropnie.

— Opalić, to najmniejsza, moja mamó; mam się komu podobać, to i tak się podobam—mówiła przystępując do lustra i układając czarne włosy, biegiem trochę rozrzucone.—*Kowalesia* mi kabałę kładła: koniecznie mi prorokuje, że będę wielką panią, bardzo bogatą, to i nie uważam na ogorzeliznę.

Uśmiechnęła się matka.

— Wié mama, *Adaś* już wrócił, ma tu dziś być; już mi doprawdy tęskno bez niego: nie mam z kim pośmiać się i pożartować.

— Któż ci mówił?

— Marcin, który dziś jeździł do Komarowej i dostał burę od papci za to, że długo tam siedział. — I niby bezinteresowną przybrawszy minkę, zaczęła przerzucać książki leżące na stole; a wyjąwszy Spekulanta ulubionego naszego Korzeniowskiego, przyciskając go do piersi rzekła: — Aha, mam cię, mój Spekulancie; jak go przeczytam, to go mamie głośno drugi raz czytać będę. Śliczna to powieść, lubię te energiczne Korzeniowskiego bohaterki; obok tego możebym im zbytnią sentymentalność zarzuciła. Zeby tak na mnie, ho ho! zarazbym się domyśliła, co to wart ten pan spekulant..... Ale wie mama, co jabym dała żeby tu Korzeniowski mógł być i poznać kilka indywiduów z naszych stron; naprzykład, naprzykład choćby i dziadzie — dodała ciszej i konfidencyjnie — i ciocie i trzy siostrzyczki moje stryjeczne. — I zaśmiała się. — Miałby doskonałe typy do powieści pod tytułem: Arystokracya. Dziadzio zawsze dumny a elegancki, przyskany nam, żeśmy poczciwa rubaszna szlachta; ciocia także, siostrzyczki które ciągle po francuzku mówią i mają mnie za trusiątko.....

— To prawda, moje życie, że oni mają wady i przesady, ależ zawsze to są nasi krewni i tém więcej litować się nad nimi wypada.....

— Mnie też i śmiech i żal bierze — i ukłękawszy przy matce całowała ją w rękę, matka ją w czoło i Marylka ze Spekulantem i z parasolką wybiegła do ogrodu.

Ładnyto był ten ogródek międzyborski: przed gancezkiem okrągły, duży jak na dziedzińcu rozciągał się trawnik, na nim klomby róż, bzu, goździków i innych kwiatów różnobarwne a miłe oku tworzyły bukiety. Naokoło ogrodu szły aleje starych i gestych lip, przyjacielsko wiążących wzajem swe łgie konary, tworząc sklepienie, przez które słońce przedrzeć się nie mogło, a które miłym chłodem w czasie gorąca i czystości ulic nęciły do przechadzki. Przez konary lip tworzących równoległą od dworu w głębi ogrodu aleję, połyskiwało jezioro i widny był las, niebieskawą zawsze w oddali pokryty pomroką. Przestrzeń ogrodu między klombami i alejami zajmowały kwatery i drzewa owocowe rosły, obfitym owocem lub kwiatem okryte.

Marylka z książką w rękę i parasolką zwróciła się w lewo i weszła w aleję; słońce już się zniżyło, gorąco niewiele dokuczalo, muszki, pszczoły i osy jeszcze brzęczały po kwiatach i koniki polne cykały po trawach. Byłato ulubiona Marylki

aleja, po której rano i w wieczór z książką chodziła. Grubsze też tu były pnie lip, żółtym mchem pokryte, gałęzie ich u wierzchu gęściej i szczelniej się splatały, tworząc sklepienie od deszczu i słońca nieprzebyte; a liście w ową chwilę zatrzymując słoneczne światło, odbijały jasnym i żywym zielonym kolorem, roznosząc po całej alei półcień zielonawy, który okrywał twarz i suknie wchodzącej. Pośrodku alei była kamienna ławeczka i stoliczek w ziemię wbity, na którym nieraz podparwszy ładną główkę, Marylka dumiała i odpoczywała. Ładne to dziewczátko w tej majestatycznej i wesolej alei, jak sylf jaki lub bogini świętych gajów, w białą muślinową przybrana sukienkę, owiana zielonością i wonią ziół i kwiatów, drobną ślizgała nóżką po czystej ulicy. Ale czemużto Marylka z rozwartą powoli postępując książką, jak dawniej nie chwyta chełwie oczkami wyrazów tak płynnie i kwiecisto napisanej powieści? czemuż ją zamyka, to znów otwiera i staje i zdaje się czemuś przysłuchiwać?... Wiadomość o powrocie Adasia, jej młodych lat i zabaw towarzysza, którego kilka miesięcy nie widziała, nappełniła ją radością i pewnym roztargnieniem w oczekiwaniu jego przybycia. Bo Adaś mieszkając o milę od Międzyborza, stał się tu prawie domowym; Marylkę nazywał kuzynką, ona go kuzynkiem, chociaż żadne prawie a przynajmniej bardzo dalekie wiązało ich niby kuzynostwo. Temperament wesoly Adasia pasował do żywości Marylki, i teraz, kiedy on wyrosł na mężczyznę, ona na dziewczę, weselość i żarty zawsze towarzyszyły ich wzajemnemu widywaniu się. Bardzo często trzpiotowały Adaś porwawszy Marylkę, wykreczał z nią polki lub oberka, chociaż nikt nie grał. Marylka jeździła konno na spokojnej karzej klaczy, a ładnie jej było w amazonce i w kapelusiku z czarnym piórem. Stary Marcin miał dozór nad klaczą i był niejako masztalerzem; gdy panienka wyjeżdżała, on choć stary, dosiadał starego kasztanka i pochylony, z otwartą gębą, trząstł się z dobrej chęci za panienką, strzegąc ją od wypadku. Adaś często także konno towarzyszył Marylce i nieraz jak zaczęli galopować i wyścigać się, to stary Marcin i czapkę gubił i chwiał się, a oni się śmieli i po błoniach hasali. To znów czasem Marylka wsiadała do najtyczanki Adasia, który miał zawsze konie żwawe i brykające, i sam powoził; Emilia sadzała Marcina obok Marylki dla bezpieczeństwa: ale jak zaczęli biegać po polach, to aż Marcin polecał się Bogu, aż Emilia tru-

chłała, aż pan Piotr przestrzegał, a Marylka śmiała się z przestrachu starego Marcina i niezmiernie podobne przejażdżki lubiła. To znowu czytali razem wiersze wieszczów naszych, lub celniejsze nowoczesne powieściowe utwory; a czasem Adaś grający na skrzypcach, towarzyszył Marylce na fortepianie w skocznej polce lub mazurku.

— Dlaczegoż on mnie tak zajmuje? — czemu mnie zajmuje więcej aniżeli ja jego może? — pytała sama siebie Marylka chodząc po alei — czyżbym go już kochała? Ja kochać go, kiedy on dla mnie nic oprócz przyjaźni i dawniej przychylności nie okazuje? Ja kochać go? ja nieprzyjaciółką wszelkiej sentymentalności, którą gniewają bohaterki zbyt pobłażliwe i kochające? O! to zawiele, panie Adamie, a gdyby i tak było, nieprędkobyś się o tém dowiedział; ale że go lubię, bardzo lubię, może nawet.... eh, co za myśl... Ale czemuż tak jestem rada gdy go widzę, chociaż tego staram się nie okazywać, czemuż te u jego koni chomonta tak mile mi dźwięczą w uszach, gdy przyjedzie? czemu głos jego mężki gdy mi czyta Bohdana lub autora Grażyny, daje mi w tych autorach poznać piękności, których sama czytając nie dostrzegłam? czemuż wreszcie gdy zacznę sobie dumać o przyszłym losie, gdy może powołanie żony zmusi mnie opuścić ten miły Międzybórz, czemu ta wesola Adasiowa twarz towarzyszy mym myślom? — Westchnieniem zakończyła tę główki z sercem rozmowę i stanąwszy, znów się przysłuchiwać zaczęła.... Tą razą niepłonném było jój oczekiwanie, bo szczenie psów, turkot i dzwonenie tak dobrze znanych, a tak mile w jój uszy wpadających dzwoneczków na dziedzińcu słyszeć się dało. I rumieniec nieproszony i prędzse serca uderzenie nie wiedzieć dlaczego Marylka uczuła, gniewając się sama na siebie. — Nie pójdę naprzeciw niego, niech on tu do mnie przyjdzie — mówiła do siebie i znów zaczęła chodzić po alei roztworzywszy książkę i niby z zajęciem czytając, chociaż ani jeden wyraz oczyma śledzony nie odbił się w jój umyśle. Myśl jój cała była tam we dworku, do którego wszakże nie poszła.

Po niejakiem czasie chodząc po alei tam i napowrót, i z niecierpliwością spoglądając w stronę ganku, a udając głęboko czytaniem zajęta, ujrzała wreszcie Marylka na ganeczku matkę i Adasia, który gdy ją spostrzegł, pospieszył do niój do alei. Marylka niby czytaniem zajęta, chociaż szła w stronę dworu,

udała że nie widzi i zwróciła się znów spacerując napowrót. Adaś ją prędko dogonił. Byłto chłopiec lat 22 najwięcej, średniego wzrostu, ładny, świeży, blondynek, swobodnych i zgrabnych ruchów, ubrany w czarny zgrabny tużurek zpod którego grubo-złota u kamizelki wyglądała dewizka. Kołnierzyki białe i duże wyłożone i chusteczka niebieska w duży fontaż związana, nadawały mu minę młodszą aniżeli był w istocie. W twarzy jego rumianej, z wąsikami blond nad dużemi i świeżemi ustami, widny był wyraz swobody, rześwości i wesela; oczy duże niebieskie miały wyraz łagodny i otwarty, łzawy a wesoly; włosy krótko przystrzyżone, miękkie i jasne, wszakże w krótkie lecz oblite zwijały się pukielki.

— Witam kuzyneczkę—stając z kaszkiecikiem w rękę przed Marylką zawołał i wyciągnął rękę do jej uściśnienia.

Marylka niby przestraszona wzdrygnęła się i zarumieniła, lecz nie z bojaźni pewnie, i wyciągając doń rękę, rzekła—
Al witam pana kuzyna; jakże się jeździło, cóż tam na Podlasiu?

— Zanim opowiem o Podlasiu, zapytam się jak zdrowie kuzynki—z czułością patrząc jej w oczy, zapytał Adaś.

— O! moje bardzo dobrze... Czy dawno wróciłeś kuzynku?

— Wczoraj dopiero.

— Musiałeś się kuzynku dobrze bawić na Podlasiu, kiedyś tak długo u wujaszka siedział? —idąc z nim i patrząc mu w oczy mówiła Marylka.

— Adaś westchnął, i po chwili — O! bawiłem się dobrze — dodał nieco roztargniony — ale... cożeście tu przez ten czas porabiali?

— Co? to co zawsze; żadnej zmiany, żadnego ważniejszego nie było wypadku: jeździłam z Marcinem konno, czytałam Bondarczuka, Ulanę Kraszewskiego, a teraz czytam Spekulanta. Dziadunio był kilka razy u nas swoją odwieczną landarą i ciocia z siostrami w swojej pudłowatej karocy, i raczyli zaszczycić swą bytnością nas, poczciwą szlachtę. Ale, ale, z nowości zapomniałam ci powiedzieć, że jedna z moich siostrzyczek Hlipcia miała febrę i Micius kotek Kowalesi zadusił księdzu kanarka.... Oto masz kuzynku wszystko; ależ opowiadajże mi o Podlasiu i kogoś tam poznał?...

— Podlasie, kuzynko moja, mało się różni w swych okolicach od naszych; lasy, piaski, błota i wsie z krzyżami jak u nas, i cerkwie z blaszanemi kopułami... Co do ludzi, tak jak

wszędzie; ale są także dwory prawdziwie patryarchalne. Dobry mój wujaszek obwoził mnie po okolicy, i wiész kuzynko, że znalazłem więćej aniżeli się spodziewałem. Panienki ładne i wcale nie trusiątką; wiész — mówił z zapalem po chwili — bytność moja teraz na Podlasiu na długo miłem mi pozostanie wspomnieniem.

— Kuzynku, zmiłuj się, tak sentymentalnym wróciłeś z Podlasia! Wzdychasz, rozczulasz się, spowaźniałeś jakoś — napwół seryo patrząc mu w oczy mówiła Marylka.

Adaś nie odpowiedział, postępując z roztargnieniem około Marylki.

— Cóż to jest? nie możnaby wiedzieć przyczyny tój sentymentalności?

— Ja? — jakby budząc się zapytał Adaś — zdaje ci się kuzynko.

— Ha, ha — zaśmiała się Marylka nieco przymuszonym śmiechem — wiész, żeś zabawny, kuzynku; jesteś jakby półsenny: widać żeś myślał na Podlasiu, a tu ciałem. Chodźmy spiesznie do domu, bo obawiam się, ażebyś w zadumach pogrążony nie zabląkał się w tym ogrodzie i do dworu nie trafił.

Roześmiał się Adaś, ale nie tym figlarnym, zwykłym sobie uśmiechem, i odrzekł: — Tak dalece nie jest kuzynko.

— Ale zawsze jest. Czyż godną nie jestem dowiedzenia się tój przyczyny?

— Owszem, powiem ci, kuzynko — biorąc jej rękę mówił z zapalem — powiem ci później.

— Czemuż nie teraz? ja proszę zaraz.

— Później, dziś zawsze, i tobie tylko jednę kuzynko!

— To jakaś straszna tajemnica...

— Dla mnie rzecz ważna.

— A więc proszę mówić...

— Czy koniecznie?

— Ja każę zaraz — tupiąc nóżką wpół żartem, wpół naprawdę nalegała Marylka.

— Kiedyś tak absolutną, kuzynko, to ci już powiem, powiem ci nareszcie, że kocham... Poznałem tam istotę, anioła, piękną!...

Marylka parsknęła śmiechem, ale baczniejsze oko dostrzegłoby, że się przymusza.

— Śmiejesz się, to ci nie powiem.

— Nie gniewaj się, kuzynku, ale to zabawnie słyszeć ciebie tak mówiącego. Wiiesz, odrazu odgadłam, gdyś cię tylko ujrzała. Ale cóż dalej?

— Żałuję, że jej widzieć nie możesz, kuzynko.

— Musi być ładna kiedyś się zakochał. Ale któż to taki, jak się nazywa?

— Hiacynta....

— Imię romantyczne.

— Co za łagodność, co za wdzięk! Ah kocham ją, kocham!

— Zapewne pojedziesz niedługo? Jedź lepiej, niż masz być tak nieznośnym i nieprzytomnym—z nieudaném dąsaniem mówiła Marylka.

— Pojadę za kilka dni.....

— Odgadłam zaraz, że tak zrobisz... Wiiesz, to coś na romans wielki średniowieczny zakrawa, zakochać się tak nagle!...

— Im więcej ją poznaję, tém więcej w niej przymiotów ciała i duszy spostrzegam.

— A wieleż razy ją widział?

— Byłem ze sześć razy w Woronowie.

— Dlategoś to tak długo siedział.

— Pierwszy raz ujrzałem ją w kościele..... Zachwyciła mnie odrazu. Kiedym z wujem przyjechał pierwszy raz do Woronowa, to wierz mi, kuzynko, byłem tak nieśmiały i drżący, że dziwiłem się sam sobie. Miły to dom: rodzice uprzejmi, trochę zabardzo po pańsku, chociaż mówią, że ich majątek nieco zadłużony; ależ oczy, oczy Hiacynty, za wszystkie tam wady i niedostatki starczą.... Masz więc kuzynko tajemnicę mego serca.

— A onaże wie o tém?

— Domyśla się niezawodnie; wyznania jeszcze nie było.

— Ale wyznanie wkrótce nastąpi. Pamiętajże kuzynku uklęknąć wówczas w pozie jak najwięcej gracyznej, i słowicze mi słowy, mieszając i parnas, i zefir, i szelest strumyka, zadeklamuj swojej lubej—i zaśmiała się złośliwie.

— Śmiejesz się ze mnie, będę więc żalował, żem ci moje otworzył serce.

— No, no, nie gniewaj się kuzynku: pożartować przecież się godzi—ze smutném prawie westchnieniem i z minką poważną idąc ku dworowi mówiła Marylka.

Gdy weszli do sali, zastali Emilią siedzącą z robótką w témże samém miejscu.

— Marylko, przyjmijmyż chociaż kawą gościa.

— Moja mamó — z widocznie udaną wesołością odpowiedziała Marylka kładąc Spekulanta na stole — cóż, kiedy gość tak dziwny powrócił. Czy mama tego nie dostrzega? Stracił głowę biedaczek, wzdycha, śpi, budzić go trzeba.

Zaśmiał się Adaś i odrzekł: — Nie wiem co we mnie kuzynka za zmianę dostrzega.

Wtém wszedł pan Piotr, a ujrawszy Adasia, roztworzył ręce, wołając: — Jak się masz, mój chłopcze kochany, *hdeżeś buw, zdoroweś?* — i uściskał Adasia całującego w ramię z uszanowaniem. Marylka tymczasem z minką napozór zupełnie spokojną i swobodną, wyszła wydać rozkazy co do kawy.

— No i cóż tam na Podlasiu? — siadając koło żony zapytał pan Piotr — wujaszek zdrów?

— Zdrów, ukłony państwu przesyła.

— Czyście tam gdzie jeździli?

— O! dużo znajomości porobiłem; poznałem kilka domów bardzo miłych.

Wróciła Marylka i wzięwszy robótkę, usiadła na kanapie i niby z zajęciem robić zaczęła.

— Pewnie byleś w Nowej-Woli?

— Byłem.

— A w Topolowie?

— I tam.

— Papcio się nie dopyta dziś kuzynka, bo tak jest roz-targniony i zadumany — rzekła Marylka.

— No! doprawdy? może jaka Podlasianka *zakrutyła holo-wu?*

— Najniezawodniej — dodała Marylka z udanym uśmiechem.

— Istotnie, ja sama dostrzegam w Adasiu jakąś zmianę — patrząc nań z uśmiechem dodała Emilia.

— Nie więcej, zaręczam państwu, prócz zdrożenia i lekkiego bólu głowy.

Marylka pokręciła głową i pogroziła mu paluszką.

Wniesiono kawę; młoda i świeża w niebieskiej sukience pokojówka Joasia, wnuczka starego Marcina, usługiwała do kawy. Marylka zajęła się nalewaniem.

— Dobrze robisz, mój chłopcze — mówił po chwili pan Piotr. — *Kochaj sia zdorów*, tylko za kochaniem nie opuszczaj gospodarki; to szczęście, że masz poczciwego Kalinowskiego, który się zna na roli i wszystko na czas wyrobi.....

I rozmowa toczyła się następnie o gospodarstwie, w którym Adaś starał się zawsze zasięgać rady doświadczonego pana Piotra.

Wieczorem o zmroku, gdy Adaś żegnał państwa Piotrow i Marylkę uściśnieniem ręki, ona wstrząsając silnie jego rękę, rzekła mu ciszej: — Jedź, jedź kuzynku i albo się do reszty tam na Podlasiu zakochaj, albo wracaj, ale nie tak nudnym i sentymentalnym.

III.

Po jednej stronie międzyborskiego dworku, za pokojem sypialnym Emilii, była maleńka komnatka Marylki, biała, o jednem oknie wychodzącem na ogród, w które czeremcha i bez zagłady. W tej komnatce stało łóżeczko zasłane białą i czystą jak myśli tój, która na niem spała; nad łóżeczkiem wisiał krzyżyk czarny z relikwiami; koło okna stało biurko mahoniowe z gotowalnią i parę krzeselek. W tójto komnatce spóźnioną już porą, po wyjeździe Adasia, przy świetle księżycy, gdy Emilia i pan Piotr już spali, w otwartem na ogród oknie stała Marylka i podparwszy główkę na dłoni, płakała..... Nikt jój płaczu nie słyszał, nie słyszała matka: chyba bez i czeremcha słyszały, wonią swą napelniając komnatkę i od lekkiego i świeżego powiewu kołysząc swe krzaki; lipy stare słyszały, co lekko i tajemniczo szumiały jakby starców modlitwą wieczorną; widział księżyc, co się lśnił w jój oczach łzami zabiegłych i w medalioniku na jej łonie zawieszonym.

— I czegoż ja płaczę? — zapytała siebie po chwili — że on tamte kocha i ja tego płaczę? ja? O! to zawiele; na złość będę wesolą, będę weselszą jak zwykle na złość — wpół szlochając i tupiąc nóżką kończyła Marylka i okno zamknawszy, ukłękła do zwyczajnej wieczornej modlitwy.

IV.

O milę od Międzyborza, w położeniu otwartem, wzgórzystem a piaszczystem, leżała *Komarowa* wiosieczka o kilkunastu

chatach, dziedzictwo Adasia. Bystra rzeczułka szparko i kręto wyrzynała się u stóp piaszczystego wzgórza, na którym usadowiła się sznurkiem wioszczka ze swemi ogródkami. Kilkanaście sosen rzadko od siebie stojących otaczało stodółki i spichlerz dworski: krzyże jak zwyczajnie po wsiach tamtostronnych jeździły się gęsto, prawie koło każdej chaty. Z mostku o drewnianych dylach bez poręczy, na rzeczce, jechało się pod górę między zgrabnym biało pomalowanym płotkiem na dziedzińczyk, w którego głębi stało domostwo szare z wysokim, dranicami krytym, o jednym kominie dachem, dworek prawdziwie szlachecki. Na górze już wegetacya była inną: trawa rosła bujnie, i kilka grusz wychylało się z za dworku; ztąd w stronę przeciwną bardziej ożywionym był widok, aniżeli za rzeczką, za którą las sosnowy aż do Międzyborza ciągnący się szarzał. Tu rozległej spojrzeć było można na kilka w oddali siniejących wiosek z kopułami cerkwi, i na miasteczko z kilkoma białymi murami. W tém dość niewdzięczném położeniu widać było, że gust dobry zrobił co tylko było w możności, ażeby upiększyć to miejsce: okrągłe i podługowate trawniki dokoła obsadzone kwiatami, zalegały dziedzińczyk; płotki białe pomalowane rozchodziły się z obu stron starego, ale schludnego i czystego dworku. Widocznie lewa połowa dworku o kilku oknach dużych z czystemi szybami zajmowaną była przez właściciela, druga o szybkach nieco mniejszych mieściła w sobie kuchnię i domowników siedziby. Kilka pokoików widnych, wesolych urządził Adaś z prawdziwym gustem: mebelkami tak przyozdobił, i dywanami obwiesił, iż zapominało się zupełnie, że się wchodzi do izdebek z belkowanym sufitem drewnianego dworku. A znalazłeś tam i biblioteczkę z dzieł krajowych, i nowsze zawsze celniejszych pisarzy naszych dzieła, które Adaś Marylce pożyczał, i skrzypce na których umiejętnie grywał, i nad jego łóżkiem obraz Matki Boskiej, i różnego rodzaju broń na dywanie nad łóżkiem rozwieszoną.

Adaś, jak wiemy, byłto młody i przystojny chłopiec, a jednakże stanowił on wyjątek w młodzieży tamtostronnej moralnością życia, taktem i umiejętnością prowadzenia gospodarki na swym malutkim folwarczku. Żywe jego i wesole usposobienie, jakaś nie powiem trzpiotowatość, mogły dawać pozór dlań mniej pochlebny, aniżeli był w istocie; wszakże ta wesołość i trzpiotowatość jowialna nie przeszkadzały, że Adaś, mó-

więc prawdę, sądził rozsądnie i zdrowo, że był poetą uczuciem. Weselość i figlarność, lecz zarazem czułość i dobre serce w jego łzawym a otwartym malowały się wzroku. Czemuż Adasia oprócz Międzyborza, gdzie jak rodzicielski dom dla siebie uważał, czemuż go więcćj nie ceniono w okolicy? Bo Adaś nie był zamożny, nie bratał się z hulaszczemi młodemi ludźmi, nie pisał się do salonów świecących a zadłużonych panów okolicznych, ale czytał, pracował, grał na skrzypcach i Międzybórz często odwiedzał. Tam jak wiemy z Marylką pośmiał się, pozartował, z panem Piotrem o gospodarce pogadał i po wracał.

— Miał Adaś w Komarówęj skarb nieoceniony, to jest wiernego starego i poczciwego sługę, któremu ze wszystkiém mó gł zawierzyć, który z prawdziwém zamiłowaniem krzątał się k o ło gospodarstwa i był wszystkiém w Komarówęj: i ekonomoem, i gumiennym, i rządcą, i pisarzem i t. d. Państwo Zielonkowie i stary Kalinowski byłyto osoby nader szacunku godne i drogie dla Adasia, który we wczesnej młodości utraciwszy ojca, wojskowego, pod obcém niebem, a niedługo potem matkę, sam od lat młodych żył na świecie, i czcigodnemu swemu wujowi z Podlasia i swoim dobrym chęciom winien był ukształcenie i rozwinięcie w sobie ziarna cnót, przez rodziców jeszcze wszczepionych.

Kalinowski byłto starzec lat około 70ciu; krzepki, rumiany, z dużym zatabaczonym nosem, z siwemi, długimi włosami, wysoki i suchy, ale ruchawy i prosto się trzymający. Oczy jego siwe, dokoła posiałdowane, już nie *stutkujące* do czytania i pisanania, jak sam mawiał, i rogowemi okularami najczęściej uzbrojone, bystro wszakże doglądały w każdy zakątek Komarówęj, i łatwo dostrzegały szkody lub zboczenia z повинnego trybu. Gospodarka najgłówniej, a w wolnych chwilach polowanie i nauka weterynaryi z doświadczenia w systemat przez niego samego ułożona, byłyto trzy rzeczy, które nadewszystko lubił. Zamiłowanie jego do roli uszlachetnione przywiązaniem do swego panicza, przytém nieposzlakowana prawość i gorliwość zadziwiająca, ważnemi i szacownemi były dla Adasia, który nie tylko mu we wszystkiém zawierzyć, ale i za radą jego niejedno ulepszenie lub korzystną odmianę w gospodarce mógł zaprowadzić. Lecz nietylko w gospodarce Adaś rad jego zasięgał; traktując go jak przyjaciela, często i w rzeczach tyczących się

życia zwierzał się przed nim i słuchał rad jego zdrowych, życziwych, a doświadczonych. Po prawej stronie komarowskiego dworku była izdebka Kalinowskiego, gdzie stało łóżko żelazne z obrazkami świętych, gdzie wisiła strzelba pojedynka ze staroświeckim krzemiennym jeszcze zamkiem, która często teraz i coraz częściej kłapała lub chybiała, bo już coraz więcej ręce mu drżały i wzrok zawodził: gdzie był stół zarzucony rejestrami, wisiły na kołkach klucze od stodół, spichrza i t. p.; gdzie wreszcie stała szafka z papierem przyklejonym w środku drzwi-czek, na którym wykalgigrafowane wyczytać było można: *aptyczka z ingrediencjami do kurowania rozmaitych zwierząt*. — Wyszedłszy z rana z tej izdebki nie powracał najczęściej aż w wieczór, przez cały dzień krzątając się około robocizny. Kiedy nastawały zbiory siana i żniwo, wówczas Kalinowski był w swoim żywiole: pełną oddychał piersią powietrzem z łąk, aromatem siana woniejących, lub z obszernych łąków złotego falującego zboża. W dużym słomianym kapeluszu, w długiej wytartej granatowej kapocie z laską sękatą w rękę dozorował sianokosów lub żniwiarzy, ochrypłym głosem napominając i zachęcając do pracy: to znowu koło gumniska się krzątał, gdzie sosny szumiały i klekotały bociany, a od spichrza do dziedzińca pośród bujnej murawy, wązko wijąca się ścieżynka, przez niego samego była wydeptana. Namiętność do weterynaryi wypiętnowała na jego twarzy kresę, którą poniósł od uderzenia wołu, oglądając go zbyt blisko. Adaś często mu się sprzeciwiał i śmiał z tej jego passyi; ale bo też niech się tylko dowiedział że pies jaki choćby *kruczek* lub *wilezek* wiejski zachorował, natychmiast w wolnej chwili spieszył z medykamentami i z piórem za uchem, w okularach: examinował, kurował i za świeżej pamięci zapisywał swe spostrzeżenia. Z Marcinem wiązała ich wielka, serdeczna przyjaźń; ten ostatni też często przejeżdżając za jaką przesyłką, wstępował do Komarowej na krótką chociaż pogadankę, i przy sposobności starzy gwarzyli ochrzypłemi głosy, a mieli o czém, bo się dość nazyli.

Po powrocie z Podlasia Adaś był widocznie roztargnionym i mniej wesołym, jak to już wiemy z Międzyborza. Przeciwno zwyczajowi nie żartował z Kalinowskim, mało z nim nawet rozmawiał, o gospodarce niewiele się rozpytywał, wzdychał często i za kilka dni postanowił znów jechać na Podlasie; a wieczorami, gdy księżyc zaczął przyświecać i cisza Komarowę

otaczała, przy otwartych na ogród oknach grał na skrzypcach tęskne i tklive Szuberta melodye, a nie skoczne mazurki lub polki jak zwyczajnie. Kalinowski dopatrzył odrazu tej zmiany w Adasiu, domyślał się nawet przyczyny; bolało go to wszakże, że Adaś ze wszystkiemi przed nim się zwierający, drugi dzień już po przyjeździe o niczém mu nie wspominał. Chodził więc także chmurny i przeciwko zwyczajowi nie rozgadywał się, gdy wieczorem oba w domu siedzieli. Dostrzegł to wreszcie Adaś i przypomniał sobie niestosowność postępku, bo na trzeci dzień dopiero wieczorem po ukończonej pracy, gdy już słońce zaszło i Komarowa w szarém a wonném i chłodném tonęła pomroku, gdy światło podnoszącego się z zdalekich lasów księżycy, walczyło jeszcze z zorzą po zaszłém na zachodzie słońcu; Adaś siedząc z cygarem w ustach na ganeczku i spostrzegłszy Kalinowskiego, który z kluczami chmurny i osowiały chodził koło dworku i nie zbliżał się wcale do pogawędki, zawołał na niego:

— Co tobie Kalinosiu? coś chmurny jesteś: czy myślisz pisać o rozdęciu, czy o kulawiznie Ostapowego kruczka?

Stary zbliżył się ciągle zachmurzony i mrucał coś pod nosem.

— Jakbym zgadł, że się gniewasz na mnie, żem ci nie powiedział dlaczego tak długo na Podlasiu bawiłem, i dlaczego.... Chodź tu, usiądź, przeproszam cię, mój Kalinosiu; chodź, to ci opowiem.

Stary zbliżył się powoli i usiadłszy naprzeciwko na rogu ławeczki, z wyrzutem odpowiedział:

— Bo ja myślał, *prawdę powiedziałszy*, że już Kalinowski i nie wart, żeby się przed nim zwierzać.

— No, no, to ci już powiem.... Naprzód, czy znasz Woronów?

— Woronów? oj, oj znam, *prawdę powiedziałszy* trzy lata temu w przejeździe do Międzyrzecza, zboczyłem tam, bo się był karbunkul pokazał...

— Ołóż widzisz, Kalinosiu, ten Woronów był przyczyną, że tak długo na Podlasiu bawiłem, i że teraz nie jestem tak wesoly.

— Ja też to zaraz, *prawdę powiedziałszy* i poznał — zamrucał niechętnie stary.

— Domyślasz się, ale nie wiesz wszystkiego. W Woronowie panna Hiacynta zawróciła mi trochę głowę.

— Oj, trochę — mruczał stary.

— Czy znasz pannę Hiacyntę?

Stary pochmurzył czoło i kręcił głową — Et! et! et! panny nie znam, ale o rodzicach słyszałem.

— I dlatego znów jutro albo pojutrze jechać tam muszę — patrząc nań figlarnie mówił Adaś.

— Et! et! et! — kręcił głową stary.

— No! dlaczegoż ci się to niepodoba?

Stary chwilę milczał gniewnie, wreszcie odezwał się:

— Na co paniczycowi tak daleko jeździć, *prawdę powiedziawszy*, kiedy Międzybórz tak blisko?...

— Międzybórz, to prawda, Kalinosiu, to jakby dom mój rodzicielski; ja pannę Maryannę kocham... jak siostrę.

Ale stary kręcił głową i mruczał.

Przerwał rozmowę chłop jakiś z ukłonem.

— A czoho chcesz? — zapytał Kalinowski.

— *Proszę jegomości, tak szoś wolu mojemu słu zrobyło w nohi, szczo choc ty szczo chocesz roby, wstaty ne może.*

Stary podskoczył, podreptał do stacyjki i pomimo spóźnionej pory i zmroku, z piórem za uchem, w okularach, z laską zapaloną i z medykamentami wyszedł wkrótce z chłopem. A gdy noc zapadła, noc śliczna, miesięczna, Kalinowski powróciwszy do stacyjki i zapisawszy drżącą ręką przy świecy spostrzeżenia nad wołem świeżo examinowanym, miał się spać położyć; usłyszał smutne a śpiewne tony skrzypców w całej sile rozlegające się wśród powszechniej ciszy, i słuchał stary, i kiwał głową, i mruczał coś z nieukontentowaniem.

Do wyjazdu Adasia, który nastąpił nazajutrz, a w kilka dni po bytności jego w Międzyborzu, w rozmowie z Kalinowskim nie wprowadzono już drażliwej o Woronowie materii, i Adaś dawszy mu instrukcje gospodarskie, nie oznaczając terminu, lecz nie obiecując prędkiego powrotu, wyjechał z widocznym niezadowoleniem starego sługi.

Wieczorem dnia tego już dobrze po zachodzie słońca, dworek komarowski stał cichy i milczący; po prawej tylko stronie i w pokoiku Kalinowskiego błyskało słabe światelko. Tam stary uznojony po całodziennym bieganiu i dozorowaniu

zaczętego już żniwa, na odpoczynek siedział przy stole z piórem w rękę, nasadziwszy okulary; świeczka z ogromnym nieobjaśnionym knotem słabe rzuciła światło na stancyjkę. Właśnie kończył drżąc i koślawo kaligrafować: „*o chorobach kruf*” i po ostatniem *f* ogromny mu się kleks zrobił, gdy zaturkotało przed dworkiem i niebawem stary Marcin wszedł do izdebki.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki—kładąc pióro odpowiedział Kalinowski.

— Cóż porabiacie, *przez urazy*? Paniecza pewno nie ma?

— Oj nie ma, nie ma—kiwając głową odparł stary.

— Znowu tam poleciał; musi tam mieć kogoś.

— To wy wiecie?

— A tak się *przez urazy* waszój domyślam.

— Siadajcież.

— Ot ja tak na chwilkę tu wpadłem. Jeździłem do Słomianki, do Szmula; muszę prędko wracać.

— To się i napijemy, *prawdę powiedziawszy*, herbatki.

— Dobrze, *przez urazy*, jeśliście łaskawi.

I Kalinowski wyszedł do kuchenki wydać rozkazy. Powróciwszy wyjął z szafki jakąś starą cynową cukierniczkę i trochę herbaty w papierze.

— Oj, potrzebnie to on tam jeździ, potrzebnie durzyć się, kiedy *prawdę powiedziawszy*, ma u was panienkę jak łanię, a dobrą.

— Bo pewnie, że *przez urazy* takiój drugiój nie znajdzie; i posażna, i ładna, i dobra a wesola. To nieraz bywało przyjeździe, a dokazują, cudują konno albo najtyczanką, aż ja podążyć nie mogę; to ja myślę sobie: rychtyk do siebie pasują, tylko brakuje żeby się pobrali, a dobracby to była *przez urazy* żona, gospodarna a pobożna.

— A toć ja mu delikatnie to powiedział, bom się zaraz *prawdę powiedziawszy* domyślił, jak ono tylko powrócił z Podlasia. Zawsze taki wesoly: tu poloci, tam zajrzy, żartuje ze mnie, to gra walec i polki i potupaże i huk, to harcuje konno; teraz patrzę, ni be ni me *prawdę powiedziawszy*, jakoś wzdycha, siedzi doma, gra jakieś trele co się aż na płacz zbięra, nie gada; a i potrzebnie jemu było tam jeździć?!

— Toć jak był w Międzyborzu, to także mi moja Joasia mówiła, że siedział *przez urazy* jak mruk osowiały.

— A! gotów jeszcze *prawdę powiedziałszy* głupstwo zrobić, ożenić się tam i tu jakiego koczodona przywieźć.

— A znacież przez *urazy* tamtych państwa?

— Tak, zdaleka; to dwór pański, napuszone słyszę i długów massa. Panny nie znam, ale nie wiem.....—i ruszył ramionami.

— A onby się przez *urazy* długo nie namyślał, bo żywy jak *markuliusz*.

— A! i pewnie; i *prawdę powiedziałszy*, choć ja tu podolał, wyleciał w najpilniejszą porę, bo w żniwa; a u was już zaczęte?

— Ho, ho, nasz jegomość nie zaśpi: już od dwóch dni żniemy, a żytko tegie, snopy ciężkie; zaczęliśmy od Hwedkowego gaju.

Stara jakaś habina w białej koszuli i w białym czépcu wniosła syczący samowarek i dwie szklanki.

I starzy gawędząc o gospodarce, raczyli się herbatką gorącą; a gdy Marcin jednym tylko wyrazem dotknął chorób zwierzęcych, Kalinowski wpadł w sztos rozprawy o weterynaryi, i długo byłby jeszcze prawił o karbunkułach, ospie, rozdęciu, księgosuszu, gdyby nie Marcin, który pamiętając przeszłą burę za dłuższe zabawienie się w Komarówój, pożegnał starego.

— Bo to u nas po żołniersku: jegomość, *przez urazy*, zaraz łaje jak na czas nie przyjechać; i tak może mi się znowu co *przez urazy* od niego dostanie.

V.

W Międzyborzu po wyjeździe Adasia wszystko zwyczajnym, cichym a błogim szło trybem; w Marylee napozór żadnej prawie zmiany, może trochę się mniej śmieje i figluje i oczki czasami czerwone, które starannie ukrywa. Jest wesołą, ale baczniejsze oko dostrzegłoby, że ta wesołość nie idzie jakoś prosto z serca i jest więcéj wmówioną, przymuszoną niejako. A gdy wieczór nadejdzie, gdy okienko swój komnatki otworzy, gdy lipy i las w oddali zasumią: wówczas tęsknota jakaś tak ściśnio jój serduszko, że chociaż przyrzekła nie płakać, łzy mimowoli toczą się po jój twarzy, i dąsa się sama na siebie, i stara się przytłumić w sobie uczucie, które powoli, nieznacznie i bez

jój wiedzy tak się rozrosło, a o którym dopiero prawdziwie wtenczas się dowiedziała, kiedy niewzajemność drugiej strony tęsknotą i żalem zraniła to czyste serduszko.—O! niech kocha, niech się żeni; nie myślę wcale za nim desperować i rozbijając się—mówiła ze łzami—ja go wcale nie kocham, on dla mnie zupełnie obojętny.— Też same jednak sceny, lecz coraz więcej umiarkowane miały miejsce co wieczór, i Marylka przemyślała nad tēm, czy matce, przed którą nic taić nie zwykła, ma się zwierzyć z tęsknoty, która jój serce owładnęła.— Po cóż ja mamie powiem, kiedy to przejdzie, kiedy sama nie wiem, czy go kocham; ale podobno że tak: więc i cóż mama na to poradzi? Podobnym rzeczom nie można nadawać kierunku swój woli; zresztą zmartwiłaby się, gdyby wiedziała, że ja to tak czuję i że temu zaradzić nie byłaby w stanie.—I tak wmawiając w siebie że nie kocha Adasia i że ta tęsknota przejdzie, postanowiła nie smucić się wieczorami i nie myśleć o tēm, o czēm zapomnieć nie tak łatwo było można.

Ale oko troskliwej i czułej matki najmniejszy odcień, najmniejszą w swém dziecku zmianę dostrzeże. Emilia na samym wstępie dostrzegła tę napozór nic nieznaczącą odmianę w usposobieniu Marylki, wyczytała w jój oczach i w twarzy przymuszonym uśmiechem wesela ukraśzonej; i w kilka dni po wyjeździe Adasia, gdy Emilia przed wieczorem według zwyczaju w salonie z robotką siedziała, gdy Marylka powróciła z ogrodu ze Spekulantem i oczki troszeczkę miała czerwone, wpatrując się w nią, ozwała się matka:

— Marylko! uważam od pownego czasu, że się z czēms przedemną taisz. Czekałam, czy mi sama tego nie wyjawisz, a przed matką najmniejszej drobnostki ukrywać nie powinnaś; to niedobrze.

Marylki twarz rumieńcem się oblała; położyła książkę i uklękawszy na ziemi przy kolanach matki, rzekła składając rączki:—Zgadłaś mamó, winną jestem, żem ci tego zaraz, choć to rzecz zbyt mała, nie wyjawiała. Płakałam sobie kilka razy.

— I czegóż?—z troskliwą ciekawością zapytała matka.

— Oto powiem ci mamó jak na spowiedzi. Jak tu ostatnią razą był Adaś, gdy mi się zaczął zwierzać, że się zakochał tam na Podlasiu, to mi się tak przykro zrobiło, tak przykro, że sama nie wiem, dlaczego; bo nie myśl, mamciu kochana—dodała z uśmiechem—ażebym się miała szalenie kochać w Adasiu,

o! nie: lubię go i bardzo lubię, przyzwyczaiłam się do niego, ale desperować.... o! znasz mnie, mamó.

— Aleś płakała.....

— Wypłakałam się i już mi dobrze, a teraz jeszcze mi lżej, kiedym się przed tobą wypowiadała. Szalenstwem byłoby żądać tego i rozbijać sobie głowę o to, co nie jest i być nie może—z lekkim dodała westchnieniem.

— Masz słuszość, moje dziecko; uczuciom rozkazywać nie można, lecz wrazie ich niejedności, pomocą bożą i rozsądkiem można nimi tak kierować, że ani godności osobistej, ani zdrowiu i wesołości uszczerbku nie przyniosą. Jeżeli ci smutno, nie tamuj łez, dziecię kochane, i pomódl się za każdą razą....

— Zareczam mamie, że już wyleczona. Najtęskniej i najsmutniej było mi w dzień bytności Adasia; wczoraj już mniej, dziś jeszcze mniej, ale zawsze troszkę, i postanowiłam już tych łez nie wylewać dla niewdzięcznego mężczyzn rodu: oni tego nie warci— i z uśmiechem ucałowała matkę w rękę— nie mówmy już o tém. Ale mamó, proszę nie o tém i o tych moich płaczach przed papcią nawet nie mówić, bo bym się tém gorzej zmartwiła.—Matka ją ucałowała i Marylka wzięwszy robótkę zabięrała się do pracy, siadając naprzeciw Emilii, gdy turkot dał się słyszeć przed domem.

— Oho, ciekawam kto téżto przyjechał— i wybiegłszy Marylka do jadalnego pokoju, przyłożyła ładną swą twarzyczkę do szyby okiennej i ujrzała kocz staroświecki żółty, z okrągłym pudłem podniesioném dla gorąca zapewne, z wypłowiałym już herbem na drzwiczkach, z tłumokiem z tyłu, zaprężony paroma roślinami lecz chudemi i powolnemi w angielskich szorach kasztanami. Na kozle siedział furman w piaskowym wypłowiałym płaszczu, koło niego stary i posiwiał w takimże płaszczu lokaj, który powoli zsiadłszy, otworzył drzwiczki i zaczął rozsuwać kilkogradusowe aż do samej ziemi stopnie.

— A! dziadzio swoją landarą, i na noc, bo z tłumokiem i z Puchalskim — zawołała Marylka tak, ażeby matka usłyszeć mogła. Tymczasem wybiegł na ganek pan Piotr i wraz ze służącym przybyłym, pomagał wysiadać siedzącemu w powozie mężczyźnie. Był to starzec suchy, niski, o twarzy małój i wyschłej, trupią prawie białością pokrytój, z głową wyłysiałą i rzadkiemi siwemi włosami po bokach ugarniowaną, z oczyma wpadniętymi, lecz jeszcze dość żywymi, nosem cokolwiek zakrzywionym

i ustami wpadłemi i bezzębnemi. Pomimo starości ubrany był starannie, nawet z elegancyą, w czarny świeży tużurek i w buciki lakierowane świeżące; około długich i zeszlętych, lecz białych rąk, wyglądały karbowane mankietki; trzymał w ręku kaskieciak i chustkę fularową.

— Witam stryja dobrodzieja!—pomagając mu wysiadać zawołał pan Piotr.

— Jak się macie, jak się macie?—piersiowo zaszeplecił przybyły, drżąc i niezgrabnie stawiając nogi na ganku i podając rękę panu Piotrowi — *A têtto do was trepezy i groble... jadę à petites journées*—i syknął biorąc się za ramię—wyjechałem od generałowój zaraz po obiedzie, a już słońce na zachodzie.

— Stryj dobrodziej zanocuje, spodziewam się.

— *Ah naturellement*, boym kości do reszty roztrząsł; *mais où sont vos dames?*—i stary posunął się ku pokojom, gdy pan Piotr pozostał na ganku wydając polecenia, aby tłumok zniesiono i koniom dano obroku. Przechodząc przez pokój jadalny i gabinecik, suwając głośno nogami, stary z widoczną ironią spoziérał po tych skromnych a miłych izdebkach, i poprawiając kołnierzyki długie i stojące, głową kręcił i usta wykrzywił, ażeby równo leżały.

Marylka z matką siedziały na sali. Stary przyszedłszy tam i ujrawszy je, przyspieszył kroku i z gestem dworaka, z widoczną a tak rzadką i coś niezwykłego wróżącą atencyą, posuwawszy się do ręki Emilii, która powstała i w ramię go ucałowała—*comment va?* jak się macie?—uprzejmie wyrzekł, a gdy się Marylka zbliżyła ażeby go w rękę ucałować, wystawił długą i białą dłoń, i dwoma zeszlętymi palcami ujął ją za pulchny policzek mówiąc z przymileniem—jak się masz *ma mignone?*

Już dawno nie pamiętano tak kordyalnego ze strony hrabiego przywitania i wnoszono, że z niezwykłym tą razą przyjechać musiał interesem.

Po tém przywitaniu rozsiadł się na kanapie.

— *A!* mieszkacie za światem; co za położenie tego waszego zakąta!

— Co stryjaszek pozwoli: kawy czy herbaty?—zapytała Emilia.

— Nic, *ma chère*, teraz nie, potem zrobicie mi mojej polewki z wina i kurczę mi każecie upiec, bo u was *par consequence* zanocuję.

Wid Marylka wyszła.

— Powiadam ci serce, byłem u generałowej na obiedzie: doskonale dla mnie jój Malinowski zrobił ciasteczko *à la crème*; wchodziły w to i jaja, i migdały, i korzenie, *mais je vous dis que c'est quelque chose de délicieux*, i majonez przewyborny, a sosy doskonale robi Malinowski... Wy nie macie kucharza; nie pojmuję, jak można na to sobie żałować.

— Nasza Pruszyńska lepiej nieraz zrobi jak kucharz jaki zawołany. A pamięta stryjaszek, jak smakowały kiedyś sztufada i budyń na jój sposób przyprawione.

Lekko syknął hrabia:—Zawsze to nie to, co kucharz. Ale to mniejsza; powiedzcie mi, moja parafianko, co tu robisz? Nie bywasz nigdzie; hrabiostwo Antonioństwo pytali się bardzo o ciebie.

— Zajęcia domowe, kochany stryju....

— Zajęcia, zajęcia; można przecież znaleźć chwilę wolną i żyć z ludźmi i wiedzieć z jakimi ludźmi; masz tu około siebie *une compagnie distinguée*. Ale wiesz, hrabina Eulalia zakłęła mnie na wszystko, ażebym do niej na sierpień w Lubelskie przyjechał.—I siedząc na kanapie nogi wyciągnął, oparł o stojące krzeselko i kołnierzyki poprawił. Stary hrabia dziecię Stanisławowskich czasów, wzwyczajony do etykiety salonowej, nigdyby się nie odważył na podobną wygodną pozę nawet i w swoim salonie, ale w salonie zasługującym na tę nazwę; tutaj uważając salkę za niegodną noszenia nazwiska salonu, strofując często swych krewnych i nie mogąc im darować, że żyją tak prosto i skromnie, pozbył się wszelkiej żenady. Pomimo to wszakże dzisiaj niezwyczajnie był uprzejmym, mniej sykającym; pana Piotra, którego nie lubił, czuliej za rękę uścisnął i z kobietami jak widzieliśmy czuliej się przywitał. Marylka zaraz na myśl wpadła, że zapewno z jakąś prośbą o pożyczkę lub przejęcie długu, których miał dosyć, wystąpi.

Gdy Marylka wróciła i pan Piotr przyszedł, gdy usiedli, hrabia z uprzejmością się odezwał:

— Cóż, panie Piotrze, gospodarujesz? żniwo już zaczęłeś?

— Już od dni kilku—patrzac nań z zadziwieniem odpowiedział pan Piotr.

— Bo to u ciebie wszystko punktualnie jako u wzorowego gospodarza; wszędzie słyszę o tobie pochwały i miło mi bardzo je słyszcć—wyciągając doń rękę przyjacielisko rzekł stary.

— Dziwię się, że o mnie, hreczkosieju, mogą coś pochlebnego mówić; *ja tut siżu jak krit u jami*.

Syknął hrabia, bo nie lubił tych ruskich odpowiedzi.

— Zanadto ukryci siedzicie, to prawda, i zanadto skromnie żyjecie, jak to wam zawsze mówię; ale sprawiedliwość każdy wam odda. Cośdo mnie bądźcie przekonani, że z krewnych waszych macie ze mnie jak najlepszego i interesującego się przyjaciela.

Pan Piotr skłonił się z niedowierzaniem.

— Interesujecie mnie i bardzo, dlatego chciałbym być wam użytecznym co się tyczy téj oto dziewczyny; *elle n'est pas mal*, a już czas, już czas o mężu pomyśleć— dodał z uśmiechem.

Wiadoma była hrabiego słabość do swatania; wszakże tak jak żył tylko i bywał w arystokratycznych domach okolicy, tak też nie swatał tylko konkurentów *d'une race distinguée*.

— Mam właśnie na myśli jednego, *un jeune homme très comme il faut*, i gdyby się to dało zrobić, zaręczam, że obie strony byłyby zarówno zadowolone; ale o tém potem...coś mnie sen klei, strząśłem się.

— Może stryjaszek na moje łóżko pozwoli?— zapytała Emilia.

— Może w moim pokoju?— rzekł pan Piotr.

— *Non, merci*, ja i tu się zdrzémnę.

— To może poduszkę, Marylko?— rzekła matka.

Marylka przyniosła poduszkę i wszyscy wyszli z sali zamykając drzwi, a stary ukladwszy się powoli, kleił powieki; wreszcie zdrzémnął się puchając ustami.

Po godzinie drzémki, odkrzakania w sali dały poznać, że hrabia już nie śpi. Marylka drzwi odchyliła.

— Już dziadzio nie śpi?

— Przespałem się *ma cherciu* doskonale—leżąc jeszcze mówił stary—ale pójdźno tu, mam z tobą troszkę do pomówienia.

Marylka usiadła w nogach na kanapie i z ciekawą miną patrzyła na dziadka.

— Cóżbyś ty powiedziała, gdybym znalazł dla ciebie konkurenta *un jeune homme, comte*, przystojny, salonowy....

— Któżto taki, mój dziadziu?

— Hrabia Alfred z Lubelskiego, rzadkich zalet młody człowiek, przytém *il a un nom historique*, jeździł za granicę; cóż ty na to?

— Czy tylko te zalety, które dziadzio wyliczył, posiada? To zdaje się jeszcze bardzo mało, że hrabia, że salonowy, i był za granicą....

Syknął mocniej hrabia i przerwał niezadowolony:

— Wy bo teraz wszystkie przewrócone macie głowy demokracją, która w małżeństwie na nic się nie zda... Nie jestem ja za tém, ażeby tytuł miał zastąpić pocziwość i inne dobre przymioty, *mais quand tu trouveras* i to i tamto, to i czemuż?... Ale nie łapmy ryb przed niewodem, *quand il viendra* ręczę, że się *podobacie sobie*. A teraz zjadłbym cokolwiek.

Podano kolacją w jadalnym pokoju; stary Puchalski w granatowym z pąsowemi obwódkami i herbowemi guzikami surducie, stał za krzesłem hrabiego, jemu samemu usługując; związał mu serwetę pod brodę, odmieniał talerze, widelce i noże, nalewał wino, które zawsze przy jego bytności na stole być musiało; a stary z zajęciem smakosza jadł dobrze, wychwalał Malinowskiego generałowój i jego sosy. Marylka z Emilią towarzyszyły hrabiemu przy stole; p. Piotr tymczasem wydawał rozporządzenia, i ze starym Marcinem rozmawiał w swoim pokoju.

Po kolacyi hrabia wzięwszy p. Piotra pod rękę, poszedł z nim do jego pokoju.

— No, panie Piotrze, mam dla waszój Marylki konkurenta.

— *Słowa Bohu*, kłóż taki?

— Hrabia Alfred, chłopiec *bardzo dobrze*; czyś o nim nie słyszał?

— Z Lubelskiego?

— Tak, ten sam, czy znasz go?

— Nie znam go, ale słyszałem.

— Co to za chłopiec, co za wychowanie, jaka salonowość! Ręczę, że gdy się zobaczą, pokochają się; zresztą jakaż familia!? Ja tu sam z nim przyjadę i zapoznam z wami—dodał łaskawie, podnosząc głowę.

— Dziękujemy stryjowi za dobre chęci....

— Prawdę powiedziéć, to Marylce jeszcze dużo brak, ale mu się spodoba pewnie; radbym był niezmiernie, gdyby to przyszło do skutku.

— Ależ to rzeczy tak dalekie, stryju! przód się widzieć muszą i podobać.

— *A ça va sans dire*, ale uważasz panie Piotrze, ludzie robią dogodności i przysługi dla ludzi; kto wie co z tego być może, macie mnie całego, musicie mi jednak małą dogodność zrobić, *une baguette*.

— Cóżto, stryju dobrodzieju?

— Polinieckiemu przypada mi zapłacić trzy tysiące dawnego długu; przejmijcie go, będę miał u was, bo on mnie pili i odgraża się, a dochodu teraz żadnego — zniżając nieco głos i bystro patrząc w oczy rzekł hrabia.

— Stryjaszku, na nas teraz także trudno!.....

Syknął i zaśmiał się stary przykro, pokazując jeden ząb tylko żółty i skrzywiony.

— Krezusy takie, to dla was bagatel, a dla mnie dość rzecz znaczna; zróbcie to, proszę, choćby na rachunek przysłych moich swatów.....

Pan Piotr się wahał.

— Zobaczę—rzekł wreszcie.

— Nie odmówisz mi tego—biorąc go za rękę nalegał hrabia.

Nic nie odrzekł pan Piotr.

Stary to wziął za zgodzenie się i rozweselony powrócił do sali.

Na noc, gdy hrabia przyjechał, w gabinecie na sofie kładziono materace, trzy poduszki, parawanikiem obstawiano, przynoszono wodę z cukrem, a Puchalski się krzątał; i tą razą zastał wszystko w gabinecie do noclegu przygotowanym, nakręcił tabakierkę, którą z sobą woził, a która jakiegoś starego cięta kuranta, i nasykawszy się przy rozbieraniu, nagniewawszy się na Puchalskiego, który dla starości niezgrabnie i powoli już usługiwał, układł się hrabia na spoczynek.

Nazajutrz rano z pieniędzmi, które mu poprostu dał pan Piotr, hrabia rozweselony odjechał.

(Dokończenie nastąpi).

O KANALIZACJI MIAST

A W SZCZEGÓLNOŚCI

WARSZAWY.

PRZEZ

Stanisława Rezyńskiego.

Zaopatrzenie miast kanałami i wodą, w ostatnich czasach w różnych miastach Europy obszernie rozwinięte i udoskonalone, uznanem zostało powszechnie za jeden z najdzielniejszych środków utrzymania porządku i czystości wszędzie, gdzie tylko mocniejsze zaludnienie ma miejsce.

Obfite zapasy miękkiej wody w każdym pomieszkaniu i liczne źródła po ulicach, dostarczają wszelkiej łatwości ciągłego oczyszczania mieszkań, podwórz i ulic; kanały zaś podziemne, zabierając formujące się nieczyste materye, odprowadzają także poza obręb miasta.

Oba te środki wzajemnie się łącząc i wspomagając, zapewniają mieszkańcom liczne wygody i ważne korzyści, a szczególnie świeże i czyste powietrze po miastach, co przeważny wywiera wpływ na stan higieny publicznej.

Wymienione tu jednak dogodności, tylko przez łączne zaprowadzenie wody i kanałów, całkowicie osiągnąć się dadzą. Wodociągi bowiem i kanalizacja po miastach stanowią jedną nierozdzieloną całość, która o tyle tylko może być zupełną i dokładną, o ile we wszystkich swych częściach jednocześnie rozwinięta i wykończona została.

Gdy więc w Warszawie, dzięki opiece wysokiego rządu, rozpoczęto już budowę wodociągów, i gdy okoliczność ta naturalnie wkrótce pociągnąć za sobą musi potrzebę zaprowadzenia i kanałów podziemnych; sądzę przeto, że zajmującemi będą zebrane tu uwagi o kanalizacyi miast, z dołączeniem oraz ogólnego poglądu na nową kanalizacyą miasta Warszawy.

Wszystkie prawie przed laty pobudowane miasta, otrzymały mniej więcej jednakowe urządzenie kanałów podziemnych.

Kanały te służyły, jak to często i dotąd ma miejsce, do odprowadzania li tylko ścieków z powierzchni ulic i placów, zastępując niejako miejsce rynsztoków wszędzie, gdzie takowe zanadto głębokimi robić wypadało. Powstały więc one po większej części w naturalnych zakłębieniach gruntu, zwrócone będąc ku dolinom lub rzekom najbliższym miast, każdy pojedynczo, bez związku z innemi, nie stanowiąc całości, a szczególnież téż systematu, wedle stałych zasad ułożonego.

Użytek przeto z podobnych kanałów był tylko bardzo ograniczony: bo oprócz ścieków ulicznych, kanały nie usuwały zresztą żadnych innych nieczystych materyj. Wszelkie zaś tego rodzaju produkta po miastach sformowane, musiano oddzielnie na kołach wywozić, co w wysokim stopniu zanieczyszczało ulice i zarażało powietrze.

Prócz tego, dawne kanały zamulane błotem z ulic przez wodę naniesioném, musiały być od czasu do czasu ręcznie oczyszczanemi. Czynność tę wykonywano przez odkrywanie kanałów, a raczej tak zwanych okien kanałowych, wydobywanie szallami namułu na wierzch ulic i następnie przewózkę tegoż przez całe miasto, co wszystko oprócz wielu niedogodności, pociągało jeszcze za sobą wysokie bardzo koszta.

Nakoniec dawne kanały, nie przedstawiając należytej trwałości, a mało użytku, wymagały stosunkowo wysokich kosztów budowy, przez zbyt grubą murów i niewłaściwą formę poprzecznego przecięcia, która nawet utrzymanie ich w czystości niepodobném czyniła. Wydzielały więc one zawsze niezdrowe wyziewy, szerzące choroby po miastach, i były dla ludności urządzeniem raczej przykrém do zniesienia, niż pożądaném i niezbędném w codzienném użyciu.

Powyżej wymienione niedogodności, niemal po wszystkich miastach nad rzekami położonych, pomnażało jeszcze zanieczyszczenie wody tych rzek. Kanały bowiem dawne postępując

za wklęsłościami gruntu, wprowadzane zwykle bywały do rzek w kierunku prostopadłym do tychże; a że z drugiej strony nie stanowiły żadnego systematu, lecz każdy pojedynczo, to jest niezależnie od innych był do rzeki wpuszczonym: rozległe więc miasta posiadały do kilkudziesięciu podobnych ujść kanałowych, wzdłuż całego brzegu rozrzuconych, a nieustannie brudne odchody miejskie wydzielających, które przy znacznej ludności zanieczyszczały w wysokim stopniu wodę rzeczną.

Taki był stan dawniejszej kanalizacji miast, która obok niedokładnego osuszenia gruntów i domów, obok potrzeby oddzielnej wywózki odchodów kloacnych, a ztąd wysokich kosztów uprzątnania tego rodzaju nieczystości, zresztą obok zanieczyszczenia powietrza: pozbawiała jeszcze mieszkańców wielu korzyści i wygod, jakie dopiero w skutek nowej kanalizacji, połączonej po miastach z wodociągami, zaprowadzone być mogły.

Zupełnie inny stan rzeczy przyniosła ze sobą nowa kanalizacja, początkowo jedynie w Anglii, teraz zaś już i na stałym lądzie coraz ogólniej stosowana, a z zaopatrzeniem domów wodą połączona.

Wedle bowiem najnowszych tego rodzaju urządzeń, wodociągi dostarczają rurami wodę na wszystkie piętra domów, a szczególnie do kuchni, pralni, kloak i podwórz, tak, że we wszystkich tych miejscach, częstego oczyszczania potrzebujących, za odkręceniem jedynie kurka można mieć w każdej chwili stosowną ilość czystej wody; kanały znowu zabierają wszelkie zbyteczne ścieki i nieczyste materje po domach sformowane i takowe z wyższych pięter za pomocą oddzielnych rur, a z parteru i suterenu za pośrednictwem przykanalików pod dnem piwnic przechodzących, przeprowadzają do kanału głównego, pod środkiem każdej ulicy idącego. Utrzymanie zatem czystości jest tu ze wszech miar ułatwionem, a cała konstrukcja tak obmyśloną, że ani rozlewanie się wody pod kurkami, ani wydzielanie się przykrych odorów z rur odchodowych, nie może mieć miejsca. Dla zaradzenia bowiem tym ostatnim niedogodnościom, służą stosowne naczynia, u wierzchu rur odchodowych pod każdym kurkiem osadzone, i zamknięciem tak zwanem hydraulicznem zaopatrzone. W urządzeniu więc podobnem, odprowadzenie nieczystych ścieków po domach jest równie ważnem, jak zaopatrzenie ich wodą; a brak kanałów obok zaopatrzenia domów wodą, spowodowałyby mógł tysiące utrudnień, niedogodności i kosztów,

które nawet zniewoliłyby były w stanie do wyrzeczenia się korzyści i wygód, przez zaopatrzenie domów wodą osiąganym.

Z powyższego okazuje się, że nowa kanalizacja oprócz ścieków ulicznych, zabiera jeszcze odchody z domów, to jest z podwórz, kloak czyli waterklosetów i kuchen; a nadto z powodu mocniejszego niż dawne kanały zagłębienia, ułatwia odpływ wody zaskórnej, zwykle w gruncie istniejącej, i tym sposobem osusza fundamenta, piwnice i sutereny domów.

Użytki więc z kanalizacji nowego systematu są bez porównania większe, jak z dawnych kanałów. Przekonywajacem w tym względzie może być obliczenie p. Dempsej, który rachunkiem wykazał, że w Manchester w roku 1851 nieczystości z ulic zebrane z powierzchni 21,500,000 yardów, wynosiły 25,029 tonn, gdy odchody domowe w ciągu tego czasu przez ludność miasta sprodukowane, wydały 325,377 tonn, czyli 13 razy większą cyfrę. Obliczenie powyższe nastęrcza wniosek, że w mieście tém, kanały odprowadzające li tylko ścieki uliczne zabierałyby jedynie $\frac{1}{13}$ część nieczystości, gdy $\frac{12}{13}$ części daleko jeszcze szodliwszych zdrowiu materij, musiałyby być przewożone przez całe miasto na kołach; albo, że nowy system kanalizacji w tém mieście wszystkie ścieki odprowadzający, byłby jedynie pod tym tylko względem uważając, 13 razy korzystniejszym niż systemat dawny.

Z powyższego wypływa, że nowe kanały przeprowadzają daleko więcej ścieków niż dawne. Pomimo to jednak obszerność ich w świetle nie potrzebuje być wcale stosunkowo do dawniejszej powiększaną. Kanały bowiem dawne, naprzód mieścić w sobie musiały wodę gwałtownych deszczów, która największą cyfrę w obliczeniach objętości kanałów stanowi, a następnie obejmować tyle miejsca, aby niekiedy wejść mogli robotnicy, dla poruszenia lub uprzątnięcia osadu na dnie sformowanego. Oba te warunki stanowiąc, wedle powyższego, największą cyfrę w obliczeniach objętości kanałów jako wspólne każdemu z systematów, są właśnie powodem, że objętość dawnych kanałów była takąż co i nowych, gdy użytek o wiele mniejszy.

Jak wspomnieliśmy, dawne kanały nie przyjmowały odchodów z kuchen i kloak, z powodu złych skutków dla stariej kanalizacji wyniknąć ztąd mogących. Tymczasem doświadczenie uczy, że wymienione materje nietylko nie są ciężarem dla nowych kanałów, ale owszem stają się dla nich bardzo użytecznymi.

Odchody bowiem z kuchen i kloak nie obejmują ciężkich części, lecz prowadzą ze sobą znaczną ilość cieczy, która utrzymując w zawieszeniu części organiczne, przyczynia się nawet do odpływu mineralnego osadu, jaki z ulic pochodzi. Przeciwnie piasek i błoto naniesione z ulic, formują główną część ciężkiego mineralnego osadu, który daleko prędzej zapycha kanały przyjmujące li tylko ścieki uliczne, aniżeli te, które wszystkie rodzaje nieczystości odprowadzają. Nowa więc kanalizacja usuwa z miast oprócz wielu innych i te nawet materye, które najbardziej zarażały powietrze, a których uprzątnięcie bez odoru, stawiając wielkie trudności, dotąd w inny równie dogodny sposób, jak za pomocą kanalizacji, rozwiązaniem jeszcze nie zostało.

Sposoby także czyszczenia dawnych kanałów przedstawiały szereg licznych trudności, kosztów i niewygód. Niedogodności te w nowej kanalizacji, z zaopatrzeniem wodą połączonęj, są zupełnie usuniętemi, a nieczystości znikają niejako z domów i z ulic bez przyłożenia sięmieszkańców, bez wydzielania odorów, a szczególnie prawie bez kosztów. Wszystko to dzieje się przez zastosowanie właściwej konstrukcyi i przyjęcie całkiem odmiennęj niż dawniej, co do uprzątnięcia nieczystości, zasady.

Jak wiadomo, woda w kanałach prowadzi ze sobą znaczną ilość zwierzęcych, roślinnych i mineralnych części. Materye te zwykle jedynie tylko biegiem cieczy w stanie zawieszenia unoszone, za najmniejszym zatrzymaniem się, albo zwolnieniem prędkości już opadają, formując na dnie kanału ciężki mineralny osad, który z czasem coraz większęj nabierając twardości, wymaga w końcu ręcznego uprzątnięcia.

Wszędzie więc, gdziekolwiek okoliczności te i ich następstwa nie były uwzględnionemi, formacya osadu, a ztąd potrzeba ręcznego oczyszczania stawały się nieodbitą rzeczą.

Takie właśnie postępowanie miało dotąd miejsce przy dawnych kanałach, w zasadzie których leżało dopiero wtenczas oczyszczać osad, skoro się takowego znaczna ilość nagromadzi. Osad więc zostawał zwykle bardzo długo w kanałach, przez ten zaś czas różnorodne materye psuły się i wydawały przykre odory, właściwe tylko staręj konstrukcyi.

Zupełnie przeciwny system czyszczenia jest obecnie przyjętym, a całe postępowanie do tego zmierza, aby nie dopuścić sformowania się osadu, czyli utrzymać kanał w stanie ciągłej czystości.

Ponieważ system nowy przedstawia wiele wyższości nad dawniejszym, przeto system stary oczyszczania kanałów wymagający ręcznego uprzątniania nieczystości, wyłamywania bruku na ulicach, odkrywania okien na środku ulic, wydobywania błota na powierzchnię tychże i przewózkę przez miasto, a tём samém wszelkie ztąd wynikające niedogodności i znaczne koszta, zostaje już powoli usuwanym, a w to miejsce zaprowadzają system nowy, polegający na utrzymaniu kanałów, jak wyżej wspomniono, w ciągłej czystości i oczyszczaniu ich za pomocą wody.

System ten oczyszczania zasada się na pomieszanu osadzonego namułu w kanale z taką ilością wody, któraby namuł rzeczony w sobie rozpuścić mogła i takowy stosowną prędkością, wraz z innymi nawet cięższymi materjami, unieść potrafiła. Spadek więc kanału i masa wody nim prowadzonej są tu ważnemi bardzo okolicznościami; a w miejscach w których ani na obfity zapas wody w górnym końcu kanału, ani na spadek rachować niepodobna: należy stosować sztuczne środki czyli przyrządy do czyszczenia, z pomocą których nawet małej ilości wody nadaną być może potrzebna siła i skuteczność dokładnego przemycia kanału.

Przyrządy wspomniane, przez p. Roe inżyniera angielskiego po raz pierwszy w Londynie zastosowane, okazały się być najlepszemi i najtańszemi środkami oddalania namułu z kanałów.

Budowę ich stanowią drzwi żelazne, służące do poprzecznego zamykania w właściwych od siebie odległościach dolnej części kanałów, i przez to nagromadzania takiej ilości ścieków, jaka do przemycia kanału jest potrzebną. Im więc zamknięty drzwiami kanał będzie miał mniejszy spadek, tём stosunkowo nagromadzi się w górnym końcu więcej cieczy, która za raptowném otwarciem drzwi, z tём większym skutkiem oczyszczenia dokona.

Doświadczenie przekonało, że podobny przepływ wody w kanale nietylko poniżej, ale i powyżej zebrany namuł łatwo unosi, a prócz tego, taż sama woda może oczyszczać jeszcze kanały i przykanaliki boczne, przyrządami podobnemi nie opatrzone, i jedynie końcami do kanału głównego dotykające.

Sprawozdanie p. Roe złożone pp. *Commissioners of sewers for the Holborn and Finsbury divisions* obejmuje wypadki doświadczeń, czynionych przez tegoż inżyniera w Londynie nad

oczyszczeniem kanałów wodą. Przytoczę więc tu kilka wyjątków, które dokładnie całe postępowanie wyjaśniają:

„Przed użyciem mojego przyrządu, mówi p. Roe, zmierzono powyżej tegoż 8 cali wynoszącą wysokość nagromadzonego błota, tudzież odległość od Tamizy wynoszącą w tym razie 2,440 stóp. Następnie drzwi przyrządu zamknięto, a skoro ścieki poza tem iż nagromadziły się do wysokości $2\frac{1}{2}$ stóp w ilości 208 oxefłów, otworzono drzwi, w skutku czego nieczystości w kanale zupełnie splukane zostały“.

„W innym znowu przypadku, ścieki 3 stóp wysoko zatrzymane, wymyły kanał długi 3,250 stóp.“

„Przykanaliki z domów przy ulicy *Eagle Street Red Lion Square* wpadały w wysokości dna do kanału 300 stóp długiego, niemającego prawie żadnego spadku, a któryto kanał z tego powodu dwa razy co 5 lat musiał być czyszczony. Założony mój przyrząd podniósł wodę za drzwiami do wysokości 20 cali; a że błota znajdowało się 11 cali, wody zatem nad niem było tylko 9 cali. Po otworzeniu drzwi znaleziono, że woda $3\frac{1}{2}$ cala namulę uniosła. Oczyszczenia przeto kanału tego dokonywa teraz jeden robotnik, potrzebując na to dzień czasu w ciągu całego roku.“

„Doświadczenie przekonało, mówi dalej p. Roe, że oczyszczenie kanałów za pomocą przemywania wodą, wymaga za ledwie trzeciej części kosztów rocznego oczyszczenia. Wszakże ważniejszą tu jeszcze rzeczą są względy sanitarne. Przy dawniejszym systemacie oczyszczenie i usunięcie 2 do 3,000 tonnów nieczystości, pociągając za sobą koszt 1,000 do 1,200 funtów szterlingów, miało jeszcze tę niedogodność, że pozostawiało całą tę nieczystość kilkoletniemu gniciu w kanałach, co było powodem wydzielania się znacznej ilości przykrych, całe domy i ulice napełniających odorów, które naturalnie zrzędzwały liczne choroby pomiędzy ludnością. Tymczasem oczyszczenie wodą, zabierając niezwłocznie najmniejszy osad, zapobiega wszelkiemu psuciu się materji, a zatem formacyi jakichkolwiek gazów. Robotnicy przy kanałach pracujący mają teraz daleko zdrowsze niż dawniej zatrudnienie; znikły kupy nagromadzonych na ulicach nieczystości i potrzeba wylamywania bruku. Prócz tego obecnie zachodzi wszelka łatwość odkrycia nadużyć ze strony właścicieli prywatnych, wpuszczających kanaliki do kanału głównego, tudzież pewność, że też kanaliki zatkaniu nie uległy.“

W Hamburgu, gdzie system nowój kanalizacyi został świeżo zaprowadzonym, koszt utrzymania w czystości 38,959 1/2 stóp bieżących kanałów, odprowadzających także i wszystkie ścieki kloaczne, w ciągu np. roku 1845, tojest zaraz po wybudowaniu, wynosił 2,800 mark curant (1,050 rsr.), w czém mieści się wynagrodzenie 2 dozorców, 2 robotników, kupno narzędzi i materyałów, jako téż opłata wywózki 46 fur piasku i gruzu, które się w ciągu roku przy stawianiu po mieście rozlicznych budowli do kanałów dostały.

Tak małe koszta uprzątania w całym mieście nieczystości z kuchni, kloak i podwórz, obok odprowadzania wszystkich ścieków z powierzchni ulic, są ważną zaletą nowego systematu kanalizacyi, który w Hamburgu na wzór Londynu i innych miast angielskich rozwinięty został. Płukanie wodą usuwa z kanałów wszelką nieczystość w miarę formowania się takowój i nie dopuszcza psucia się i gnicia materyi, a zatém wydzielania się przykrych odorów.

Utrzymanie to jednak kanałów w czystości, zawisło w wysokim stopniu od rodzaju konstrukcyi takowych.

Dawne kanały, szczególnie drewniane, w wielu jeszcze miejscach dotąd istniejące, pomimo wszelkich starań, utrzymanie ciągłej czystości czynią prawie niepodobnym. Dlatego téż okoliczność powyższa, mianowicie zaś w Anglii, zwróciła na siebie szczególnówo uwagę techników, którzy przez ciąg ostatnich lat 20, mając oraz na względzie zaprowadzenie oszczędności w kosztach budowy, poczynili co do ulepszenia konstrukcyi kanałów ważne bardzo postępy.

Twórcą nowój teoryi w tym przedmiocie jest p. Chadwik; a rozprawy jego nietylko wykłnęły zasadnie wady dawnój konstrukcyi, ale wskazały nową, tańszą a lepszą, już teraz ogólnie przez techników przyjętą, i jednomyślnie, zwłaszcza w Anglii, stosowaną.

Zpomiedzy wielu linii krzywych, mogących stanowić formę kanału, teorya wskazuje koło jako figurę, mającą przy najmniejszym obwodzie największą powierzchnię. Sama więc ta okoliczność pociągająca za sobą przy największej objętości, najmniejszą ilość murów, a zatém najniższe koszta budowy, jużby mogła stanowczo za formą kołową przemawiać, gdyby doświadczenie nie nastęrczało tu drugiego także bardzo ważnego warunku, tojest potrzeby zwiedzania kanałów, dla którój wysokość

tychże do pewnej granicy zwiększać wypada. W praktyce więc starano się połączyć te dwa warunki ze sobą, obmyślając formę do elipsy zbliżoną.

Różnica przeto między nową a dawną konstrukcją na tém polega, że pierwsza składała się z dwóch naprzeciw siebie obróconych półkołowych sklepień, połączonych ścianami w łuk wygiętymi, gdy dawniejsza sformowaną była z półkołowego sklepienia u góry, płaskiego murowanego lub drewnianego dna na dole, tudzież dwóch pionowych bez potrzeby grubych i ciężkich bocznych ścian kanału, na obszernych fundamentach, a często w razie złego gruntu i na rusztach wspartych.

Tego ostatniego rodzaju forma kanału pociągała za sobą różne niedogodności, których nowa konstrukcja nie przedstawia. I tak np. pod względem oszczędności w kosztach budowy, nowa konstrukcja ma znakomitą wyższość nad dawniejszą. Dwa następujące przykłady wzięte z kanałów hamburskich, okoliczność tę dokładnie na cyfrach przedstawiają, a mianowicie:

1) Kanał pod *Neuenburg*, niedostępny dla robotnika, mający tylko światła stóp kwadratowych. 2,⁴⁴

potrzebował na 100 stóp długości. 17,100 szt. cegieł

Wedle nowej konstrukcji na kanał podobnejże długości i o témże świetle, potrzeba jedynie 3,600 szt. cegieł

Albo też, że 17,100 sztuk cegieł wystarczyłoby na wymurowanie kanału, dla ludzi dostępnego, obejmującego światła stóp kwadratowych 9,¹²

2) Kanał pod ulicą *Königstrasse*, mający w świetle stóp kwadratowych 13,⁶⁶

wymagał na 100 stóp długości 55,700 szt. cegieł

gdy ta sama długość, przy takiejże powierzchni poprzecznego przecięcia, może być uskutecznioną wedle nowej formy za pomocą 22,300 sztuk. ceg.

Lub też, że 55,700 sztuk cegieł wystarczyłoby na wymurowanie kanału obejmującego światła stóp kwadratowych 61,⁸².

Lecz nie tylko oszczędność w kosztach budowy, polegająca na pominięciu znacznej części niepotrzebnych murów, ale i znakomite udoskonalenie w konstrukcji, za tym nowym systematem przemawiają. Duo bowiem płaskie w kanale, sprawuje jedno-

stajne rozlewanie się po tymże ścieków, a zarządzając, jako na obszerniejszej powierzchni, większe ich tarcie o dno i boki, spowodowała znaczną stratę w sile płynącej cieczy. Przeciwnie, kształt okrągły utrzymując wodę razem w jednym promieniu i prowadząc ją wzdłuż wąskiej powierzchni dna, podwyższa znacznie moc ścieków i sprawia, że takowe nagromadzone nieczystości z łatwością unosić mogą.

Doświadczenie potwierdza w zupełności powyższą teorię; wiadomo bowiem, że przy płaskim dnie kanału, prawie zawsze formuje się osad, gdy w kanałach z dnem okrągłym, tworzenie się osadu jest bardzo utrudnionem, ponieważ najmniejsza ilość wody zawsze kanał oczyszczać musi.

Okoliczność ta nawet dostarczyła technikom środków podwyższenia w razie potrzeby siły ścieków, co dokonywają przez nadanie kanałom formy podłużnie przeciętego jajka, cieńszym końcem na dół zwróconego. Konstrukcja tego rodzaju jest bardzo często w Londynie używaną, nowa jednak kanalizacja Hamburga obejmuje kanały formy zbliżonej do elipsy, z powodu, że komunikacja wewnątrz kanałów u dołu zwężonych jest nieco utrudnioną, i że w Hamburgu dla dostatecznych spadków, przezorność ta nie była potrzebną.

Prócz powyżej wymienionych korzyści, system nowej kanalizacji z przemywaniem wodą połączoną, dozwala jeszcze zaprowadzenia w kanałach bardzo małych spadków. Okoliczność ta często bardzo zwłaszcza przy obszernem rozgałęzieniu sieci kanałów sprowadza wiele ułatwień, a nawet oszczędności w budowie; kanały bowiem zabierając wszelkie ścieki z domów i z gruntu, muszą leżeć niżej dna piwnic. W ludnych przeto miastach obszerną powierzchnię zajmujących, gdyby kanał główny, podobnie jak i kanały drugiego i trzeciego rzędu, które znaczne przebiegają przestrzenie, wymagały silnego spadku, zagłębienie ich zwłaszcza przy końcu musiałoby być bardzo mocne, co w wielu razach będąc trudne do wykonania, pociągałoby jeszcze wysokie koszta budowy. Tymczasem opisany powyżej sposób czyszczenia kanałów, dozwalając zaprowadzenia małych spadków, usuwa wszystkie powyżej wymienione niewygody.

W ogólności doświadczenie przy budowie kanałów nabyte, naprowadziło pod względem spadków na system, który, jak się p. Lindley w swoim sprawozdaniu wyraża, łatwo z działaniem natury da się porównać.

Zdroje wysoko położonych gruntów, mówi on, mają prawie wszędzie mocny spadek, ponieważ nie posiadają dosyć siły, aby sobie płaskie koryto wyrobić. Strumienie mniej wyniosłych okolic obfitsze w masę wody, sformowały dla siebie bardziej płaskie łożysko, które w pomniejszych rzekach, z połączenia kilku strumieni wynikłych, jeszcze mniejszy ma spadek. Nakoniec rzeki główne obfite w masę wody i silne jej ciężarem, pokonywać mogą wszelkie napotymane przeszkody, chociaż przy ujściu swém do morza, prawie tylko niedojrzany spadek posiadają.

Tych właśnie zasad trzymają się obecnie przy budowie kanałów po miastach.

Przykanalikom więc domowym, mało prowadzącym wody, które ciężarem téjże nie mogą tak łatwo unieść sformowanego namułu, dają spadek najmocniejszy: stosunek 1 na 100 jest tu wystarczającym. Kanałiki pod pojedynczemi ulicami do których poprzednie spływają, dosyć mają spadku 1 na 150; a kanał główny zawsze w ścieki obfity może mieć spadek 1 na 3,000 przy liniach prostych, a 1 na 1,500 przy zakrzywieniach.

Spadki te nie są bynajmniej zamale, ponieważ kanały hamburskie wedle nich zbudowane, w zupełności odpowiadają zamierzonemu celowi. Zresztą Londyn posiada znaczną liczbę kanałów o spadkach daleko jeszcze mniejszych, i tak np:

Kanał w *St. George's fields* przy *Walworth Road* ma przy długości 4,770 stóp, 15 cali spadku, to jest 1 na 3,816.

Kanał budowany w r. 1843 w *East Lane Walworth*, przy długości $\frac{3}{4}$ mili angielskiej ma 10 do 12 cali spadku czyli 1 na 3,960.

Kanał w *Tooley Street Boro High Street* i *Union Street* aż do *St. George's fields*, budowany w latach 1816 i 1824 nie był jeszcze ręcznie oczyszczanym, pomimo że na długości $1\frac{3}{4}$ mili angielskiej ma 2 stopy spadku, to jest 1 na 4,620.

Kanał osuszający bardzo niski dystrykt *Batter Sea*, ma zaledwie $2\frac{1}{4}$ stopy spadku na 11,240 stopach długości, czyli 1 na 5,000.

Kanał wybudowany w r. 1842 pod *Rotherhitte*, ma długości 5,560 stóp, a 6 cali spadku, to jest 1 na 11,120.

Nakoniec w niższej części Londynu jest wiele kanałów niemających żadnego spadku, chociaż pomimo tego nie wszystkie nawet opatrzone są przyrządami do przemywania.

Tak małe spadki w kanałach, z powodzeniem w Londynie istniejące, ośmielają do zaprowadzenia onych i po innych miastach, zwłaszcza gdy świeżo na wzór angielski skanalizowany Hamburg, nie pozostawia w tym względzie nic do życzenia.

Oprócz formy kanałów i sposobu ich czyszczenia, do tegożczesnych ulepszeń należą także: otwory przewiewne, wejścia boczne, oraz poprawione okna kanałowe, zresztą zamknięcia hydrauliczne, kłapy hermetyczne, śluzy metalowe i t. d.

Otwory przewiewne stanowią ulepszenie, jakie dopiero w ciągu lat ostatnich zaprowadzać poczęto.

Dawniej, gdy zasada płukania kanałów wodą i utrzymania tychże w stanie ciągłej czystości, nie była jeszcze przyjętą i gdy kanały zawierały wewnątrz składy ciągle gnijącej nieczystości; wypadło koniecznie wydzielaniu się wyziewów z kanałów jak najstaramniej zapobiegać.

W nowej kanalizacji, ponieważ wewnątrz kanałów ma być bez przerwy czystym, a brudne materye natychmiast po sformowaniu się oddalaniem, przez co kanały nie zawierają przykrych gazów; dążeniem jest owszem niezwłocznie oddalać nawet i ciężkie powietrze, jeżeliby się takowe w kanałach okazało.

Ścieki bowiem kanałowe zawierając około $\frac{1}{100}$ część różnych materyj początku roślinnego, zwierzęcego lub mineralnego, wydzielają naturalnie zawsze, pomimo nawet całej dokładności kanalizacji, pewną część gazów. Gazy więc te, nie mając wolnego ujścia w powietrze, zapełniałyby górną część kanałów, i jak dotąd przy starych konstrukcyach, byłyby zawsze niebezpieczne dla ludzi zwiedzających. Ztąd też wentyllacja za pomocą w mowie będących otworów przewiewnych, czyli okien służących do wpuszczania świeżego, a oddalania zepsutego powietrza jest rzeczą bardzo ważną, a ze wszech miar łatwą do wykonania.

Hamburskie kanały ulepszenie to mają wszędzie zastosowane. Otwory przewiewne zakładane są od siebie w odległości 150 stóp i mają 16 cali długości, a 4 szerokości. Robią je zwykle we środku ulicy, jeżeli można nad każdym bocznym wejściem, lub wprost okien kanałowych.

Następnym z kolei ulepszeniem są miejsca boczne do kanałów.

Dotąd aby się dostać w razie potrzeby do kanału, należało poprzednio, jeżeli w nim były porobione stosowne otwory, podrywać takowe, co we środku ulicy tamowało komunikacyą; jeżeli zaś otwory te nie istniały, wypadło koniecznie odrywać bruk i wyłamywać sklepienie kanału, a to jeszcze w samym środku ulicy, bo tamtędy właśnie najczęściej kanał przechodził.

Obecna konstrukcyja nie przedstawia już tych niedogodności. Robotnicy z narzędziami do czyszczenia lub materiałami do reparacyi, a nadzór mający dla rewizyi i przekonania się o nadużyciach, posiadają w każdej chwili dogodne zejście bez przerwy komunikacyi na ulicy.

Wejścia boczne po 3 stopy w kwadrat szerokie, urządzone bywają co stóp 600, albo na trotoarze przy burtnicy, albo też przy domach. Ostatnie jakkolwiek droższe, zdają się być przecież lepszymi, ponieważ w czasie otwarcia, chronią więcej przechodzących od wypadków. Zresztą w obmyśleniu konstrukcyi podobnych okien, zapobieżono mogącym się wydarzyć wypadkom przez urządzenie podwójnych drzwi, z których górne w czasie gdy robotnicy pracują w kanale są otwarte, dolne zaś zamkniętymi pozostają.

Dla spuszczenia do kanałów wody z powierzchni ulic, służą jak wiadomo okna kanałowe. Konstrukcyja tych okien kilkakrotnym już ulegała zmianom, a nowsza kanalizacyja hamburska nie obejmuje już jak dawniejsza londyńska pod oknami temi zagłębien czyli dołów na zbieranie się błota, które następnie od czasu do czasu wywozić musiano. Szyje tylko w mowie będących okien, czyli przykanaliki rynsztokowe, urządzone teraz począwszy od kraty w kształcie paraboli o jednym boku wygiętym, nadając im krzywiznę w dwóch kierunkach: pionowym i poziomym.

Okna kanałowe zakładane bywają co 150 stóp, jednak najmniej w odległości 75 stóp od przechodników ulicznych. Średnica zaś kanalików bocznych ma zwykle 2 stopy, a ujście bywa 1 stopę nad dno kanału głównego wzniesione.

Na szczególną uwagę zasługują jeszcze w nowej kanalizacyi, sposoby łączenia przykanalików rynsztokowych z kanałem głównym. Konstrukcyja tego rodzaju w zasadzie swój zastosowana także przy wszelkich połączeniach kanałów ze sobą, ma miejsce w formie łuku o 20 do 30 stopach średnicy, którego krzywizna bardzo korzystnie na bieg ścieków wpływa. Wprowadzane do kanału głównego przykanalikami bocznymi ścieki pod kątem

ostrym, nie tylko nie tamują biegu cieczy kanału głównego, ale owszem prędkość tę znacznie powiększają; tak, że w punktach połączeń nie nagromadzają się nigdy nieczystości, jak to dawniej miało miejsce, gdy kanały pod kątem prostym łączono, a promienie wodne wzajemnie się krzyżować były zmuszone.

Powyżej wspomniono, że nowa kanalizacya obejmuje nadto niektóre urządzenia, dawniej nieużywane, jakoto: zamknięcia hydrauliczne, kłapy hermetyczne i t. p. Urządzenia te, zapobiegają szczególnie po domach wydzielaniu się z kanałów przykrych wyziewów, i z tego powodu są w użyciu wielce pożytecznymi.

Przykanaliki bowiem domowe, sięgając od dna kanałów głównych, zwykle kilkanaście stóp zagłębionych, aż na powierzchnię podwórz, lub nawet za pomocą rur na wszystkie piętra domów, obejmują w sobie zawsze pewną ilość gazów sformowanych w kanałach, któreto gazy jako leksze wstępują do góry i wypełniają wierzchnią część tychże rur i przykanalików. Brak więc kłap i zamknięcia hydraulicznego w tych punktach, sprawiłby nieustanne wydzielanie się po domach przykrych wyziewów. Przy zachowaniu wszakże należytych środków zaradczych, wcale to nie ma miejsca.

Zresztą watterklosety po domach wymagają także zastosowania hydraulicznego zamknięcia, jeżeli przykrych wyziewów wydzielać nie mają.

Z zebranego tu w ogólnych zarysach opisu nowej kanalizacyi miast wypływa, że takowa przedewszystkiem zmierzać powinna do osuszenia ulic i gruntu przyległych domów, a następnie do odprowadzenia poza obręb miasta wszelkich nieczystych materij i odchodów po domach sformowanych, bez wydzielania jednak szkodliwych zdrowiu odorów. Wszakże oprócz tych wszystkich celów, nowa kanalizacya ułatwia jeszcze znakomicie użytkowanie z nieczystości miejskich, co przy dawniejszych sposobach odprowadzania nieczystości było zbyt trudnem do wypełnienia.

Przedmiot ten był już w Anglii poddawany licznym badaniom, które naprzód przekonały o znakomitej wartości odchodów kloacnych, a następnie po długich probach wskazały także i najlepsze środki obracania na użytek tychże odchodów.

Blizsze przekonanie we względzie wysokości wartości w mo-
wie będących materyj, stanowić mogą doświadczenia p. Smith,
który znalazł, że 17,920 gallonów wody kanałowej, zawierającej
w sobie w stanie rozpuszczenia lub zawieszenia 5 centnarów
angielskich różnych materyj, wyrównywiają pod względem żyźno-
ści 5¹/₂ centnarom guano, albo 15 tonnom zwykłego gnoju.
Obliczając więc koszt ugnojenia jednego akru gruntu temi trze-
ma materyjami, p. Smith wykazał, że użyżnienie to wynosiło:

Wspomnioną ilością wody kanałowej, szyllingów 12 denar. 9	
2 ¹ / ₂ centnarami guano po	— 8 — 20
15 tonnami gnoju po	— 4 — 60

czyli, że ugnojenie wodą kanałową jest przeszło 4 razy tań-
sze niż zwykłym gnojem zwierzęcym.

Szczególnie zaś korzystną jest dla gruntów irygacya ście-
kami kanałowemi, bo jak p. Dempsey twierdzi, pod Edyburgiem
akr (216 prętów □) gruntu piaszczystego, czyniący rocznie bez
nawodnienia 3 funty szterlingów, po użyżnieniu go wodą kanał-
ową przynieść może 30 funtów szterlingów rocznego dochodu brut-
to: a odciągając powyższe 3 funty, oraz 2 funty tytułem kosztów
nawodnienia, rzeczywisty zysk roczny z akru osiągnięty przez ir-
rygacyą uczyni do 25 funtów szterlingów rocznego dochodu.

W *Lancashire* są łąki, które temi ściekami nawodnione,
wydają do 57 funtów szterlingów rocznego dochodu z akru.

W ogólności w Anglii wartość odchodów ludzkich w ciągu
roku, oceniają na 2 do 10 szyllingów (60 kopiejek do 3 rubli)
na osobę, co pomnożone przez ludność miasta, daje ogromną
summę corocznie produkowanęj, a wielce dla rolnictwa poży-
teczną materyj.

Obracanie więc na użytek rolniczy nieczystości formujących
się po miastach, jest rzeczą wielkiej wagi. Wszakże przywie-
dzenie do skutku tego zadania dotychczasowemi środkami, spro-
wadza liczne bardzo trudności, ponieważ użytkowanie to z odcho-
dów albo zaraża powietrze po miastach przykremi wyziewami,
albo też pociąga za sobą zbyt wysokie koszty wywózki. Tro-
skliwość o zapobieżenie piérszszemu, sprowadza najczęściej dru-
gie, gdy znowu oszczędność w wydatkach jest prawie zawsze
powodem przykrych odorów w czasie całej manipulacyi. Jedno
i drugie zniewała często do wyrzeczenia się wszelkich korzyści
z odchodów miejskich, które zwykle w tych razach do rzek wpu-
szczane i tym sposobem bezpożytecznie tracone bywają.

Przyczynę takiego stanu rzeczy przypisać jednak należy najwięcej niewłaściwości dawniejszych sposobów, dla dopięcia powyższego celu używanych.

Istniejące naprzykład dotychczas we Francyi postępowanie z odchodami kloacznymi, polega głównie na odjęciu nieczystym materjom przykrych odorów, albo téż na wywózce ich w takich przyrządach, któreby odoru nie wydzielaly. Czynność podobna jako trudna do wykonania, pociąga zawsze za sobą znaczne koszty, a w razie najmniejszego zaniedbania przykre wyziewy. Wyjątku w tym względzie nie stanowi nawet i sam Paryż, gdzie odchody miejskie bywają przez całe miasto przewożone, na jedno miejsce zgromadzane, następnie stosownie do natury rozdzielane, preparowane, podczas lata na słońcu suszone, zanim w beczki upakowane, i na miejsce przeznaczenia odwiezione zostają. Wszystko to sprowadza nieznosne odory, których nawet ostatnie ulepszenia usunąć nie mogły; prócz tego właściciele domów za oczyszczenie kloak zmuszeni są płacić od metra kubičnego nieczystości po 7 do 10 franków, czyli prawie podwójną tych materij wartość.

Trudne to zadanie korzystania z odchodów kloaczych, jak wspomniono, jedynie nowa kanalizacya może z korzyścią rozwiązać, a przywiedzione powyżej zalety, to jest odprowadzanie z miast wszelkich nieczystości, bez wydzielania najmniejszego odoru i współczesna oszczędność w wydatkach na ten cel potrzebnych, stanowią już dostateczną rękojmią należytego powodzenia. Kanalizacya téż miast angielskich w ostatnich czasach, zwłaszcza przy zupełnem zastosowaniu nowéj teoryi rozwinięta, stała się przedmiotem licznego naśladownictwa, podając sposoby nietylko łatwego usuwania, ale i dogodnego korzystania ze ścieków i nieczystości kloaczych. Sama manipulacya w tym względzie polega na spuszczeniu nieczystości do jednego wspólnego kanału, który takowe poza obręb miasta odprowadza, zgromadzając je tam w jednym ogólnym rezerwoarze, z kąd po złożeniu wszystkich części cięższych, przechodzą w mniejsze kanaliki lub rury i służą do irrygacyi gruntów; materye zaś cięższe w rezerwoarze osiadłe, bywają oddzielnie przerabiane i w beczkach na miejsce przeznaczenia rozwożone.

Urządzenie tego rodzaju usuwa całkowicie wyżéj wyrażone niedogodności, gdyż odchody kloacze poza obręb miasta

zbierane i preparowane, nie są szkodliwe dla mieszkańców miast, od których czynność ta w znacznej odbywa się odległości.

Przytoczone tu zasady nowej kanalizacji po miastach, jakkolwiek nad wszystkimi innymi niemylnie trzymają pierwszeństwo, nie wszędzie jednak zdołały już być wprowadzonymi; wiele bowiem znakomitych nawet miast, oddawna skanalizowanych, ociągają się z przemianą raz zaprowadzonego starego systemu na nowy. Ogromne koszty jakie z tego powodu wypadają od razu ponieść, są nawet i dla zamożnych stolic trudną do zwalczenia przeszkodą; ztąd też w wielu miastach gdzie już kanały istnieją, ograniczają się po największej części na przemianach niektórych szczegółów, zanadto przykrych i uciążliwych dla mieszkańców.

W Paryżu naprzykład, gdzie kanały miejskie na sposób dawny spuszczone są do rzeki i zanieczyszczają w niej wodę, rozpoczęto obecnie wzdłuż lewego brzegu Sekwany budowę znacznego kanału, który przyjmować w siebie będzie wszystkie kanały przedmieścia St. Germain, aby płynące niemi ścieki poniżej miasta odprowadzić.

Podobna niedogodność ma także miejsce w Londynie, a zanieczyszczenie wody Tamizy, zwłaszcza przy dwukrotnych codziennie przyborach morza i cofaniu się natenczas wody w tę rzecze, jest dla mieszkańców tak przykrém do zniesienia, że obecnie zamysłają niedogodność tę koniecznie usunąć, choćby ofiarą ogromnych nakładów. Inżynier miasta Londynu pan Förster ułożył już nawet w tym celu na 1½ miliona funtów szterlingów (9½ milionów rsr.), obliczony projekt zaradzenia złemu, który zasadza się na wybudowaniu w Londynie po obu stronach Tamizy, wzdłuż brzegu rzeczno-ogólnego kanału, w niektórych miejscach nawet przy pomocy machin parowych, ścieki ze wszystkich innych kanałów zabierającego, i przedłużeniu tegoż kanału 4 mil angielskich poniżej Londynu, gdzieby nieczystości miejskie zbierać się mogły.

Tak przykre skutki zakładania kanałów po miastach w kierunkach dowolnych, to jest bez poprzednio ułożonego systemu, przekonywają jakich następnie potrzeba poświęceń, aby niedogodności ztąd powstałe, zwykle przez długi szereg lat cierpiane, stanowczo usunąć.

Dlatego też Hamburg w ostatnich czasach korzystał z doświadczenia miast innych, a klęska ostatniego pożaru w r. 1842

wydarzonego, jakkolwiek dotkliwa dla pojedynczych ofiar, podała przecież sposobność zaopatrzenia miasta kanałami i wodą, które wedle najnowszych zasad wykonane, sprowadziły na mieszkańców wszelkie korzyści i dobrodziejstwa, jakie urządzenia te w zysku przynoszą.

Hamburg pod względem kanalizacyi przedstawiał nawet liczne bardzo trudności, ponieważ niskie położenie znacznej części miasta, dwukrotne przybory każdego dnia wody morskiej i powódzie, którym od czasu do czasu Elba ulega, a nadto wiele kanałów spławnych przez środek miasta przechodzących, uczyniły zadanie kanalizacyi bardzo skomplikowanym. Wszakże inżynier angielski p. Lindley, któremu kanalizacyą i zaopatrzenie Hamburga wodą poruczono, wywiązał się bardzo chlubnie z danego mu zlecenia, i utworzył system kanalizacyi, jakim inne miasta dawniej budowane poszczycić się nie mogą. Nizkie jedynie położenie Hamburga, nie dozwoliło bez znacznych nakładów korzystania z nieczystości kanałowych, które nateraz poniżej miasta do rzeki wpuszczono.

W czasie méj bytności w roku zeszłym w Hamburgu, zwiedzałem sam wewnątrz kanałów podziemnych, któremi nie tylko ścieki z ulic, ale i wszystkie nieczystości kłoczące odchodzą, a któreto kanały z powodu położenia miasta, stanowią oraz rezerwoary na pomieszczenie nieczystości w razie zbytecznych przyborów Elby; jednakże kanały te znalazłem wewnątrz tak czystymi, że mogłem dogodnie pod całemi ulicami przechodzić nie uległszy posmoleniu i nie doznawszy przykrych wrażeń odoru, jaki się zwykle w podobnych miejscach znajduje.

Ten ogólny pogląd na kanalizacyą miast, wskazując właściwy cel kanałów i korzyści nowych systematów a wady kanałów dawnych, wyjaśnia dostatecznie: dlaczego teraz już powszechnie wyrzekają się zasad dawniej kanalizacyi, a wszędzie, gdziekolwiek kanały zaprowadzają, stosują systemat nowy.

Wątpić więc nie można, że i Warszawa tą samą pójdzie koleją i że zaprowadzając wodociągi, pobuduje oraz wkrótce wedle nowych zasad i kanały podziemne, których brak w ogólności u nas tak dotkliwie czuć się daje.

Dotychczasowy bowiem stan naszego miasta pod względem odprowadzenia ścieków i utrzymania czystości, przedstawia liżne bardzo niewygodny; i tak:

1) W lecie, gdy powierzchnia ulic jest suchą, ścieki rynsztokowe złożone naturalnie z najbrudniejszych odchodów domowych, płynąc wzdłuż ulic, podczas gorących dni gęstnieją i zarażają powietrze przykreimi wyziewami; co szczególnie w pobliżności trotuarów i domów, gdzie właśnie cała ludność się mieści, pomimo najbaczniejszego przestrzegania władzy miejscowej i starania samych właścicieli domów, najdotkliwiej czuć się daje. Ktokolwiek zwiedzał Warszawę podczas dni gorących, nie może jak tylko poświadczyć taki stan rzeczy.

2) Ulewne deszcze tworzą znowu po ulicach Warszawy silne strumienie, które utrudniając komunikacyą, rujnują bruk szczególnie na ulicach ku Wiśle pochyłonych, zarządzając nawet zalewy w niektórych punktach miasta, jakoto: na ulicy Długiej, Przejazd, Elektoralnej, Krakowskiem-Przedmieściu, Senatorskiej, Mazowieckiej i t. d.

3) Podczas zimy rynsztoki będąc miejscem formacyi lodów, potrzebują ciągłego wyrebywania, gdyż inaczej lody wkrótce całe ulice pokryćby mogły. To samo rozumie się także i o podwórzach; a każdemu wiadomo, ile pracy i trudów wymaga ciągłe wyrebywanie i uprzątnięcie z nich zamarzających ścieków.

4) Mostki na ulicach i przed domami, oraz rynny w bramach, oprócz niepotrzebnego kosztu utrzymania, są jeszcze powodem wydzielania się przykrych wyziewów.

5) Mała liczba dziś egzystujących kanałów dla złego stanu, starością spowodowanego, jako też ze względu na wadliwą konstrukcyą, nie mogąc być w czystości utrzymaną, wydaje ciągle przykre wyziewy, które najdotkliwiej czuć się dają przy oknach kanałowych i niezakrytych kanałach.

6) Podobne skutki wywołuje także dotychczasowe oczyszczanie starych kanałów, a kupy błota jakie z nich wydobywają i przez miasto przewożą, szkodliwe wyziewy wydawać muszą.

7) Kanały te nadto nie przechodząc, jak nowe, pod środkiem każdej ulicy, lecz bardzo często pod domami i posesjami prywatnemi, dają powód do ciągłych skarg i reklamacyj ze strony właścicieli domów i są przyczyną kosztownych wydatków na reparacyą z powodu niedostępności miejsca.

8) Woda Wiślana wzdłuż brzegu warszawskiego, przez wpuszczenie w kilkunastu punktach do Wisły ścieków miejskich, zwłaszcza podczas lata i nizkiej wody w rzece, bywa mocno zanieczyszczoną, tak, że z lądu nawet dostrzedz można

w pobliżności każdego kanału pas czarnej wody, przy samym brzegu płynącej.

9) Dzisiejszy systemat wywózki nieczystości z domów, narażca wiele niedogodności i wysokie koszty; a przytém zanieczyszcza powietrze niezdrowemi wylęciami.

10) Nakoniec brak kanałów po mieście pozbawia mieszkańców możności usunięcia z domów dotychczasowych kloak, a urządzenia waterklosetów, oraz zastosowania wszelkich innych ulepszeń i wygod, jakie z ukończeniem wodociągów, po domach zaprowadzone być mogą.

Z udzielonego nawet powyżej opisu zaopatrywania domów wodą wynika, że bez kanałów odciekowych, woda po piętrach domów sprowadziłaby tylko liczne trudności i niewygody, a mianowicie: rozlewanie się jęj pod wszystkimi kurkami i gnicie podłóg, potrzebę ciągłego wynoszenia na dół znacznej ilości ścieków, a ztąd w lecie zanieczyszczanie podwórz temiż ściekami, w zimie zaś kupy lodów przy domach; dalej konieczność wywózki na sposób dotychczasowy odchodów kloacnych i z tego powodu przykre wylęcwy w mieszkaniach; nareszcie pomnożenie się zatrudnienia ludzi domowych, którzy ciągle musieliby być zajęci uprzątnieniem formujących się w znacznej obfitości po piętrach ścieków. Doświadczenie bowiem uczy, że przy wodociągach w obec wielkiej łatwości posiadania w każdej chwili potrzebnej ilości wody, wychodzić jęj może do 20 garncy dziennie na osobę.

Wszystkie te niedogodności usunie stanowczo skanalizowanie miasta.

Z tych więc powodów Warszawa potrzebuje koniecznie rozległej sieci kanałów, któreby w jeden system ujęte, wedle najnowszych konstrukcyj sformowane, stanowiły całość wymaganiom czasu odpowiednią.

Przedsięwzięcie to jest dla naszego miasta tém stosowniejszdm, że nie mamy czego żalować kilku dzisiejszych kanałów, nie stanowiących żadnego systematu, a nadto bardzo już dawno, częściowo i bez związku pobudowanych. Kanały te bowiem zastąpiwszy miejsce dawniejszych rowów, służących kiedyś za łożysko ściekom deszczowym, a wyrobionych w naturalnych zakłnięciach powierzchni gruntu, pourządzane są pod samym wierzchem i to z drzewa, lub wedle dawnęj kon-

strukeyi, z powodu czego w żadnym poprawnym systemacie nie mogłyby być użytemi.

Okoliczność ta ma nawet wielce korzystny wpływ na układ systematu, który tym sposobem w zupełności rozwiniętym być może.

W takim stanie rzeczy wybór dla Warszawy nowego systematu kanalizacyi nie przedstawia wątpliwości, zwłaszcza że tak zaprowadzane już wodociągi, jako téż bardzo korzystne położenie naszego miasta, urzędzeniu temu ze wszech miar sprzyjają i zaprowadzenie kanalizacyi wielce ułatwiają.

Blizszy rozbiór spadków i położenia gruntu naprowadza na przekonanie, że Warszawa pod względem kanalizacyi stanowić może dwie oddzielne części, tojest: sam stok góry wraz z powiślem, które są niewiele zamieszkane i zapewne, z małemi wyjątkami, nieprędko dadzą uczuć potrzebę tak kanalizacyi jak i zaopatrzenia wodą; tudzież części wyższej właściwe miasto stanowiącej, głównie w dwóch kierunkach, tojest: ku Wiśle i ku północy pochyłonej. W miejsce więc dzisiejszych kanałów pourządzanych prostopadle do kierunku Wisły, a właściwie mówiąc dla powiśla i stoku góry, jakkolwiek je przerzynają, zupełnie niepotrzebnych; zaprojektować należy system co do swych głównych kierunków równoległy od Wisły, a formujący w każdej z powyższych części oddzielną całość.

I tak: dla części pierwszej wypada zaprojektować system kanalizacyi, której kanał główny przechodzić będzie pod ulicami: Solec, Browarną, Furmańską, Sowią, Bugaj i Rybakami, zabierając w siebie po jednej i po drugiej stronie wszystkie kanały z ulic, poprzecznie ten kierunek przecinających i odprowadzając ścieki nad samym brzegiem Wisły poniżej cytadelli Alexandryjskiej.

Dla części zaś drugiej należy utworzyć oddzielny systemat, złożony głównie z 4ch odnóg, a mianowicie:

Pierwsza pod ulicami: Wiejską, Nowy-świat, Krakowskie-Przedmieście, Śto-Jańską, Nowomiejską, Freta i częścią Franciszkańską do Bonifraterskiej.

Druga pod ulicami: Kruczą, Bracką, Szpitalną, Mazowiecką, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami i częścią Franciszkańską do Bonifraterskiej.

Trzecia pod ulicami: Marszałkowską, Graniczną, Żabią, Rymarską, Przejazd i częścią Długiej do Nalewek.

Czwarta pod ulicami Żelazną, Smoczą, Gęsią do Franciszkańskiej i Bonifraterskiej, od którego to punktu następnie jeden kanał główny zabięrać będzie wszystkie ścieki wspomnianemi czterema odnogami z miasta dostarczane i przeprowadzać je będzie pod ulicami Bonifraterską i Kłopot poza miasto do rowu zwanego Metzłowskim, który już obecnie część ścieków z fossy okopowej przy potoku do Wisły wprowadza.

Tym sposobem wykonany system kanalizacyi, przedstawilby dla Warszawy głównie następujące dogodności:

1) Że położenie miasta i spadki gruntu w zupełności temu układowi sprzyjają.

2) Że możnaby każdą z dwóch wspomnianych części oddzielnie wykonać, a tē m samē m ponieważ kanalizacya części pięrszēj, mało jeszcze zaludnionej i niewiele zabudowanej, jest mniej pilną: możnaby takowā do późniejszego czasu odłożyć, przedsięwzięrać jedynie skanalizowanie części drugiej, właściwe miasto stanowiącēj.

3) Że system podobny usuwa potrzebę budowania w przyszłości po stoku góry i na powiślu obszernych kanałów, bynajmniej dla tēj okolicy o podobnych rozmiarach niepotrzebnych, co przy dotychczasowym układzie jedynie dlatego przedsięwzięrać musiano, że kanały te prowadziły nietylko ścieki dolnej, ale i górnej części miasta Warszawy.

4) Że odprowadzając wszystkie ścieki i nieczystości miejskie poniżej cytadelli Alexandryjskiej, gdzie żadne już budowle powstać nie mogą, projektowany układ kanałów zapobiegłby zanieczyszczeniu wody rzecznej wzdłuż brzegu Wiślanego, usuwając stanowczo potrzebę wszelkich późniejszych ofiar i nakładów, jakie naprzykład obecnie Paryż i Londyn dla oczyszczenia wód Sekwany i Tamizy ponosić są w konieczności.

5) Że gdy trudnoby było korzystać, zwłaszcza bez znacznych nakładów, ze ścieków dolnej części miasta, ścieki części górnej dałyby się z łatwością na użyznienie gruntów obrócić. Kiedy bowiem pięrsze wprowadzoneby były do Wisły w wysokości tylko kilku stóp nad zero, drugie przy wyjściu z miasta wznosiłyby się jeszcze około 80 stóp nad zero tēj rzeki.

6) Że odwrócenie tym sposobem od powiśla ścieków górnej części miasta, byłoby wielce korzystnym dla dokonanego już w znacznej długości obwałowania zalęwanēj przez wodę Wiślaną nizkiej części Warszawy, usuwając obawę zalewu tēj

części miasta przez ścieki deszczowe z górnej części spływające, podczas zamknięcia stawideł na kanałach.

7) Że projektowany układ przy równoległości głównych odnóg systematu i przy spadkach gruntu, dozwala z łatwością zaprowadzenia w części wyższej miasta płukania czyli oczyszczania wodą kanalików bocznych o mniejszym przecięciu poprzecznym.

8) Że system ten zgadza się zupełnie z zaprowadzaniem obecnie w Warszawie zaopatrzeniem miasta wodą Wiślana, gdyż właśnie ta część Warszawy naprzód kanały uzyskać powinna, pod którą teraz rury wodne będą założone. Jakkolwiek przeto nowa kanalizacja potrzebuje znacznej ilości ścieków, to przecież warunkowi temu będzie można już obecnie zadosyć uczynić; a nowe kanały nawet w czasach suchych będą obejmowały tyle wody, ile do przemycia ich potrzeba.

9) Że zaprojektowany system postępując, jak wspomniono, za naturalną pochyłością gruntu, obok zasady przemywania wodą, będzie miał odpowiednie potrzeby spadki, i te nie tylko w żadnym razie od powyżej zacytowanych mniejszemi być nie potrzebują, ale owszem większemi być mogą.

10) Że nowe kanały jako mocno zagłębione usuwając nie tylko ścieki z powierzchni ulic, ale i z gruntu, wpłyną na oddalenie wody zaskórnej i osuszenie piwnic i mieszkań, co w wielu bardzo miejscach w Warszawie jest teraz prawie niepodobnym do wykonania.

11) Że zaradzą stanowczo w lecie zalewom po mieście, w zimie zaś formowaniu się tak znacznej ilości lodów po rynsztokach i podwórzach.

12) Że usuną potrzebę wszelkich mostków i rynien w bramach.

13) Że zabierając oprócz ścieków ulicznych, odchody kloaczne z domów, zapewnią mieszkańcom czystość i świeże powietrze.

14) Że oprócz tego kanały nowe usuwając z tychże domów materye, których roczna wywózka przy dotychczasowych środkach tak znaczne pociąga koszta i przykrości, staną się źródłem znakomitego zasilku dla kassy miasta, ze składek przez właścicieli domów, na zaprowadzenie kanałów wniesionych.

15) Że projektowana kanalizacja ułatwi zaprowadzenie wody po wszystkich piętrach domów i zakładanie waterklosetów, co bez kanałów przedstawia liczne bardzo trudności.

16) Że nakoniec system ten pozwalając obrócenia na użytek rolniczy prowadzonych kanałami ścieków, stać się może w przyszłości i z tego względu dla miasta źródłem oddzielnych pieniężnych zysków.

W ogólności więc projektowany system kanalizacji, zapewni miastu liczne wygody, pożytki i dobrodziejstwa, które innemi środkami nie dają się osiągnąć; a jakkolwiek pociąga on za sobą znaczne także koszty, to przecież zważać należy, że żaden koszt nie jest zawielki, skoro zapewnia odpowiednie korzyści. Nadto, wysokość kosztów wtenczas tylko dotkliwie uczułyby się dała, gdyby cały wydatek na kanalizację potrzebny odrazu ponieść wypadało. Lecz projektowany system pozwala ze wszelką łatwością, rozwijania częściami tej wielkiej całości, to jest budowy co roku w miarę funduszków, oddzielnie jednego lub kilku kanałów, byleby te należały do poprzednio już zaprojektowanego i raz gruntownie obmyślanego systematu. Tym sposobem Warszawa korzystając z nabytego już doświadczenia, uniknie błędów miast innych, które budując od wieków kanały bez żadnego planu, po wyłożeniu ogromnych kosztów, obecnie widzą, iż nie posiadają jednak rzeczywistej kanalizacji, która nicodbitą potrzebą wywoływana, zagraża im powtórnie znacznymi wydatkami.

Projektowany tu system, obejmując odprowadzenie ścieków z kuchni i kloak, przyniesie zresztą miastu, jak wspomniono, silną nawet pomoc ze strony właścicieli domów, którzy uwolnieni będąc od kosztownej wywózki z kloak, z wdzięcznością przyłożą się do kosztów budowy kanałów. W Hamburgu, gdzie po wyprowadzeniu jednego głównego kanału, resztę budowano w miarę zanoszonych przez właścicieli żądań, oraz składanych deklaracyj, co do ponoszenia na przyszłość opłaty za wpuszczenie ścieków do kanału; całe jednak miasto w ciągu lat kilku zostało skanalizowanem: co pokazuje, że koszty wywózki nieczystości są większe, niż procent od wspomnioną składki. Jakkolwiek w Warszawie z powodu rozległości miasta, należałoby co do opłaty kanałowej ustanowić właściwą stopę; to przecież obliczając w przybliżeniu wysokość przyłożenia się właścicieli domów, podług zasady w Hamburgu przyjętej, to jest około rs. 2 od stopy bieżącej frontu domów, co z obu stron ulicy razem biorąc, uczyni na stopę rubli 4; oraz, przypuszczając, że ogólna długość kanałów miejskich na głównych ulicach

w Warszawie, wyniesie tylko około 250,000 stóp bieżących: przyłożenie się to, czyli pomoc, jaką właściciele domów dla nowej kanalizacyi stanowiąc będą, przedstawi ogólny kapitał na budowę posłużyć mogący w summie około miliona rs. Prócz tego możność użytkowania, to jest obracania w przyszłości na cele rolnicze odchodów miejskich, w projektowanym dla Warszawy systemacie ze wszelch miar ułatwiona, zapobiegając praktykowanej dotąd utracie, tak wielką wartość w użyczeniu gruntów posiadającej materyi, może się stać również źródłem oddzielnych a znakomitych zysków, gdy ludność naszego miasta już obecnie do 160,000 dochodzi.

Nakoniec budowa kanałów w Warszawie wpłynie na pomnożenie dochodu ze sprzedawać się mogącej przez miasto właścicielom domów wody, którą urządzane wodociągi, nad potrzebę codziennęj czystości, wygody i ozdoby, po mieście dostarczać będą. Kanały bowiem dozwalając rozprowadzenia wody po piętach domów i obracania jęj na rozmaite gospodarskie cele, jakoto: do kuchni, waterklosetów, pralni i t. p., zachęcą właścicieli domów do korzystania z tego dobrodziejstwa, tyle pożądanego w codzienném użyciu. Za przykład w tym względzie posłużyć może Hamburg, gdzie po urządzeniu wodociągów i kanałów, przez ciąg jednego tylko roku zaprowadzono aż 3,000 waterklosetów.

Tak więc projektowany tu system kanalizacyi w zasadzie swęj na zaopatrzeniu wodą oparty, a przy innych zadaniach i odprowadzenie nieczystości kloaczných mający na celu, oprócz wielu bardzo dogodności, zapewnia nawet miastu znakomitą a niewątpliwą pieniężną pomoc. Wszakże w dokonaniu tyle ważnego dla Warszawy dzieła, nie można li tylko zysk pieniężny mieć na celu, bez względu na inne korzyści: bo gdyby taką w ogóle przyjęto zasadę, pewnieby dotąd Londyn, Paryż, Hamburg i inne miasta, nie miały ani ulepszonych bruków, ani kanałów, ani zaopatrzenia wodą i oświetlenia gazem.

Jest więc jeszcze inny wyższy cel, którego Rząd nigdy nie spuszcza z uwagi, a tym celem jest — zdrowie mieszkańców, które piędzmi okupywać się nie daje.

W Warszawie, dnia 14 maja 1853 r.

KRONIKA LITERACKA.

O nowém słownictwie chemiczném.

Każda nauka, umiejętność i sztuka potrzebuje właściwego sobie języka, czyli osobnej mowy w macierzystém utworzonej narzecz. Wyrazy jęj w pewnej części brane są wprost z potocznej i pospolitej mowy krajowej i toż samo zachowują znaczenie; czasami brzmienie tylko wyrazów język naukowy wzięł z mowy potocznej, ale nadal im inne wedle swęj potrzeby znaczenie, i używa ich jako przenośni; trzeci rodzaj wyrazów języka naukowego jest wyłącznie dla tęj a nie innej nauki utworzony, i oznacza czynności i utwory, umiejętności lub sztuki jęj tylko właściwe. Jak w poprzedzającym oddziale wyrazów języka naukowego, malowniczość czyli właściwość przenośni za pierwszą zaletę i za główną wyboru zasadę uważać należy; tak w tym trzecim oddziale wyraz właściwy żądany mieć zawsze jasny, w sposób krajowej mowy utworzony, jeśli można na czysto swojskim źródłosłowie, najlepiej zaś gdy on przypomina nam cechujący jaki przymiot lub własność przedmiotu, albo tęcz rodzaj czynności, którą ma wyrażać. Tu więc dobór źródłosłowa i właściwe przyrodzeniu macierzystej mowy przetworzenie jego do użytku języka naukowego są względami pierwszćj wagi. Wszakże gdy umiejętności wciąż postępują, wynajdując z każdym dniem innóstwo prawd i przedmiotów dotąd nieznaných, lub odkrywając w nich własności niespodziane, albo wprowadzając je w nowe niesłychane dotychczas związki i działania; dla jasnego ich wyrażenia potrzebowowałyby częstokroć długiego opisu, czasami niedosyć zrozumiałego, a nawet zawikłanego omówienia, przez co nauka na szwank narażoną być może. Wyradza się więc potrzeba nowych całkiem nazwisk, wyrażeń i wyrazów na oznaczenie przedmiotów, wyobrażeń i czynności całkiem nowych i nieznaných; jeśli te mogą być na swojskim źródłosłowie osnute, tēm lepiej, niekiedy jednak staje się to niepodobném, a wtedy bądźto źródłosłów, bądź tęcz całkowity nawet wyraz z obecj mowy bierzemy. Tu znowu pierwszeństwo zawsze dać

powinniśmy źródłosłowom z pobratymczych narzeczy wziętym, które tylko w szatę krajową przybrać należy; gdy i tu zabraknie nam wyrazów, najlepiej do naszej mowy przystających, ostatnią jeszcze mamy ucieczkę w użyciu dźwięków całkiem obcej mowy, ale takiej, która w świecie uczonym najbardziej jest znaną i upowszechnioną; z niej zaś jeszcze taki dobrać należy wyraz, który bądźto już przez użycie w innych krajach pomiędzy ludźmi trudniącymi się tą umiejętnością powszechnie przyjętym został, bądź też dla swej właściwości najłatwiej pomiędzy uczonemi indygenat swój otrzymać może.

Język nasz obfity jest w wyrazy, bogaty w wyrażenia, giętki, małowniczy w przenośniach, zasobny w źródłosłowy, posiada skarby mowy mało jeszcze zbadane; spowinowacony z licznemi pobratymczemi narzeczami, związkiem takiego powinowactwa, jako pomiędzy niemi najwykształceńszy, niezawodnie najpotężniejszym jest z pomiędzy wszystkich europejskich. Należy do narodu, który od dawien lubił trudnić się naukami, i zawsze świetne w nich miejsce zajmował, a często nawet innym w nauce przodkował; przez co bardzo udoskonalony, sposobnym jest do urobienia w każdą mowę naukową. Świadomy też niejako swęj zamożności, nie znosi obczyzny, i owszem każdy, z nieuchronnej nawet konieczności cierpiący, chociażby tylko tymczasowie, obcy nabytek, wnet w swą szatę przestrajają, krojem swoim przetwarzają, i wtedy dopiero w całość swęj mowy wlewa.

Języki starożytne, mianowicie matka wielu innych, grecki, miały sposobność do tworzenia wyrazów składanych, niejako wielowrazów. Sposobność tę w wysokim stopniu posiadają narzeczszczepu germańskiego, niemiecki właściwy, szwedzki, angielski i t. p.; mniej już do tego zdatnym był łaciński i z niego pochodne włoski, francuzki i t. p., które nawet częstokroć grecką mową posilkować się muszą. Innego jest szczepu język szeroko po ziemi rozsiadłych Słowian; obok bogactwa źródłosłowów posiada on łatwość w przemianach zakończeń, i sposobność do zamian samogłosek i spółgłosek na powinowate sobie, daleko większą niżeli którykolwiek ze starożytnych lub nowożytnych języków; a ilość narzeczszczy w języku słowiańskim jeszcze się do bogactwa jego pod każdym z tych względów przyczynia, i tém samém znacznie powiększa zasoby wszelkiego w nim tworzonego języka naukowego. Lecz nie znosi zlepków kilkowrazowych, sposobem greckim i germańskim ukutych.

Wszakże jak wszędzie tak i u nas, nowe nauki i coraz w nich pomnażające się odkrycia i inne coraz poglądy wymagają od czasu do czasu przemian w mowie naukowej, i dodania wyrazów nowego utworu. W tym przypadku są zwłaszcza wszystkie nauki tak zwane przyrodzone, które codzień większego nabywają rozwinięcia i coraz postępują w postrzeżeniach i wynalazkach. Jakoż słownictwo tych nauk jest najliczniejsze i najczęstszym ulega przemianom; lecz czy zawsze szczęśliwym, a zwłaszcza u nas?—godzi się

powątpiewać, témbardziej, że i samiż uczeni i znawcy języka, widzą w nim wiele niedogodności i jawnych błędów, bądźto przeciw nauce, bądź przeciwko przyrodzeniu mowy naszój. Starają się téż widocznie ludzie rozważni i dobrych chęci o polepszenie języka naukowego, o zrozumiałość i czystość jego, ale czy zawsze szczęśliwie?—i tu powątpiewać wolno, i bodaj czy wiele nowszych pojedynczych w tym przedmiocie usiłowań, nie gorszego tylko zakwłania stały się przyczyną, niż dotychczasowy nieład.

Zpomiedzy innych najbardziej chemia wytyskuje nad swém słownictwem i wzywa do pracy nad dopełnieniem i uszykowaniem jęj naukowego języka. Chemia, nauka dziś tak rozwinięta, przez swe zastosowania we wszystkie prawie umiejętności ludzkie sięgająca, jest mianowicie podstawą całego prawie przemysłu rękodzielniczego. W niejto i farbierz czerpie umiejętność barwienia, i złotnik topienia drogich kruszców i oblekania ich w szklistą emalię powłokę; i malarz znajduje zasady do trwałego przyrządzania swych farb, do wieczystego malowania enkaustykiem, *afresco*, wreszcie nawet olejno; i hutnik szklarz, prawidła składu i roboty około tych świetnych a wielokolorowych szkieł, które jak kwiaty zawsze kwitnące cieszą oczy nasze; i budowniczy znajduje w chemii wytłumaczenie przymiotów i własności ciał, które do budowy używa, i objaśnienie wzajemnego działania jednych na drugie. Onato przewodniczy umiejętności wyrabiania i przetwarzania gliny w kamień sztuczny, glinki w ozdobną porcelanę, brudnej rudy w świetnie polyskujące metale. Ona uczy i ziemię uprawiać i plony jęj przerabiać na użytek ludzki. Ona wreszcie produkuje w szeregu lekarskich wiadomości, ku utrzymaniu zdrowia i życia człowieka. Tak rozgałęziony użytek i tak ważne jęj powołanie wymagają języka zarówno zrozumiałego dla całego hufca wykształceńszych przemysłowców, jak i dla chemików z powołania. Gdyby język chemiczny mowny, obok całej ścisłości wyrażen, jakiej przyrodzenie téj nauki nieodzownie wymaga, a którą w najwyższym stopniu posiada język znakowy Berzeliusza, mógł być zrozumiałym nawet dla prostego pracownika: byłoby to szczytem jęgo doskonałości i niezawodnie wpłynęłoby wiele na pożytek i korzyść przemysłu krajowego. Dla tychto wszystkich względów ośmielam się zdać sprawę z nowego dziełka: *Projekt do słownictwa chemicznego*, przyjmując je jako pracę nader blisko przemysł nasz obchodzącą, i niezmiernie ważną dla jęgo pomysłności. Uwagi zaś które tu na początku umieściłem, i dalej rozwijam, stanowią niejako wyznaczenie zasad, na jakich opieram pojmowanie moje co do kierunku i względnej wartości każdego słownictwa naukowego, których tyle rozmaitych w tych czasach się namnożyło.

Wszelkie usiłowania ku uporządkowaniu i wyjaśnieniu języka naszego chemicznego zaiste bardzo są chwalebne; ale jak zawsze i wszędzie, tak i tu pojedyncze prace nietyle są skuteczne i pożyteczne, nietyle mogą mieć za sobą powagi i wytrawionego sądu, ile zbiorowe: *viribus unitis*. Dlatego téż, dotąd pojedyn-

czych tylko ludzi staraniem dźwigniony gmach słownictwa chemicznego nie miał ani jednorodnego układu, ani też zachowanego względu na następne z czasem odkrycia i nabytki naukowe. Każdy nowy pogląd, każdy by najdrobniejszy przydatek, wynalazek jakiegos nowego połączenia, już psuł sztuczną jedność w całości, i dawał powód komuś drugiemu do tworzenia nowego układu słownictwa, które z kolei podobnemuż losowi uledez musiało. W pracach zresztą i przedsięwzięciach takiego rodzaju jak słownictwo naukowe, które ma służyć do uproszczenia, ułatwienia i wyjaśnienia prawd i zasad nauki, i uczynienia jej przystępną i zrozumiałą dla zajmujących się nią, koniecznym jest współpracownictwo wielu osób: bo ze spólnych tylko narad, rozważ i roztrząsań, wyniknąć może coś pożytecznego dla ogółu. Najlepszym tej prawdy dowodem jest znane dzieło: *O piśmowni*.

Wiele zatem dobrego rokować sobie możemy z nowego słownictwa o którym mowa.

Przeniknieni potrzebą ustalenia i uporządkowania naszego języka chemicznego, gorliwi tutejsi chemicy, farmaceuci, górnicy, lekarze, i szkolni nauk przyrodzonych professorowie, skupili swe usiłowania, i po długich naradach, roztrząsaniach, wzajemnych rozbiorach, rozważach i gruntowném zbadaniu obecnych potrzeb i przyszłości nauki, ułożyli zasady i obecnie z druku je wydali pod nazwą: *Projekt do słownictwa chemicznego*. Tak samo niegdys postąpił pierwszy powódzca francuzkiej nomenklatury chemicznej Guyton de Morveau (r. 1787). Nie zaufał on własnym tylko siłom, ale za wspólną dopięro naradą z tak znakomitemi mężami i uczonemi, jak Lavoisier, Fourcroy i Berthollet, rozwinął zasady języka chemicznego, który nie tylko że dotychczas we Francyi jest użytym, ale nawet posłużył za wzór wielu innym krajom.

Słownictwo francuzkie w chemii używa wyrazów pochodzenia mieszanego łacińsko-greckiego, których krój i układ nieco tylko jest zfrancuzony. Powinowactwo tych trzech języków pozwala na to, a wspólnosć źródłosłowów czyni, że wyrażenia mowy chemicznej zrozumiałe są i jasne dla każdego niemal Francuza, nie podpadając wszakże zarzutowi dwuznaczności, gdyż najglówniejsze z nich bardzo trafnie są wybrane. *Oxygène* naprzykład nie oznacza twórcę kwasów, lecz tylko przemian zwanych *oxydami*. *Acide* także nie jest kwasem w zupełném tego wyrazu znaczeniu, albowiem nań jest inny w mowie potocznej pierwiastek *Sigre*. *Carbone* jest pierwiastkiem węgla (*charbon*). W połączeniach, zakończenia oraz przydatki na początku wyrazów oznaczają rozmaite stopnie związków. Niemiecka nomenklatura naśladowując w swym układzie francuzką, a także i powszechną łacińską, co na jedno wychodzi, użyła za źródłosłowy wyrazy niemieckiego pochodzenia, łącząc je i szykując całemi słowami w sposób właściwy germańskim narzeczem. Ztąd też język chemiczny niemiecki lubo jest dokładny, w oznaczaniu połączeń niekiedy staje się rozwlekłym, zawilym, i wpada w dwuznaczność, jaką koniecz-

nie użycie wyrazów *Sauerstoff*, *Wasserstoff*, *Kohlenstoff*, *Stickstoff*, na oznaczenie czterech najważniejszych pierwiastków chemicznych, wprowadzać musi, a które widocznie nie odpowiadają przeznaczeniu swemu; toż samo dzieje się i w nazwach połączeń. Słowem, niemiecka nomenklatura jest tylko niezgrabnym przetłumaczeniem francuzko-lacińskiej. Inne nomenklatury chemiczne, a w tej liczbie i słowiańskie, do tejże wady przyznać się muszą. Może dotąd jedna tylko czeska na drodze postępu nieco się odznaczyła, inaczej niektóre pierwiastki przezywając, a to w celu ułatwienia mowy chemicznej; ale zamiast wyjaśnienia i ustalenia wyobrażeń nie dopięła swego zamiaru, przekroczywszy pewne granice, mianowicie zaś tém, iż w wyborze źródłostwu nazw zbyt dowolnie postępuje, zważając tylko na najdobitniejszą, nie zaś najogólniejszą i cechującą własność pierwiastku.

I my ulegaliśmy dotąd temuż zarzutowi; pragnie go usunąć nowo projektowana nomenklatura. Zasady jej i wznowienia są następujące:

1) *Ciała pojedyncze* czyli właściwiej *pierwiastki*, gdyż nie wszystkie pierwiastki są ciałami pojedynczemi, jak tego najdobitniejszym przykładem jest *Ammon*, lubo złożony, dziś jednak w rzędzie pierwiastków dla swych własności policzony. Zpomiędzy 17tu pierwiastków niemetalowych, dawne nazwy: kwasoród, saletroród, wodoród, arsenik i krzemionka, oraz węgiel lub węglik, najgłówniej uległy przemianom. Każdy z chemią obeznany aż nadto dobrze jest przeswiadczony o niewłaściwości i fałszu wyrazów kwasoród, saletroród i wodoród; niepotrzeba przypominać, jakie z użycia ich następnie przy oznaczeniu połączeń wynikają trudności i błędne pojęcia. Zamiast więc kwasorodu, autorowie projektu do słownictwa chemicznego podają *tlen*. Będąc on czysto słowiańskim co do brzmienia, w znaczeniu swoim wybornie i szczęśliwie odpowiada ogólnym pojęciom o cechach pierwiastku, który ma nazywać. *Tlic*, *zuttlic* sąto wyrazy do dzisiaj w potocznej mowie naszej używane, i oznaczają właśnie tę czynność przetwarzającą, jaką kwasoród na ciała wywiera. Mówimy: kości i szaty zmarłego *zeltone* są przez długie lata spoczynku; mówimy: próchno *tli się* w ciemności; sąto zawsze skutki i objawy łączenia się kwasorodu z ciałami. *Tlenie* wszakże nie jest gorzeniem, a tém mniej paleniem się ciał; *tleny* w dawnej mowie słowiańskiej znaczy dający się w proch obrócić przez samo tylko działanie czasu, a raczej wpływ powietrza, więc kwasorodu, *tłenu*. Osobną rozprawka p. Oczapowskiego jawnie okazuje słowiańszczyznę tego wyrazu, i objaśnia dowodami właściwe jemu znaczenie.—Nie ulega wątpliwości, że nazwę saletroród, wyrażenie *azot* w innych nomenklaturach używane, tymczasowo daleko lepiej zastępuje, niż u Czechów *dusik* lub proponowany u nas *dusień*; tymczasowo mówię, bo i obcy wyraz *azot* podobnie ma znaczenie, a tylko się krótkością swą zaleca i łatwością w łączeniu i przemienianiu. Wszakże zwracam tu uwagę autorów na wyraz

trut, znany w mowie pospolitego ludu, na oznaczenie pośmiertelnych i w ogóle wszelkich duszących wyziewów. Wiem, że wyraz ten nie obey był autorom, ale chciano go użyć zamiast arszeniku, przez nasładowanie czeskiej nomenklatury, która *tručikiem* arszenik przezwała. Ażali też *trut* nie nadałby się z czasem zamiast azotu, podobnie jak *tlen* wybornie zajmując już miejsce kwasorodu? Mniej szczęśliwie zdaje mi się dobrano wyraz *wodor* na zastąpienie ze wszech miar nieprzydatnego wodorodu. Zakończenie na *dor* a nawet na *or* nie jest słowiańskie, a przynajmniej w niewielu tylko przykładach znajduje się w mowie naszej; najczęściej zaś jest przerobieniem francuzkiego *deur*, czyli wprost z łaciny wziętém *dor*, albo z greckiego skróconém *doros*. W istocie też wszystkie prawie wyrazy mowy naszej tym zakończeniem obdarzone, obcego są pochodzenia, mianowicie greckiego, łacińskiego i francuzkiego. Jak w dźwiękach muzyki, pewna strojność wymaga stosownego następstwa tonów; tak też i w mowie pierwiastki dwóch różnych języków nie mogą się z sobą łączyć w zgodną całość. Zakończenie łacińsko-greckie *dor* z początkiem słowiańskim *wod* nie może się godzić dobrze w uszach Słowianina; dlaczegóżbyśmy nie poszukali w dawniej naszej mowie jakiej nazwy na ten pierwiastek również jak ta giętkiej i lepkiej do potrzeb słownictwa chemicznego, a brzmieniem swém zupełnie swojskiej. Wodne mawy zwały się u nas wodyny, wudyny, ondyny. W najdawniejszym śladzie języka Słowian w jednej pieśni skandynawskiej powiedziano *wistla wudu*, Wista woda czyli rzeka. Czyżby więc nie można rzec na pierwiastek hydrogenium, *wodyn* raczej, niż wodor; wreszcie *wod* lub *wud* nawet, który podobnie jak tlen, jest czystym i prawdziwym źródłosłowem wyrazu, tak jak samo to lotne ciało, *hydrogenium*, jest głównym i czystym pierwiastkiem składowym wody. Każdy zaś z tych wyrazów równie dobrze nakłania się do wszelkich zakończeń przez słownictwo chemiczne wymaganych: wodny, wodynny, wodowy; tlenek wodu lub wodynu, tlenowód, tlenowodyn (woda); wodnynek lub wodek węgla, węglowód, węglowodyn, i t. p. — Arszenik skrócono na *arszen* i słusznie. Z krzemionki, tylko *krzem* pozostawiono, i z tym bardzo można się zgodzić. Lecz że węgiel lub węgielk chcą na *węplen*, przerobić weale mi się nie zda stosowném. Przyznaję, że konieczném jest wprowadzenie jakiegoś wyrazu na oznaczenie pierwiastku tworzącego naturalny węgiel drzewny, kamienny, i t. p., ale w braku innego lepszego, przykro jakoś rozstać się z tak już w mowie utartym wyrazem jak jest węgiel, ażeby zamiast niego przyjąć nazwę *węplen* na pierwiastek węgla; i pomimo całej wymowności dodanej na końcu dziełka rozprawki p. H. Łabęckiego, przemawiającej za węglaniem, w ostatnim razie wolałbym zdaje się obey *karbon*, niż ten tak nieswojsko brzmiący węplen. Ale możeby się też wyraz starodawny *żgło* mógł w tym razie dobrze wydać: boć *żgło* oznacza palny watek, co się żegnając daje, żkąd zgłiszczę, spalenizna.

Metale autorowie słownictwa zowią ogólném mianem *kruszcce*. Długo zdawała mi się ta nazwa niewłaściwą, ale przekonał inaczey uczony i uzasadniony wywód p. Łabęckiego, który radbyim gdzie znaleźć w całej obszerności ogłoszony. Zwykle przywiązujemy wyobrażenie kruchości do nazwy kruszec, i w istocie wszelkie w kraju naszym odwiecznie kopane metale, krusche były; do dzisiaj górnicy nasi kruszczem zowią błyszcz ołowiany (galena), siarczyki miedzi i żelaza (piryt miedziany, żelazny), kruszczem jest u nich każdy bronz, spiża, i t. p. aliaz; kruszczem drogin zowie się u starożytnych nawet pisarzy naszych srebro i złoto, które u nas nigdy w czystym, ciągłym stanie nie znajdowało się, a więc zwykle krusche było. Ztąd więc, kruszec jako swojską nazwę upowszechnioną można rozciągnąć do oznaczenia wszelkiego metalu, i zupełnie dobrze rzec: rudy kruszczowe, równémże prawem, jak Czesi na metale mają wyrazy *kory* i *teskienie*. od własności metalów szczególnie w czeskiej kopiących się ziemi kownego żelaza i błyszczącego srebra w żyłach, lub w serbskiej krainie oddawna znanego polyskliwego żywego srebra. Zupełnie toż samo, powiada p. Łabęcki było u starożytnych Greków powodem do nazwy *metallon*, od *metallao*, inquirō, gdyż rudy ich w skałach ukryte z trudnością tylko poszukiwać się dawały. Więc zgoda, niechże *kruszcami* zowią się metale.

Zpomiedzy metalów tylko nazwy *wapen*, *glin*, *merkuryusz*, dają mi powód do rozważy, gdyż inne, albo całkowicie obcego pochodzenia i już w mowie chemicznej utarte, albo też przykrócone jednakowym sposobem nie rażą ucha, np. ammon, glucyn, erben, kadm, osm i t. p. Stosunek *wapenu* do pospolitego wapienia jest prawie takż sam, jak węgleni do węgla; ale jak ten tak taunten wcale nie słowiańskie mają brzmienie przy czysto swojskim źródłosłowiu, ztąd niestosowność nowej nazwy, ztąd żal za utartą nazwą, łagodniejszą w mowie, wapien. Wapno jest tlenkiem (niedokwasem) pierwiastku *calcium*; więc prędzejby można przyjęć za pierwiastek wyraz *wap* niż *wapen*; a to jedynie dla dogodzenia ostrożności tych, którzy radziby uniknąć wszelkiej dwuznaczności i wszelkiego zawikłania między wyrazami chemicznymi a pospolitej mowy, w której wapien oznacza każdy kamień dający wapno, czyli każdy mniej lub więcej czysty węglan wapna, co także i w mineralogii jest przyjętém. *Glin* zamiast dawnego glinianu, równie szczęśliwym jest nabytkiem jak tlen. Lecz dlaczegóż mamy alchemiczne nazwisko *merkuryusz* pozostawić w języku wykształconej dzisiejszej chemii, które i długie jest, i niezgrabnie jako obce ulega potrzebnym w nomenklaturze chemicznej przemianom? Wiem, że nie wszystkim wyda się dobrym wyraz *rtec* lub *rtęc*, którym merkuryusz nazywany jest u Czechów, Illirów (a pomnijmy że u nich odwieczne są kopalnie żywego srebra), a nawet i w naszej dawnej mowie; wiem także trudności jakie zachodzą w nakłonieniu go do przemian, dla dogodzenia wymaganiom dzisiejszego słownictwa chemicznego: ale czyby natomiast

nie nadał się inny jaki, naprzykład, chociażby ów wspomniany *leskien* albo *lyskien*, wreszcie nawet *lyszcz*, które również jak inne wszelkie nazwy metalów, są giętkie i łopkie. Naostatek może *migt* dałby się użyć, byle nie merkuryusz.

Otóż więc wszystkie znane dotąd pierwiastki chemiczne nieżywotne są nazwane wyrazami zwięzłemi, jasnymi, jak powinno być każde nazwisko. A w ogóle, przy całej właściwości nazw, inny jest charakter ich brzmienia na oznaczenie pierwiastków niemetalicznych, inny zaś na metale; i słuszną, że są tak rozróżnione.

2) *Związki rzędu Igo*, te jak wiadomo dzielą się na *zasadowe*, *obojętne* i *kwasowe*. Dla wyrażenia *połączeń zasadowych* obrano zakończenia na *ek*, i *nih* dla pierwiastku elektro-ujemnego w tym związku; *ek* oznacza najprostszy stosunek pierwiastków składowych; *nih* większą obfitość elektroujemnego, a którychto związków dalsze z kwasami połączenie wydaje sole. Wszelkie zaś inne połączenia jako *obojętne* w dalszych związkach swoich mają dodatek liczbowy na początku nazwy pierwiastku elektro-ujemnego, oznaczający względną ilokrotność tego pierwiastku, do stosunku z zakończeniem *ek*; i tak jest np. SFe_8 , jedno-ósmo-siarek żelaza; SFe_2 półsiarek żelaza; SFe siarek żelaza; S_2 , Fe_2 siarnik żelaza; a S_2 , Fe dwusiarek żelaza. Przyznać należy, że układ ten jest bardzo systematyczny; a jednak tak się wydaje, jakby trochę zawiele na ołtarzu systematyczności na ofiarę złożono. Kto wie, azali z postępem nauki nie wynajdą się i liczniejsze jeszcze kombinacye, dajmy naprzykład siarki i żelaza, bardziej skomplikowane ułamki; a jakże wtedy trudnym będzie wymówienie podobnej nazwy. Z drugiej strony znowu znajdujemy, że tlenkiem merkuryuszu nazwano OHg_2 , a tlenikiem jego OHg , odchodząc w tym zdaje się od ogólnego prawidła, gdy OHg (Quecksilberoxyd) jako najprostszy stosunek powinienby się właśnie zwać tlenkiem, a OHg_2 półtlenkiem merkuryuszu. Ale na usprawiedliwienie tej pozornej anomalii to przytoczyć można, że oba te połączenia z kwasami jako zasady się zachowują, tworząc wyraziste sole. Wszakże dopiero wtedy można będzie stanowczo przekonać się o tém czy nazwanie OHg_2 tlenkiem merkuryuszu pojedynczym jest wyjątkiem od jednostajności nazw odpowiedniej formułom atomistycznym, czy też grupuje się osobno z innymi jakimiś związkami, gdy autorowie słownictwa zechcą zadać sobie pracę w ułożeniu szczegółowego a systematycznego obrazu wszystkich znanych, dotąd istniejących połączeń chemicznych nieżywotnych, a nawet i tych, których bytność przypuszczalną być może, stawiając w takim obrazie z jednej strony znaki Berzeliuszowskie, z drugiej nazwy połączeń podług nowego słownictwa, a w trzecim oddziale naprzeciwno nich nazwy wedle dawnych naszych nomenklatur, i pospolite tych połączeń lub przemysłowe nazwiska. Wtedy mając dokładnie wyobrażenie całości i wszystkich szczegółów tej tak rozległej nomenklatury, dotykalnie spostrzedz się dadzą wszelkie zaloty i niedogodności całego tego słownictwa. Jakoż o ile mi wiadomo,

po ukończeniu pracy nad słownictwem chemii żywej, która stanowić będzie drugą i oddzielną część niniejszego projektu do słownictwa, autorowie jego zająć się mają ułożeniem całkowitego i zupełnego słownika chemii tak nieżywej jako i żywej; wtedy też można będzie zapewne słusznie uznać, że *finis coronat opus*.

Kwasny. Żałować tu przychodzi, że autorowie słownictwa tyle starania łożąc na rozjaśnienie języka chemicznego, pozostawili w nim rodzajową nazwę *kwasy*, gdy ona przez przywiązanie do tego wyrazu znaczenie smaku, nie odpowiada wyobrażeniom dzisiejszym o kwasach chemicznych; jak to zresztą i sami przyznają, że główną cechą kwasów jest pochopność do łączenia się z zasadami dla utworzenia soli; wszakże i woda w niektórych połączeniach pełni usługę kwasu. Więc to są właściwe *solitwory*, jeśli tylko i nazwa *sole* nie jest ze względu chemicznego podobnie jak *kwasy* błędną, gdyż *sól* ma do siebie przywiązane wyobrażenie słoności lub smaku jakiegoś, co, jak wiadomo, wcale nie jest cechą chemiczną soli wszelkich. Wolclibyśmy więc na kwasy w braku innych słyszeć chociażby obcy wyraz *acydy*, gdyż doń nie przywiązujemy w mowie naszej żadnego szczególnego znaczenia. Co do nazw samychże kwasów, autorowie przyjmują zakończenie na *ny* dla kwasów bogatszych w pierwiastek elektroujemny, czyli dla kwasów wyższych, a *owy* dla kwasów mniej weni obfitujących, czyli niższych; dla oznaczenia zaś pośrednich między niemi, dodają na początku wyrazu przedimek *pod* do nazwiska kwasu bezpośrednio wyższego. A nadto, gdy i tych nazw zamало, inne połączenia kwasowe, greckimi od ilokrotności wziętymi nazwiskami mianują. I tak wzięwszy znów siarkę za przykład, która z tlenem najliczniejsze wytwarza kwasy: będzie SO_2 *kw. siarczany*; S_2O_3 *kw. podsiarczany*; SO_3 *kw. siarkowy*; S_2O_4 *kw. podsiarkowy*; S_3O_4 *kw. tritlionny*; S_4O_4 *kw. tetratlionny*; S_5O_4 *kw. pentatlionny*. Te trzy ostatnie tak są wyjątkowe, że trudno nawet cośkolwiek o nich powiedzieć; zapewne że odpowiadają chwilowej potrzebie, ale czy i dalej te kwasy zachowają swoje dotychczasowe a jednak zupełnie nowe i niezwykle stanowisko, przewidzieć niepodobna. W kwasach, w których miejsce tlenu zastępuje inny pierwiastek, autorowie bardzo konsekwentnie z zasadami swego słownictwa podają nazwy: i tak kwas siarczany jest tylko skróceniem wyrażenia tlenek siarczany, albo kwas tlenosiarczany; więc gdy inne pierwiastki są w podobnym związku, tworzą się dla niego nazwy, np. siarczyk antymonny, albo kwas siarkoantymonny i t. p. I w tem zupełną mają słuszność; ale czy inne nazwy związków, które dziś chemicy pospolicie w rzędzie kwasów umieszczają, również są jasne i systematyczne,—to chyba dalsze użycie okaże.

Najtrudniejszą, najzawiakławszą i bez wątpienia najważniejszą w zastosowaniu praktycznym część słownictwa chemicznego tworzy oddział *soli*, jeśli już je koniecznie solami nazywać. Dla nich dwojakie nadają autorowie zakończenia, *an* i *on*: sole utwo-

rzony z kwasów, których rodzajowe zakończenie jest *ny*, przybierają końcówkę *an*, a z kończących się na *owy* otrzymują końcówkę *on*; np. siarczan (tlenosiarczan) i siarkon (tlenosiarkon), chloromerkuryan i chloromerkuryon, i tu właśnie pokazuje się niezdatność nazwy merkuryusz, a z drugiej strony zakończenie *on*, może dla zupełnej swęj nowości, dziwnie jakoś brzmi w uszach naszych; nie zdaje się też wcale zgodnem z przyrodzeniem słowiańskiej mowy: wszakże w braku innej końcówki ma przynajmniej zaletę systematyczności. Ze względu na zasadę (basis) soli, do wyrażen oznaczających skład jej chemiczny, gdy ona utworzoną jest z zasady niższej dodają wyrażenie *pierwszy*, następnie *drugi*, i t. p.; np. *siarczan 1szy*, *siarczan 2gi żelaza*, utrzymując, że takie wyśłowienie najlepiej odpowiada duchowi teoryi chemicznej. Lecz i tu użycie tylko i synoptyczny obraz związków zwanych solami, o który najmocniej autorów upraszać należy, jedynym mogą być jawnym dowodem lepszości tego systemu wyrażania nazw soli, nad wszelkie inne.

Cóżkolwiekby, z chlubą przyznać można, że słownictwo którego zasady w tém dziełku, pod skromnem mianem Projektu jeszcze, poddane są pod sąd ludzi światłych i język naukowy należycie urobionym widzieć pragnących, przedstawia nam najbardziej ze wszystkich dotychczasowych jednolitą i systematyczną całość, zrozumiałą dla każdego, kto tylko bliżej zbadać ją zechce, próżną dziwactw i wybryków źle zrozumianej skwapliwości w oczyszczaniu języka przez nowe tworzenie wyrazów; słowem, jest ono owocem wielkiej, długiej i sumiennęj pracy, głębokiej rozważi, starannych poszukiwan, dziełem zbiorowem, wolnem od osobistych uprzedzeń. Życzyćby tylko należało, ażeby przy ostatecznem i szczegółowem wykończaniu tego słownictwa, obok większej nieco jasności w wykładzie jego zasad, które sposobem dla wszystkich, nie zaś dla najmocniej tylko w naukę chemii wtajemniczonych dostępnym, napisane być powinny; ażeby mówię zechciano zasięgać zdania głębokich znawców i badaczy języka naszego, których jednak wielu dzisiaj Warszawa posiada, a to: iżby stawiając wiekiasty pomnik nauce, uczynić go zarazem chlubnym pomnikiem pięknej naszej mowy.

D. 26 stycznia 1833 r.

Bolesław Podczaszyński.

Przegląd dzieł historycznych rossyjskich ze zwrotem na rzeczy polskie.

Rękopism Filareta patriarchy moskiewskiego i wszystkich Rusi.

Moskwa. 1837 r.

Pod tym tytułem wydał JW. Paweł Muchanow kurator Warszawskiego Naukowego Okręgu rękopism pisany na zwitku (na

stołbce), który został pocięty na karty, i zszyty bez porządku. Na okładce późniejsza ręka położyła napis: „Opowiadanie o byłych w Rosyi po śmierci cara Borysa Godunowa zamieszkach i nie-szczęściach, napisane za patryarchy Filareta Nikiticza i w niektórych miejscach jego ręką poprawione”. Początkowych, a gdzieś-niegdzie środkowych kart brakuje; na pierwszej z tych, które zostały jest opis powstania księcia Szujskiego przeciw samozwańcowi, na ostatniej wybór na tron Michała Teodorowicza.

Ten rękopism znany był Karanzynowi, który w dziele swoim często go przytacza. W odpisie który miał pod ręką, były opuszczone miejsca przekreślone przez późniejszych poprawiaczy, którzy zapatrując się z innego stanowiska na wypadki, zacierali prawdę pierwotnego opowiadania. JW. Muchanow wydał ten rękopism z ryginału, z największą dokładnością, z zachowaniem miejsc przekreślonych, z oznaczeniem wszelkich poprawek.

Wydawca zachował nazwanie pod którym ten rękopism znany był uczonym rosyjskim, ale rzuca domysł że wszech miar sprawiedliwy, że to nie jest jedna kronika, ale zbiór pięciu kronik, pisanych przez rozmaite osoby, odmiennym stylem i w odmiennym duchu; nawet papier i ręka piszącego w każdej kronice są inne. Później dopiero te kroniki zostały złożone i sklejone w jeden zwitek, jak się zdaje przez tego, który napisał ostatnie dwie karty.

Pierwszy kronikarz sprzyjał Szujskiemu; opowiadanie swoje zamyka złożeniem jego z tronu. Blizko połowy zwitka jest dziełem drugiego kronikarza, którego nie można posądzać o zbyteczne sprzyjanie Szujskiemu. To jest najciekawsza część rękopisiny. Trzeci najwięcej mówi o czynach patryarchy Hermogenesa; czwartego praca małej jest wagi; ostatni napisał zakończenie, wypełnił przerwy i związał opowiadanie drugich w jedną całość. Było także czterech poprawiaczy; czy między poprawkami są własnoręczne patryarchy Filareta, o tem nie można wiedzieć, nie znając jego pisma: znane są tylko podpisy pisane starannie i wyraźnie. Zdjęte podobizny posłużą z czasem do rozstrzygnięcia tej wątpliwości. Jestto szacowny materyał, a staranne wydanie nie zostawia nic do życzenia.

Zbornik Michała księcia Oboleńskiego. Moskwa. 1838.

Jestto zbiór materyałów historycznych od r. 1506 do 1615, wydany w dziesięciu zeszytach, z których każdy oddzielnie wzięty stanowi pewną całość; zeszyt siódmy, jakkolwiek niewielki, wydany jest w języku polskim. Zbornik księcia Oboleńskiego zarówno obchodzi Rus jak dawną Polskę, a zawiera w sobie wiele materyałów ciekawych i mało znanych.

Zeszyt I obejmuje księgę poselską Wielkiego Księstwa Litewskiego z r. 1506, od początku panowania Zygmunta Starego,

w której na jaw wychodzą stosunki Litwy z hanem krymskim Mengli Girajem.

Zeszyt 5: Dziennik posłów litewskich do Moskwy z r. 1556.

Zeszyt 6: Zdanie sprawy królewskiego posła Lwa Buchowieckiego z r. 1576.

Zeszyt 7: Naukę daną posłom Zygmunta III: Lwu Sapieże, Stanisławowi Warszyckiemu i Eliaszowi Pielgrzymowskiemu, wyprawionym do cara Borysa Godunowa w 1600. r.

Zeszyt 8: List Borysa Godunowa do Zygmunta III z r. 1605.

Zeszyt 9: List drugiego samozwańca do Smoleńszczan z d. 24 kwietnia 1608, żeby go za cara uznali.

Zeszyt 10: Odpowiedzi dane przez posłów litewskich moskiewskim bojarom z r. 1608 i 1615.

Nieodżałowana szkoda, że Zbornik księcia Oboleńskiego wychodzić przestał; to co zostało wydane, już jest ważną zdobyczą dla nauki i miłą dla nas pamiątką dobrych chęci wydawcy.

Rościsław Michałowicz ruski udzielny książę na Dunaju, przez Pałauzowa. Petersburg, 1851.

Ta rozprawa w której są zebrane wiadomości o Rościsławie, rozrzucone po kronikach ruskich, bizantyjskich i zachodnich, z tego powodu najwięcej nas obchodzi, że w niej Pałauzow rzucił domysł, jakoby Gryfina żona Leszka Czarnego a córka Rościsława była za pierwszym mężem Michałem carem bułgarskim.

Rościsław, syn Michała czerniechowskiego, zrazu był księciem w Nowogrodzie W.; oddalony przez Nowogrodzian przeniósł się na Ruś południową. Ojciec jego przy pomocy Węgrów walczył o Halicz z Danielem synem Romana, i bronił go trzymając gród w rękę. Lecz gdy wyprawił się dla zajęcia Kijowa i na miejscu swoim zostawił syna, Daniel opanował Halicz, a Rościsław uciekł do Węgier (1236). Przed Tatarami szukali także schronienia na węgierskim dworze, ojciec jego Michał i wróg ich obu, Daniel halicki. Zajścia między nimi były powodem, że Michał i Rościsław opuścili Węgry i udali się do Polski do wuja Konrada (1238). Wrócili nakoniec z tułaczki na ziemię rodzinną, Michał udał się do Kijowa, a Rościsław do Czerniechowa (1240). Rościsław znowu rozpoczął walkę z Danielem o Halicz; pobity uciekł do Węgier na dwór Beli, który wydał za niego swoją córkę (1243), a w posagu dał mu księstwo Maczwy (1) i Rodnę w Karpatach. Zacięty w nienawiści czy pobudzony chęcią wywalenia sobie udzielnego państwa, Rościsław z Maczwy odbywał wyprawy przeciw Danielowi przy pomocy Węgrów w 1245, przy pomo-

(1) Maczwa byłato kraina nadgraniczna między rzekami Wielką Morawą i Dryną, której stolicą był Białogród.

cy Węgrów i Polaków w 1249; a gdy nieszczęśliwie się powiodły, wrócił do Białogrodu, i przestał na tém co miał z daru teścia.

Pałauzow utrzymuje, że Rościsław wydał swoją córkę za cara bułgarskiego Michała, i że w 1258 zawarł pokój między Laskarysem cesarzem greckim a Michałem. Domysł Pałauzowa na tém się opiera, że Akropolita, logofet cesarski w kronice swojej opisuje przybycie do cesarskiego obozu księcia Rosos Uros; ale zkądże pewność, że Rosos Uros jestto przekrecone nazwisko Rościslawa? Palacki wątpi, żeby Rościsław, który ożenił się w 1243 mógł być teściem Michała w 1258, i dowodzi, że Rosos Uros przedź się stosuje do serbskiego króla Stefana Urosza.

Michał został zabity przez stryjecznego brata Kolomana; lecz przywłaszczyciel niedługo utrzymał się na tronie: pobity przez Rościslawa ustąpił miejsca jego synowi Miczy, który miał za żonę siostrę zabitego Michała. Palacki znowu nie chce wierzyć, żeby Micza był synem Rościslawa.

Osadziwszy Miczę na tronie, Rościsław niedługo przebywał w Bułgarii; wezwany przez Bełę IV, udał się do Wiednia, i wspólnie ze Stefanem Uroszem królem Serbów zawarł pokój między Węgrami a Czechami w 1261. Kronikarze nazywają go księciem Bułgarów; to nie więcej nie znaczy, utrzymuje Palacki, jedno że był wyznania greckiego, które u Czechów nazywało się bułgarskiem. Pałauzow zaś powiada, że kronikarze nazwali go księciem Bułgarów dlatego, że stał na czele bułgarskiego wojska, które przyprowadził na pomoc swojemu teściowi królowi węgierskiemu.

Ostatni domysł Pałauzowa który najmniej danych ma za sobą, jest ten, że Gryfina pierwój była żoną Michała cara bułgarskiego, nim została żoną Leszka. Naprzód trzeba byłoby dowieść, że Rosos Uros i Rościsław jestto jedna osoba, a potem, że ta a nie inna córka została żoną Leszka. Domysł Pałauzowa, który w liście do Waclawa Maciejowskiego nazywa swoim przekonaniem, może być prawdą; ale dopóki nie rozjaśni należycie wątpliwości, za prawdę przyjąć go nie można. Sam autor zdaje się o tém wątpić: w rozprawie nigdzie nie twierdzi, że Gryfina była pierwój za carem bułgarskim, a na karcie genealogicznej domniemaną Gryfinę wziął w nawias i położył znak zapytania.

Przyjęcie posłów litewskich w Moskwie 1556 r.

W zeszycie 5 Zbornika wydawanego przez księcia Obolenskiego, jest umieszczony dziennik posłów litewskich z 1556 i wypis z ksiąg poselskich utrzymywanych w Moskwie; dwa źródła, które zupełnie zgadzają się z sobą. Dziennik jest obszerniejszy, bogatszy w szczegóły i żywo stawia przed oczy przyjęcie, jakiego doznali posłowie. Trzech ich było: pierwszy poseł Stefan książę Zbaraski wojewoda witebski, drugi poseł Jan Szymkowicz marszałek i pisarz, starosta tykociński, i sekretarz poselstwa Waclaw

Mikołajewicz pisarz, dzierzawca Skirstemoń i Rosień. Towarzy-
szył im dworzanie królewski Paweł książę Sokoliński Drucki;
w orszaku poselskim było 157 ludzi i 220 koni. 7 stycznia wjechali
w granice moskiewskiego państwa, 23 przybyli do Moskwy. Wo-
jewodowie carscy Tuczow i Borysow w 220 koni dzieci bojar-
skich spotykali ich na granicy, a dwaj przystawowie odprowadzali
do stołecznego grodu. Kiedy do Moskwy dojeżdżali, na Dro-
gomilowie o wystrzał od dworów spotkali ich carscy dworzanie,
a wysiadłszy z sani podeszli ku nim i powiedzieli, że car i hosudar
Wielki Książę kazał wam się kłaniać. Posłowie pokłoniwszy się
chcieli wejść z nimi w rozmowę, ale oni powiedzieli: Nie będzie-
my z wami nic mówili, póki nam nie dacie odpowiedzi na pokłon
monarszy. Więc posłowie odpowiedzieli: „Za pokłon Wielkiemu
Księciu dziękujemy”.

— Po drodze jakże się macie?—zapytali znowu dworzanie.

— Zdrowiem pana naszego miłościwego wielkiego króla Zy-
gmunta, przez ziemie Jego Miłości zdrowośmy jechali.

Dworzanie carscy wsiedli do poselskich sani, dwaj po pra-
wej ręce, dwaj po lewej, odprowadzili ich do gospody i pożegnali.

Na drugi i na trzeci dzień odwiedzali ich ciż sami dworzanie,
którzy byli u nich przystawami. Wszedłszy do izby pytali:

— Jako jesteście zdrowi?

— Z łaski bożej i na zdrowie naszemu hosudarowi, zdrowi
jesteśmy i mamy się dobrze.

Mówiąc to posłowie chcieli ich posadzić na *ustonie*, ale Bo-
rysow domagał się miejsca na ławie obok pana wojewody, i po-
wiedział, że za dawnych posłów taki był obyczaj: pisarz w sieniach
spotykał przystawów, drugi poseł u drzwi, a pierwszy poseł wsta-
wał na ich powitanie.

— Wszystko to być może, odpowiedzieli posłowie, ale my
tak się względem was zachowujemy, jak wasi posłowie względem
zacych ludzi sług naszego króla; nie tylko że ich nie spotykali
ani na ławicy obok siebie sadzali, ale wstawać nawet nie chie-
li. Napomnijcie waszych posłów, żeby królewskim przystawom
cześć wyrządzali, a posłowie królewscy takąż samą cześć wam
wyrządzać będą.

Przystawowie bez dłuższych sporów zajęli miejsca na *ustonie*
i tak powiedzieli:

— Car i hosudar kazał wam jutro być u siebie: chce wysłu-
chać waszego poselstwa.

Powiedziawszy to wstali i odjechali.

Na drugi dzień posłowie czekali na przystawów do południa
i w ich towarzystwie udali się na zamek. Nie dojeżdżając do gan-
ku (k'stołbu) na dziesięć sążni, przystawowie zatrzymali sanie i bili
batogami sługi i woźnice; ale ci słuchać ich nie chcieli, porwali
sanie i do samych schodów przysunęli. Gdy wchodzili do zamku
spotkali ich w sieniach okolniczy Czobotow i dyuki Jelizarow
i Posnik, i spotem z nimi weszli do izby w której Wielki Książę

Jan Groźny siedział na majestacie niedaleko od kąta po lewej stronie. Jeszcze nie stanęli na miejscach, kiedy Jakób Morozow okolniczy w te słowa zawołał: „Do ciebie Cara przyszedli posłowie wielcy króla polskiego wielkiego księcia litewskiego”. Wielki Książę podał im rękę, łaskawie przyjął i zapytał:

— Brat mój król czy zdrow?

— Myśmy w dobrém zdrowiu odjechali J. Kr. M. pana naszego miłościwego.

To mówiąc podali list wierzący i poczęli sprawować poselstwo. Wielki Książę wysłuchał ich łaskawie i kazał im usiąść na ławie naprzeciw tronu. Potem posłowie złożyli od siebie dary, które Wielki Książę przyjął i na chleb ich zaprosił. Sam udał się do cerkwi, a posłowie czekali w murowanej izbie ze dwie godziny, aż wezwano ich do Wielkiego Księcia, który każdego nazwał po imieniu i za stół sięść kazał. Przy jednym stole z Wielkim Księciem siedzieli jego ulubieńcy, przy drugim posłowie królewscy i przystawowie, przy trzecim bojarowie. Wielki Książę sam obdzielał chlebem i potrawami swoich ulubieńców, i posłom je posyłał, a dworzanin podawał chleb lub potrawę mówiąc te słowa: „Car i hosudar i wielki książę, tobie Stefanie, Janie, lub Wacławie posyła”. Siedzieli za stołem w noc ze dwie godziny. Gdy od stołu wstali i podeszli do Wielkiego Księcia, każdemu z nich podał swoją ręką kubek (kowsz) miodu. Ledwie wrócili do gospody, przyjechali dwaj dworzanie powiadając, że monarcha przysłał ich, aby posłów uczyli i częstowali; i częstowali ich przez czas niemały, chociaż posłowie pić nie chcieli.

U każdego z posłów przystawowie byli na obiedzie; częstowali ich podług swego obyczaju, a oni wdzięcznie przyjmowali, a podpiszwszy sobie dobrze i podziękowawszy, odjechali.

Znowu posłów na zamek wezwano i już im nie broniono zajeżdzać pod sam ganek. Jan Wiskowaty powiedział im w imieniu Wielkiego Księcia, żeby szli do pałaty na rozmowę z bojarami. W ślad za nimi poszli bojarowie: Morozow, Jan Woroncow, Teodor Sukin i Jan Wiskowaty pisarz. O niczem mowy nie było, jedno o tytule. Bojarowie skarżyli się, że Zygmunt August pana ich nie chce carem pisać; pokazywali listy na pergaminie od króla duńskiego i od króla szwedzkiego i od króla angielskiego i od cesarza, którzy piszą go carem. Posłowie odpowiedzieli: „Nie po tośmy przyjechali, żeby o tytule się dowiadywać, ale żeby postanowić pokój i dobrą zgodę między monarchami, a tych listów oglądać nie chcemy, bo to nam na nie niepotrzebne”.

— Kiedyście przyjechali pokój postanowić, to dlaczegoż nie macie pisać carem naszego monarchę?

— Dlaczegoż król ma mu ten tytuł dawać, kiedy króla o to nie prosił, i posłów naszych niełaskawie przyjął, tak, że pierwsze poselstwo nie podług zwykłego obyczaju poszło. Na przyznanie tytułu nie mamy mocy. Niechaj wasz monarcha pošle posłów do naszego króla, a król zniósłszy się z drugimi chrześcijańskimi panami, postanowi co ma uczynić.

— Kiedy wy mówicie tak rozumnie, że między naszymi panami nie będzie ani wiecznego pokoju, ani rozejmu, to my odnieśliśmy wasze słowa hosudarowi.

Na tém stanęła rozmowa, a posłowie odjechali do gospody.

Na drugiej rozmowie bojarowie tak powiedzieli posłom: „Odnieśliśmy mowę waszą naszemu monarsze, który chce żyć z waszym królem w pokoju, w dobrej zgodzie i w miłości braterskiej; a że teraz dla tytułu carskiego nie może być wiecznego pokoju, hosudar kazał nam mówić o rozejmie. Powiedźcież na wiele lat król chce zawrzeć przymierze?”

— Na cztery lata.

— Powiedźcie nam szczerze a prosto; wy musicie mieć naukę, nam niedaleko chodzić po nią do naszego hosudara, to się łatwo zgodzimy.

— Nie może być mniej jak na cztery lata, a przecie zgódźmy się na lat sześć.

— Mowę waszą odnieśliśmy naszemu hosudarowi i damy wam odpowiedź inszego czasu.

Taki był koniec drugiej rozmowy. Na trzeciej bojarowie oświadczyli posłom, że hosudar zgadza się na przymierze do lat sześciu. Zatem posłowie odjechali do gospody, zostawiwszy Wacława Mikołajewicza sekretarza poselstwa, do napisania listu rozejmowego.

Posłowie raz ostatni udali się na zamek. Wielki Książę przyjął ich siedząc na majestacie, każdego nazwał po imieniu i kazał usiąść na ławie; a gdy chwilę przesiedzieli, kazał im udać się na rozmowę z bojarami. Pogadali trochę o tytule, odczytali listy rozejmowe i wrócili do izby, w której odbywało się posłuchanie. Wielki Książę wziąwszy oba listy, położył je na misie, na listach położył krzyż, obrócił się do posłów i każdego nazwał po imieniu: „Stefanie, Janie, Wacławie, patrzcie, oto ja bratu mojemu Zygmuntovi Augustowi królowi polskiemu, wielkiemu księciu litewskiemu krzyż całuję na to, że wszystko, co w tych rozejmowych listach napisano, mam wypełnić i dotrzymać do czasu umówionego”. Pocałował krzyż, jeden list posłom oddał, a drugi sobie zatrzymał, prosił posłów, żeby usiedli, kazał podać miodu starego i każdemu posłowi kubek własną ręką podał. Posłowie oddali kubki skosztowawszy miodu; więc podawał im nowe kubki z miodem; nakoniec podał im rękę i powiedział: „Bratu mojemu Zygmuntovi Augustowi królowi polskiemu, wielkiemu księciu litewskiemu kłaniajcie się odemnie, i to mu powiedźcie, że przysięgłem do niego wielkich posłów; Jana Michałowicza Borysowa, Teodora Janowicza Sukina i Borysa Szezokina”. Posłowie pokłonili się i odjechali do gospody. Tegoż dnia Wielki Książę dary im zwrócił i każdemu przysłał kilka soroków soboli. Wyjechali z Moskwy i 23 lutego stanęli na ziemi litewskiej.

Seweryn Gołębiowski.

Die Sprichwörter der Polen, historisch erläutert mit Hinblick auf die eigenthümlichsten der Lithauer, Ruthenen, Serben und Slovenen, und verglichen mit ähnlichen anderer Nationen; mit beigefügten Originalen, von Dr. Constant Wurzbach. Wien. 1852. Str. 355. Przepisania ministrowi Alex. Bach i przemowy XV. W 12ce.

Nie obojętną jest dla nas praca niemieckiego pisarza, tém bardziej, że dotyka tak ważnego przedmiotu, jakim jest nasz język ojczysty, bo przysłów polskich.

„Rozprawiać dziś o znaczeniu przysłów (mówi p. Wurzbach w przedmowie) byłoby powtarzać tylko rzecz dobrze znaną. Powodem pracy mojej jest nowość przedmiotu, bo Niemcy bardzo mało znają tę gałąź literatury słowiańskiej. Zajmująca strona tak bogatego przedmiotu, przywiązała mnie więcej jeszcze do tej pracy, i mogę się pochlubić, iż jestem pierwszy, co przedmiot ten przedstawiam publiczności niemieckiej. Rachuję na jej przychylność, a rękojmia tego mam w przyjęciu przez nią dawniej ogłoszonych urywków niniejszej pracy, i w przychylnym o nich sądzie“.

P. Wurzbach podzielił pracę swoję na cztery działy przysłów: 1) na historyczne; 2) na oświato-historyczne; 3) na przysłowia wsparte podaniami; 4) na przysłowia rymowe.

W historycznych trzymał się chronologicznego porządku, i do każdego dodał objaśnienia, nie tylko przez poprzednich badaczy przysłów polskich podane, ale starał się usilnie, aby zbogacając nowemi szczegółami z dzieł polskich, w szerszych je ramach przedstawić. Nie mogę mu żadnych robić zarzutów, że nie widzimy w nich dokładnego obrobienia materiałów polskich, jakie miał pod ręką; że w takiej rodzimój surowości tłumaczył je na niemiecki język: albowiem miał cel szlachetny na myśli—dania jak najwięcej Niemcom szczegółów dziejowych Polski z domowego żywota, a im nieznanym. Znać po tej pracy, że z sumiennością zgłębił swój przedmiot, że poznał go dokładnie. Toż mówić i o innych działach przysłów. Wszędzie bowiem widzimy te przymioty, tak niezbędne zacnemu pracownikowi na polu umysłowém. Co uderza szczególnie, że nie razi nas żadném uprzedzeniem, żadną cierpkością, i wybaczyć musimy, znając położenie autora, że wypuścił przysłowia dotyczące obrony Wiednia przez Sobieskiego.

Jeżeli dzieło p. Wurzbacha wiele jeszcze do życzenia zostawia, to znowu przyznać musimy, że tak, jak jest wydane, bacząc że to praca cudzoziemca, na szczerze nasze współczucie zasługuje, i rzeczywiście zaleca się wartością literacką.

Zródła z kąd czerpał pomoc, wyliczył w swojej przedmowie (1). Z niej się dowiadujemy, że p. Wurzbach zamierza w dal-

(1) Pomijając spis dzieł, których znać p. Wurzbach nie znał, ale z polskich bibliografij tytuły i sąd o nich wypisał: głównie korzystał w swęj pracy z następnym dzieł polskich:

szym ciągu prac swoich zapoznać Niemców z pieśniami ludowymi polskimi i ruskimi, z dziejami i literaturą polską, oraz podać jej szczegółową historią. Jeżeli z równą prawdą, uczuciem a sumiennością (o czém nie wątpimy) dalej w obranym zawodzie postępować będzie: Niemcy po raz pierwszy zaprawdę, zapoznają się dokładniej z umysłowością i dziejami Polski.

K. Wł. W.

Przysłowia narodowe, 1830 r. 3 tomy: zład żywcom tłumaczył dodając historyczne obszerniejsze ustępy, a mające związek z jakim przysłowiem z wyliczonych poniżej. — *Starożytnie przypowieści* z XV, XVI i XVII wieku. 1836 r. — *Zarysy domowe* 4 tomy. 1842 r. — *Obrazy starodawne*, 2 tomy. Warsz. 1843 r. — *Dodatek do pieśni ludu polskiego i ruskiego* K. J. Jurowskiego. — *Filozofia i przysłowia ludu w Polsce* (Kwartalnik naukowy 1835). — *M. Wiszniewskiego Historia literatury polskiej* T. I. 1840 r. — *Przysłowia ludu litewskiego* A. Jucewicza, 1840 r. — *E. Gołebiewskiego Gry i zabawy. Domy i dwory. Ubiory w Polsce. Lud Polski.* — *Storożytności polskie* T. I. 1842 r. — *Ambr. Grabowskiego: Starożytności historyczne polskie* 1840 r. 2 tomy.

ROZMAITOŚCI.

POBYT LISSÓWCZYKÓW

w północnej części państwa rossyjskiego w 1613 r.

Zarówno z innemi ucywilizowanymi narodami pochlubić się możemy, żeśmy mieli w swym kraju świątłych dziejopisarzy, którzy nam dzieje narodu naszego od zawiązku monarchii aż do naszych czasów w prawdziwych obrazach przekazali; lecz tego zaprzeczyć nie możemy, że wiele jeszcze jest ważnych faktów, kraj nasz obchodzących, które dotąd dlatego są nam nieznanne, że za obrębem kraju naszego odbyły się, i opisy ich przez współczesnych świadków skreślone, w nieznanych nam archiwach są zagrzebane. Pomiędzy innemi, któryż z historyków opisał *wszystkie* pochody Lissowczyków, co na liczne hufce rozdzieleni, tu i owdzie, od morza Czarnego aż do Lodowatego i od źródeł Dniepru aż do Wołgi i Uralu, w obcej ziemi, pomiędzy obcym narodem szukali sławy lub mogiły (1)?

Samo tylko towarzystwo archeologiczne w kraju zawiązane, jużto przez swych członków, już za pośrednictwem korespondentów, tu i owdzie po obszarze państwa zamieszkałych, zbadawszy liczne archiwa, jest w stanie wygrzebać ukryte dzieje przeszłości, i rzucić nowe światło na historią kraju.

Za panowania Zygmunta III od r. 1607, to jest od czasu poskromienia rokoszu pod Guzowem, dowodzonego przez Zebrzydowskiego i Janusza Radziwiłła, część znaczna biedniejszej szlachty pałając nienawiścią przeciw różnowiercom, a do tego nęcona sławą i łupieżą, poszła walczyć pod znaki królewskie albo przemożnych panów. Do nich łączyła się część wojska, które z powodu niepobieranej od niejakiego czasu płacy, zniechęcone było służbą Rzplitej; tym zaś wszystkim

(1) O Lissowczykach pisali, o czém autor przypomina: K. Wł. Wojcicki: „Obrazy starodawne“ i Maurycy hr. Dzieduszycki w dziele: „Krótki rys dziejów i spraw Lissowczyków“ 2 tomy, oprócz współczesnego tychże Lissowczyków kapelana i historyka W. Dębołęckiego. P. R.

przewodniczyli Kozacy zaporozcy, *Lissowczykami* od Lissowskiego Alexandra niegdy ich wodza, zwani. O nichto Lipski w opisie wojny chocimskiej z w. XVII powiedział:

„Dotąd się w dzieje one i pustynie darli,
Aż się piersiami o lód północny oparli.”

I rzeczywiście, wdzim ich raz pod dowództwem Gąsiewskiego pod murami Moskwy i Sergijewskiej Ławry, drugi raz z Żółkiewskim pod Cecorą, to znowu pod rozmaitemi wodzami w rozmaitych miastach średniej i północnej części państwa rossyjskiego.

Skreślmy tu pobyt Lissowczyków w miastach: Solwyczehodsku, Uściugu i Cholmogorach, w teraźniejszych guberniach wologodzkiej i archangielskiej. Wiadomości te poczerpnęliśmy z miejscowych archiwów miejskich i monasterskich. Dwa pierwsze miasta zwiedzaliśmy sami i miejscowość z podaniem historycznym sprawdziliśmy.

W historii miasta powiatowego Solwyczehodska, w r. 1789 przez Alexego Soskina napisanej, o pobycie Lissowczyków tak napisano:

„Roku 7121 (1613 od nar. Chr.), dnia 22 stycznia (v. s.) w piątek, w mieście Solwyczehodsku byli panowie polscy: Jakób Jacki (1) z towarzyszymi, i ruscy Kozacy; mieszkali w mieście trzy dni i pojechali mimo miasta Uściuga nad rzekę Jug, gdzie Jan Łow tameczny właścicielanin jugski zebrawszy towarzyszy, wielu z tych nieprzyjaciół pobił, a pan Jakób Jacki umknął przez Wieltugę (2) ku rzeco Woldzo.

„W czasie tego pobytu, Litwini wszystkie cerkwie i domy w mieście do szczytu spalili; pozostawili tylko dwa monaster: jeden św. Borysa i Illeba, a drugi Ofiarowania Matki Boskiej (3); także cyrkuł Atanazego, oraz cerkwie: Zbawiciela obrazu nie ręką tworzonego (4), i Wniebowzięcia Matki Boskiej; te bowiem gmachy stały w środku miasta, blisko starego ostrogu (5), naokoło katedry Zwiastowania N. Panny i domów będących własnością obywateli Stroganow.

„Po tej klęsce znaleziono w mieście poległych w bitwie, znanych i nieznanym, ogółem 193 ludzi, a pomiędzy temi było 27 osób na samym rynku zabitych, gdzie i Leonty pop poległ. Wszystkich zwłoki pogrzebione zostały w przeznaczonym dla biednych dole (6).“

(1) W oryginale Якуи.

(2) *Wieltuga* miasto powiatowe gub. kostromskiej nad rzeką tegoż imienia, systemu rz. Wolgi. Chociaż latopis nie oznacza wyraźnie, czy Jacki był w mieście Wieltuga lub tylko rzekę przebył, rozumieć jednak należy samą rzekę.

(3) Введенский монастырь.

(4) Спаса перукотвореннаго.

(5) W środku starożytnych miast rossyjskich wznoszone były małe warownie czyli cytadelle, które nazywano *ostrogami*, jeśli opasane były podwójnym parkanem drewnianym, walem i ostrokołem; lub *kremlincem*, gdy warownia opasana była murem z cegły i kamienia.

(6) *Dół biednych* (уборитъ домъ) przeznaczony był do grzebania w nim zaduszonych, utonionych, zabitych i w ogólności nagłą śmiercią umarłych. Dół ten czyli mogiła otwartą była przez cały rok, i od Zielonych Świątek jednego roku, aż do tejsze uroczystości drugiego roku, składano w ten takich trupów; we czwartek zaś po Świątkach, odbywało się za te dusze uroczyste żałobne nabożeństwo, po którym mogiła ta zasypana była, a natomiast drugi dół wykopano.

Jeden z późniejszych badaczy (1) starożytności wologodzkiej twierdzi, że Polacy weszli do Solwyczechodska ze strony południowej z za rzeki Wyczechdy. Po otrzymaniu wieści o zbliżającym się nieprzyjacielu, mieszkańcy miasta i chłopcy umyślnie zebrali się do miejskiego ostrogu i wystąpili na lód Wyczechdy. Dla pewniejszej obrony przerąbali wzdłuż rzeki na kilka wiorst długi kanał i na kilka sążni szeroki. Dnia 22 stycznia około południa, na przeciwległym brzegu zjawily się nieliczne oddziały jazdy litewskiej. Obywatele miasta spotkali ich kanonadą i strzałami ręcznej broni. W kilka godzin nadeszły pozostałe oddziały i sypnęły przez rzekę grad kartaczy. Polaków i Litwinów było około trzech tysięcy. Porażeni mieszkańcy miasta pozostawivszy na lodzie kilkadziesiąt trupów i ranionych, spiesznie w nieładzie zrejterowali na brzeg, ku katedrze Zwiastowania, gdzie blisko cerkiewnego parkanu znowu uszykowali się do boju. Polacy zaś przeprawivszy się spiesznie, bez żadnej przeszkody, przez kanał, posunęli się ku brzegowi rzeki, gdzie zsiadłszy z koni, znowu puścili się w zapasy z mieszkańcami miasta, próbując siły ręcznej. Lecz Solwyczechodzianie nie wytrzymali natarcia i wnet pierzchnęli. Strzeley i włościanie pod dowództwem wojewody cofnęli się ze wszystkimi rynsztkami ku domowi Stroganowa, i tam przed bramą, oraz poza opasującym dziedzińcem murem uszykowali się. Do tych przyłączyli się ludzie Stroganowa, pod dowództwem samego gospodarza Andrzeja, syna Szymona Stroganow, zamożnego obywatela miasta (2).

Polacy minąwszy domy Stroganowskie, zwrócili się ku miejskiemu ostrogowi i wywaliwszy bramę, wjechali na rynek. Tu garstka zbyt śmiałych Solwyczechodzin w liczbie 27, uzbrojona dębowemi kijami i siekierami, pod przewodnictwem popa Leontego, chciała opór stawić, lecz wszyscy na placu bitwy padli.

Nazajutrz d. 23 stycznia wojsko polskie w mieście odpoczywało, lecz rabunku nie dopuszczało się; a nawet niewiele mogłoby skorzystać, gdyż klejnoty i kosztowne rzeczy w podziemnych lochach ukryte były.

Na trzeci dzień Polacy i Litwini zapaliwszy ze wszech stron miasto, przy odgłosie wzywających na ratunek miasta dzwonów i wrzawie mieszkańców, cofnęli się na południe traktem ku Uściugowi.

Nie poszli jednak do Uściuga ci wojownicy, lecz zwrócili się znowu na północ za Solwyczechodsk aż do miasta *Chotmogory*, leżącego nad Dźwiną, w dzisiejszej gubernii archangielskiej (3), które z łatwością zdobywszy i łupy pobrawszy, poszli ponad Dźwiną przeciw jej biegowi aż do miasta *Uściuga*, które ze swego bogactwa i handlu już daleko znaném było.

(1) Jan Muromcow.

(2) Именитый гражданинъ Андрей Семеновичъ Стргановъ.

(3) Powiat chotmogórski znany jest z chowu pięknego bydła rasy holenderskiej.

O szczegółach tego pobytu Lissowczyków w mieście Wielkim-Uściugu, latopis ówczesny miejscowy tak opowiada:

„Mnich Gryszka (Grzegorz) Otrepiw, uwolniony od ślubów zakonnych, przezwawszy się Dymitrem carewiczem, *po ożenieniu się w Polsce* (1) przyprowadził z sobą do Rossyi mnóstwo Polaków i Litwinów, którzy się rozproszyli po całej ruskiej ziemi i wiele złego Rossyanom przyczynili. Niektórzy z nich doszedłszy aż do leżącego blisko morza-oceanu miasta, zwanego Chołmogory, zrabowali je i zniszczyli, a potem po rzece Dźwinie w górę posunęli się aż ku miastu Wielkiemu-Uściugowi.

„Wówczas w Uściugu był wojewodą Michał syn Alexandra Nagowaty, który posłyszawszy o zbliżającym się do miasta nieprzyjacielu, radził spółobywatelom, aby dla obrony miasta, na wielkich miejskich okopach wystawili ostrog, któryby mógł zastąpić cerkwie tak katedralną, jak i św. Prokopa i Jana cudotwórców uściużskich.

„(W owym czasie w mieście Uściugu pędził swe życie świętobliwy i bogobojny mnich zwany *Lewskij*, który ciągle nakazywał Uściużanom aby uczynili ślub wystawienia *w jednym dniu* cerkwi na cześć wielkiego Barlaama Chutyńskiego; co i postanowili, lecz przybycie *łacinników*: Polaków i Litwinów, niemałą przeszkodę w wykonaniu tego ślubu sprawiło.....)

„Opasawszy miasto wałem, parkanem i basztami (2), ustawili na tym ostrogu armaty i straż, czekając przybycia nieprzyjaciół. Gdy już Polacy przybliżyli się pod miasto Uściug, dla pewniejszego zdobycia, rozdzielili swe pułki na oddziały, i doszedłszy do rzeczki Strygi, nie mogąc po lodzie postępować, nagle wszystkie się zatrzymali. Chociaż wielość ich przez długi czas przez Uściużan rażeni byli, jednakże z miejsca nie ruszali: wstrzymywała ich bowiem jakaś moc boska.

„Tymczasem z siola (3) Carekonstantyńska przyszedł do Uściuga człowiek, po imieniu Eudokim, który bojarynowi Michałowi Nagowatemu i całemu miastu doniósł, że stanąwszy w skrytym miejscu, widział wszystkie zamysły cudzoziemców; przedewszystkiém, że konie ich na lód nie poszły i dlatego cała siła nieprzyjacielska zwróciła się do siola Carekonstantyńska, gdzie po długiej naradzie postanowili z tego siola udać się na południe, i po przepłynięciu się za rz. Dźwinę, brzegiem jej ciągnąć ku miastu. Jednocześnie posłali ze swych pułków zręcznych ludzi do podpalenia domów w mieście i na przedmieściach.

„Po odebraniu takowej wieści, Uściużanie chcąc stawić opór nieprzyjacielowi, wysłali za miasto pod dowództwem wojewody Gabryela Puszkina mnóstwo konnych i pieszych ludzi; książę zaś Michał Nagowaty

(1) Zapewne przez omyłkę, bo Dymitr z Maryną Mniszech wziął ślub w Moskwie.

(2) W początku wieku XVIIgo grody rossyjskie były opasane podwójnym, na 9 łokci jeden od drugiego odległym parkanem lub ostrokołem, pomiędzy którym usypywał się wał z ziemi i kamieni; a w pewnych odległościach jego, mianowicie na załomach, budowano drowniano baszty czyli strzelnice.

(3) Siolo, wieś kościelna.

waty pozostał w mieście, gdzie zręczni maruderzy. *polskiego pana*, który chciał podpalić monaster św. Trójcy, na gorącym uczynku schwytali i przyprowadzili do księcia. Ten zbadawszy (1) według praw cywilnych winowajcę, kazał mu głowę ściąć.

„Uściuzanie zaś zgromadzonemi siłami wielu nieprzyjaciół pokonali, od miasta odpędzili i konie ich pobrali. Odstąpiwszy od miasta Polacy, rozłożyli się na nocleg po wsiach nad rzeką Suchoną, gdzie wiele budynków mieszkalnych i gospodarskich w nocy spalili. Uściuzanie jednak częstemi napadami przez całą tę noc nie dawali im pokoju. Przytém nastął bardzo silny mróz, który przywodząc Polaków do rozpacz, zmusił ich do ukrywania się tu i owdzie po wsiach. Pomimo tych kłesk, nieprzyjaciół zamyślał jeszcze zdobyć miasto i w tym celu mnóstwo śmiałych udało się pod bramy jego, dla obejrzenia z góry zwanéj *Gleden Uściugska* (2) fortyfikacji i spalenia monasteru św. Trójcy; lecz się im to nie powiodło. Albowiem mieszczenie i tą razą schwytali blisko monasteru *pana*, który tak był niepokonanym w sile, że zaledwie z wielką trudnością do grodu przyprowadzić go mogli. Ten jeniec po wielu mękach wyznał, że wszyscy jego towarzysze w wielkim strachu i bojaźni zostają i mają już zamiar od miasta odstąpić, lecz tylko nie wiedzą jeszcze, w którą stronę udać się mają. Co usłyszawszy książę Michał Nagowaty naradziwszy się z obywatelami, wkrótce znówu wyprawił za miasto przeciw oblegającym liczne wojsko, pod wodzą Gabryela Puszkina. Polacy natarci, pierzchnęli od miasta przez *nieprzebyte miejsca* i lasy, i gdzie tylko napotykali osady, wszystko bez litości palili, mieszkańców oddając pod cios miecza. Tak wojując, doszli do zameczyska kiczmeńskiego (3), którego załoga obwarowawszy się, śmiało nieprzyjacielowi czoło stawiała i przeszło 200 ludzi mu trupem położyła, zabrawszy oprócz tego wielu jeńców. Pozostali Polacy i Litwini, postradawszy zabranych w różnych miejscach do 300 ludzi jeńców, ztąd aż do granic bałickich, przeszło 300 pól (4) ściągani byli. Tak przepędziwszy ze swych granic nieprzyjaciół, Uściuzanie dziękując za pomysłny skutek Bogu, wesoło i radośnie do swych progów wrócili.“

Teraz Uściuzanie mieli czas do wykonania uczynionego Bogu ślubu i po wzniesieniu w mieście świątyni, dnia 17 kwietnia 1613 r. na pamiątkę pozbycia się nieprzyjaciół, poświęcili uroczyste cerkiew

(1) По руску: неспытавъ, dorozumieć się należy, że podpalacz podpro-
wadzonym był pod (марку) tortury.

(2) W Rossyi, w pobliżu każdego większego miasta jest uświęcona da-
wnym zwyczajem góra, z której przychodniowi przedstawia się panorama
miasta, do którego dąży: taką jest pod Moskwą na trakcie smoleńskim *poklonna-
ja gora* zwana, na którą wstępując każdy Rosyjanin żegna się i pokłonem od-
daje cześć zawartym w mieście świętościom, czyli je pozdrawia lub też żegna.
Takież ma znaczenie pod Uściugiem góra *Gleden*, na której pierwiastkowe
miasto tegoż nazwiska założoném było.

(3) Zameczysko kiczmeńskie (кичменекін городокъ) leży w okolicach
teraźniejszego miasta Nikolsk gub. wołogodzkiej, na pograniczu gub. wiatskiej,
nad rzeką Kiczmengą, wpadającą do Jugu.

(4) Порунице właściwie znaczy *pole, plac bitwy*, było ówczesną podłu-
żną miarą przestrzeni w Rossyi.

na cześć Matki Boskiej Kazańskiej i wielbnego Barlaama z Chlutynia, patrona miasta.

Rok 1613 pamiętnym był dla mieszkańców teraźniejszej gubernii wołogodzkiej. Oprócz bowiem trzech wzmiankowanych miast: Solwyczehodsk, Uściug i Chołmogory (1), które należały wówczas do namiestnictwa uściugskiego, a także miasta gubernialnego Wołogdy (2), jeszcze jedno miasto tójże gubernii, Welsk, przez Lissowczyków nawiedzonym było.

Miasto to leży na ustroniu traktu wołogodzko-archangielskiego, nad r. Wagą (3), kupiono od Tatarów przez *Bazylego Swojeziemcową* obywatela miasta Nowogrodu-Wielkiego. Pierwiastkowy naród nad Wagą znany był pod imieniem *Czudy Zawołockiej*, to jest plemienia czudskiego, za lasami osiadłego.

Od r. 1613—1619 Lissowczycy zwiedzali siedziby nad rz. Wagą. Miejscowy lud nazywał ich *panami*, i nie mogąc w odlegle rozrzuconych swych wsiach bronić się od napadów nieprzyjaciela, wykopywał głębokie doły, pokrywał je balami, nasypywał z wierzchu wielką ilość piasku, a czasami i kamieni, i w tak urządzonych kryjówek ukrywał się ze swemi skarbami przed nieprzyjacielami. Ale gdy to schronienie nieprzyjaciel odkrywał, wtedy unikając haniebnej śmierci, ukryta garstka ludu podrywała podpierające dach słupy, i przyniatała się piaskiem i kamieniami.

Jeszcze i teraz wieśniacy ukazują kurhany, ślady dawnych kryjówek przed Polakami. Niejednokrotnie w tych kurhanach znajdowano pieniądze i inne zabytki starożytne.

Były jednakże w niektórych miejscach zbudowano ważniejsze warownie czyli grodziska z ziemnych szanców lub ze spiczastych naturalnych pagórków, ręką ludzką spadzisto okopanych. Takie grodziska dotychczas nazywają się *horodyszczami* (4), z których jedno widzieć można o milę od m. Welska nad r. Wagą, blisko wsi cesarsko-udzielnój zwanój tèmeż imieniem *Horodyszczce*. Wewnątrz grodziska dotąd widać podziemne kurytarze czyli lochy.

Druga podobna warownia była blisko wsi zwanój *Podgorodie*.

Podanie niesie, że w horodyszczach mieszkańcy zaopatrywali się w grube krągłaki czyli kłocce, i gdy nieprzyjaciel dochodził do potowy wysokości okopów, wówczas na niego spuszczano z szanców po jedną lub kilka takich bierwion czyli kłoców, ktorými strącano na dół dobijających horodyszczce, a niekiedy nawet zupełnie tym sposobem ich zabijano.

(1) W pobliżu miasta Chołmogory leży wieś i gmina, czyli włość *kurostowska*, pamiętna miejscem urodzenia Łomonosowa, znakomitego filologa i poety rosyjskiego.

(2) W dziełku *Bukiet literacki*, Warsz. 1851 r. jest opisane *Najście Litwinów na miasto Wołogdę*.

(3) Rzeka Waga splewna, wpada do Dźwiny północnej.

(4) Horodyszczce były w Zaporozżu nad Dnieprem i w Litwie.

Latopis welski twierdzi, że w miesiącu wrześniu 1613 r. Polacy i Litwini zwiedzali pobrzeża Wagi, wiele siedzib opanowali i welski pogost (miasteczko) zniszczyli.

W r. 1614 w grudniu, Polacy i Litwini powtórnie przybyli do powiatu wańskiego i znaczne łupy zabrawszy, udali się do Chołmogór.

W tymże miesiącu 1619 r. znów Polacy z Litwinami byli nad Wagą i wiele siedzib zajęli, a zabrawszy z mieszkańców znaczniejsze od poprzednich łupy, udali się w inną stronę.

Te najścia Lissowczyków tkwią dotąd w pamięci krajowców. Chociaż już blisko półtrzecia wieku od owej epoki upłynęło, jednakże i dziś jeszcze, choć rzadko, słysząc tam można opowiadanie stareca lub staruszki o pobycie *panów*. W powiecie welskim dotychczas w użyciu pozostało miano: *pan-barin*, tak jak w południowej Rosyji u pospólstwa *barin-Tatarin*. Wszystkie podania o ukrytych skarbach, jakie dotąd na północy cesarstwa trwają, odnieść należy do czasów pobytu tam Lissowczyków.

Pomiędzy dowodami przybycia tu znacznej ludności z południowej Rosyji, a mianowicie z Ukrainy i dawniej Polski, stwierdzają to żyjące dotąd pomiędzy szlachtą i włościanami gubernii wołogodzkiej następujące familie: Florencki, Kalakutski, Dembicki, Wołocki, Sierpiński, Zgorzelski, Michałowski, Lewicki, Piotrowski, Fiazinowski, Konownicyn, Czykin, Iwanicki, Hornowski, Nowicki, Wołchowski, Zasiocki, Obnorski, Dubrowski, Pszenicyn, Andrzejewski, Wielihorecki, Swieczynski, Wesołowski, Pulczewski, Kuczyński, Łamański, Kustowski, Narbut, Liszyn-Dudycki, Puchiński, Bordziłowski, Woroniecki i wiele innych.

A. Połujański.

Ksiądz Paweł Szymański.

Spółczeństwo ludzkie przez śmierć i narodzenie odnawia się ciągle; indywidua, które już spełniły posłannictwo swoje na ziemi, strudzone życiem znikają z niej nazawsze i zastępowane zostają przez młode i silne, przeznaczone do dzieł nowych. Jestto prawo natury, prawo ogólne, a zatem mądre i doskonałe; lecz czemuż śmierć zdaje się niekiedy z podwojoną srogością zadawać ciosy w członków jakby jednej sławnej rodziny?

Tę uwagę robimy mimowolnie, gdy widzimy, że dopiero 22 lat mija od upadku byłego uniwersytetu warszawskiego, a z kilkudziesięciu znacznych i znakomych mózów, którzy z takim światłem i dzielnością przewodniczyli temu wielkiemu dziełu wspaniałomyślnego monarchy Alexandra Igo, ledwie kilku pozostało. Niedawno kraj cały uczuł śmierć Felixa Bentkowskiego i Adryana Krzyżanowskiego; dziś znów opłakujemy stratę młóej głośniego, lecz niemniej zasłużonego b. profesora uniwersytetu.

Zgon uczonych mężów, jakimi oni byli, jest bez wątpienia zawsze wielką stratą dla kraju, któremu poświęcali swe usługi; lecz zważywszy, że w każdym narodzie i każdej niemal epoce znajdowały się silniejsze inteligencye: pocieszamy się myślą, że ta strata zastąpioną będzie. Ale gdy widzimy, że o ile natura tak płodną jest w wyższe umysły, o tyle jest bardzo skąpą w tworzeniu tych ludzi silnych, niezachwianych w świętych zasadach; tracąc nazawsze takiego człowieka, pytamy z bolesnym zwątpieniem: „Któż go zastąpi?“ To pytanie uczyniliśmy sobie nad świeżo usypaną mogiłą na skromnym, nieznanym wiejskim cmentarzu, w której złożyliśmy szanowne zwłoki księdza Pawła Szymańskiego. Opowiemy tu w krótkości życie jego.

Ksiądz Paweł Szymański (1) doktor św. teologii, prałat, dziekan kapituły katedralnej chełmskiej obrządku grecko-unickiego, b. profesor pisma św. w b. uniwersytecie Alexandrowskim i akademii duchownej rzymsko-katolickiej warszawskiej, urodził się d. 28 sierpnia 1782 r. w miasteczku zwanem Orchowsk, obecnie do gubernii lubelskiej ptu radzyńskiego należącym, z ojca księdza Andrzeja Szymańskiego, wyżej wymienionego obrządku proboszcza naprzód orchowskiego, potem holeszowskiego, i matki Dominiki z Snitków. Na początku r. 1790 oddany był do szkół białskich na Podlasiu, co zdaje się przekonywać, jak wczesnie rozwijać się zaczęły jego władze umysłowe; témbardziej, że wówczas nie było w zwyczaju, aby dzieci w tym wieku pobierały w szkołach nauki.

Ukończywszy gimnazyum r. 1799 w lipcu, koniec tegoż roku i następny 1800 rok cały przepędził na ćwiczeniach duchownych w klasztorze księży Bazylianów białskich, a większą połowę r. 1801 na słuchaniu nauk w seminaryum obrządku łacińskiego w Janowie; poczem posłany został do Zamościa na słuchanie filozofii, której kurs cały podług austriackiego układu odbył w przeciągu lat dwóch. Po powrocie swym nie czując powołania, odmówił przyjęcia ślubów zakonnych, i na wezwanie księdza Piotra Kozakiewicza oficyna brzeskiego, uczył teologii moralnej i dogmatycznej w byłém seminaryum we wsi Hannie, od października 1803 r., do końca lipca 1804.

Dyecezyą chełmską, osieroconą po śmierci biskupa Porfirjusza Skarbek-Ważynskiego, administrował wówczas ks. Antoni Angellowicz nominat metropolita halicki. Mąż ten dbał o dobro duchowieństwa, wyrobił u N. cesarza austriackiego, aby dwóch kleryków z Cholma, przyjętych było na koszt rządu do konwiktu cesarsko-królewskiego w Wiedniu; w skutek tego Paweł Szymański będąc poprzednio polecony tomuż biskupowi przez ks. Kozakiewicza, posłany był na uniwersytet do Wiednia. Tejto znakomitej szkole winien był ś. p. Szymański większą część swych nauk duchownych, jak to sam z wdzięcznością o niej mówiąc, uznawał. Tam przez lat cztery podług przepisu uczęszczając na prelekye uniwersyteckie, po złożonych w każdym

(1) Niniejszy życiorys skreślony jest najwierniej podług własnoręcznego opisu życia ś. p. ks. Pawła Szymańskiego, zrobionego na skutek wezwania J.W. biskupa chełmskiego z d. 28 maja 1841 r.

półroczu szczegółowych egzaminach publicznych, z postępem celującym, zasłużył na drugie dobrodzieństwo pozostania jeszcze rok piąty o koszcie szczególnym cesarskim i ubiegania się o stopień doktora św. teologii, który też po wytrzymanych pięciu egzaminach surowych, przyznany mu został d. 15 grudnia 1809 r. Tamże ś. p. Antoni Angellowicz w r. 1807 w marcu, w obec cesarza austriackiego Franciszka Igo, który pragnął poznać ceremonie obrządku grecko-unickiego, wyswięcił go na kaptana. Nadto cesarz Franciszek mimo że Szymański jako Galicyanin przeszedł był już w poddaństwo króla saskiego, księcia warszawskiego, uwieczając dobroć ojcowską, powracającego do rodzinnej ziemi nie tylko na drogę szczerze opatrzyć, ale i wszystkimi szkolnemi książkami, których w ciągu lat pięciu używał, udarować szczególnem postanowieniem zalecił.

Powróciwszy do kraju w styczniu 1810 r., zostawał przy cerkwi we wsi Horodyszczu do sierpnia tegoż roku, zastępując słabego miejscowego proboszcza. W tymże miesiącu upoważniony będąc od duchowienstwa dyecezalnego, jeździł do Drezna dla złożenia monarsze prośby o nominacyą biskupa do wakującej katedry chełmskiej, i jeśli nie zapomożenia, to przynajmniej o zwrot funduszu seminaryjskiego, zabranego na rzecz skarbu i mimo częste nalegania konsystorza, ciągle zatrzymywanego. Starania jego najpomyślniejszy osiągnął skutek; nie tylko bowiem oddano z procentem dawny funduszowy kapitał, lecz nadto powiększono seminaryjskie dochody kwotą 6,000 złp. rocznie na utrzymanie wskazanej liczby alumnów i dwóch professorów, a to tak niezwłocznie, iż nominowany biskup ks. Ferdynand Dąbrowa Ciechanowski razem właśnie z nominacyą otrzymał rządowe o tem zawiadomienie. Natychmiast po powrocie swym Szymański przedstawił nowemu biskupowi potrzebę zmiany planu nauk i pomnożenia onych, albowiem przywieziony ze Lwowa niewiele obiecywał dla kleru świeckiego; projekt ten zatwierdzonym został i okazał się w wykonaniu tak odpowiednim, że następnie i po innych seminaryach był zaprowadzonym. Od końca 1810 r. do ostatniego dnia lipca 1817 ciągle mieszkał przy rzeczonym seminaryum, zajmował posadę pierwszego profesora; prócz tego pełnił sam jeden przez lat 4 codzienne posługi domowego kapelana, a przez lat 7 czynności dyecezalnego egzaminatora.

Za otwarciem się w Warszawie b. uniwersytetu Alexandrowskiego, zajął w październiku 1817 r. proponowaną przez radę ogólną uniwersytecką, z zatwierdzeniem Kommissyi rządowej, katedrę pisma św. przy wydziale teologicznym, na którą 4 listopada otrzymał nominacyą w stopniu profesora stałego. zamieszczonym był w rządzie professorów radnych d. 14 lutego 1818 r.; d. zaś 23 maja tegoż roku zaszczyconym został urzędowaniem dziekana wydziału teologicznego, któryto urząd aż do rozwiązania uniwersytetu piastował. Jak zaś odpowiadał podwójnemu obowiązкови profesora i dziekana, ile pisał w przedmiocie urzędzenia wydziału: głównego seminaryum, seminaryów dyecezalnych, nauk religijnych po szkołach świeckich krajowych, i w innych materyach z polecenia wyższego: poświadczają akta wydziałowe uniwersyteckie i b. Kommissyi Rządowej Oświecenia.

Przy tylu innych pracach niemniej gorliwie wykonywał wszelkie polecenia biskupa chełmskiego.

„Chociaż powyższe sprawowanie się moje (mówi w swój własnoręcznej biografii ś. p. Szymański) nie sięgało nad zakres ordynaryjnego poświęcenia się zawodowi przedsięwziętemu i z nim przyjętym obowiązkom tak dyecezalnym, jak i służby szkolnej; jednakże władze tak duchowne jak i świeckie, oprócz wyżej wzmiankowanych dobrodziejstw i awansów, które mi najtaskawiej wyświadczyły i przyznały, zwróciły na mnie uwagę swoją w wyższym stopniu. Zesłżyłabowiem w Bogu JO. książę namiestnik d. 17 maja 1825 r. na przedstawienie wysokiej Kommissyi rządowej wyznał i oświecenia, umieszczonego przez władzę dyecezalną na liście kandydatów do posad kapitulnych przy katedrze chełmskiej, prałatem, dziekanem téżże katedry nominować mnie raczył”.

Po rozwiązaniu uniwersytetu, a zamienieniu wydziału teologicznego w akademią duchowną, zajmował w niej téż samą katedrę pisma św. i należał do rady wewnętrznej akademicznej, aż do miesiąca lipca 1841 roku.

Liczni uczniowie ś. p. prałata, których tak w uniwersytecie, jak i w akademii duchownej wykształcił na światłych dzisiaj kapłanów, pamiętają dotąd dobrze jego wykład pełen religijnego natchnienia, wsparty głęboką erudycją i jasną logiką; pamiętają jak w przedmiocie tak poważnym jakim jest objaśnianie prawd teologicznych, dalekim był zawsze od suchego pedanckiego nauczania, lecz przeciwnie nadzwyczajnie oryginalny, sobie tylko właściwy i zupełnie różny od sposobu swych kolegów miał dar wykładu, tak, że nigdy nie znudził, lecz zawsze zając ich potrafił; pamiętają oni także jak surowym, jednak bardzo sprawiedliwym był egzaminatorem, i nie w zwykłych kwestyach, lecz w rozmowie z uczniem umiał zajrzeć w najtajniejsze zakątki jego umysłu i odróżnić prawdziwą naukę od powierzchownej tylko. Dodajmy do tego, że nagrodą nader rzadką dla tak sumiennego nauczyciela była miłość uczniów, którą mu aż do ostatniej chwili przechowują.

W r. 1841 mając zwątlone siły nieustanną pracą w swym 30-letnim zawodzie nauczycielskim, w zawodzie jak wiadomo najwięcej potrzebującym poświęcenia i wytrwałości, otrzymał emeryturę, i resztę dni swoich w zupełnym ustroniu przy bracie swym dziekanie i proboszczu we wsi Dobratycze, w powiecie bialskim gubernii lubelskiej położonej, przepędził, pełniąc do końca życia ważny urząd dziekana kapituły chełmskiej. Mimo osłabienia, stan jego zdrowia zdawał się obiecywać dość długi jeszcze żywot, gdy nagle rażony paralizem, po 9-cio dniowej ciężkiej chorobie d. 3 grudnia 1852 roku życie zakończył w 72gim roku życia.

Zakres niniejszego artykułu nie pozwala mi wdawać się w ocenienie znakomitych zasług zmarłego, jakie dla kościoła i kraju położył; żyją dotąd liczni uczniowie i wielbiciel jego:—ichto jest obowiązkiem. Ograniczę się tylko na zrobieniu zarysu téj pięknej duszy, którą kilkole-

tnia zażyłość z ś. p. prałatem w ostatnich latach życia jego dostatecznie poznać mi pozwoliła.

S. p. Paweł Szymański posiadał to wszystko, co stanowi znakomitego męża chrześcijańskiego: łączył on głęboki rozum z sercem nadzwyczaj tklivm. Wiara jego w wszechmocność Boga była niezachwianą. Umysł swój badawczy nie zaprzatał nigdy próżnym dociekaniem przyczyn i tajemnic, których nigdy nie odgadnie, lecz go z pokorą wierze i Bogu na ofiarę składał. Surowy w wypełnianiu przepisów św. naszej religii, nie posunął się nigdy do fanatyzmu; prawdziwie pobożny i czuły, gdy modlił się u stóp ołtarza, zawsze z wzruszenia zalewał się łzami. Cechą zaś wybitną jego charakteru była nieugięta stałość w świętych zasadach; gdyby był żył w pierwszych wiekach przesładowania chrześcian, byłby z niego męczennik za wiarę Chrystusa: w naszym wieku pojmował wybornie swe obowiązki, spełnianie ich uważał za jedyny cel życia swego i zawsze interes osobisty z radością im poświęcał. Głęboko przejęty powołaniem sługi Bożego był zdania, że stan duchownego zupełnie niezgodnym jest z politycznym zawodem; wierny tej zasadzie, przeżywszy zaszle w ciągu pół wieku burzo w kraju, żadnego w nich nie brał udziału, lecz zawsze pilnie wypełniał swe obowiązki przewodnika i nauczyciela młodzieży duchownej.

Przy tak świetnych przymiotach duszy, powiedziałem, że ś. p. Szymański miał dany od Boga umysł silny. Niezmordowany w pracy, całe życie zbobacał go nowemi wiadomościami: co dla innych byłoby trudem, dla niego było rozrywką. Nie mając danych z natury żadnego z tych potężnych przywilejów, jakimi są: urodzenie, majątek, protekcyja możnych, wszystko winien był sobie samemu. Był on synem dzieł swoich i w godnościach duchownych mógł być zająć wyżej, gdyby wrodzona skromność i prostota, wstręt do intryg i dworactwa, nie nakazywały mu pozostać w ukryciu.

Obdarzony niezmierną pamięcią, wszystkie nauki teologiczne, historiją kościoła znał i pojął dokładnie; każdą w tym przedmiocie niepewność mało kto potrafiłby równie gruntownie rozstrzygnąć i dowieść. Głęboko zbadał historiją kraju swego i wszystkich krajów słowiańskich; historia starożytna i nowożytna niemniej była mu znana. Wiadomości swe co do dziejów minionych nie zwykł był szukać w terażniejszych autorach; pragnął on czerpać naukę z najczystszych jej źródeł, jakimi są: pisarze starożytni, kroniki, pargaminy, medale, monety; temito szacownemi zabytkami z zamiłowaniem się otaczał i to niezrozumiane dla niewtajemniczonych hieroglify z najwłkszą ławnością odczytywał. Języki: hebrajski, grecki, łaciński, słowiański i ich literaturę doskonale posiadał; francuzki i niemiecki nie były mu obce. Uczył się od kolebki aż do grobu, i przed niedawnym czasem słyszano go z tklivą radością mówiącego, że uczy się języka syryjskiego i mówi już paciérz tym dyalektem, którym Jezus Chrystus wykładał swe Boskie zasady. Tak wielki zasób gruntownych nauk, wspierała nadzwyczaj łatwa wymowa; lecz nie byłato owa sztuczna frazeologia, kryjąca nieraz czezość myśli pod ozdóbkami stylu: ale ta silna i przekonywająca wymowa, płynąca z serca kierowanego bystrym umysłem,

i urozmaicona wyobraźnią żywą, aż do późnej starości. Kaznodzieją był zatém znakomitym i równie do wyższych stanów, jak i do włościan stosownie przemawiać umiał.

Mamże nie wspomnieć o głównem po miłości Boga i bliźniego zamiłowaniu ś. p. Pawła Szymańskiego, to jest: o lubownictwie książek i starożytności? Tak jest, był on prawdziwym bibliofilem i numizmatykiem. Mówiąc że był bibliofilem nie myślcie, że to był jeden z tych pospolitych zbieraczy książek, którzy przepłacają rzadkie druki lub pyszne wydania, aby je potem w pięknej oprawie umieścić na pulkach biblioteki, często nie dając sobie więcej pracy jak nauczanie się napamięć piérwszój tytułowój karty dzieła. Szymański przepłacał także książki szacowne i miał rzadkie niezmiernie wydania, ale prawie wszystko z cierpliwością i zamiłowaniem przeczytał, a co więcej, spaścił. Biblioteka jego zalecała się szczególniej obfitością dzieł teologicznych, gdyż przy tak wielostronnych wiadomościach było przedewszystkiém człowiek badający wielkość Boga na drodze świętych podań i w dziełach najświetniejszych gieniuszów kościoła. Posiadał zbiór biblij w kilkunastu rzadkich wydaniach, a w tych liczbie biblią krakowską Leopoldy wydania Szarlenbergera, biblią ostrogską, biblią brzeską czyli Radziwiłłowską; nadzwyczaj rzadki zbiór koncyljów od piérwszych wieków chrześcijaństwa w języku łacińskim; dzieła prawie wszystkich ojców kościoła, biografie papieżów i wiele innych ksiąg duchownych. Z dzieł historycznych posiadał między innymi najdawniejsze kroniki polskie i ruskie, Volumina Legum, herbarze i t. p. Księgozbiór jego składał się przeszło z 4,000 tomów (1).

Niemniej szacowny miał zbiór numizmatów krajowych i rzymskich, i w tej części archeologii posiadał głębokie wiadomości. Rzymskich i greckich monet miał przeszło kilka tysięcy sztuk, a z polskich wiadomo p. numizmatykom warszawskim, jak również przekonac się można z dzieła Kazimierza Stężyńskiego Bandtkiego pod tytułem: „Numizmatyka krajowa” jak wielkie miał rzadkości; zbieracze nasi wiedzą również, jak drogo je opłacał. Zdziwić się kto może, zkąd tak znaczne mógł czynić wydatki ś. p. Szymański? Przez lat dwadzieścia kilka będąc na wysokim professorskim urzędzie, jako też na dziekanii kapituły chełmskiej, pobierał ze szczerobliwości opiekuńczego rządu dość wysoką pensyą; życie jego nadzwyczaj było skromne, nie przez skąpstwo, którem się brzydził, ale przez zamiłowanie: wszystkie więc fundusze swoje oprócz tego co przeznaczał na tajne milosierne uczynki i na kosztowne apparatus kościelne, obracał na swoje zbiory. Wielkie upodobanie Szymańskiego w starożytnościach nie było i w tém podobném do upodobania zwyczajnych zbieraczy, którzy przywiązują się nieraz z taką namiętnością do tych szanownych lecz martwych pamiątek, że strata ich wyrównywa w ich sercu stracie

(1) Bibliotekę tę zapisał testamentem dla seminarjum chełmskiego, numizmaty zaś przeznaczył do spieniężenia i utworzenia początku funduszu dla wdów i sierot po kapłanach w diecezji chełmskiej, którym wiele również świadczył za życia i zawsze pragnął zebrania stałego na ten cel funduszu.

najdroższych osób; jak w każdym innym względzie tak i w tym, wyższym on był od zwykłych ludzi, i rzeczy podług prawdziwej ich wartości cenił umiał. Gdy w ostatnich latach pobytu swego w Warszawie, przez gwałtowną kradzież prawie wszystkie najkosztowniejsze numizmaty postradał; na widok tak znacznej straty, nie tak jeszcze wewnętrznej jak nieoceniej dla lubownika pod względem zabytków przeszłości, na widok tyle zmarnowanej pracy, którą na zebranie ich użył, uczuł, jak sam powiadał ból chwilowy, lecz potem tak prędko pocieszyć się umiał, że znajomi, którym z zwykłą swobodą swą stratę opowiadał, wierzyć temu nie chcieli.

Przytoczę tu jeszcze na dowód wielostronnych zdolności ś. p. Szymańskiego i to, że miał dar do muzyki, i posiadał ją tyle, że sam układał nuty do pieśni religijnych, nawet do mszy całej. Głos miał czysty i miły; jednym słowem pod jakąbądź formą przedstawia się piękność, wszędzie ją poznać i uczyć potrafił.

Powiedziałem poprzednio, jak trudnym i mozolnym naukom oddawał się ś. p. Szymański; naukom, które często mają smutny przywilej nawet u wyższych inteligencji tamowania innych równie świątynych i czystych źródeł, jakimi są wszelkie poetyczne uniesienia. Jakoż ś. p. Szymański będąc przedewszystkiem wielbicielem prawdy, mawiał, że nie lubi poezji, nie wiedząc o tém, że sam prawdziwym był poetą; nie poetą słowa, lecz poetą czynu. Gdy mówił o jakim pięknym uczynku, widziałeś zapal na jego szlachetnym, pełnym dobroci obliczu, żywe jego oczy łzami się napełniały, rzewna jakaś pieśń ludowa lub hymn religijny poruszały go głęboko, prawdziwa nędra bolała go mocno i zawsze gotów był nieść jej pomoc. Nie jestżeto prawdziwsze uczucie poezji od wielu czezych uniesień, chorobliwej często wyobraźni?

Prawie zawsze świątobliwi, uczeni mężowie, jakim śmiało nazwać można ś. p. Szymańskiego, w życiu prywatnym, codziennym, wydają się jakby w przeciwnym sobie żywiole: stają się obojętni na drobiazgi życia praktycznego, niepojmującemi słabości i namiętności ludzkich. W ich towarzystwie dziecię, młodzieniec, światowa kobieta, każdy wreszcie człowiek bez nauki doznawać będą zawsze pewnego pomieszania, obawy, powiedzmy otwarcie—nudów; przeciwnie Szymański umiał wybornie bez żadnego przymusu zastosować się do każdego towarzystwa: kobiety, młodzieńcy, dzieci, prędko zabierali z nim znajomość i poufałość, a następnie pokochoać go musieli. Tak wiele widząc i czytając w życiu, wszystko pamiętał i umiał to tak zajmująco, z takim życiem opowiadać, naśladować nawet głos, ruch i postać osób o których mówił: że niepodobna było nie być zajęтым, rozweselonym w obcowaniu z nim. Jednakże w życiu towarzyskiem nie było człowiek światowy w zwykłym znaczeniu tego wyrazu: jego prosty charakter nie potrafił się nagiąć do drobnych wymagań salonowych; ale było człowiek wyższy w każdej chwili życia swego i wywierał mimowolnie pewien urok na tych, co go otaczali.

Ostatnie lat jedenaście życia swego spędził ś. p. Szymański przy bracie i rodzinie. Lubo przywykły do towarzystwa z ludźmi najświa-

tlejszemi w kraju, umięciami cenić jego zasługi, piérwszy raz w życiu przeniósł się na stały pobyt w jedną z okolic królestwa najbardziej ubogich w towarzystwo. Lubo rzadko w niém spotykał ludzi z któremi mógł być z sympatją dzielić się skarbami myśli i nauk nagromadzonych; mimo to jednak z równą zawsze swobodą, bez najmniejszego żalu za ubiegłą przeszłością przyjął nowe swe położenie, i często wówczas jak prawdziwy mędrzec powlarczył, że czuje się zupełnie szczęśliwym i niczego więcéj nie pragnie. Byłby tak żył sam na sam z Bogiem, nauką i blizkimi swemi, gdyby niektóre osoby w okolicy, jedno z najznakomitszych domów w kraju, umięcące cenić prawdziwą zasługę, mimo dość znaczną odległość, nie starały się poznać go bliżej i w tym celu wyrwać go niekiedy z samotności. Z czułą wdzięcznością przyjmował Szymański te oznaki szacunku i czci, które mu okazywano; kosztowało go jednak porzucić swą ubogą chatę dla pałacowych salonów. Natomiast gdy w skromnym obywatelskim domu znajdował przy cichóm uznaniu swych zasług kochające go jak ojca osoby i dzielące zasady, których on żywym był przedstawicielem: z jakąż gotowością wypełniał wszystkie obowiązki przyjaźni!

Tę nową stronę duszy ś. p. Szymańskiego mogłem, mówię to z chlubą i rozkoszą, w ostatnich latach życia jego najlepiej poznać i ocenić. Jak wszystko wzniósł, tak i przyjaźń, owe może najwięcéj duchowe uczucie, pojmował wybornie; najczęstsze jak tylko zdrowie pozwalało mu odwiedziny, pamięć o najdrobniejszych szczegółach życia rodziny, słowem wszystko to, co tylko dowodzi najprawdziwszego pokrewieństwa między ludźmi, pokrewieństwa nie cielesnego lecz duchowego, wszystkiego tego dawał on tysięczne w obcowaniu z przyjaciółmi dowody.

Ś. p. Szymański znajdował się wówczas w tej epoce życia ludzkiego, gdy człowiek który długie lata spędził pożytecznie dla bliźnich, poznawszy świat i ludzi, pozbywszy się namiętności, z czystém zupełnie sumieniem zatrzymuje się jeszcze przez chwilę na ziemi dla odetchnięcia po mozolnej podróży, nim go Bóg dla wiecznego spoczynku na łono swoje powoła. Dla takich ludzi nie ma już przyszłości i nadziei w tém życiu, nie ma prawie terażniejszości, jest tylko przeszłość.

Z jakąż błogością ś. p. Szymański przypatrywał się ubiegłemu życiu swemu, i ważnym wypadkom, których był świadkiem! Obdarzony, jak mówiłem, niezmierną pamięcią, w żywém opowiadaniu, śmiejąc się gdy przedmiot był wesołym, płacząc gdy był rzewnym, gniwając gdy był oburzonym, uprzytomniał ci wypadki i zmuszał cię, jeżeli nie byłeś głazem, podzielać swoje uczucia. Nie było strony w tej duszy, któraby gdy ją dotknęło natychmiast najczystszy nie ozwała się dźwiękiem. Wziąwszy za zasadę życia prawdę w mowie, również trzymał się jej święcie przed przyjaciółmi; lecz tylko przed niemi z prostotą całe swe życie, najpiękniejsze nawet czyny jakby o drugim opowiadał, a opowiadanie to w jego ustach jakże nie miało być ważném, gdy przejętym był tą najpiérwszą maksymą mędrca greckiego: „*poznaj samego siebie*“.

Lecz zmuszony jestem skrócić ten opis, abym nie był posadzonym o przesadę i czezo ogólniki przez tych, którzy nie mieli sposobności poznać ś. p. Szymańskiego; bo od tych, którzy go dobrze poznali, raczej zarzutu słabego i niedostatecznego odmalowania tej postaci spodziewać się powinienem. Nie mogę się jednak wstrzymać, aby nie przytoczyć kilka drobnych faktów dla poparcia moich ogólnych zdań o nim.

Ś. p. Szymański posiadał, jak już wiemy, i tę cechę wyższych umysłów: — skromność. Nie dzieląc przesądów ludzkich, zastrugę osobistą głównie cenil w człowieku. „*Ja jestem sobie biedne popiątko*“ mawiał żartobliwie w swoim poczciwym, jemu właściwym czysto rodzowym języku. Inną razą mówiąc o swym ojcu, zachym lecz ubogim plebanie, obarczonym liczną familią, opowiadał z naiwną prostotą, wiele to razy zmuszonym był nabiegać się za cielętami. Przytoczenie tak pospolitych wyrazów może niejedem przyjmie z politowaniem; mn o się jednak zdaje, że takie proste słowa wierniej malują charakter człowieka, niż uczone i obszerne rozprawy.

Ta skromność cechowała także całe domowe życie zmarłego. W każdej porze roku wstawał o godzinie 4tej z rana; ograniczał się najprostszymi potrawami. Nadzwyczajnie będąc czynnym i pracowitym a brzydząc się próżnowaniem, w chwilach wolnych od modlitwy, obowiązków swych i nauki, lubił bardzo zajmować się robotami ręcznymi; sam uszył kilkanaście ornatów i innych aparatów kościelnych, nadzwyczaj zręcznie wyrabiał rozmaite drobne przedmioty drewniane i t. p.

Z całego tego zbyt obszernego dla obojętnych opisu, czytelnik przekonać się mógł, że ś. p. Paweł Szymański nie był człowiekiem dzisiejszym; jakoż nie pojmował on dążeń czysto utylitarnych i materialnych naszego wieku. Wielkie wynalazki terażniejsze, mające na celu znieść wszelkie przeszkody w życiu: zbliżenie odległości, rozszerzenie dobrego bytu i bogactw, nienasycone pragnienie używania; to jakby zadanie naszój cywilizacji zrobienia z tej ziemi tego, co chrystyanizm każe nam oczekiwać dopiero w przyszłym życiu jako nagrodę naszych zasług, cierpień i dobrowolnych umartwień; ta dążność będąca może wynikiem głębokiej niewiary: — nie mogła zapalać tej duszy silnie wierzącej w nieśmiertelność swoję. Mimo długiego pobytu za granicą nie przejął się obczyzną, i był to może ostatni przedstawiciel wiary, zasad, poczciwości naszych przodków. W obec tej szlachetnej postaci owiowała cię uroczą woń minionej bezpowrotnie przeszłości.

Jak pięknym było całe życie, takim był i koniec jego. Zapomniałem opowiedzieć szczególnój przyczyny nagtego zgonu ś. p. prafata. Osiadłszy przy bracie nie znalazł pod ubogą strzechą wiejskiego kapłana miejsca na ulokowanie swój biblioteki: książki więc jego zostawały nietknięte w pakach od jego przybycia. Przed parą laty obmyślił dopiero postawić dla siebie osobne mieszkanie i zamiar ten przyprowadził do skutku, jeden pokój na bibliotekę przeznaczając. Długo jednak jakby smutnym wiedziony przecuciem, mimo że wszystko było gotowem, zwłóczył odpakowanie swych książek; o czym

poprzednio z radością, o tём teraz z niechęcią wspominał: mówił nawet, że już nie ruszy przed śmiercią swych ksiązek. Nakoniec w połowie miesiąca listopada r. z. nagle wziął się do tego, i jak wszystko, tak i tę ostatnią w swém życiu pracę przedsięwziął z energią i szybko ukończył. Dźwiganie wielkich woluminów, nachylenie się utrudziło niezmiernie osłabionego już wiekiem starca, i sprawiło wzburzenie krwi. W d. 24 listopada, w dniu imienia brata, wyszedłszy bardzo rano dla odprawienia mszy świętej, ledwie zdołał powrócić od ołtarza, gdy uczuł odstępujące go siły, nazajutrz zaś odjęcie władzy w całej lewej połowie ciała. Natychmiast poznał niebezpieczeństwo choroby; nie zwłócząc więc, zaraz trzeciego dnia dopełnił najprzykładniej i z zupełną spokojnością ostatnich obowiązków chrześcianina, poczem nie pragnąc, lecz nie obawiając się wcale śmierci, oczekiwał spokojnie swego losu, polegając na woli Opatrzności. „Wola Boża, jestem gotów”, mówił on przerywanym od cierpienia i gasnącym głosem; potem gdy chwilową czuł ulgę, wesoly jego humor błyszczał znowu i pobudzał do śmiechu kryjących swe łzy obecnych.

Do ostatniej chwili zachował bystrość umysłu i pamięć taką, jak w latach młodzieńczych. Zupełną w czasie tych dni ostatnich okazywał obojętność na wszystko, co było jego bogactwem, tojest na swoje zbiory; lecz na widok krewnych i przyjaciół z którymi miał się rozstać zalewał się łzami, udzielał im błogostawieństwo i myślą swą dla dobra ogółu poza grób swój sięgał.

Mimo ciągłych starań lekarzy i rodziny, po dziewięciu dniach cierpliwie znoszonych boleści, zasnął na wieki, szepcząc gorącą modlitwę.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Odkrycie dyamentu pośredniego pomiędzy dyamentem zwanym Wielkim Mogolem i Regentem. P. Damour udzielił Akademii umiejętności paryżkiej wyjątek z następnego listu p. Castelnau konsula francuzkiego w Bahia, tyżącego się powyższego odkrycia.

Bahia 23 marca 1853 r.

„Wiadomo zapewne jest p. o odkryciu w Bagagem (obwodzie Minas Geraës) ogromnego dyamentu, ważącego $247\frac{1}{2}$ karata, a ze względu wielkości, pośredniego pomiędzy Wielkim Mogolem (ma $279\frac{9}{10}$ karata) i Regentem ($136\frac{3}{4}$ karata). Znalazła zaś go murzynka, będąca jedyną własnością starca kaleki, o jednej nodze. Niewolnica została uwolnioną. Zdaje się, że w dosyć krótkim przeciągu czasu (w dwóch latach), znaleziono w tymże samym okręgu trzy znacznej objętości kamienie: 1) ten o którym mówimy; 2) drugi w Kaxoeira rica (bogatej kaskadzie), również w Bagagem, ważący $120\frac{3}{8}$ karata; 3) trzeci w Rio das Velhas, w miejscu zwaném *Ta-bocas*, mający 107 karatów. Dyament w mowie będący jest bardzo pięknej wody i waży jak to się okazało, 50gramów,86125. Licząc przybliżenie podług zwyczajnych prawideł, ma on wartość 3,062,812 franków.“ (*L'Institut* z 11 maja 1853).

* *O rozpuszczalności kamieni moczowych w cieczach solnych roztworzonych w temperaturze ciała, i za pośrednictwem elektryczności, przez H. B. Jones.*

Podług wiadomości udzielonych Towarzystwu królewskiemu naukowemu londyńskiemu, P. J. już w 1848 r., starał się po raz pierwszy rozpuścić kamienie moczowe w roztworze saletranu potażu (saletry), umieszczając je jednocześnie między biegunami baterji galvanicznej. Wprawdzie wtedy okazało się działanie na kwas moczowy przy biegunie ujemnym, ale nie otrzymano stanowczych wypadków. Powyższe doświadczenia powtórzono zeszłego lata, a wypadki z kwa-

sem moczowym są następujące: Działanie głównie zachodziło przy biegunie ujemnym.

Doświad- czenie	Trwanie doświadczenia	Moc i ciepło roztworu roztwór nasycony saletry	Moc bateryi	Wypadki w gramach
1	4godziny 0minuty	212° Faren.	10 par.	1/2 rozpusz.
2	6 — 5 —	1/4 saletry, 1/1 wody „ 109° Faren.	5 —	11 —
3	6 — 10 —	„ 101 —	10 —	14 —
4	6 — 20 —	„ 100 —	10 —	16 —
5	6 — 45 —	„ 106 —	10 —	12 —
6	3 — 17 —	„ 98 —	20 —	27 1/2 —
Doświadczano potem kamieni złożonych z szczawianu wapna.				
1	7 — 0 —	1/1 saletry, 3/4 wody „ 90° Faren.	5 —	1/2 —
2	7 — 0 —	„ 104 —	10 —	2 —
3	6 — 15 —	siar. sody 101 —	10 —	2 —
4	5 — 45 —	sól wycz. 102 —	10 —	1 —
5	6 — 10 —	1/4 saletry 3/4 wody 108 F.	20 —	6 —
6	3 — 19 —	1/4 salet. i fosf. sody 110 F.	20 —	1 —
7	3 — 15 —	1/1 „ i dwu-chromianu potażu 111 F. —	20 —	2 —
8	3 — 17 —	1/2 „ 110 F. —	20 —	2 1/2 —
9	2 — 50 —	1/4 „ 92 F. —	20 —	2 1/2 —
10	3 — —	„ 100 F. —	40 —	5 —

Kamienie z szczawianu wapna rozpuszczają się więc bardzo powolnie w roztworze saletry, któryto roztwór działa mocniej na kamienie kwasu moczowego, to jest przynajmniej o cztery razy tyle. Szczawiany z moczami, szczawiany z fosforanami są bardziej rozpuszczane, niż sam szczawian wapna.

Tak samo postępowano z kamieniami, mającemi w sobie kwas fosforowy. Kawatek fosforanu wapna twardy, wydał:

1	7 ^{god.} 15 ^{min.}	1/4 saletry, 3/1 wody	102 F.	10 par.	15 gram.
2 z kamieniem słabym.	1 — 13 —	— —	96 F.	20 —	31 —
Działanie głównie zachodziło przy biegunie dodatnim.					
1	5 — 30 —	1/4 saletry —	104 F.	10 —	27 1/2
2	6 — 30 —	siarkan sody	101 F.	10 —	4 1/2

Z tych doświadczeń można wyciągnąć następujące wnioski: nie można rozpuścić więcej jak od 2 do 9 gran kamieni o kwasie moczowym w godzinie, w roztworze wodnym, obojętnym saletry, w ciepło ciała ludzkiego; ale w tymże samym czasie rozpuszcza się od 2 do 25 granów kamieni fosforowych. Jakkolwiek zaś trudno zabrać jak 1 1/2 do 2 granów szczawianu wapna tymże samym środkiem i w tymże samym czasie; jednak gdy kamień składa się z szczawianu i moczanu, można rozpuścić od 1 do 2 gran, a jeżeli składa się z szczawianu i fosforanu, do 4 1/2 gran w jedynymże czasie.

Te wypadki mogły być otrzymane z kamieniami wydobytemi od dawna w pęcherza i wysuszonemi w 212° F.

Pp. Prevost i Dumas już w roku 1823 radzili wystawiać kamienie na działanie stosu galwanicznego. Przez *działanie mechaniczne* gazów wywiązanych z rozkładu wody, przekonali się, że można porozdzielać kamienie fosforowe, ale *działanie chemiczne* ciał wywiązanych na powierzchnię kamienia, nie było przez nich oznaczone. (*Tamże*).

* W rękopisie Franklina z dnia 26 marca 1778 r., znaleziono kawałek metalu szarawego, o którym wyczytano, że był zdalniejszy niż wszystkie inno do użycia go na monetę, gdyż skład jego utrudnia znakomicie fałszowanie. Tak powyższy rękopis, jakoteż i kawałek metaliczny, udzielony został Towarzystwu filozoficznemu amerykańskiemu; a z rozbioru p. Frazer'a pokazało się, że powyższy metal składa się z 81,00 miedzi, 15,87 srebra, 0,39 żelaza, 0,94 antymonu i śladu arseniku. Wszystko zaś wynosiło 98,20. (*L'Institut z 25 maja 1853*).

* P. Trégo zawiadomił Towarzystwo filozoficzne amerykańskie, że podług wiadomości otrzymanych od p. Dubois, największy kawałek złota kopalnego jaki dotąd znaleziono w kwarcu, odkryto w Kalifornii, a następnie przyniesiono do mennicy krajów zjednoczonych, dla oszacowania go. P. Eckfeld naczelny probierz okazał, że ważył 265,50 uncyj, ciężar gatunkowy miał 7,99, a czystość złota wynosiła $\frac{902}{1000}$. Wartość jego była 20,858 franków. (*Tamże w treści*).

J. B . . . a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1853.

64. Alzyna czyli Amerykanie (,) tragedia Woltera w pięciu aktach. Przekład Adama Jankowskiego. 8ka. Warszawa. 1853. Nakładem autora, druk St. Strąbskiego. Napisów kart 2 i str. 78. Kop. 75.

65. Domowa powieść. Napisał K. Wł. Wójcicki. 12ka. 2 tomy. 1853. Nakład J. Glaser & Droznes w Mohilewie, druk J. Ungra w Warszawie. Tom I. str. 272. II, 106 i w każdym kart napis. 2.

66. Krysztof Kolumb czyli odkrycie Ameryki (,) skreślone dla ciekawej młodzi przez Hipolita Witowskiego. (Z godłem:)

Nihil aliud, quam divinam gloriam intendo.

Ozdobione 8 kolor. stalorytami. 8ka. Lwów. 1853- Nakład H. W. Kollenbacha, druk Piotra Pillera. Napisów kart 2 i str. 181. Rsr. 3 k. 60.

67. Miesiąc marzec czyli książka do nabożeństwa poświęcona wyłącznie Józefowi świętemu, zawierająca: sposób słuchania mszy świętej. Nabożeństwo na wszystkie dni miesiąca. Uroczystą nowennę. Przygotowanie do spowiedzi i Komunii świętej. Psalmi na imię Józef. Godzinki o świętym Józefie, 31 modlitw z rozmyślaniami. Oraz pieśni 5 o świętym Józefie.....16ka. Warszawa. 1853. Druk Józefa Tomaszewskiego. Str. 307. Rejestru kart 2. Rsr. 1.

68. O cholercie przez Franciszka Reutowicza szlabs-lekarza, kolegialnego assessora, towarzystw uczonych w Wilnie i w Warszawie członka, kawalera orderu ś. Anny 3 klasy. 8ka. Warszawa. 1853. Druk Jana Jaworskiego. Kart 2 i str. 62. Kop. 30.

69. O skarbach słowiańskich a szczególnie o grammatyce języka polskiego. Uwagi przez C. T. Massalskiego Mag. Pr. i Fil. 12ka. Warszawa. 1853. Nakład autora, druk J. Unger. Kart 2 i str. 95. Rejestru str. II. Kop. 60.

70. O sposobach uprawy buraków pastewnych, Kukurydzy amerykańskiej na paszę, Krwawniku, Lucerny, Esparcetty, niemniej nauka o zakładaniu sztucznych pastwisk, tudzież o użyciu i wpływie gipsu i kości na vegetacyą roślinną, dla podręcznego użytku początkujących gospodarzy. 8ka. Kraków. 1853. Nakład Juliusza Wildt, czcionkami drukarni Czasu. Karta i str. 51. Kop. 40.

71. O użyciu gipsu i kości jako nawóz. 8ka. Warszawa. 1853. Druk J. Unger. Str. 19. Kop. 15.

72. Poezycje Wandalina Szumowicza. 8ka. Warszawa. 1853. Druk St. Strąbskiego. Napisów i rejestru kart 4 i str. 201. Rsr. 1 kop. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Księgarz S. H. Merzbach wydał dziełko p. n.: „Ciekawe zjawiska przyrody przez De Marles”, z rycinami, wraz z textem francuzkim. Tenże księgarz ogłosiwszy w nadzwyczaj taniém wydaniu: „Skarbiec arcydzieł pismienicznych Europy“, w dalszym ciągu wyda przekład „Korynny“ przez autorkę: W Alpach i za Alpami, i „Podróż do Jerozoliminy, tłumaczenie F. S. Dmochowskiego”.

— Księgarz G. Sennewald w r. b. wyda: „Powiastki domowe Romana Zamarskiego“ w 1 tomie, którego piękny przekład narodowych pieśni serbskich w 2 tomach już wydał.

— S. Orgelbrand drukuje tom IV „Historji powszechnj Cezara Cantu“, a rozpoczął druk przekładu „Kallimacha historji Władysława Jagiellończyka przez M. Gliszczyńskiego“, który już dawniej Biblioteka Warsz. ogłosiła. Wydanie to będzie zbogaczone obszernym życiorysem Kallimacha i licznemi przypisami.

— Wzorów w sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce, wydawanych przez Alex. Przeddzieckiego i Edwarda Rastawieckiego, wyszedł poszyt I i IIgi. Następne dwa zeszyty ukażą się w krótkim czasie. Obejmować mają: monstrancją z Połocka, dziś w Łędzie; pomnik Kallimacha w Krakowie; monstrancją i relikwiarz Zygmunta I w skarbcu częstochowskim, i buławy helmańskie znajdujące się także w tym skarbcu.

— Nakładem J. Zawadzkiego w Wilnie wyszły następane dzieła: „Wspomnienia podróży Ewy Felińskiej“ tom III. A. F. Adamowicza: „Praktyczne najnowsze postrzeżenia niektórych lekarzy“ część III i IV. Segur'a: „Krótkie odpowiedzi“. „Wybór najciekawszych podróży i odkryć w różnych częściach świata, dla nauki i zabawy młodzieży“. Tom V z rycinami.

— Wkrótce wyjść mają pisma pomniejsze historyczne Teodora Narbutta, autora Historji litewskiej, złożone głównie z rozpraw i hadań dotyczących dziejów Litwy.

— W Krakowie wyszło dziełko przez Waler. Wielogłowskiego: „O poruszaniu i wróżbiarstwie stołów“. Mazurkowskiego „Zasady geometrii“ część I. Bogedain: „Melodye zastosowane do książki: „Śpiewy nabożne“. „Wiązanie Helenki, przez autorkę Pamiętki po dobrej matce: Druga książeczka Helenki“. „Trzy powieści obyczajowo-moralne z trzema rycinami“; zawierają powieści: 1) Wspomnienie Maryi; 2) Różowa suknia; 3) Marya czyli święto Bożego Ciała.

— Od 1 czerwca r. b. wychodzi we Lwowie w drukarni M. F. Poremby, pod redakcyą Seweryna Szechowicza tygodnik dla płci pięknej w języku ruskim czyli ruteńskim, p. n. „Łada.“ Treść rozmaita, zastosowana do płci pięknej. Wspomniemy tu tylko o jednej części, nie praktykowanej jeszcze w naszym piśmiennictwie, to jest o dziale IV p. n. „Rzeczy społeczne“. Tu miścić się będą: Nowiny z miasta, prowincyi, zagraniczne. Gawędki saloowe. Wieczerny

nice. Małżeństwa między spółziomkami. Dodany będzie słownik wyrazów niezrozumiałych, ułożony porządkiem alfabetycznym, z dodaniem ich znaczenia w języku polskim. W pierwszym kwartale tygodnik będzie drukowany łacińskimi literami, później zaś ruskimi. Prenumerata roczna zł. reń. 6, krajarów 30.

— W drukarni zakładu narodowego imienia Ossolińskich, wyszła broszura o 60 stronnicach: „Sprawa z poselstwa Marcina Kromera do Ferdynanda cesarza w latach: 1558—1563“, przez Alexandra Batowskiego. Przedmiot arcy ciekawy, rzucający niemało światła tak na postać naszego historyka, jako też i na ustęp panowania Zygmunta Augusta na drodze dyplomatycznej. W imieniu to tego monarchy Marcin Kromer upominał się zwrotu księstw włoskich po Bonie i summi zwanych neapolitańskimi. Dobreńne były usiłowania i późniejszych królów polskich. Tradycją tylko przeszły owe summy do czasów Stanisława Augusta, i o nich też Krasicki ostatni wspominał w jednej satyrze!

— W Przemysłu nakładem braci Jeleniów wyszła z druku: „Nauka wrózenia, obejmująca: kabalistykę, geomancyą i t. d w trzech częściach, z wielą drzeworytami. Str. VI i 321.

— Księgarz lwowski Kajetan Jabłoński rozpoczął druk dzieła p. n. „Mowy do ludu wiejskiego krótkie i łatwe na wszystkie niedziele i święta“, przez ks. Jana Jarmusiowicza plebana zaczerskiego pod Rzeszowem, w 2 tomach.— Alexander br. Stadnicki wydał (w 4ce str. 37): „O kniaźtwach wo wsiach wołoskich z poglądem na wójtowstwa we wsiach na magdeburksiém prawie osadzonych“. Jestto część druga rozprawy w roku 1848 wydanej p. n.: „O wsiach tak zwanych wołoskich na północnym stoku Karpat, o której Biblioteka nasza zdała sprawozdanie w r. 1851, tom IV str. 166.

(Z listu) — „Czytaliście zapewne w odcinku Czasu odpowiedź Karola Szajnochy z powodu „Bajki krosieńskiej“, o Stanisławie i Annie Oświęcimów. W rozprawie swojej opartej na własnym Stanisława dyaryuszu (w rękopiśmie) pokazał on całą nicosć tej powiastki ludowej. Znalazł się jednak tej bajeczki obrońca w Czasie. Ostatecznie K. S. wykazał błędność podania, jakkolwiek zajmującego, ale pozbawionego wszelkiej zasady prawdy“.

— Rozprawa Romualda Zienkiewicza drukowana w zeszytach Bibl. Warsz. p. n.: „O uroczyskach i zwyczajach ludu pińskiego“ oraz o charakterze jego pieśni, wydrukowana została oddzielnie. Rzecz ona niemałe światło na wydany zbiór pieśni ludowych tegoż autora, bo wiele dopełnia, a więcćj jeszcze podaje opisów obrzędowych ludu pińskiego, których wcale przy pieśniach nie dotknięto.

— Obszerne „Opis ementarza powązkowskiego“ przygotowuje K. Wł. Wójcicki. W dziele tém oprócz skróconych dziejów ementarzy warszawskich, zajmą główne miejsce życiorysy tych wszystkich, którzy zasługą i nauką godni byli wspomnienia, a nie wszyscy mają napisy pogrobowe.

1853

Dostarczone w dniu 1853.05.01
 Dostarczone w dniu 1853.05.02
 Dostarczone w dniu 1853.05.03
 Dostarczone w dniu 1853.05.04
 Dostarczone w dniu 1853.05.05
 Dostarczone w dniu 1853.05.06
 Dostarczone w dniu 1853.05.07
 Dostarczone w dniu 1853.05.08
 Dostarczone w dniu 1853.05.09
 Dostarczone w dniu 1853.05.10
 Dostarczone w dniu 1853.05.11
 Dostarczone w dniu 1853.05.12
 Dostarczone w dniu 1853.05.13
 Dostarczone w dniu 1853.05.14
 Dostarczone w dniu 1853.05.15
 Dostarczone w dniu 1853.05.16
 Dostarczone w dniu 1853.05.17
 Dostarczone w dniu 1853.05.18
 Dostarczone w dniu 1853.05.19
 Dostarczone w dniu 1853.05.20
 Dostarczone w dniu 1853.05.21
 Dostarczone w dniu 1853.05.22
 Dostarczone w dniu 1853.05.23
 Dostarczone w dniu 1853.05.24
 Dostarczone w dniu 1853.05.25
 Dostarczone w dniu 1853.05.26
 Dostarczone w dniu 1853.05.27
 Dostarczone w dniu 1853.05.28
 Dostarczone w dniu 1853.05.29
 Dostarczone w dniu 1853.05.30
 Dostarczone w dniu 1853.05.31

TERMO-METR w stopniach		BAROMETR w milimetrach słupkowych	
10	5	10	5
100.0	100.0	100.0	100.0
100.1	100.1	100.1	100.1
100.2	100.2	100.2	100.2
100.3	100.3	100.3	100.3
100.4	100.4	100.4	100.4
100.5	100.5	100.5	100.5
100.6	100.6	100.6	100.6
100.7	100.7	100.7	100.7
100.8	100.8	100.8	100.8
100.9	100.9	100.9	100.9
101.0	101.0	101.0	101.0
101.1	101.1	101.1	101.1
101.2	101.2	101.2	101.2
101.3	101.3	101.3	101.3
101.4	101.4	101.4	101.4
101.5	101.5	101.5	101.5
101.6	101.6	101.6	101.6
101.7	101.7	101.7	101.7
101.8	101.8	101.8	101.8
101.9	101.9	101.9	101.9
102.0	102.0	102.0	102.0
102.1	102.1	102.1	102.1
102.2	102.2	102.2	102.2
102.3	102.3	102.3	102.3
102.4	102.4	102.4	102.4
102.5	102.5	102.5	102.5
102.6	102.6	102.6	102.6
102.7	102.7	102.7	102.7
102.8	102.8	102.8	102.8
102.9	102.9	102.9	102.9
103.0	103.0	103.0	103.0
103.1	103.1	103.1	103.1
103.2	103.2	103.2	103.2
103.3	103.3	103.3	103.3
103.4	103.4	103.4	103.4
103.5	103.5	103.5	103.5
103.6	103.6	103.6	103.6
103.7	103.7	103.7	103.7
103.8	103.8	103.8	103.8
103.9	103.9	103.9	103.9
104.0	104.0	104.0	104.0
104.1	104.1	104.1	104.1
104.2	104.2	104.2	104.2
104.3	104.3	104.3	104.3
104.4	104.4	104.4	104.4
104.5	104.5	104.5	104.5
104.6	104.6	104.6	104.6
104.7	104.7	104.7	104.7
104.8	104.8	104.8	104.8
104.9	104.9	104.9	104.9
105.0	105.0	105.0	105.0
105.1	105.1	105.1	105.1
105.2	105.2	105.2	105.2
105.3	105.3	105.3	105.3
105.4	105.4	105.4	105.4
105.5	105.5	105.5	105.5
105.6	105.6	105.6	105.6
105.7	105.7	105.7	105.7
105.8	105.8	105.8	105.8
105.9	105.9	105.9	105.9
106.0	106.0	106.0	106.0
106.1	106.1	106.1	106.1
106.2	106.2	106.2	106.2
106.3	106.3	106.3	106.3
106.4	106.4	106.4	106.4
106.5	106.5	106.5	106.5
106.6	106.6	106.6	106.6
106.7	106.7	106.7	106.7
106.8	106.8	106.8	106.8
106.9	106.9	106.9	106.9
107.0	107.0	107.0	107.0
107.1	107.1	107.1	107.1
107.2	107.2	107.2	107.2
107.3	107.3	107.3	107.3
107.4	107.4	107.4	107.4
107.5	107.5	107.5	107.5
107.6	107.6	107.6	107.6
107.7	107.7	107.7	107.7
107.8	107.8	107.8	107.8
107.9	107.9	107.9	107.9
108.0	108.0	108.0	108.0
108.1	108.1	108.1	108.1
108.2	108.2	108.2	108.2
108.3	108.3	108.3	108.3
108.4	108.4	108.4	108.4
108.5	108.5	108.5	108.5
108.6	108.6	108.6	108.6
108.7	108.7	108.7	108.7
108.8	108.8	108.8	108.8
108.9	108.9	108.9	108.9
109.0	109.0	109.0	109.0
109.1	109.1	109.1	109.1
109.2	109.2	109.2	109.2
109.3	109.3	109.3	109.3
109.4	109.4	109.4	109.4
109.5	109.5	109.5	109.5
109.6	109.6	109.6	109.6
109.7	109.7	109.7	109.7
109.8	109.8	109.8	109.8
109.9	109.9	109.9	109.9
110.0	110.0	110.0	110.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatorium Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.
Maj, 1853.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.883	27	8.419
Najwyżej dochodził — d. 14 o g. 10 r.	757.64	27	11.859
Najniżej — — d. 7 o g. 10 w.	736.87	27	2.652
Średnia zmiana dzienna barometru	2.644		1.172
Największa zmiana dzienna barometru d. 8—9 o g. 10 w.	10.53		4.668
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 27 lat poprze- dzających	0.668		0.205
Średnia temperatura maja wynosi: +	12 ^o .95 C.	=	10 ^o .36 R.
i ta jest niższą o	0.58	"	0.46 "
od stanu normalnego z 27 lat poprze- dzających	13.53	"	10.72 "
Największe ciepło dochodziło d. 30 o godz. 4 popoł.	26.2	"	20.96 "
Najniższa temperatura była d. 9 o g. 10 r.	3.6	"	2.88 "
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.480	"	1.984 "
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 12—13 o g. 4 w.	13.4	"	10.72 "

Termometrograf wskazał:

Maximum: +23^o.5 R. d. 31 po połud.

Minimum: +1^o.5 „ d. 17 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 52,6 millim. czyli 23,32 lin. par.; ilość ta wody blisko o 2 lin. par., jest mniejszą od normalnej.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 69,9 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co ciężaru 8,06 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0,02 większa od normalnej.

Dni pogodnych było 7, napół pogodnych 7, pochmurnych 17.

— deszczu 19 (d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 13, 19, 20, 21, 22, 27, 28, 31).

— mgły 3 (d. 3, 4, 9).

— grzmotów 4 (d. 2, 27, 30, 31).

— błyskawic bez grzmotów 2 (d. 2: 27).

Wichrów było 3 (2 Z., 1 PdW.).

Wiatrów mocnych 8 (2 P., 2 PnW., 2 PdW., 1 W., 1 Z.).

Wiatr panujący: południowo-wschodni, północno-wschodni i północny).

Miesiące Maj r. b. był niepogodny, wilgotny i chłodny. Pierwsze dwa-dzieścia dni były chłodne, przeciwnie, ostatnie sześć gorące, w ogóle miesiąc ten był blisko o pół stopnia R. chłodniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były: d. 26, 27, 28, 29, 30, 31; najchłodniejsze d. 5, 6, 9, 13, 14, 15, 16. Znaczna zmiana temperatury wynosząca 10,72 stop. R. przypadła d. 12 na 13. Deszcze połączone z wiatrami były częste i te sprawiały wilgotny stan powietrza. Najwilgotniejsze dni były: d. 3, 5, 6, 7, 8, 21; najsuchsze d. 15, 17, 22, 23, 25, 26.

D. 3 około południa koło otaczało słońce.

D. 12, 14, 17, 22, 23, 30 ukazywały się plamy na słońcu.



JADŹWINGI.

WYJĄTEK ZE WSTĘPU DO OBRAZU LITWY (*).

PRZEZ

Józefa Jaroszewicza.

(Z ryciną).

Rozciągłość siedzib Jadźwingów zmieniała się w kolei czasu; dlatego też chcąc ją z pewnością dzisiaj oznaczyć, niemało zachodzi trudności. Rodzina ich ziemia, jeśli odłączymy od nich pobratymczych Sudawów, niezbyt zapewne wielką z prawej strony Narwi zajmowała przestrzeń; lecz jeżeli ich krajem nazwiemy i te okolice, w których na dłuższy lub krótszy czas wśród obcej, mocą oręża, utrzymywali się ludności: granice tak uważanej Jatwiezi nierównie dalej sięgały. I w rzeczy samej: od czasu jak w dziejach znajdujemy już zapisane wzmianki o tym narodzie, nieraz widzimy Jadźwingów, daleko od brzegów czarnej i białej Hańczy walczących na Rusi, Mazowszu lub Polsce, najczęściej jednak występowali w późniejszym województwie podlaskiem między Narwią i Bugiem. Tutaj zbierały się ich drużyny, stąd czynili wycieczki do ziem sąsiednich, i tu najczęściej dosięgał ich mściwy oręż Rusi i Polski. Widoczna zatem, że był czas, kiedy Jadźwingowie nie doznając w południowym Podlasiu miejscowego oporu, swobodnie gospodarzyli wśród ludności obcego plemienia, że mogli mieć nad nią pewną zwierz-

(*) Zobacz Bibl. Warsz. T. III, str. 389 z 1852 r.

chniczą przewagę, że może nawet gdzieś w tym kraju budowali dwory i gródki, lub swoje jatwiazkie zakładali osady. O ich zasiedleniu się w tych stronach i dłuższym pobycie niż przy zwyczajnych owego czasu do obcych ziem wyprawach wojennych, zdają się świadczyć *najprzód*: groby starożytne do słowiańskich zgoła niepodobne, które w różnych okolicach kraju po lewej stronie Narwi dotąd natrafiamy (1); *powtóre*: ślady

(1) Groby o których mówimy, rozrzucone są po różnych okolicach dawnej ziemi bielskiej i drohickej. Stanowią one mniejszej lub większej rozległości cmentarze, przez lud zazwyczaj kurhanami lub pogańskimi mogiłkami zwane, i dlatego też nigdzie na nich nie zobaczysz krzyża, jak to pospolicie bywa na starych, choć już opuszczonych chrześcijańskich mogiłkach. Groby takie widzieć można koło Krasewicz i Narojek pod Semiatyczami, koło Zamianowa niedaleko Bosków, i w wielu innych miejscach; ale największe dwa cmentarze znajdują się na najwyższej poczyci okolic bielskich, *śród* gruntów wsi Szczytów, i w lesie Grabniaku do tegoż majątku należącym. Każdy grób otoczony jest w prostokąt lub koło do owalu zbliżone, wielkimi kamieniami, a wewnątrz obwodu drobniejszymi zasypane. Te ostatnie uprzątnawszy, już na pół łokcia albo nawet i mniej pod powierzchnią ziemi, natrafia się na miejsce, gdzie ciało było złożone. W niektórych grobach znaleziono dość grube, kilku-calowe żelazne ćwieki, u których w końcu grubszym zamiast główki, było tylko zachylone żelazo. Temi ćwiekami musiano zbijać trumny, lubo szczątków drzewa ani śladu dostrzedz się nie dało. Ponieważ nie w każdym z odkrytych grobów znalazły się podobne ćwieki, wypadłoby wnosić, że używanie trumien nie było powszechne, chyba, że w miejscu żelaznych brano niekiedy i ćwieki drewniane. W dawniejszych smac grobach, wszystko się w proch obróciło; w innych zaś zaledwo cząstki łamiące się za najmniejszym dotknięciem i kawałki twardszych od nóg i rąk kości pozostały. Kości te nie były bez ładu złożone, lecz we właściwych sobie leżały miejscach i żadnego znaku ognia na nich dostrzedz nie można; w żadnym też grobie nie znaleziono oszczątków popiołu lub węgla, popielnic lub łzawnic. Widoczna zatem, że lud do którego te groby należały, palenie ciał nie miał we zwyczaju. Zmarłych kładziono głową na zachód, jak z położenia czaszek można się było przekonać. Oprócz wyżej wzmiankowanych ćwieków, znaleziono w tych grobach: bransoletki z blachy miedzianej wycięte, ozdobione desenikiem w ząbki i kropki; różnego koloru paciorki szklane, okrągłe i podługowate; kolce srebrne i z posrebrzanej miedzi, poprostu z drutu tych kruszców zrobione; łańcuszek albo raczej sznureczek z cienkiego mosiężnego drutu dość misternie pleciony, lecz przez kopiących na drobne rozerwany kawałki; kołko z po-

okopów i zamczysk, mylnie przez gmin szaniami szwedzkimi zwanym, bo te pomniki widocznie do imiego wieku i innego

długo srebra i kółeczko podłużne w karby jakby zauszniczka; jakieś żelazne kilka cali długie narzędzie, z jednej strony zaostrome, z drugiej zakończone kółkiem, przy kopaniu odbitem; i wreszcie kilka grubych, szaro wypalonych skorup, które przypadkiem mogły się tam dostać, gdyż zebrane żadnej nie stanowiły całości. Może między temi grobami są i takie, w których więcej ciekawych rzeczy możnaby było odkryć; lecz któż do nich trafi? Wszystkie zaś rozkopywać niepodobna. Grobów tych za słowiańskie uważać nie można; jeśli zaś nie należą do jakiego nieznanego nam plemienia, tedy wielkie jest podobieństwo do prawdy, że muszą być jatwiazkie; gdzie zaś były tak liczne groby, tam i lud żyjący nie czasowo tylko przebywać musiał. Jesliby podobne groby znalazły się w gniazdowém siedlisku Jadźwingów na północ od Narwi i Biebrzy, domysł mój niemałe pozyskałby wsparcie. Wartoby było, aby jaki miłośnik starożytności naszej chciał się zająć w tamtych stronach podobnym śledzeniem. Nie wspomniany tu szczegółowo o mogiłach i kurhanach ziemnych, których nie zdarzyło się rozkopywać, a jest ich mnóstwo w bielskim i białostockim powiatach. Do znaczniejszych należą: 1) Na polach bielskich w prawo od drogi białostockiej, znacznej wielkości kurhan *Sypką* zwany. 2) Mogiły przy Haćkach, Kotówce, Kuraszewie i między Sakami a Trzeszczotkami. 3) Kujaza góra między Polipkami i Zbuczem, na której jakiś książę jakoby miał zginąć. 4) Mogiły w lesie koło wsi Kalinoczka-Ogrodniki w powiecie białostockim, o których starożytności świadczy znaleziona tam siekierka kamienna. 5) Liczne mogiły koło wsi Hrunicy, idąc od Drohiczyua w górę Bugu. 6) Kurhany w lesie zwanym Dobitka przy Kamionce pod Siemiatyczami, gdzie podług podania, mieli być Szwedzi pokonani, lubo nie przypominamy sobie żadnej bitwy ze Szwedami w tej okolicy. W powszechności cała przestrzeń między Siemiatyczami a Drohiczymem, zasiana jest mogiłami, a nurty powolnego Bugu podrywając dziś w niektórych miejscach brzegi ładu, lub powodzie wiosenne, unosząc ziemię z jarów nadbrzeżnych, nieraz odsłaniają kości znikłego ludu. Taki pokład tych szczątków widzieć można wzdłuż ścian rozdołu, niedaleko góry zamkowej w Drohiczyu. Dodać tu musimy, że na polach Zbucza, niedaleko od wyżej wspomnianego lasu zwanego Grabniak, w którym znajdują się groby kamienne, widzieć można znaczna przestrzeń ziemi w prostokąt waleń i fosą obwiedzionej. Wnętrze jest dzisiaj zupełnie równe i zbożem zasiewane; włościanie jednak tameczni zowią to pole mogiłkami. Nie masz tam ani krzyża, ani żadnego znaku mogił; na wale tylko od strony północnej wkopanych jest kilka wysokich a wązkich kamieni.

ludu należą, tylko że dawność czasu zatarła prawdziwe o nich podanie (1); *potrzecie*: nazwiska wsi, uroczysk i osób z dzie-

(1) O gródkach jatwiazkich często wspominają latopiscy; sądzę więc, że natrafiane starożytne okopy i zameczyska na południe od Narwi i Biebrzy, do tego ludu mogły należeć. Nie masz tu wprawdzie historycznej pewności, lecz kiedy i na osłabienie tego domysłu nie tak się łatwo co znaleźć: wyliczę znajomsze, zostawiając przekonaniu każdego uważać te pomniki za jatwiazkie, lub też za dzieło rąk innego wcale narodu. 1) Stary szaniec niżej miasteczka Dąbrowy, naprzeciw wsi Grodzińska. 2) Dawne okopy koło wyżej wspomnianych mogił przy wsi Kalinowka-Ogrodniki. 3) Dwa zameczyska zwane Kudak i Kuraszewo (nie wiem) w bliskości miasteczka Narwi, którą szła stara droga z Podlasia do Litwy; tu bowiem od wieków musiała być brodem przeprawa przez rzekę — W pierwszym wydaniu *Obrazu Litwy*, wspomniawszy o trzecim zameczysku pod Narwią zwanem Pralnia królowej Bony, zaprzeczałem pobytu tej pani w tym mieście. Pokazuje się jednak, że i w Narwi czasami przebywała Bona, jak się przekonać można z wyroku w sprawie o dziecięcinę, ferowanego przez tę królową w Narwi r. 1525 między mieszczanami kleszczewskimi greckiego obrządku, a proboszczem tegoż miasta łacińskiego wyznania, *Szczęsnym (z akt miasta Kleszczel)*. Owa więc Pralnia mogła być rzeczywiście miejscem na ten cel przeznaczonym, a tym samemu do pomników o jakich mówimy nie należy. 4) Przy wpadnięciu Bronki do Nurca, są dwa zameczyska w samych widłach, które te rzeki tworzą. Jedno pod samem Brańskiem, z czasów widocznie późniejszych, ma jeszcze kilku sążni wysoki okop; drugie położone przy krawędzi błot, na wiorstę od pierwszego odległe, dziś nazywa się Kamionką. Po tem ostatniem zostały tylko wielkie kamienie, a wału małe ślady. Gmin miejscowy rozprawia dziwy o skarbach, widmach nocnych i konnych rycerzach, które się tu pokazywać mają. Może panięć krwawego boju Bolesława V z Jadźwingami w tej okolicy, ubarwiła podobną wieścią ten zabytek dawnych czasów. 5) Obszerne zameczysko wałem i rowem otoczone wśród błot nieprzystępnych przy Narczyku między wsiami: Czochoy, Szeszyły i Krasną-Weią, obok uroczyska zwanego Kobyle-głowy. 6) Po lewej stronie drogi z Bielska do Kleszczel, nie dojeżdżając wsi Malinnik, w lesie dziś prawie zniszczonym, zowiącym się Wiszniówka, są niewielkie okopy w regularne koło usypane. Składają się one z dwóch wałów i dwóch przekopów. Średnica próżnego miejsca w środkowym wale kroków 50, wysokość wałów z fosami kroków 24, szerokość fos kroków 5 — 6, a wysokość wałów od dna przekopu łokci 6. Wejście do okopu było z południa i północy; pokazują to przerwy w wałach i grobelki w fosach. Opisałem ten okop więcej szczegółowo, gdyż kształtem swoim od wszystkich

jami Jadźwingów lub mową litewską w stosunku będących (1); *poczwarie*: tak częste spotykanie Jadźwingów w X i XI wieku

innych się różni. Znaczący może nam wyjaśnić do jakiego wieku i narodu mógł ten szaniec należeć. 7) P. Michał Grabowski w swym dziele: „Dawna i terażniejsza Ukraina” mówi, że przy wsi Matwiejowicach znajdują się tak nazwane ukraińskie *Majdan*y, które uważa za miejsca przeznaczone do pewnych pogańskich obrzędów. Majdan y sąto pagórki, mające wierzchołek otoczony wałem, z jednej strony jakby do wejścia zniżonym, przy tych zaś pagórkach od strony wejścia bywają jeszcze w kilka rzędów proste lub w półkieszyce sypane szanice. Takich właśnie kilka pagórków, tylko bez szaniców od strony wejścia, widzieć można i u nas na polach zamianowskich, niedaleko owych grobów kamiennych. Pagórki te są dość wysokie, mają przekop od południa, wschodu i zachodu, a grobelkę od północy, prowadzącą do przerwy wału, otaczającego w podkowę wierzch nasypu. Jestem pewny, że ktoby mógł i chciał się zajęć przejrzeniem wszystkich zakątów naszych podlaskich powiatów, mnóstwo by jeszcze odkrył podobnych zabytków starożytności.

(1) Do miejsc, które nam pobyt Jadźwingów w tych stronach przypominają mogą, policzyćby wypadało: 1) wielki i mały *Jacwicz*, dwie wioski ptu białostockiego u błot rzeki Brzozowej, wpadającej do Biebrzy między miasteczkiem Suchowolą i Jaszwiłami, które także na litwinizm zakrawają. 2) *Jatwicz* nad Niemnem, koło Sopoczkina. 3) Mamy prócz tego w b. obwodzie białostockim dwa Dojnowa, a wiadomo jak nazwa ta w ścisłym z *Jutwicią* zostawała związku, i tak: wieś *Dojnowo* przy Dolidach pod Białymstokiem, i leśne uroczysko *Dojnowo* na lewym brzegu Suprasli, w bliskości jej ujścia do Narwi, między Żółtkami i Nowosilkami. O innych *Jaćwiczach* i *Dojnowach* lub *Danowach*, powiemy niżej. 4) Może i wieś *Kumiata* (po lit. klasz.) wyżej miasteczka Korycina, niedaleko rzeczki Brzozowej położona, niemniej *Kumiata* nad rzeczką tegoż nazwiska; *Dolidy* (Dajlida po lit. cieszla) pod Białymstokiem i jeszcze wieś *Kuzawa* (Kuzawas barć.) przy Kleszczelach, jako znaczenie swoje w mowie litewskiej mające, do osad jatwiazkich niegdyś należały. 5) Uroczysku *Cwintel* i *Komat*, oba według podania noszące nazwiska wodzów jatwiazkich, którzy tam polegli w walkach z Bolesławem Vtym 1264 r. Pierwsze jest łąką na błotach z lewej strony Nurca, pod wsią skarbową Olexinem; drugie już na prawym brzegu tej rzeki, niedaleko ujścia do niej Bronki, zajmuje błota i bród na Bronce, przez który dzisiaj po moście się jedzie. Na żadnym z tych uroczysk nie ma mogiły: snad po klęsce nie było komu myśleć o pogrzebie walecznych; wreszcie miejscem walki były błota, na których tego rodzaju pamiątki przy corocznych wiosennych zaléwach, długo przetrwać nie mogły. (Zob. hr. Ossolińskiego

przez Ruś i Polaków u dolnego Bugu koło Drohiczyna i Brześcia; utrzymywanie załogi ruskiej w ostatniem mieście jako pogranicznem dla wstrzymywania napadów jatwiazkich (*Latop. Wołyn. str. 168*), i niezbite latopisców świadectwa: że i w XIII jeszcze wieku była ziemia i osady Jadźwingów, a przynajmniej włości do nich należące z lewej strony Narwi (*Latop. Wołyn. pod r. 1251. str. 185. 196*): wreszcie i tę okoliczność jeszcze dodać możemy, że niektórzy kronikarze nasi cały kraj między Grodnem a Brześciem, nie tylko czarną, ale jeszcze jatwiazką nazywają Rusią (*Narbutt III, 595*). Takie Jadźwingów za krańcami rodzinnj ziemi występowanie mogło być powodem, że Naruszewicz (*Hist. IV. 115*) dalej niż Strykowski (*Kronika str. 180*) siedziby ich rozciągnął, bo od Prus nie do Wołynia tylko i Nowogródka, ale w drugą stronę aż do Prypeci i Berezyny, lubo twierdzenia swego na przekonywających nie oparł dowodach? że znowu p. Narbutt osadził nimi całe Polesie słońskie (I) i mazowieckie wraz z miastem Drohiczynem (*Dzieje II, 171*), przez co znaczną część Rusi Czarnj

artykuł: O uroczysku historycznym zwaném Komat, w Bibl. Warsz. 1848 T. IV. Str. 465 i t. d., i moje na to uwagi r. 1850 w téjże Bibl. unieszczone). O Cwintelu wiemy tylko z podania, lecz nazwisko Komata dobrze jest znane ruskim i naszym kronikarzom. Co do nazwisk osób, zachowuje się w tych stronach podanie, jakoby niektóre familie podlaskie pochodziły od Jadźwingów; do rzędu takich policzają: Butwiltów, Żyrów, Tonkielów, Borzymów, Skirwinów i Jaszczoltów z okolicy szlacheckiej tegoż nazwiska, z których jeden znajdował się w obozie Daniela, gdy wojował z Jątwą. Być jednak może, że niejedna z tych rodzin później dopiero z Litwy lub Rusi na Podlasiu osiadła. Że zaś familia Komatów, i to w okolicach Brańska, przetrwała rzeczywiście do XVIIgo wieku, mamy na to dowód w lustracyi starostwa brańskiego z r. 1660, gdzie przy wyliczeniu młynów wodnych do tego starostwa należących, powiedziano: iż młyn mielecki trzymał Wawrzyniec Komat. O Jundzillach, niezawodnie Jadźwingach nie wspominaamy, ponieważ téj familii już dzisiaj nie masz osiadłej na Podlasiu.

(1) Według p. Narbutta, Polesiem słońskim miał to być ów kąt utworzony z połączenia się Narwi z Bugiem; tak przynajmniej miejscowość oznaczył nasz dziejopis na mappie przy t. II swego dzieła. Ale dlaczego to Polesie nazywa słońskim, kiedy tam nie ma Słońska? Miasto tego nazwania leży już nad Wisłą o dwie mile od Dobrzynia w ziemi dobrzynskiej, i zawsze należało do Mazowsza.

i kawał Mazowsza samemi Jadźwingami zaludnił, na co również bezwzględnie zgodzić się nie możemy. Lecz jeżeli dwaj pierwsi dziejopisowie nasi zbyt daleko ku zachodowi i na wschód posunęli Jadźwingów; tedy przeciwnie p. Szulc (który im nie przyznaje letońskiego pochodzenia, ale ich uważa tylko za plemię jeszcze w pogaństwie żyjących Mazurów), ścięśnawszy ich siedziby do Podlasia, jakie było przed przyłączeniem do niego w r. 1520 ziemi bielskiej, drohickiej i mielnickiej, i do wschodniej części Mazowsza, każe im zajmować powiaty: węgrowski, nurski, liwski, tykociński, wizki, goniądzki, biebrzański i dąbrowski. Tym więc sposobem w wieku XIII na południową granicę ziemi jatwiazkiej wypaść musiała Narew, a Lik czyli Łęga zamknęła ją z północy. (O znaczeniu Prus, str. 22, 114). Gdyby Jatwież w tych samych zostawała granicach za czasów Kejstuta, jakie miała wtedy gdy ją Trojden do Litwy przyłączał (około r. 1280), akt rozgraniczenia uczyniony w r. 1358 między posiadłościami Kejstuta a księcia mazowieckiego Semowita, uchyliłby nam niejedną wątpliwość co do granic przynajmniej od strony Mazowsza. Lecz właśnie z tego aktu mamy dowód, że Mazowszanie korzystając naprzód z osłabienia Jadźwingów, a potem niepilności Litwy, już oddawna nie w jednym miejscu przestąpić musieli ową granicę, kiedy w rzeczonym akcie, który to przywłaszczenie niejako uprawnił, graniczną linią od północy ku południowi poprowadzono: przez Kamienny Bród, Rajgrad, wpoprzek Netty i Biebrzy; przez Targowisko, ujście wielkiej Strugi, wzdłuż małej Sucholdy; przez rzeczkę Spurchatę, Popielowe-siedlisko i ujście do Narwi Niewodnicy (1). Znikły tu zatem

(1) Data tego aktu jest: „A° 1358 feria tertia proxima infra octavas sancti Laurentii Martyris.” Linia graniczna tak opisana: „.....Primo et principaliter incipiendo in vulgari a *Kamienny Brod* directe ad *Rajgrad* et a *Rajgrad* directe cundo per fluvium *Netta* et a *Netta* directe per fluvium *Biebrza* et a *Biebrza* directe ad *Targowisko* et a *Targowisko* directe cundo ad *Uście wielkiej Strugi* et cundo per eundem fluvium usque ad verticem rivuli seu fluminis *Małej Sucholdy* dicti, et a vertice ejusdem *Małej Sucholdy* deorsum cundo per ipsum fluvium, directe usque ad fluvium seu rivulum *Spurchata*, et cundo deorsum per eundem fluvium directe ad *Popielowe siedlisko* et a *Popielowe siedlisko* directe ad *Niewodnica Uście*, ubi finales gades seu limites terrarum nostrarum (Kejstuti) et ipsius ducis Semovithi Masoviac cesserunt et conclusi sunt.” Rozgraniczenie to wypisał p. Szulc z akt da-

dawne od strony Mazowsza granice, gdyż oba brzegi Narwi i Łęgi, jako téż dolne części Netty czyli Mrty i Biebrzy, weszły w skład posiadłości książąt mazowieckich. Prawda, że społeczni latopiscy ruscy, tudzież akta urzędowe zgadzają się na to; iż w XIII w. trzeba już było szukać Jadźwingów w okolicach rzeką Narwią przerzniętych. (*Latop. Woly. r. 1255. str. 191; r. 1260. str. 197; r. 1270. str. 207. 208. Akta Borus. r. 1255. T. III. p. 140. Arch. taj. królew. z r. 1277. i Karomzin Hist. II. N. 35. str. 24*); potwierdza to i nasz Długosz, który mówiąc o wyprawie Leszka Czarnego w r. 1282, miejsce klęski zadanej Jadźwingom połączonym z Litwinami w kraju już nieprzyjacielskim, między Narwią i Niemnem, może w powiecie biebrzańskim, oznacza (*Kronika I. f. 762, 770*). Słowem, nie ulega wątpliwości, że w XIII wieku Jadźwingowie przebywali około Narwi i dalej na północ; tego tylko z pewnością nie wiemy: czy sami, czy téż w ten sposób, jak niegdyś koło Bugu, t. j. z obcą mieszaną ludnością, na cobyśmy się łatwo zgodzili. Lecz północną granicą Jatwy nie była i nie mogła być Łęga, bo chociaż zaraz za tą rzeką wojska książąt ruskich wspólnie z Polakami i Mazurami (r. 1251) spotykały orężne drużyny Prusaków (Galendów, Sudawów) i Borcian (może pogan Mazurów z Warmii) spieszących na pomoc Jadźwingom: nie było to jednak już w kraju pruskim, skoro wiemy, że Trojden zajmując Jatwę, Podlasie i Dojnowo, zakładał dla obrony od Krzyżaków zamek rajgrodzki, przy wypływie Jagrzwi z jeziora rajgrodzkiego, jeszcze na ziemi Jadźwingów, w znacznem od lewego brzegu Łęgi oddaleniu (*Strykowski str. 308. 309*). Jeżeli zaś to jeszcze przyjmiemy, na co większa liczba badaczy dziejów naszych się zgadza, t. j.: że Jadźwingowie stykać się musieli z Sudawami, którzy jednego z nimi byli rodu; możemy więc

wnych gubernii augustowskiej z księgi ziemskiej ziemi wiskiej od r. 1543—1544. N. 7 (*O znaczeniu Prus dawnych tyt. Różnica Jatwy od Litwy, str. 150*). Z całej tej granicy cztery tylko nomenklatury są nam znajome, t. j. Rajgród, Netta, Biebrza i ujście Niedwodnicy; reszty zaś na mappie bardzo szczegółowej i dokładnej Nowo-wschodnich Prus, sporządzonej r. 1808 przez Tertora, wynaleźć nie mogłem. Naruszewicz umieścił również wyjątek z tego rozgraniczenia w t. VI str. 282 swojej Historji. Tam zamiast Spurehata czytamy Szprzaśła. Jeżeli to ma znaczyć Supraśl, mielibyśmy zatem nie cztery, ale pięć znanych nomenklatur.

Jadźwingów nie przestrojonych w Mazurów szukać jeszcze wyżej Rajgroda nad brzegami czarnej i białej Hańczy, i w Zapuszczańskim, aż przy żuwintowskich błotach. Takie zdaniem naszym mogły być najpoźniejsze, t. j. w XIII wieku siedziby Jadźwingów. Od zachodu więc graniczył ich kraj z Mazowszem i pruskiemi ludami Galindów i Sudawów, od północy z temiż Sudawami i Litwą, od wschodu z Litwą nadniemeńską i grodzieńską Rusią, a od południa zajmował nadbiebrzańskie okolice i wyżej Wizny (1) w części przytykał do rzeki Narwi, w części zaś mógł się rozciągać nawet za jej brzeg lewy. Rzut oka na mapę przekonywa: że cała ta przestrzeń, z małemi wyjątkami, była jak dotąd krajem płaskim, pełnym jezior, błot nieprzebytych i obszerniejszych zapewne niż dzisiaj lasów, co szczególnie miało miejsce nad Narwią, Nettą i Biebrzą; w północnych jednak stronach znajdowały się dość otwarte, w żyzną ziemię bogate okolice, z kąd zapewne nazwisko Podlasia i kraju Zapuszczańskiego powstało.

Bardzo skąpe są nasze wiadomości o charakterze, domowym życiu, stanie politycznym i wierze tego narodu. Zebrawszy jednak to wszystko, co się o Jadźwingach w naszych i ruskich zachowało kronikarzach, i dodawszy do tego, co nowsze dostarczyć mogą badania: może się nam uda choć ogólniejsze pochwycić rysy tak ciekawego dla nas plemienia. Co do cech zewnętrznych różnić się mogli Jadźwingowie od innych Letów, wyższym wzrostem i postacią więcej rozwiniętą. Więcej też dbali o zwierzchnie przystrojenie: zawieszali na sobie świecidełka, nosili pierścienie i łańcuchy, i w powszechności w materialnej cywilizacji na wyższym musieli być stopniu, niż ich pobratymcy. Różnili się i w tém jeszcze od Letów, że nie palili ciał zmarłych, ale je grzebali na osobnych cmentarzach. Wszyscy się na to zgadzają, że Jadźwingowie należeli do najwaleczniejszych ówczesnych narodów północnej Europy. Jak

(1) W sąsiedztwie mogli już być Jadźwingowie, ale nie rozciągali się za zamek Wiznę, który oddawna należał do książąt mazowieckich, a w XII wieku dzierżyli go nawet jakiś czas książęta ruscy. Czytamy bowiem w Ipatiewskim latopiscu, że w r. 1146 odstąpiono Wiznę Igorowi bratu w. ks. kijowskiego Wasiewołoda Olgowicza, za daną pomoc Władysławowi II księciu polskiemu przeciw jego braciom przyrodnym. (*Wyd. peters. t. II str. 21*).

ich najazdy na Ruś i Polskę dzikiem odznaczały się drapieżstwem, i z tego względu nader niemilemi dla ościennych krajów byli sąsiadami; tak znowu w obronie własnej ziemi, namiętnie ich przywiązanie do narodowych swobód i pogańskiej wiary ojców, zamieniały dziką odwagę Jadźwingów w bohaterskie męstwo. Uciec z bojowiska było największą hańbą; nieraz też woleli wszyscy ginąć, niż tył podać wrogowi, lub błagać jego litości. Liczyć nieprzyjaciół nie mieli zwyczaju; z najliczniejszym ochoczo rozpoczynali walkę, a zawsze pierwsi w zaczepce (1). Bywały zdarzenia, że z przemagającym nieprzyjacielem, przez dni kilka z rzędu umieli wytrwać w walce, drogo sprzedając każdą piędź ziemi, z której ustępować musieli; tylko za granicą kraju swego, odrąziwszy pierwsze natarcie pogoni, do szybkiego zazwyczaj brali się odwrotu, uprowadzając łupem obciążone tabory. Wojownicy ich zarówno występowali pieszo jak konno (2); odznaczyli się jednak szczególniej rączością w nogach, i nieraz pieszo znaczne przestrzenie w krótkim przebiegali czasie, aby zniemacka napaść, złupić i również szybko do domów wrócić. Ich nadzwyczajna odwaga, zręczność i zwinność dziwiła Rusinów, tak, że powodzenie niektórych wodzów jatwiazkich nie wrodzonym ich zdolnościom, ale skutkom czarodziejstwa przypisywali (3). Pociski, dzidy, oszczepy i tarcze były ich główną zaczepną i odporną bronią. Czy innego jeszcze używali uzbrojenia, o tém milczą nasze źródła; chociaż niepodobna, aby mieczów nie znali, kiedy zazwyczaj woleli się wręcz niż zdała rozprawiać: dlatego też żadnej wzmianki nie mamy o łuczniakach, których ruscy książęta, według słów latopisca wołyńskiego, w każdej bitwie z Jadźwingami z niemalą korzyścią używali. Wszakże jest ślad, że kamieniami umieli razić

(1) Długosz, a za nim Miechowita i Kromer mówią: że taka była waleczność Jadźwingów, iż: „Nec pedem referre in bello, nec unquam pugna metiam iniquam detractare consveverant, nec noverant quidem terga vertere.” Były wszakże i musiały być wyjątki w ich postępowaniu na wojnie.

(2) Że Jadźwingowie mieli i konnicę, wyraźnie o tém mówi latopisiec wołyński: „.....Sobraszasia wsi Jatwiazie pieszci i snuźnici” (*Zbiór latop. t. II, str. 186*). Snuźnik w starej mowie słowiańskiej znaczy jeźdźca.

(3) „Skomont bo bie wołchw i kobnik norocził, borz że bie jako zwier, pieszbo chodia powojewa zemliu Pinskuju, inyi strany.” (*Latop. Wołyn. str. 182*).

swych wrogów: może więc proza nie była dla nich obcą. Nie odmawiali walki w otwartém polu, lubo chętniej wybierali do boju lasy i bagna, a naprędce i wozami umieli swoje obozy zasłaniać, lub w zasiekach się bronić. Śród miejsc niedostępnych miewali Jadźwingowie i gródki, zapewne przekopem, wałami i ostrogiem warowne. Wspominają o tych gródkach Kadłubek (*L. III. c. 19*) i latopisiec wołyński na wielu miejscach. Ich natarcie na nieprzyjaciela we dnie było gwałtowne, ale straszniejsze nierównie w nocy, wśród wojennego okrzyku i miotania rozpalonemi żagwiami, dla wzniesienia pożaru w obozie. Ztąd też Polacy, aby uniknąć niespodzianego nocną porą napadu, ostrogiem stanowiska swoje otaczać musieli (*Latop. Woły. r. 1251, str. 186*). Żeby na nieprzygotowanych można było uderzyć, Ruś i Polacy pochody swoje z wielką ostrożnością i tajemnie rozpoczynali musieli. Nie palili zatem włości póki do walki nie przyszło, bo nieroztropnie wzniesiona pożoga, roznosiła trwogę po kraju i zaraz jawiły się zbrojne zastępy na spotkanie wrogów (*tamże*). Pokazuje się zatem, że militarnie dobrze uorganizowani byli, ale jak w szczególności, nie wiemy. Z kilku napomknień w kronikach tyle tylko wnieść można: iż Jadźwingowie podzieleni na włości lub gminy (Jatwiagi, Zlincy, Krysmiency, Pokieńcy i t. d.) bez wyjątku wszyscy do noszenia broni zdolni, pod naczelnictwem swych wodzów występować musieli do boju, i że wodzów tych przez kronikarzy tytułem książąt zaszczyconych, przy każdej wyprawie była liczba niemała, tak, że po czterdziestu ginęło ich nieraz; ale czy który z nich był głównie-dowodzącym, tego upatrzeć trudno. Widać tylko, że między sobą musieli być bardzo zgodni, a plany natarcia i odwrotu naprzód układali, jak się tego dorozumiewać godzi, szczególnież z opisu wyprawy księcia halickiego Daniela (*tamże str. 186 i t. d.*). Mogli mieć wodzowie jatwiazcy pewne znaczenie podczas wojny, lecz w pokoju musiało gminowładztwo przemagać, bo nie widać, aby pierwotna ludzi równość między nimi zatartą była. Gminne więc porządki były zapewne normą ich rządu, coś podobnego jak na Żmudzi, tylko przy większych może jeszcze swobodach. Mamy jednakże ślad, że przedniejsi z narodu posiadali włości; musieli mieć zatem i swoich poddanych, lecz pewnie nie z własnego narodu. Losu tego mógł doznać mieszkaniem okolic orężem zdobytych, a najpewniej braniec wojenny. Mógł więc i między Jatwiagami już być zaród przyszlęj ary-

stokraci nietylko majątkowej, ale i rodowej, i możeby taki stan rzeczy, pomimo gminnych swobód, podobne z czasem jak w Litwie wydał owoce; lecz do tego już przyjść nie mogło, gdyż wkrótce takie nastąpiło wyćpienie naczelników jatwiazkich, zawczasie przez kronikarzy książętami nazwanych, a nawet takie rozpedzenie większej części ludności, że zdobywcy niemal pustą tylko zabierali ziemię, bo niewiele zapewne znalazło się takich, co by się od powszechnój narodu kłęski wyłączyć chcieli. Jadźwingowie nie byli narodem koczującym, jak twierdzą niektórzy, (*Narbutt, Dzieje II. str. 174*). Jeżeli bowiem mordczą wojną przez Mazurów, Polaków, Krzyżaków i Rusinów, nieraz ze swoich siedzib wypierani, zamienili się prawie w tułaczów, szukając schronienia wśród głuchych puszczy ostępów i błotnych topieli; jeżeli wreszcie i z tych kryjówek, przez ponawiane jak na dzikiego zwierza obławy rugowani, ustępowali do Sudaw, Litwy lub Rusi litewskiej: nie idzie za tem, aby Jadźwingowie przed tą epoką stałych nie mieli siedzib. Owszem, latopisiec wołyński, najbliższy owych wieków świadek, nie na jednem miejscu wspomina o wsiach jatwiazkich, o dworach ich wodzów i gródkach warownych. Miast tylko nie mieli, a nawet budować ich nie lubili, w czem właśnie odróżniali się od powszechnego u Słowian zwyczaju. Wiemy, że książę halicki Daniel, zawierając z nimi pokój około r. 1256, między innemi warunkami i ten dołączył, aby miasta w swój ziemi budować zaczęli; lecz ten rozkaz podobno został bez skutku. Sama obawa załóg ruskich, któremi niechybnie postaranoby się opatrzyć nowe osady, mogła być dostateczną do odstręczenia Jadźwingów od podobnej pracy. Ponieważ widzimy, że ten lud zajmował stałe wiejskie siedziby, więc i rolnictwo nie musiało być obcą dla niego rzeczą; potwierdza to nasz Długosz, który opisując Bolesławowską wyprawę, wspomina, że Jadźwingów około pracy rolniczej wówczas zachwycono; potwierdza i ta jeszcze okoliczność, że kiedy w naszych czasach pracowano nad kanałem w okolicach Hańczy, w głębi kilku stóp, pod niepłodną ziemią, dokopano się śladów starodawnych niw jaćwieszkich. Lecz kraj niewszędzie tak jak w Zapuszczańskim do uprawy był przydatny: naród więc zostający niemal bez przerwy pod bronią, nie tyle zapewne w produktach rolniczych, które i nieprzyjaciel prędzej mógł odkryć, zabrać lub zniszczyć, ile w hodowaniu trzód łatwiej uprowadzić się mogących, w rybolostwie i myśliwstwie

szukał wyżywienia swego. Jakoż pastwiska były obfite, rzeki i niezliczone jeziora rybne, a puszcze ówczesne pełne dzikiego zwierza. Lasy i ostępy podlaskie żywiły jeszcze niedźwiedzia, żubra, łosia, jelenia, dzikiego konia, trzodę świń dzikich i mnóstwo bobrów, kun, siwych wiewiórek, dostarczających poszukiwane futra, a nawet sobol (czarna kuna) może nie był rzadkością (1); przytém niezbywało na wosku i miodzie, którego wielka musiała być obfitość. Za skóry więc i futra zwierząt, za wosk, miód i wreszcie srebro w najazdach zdobyte (2), nabywali Jadźwingowie u swoich sąsiadów, a szczególnie Rusinów potrzebne sobie zboże, gdy własnego nie stało (3).—Co się tyczy wiary Jadźwin-

(1) O żubrach powiemy mówiąc o Litwie. Koń dziki w pogranicznych Jatwiczom Prusach, dochował się do XV wieku, jak widać z nadania wsi *Lik*, dzisiejszego miasteczka *Eltha* r. 1425. (*Voigt Gesch. Preus. VI. 583*). Jatwiazkie czarne kuny, o których jest wzmianka w latopiscu wołyńskim, mogły być sobole znane również i na Litwie, o czém będzie na swoim miejscu.

(2) Przez łupieżę ściągali Jadźwingowie, a szczególnie ich naczelnicy znaczne bogactwa do kraju. Czytamy w kronikach naszych: że gdy podczas wojny z księżciem mazowieckim Konradem, Gothard herbu Radwan, siedmiu wodzów jatwiazkich pojmał i swojemu księciu dostawił, każdy z owych branców złożyć miał w okupie po 700 grzywien czystego srebra (*Kromer wyd. koloń. f. 147. b. Gwagnin w tłum. Paszkowskiego k. III. str. 31*). P. Narbutt biorąc grzywny te również za grzywny czystego srebra, oblicza każdą na 885 $\frac{2}{3}$ dzisiejszych złotych; a tak każdego brancę okup wynosiłby 620,000, wszystkich zaś 4,340,000 zł. (*Dzieje II 177, 178*); co przechodziłoby wszelkie podobieństwo do prawdy, pomnąc na czasy, kiedy się to działo. Sądzę przeto: że albo tu jest mowa o srebrze nieczystém, albo téż o grzywnach liczalnych, które w Mazowszu do końca niemal XV wieku szły po 20 groszy, a takie 20 gr. do końca XIII wieku wynosiły dzisiejszych 32 zł. Tym sposobem ogólna summa 700 grzywien byłaby zł. 22,400, a cały okup wszystkich siedmiu branców 170,800 zł. (z. *Czacki O lit. i pol. prawach I 157 i jego tablicę ewaluacji monet*). Cóżkolwiek bądź bardzo być może, że Jadźwingowie znaczne mogli posiadać skarby zebrane z łupieży. O tych skarbach zachowała się pamięć i w podaniu ludu. Mówią, że Komat przed bitwą z Bolesławem V. 1264 r., wyprawił starców, żony i dzieci, z wielkimi skarbami na błota surazkie, i że uchodzący przed pogonią polską, wymordowawszy wszystkich, którzy już uciekać nie mogli, by w niewolę nie wpadli, skarby i bożyszcza w tamecznych błotach zatopili.

(3) Latopisiec wołyński powiada: że r. 1279, podczas wielkiego głodu na Rusi u Liachów i Jadźwingów, ci ostatni prosili

gów, z jednego tylko Długosza dowiadujemy się, że ich bałwochwalstwo zupełnie do litewskiego było podobne. (*Kronika wyd. lips. str. 394*). Mogły wszakże w niektórych dogmatach pewne zachodzić różnice. Już samo grzebanie ciał musiało wynikać z odmiennego pojmowania przyszłego życia i nieśmiertelności duszy, niż było na Litwie, gdzie zmarłych najczęściej palono.

Od X wieku nazwisko Jadźwingów coraz częściej w dziejach wspominać być poczyna. Nie wiemy, czy ów Jawtag, a podług innej pisowni Jatwag, jeden z posłów Igora (r. 965) do Carogrodu, był istotnie Jadźwingiem w służbie tego księcia, czy też Waragiem przypadkowo podobne nazwisko noszącym (*Nestor, Szleccera IV, 48*); lecz to pewna, że Włodzimierz W. szerząc podboje ku granicom Polski, dotarł w r. 983 do ziemi nadbużańskich Jadźwingów, i dał im uczuć przewagę swojego oręża (*Wremennik sofijski pod r. 6491, str. 57*). Wkrótce potem (r. 1018) Bolesław Chrobry opanowawszy znaczny kawał Rusi nadbużańskiej, miał również i część Jatwiezi zhołdować, jak o tym napomykają nasi kronikarze (*Kromer wyd. kolon. str. 51. 6.*) Wszakże te przemijające i cząstkowe tylko zabory, ani ruskiej ani polskiej nad Jadźwingami nie ustaliły władzy, a tym samym nie wstrzymały ich od najazdów i łupieży, którymi w tych czasach już sami, już wspólnie z pogaństwem pruskiem lub litewskiem coraz bardziej sąsiadom dokuczać zaczęli. Trwalsze zatem panowanie chciał sobie zapewnić w Jatwiezi Jarosław Włodzimierzowicz, czego też w części r. 1038 dokonał. Wprawdzie nie udało mu się zająć gniazdowych siedzib Jadźwingów (1), jednakże zdobyte na Podlasiu, albo raczej Rusi jatwiezkiej miasta i grody, załogą swoją osadził. Tak utrzymuje nasz Strykowski, który z dobrych mógł czerpać źródła (*Kronika str. 160*); lecz nowsi dziejopisowicze odwołując się również do starych ruskich kronik, daleko więcej przyznają Jarosławowi. Podług

księcia włodzimierskiego (na Wołyniu) Włodzimierza, aby ich zasilili zbożem, za które przyrzekli mu płacić: woskiem, bobraini, czarnemi kunami, popielicami, albo też srebrem. Włodzimierz wysłał też żądane zboże z Brześcia, ale gdy łodzie wpłynęły na Narew, Mazury pod Pułtuskim ładunek zabrali, a łodzie potopili (*Zbiór Latop. II, str. 207, 208*).

(1) W Sofijskim Wremienniku (wyd. 1820 r.) pod r. 6546 (1038) wyraźnie czytamy: „ide welikij kniaz Jaroslaw wiesnie k Kiewu i na zimę chodi na Jatwiaki i ne mozachu ich wzjati” (*Latop. Daniłowicza str. 115*).

nich, skutkiem téj wyprawy miało być: wprowadzenie wielu Jadźwingów do Rusi, odparcie reszty ku Narwi a nawet ku granicom Galindy; osadzenie kolonistami ruskiemi nowo założonych miast: Drohiczyzna, Mielnika i Brańska, i opatrzenie ruską załogą tamże zbudowanych grodów. (*Kron. Nikon. i Woskres. u Karaczina II, str. 24, n. 35. Narbutt, II, 173, 175*). Ale czy przyjmujemy, że istotnie wymienione miasta wtenczas swój początek miały, choć na to nie mamy dostatecznych dowodów; czyli téż, że tylko w już będących osadach, zakładano grody, co większem jest podobieństwem do prawdy: zawsze to niemal pewno, iż Jarosław część Rusi jatwiezkiej, przynajmniej do Nurca, zhołdował. Odparci od Rusi, boju i zdobyczy chciwi Jadźwingowie, znaleźli zajęcie w Mazowszu, gdzie r. 1041 walczyli w szeregach Masława czy Mieczysława przeciw Kazimierzowi I. (*Kadłubek, Boguchwał u Kromera str. 51, 6*). Niedługo jednak potem, zapewne odnowione napady, znowu na nich ściągnęły mściwy oręż Rusi. Między latami 1058 i 1060 książę ruski Iziaslaw, nie tylko zwiedził Jatwież, ale przedarłszy się przez tę krainę, wpadł aż do pruskiej prowincyi Galindy, zkąd niemało Goliadów do swoich dzierżaw wyprowadził, i nad rzeką Porotą czyli Porotwą osadził, gdzie jeszcze byli r. 1147 i służyli w wojsku księcia Światosława Olgowicza (*Latop. Ipatiewski w zbiorze latop. II, str. 29*); ale wkrótce potem za podniesiony bunt, do szczytu jakoby przez tegoż księcia wytepieni zostali. Dochowała się jednakże do naszych czasów pamiątka po nich, w nazwisku miasteczka u źródeł Porotwy (*tamże w przypisie*). Być może, że z Goladami i brańców jatwiazkich osadzano na Rusi.

Jeżeli od połowy XI do końca niemal XII wieku, żadnej w dziejach nie znajdujemy wzmianki o Jadźwingach, to nie dlatego zapewne, żeby ten lud wojowniczy doznawszy przewagi Rusinów, nie śmiał już przez tyle lat drażnić swoich sąsiadów, jako raczej dlatego, że wewnętrzne sprawy i zamieszki na Rusi i w Polsce, zmuszały przez jakiś czas stracić z uwagi Jadźwingów. Jednoczesne niemal przeciw nim wystąpienie Kazimierza II (Sprawiedliwego) i Romana halickiego, dowodzi, że ani Polsce, ani Rusi nie dawali pokoju. Czytamy w naszych kronikach, iż niejaki *Polexius* czy *Alexy* z Drohiczyzna (1), może

(1) P. Szule utrzymuje, że Jadźwingów siedziby były dopiero za prawym brzegiem Narwi, a jednak Polexiusza uważa za

jeden z pozostałych a teraz samowładnie tu rządzących namiestników ruskich książąt, łącznie z Jadźwingami i Litwą, szczególnie się odznaczał grabieżą stron sąsiednich. Przeciw niemu więc i jego sprzymierzeńcom wyruszył Kazimierz II r. 1193, a zdobywszy Drohiczyn, tak mu się udało w tej stronie poskromić Jadźwingów (*Kadłubek IV, c. 19*), że odtąd cały ten kraj, przynajmniej do Nurca, uległ zwierzchnictwu polskiemu, a następnie dostał się w dzierżenie książąt mazowieckich, którzy nim jak swą własnością zarządzili. Jakoż Konrad syn Kazimierza II, pomimo upokorzenia Jadźwingów przez Gotharda Łukaszewicza, który nawet siedmiu ich wodzów do niewoli zabrał (*Kromer f. 147. 6.*), chcąc się lepiej z tej strony ubezpieczyć, oddał w r. 1237 Drohiczyn z całą przestrzenią od Bugu do Narwi i do granic ruskich Braciom dobrzyńskim, z obowiązkiem odpięrania pogan (*Voigt, Gesch. Preus. I, 278. Narbutt III, 410, 414*). Z mniejszym skutkiem była wyprawa Romana księcia halickiego w r. 1196, bo Jadźwingowie schronili się do miejsc obronnych: „bieższa wo swój twerdi”, a księżę po spaleniu ich włości do domu powrócił (*latop. Ipatiew. str. 150*). Ale wymierzona za rabunki kara, wywołała zemstę ze strony Jadźwingów. Połączeni z Litwą, napadli w r. 1205 ruskie ziemie, i szerzyli straszne spustoszenie w okolicach: Turzyska, Komowa, Czerwienia, Uchania, a szczególnie Włodzimierza (1). Nie tak pomyslna była dla nich wyprawa na Ruś r. 1227. Jadźwingowie napadnięci podczas burzenia okolic Brześcia przez Daniela i Wasilka synów Romana, po zaciętej walce, straciwszy dwóch wodzów *Szutra* i *Stchuta*, z trzecim rannym *Nebrem*

jatwiazkiego księcia na Drohiczynie; dowodząc z jego nazwiska (miał to być Alexy) lechickiej rodowości Jadźwingów (*O znaczeniu Prus*). Co do granic Jatwy, o tém jużesmy dosyć mówili; tutaj zaś tę jeszcze tylko dodamy uwagę: że jeżeli domysł p. Narbutta, upatrującego w Polexiusu Alexego, jest trafny (*Dzieje II, 176*), jakimże sposobem mógł to być Jadźwing, kiedy przed r. 1253 żaden z nich chrześcijańskiego imienia jeszcze nosić nic mógł?

(1) „Bieda bo bie w zemle Władimerstej ot wojewania Litowskoho i Jatwiazskaho” mówi latopisiec. Tę wyprawę Jadźwingów z Litwinami umieściliśmy pod r. 1205, idąc za najbliższym świadkiem owych wypadków, t. j. latopiscem wołyńskim (*Zbiór Latop. II, str. 157*). Karamzin przywodząc kronikę Woskreszeńską (*Hist. III. n. 134*), a za nim Narbutt (*Dzieje IV, 44, 45*) też same zupełnie okoliczności opisują pod r. 1211.

wrócili do siebie (*Latopis. wołyn. str. 167*). Od tej pory zaczęli książęta ruscy ciąglą utrzymywać załogę w Brześciu, dla powstrzymania jatwiazkich najazdów (*tamże str. 168*), i nazywali tę stronę Ukrainą, t. j. na kraju ich posiadłości będącą (*tamże str. 160*). Umieci wszakże Jadźwingowie, mimo tej ostrożności ze strony ruskiej, to pieszo przez lasy i ostępy w kierunku dzisiejszej puszczy białowieżskiej, przebić się kryjomo aż do ziemi pińskiej, jak tego dał przykład ów wódz jatwiazki *Skomont*, sławny z szybkości w pochodach pieszych, który wraz z drugim naczelnikiem *Borutą* dognany przez wojsko Wasilka, życie postradał (*Latop. woł. str. 182*); to znowu zręcznie omijając załogę brzeską, i z drugiej już strony Bugu za łupem się uganiać. O jednej z takich wypraw wspominają kroniki ruskie pod r. 1248. Jadźwingowie wówczas zapuścili swoje zagony aż pod samo Chełmno, rabując okolice Ohoży i Buzowna. W odwrocie dognali ich Wasilko pod samym Drohiczyinem i u wrót tego miasta przyszło do krwawej bitwy, w której pokonani Jadźwingowie, 40 swoich mieli stracić książąt (*tamże*). Lecz to zwiedzanie sąsiedniej Rusi stawało się z czasem coraz trudniejszem. Książęta ruscy sprzykrzywszy sobie ciąglę, a często daremne strzeżenie swych granic, nietylko że z odpornych stali się znowu zaczepnemi, ale nadto idąc za wzorem polityki Jarosława, postanowili przez zajęcie kraju Jatwieszów i zaludnienie go ruskimi osadnikami, stanowczo położyć koniec tylekroć ponawianym na ich kraj najazdom.

Jedną z takich wypraw, dość szczegółowo u latopisca wołyńskiego opisaną, przedsięwzięli w r. 1251 Daniel halicki i Wasilko włodziemiński. Wezwali oni nawet do wspólnego działania nietylko sąsiedniego mazowieckiego Ziemowita, ale i dalszego krakowskiego Bolesława Pudyka, który nim się sam na Jadźwingów wyprawiał, ochocho zapewne dostawiał posiłki, chowając w sercu swém zemstę za świeże straty, jakie od nich poniósł, gdy przeciw niemu wspierali Konrada; bo chociaż zwyciężył pod Suchodołem (r. 1243), spalili mu jednak Lublin (t. r.) i dopomogli do zwycięstwa (r. 1244) księciu mazowieckiemu pod Jaroszyinem (*Kromer str. 147, a, b, 150, b; Nuruszewicz IV, 333, 334, 347, 348*). Wysłał przeto i Bolesław swoje chorągwie do Drohiczyina, gdzie się wojska zbierały. Przeszedłszy błota, wkrótce dotarli sprzymierzeni do kraju nieprzyjaciół. Pożarem

wsi spalonej przez Polaków ostrzeżeni Jadźwingowie, prędko się zebrali dla stawienia oporu. Gdy wieczorem nadeiagnęli im w pomoc *Zlincy* i inni Jatwiadzy, wysłali *Nobiasta* z prośbą do Daniela, aby w pokoju odszedł, a samych Lachów im zostawił; lecz otrzymawszy odmowną odpowiedź, teje nocy uderzyli na worowny obóz Polaków, osypując ich gradem pocisków, kamieni i rozpalonych żagwi, chcąc ostrog zapalić; nawet odparci przez łuczników Daniela, całą noc niepokoili swych nieprzyjaciół. Nazajutrz wyruszyła z miejsca piechota i jazda jatwiazka, spaliwszy wprzód swoje wozy obozowe. Postąpił i Daniel z Polakami Bolesława za nimi, a gdy się już znacznie od reszty swego wojska oddalił, Jadźwingowie, o których mniemał że są w odwrocie, napadli na tylną straż z Polowców złożoną, któremi dowodził Łazarz, zdobyli ich chorągiew i rozbitych przegnali do miejsca, gdzie Wasilko z Ziemowitem swoje roty wiedli. Tu się na nowo bój krwawy rozpoczął; możeby nawet i ten oddział znieśli, ale mu Daniel na ratunek przybył: wtenczas dopiero cofnęli się Jadźwingowie do lasów. Po takiem nie nader korzystnem dla sprzymierzonych wojsk spotkaniu się, Daniel idąc za radą Jaszcaolta, odpoczął przy Narwi; tymczasem zaś Jadźwingowie ustąpili za rzekę *Oleck* czy *Olehtë*, chcąc zapewne do miejsce mniej przystępnych zwabić nieprzyjaciół. Postrzegł to Daniel, przeszedł rzekę, lecz wybrał się do okolic więcej otwartych. Wszakże i tu nie odmówili mu bitwy Jadźwingowie, chociaż, jak mówi kronikarz, straciwszy wielu swoich książąt, w ostępach puszczy za rzekę *Olehtë* schronienia szukać musieli. Zwycięzcy zapasulwszy się na drugi dzień w bezdrożne lasy, długo błądzili, aż nureszeie złapany Jadźwing, któremu darowano życie, wyprowadził ich z manowców. Za rzeką *Likiem* spotkali w pomoc Jadźwingom idących Prusów i Bartów, ale szyk bojowy Daniela, liczba orężnych i świetność ich uzbrojenia, takie na tych przybyszach uczynić miało wrażenie, że bez zaczepki wrócili do domu (1). Z tego miejsca dostał się Daniel do *Wizny*,

(1) Latopisiec mówiąc o tem zdarzeniu, tak opisuje uzbrojenie sprzymierzonego wojska i szyk bojowy, którego się przelekli jakoby Prusacy: „Nautreja że prihnawszim knim Prusom i Bortom i wojemże wsim siedszim i wooruższimsia pieszcem i ze stana, szczytje że ich jako zoria bie, szołom że ich jako solneju woschodiaszczu, kupiem że ich drzaszczim w rukach jako trsti mnozi, strelcem że obapoł iduszczim i derzaszczim w rukach rozanci swo-

przeszedł Narew, i mnóstwo chrześcian (może brancew na roli osadzonych) oswohodziwszy, na Ruś powrócił. (*Latop. wołyń. str.* 185—187). Jadźwingowie nie ulegli wprawdzie tą razą zwierzchnictwu obcemu (1); może nawet ich nieprzyjaciel więcej niż oni sami w tej wyprawie stracił: lecz przy zbiegu innych okoliczności, zawsze to musiał być dla nich cios bolesny, że ich od granic ruskich aż ku Prusom znowu zdołano odeprzeć, zkad równej, jeżeli nie większej jeszcze spodziewać się mogli niedoli.

W rzeczy samej, od połowy XIII wieku położenie Jadźwingów z każdym dniem stawało się trudniejszym. Ze wszystkich stron zbierały się burze na ten lud waleczny. Od Prus groziły im mordercze najazdy Krzyżaków, którzy w wytopieniu Galindów, Sudawów i Jatwy upatrywali bezpieczeństwo własnego nad Prusami panowania; od Polski spodziewana zemsta Bolesława V, a od Rusi nowe wyprawy czynnych książąt Daniela i Wasilka, którzy uprzedzając Litwę, sami kraj Jadźwingów zagarnąć pragnęli. Ale nie dość na tém: nawet pobratymcza Litwa, z którą zawsze przeciw wspólnym pogaństwa wrogom chętnie się łączyli, której właśnie w tych czasach (między r. 1242 a 1253) ułatwiali związki z Pomorzem i Prusami w wojnie z rycerstwem niemieckim (*Hennig. Comment. d. reb. Jasygum. Voigt, Gesch. Preus. II, 428 i t. d.*) i przeciw której nawet za pieniądze Daniela nie chcieli oręża podnosić (1), narażając się przez to na nowe Rusinów napady; Litwa mówię, widocznie ku nim jakąś niechęć okazywać zaczęła, kiedy kosztem ich ziemi zaspakając chciała nienasyconą chciwość krzyżacką. Jakie mógł mieć prawo do takiego szafunku Mendog, z pewnością nie wiemy. Żeby Jadźwingowie dobrowolnie poddać się mieli zwierzchnictwu Litwy, żadnego o tém w dziejach nie mamy śladu. Może więc czynił

je i nałożyszinn na nie stricly swoja protiwu ratnym, Daniłowizo nakonie siediaszczu i swoje riadaszczu i ricsza Pruzi Jatwiazem „możete li drewo podderżati sulicami i na siju rat' dorzuuti”? (*Latop. Woły. str.* 186).

(1) Że tak było rzeczywiście, dowodzi następująca okoliczność: Daniel korzystając z kłótni Mendoga z krewnymi (Towciwilem, Trojnatem i Dowmuntem) i szukając związkowych, między innymi i u Jadźwingów pozyskał r. 1252 za pieniądze przyrzeczenie pomocy. Zrazu wspierali rzeczywiście Towciwiła Jadźwingowie, lecz później, nie tylko pod pozorem wielkich śniegów nie ruszyli się z miejsca, ale nawet otwaroło chwycili się sprawy Mendoga (*Narbut IV, 160, 161, 163*).

to Mendog na mocy własnych, a przynajmniej Erdziwiłta zabórów, który w r. 1240 zajmując zniszczone przez Tatarów Podlasie, mógł i część Jatwiezi zagarnąć (1); może wreszcie monarchiczna Litwa, mniej dbając o swobodnych Jadżwingów, jak to później czyniła ze Żmudzią, odstępować Niemcom i to, co już miała w swój mocy i czego jeszcze nie miała. Cóżkolwiekbydz, wyłudzili Inflancy rycerze te dary w tej zapewne nadziei, że zakon krzyżacki mając już części kraju, łatwiej z czasem i do zdobycia całego przyjsć może. Bo że nie cały kraj Jadżwingów, jak to p. Szulc utrzymuje (O znaczeniu Prus) odstąpiony był Krzyżakom, ale tylko włości do Dojnowa czyli Jaćwieza należące, o tém sama treść dyplomatów Mendoga z lat 1252 i 1253, każdego przekonać może (2). Takie więc ze wszech miar krytyczne położenie Jadżwingów było zapewne powodem, że wspólnie z Galindami pruskie-

(1) Erdziwiłt po zajęciu Nowogródka i Grodna, wtargnął na Podlasie, gdzie, jak mówi Strykowski, znalazłszy Suraz, Brańsko, Bielsko, Drohiczyn, Mielnik i Brześć z ich zamkami przez cara Batoia zburzone, zamki te na starych horodyszczach na nowo zbudował, a Rusinów chrześcian, którzy się po owém spustoszeniu jeszcze zostali, wziął w obronę i posłuszeństwo swoje (*Kronika str.* 227). Mylną tylko datę kładzie, bo zamiast 1240, to 1217 r.

(2) W miejscach obu tych przywilejów, ściągających się do darowizn uczynionych Krzyżakom w ziemi jatwiazkiej czytamy..... „Nomina utem terrarum haec sunt”... Denove tota (w przywileju 1253 „Denove medietatem”) exceptis quibusdam terrulis: scilicet Sentane, Derenen et Cresmen (czy nie Dora i Krismiencow włości wymienione u latopisca wołyńskiego str. 103) et villa quae Gubiniten dicitur, cum tribus villis in Velzowe quas nostro dominio reservamus.” Data przywileju 1252 r. jest VII Idus Augusti (7 sierpnia), a przywileju 1253 r. in Letowia (ma być Tytowie t. j. Tytowiany) mensa Julia. Oba te przywileje Mendoga i kilka innych z tegoż czasu, wypisanych z oryginałów i porównanych z różnemi kopiami i transumptami, a przytém bardzo dokładnie objaśnionych, umieścił p. Narbutt w t. IV Dziejów w dodatku V str. 15 i t. d. Przeczytawszy te dyplomata, każdy, bez uprzedzenia będący, łatwo wyrozumieć: że Mendog nie czynił Krzyżaków panami całych krajów i prowincyj, ale im oddawał włości i ziemie do nich należące, często w połowie tylko, i że te darowizny po całym jego państwie rozrzucono były; o co może z widoków politycznych sami się postarali Krzyżacy. Tak więc i ówo Dojnowe inaczej Jaćwiezim zwane, było tylko włością, może znacznej obszerności, ale nie całym krajem Jadżwingów. Gdzieby zaś dobra te położone były, czy koło Suchowoli, gdzie dziś wielki i mały Jaćwiez, czy też gdzieindziej—oznaczyć trudno; bo jak Dojnowów, tak i Jaćwiezów było i jest dotąd kilka.

mi postanowili w r. 1253 szukać opieki nie pobratymczej Litwy, ale książąt polskich Bolesława V, a w szczególności Kazimierza kujawskiego. Pochwalił ten zamiar i papież, i przyznał zwierzchnictwo nad krajem Galindów i Jatwicią Kazimierzowi, jeśli dobrowolnie przyjmą wiarę chrześcijańską (*Raynold a. 1253 n. 25*); jakoż rzeczywiście ze skutkiem, jak mówią, poczęto ogłaszać naukę Ewangelii wśród tego pogaństwa, ale wkrótce źle zrozumiany własny interes Kazimierza, wszystko to zniweczył. Cóż bowiem uczynił? Oto dla odzyskania połowy ziemi łobowskiej, co jednak nie nastąpiło, wyrzekł się wszelkiego prawa, jakie mu bulla papieża dawała i cały kraj Galindów i Jadźwingów Krzyżakom ustąpił. (*Butłę i traktat w skróceniu przywodzi Narbutt. II, 180, 182, 183*). Tak nikczemnie opuszczeni Jadźwingowie i na pastwę cheiwym mnichom rżuceni, nie dziw, że wróciwszy do dawnego pogaństwa, we własnym męztwie, a później i w związkach z bratnią Litwą, zwłaszcza po apostazyi Mendoga, ratunku szukać musieli. W takim stanie były sprawy Jadźwingów w połowie XIIIgo wieku od strony Prus i Mazowsza. Poszły wprawdzie tą razą jeszcze w odwłokę zaborcze zamiary Krzyżaków, jednakże Jadźwingów nie zostawiono w pokoju, bo właśnie wśród owych niegodnych układów, książę halicki, który nie spuszczał z oka Podlasia, do nowój sposobił się wojny.

Zapewne z Drohiczyzna i zaraz po odbytej tamże koronacyi swojej na króla halickiego (gdyż odtąd ciągle już zowie go latopisiec królem) wyruszył Daniel r. 1255 wraz z synem swoim Leonem i Ziemowitem księciem mazowieckim do ziemi Jadźwingów. Zrazu bez oporu kraj burzyli Rusini i Mazowszanie; dopiero po zajęciu domu *Stekinta* czy *Stelinta*, gdy się dowiedziano, że ten wódz jatwiazki w zasięku bronić się postanowił, Daniel zostawszy na miejscu, syna tylko przeciw niemu wyprawił. Powiodło się Leonowi, zdobył warowne stanowisko, ubił w pojedynczej walce *Stekinta* wraz z bratem jego, i z bronią tych naczelników do ojca powrócił. Po tej porażce, *Komat* inny wódz Jadźwingów ofiarować miał uległość i służbę (w *rabotie* byli); lecz Daniel nieufając obietnicom, nie przestał niszczyć kraju ówczesnym zwyczajem, i między innymi zburzył dom *Stekinta*, który, jak mówi widocznie bliżki owych czasów kronikarz, i dotąd pustkami stoi (*Latop. Wol. str. 191*). Wszystko to, jak się domyślać można, dzieć się musiało w porze zi-

mowój i koło Rajgroda (1). Z większą nierównie siłą w następny zaraz roku (1256) wystąpił Daniel na zgębienie Jadźwingów. Oprócz brata Wasilka i trzech synów: Romana, Leona i Szwarna (2), byli z Danielem teść Romana Illeb, Ziasław książę swistöcki, tudzież Ziemowit mazowiecki, a nawet oddział sandomierskiej i krakowskiej szlachty przysłanej od Bolesława V. Daniel przyjąwszy naczelne dowództwo, rozporządził pochodem i sam ruszył w przedniej straży, mając za przewodnika Jadźwinga *Amkada*, który otrzymawszy przyrzeczenie, że jego wieś spaloną nie będzie, podjął się zdradzać swych ziomków, co było jedynym w ich dziejach przykładem. Gdy w drodze nadbiegli do Daniela synowie jego Lew z Romanem, wyprawił ich zaraz do wsi *Bołdykiszcza*, dla dostania języka. Lew obszedł wioskę, napadniętych mieszkańców w pień wyciął i jednego przyprowadził branka, od którego dowiedziano się, że Jadźwingowie zebrali się we wsi *Przywiszczy*. Daniel chąc zniecka na nich uderzyć, stosowne do tego wydał rozkazy; ale ich ostrzegł jeden Jadźwing, który się wymknął z Bołdykiszcza: gotowi zatem stanęli do boju. Nie czekając na ciągnących z tyłu, sam Daniel ze swoim oddziałem uderzył na broniących wsi Jadźwingów. Chwiała się jakiś czas zwycięstwo, bo nieprzyjaciel zacięcie bronił stanowiska; wszakże straciwszy wielu walecznych, a między temi i jednego z wodzów swoich, ustąpić musiał. Daniel narażając się z przednią tylko strażą i łucznikami swemi, w przykrém zrazu musiał być położeniu, kiedy kronikarz za wielką łaskę Boga uważa, iż królowi udało się rzucić popłoch na nieprzyjaciół i z małą drużyną pokonać hardych *Jadźwingów*, *Zlinców*, *Kryśmienców* i *Pokienców* (3). W rzeczy samej nie śmiał wódz ruski rozpuścić

(1) Domysł ten opieramy na słowach kronikarza, który powiada: że Daniel w powrocie do siebie, gdy szedł przez jezioro spostrzegł u brzegu piękną górę, a na niej szezątki grodu zwanego *Raj* (*Latop. Wol. str. 191*).

(2) Niektórzy widzą w Szwarnie synowca Daniela, uważając go za syna to Mścislawa, to Michała Romanowiczów; ale kronikarz wołyński wyraźnie nazywa Szwarna Danilowiczem, t. j. synem Daniela (*str. 201*).

(3) Kronikarz nie w jednym miejscu odróżnia Jadźwingów od Zlinców i t. d. Ta okoliczność wprowadza nas na domysł, że tu równie jak w Prusiech lud dzielił się na plemiona różnego nazwiska, tylko że plemię Jadźwingów przodkowało innym, a ztąd obcy nazwę ich do całego rozciągnęli narodu.

pogoni za uchodzącemi, ani téż zostać na miejscu, ale się cofnął zabrawszy branców i dopiero po złączeniu się z Ziemowitem i Wasilkim, wrócił na noc do Prywischy, którą po zrabowaniu spalono. Odtąd przez następne dwa lub trzy dni szerzono tylko mordy i pożogi, bez narażenia się ze swojej strony na żadne straty, gdyż, jak mówi kronikarz: „Bóg serca mężnych niegdyś Jadźwingów strachem przepelnił.” Oddano płomieniom: *Tajsewice*, *Burule*, *Rajmocz*, grody *Komata* i *Dura*, i znowu jakiś dom *Stekinta*; ale niszcząc wszystko ogniem i mieczem, przyszło do tego, że gdy stanęli w *Korkowiczach* czy *Kornowiczach*, nie mieli czém siebie i koni swych posilić. Jednakże z niczém jeszcze odprawiono *Jundzilla* dla układow wysłanego przez Jatwę, i spustoszenie dalej szerzono. Dopiero gdy wojska dostały się na jakieś błota i wyspy (może koło Liki lub Biebrzy), nowi wysłańcy błagając o życie dla branców i osiarując mir i uległość, skłonili Daniela do ustąpienia z ich kraju (1); poczém posłowie jatwiazcy dostawili zakładników i przyrzekli nie tylko złożyć dań w kunach czarnych, popielicach i srebro, ale nawet

(1) Z latopisca wołyńskiego niepodobna wyrozumieć, gdzie się to wszystko działo, bo nie wspomina nawet o przeprawach rzek, co jednak musiało mieć miejsce. Jeżeli dzisiejsza wieś *Kurkowo* między Stawiszkami a Wasoszem, lub *Kurki* położone nad granicą pruską powyżej Szczuczyna, weźmiemy za *Korkowice* latopisca: w tym przeto kierunku szukaćby wypadało teatru wojny. P. Szule dowodząc lechickiego pochodzenia Jadźwingów, powiada: że *Burule* jestto dzisiejszy *Dobrzyjałów* za Wisną; *Rajmocz*, jakieś *Ramoty* w Biebrzańskim; a *korkowice* znowu jakieś *Korobicze* w Dąbrowskim (*O znaczeniu Prus*). Podług takiego oznaczenia miejscowości owych osad, wypadłoby przypuścić: że działania wojenne rozciągały się na przestrzeń 140-cio milowej, i to idąc prostą drogą przez narewskie i biebrzańskie błota, co zimową porą nie byłoby rzeczą nadzwyczajną. Lecz pominąwszy to, że dzisiejsze *Kurki* lub *Kurkowo* podobniejsze są do *Korkowicz* niż *Korobicze*; z samego kronikarza, który dość szczegółowo każdodzienny postępek Daniela opisuje, wcale tego dostrzedz nie można, żeby wojsko jego: czyto jednocześnie na całej tej przestrzeni między *Dobrzyjałowem* i *Dąbrową* działało, czy téż wyszedłszy z jednego z tych punktów cały kraj kołem obeszło. Ale p. Szulecowi nie szło o ścisłość historyczną, lecz tylko o upatrzenie *Burulów* w *Dobrzyjałowic*, a *korkowicz* w *Korobiczach* bez względu na ich położenie, a to w tym celu, aby Jadźwingów, którzy koniecznie mają być Lachami, osadzić po wsiach, słowiańskie mających nazwiska.

miasta u siebie budować. Daniel miał rzeczywiście zaraz w następnym roku (1257) wybrać umówioną dań na Jatwie, lecz to było téż całą korzyścią z owéj sławnéj wyprawy (*Lutop. wołyn. str. 192—194*), gdyż wkrótce potem (r. 1258), zmuszony będąc odstąpić na rzecz Wojsielka syna Mendoga: Brześcia, Mielnika, Słonima, Wolkowyska, Grodna, Nowogródka i Bielska, odsunął od Jatwiezi swoje granice, zostawując Litwie otwartą do podbojów drogę, a dla trwalszój zgody, syna swego Szwarna z córką Mendoga ożenił. (*Karamzin IV. n. 102, Kron. rękop. Bychowca str. 15, Narbutt, IV, 164. 165*).

Że podczas wyprawy Daniela nie przyszło nigdzie do stanowczéj walki, jak się tego po ochoczym zawsze do boju nieprzyjacieli spodziewać należało, wynikło to niezawodnie z rozerwania sił Jadźwingów. Bo kiedy z téj strony król halieki palił i lupił ich siedziby, z innéj zakon Krzyżaków, roszczący prawo do Jatwiezi na mocy owego układu z Kazimierzem kujawskim, tak ich naciskał, że wielu z nich zaledwo w okolicach dolnego Bugu i Narwi schronienie znalazło (*Voigt Gesch. Preus. III. 113. 114*). W tak rozpaczliwém zostając położeniu, postanowili Jadźwingowie jeszcze raz szukać ratunku w sąsiedniém Mazowszu, i pomimo doznanego już zawodu, poruczyć swój los opiece Kazimierza, przyrzekając, że się nazawsze wyrzekną dawnego bałwochwalstwa. Znowu więc bulla papieżka z r. 1256 zatwierdziła to ich powtórne poddanie się (*Rajnold s. h. a. N. 14*) i znowu gromadnie, jak mówią, zaczęli ci poganie chrzest św. przyjmować; lecz i tą razą przez Mazowszan, uludzonych chytrą polityką rycerzy niemieckich, również nieczemnie opuszczeni zostali. Ich kosztem zaczęli się układać z Krzyżakami naprzód Kazimierz a potem Ziemowit. Stanął wreszcie traktat w r. 1260, w skutek którego szóstą tylko część Jatwiezi przypadła dla Mazowsza, a nad resztą mieli władać Krzyżacy. (*Oryginał w taj. arch. królew. cf. Hennig Comment. d. reb. Jazyg. p. 45. Narbutt, II. 186*). Jadźwingowie zatem postrzegłszy, do czego układy, które się dość długo ciągnęły, zmierzają, nie czekając ich końca połączyli się z wojskiem Daniela, Mendoga i Tatarami Burundaja, i należeli do pamiętnéj r. 1259 na Polskę wyprawy; skoro zaś ów traktat zawarty został, tém bardziej jeszcze rozdrażnieni, zbrali się u dolnego Bugu i ciągłemi napadami Mazowsze i Polskę trapić zaczęli. (*Długosz VII. 757. 758. Strykowski str. 282. Naruszewicz V, 57. Karamzin IV, 75. Narbutt. II, 170, 171*). Tylekroć już ponawiane najazdy, wywołały nakoniec ostatnią

zemstę Polaków. Bolesław V Wstydlivy zebrawszy r. 1264 znaczne wojsko, z pod Zawichosta gdzie Wisłę przebył, na Podlasie pociągnął, a przeszedłszy granicę 22 czerwca, z obawy niespodziewanego napadu, ostrożnie i w porządnym szyku postępował w głąb kraju. Niepróżna była obawa Polaków: już nazajutrz o wschodzie słońca napadli Jadźwingowie na obóz polski i to z takim zapalem i z taką ochotą, jak gdyby szli na gody, mówi kronikarz. Widząc to Bolesław wystąpił z obozu i sprawiwszy szyk bojowy, uderzył na wrogów. Gdy Jadźwingowie pierwsze wytrzymali natarcie, zaczął się bój krwawy, bo z obu stron z równym potykano się męztwem. Przez kilka godzin była wątpliwość przy kim zostanie zwycięstwo. Nakoniec Polacy liczbą i porządkiem silniejsi zaczęli przemagać, zwłaszcza, gdy Komat jeden z celniejszych wodzów jatwiazkich, w pierwszych walczących szeregach, bohaterską poległ śmiercią. Pomimo tego jednak żaden z pozostałych, choć w nierównej już walce, nie ustępował kroku. Wówczas bitwa w prawdziwą się rzeź zamieniła, gdyż wszyscy, a szczególnie przedniejsi z Jadźwingów, woleli ginąć na placu drogo przedając swe życie, niż szukać ratunku w haniebnej ucieczce. Zginęli też wszyscy. Ale i z tych, których oręż w czasie boju oszczędził, ocalało zapewne niewiele, bo zwycięzca każdego śmiercią karał, co wiary chrześcijańskiej przyjmować nie chciał (1). Czytamy w kronikach naszych, że Bolesław V pragnąc skuteczniej rozszerzyć chrześcijaństwo w tej stronie, wyjednał był nawet bullę u papieża Urbana IV do gnieźnieńskiego arcybiskupa, aby w Drohiczynie nowego jatwiazkiego biskupa

(1) Taką wiadomość o tej wyprawie Bolesława V zachowały nam kroniki nasze (*Długosz, Kromer f. 162 a. Strykowski str. 181, 182*). Według podania miejscowego, mieli Jadźwingowie nie jedną, ale kilka stoczyć bitew z Polakami; uroczyska zaś w okolicach Brańska zwane Cwintel i Komat, o których wyżej była mowa, mają przypominać miejsca, gdzie tegoż imienia wodzowie jatwiazcy, polegli. Być może, że od Buga w kierunku ku Brańskowi, odbyło się kilka utarczek, lecz z prawej strony Nurca przy dzisiejszym Komacie musiała być ostatnia i stanowcza. Podanie oprócz tego i to jeszcze głosi, że z niedobitkami uratował się synek Kumata, który w r. 1282 zostawszy chrześcijaninem, ma być protoplastą rodziny podlaskiej Kumatów (*hr. Ossoliński: O uroczysku zwanem Kumat, w Bibl. Warszaw. 1848, T. IV, str. 465*). Ze nazwisko Kumatów płątało się w okolicach Brańska jeszcze w XVII wieku, o tém także wspomnieliśmy wyżej.

przełożył; lecz ten zamiar nie przyszedł do skutku (*Kromer f. 162. a, Strykowski str. 182*).

Drogo zapewne musiało to zwycięztwo kosztować Polaków, ale też klęska, którą wówczas ponieśli Jadźwingowie, była dla nich śmiertelnym ciosem i na dalsze ich losy, przy zbiegu innych jeszcze okoliczności, stanowczo wpłynęła. Tu oni, można powiedzieć, po raz już ostatni, z większym niż kiedykolwiek wysileniem w obronie swój wiary, swojego kraju, i swój niepodległości do boju stanęli. Jeszcze lat kilkanaście, a w dziejach już i wzmianki o nich nie będzie. Po tylu zaczepnych i odpornych wojnach, po wytepieniu znakomitszych rodzin orężem ruskim i polskim, po zniszczeniu kraju nawet przez Tatarów r. 1260 (*Laptop. Woły. str. 197; Karamzin IV, str. 11, 12*); zmniejszeni w liczbie, odarci z imienia i nieprzyjaznemi otoczeni sąsiedzi, Jadźwingowie żadnego już nie upatrywali bezpieczeństwa pod bokiem chrześcijańskich narodów. W tak smutnym zostając położeniu, wielu z nich zaczęło opuszczać rodzinne siedziby. Jedni szukać chcieli schronienia wśród braci swych Sudawów, lecz wkrótce srogi los z nimi podzielić musieli; bo kiedy ta kraina (r. 1282, 1283), w połowie dostała się Litwie i Żmudzi, Krzyżacy, którzy zachwycili resztę, do tego stopnia wytepił całą ludność sudawską, a razem z nią i osiadłych tam Jadźwingów, że w kraju, który niegdyś 6000 konnych a 8000 pieszych w pole wyprowadzał, zaledwo siedm pozostało włości, i to wzmocnionych obcym przybyszem; resztę zaś kraju pokryły piaski i lasy (1). Drudzy udawszy się w okolice bliższe granic Rusi litewskiej, garnęli się pod opiekę Wojsielka syna Mendoga, który im rzeczywiście do swój śmierci (r. 1267) nie odmawiał wsparcia (*Narbutt, II. 188. IV. 257*). Wszakże emigracya ta całego od razu nie wyludniła kraju; niemało zapewne zostało jeszcze Jadźwingów w mniej dostępnych miejscach, którzy już sami, już

(1) Wiek z gorą od tej daty upłynął, a kraj ten jeszcze był pustynią. Kiedy Wacław król czeski, na mocy zapewne dawniejszych układów między Ottokarem a Krzyżakami (r. 1267), rozszcąc do tych stron prawo, ustępował r. 1410 zakonowi bliższą ziemi grodzieńskiej Jatwież, dozwalając im zakładać tam wioski i miasta, w akcie z tego powodu sporządzonym, ziemia ta nazwana: *die Gegenheit und Wustung Sawdaw*, okolica i pustynia sudawska. (*Voigt. Gesch. Preuss. VII, 60, 61 cf. J. Lelewel Dzieje Litwy i Rusi do Unii, str. 107*).

z temi co w Litwie osiedli, i z Litwinami, jeszcze kilka razy przypomnieli swe imię Polsce i Rusi. I tak: r. 1269 łącznie z Litwą rabują Kujawy (*Długosz I. 786. Narbutt, IV. 247*). Pod r. 1273 wspomina kronikarz wołyński, że ruscy książęta: Lew, Włodzimierz i Mściśław, wysyłali przeciw Jadźwingom swych wodzów, którzy zdobywszy *Zlinę* wrócili do domu; poczem w poselstwie przybyli na Ruś książęta jatwiazcy *Mintela, Szutr, Mudiejko i Pertyło* z prośbą o pokój (*Latop. Woły. str. 205*). W r. 1278 posilkowali Sirputia Trojdenowego brata w napadzie na ziemię lubelską (*tamże str. 207*), a w roku następnym 1279, Włodzimierz książę włodzimierski, zboże dla Jadźwingów Bugiem i Narwią spławiał; co dowodzi, że jeszcze byli w tych stronach (*tamże str. 207, zob. przyp. 3 na str. 205*). Wreszcie byli jeszcze Jadźwingowie nie już jako sprzymierzeńcy, ale jako podwładni w wojsku litewskim, gdy Trojden r. 1282 najechał Polskę. Mówią kronikarze, że klęska, którą wówczas wracającym z łupami Litwinom zadał Leszek Czarny (d. 12 paźdz.) gdzieś między Narwią i Niemnem, szczególniej dotknęła Jadźwingów, do upadłego obozu broniących (*Strykowski str. 312, 313*). Na tém zdarzeniu skończyła się historia Jadźwingów. Odtąd już ani razu nie wspomniano o nich, gdyż połączeni z Litwą odrębnie działać przestali. Taką zmianę w politycznym ich bycie przypisać należy W. X. lit. Narymuntowi, który usłyszawszy, jak mówią kroniki, iż knaziowie jatwiazcy bezpotomnie wymarli, albo, co podobniejsza, od Polaków wybiti zostali: wkroczył około r. 1279 lub 1280 na Podlasie i zajmwszy kraj bez oporu, oddał go bratu Trojdenowi w dzierżenie, ten zaś obwarowawszy granice swoje od Krzyżaków i Mazowsza, zbudował Rajgród, i odtąd pisać się zaczął księciem jatwiazkim, podlaskim i dojnowskim. (*Strykowski str. 308, 309. Kronika Woskres. T. I. str. 49, u Karamzina T. IV. n. 175. str. 92. Narbutt IV. 284 i dodat. str. 43*).

Widzieliśmy w ciągu naszego opowiadania, że Jadźwingowie wytopieni orężem, wypierani z siedzib swoich i do tułactwa przywiedzeni, w różne rozbiegali się strony, szukając przytułku. Na miejscu osad zostały zgliszcza, uprawne role lasem porośły, i kraj niegdyś dość osiedlony, coraz bardziej dziczał. Opustoszałe po nich okolice, powoli i w różnych czasach zaczęły się na nowo ruskim lub polskim osadnikiem zaludniać. W południowszej bliższej Bugu Rusi jatwiazkiej, już od wyprawy Jarosława

mogły powstawać nowe, lub zaludniać stare ruskie osady, może nawet mimowoli z głębszej Rusi napędzonym przybyszem. Z czasem niemało też Rusinów nasunęło się do tego kraju od Świsłoczy i litewskiej Rusi. Dlaczego dotąd mieszkańców wiosek naprzeciw stołpowiskiej straży, osadnicy puszczy Białowieżskiej nazywają Swirydami, wyjaśnić nie umiem; lecz i to musiały być zapewne jakieś kolonie ruskie. Z drugiej strony dostarczała Polska, a nadewszystko Mazowsze, osadników Podlasiowi. Szczególniej cisnęła się w te strony drobna szlachta, korzystając z urodzajniejszych od piaszczystego Mazowsza gruntów. Ona też stanowiła tu nadgraniczną milicją. Czy były zaprowadzone jakie kolonie polskie po upokorzeniu przez Kazimierza II w r. 1192 Polexiusa i Jadźwingów, nie wiemy; lecz kiedy Konrad mazowiecki r. 1237 posiadał Drohiczyn z częścią Podlasia po Nurzec i granice ruskie, i na wodzy trzymał z tej strony Jadźwingów: znaleźli się zapewne ochotnicy w Mazowszu, którzy się nie lękali osiadać w tym kraju. Że po zwycięztwie nad Jadźwingami Bolesława V w r. 1264, zaczęły się na Podlasiu pomnażać polskie i mazowieckie kolonie, o tém już wyraźne mamy w kronikarzach wzmianki (*Strykowski str. 291*). Wyprawa Leszka Czarnego w 1282 r. mogła się również przyczynić do pomnożenia liczby osadników. Jednakże pod koniec XIV wieku, Podlasie, jak dzieje krzyżackie świadczą, niezbyt jeszcze było zasiedlone. Do wyludnienia tej krainy sami się przyczynili Krzyżacy, którzy po wielekroć razy aż do Bugu niszczyli ją ogniem i mieczem (1). Trzeba więc było czasu i dogodnych okoliczności, żeby wśród głuchych puszcz Nurca, Narwi i Biebrzy z jej rzekami, zupełnie nowe lub na starych horodyszczach wznosiły się i zaludniały miasteczka i wioski (2), i żeby się nareszcie obie lu-

(1) Liczne mamy o tych najazdach wzmianki w naszych i obcych kronikarzach pod r. 1361, 1373, 1376, 1378, 1379. Po śmierci zaś Olgierda, tak srogo gospodarzyli w tych stronach Krzyżacy przez dwa lata bez przerwy (1382 i 1383), że cały kraj od lewego brzegu Niemna do Bugu, niemal zupełnie spustoszony i wyludniony został. Nieraz rabownicze Krzyżaków oddziały sięgały Kamięca litewskiego i Brześcia. Kommandorowie z Balgi i Osterrode w tych napadach szczególniej się odznacжали. (*Wigand p. 295; Długosz f. 44; Voigt, V, 289—291; Narbutt V, 98, 166, 209 216, 224, 246, 247*).

(2) Że kiedyś całe Podlasie pokryte było lasami, wśród których po trzebiznach tylko, gdzie indziej wznosiły się osady, na

dnosci, ruska i polska z sobą zetknęły. Najpomyślniejszym dla kolonizacji Podlasia wypadkiem było zbliżenie się Litwy do

to mamy liczne dowody, w zachowanej dotychczas nomenklaturze wielu wsi i uroczysk, do których dodany epitet *borowy, lesny*, lub których nazwania to od gatunku jakiego drzewa (Dębowo, Olszanica, Brzozowo, Osowka, Grabowiec i t. d.), to od trzebizny (Lada) wzięte, o dawniejszym stanie okolicy świadczą. Potwierdzają i podania, że cały klin kraju od Sierocka, gdzie Narew z Bugiem się łączy, aż do Litwy, był zarosły lasami i borami, a puszcę tę nazywano *Białą* czyli *Białodworską*; może od osady, dziś uroczyska nad Narwią do majątku Strabli należącego (*hr. Ossoliński l. c.*). To podanie może mieć swą zasadę, gdyż dotąd wielkie błoto, na lewym brzegu Narwi naprzeciw Wizny, zowie się *Białym Błotem*, a kto wie, czy i nazwisko puszczy Białowieżskiej, która przed wieki daleko na zachód sięgała, nie będzie z tem podaniem w stosunku? Zresztą to pewna, że w wielu miejscach b. obwołu białostockiego, gdzie dziś w czystym zapoleu widzimy liczne i ludne, zwłaszcza skarbowo siola, tam w dawnych czasach głuche były puszcze, jak się o tém między innymi z samych przywilejów Bielskowi służących, przekonać możemy. Nie ma zatem żadnej wątpliwości, że niegdyś cały ten kraj, który nazwaliśmy Rusią Jatwiazką, wielkimi okryty był lasami. Chociaż przeto, stosując się do więcej upowszechnionego dzisiaj sposobu wyrażania się, nie nazywałem tej strony *Podlaszem* ale *Podlasiem*, zawsze jednak sędzę, że pierwsza nazwa jest dla niej właściwsza, bo z naturą kraju nie pod lasem, ale wśród lasów i na rubieży pod Lachami położonego zgodną. Dlatego też zapewne latopisocy ruscy, dyplomatyczne akta litewsko-ruskie, prawa dawniejsze litewskie po rusku układane, zazwyczaj „*Podlasze*” piszą. Dlatego również i dzisiaj, wołkowyscy i prużańscy Rusini, znają tylko *Podlasze*. Prawda, że w Polsce już od czasów Kromera, a może i dawniej wahano się, jak ten kraj: czy *Podlastem*, czy *Podlaszem*, czy wreszcie *Polesiem* nazywać (*Kromer f. 147 a f. 482, b. Gwagnin w kron. opis ziemi ruskiej w tłumaczeniu Paszkowskiego f. 30*); jednakże w spisie archiwum krakowskiego (*RP. N. 374*) z okoliczności traktatu Olgerda z Kazimierzem W. czytamy: „Item quod arces in *Podlasze* Keistuti esse debent“ (*Narbutt V, 58*). Paszkowski w przekładzie Gwagnina, nigdy inaczej nie nazywa jak *Podlasze*; nawet Klonowicz wspomniawszy o Narwi w swoim Flisie, mówi, że: „ta starsza siostra Bugu z *Podlasza* pochodzi.” Wypada zatem, że tylko północna część dawniejszego Podlasia, rzeczywiście pod lasami położonego, mogła się nazywać *Podlasiem*. Jakoż i istotnie pod tem imieniem znaną była w kronikach naszych (księstwa Jaćwiezkie, Dajnowskie i *Podlaskie*, u *Strykowskiego str. 308 309*). Lecz miano to dla Podlasza czyli Rusi jatwiazkiej, która przez przyłączenie ziem bielskiej, mielnickiej i w części

Polski od czasów Jagielly; i wtenczas przed innemi korzystało z tój okoliczności Mazowsze, które uwolnione będąc od napa-
dów litewskich, wzrastało w ludność i nadmiar tój ludności
w różne przesyłało strony (1). Szli Mazury do Prus, do Litwy
a nawet na Ruś Czerwoną aż pod Karpaty; dlaczegoż nie mieli
się wynosić do sąsiedniego Podlasia, gdzie do czasów Zygmunta
Augusta, od Bugu za Biebrzę było jeszcze mnóstwo do rozdania
ziemi. Obok więc dawniejszych polskich i ruskich, wznosić się
musiały nowe mazowieckie osady, a niemało ich w nazwiskach
swoich ślad swego pochodzenia dotąd zachowało. I tak np. ma-
my w b. powiecie drohickim: Twarogi ruskie, lackie i Mazury,
Miłkowice ruskie, Boratyniec ruski i lacki i t. d. Różniły się one
nawet wyznaniem, bo ruskie były greckiego, lackie i Mazury
rzymskiego obrządku. Wszystko to są osady szlacheckie. Widać
zatem, że i ruska szlachta oddawna te strony zamieszkiwała.
Najdłużej w obrządku ruskim przetrwała okolica szlachecka Pu-
tkowice-nagórne, jak tego dowodzą różne zapisy dla drohickie-
go monasteru ś. Trójcy w ciągu XVII wieku czynione. (*Akta
miejskie drohickie*).

drohickiej, weszła w skład województwa podlaskiego, było niesto-
sowne; owszem kraj ten jeśli nie Podlaszem, to właściwiej Pole-
siem nazwałyby wypadło. Stało się jednakże inaczej, skoro bo-
wiem znaczniejszą część kraju zaludniły Mazury, a lasy trzebizna-
mi przerzedzone zostały: ruskie Podlasze w zapomnienie poszło,
a nazwisko części stało się niemal odpowiednicm dla całego kra-
ju, który tracąc stopniami lesiste wejrzenie, już się w rzeczy sa-
mej rozciągał pod puszciami Litwy.

(1) W powszechności mówiąc, strona zachodnia b. obwodu
białostockiego, t. j. ku granicy polskiego królestwa, zaludniona
jest prawie wyłącznie Mazurami, lub zpolaczaleni już Rusinami;
strona zaś wschodnia od dawniej granicy gubernii grodzieńskiej,
samemi Rusinami. Linia zetknięcia się tych dwóch pleion sło-
wiańskich, różnych dnia, i można ją poprowadzić przez następujące
osady, zaczynając od Bugu: Słochy Ogrodniki, Klekotowo, Kru-
pice, Rogówka, Klukowo, Weremiejki, Żurobice, Hornowo, Łu-
biejki (tu jedna tylko okolica szlachecka Totwin leży na stronie
ruskiej); Jakubowice, Wiercienie, Łubin, Malesze, Malinowo, Bań-
ki, Niwino leśne, Olszanica, Malewice, Strabla, Zimnochy, Cho-
dory, Drozdy, Czaczki, Kowale, Turoś kościelna, Iwanówka,
Niewodnica, Czaplin, Choroszez, Lence, Jaworówka, Chraboty,
Penskie, Boguszewo, Magnusze, Sikory, Kalinówka, Wielkie Rut-
kowskie, Moniuszki, wielki i mały Jaćwież i t. d.

Zważywszy to wszystko, cośmy o kolonizacyi Podlasia powiedzieli, godzi się wierzyć kronikarzom naszym, którzy utrzymują: że jak wychodźcy jatwiazcy znikli na Litwie śród Litwinów, tak szczątki ich na Podlasiu śród ludności mazowieckiej i ruskiej. Nim jednak to przenarodowienie nastąpiło, długo jeszcze w niektórych okolicach ludność jatwiazką od słowiańskiej i właściwej litewskiej odróżniać umiano. Świadczy Strykowski (*Kronika str.* 181), że za jego czasów (wydał swą Kronikę 1582), żyli jeszcze Jadźwingowie około Nowogródka litewskiego, Rajgroda, Insterburga w Prusiech, w Kurlandyi i Inflantach, a nawet około Nowogrodu Wielkiego, gdzie ich Igowianami zwano; czemu jednak trudno uwierzyć (6). Zygmunt I w przywileju r. 1516. d. 2 marca, ponawiając nadanie praw polskich ziemi drohickiej, między innymi dozwala zapożywać po łacinie pisanymi pozwami: szlachtę i nieszlachtę, Rusinów, żydów, Ormian i wreszcie *christianos et paganos*, chrześcian i pogan (*Działyńskiego zbiór praw litew. str.* 118 — 121). Że tu nie jest mowa o mieszkańcach wiejskich, *pagani*, przekonywa samo umieszczenie tego wyrazu na końcu po wyrazie *chrześcian*. Któż więc w tych stronach mógł być jeszcze w pogaństwie? Wątpię, żeby się to ściągać miało do cyganów, dobrze już wówczas znanych, którzy prócz tego zawsze umieli śród chrześcian za takichże uchodzić. Możeby zatém w owych poganach wypadało upatrywać Jadźwingów; tém bardziej, że i Miechowita, spólcześnie z rzezonym przywilejem piszący swą kronikę (r. 1517), przy wyliczeniu narzeczy litewskich powiada: „*primum linguagium est Jaczwingorum, ut horum, qui circa castrum Drohiczyn inhabitant et pauci supersunt (Sarmatia Europea)*. Że jeszcze w połowie XVI wieku chrzczono na Litwie pogan Jadźwingów, przekonywa nas o tém odkryty przez p. Narbutta choć defektowy napis, wyrźnięty cerkiewnemi literami na kawałku belki, znalezionej w babincu cerkwi miasteczka Skidla, między Grodnem a Szczuczynem położonego. Treść tego napisu jest taka*awnik barfołomej k. s. chreszczeniu*

(1) Może Strykowski Galindów czyli Goliadów przez Iziasława u źródeł Parotwy osadzonych brał za Jadźwingów. W powiecie sokólskim, gubernii grodzieńskiej, jest poniżej miasta Sokółki koło Pohanicz wies Jahowlany. Komu się podoba może w tém nazwisku i sąsiedztwie Pohanicz upatrywać jaki stosunek z Jadźwingami.

p..... pohan Jatwieszow żywuszczych bez..... bożeho narożenia 1552 indykta.....” W dzisiejszym czasie w grobach tylko i w nazwiskach niektórych miejsc, została nam jeszcze jakakolwiek po dawnych Jadźwingach pamiątka. Do wyżej przywiedzionych nomenklatur (*ob. przyp.* na str. 197), dodać tu jeszcze możemy następujące: *Jatwieszk Polski* z kościołem rzymsko-katolickim i *Jatwieszk Ruski* z cerkwią w powiecie lidzkim gubernii wileńskiej, między Szczuczynem a Kamionką. Trzeci *Jatwieszk* w powiecie wołkowyskim pod Swistoczą, zasługujący ztąd szczególnie na uwagę, że do tej wsi należący las zowie się Kobylnik albo też *Kumiąta*, co po litewsku znaczy *klacz*. Jeśli więc, jak z nazwiska wioski wnosić wypada, pierwotnymi jej osadnikami byli Jatwiagi; przeto nie Rusini okoliczni, którzy po litewsku nie mówią, lecz Jadźwingi właściwą sobie mową ów las nazwali Kumiątą. *Dunowo* przy granicy pruskiej między Wąsoszem a Szczuczynem w królestwie polskim; drugie *Danowo* niżej południowej odnogi rajgrodzkiego jeziora, i dwa *Danowska*: jedno nad prawym brzegiem Liki, naprzeciw wsi Szymony, drugie na północ Augustowa między dwoma jeziorkami, niżej jeziora wigierskiego. Nie wątpię, że przy staranniejszém przejrzeniu szczegółowej jakiej mapy dawnego Podlasia, a bardziej jeszcze przy poszukiwaniach przedsięwziętych na gruncie, nierównie więcej znalazłoby się nazwisk osad i uroczysk, które nam pobyt Jadźwingów na tej ziemi przypomniećby mogły.

POCZCIWA SZLACHTA.

POWIEŚĆ

Leona Kunickiego.

(Dokończenie).

VI.

Gdybyśmy chcieli rozbiierać większą część konkurencyj i małżeństw naszych czasów, czasów postępu, egoizmu i wyrachowania: znaleźlibyśmy zimny interes majątkowy, górujący w tego rodzaju związkach. Uczucia i skłonności jeżeli nieudaną, to podrzędną tu odgrywając rolę, okraszają niejako i służą za dodatek do tak ważnego, szczytnego, a interesem sprofanowanego związku. Wiele mamy codziennych przykładów, jak smutne są następstwa podobnych skojarzeń; a jednakże jak mało znaleźć młodych ludzi, którzyby szczęście małżeńskiego pożycia nie na samym tylko majątku, ale na przymiotach duszy i uczuciach żony zasadzali! Konkurent tegoczesny zanim zacznie swe zabiegi o rękę panny, wywiaduje się naprzód co się za nią spodziewać można, i nie starając się poznać gruntownie swęj bohdanki, już celu dopiął i wygrał, gdy się majetnie ożenił; a nierzadko udanemi skłonnościami, jeśli niemajetny, sfrymarczeniem siebie, pragnie zabezpieczyć sobie byt lepszy, jak gdyby tylko posag przyszłej jego żony mógł go uszczęśliwić! Majetny szuka majetniejszej, bo kto ma wiele, nigdy nie ma dosyć; a jeśli się znajdzie młodzian, który pójdzie za popędem serca i uczucia, okrzyczą go dziwakiem i głupim, nie umiejącym chwycić szczę-

ścia, któreby mu się samo nastęrczyć mogło. Dlatego téż konkurentów—spekulantów tak teraz wiele napotkać można, gotowych udaniem uczuć, odgrywaniem takiej roli w oczach panny i rodziców, w jakiej się najlepiej wydać mogą, i nie zrzucając maski aż po pożądanym związku: — zapewnić sobie posag małżonki.....

Drogą wiodącą do Leszczyna, posiadłości hrabiego, dziadka Marylki, porządną i lekką najtyczanką, czterema w lejce zaprzężonemi kasztankami, z furmanem i lokajem w niebieskich płaszczach z herbowemi blachami u kołnierzy, jechał hr. Alfred. mężczyzna lat około 30-stu, z wąsami i bródką nowszego kroju. Przymrużając oczy i krzywiąc się, a czasem zasadzając lornetkę w oko, rozpatrywał się po równej, wioskami szaremi gdzieś niedzie ubarwionej poleskiej okolicy. Byłto konkurent tegożczesny w całym tego słowa znaczeniu, bo oprócz korony hrabiowskiej i salonowej ogłady, nie prawie więcej nie posiadający, który z odłużonej skutkiem hulaszczego życia wioseczki, jechał na Wołyn z przekonaniem, że wśród posażnych Wołynianek, łatwo którą ująć potrafi swoim tytułem i powierzchownością. Szukanie karyery w majątném ożenieniu się, sfrymarczenie tytułu, słowem sprzedanie się, było dziś jedynym celem, jedynym sposobem, który mu pozostawał do polepszenia bytu i interesów, które na najgorszej stały stopie. A że zanadto był znanym w swęj okolicy rozrzutnością, lekkością umysłu i złym stanem interesów, postanowił wyjechać na Wołyn, o którym tak jak wielu miał opinią, że panien jest dużo, posażnych, ładnych, może trusiątek, ale niewybrednych, i że rodzice zasobni są po większej części *poczciewą szlachtą*, którą łatwo otumanić i zjednać sobie można. Dlatego téż poznawszy hrabiego z Leszczyna w jednym z hrabiowskich domów w Lubelskiém, a znając jego słabość swatania, napisał do niego list, w którym pół żartem, pół naprawdę prosił o wyswatanie go na Wołyniu. Hrabia wielką skłonność czując dla wszystkich utytułowanych indywiduów, odpisał, ażeby przybywał, że ma dlań związek napięty. Pan Alfred więc mając przytém około Leszczyna młodego, kilka chat posiadającego znajomego, co mógł i jak mógł spieniężyć, i postanowił przebywając u znajomego, szukać za pomocą hrabiego karyery na Wołyniu. Rachując na oddalenie i na małą znajomość hrabiego, nadto kombinując o ile mógł poznać słabości i usposobienie hrabiego, postanowił przybrać maskę stosowną

do indywidualności swego swata, ując go kilkoma małemi prezencikami z konch, których zbiory hrabia namiętnie lubił, i budując już pałace i rojąc o pohulankach i bachanaliach, jakie będzie mógł posagiem swój przyszłej żony wyprawiać, na pewno i z wesołą myślą jechał wprost do Leszczyna. Co do indywidualności hrabiego Alfreda, byłto młody człowiek, egoista, z sercem próżnym, z głową prózną, ogląda tylko wielkiego świata i podróżami za granicą umiejący pozornie pokrywać próżnię wewnętrzną; zresztą człowiek bez religii, znający dość ludzi i umiejący trafiać w ich słabości; dumny i pogardliwy, mówiący po francuzku z *grassejowaniem*, rozrzutny i hulaszczy przy możności: to były odcienia mniej więcej jego charakteru. Co do powierzchowności: byłto przystojny mężczyzna, rozpustą może starszym się wydający, dość regularnych rysów, ubrany zawsze modnie i wykwiśnięcie, woniejący millleurami i pomadą, jego wąsy, bródkę i podwinięte włosy namaszczającą.

Zanim p. Alfred dojedzie, my spojrzymy na Leszczyn, rezydencją hrabiego.

Na zieloném tle masy drzew rozległego ogrodu, wznosił się drewniany, obszerny, staroświeckiej budowy dwór, pięcioma ogromnemi opatrzony kominami, z wysokim gankiem na czterech drewnianych i grubych wspartym filarach, do którego kilkanaście drewnianych prowadziło schodów. Dach z gontów poczerniał, pokrytym był tym żółtawym meszkiem, jaki na starym już bardzo drzewie wykwita; filary, schody i drzwi od sieńni ćwieczkami obite, z zardzewiałą potężną klamką, przybrały podobnie szarą barwę, a we drzwiach były znaczne szpary ze spaczenia, w filarach gdzieniegdzie brakowało gzymsików, schody były skrzypiące i miejscami popróchniałe. Po obu stronach ganku, równolegle do biało otynkowanych, lecz miejscami opadłych ścian, rozchodziły się dwa żywe płotki z tarniny i glogu, tworząc małe ogródki zasadzone bzami, astrami i żółtymi liliami, rosnącemi popod dachem oknami, których kilka po prawej stronie ganku było z szybami powybijanemi i papierem zalapionemi. Przed dworem rozciągał się dziedziniec obszerny z trawnikiem, na którego środkowym punkcie stał kompas, a raczej słup do kompasu, gdyż skazówki nie było, a zatarte na wyszczerbionej tarczy cyfry, zaledwo wskazywały, że kiedyś istniał. Po obu stronach dworu stały dwie oficyny kryte da-

chówką, których kominy były powyszczerbiane i ściany spleśniały i pozaciekały. Od drogi oddzielały dziedziniec szcztątki sztachet, misternie niegdyś w łuki i słońca wyrabianych, dziś pomieszanych z kawałkami chruścianego płotu, zapełniającego miejsca otwarte; bramę oznaczały tylko dwa murowane z tynku opadłe słupy.

Rozciągający się poza dworem ogród przedstawiał jeszcze ślady swój pierwotnej świetności: po dwakroć przetrzymany był kanałem, po którym niegdyś pływały łabędzie, a który teraz zamulony i do połowy wyschły, stał się siedliskiem żab i mnóstwa wodnych żyjatek, jakie się zwyczajnie w brudnej i stojącej wylęgają wodzie. Rzucane na nim mostki o misternie niegdyś wyrabianych poręczach, dziś chwiejące się i podziurawione, stały się niebezpiecznymi do przebycia. Aleje niebotycznych lip, klonów i dębów, krzyżowały ogród, nieprzystrzyżone oddawna i zarosłe; klomby zagłuszone chwastami, a gdzieniegdzie pośród dzikich i niepotrzebnych a bujnie rosnących krzewów, wyglądało kilka altanek chińskich z powyłamywanymi słupkami i dziurawymi daszkami, do których uliczki i ścieżki chwastami i trawą porosły.

Lewa połowa tego obszernego dworu była mieszkalną, prawa zaś o oknach gdzieniegdzie papierem zalepionych, jako zbyt kująca od użytku, stała prawie pustkowiem i zamknięta. Pomimo tych kilku próżnych i zamkniętych pokoi, a raczej sal, w których posadzka w talle ułożona, obicia spłowiałe i podobne papierowe, i gzymsy pozłacane, świadczyły o dawniej wytworności; mieszkalną część składało kilka sal o spłowiałem, lecz całym obiciu, zastawionych meblami starego fasonu, białe pomalowanymi ze złotem a wytartymi już obwódkami, pokrytych nowszym adamaszkiem ponsowym, lecz podobnie już wysiedzianym i spłowiałym. Kilka luster ogromnych jednotalowych w grubych pozłacanych ramach, kilka staroświeckich a kosztownych zegarów, świadków lepszych dla rodziny dziezica czasów, w tych salonach jeszcze napotkać było można. Miały one powierzchność prawdziwie pańską: były wysokie o gzymsach złożonych, a pośrodku gipsowych, arabeskowych rozet wisiały ogromne żyrandole brązowe o kilkunastu gałęziach; okna duże i drzwi szklane na ogród, osłonięte były frankami z ciężkiego różowego atlasu i białego muslinu: w ogóle w salonach tych nagromadzone były wszystkie dawniej świetności

sprzęty, ale na wszystkiém znać było ten pył i połysk, jakie się przez czas i użycie wywołują. Wszystko to tchnęło dawnym gustem i starością; lustra były popstrzone, podłoga skrzypiąca i popaczona, firanki atlasowe spłowiałe, meble posztukowane i kulawe.

Leszczyń teraz w niczém nie był podobny do owego świetnego przed kilkunastą laty Leszczyńa, gdy hrabia w lepszych będąc interesach, znany z dumy i świetnego życia, stary kawaler, prowadził dom otwarty. W kronice sąsiedzkiej tej okolicy, jeszcze dziś kiedyniekiedy po dworach wspomniano o dawniej świetności Leszczyńa i zachowano w pamięci bale i zabawy, które hulaszczy hrabia często wyprawiał. Wówczas Leszczyń słynął z gustu i pańskości, służąc za wzór pod każdym względem dla tych, którzy na stopie pańskiej życie prowadzić chcieli. Dwór ten obszerny cały był zamieszkałym i zawsze pełnym gości, podejmowanych z dość sztywną, lecz wytworną gościnnością. Ogród słynął z pięknego urządzenia, wielkości i obfitości krzewów i kwiatów, z dalekich stron zgromadzanych; ogrodnik *Astman* z Saxonii umyślnie sprowadzony, urządzał go i pielęgnował. Owczarnie słynęły z owiec saskich elektów, obory z krów szwajcarskich i tyrolskich buhai, ekwipaże hrabiego odznaczały się elegancją i świeżością, doborem koni i gustomnością liberyi.

Dziś Leszczyń staraniem i pomocą pana Piotra od administracyi *dworiańskiej opieki* uwolniony, zadłużony i spustoszały, ruiną był prawie, jak widzimy, i cieniem dawnego.

W mieszkalnej części dworu, od strony ogrodu był pokój obszerny z dwoma dużemi oknami na ogród, z drzwiami podobnie na mały ganeczek czyli wystawkę wychodzącemi, do którego z boku dworu przez sionkę i mały przedpokój się wchodziło. Byłto oddawna pokój sypialny hrabiego, w którym teraz dni całe przesiadywał, i z którego rzadko kiedy wychodził. Pokój ten może najwięcej z całego dworu zachował w swych sprzętach pierwotny pozor: ogromne mahoniowe łóżko, licznemi napiętrzonymi poduszkami, okryte było kotarą z białego i świeżego muslinu, utrzymywaną przez pozłacanego orła. Obicie tego pokoju było zielone adamaszkowe, i widocznie niedawne i świeże. Po jednej stronie stały szafy mahoniowe za szkłem, napelnione różnego rodzaju konchami, muszlami i minerałami, na których zbioru dużo dawniej wydawał hrabia,

a których pielęgnowanie teraz, układanie, oczyszczanie i spisywanie numerycznie w oddzielnym kajeciku, było ulubionem zajęciem hrabiego, jak podobnież pielęgnowanie kwiatów, któremi wystawka napelnioną była, a w których niemniej kochał się. Pod jednym oknem stało biurko ogromne mahoniowe, z misternie wyrabianemi galeryjkami, na którym mnóstwo sprzączek leżało: papiery, sexterna, spisy konch i kwiatów własną ręką; cztery tabakierki grające, które codziennie nakręcał w pewnych dnia godzinach, przysłuchując się kurantom jakie wycinały; kilka zegarków stojących i nakręconych i fraższek porcelanowych i figurek mnóstwo, które świetne pamiętały czasy, a dziś niejedne już potłuczone i sklezione, w symetrycznym wszakże porządku ustawione były. Przed biurkiem stało duże wolterowskie krzesło, na którym hrabia większą część dnia przesiadywał; pod jedną wreszcie ścianą stała sofka ponsowym, lecz wytartym aksamitem pokryta, na której często w dzień hrabia spoczywał i drzemał.

W owę chwilę w tym pokoju okna były otwarte, pora była poobiednia, dzień piękny sierpniowy. W wolterowskiem krzesle przed biurkiem siedział hrabia w aksamitnej czarnej kutance, w kratkowanych płóciennych pantalonach, które rysowały suche kształty jego ciała; w ustach trzymał cygaro, a jedną ręką poprawiał kołnierzyki i głową ruszał. Siedząc wygodnie, w twarzy jego znać było tę bezmyślność i nawpół senność, jakie po dobrym zwykle obiadku i w czasie gorąca napadają. Na biurku przy nim leżał zegarek złoty, z grubą staroświecką de-wizą, i stał dzwonek srebrny; jedna z tabakierek grała jakiegoś walca, jedynie na poobiednią przeznaczonego porę i przerywała milczenie panujące w tym pokoju.

Wypaliwszy cygaro, zadzwonił.

Wszedł stary Puchalski z otwartą gębą, z rękami w tył założonemi.

— Co JW. Pan rozkaże?

— Posłać do drzémki na kanapie.

Stary posunął się do łóżka i zdejmować zaczął powoli poduszki.

Wtém syk i tupanie nogami hrabiego przerwały jego czynność; obrócił powoli głowę.

Hrabia się niecierpliwit.

— E! wstydz się stary niezgrabiaszu, wstydz! E! na nic się nie zdało; codzień to samo robi a nic nie umie: a skórzana poduszka, niedołego!

— A prawda—i wyjąwszy skórzaną na wierzchu leżącą, położył ją na sofce.

— I to już wszystko? a walek pod nogi— z syknięciem zawołał hrabia.

— A prawda!

Gdy walek położonym został, stary się układowy wygodnie i dawszy znak ręką, aby się Puchalski oddalił, kleił powoli powieki; i już się miał zdrzémnąć, gdy zaturkotało przed domem.

Sybaryta nie rad, że mu chwilę zwyczajnego spoczynku ktoś z przybywających a może natrętnych wierzycieli przerwie, syknął mocno i przeciągle, i powstawszy zadzwonił.

Wszedł Puchalski.

— Kto to?

— Nie wiem JWP.

— Jeżeli Terczewski albo Popkiewiczowa (byli to zawzięci i dokuczliwi jego wierzyciele), to powiedziec, że mnie nie ma.

— Dobrze, JW. Panie.

— W każdym razie powiedziec mi naprzód kto to taki.

I siedząc w krześle oczekiwał na Puchalskiego, który podreptawszy, jak tylko mógł najspieszniej wszedł i po chwili wrócił.

— Jakiś nieznajomy, JW. Panie, młody.

— Czém? koczem, bryczką?

— Najtyczką z liberyą.

— Jaką?

— Granatową z blachami.

Skombinował hrabia, że to nie wierzyciel i że *quelque chose d'un peu plus distingue*, a może odgadł, że to hrabia Alfred.

— Prosić do salonu!—zawołał.

Jeszcze hrabia nie zdążył zawiązać chustki na suchéj i pomarszczonej szyi, gdy się drzwi z hałasem roztworzyły i hrabia Alfred w zielonym rajtroku, w żółtych rękawiczkach, z lornetką bujającą się na piersiach żabotami ustrojonych, z kaszkiecikiem w rękę wszedł spiesznie, i z ujmującą grzecznością podbiegł do ręki gospodarza.

— *Me voila, comte!* jakże zdrowie? Tylko żadnych ceremonij, bardzo proszę; umyślnie pozwoliłem sobie tak *ex abrupto* wpaść tu do pokoju, ażeby go nie żenować.

— *Comment va?* — uprzejmie ściskając za rękę, odpowiedział hrabia. — Ależ przejdźmy do salonu; tak miły gość....

— Ale żadnych etykiet, *je vous en prie*, i tu nam dobrze będzie; będę miał przylém sposobność widzieć *tant de curiosités*, konchy te sławne, o których aż u nas w Królestwie słyhać.

Uśmiechnął się zadawalająco hrabia.

I wsadziwszy w oko lornetkę, p. Alfred zaczął się rozpatrywać po pokoju.

— Co do mnie — rzekł — będę prosić hrabiego o przyjęcie małej drobnostki; słysząc tyle o jego zbiorach konch, przywiozłem kilka sztuczek, o ile mi się zdaje rzadkich, które hrabia raczy się w swym zbiorze umieścić.

— *Oh merci mon chère!* — uradowany zawołał hrabia — *merci pour tant de bonté*; ale siadajże, nic ciebie hrabio nie pytam, czy będziesz co jeść i pić — i zadzwonił.

— Zjeść nie, ale herbaty nie odmówię — mówił siadając. Gdy wszedł Puchalski:

— Konie umieścić i dać obroku; dla pana hrabiego pokój przygotować i dawać herbatę.

— Dobrze JW. Panie.

— Czy palisz fajkę czy cygaro?

— Cygaro, ale mając swój zapas, nie będę cię opalał i facygował hrabio; może pozwolisz, są to Upmany z Hamburga, sprowadziłem kilkaset sztuk: złotowe Upmany.

I roztworzywszy ozdobną cygarniczkę pełną grubych i długich cygar, podał ją hrabiemu, który się zrazu wzdragał, wreszcie wzięwszy jedno, zadzwonił ażeby świecę podano.

— Tymczasem — rzekł stary — muszę ci hrabio pokazać szczegółowo mój zbiorek konch.

— I owszem i owszem, bardzo jestem ciekawy tych sławnych konch; ale hrabia ma także opinią niezmiernego lubownika kwiatów.

— Tak, troszkę — otwierając szafkę mówił z uśmiechem hrabia.

Nastąpiły wyliczania nazwisk rozmaitych muszli, morskich porostów, koralu i t. p., z których każdy exemplarz opatrzony był karteczką z nazwą i numerem.

P. Alfred udawał niezmiernie zamilowanego i nad każdą konchą się unosił.

Gdy Puchalski wniósł serwis srebrny do herbaty, pan Alfred poprosił go, aby zawołał jego *André*, z paczką mu wiadomą.

Byłażto radość dla starego hrabiego, gdy ujrzał w rękę Alfreda dwie konchy ogromne: jedną na srebrnej podstawie w rodzaju koszyka, drugą ogromną tabakierę, otwierającą się na srebrnych zawiasach.

— *Ah! que c'est beau!* to są nawet rzadkie konchy, chociaż sprofanowałbym je, umieszczając te pieścidelka w szafie. Mój hrabio, zawstydzasz mnie, *tant de bonté*—i uściskawszy rękę gościa, postawił je na biurku i długo pałł oczy ich widokiem.

Konchy wprawiły go w najlepszy humor, a pochwały i kandydła Alfreda ujęły go tak, że był mu rad i uprzejmy nie do opisanania.

Gdy pili herbatę:—No, cóż tam twoje interesa, hrabio?—zapytał stary, spoglądając zawsze na stojące konchy.

— Moje? znacznie się polepszyły, prawie zupełnie dobrze. Oczyszciliem tak moje Szumlany, że jak wiesz hrabio, brakuje mi tylko żony dobrej i miłej—dodał z uśmiechem.

Prawdę mówił Alfred, że oczyścił swoje wioseczkę, ho wyciągawszy z niej co było można, zostawił ją na pastwę wiecznielom.

— *Eh bien, nous en trouverons une!*—odpowiedział znacząco, przymrużając wpadłe oczy hrabia— a do tego moje kuzynkę.

Sklonił się w milczeniu z uśmiechem Alfred.

— *Je vous dirai franchement* jestto dziewczyna, jak to mówią z grubego wyciosana wiora, którą wszakże można będzie nagiąć i przerobić na swoje kopyto. Jej matka hrabianka, siostrzenica moja, dużo zbłądziła, że ją jakoś światu więcej nie pokazywała; *mais cela viendra*.

— Słyszałem o pannie Maryannie u mego znajomego z tych stron; *on dit qu'elle est fort jolie*.

— Może ci się dziwném wydaje hrabio, że ja, jako kuzyn i swat tak prosto wyrażam się o niej; ależ wolę ci powiedzieć jak jest w istocie. *A dire franchement*, gdyby nie rubasność, *une bonhomme parfaite* mego pana siostrzana, i gdy-

by nie to proste i zaskromne prowadzenie domu, które cię zadziwi, byłby to dom bardzo *dobrze*; zawsze ich o to strofuję i łaję....

Hrabia Alfred słuchał wszystkiego z uwagą.

— Zresztą *vous verrez et vous m'en direz des nouvelles*; jutro zaraz jechać możemy...

— Jestem na usługi hrabiego.

— Jeśli się tylko sobie podobacie, o czém nie wątpię, wszystko pójdzie jak z płatka: ja to biorę na siebie, a rodzice wydadzą ją za kogo ona zechce.

Znów się skłonił Alfred uśmiechając się z zarzuceniem.

— Dziękuję hrabiemu za dobre chęci dla mnie.

— A tu prawdę mówiąc—mówił dalej stary hrabia, poprawiając kołnierzyki—nie ma naokoło nikogo z młodych ludzi tak coś *d'un peu plus distingué*; uważam ciebie hrabio za najlepszą dla mojej kuzynki partyą.

— Będę wdzięcznym hrabiemu nieskończenie. Ale powiadam ci hrabio, w Lubelskiem, tam koło mnie, swatano mnie koniecznie z milionową panną; *j'ai renoncé*, bo panna jakkolwiek milionowa, propinatorstwem trąciła. Daleki znów jestem od tego, ażeby się sprzedawać za pieniądze, *vous concevez?*....

— Masz racją hrabio; *ta bonne race* przedewszystkiém. Te i tym podobne rozmowy trwały do pozna. Hrabia w doskonałym humorze gawędził, nie syknął ani razu; dopiero gdy odszedł Alfred do przeznaczanego pokoju na spoczynek, zaczęły się z Puchalskim sykania i łajania, towarzyszące zwykle układaniu się w łóżko.

VII.

W Międzyborzu, w popołudniowej porze, po pięknej i ulubionej lipowej alei chodziła Marylka, ubrana bialo jak zwykle, z twarzyczką spokojną, kończąc swego Spekulanta. Dzień był piękny, tylko wiatr szumiał większy niż zwykle, rozwiewając czarne jej włosy i bawiąc się niebieską wstążką, która wciętą jej figurkę opasywała. Nad jej głową szumiały lipy, gdzieś listek upadł zielony, i trawy po bokach rosnące skłaniały się wdzięcznie. Słychać nawet było pluskanie jeziora, a w chwilałach, gdy się w ogrodzie wiatr nieco uciszał, to szum daleki i tajemniczy lasu się odzywał.

Chodząc tam i napowrót, nieraz składała, książkę i słuchała szumu lip w alei, która i tyle miłych wspomnień dla niej mieściła, i w której zarazem niedawno tak smutną i tęskną dla swego serca usłyszała nowinę. Westchnienie żalu i tęsknoty wzdymało jeszcze jej piersi; wszakże tak jak postanowiła, już łezki w jej oczach od pewnego czasu nie powstały i było można powiedzieć, że była tak wesoła jak dawniej.

I tak, jak w ową pamiętną dla siebie chwilę chodząc, usłyszała na dziedzińcu turkot i trzask z bicza. Tą razą pobiegła ciekawo, ktoby to był taki. W sali spotkała matkę, która jej o przybyciu hrabiego i jeszcze jakiegoś młodego człowieka oznajmiła.

— To pewnie konkurent dziadzi do mnie — z uśmiechem odrzekła, i usiadłszy z robótką, oczekiwała ich przybycia, nie przejrawszy się nawet w lustrze, nie poprawiwszy swego ubrania.

Niebawem z szastaniem się wszedł hrabia z Alfredem, ubranym *à quatre epingles*, woniejącym tak, że w całym saloniku natychmiast atmosfera *milfleurów* powstała.

Nastąpiły rekomendacje, ukłony, szastania nogami, i gdy hrabia wygodnie się rozsiadł na kanapie, z większą jednak jak zwykle przyzwoitością, zapewne przez wzgląd na gości; pan Alfred mrużąc oczy, cedził francuzkami frazesami do Marylki o tutejszych stronach, że je znalazł nad spodziewanie ładne i miłe.

— Wątpię bardzo — przerwała mu śmiało i po polsku Marylka — czy Polesie nasze na to zasługiwać może dla panów, z Królestwa szczególnie, którzy macie prawdziwie piękne okolice; dla nas to prędej, bośmy do nich przywykli.

Pan Alfred przeszedł do materji o zagranicy, opisując dość trafnie miasta i okolice, w których był.

Wszedł pan Piotr; znowu powtórzyły się rekomendacje. Ucisnął przyjacielsko Alfreda, i rozmowa zwyczajna, jak na pierwszą wizytę się toczyła. Stary hrabia czasem syknął, gdy pan Piotr z ruska się odezwał; Marylka się czasem zaśmiała wesoło, może z przesadzonej Alfreda miny i rozmowy.

A gdy Alfred o literaturę i czytanie zahaczył, Marylka wręcz odpowiedziała, że czyta tylko swojskie dzieła. Hrabia Alfred nic nie czytając naszego, zaledwie może ze słuchu umiejąc wyliczyć niektóre popularniejsze, nie śmiał na to widoczne za-

miłowanie Marylki do dzieł swojskich dawać pierwszeństwa literaturze francuzkiéj, i potakiwał Marylce; nie mógł wszakże nie napomknąć pochlebnie o Lelii, Leon Leoni George Sand'a, i innych.

W końcu mówił dużo o swych majątkach, lasach i jeziorach w Lubelskiém, i bystro rozglądając się, chwytając uważnie każde zdanie Marylki, Emilii i pana Piotra, widocznie stosował później do tego swe zdania.

Stary hrabia znów z Emilią rozprawiał o sosach Malinowskiego, o obiadach u hrabiostwa Antoniostwa i generałowój. A gdy Joasia wniosła tacę z kawą i herbatą, stary syknął długo i przeciągle i zaszeptał do Emilii:

— Cóżto, czy nie macie lokaja?

— Na nieszczęście stryjaszku, nasz Mateusz wyprosił się dziś do Maciejowa do choréj siostry, i nie wróci aż jutro.

Hrabia z nieukontentowaniem pokręcił głową.

Po herbacie, etykieta piérszój wizyty nie pozwalała długo siedzieć, i stary hrabia przywiózłszy swoim ekwipażem Alfreda, musiał go odwiedzić, pomimo wielkiéj zapewne ochoty pozostania na noc w Międzyborzu, i uchronienia swych gości od strzęsienia po złój i nudnój do Leszczyzna drodze.

Po odjeździe gości, Emilia zagadnęła z uśmiechem Marylkę:

— Jakże znajdujesz tego pana Alfreda?

— Jest on takim, jakich bardzo wiele u nas. Nie wiem, nie znam go jeszcze, ależ to przymrużanie oczu, ta fanfaronada w ułożeniu i w mowie, te wspomniania o swych lasach i majątkach, to jakoś dziwnie brzmi, moja mamó, i mnie się zdaje, że to jest dzwoneczek głośny, a wewnątrz jak każdy dzwonek pusty—i zaśmiała się.

— Nie tegiego masz konkurenta Marylko—wchodząc rzekł pan Piotr, odprowadziwszy gości na ganek—jakiś fanfaron, *wykrywłaje się, ślepy czy szczo...*

— O! masz słusność papciu—śmiejąc się odpowiedziała Marylka—że to konkurent od siedmiu boleści a ósmego smutku.

Wieczorem o spóźnionéj już porze, przeciwko zwyczajowi, stara Kowalewska z laską w ręku, z niezwykłym pośpiechem przylazła ze swéj izdebki do sali, i dysząc a stukając laską:—Widzisz kochanie serdeczne—już zdaleka do Marylki wołała—a nie mówiłam, a nie wierzysz kabale; widzisz duszyczko, że przyjechał hrabia i to pan z panów. Mój bratanek, co był

stanowym przystawem kole Włodzimierza, znał osobiście jego rodziców; a widzisz duszko!

— A wiesz, Kowalesiu, że teraz zaczynam wierzyć kabałę, bo się sprawdza tak jak mówiłaś; ale niedość na tem: przyjechał ten hrabia, oświadczył się, plackiem do nóg upadliśmy rodzicom i już po wszystkiém.

— Boto pan hrabia z Leszczyna—siadając mówiła zadyaszana stara—nie narai lada kogo; ho ho!

— To też słyszysz Kowalesiu, że już po oświadczeniu i proszę cię niedługo na ślub.

— Ej ty, ty figlarczyko kochana!

— No! żeby się dowiedzieć, czy co na przeszkodzie nie stanie memu za mąż-pójściu, połóż mi Kowalesiu kabałę.

— Dobrze, serdeczne kochanie.

I Marylka wyjąwszy ze stolika karty, podała stariej, która tassując, mówiła:

— Żart żartem, a to i napowno być może; a jabym z palca nie wyszała, a taki zawsze gadałam, że przyjedzie konkurent hrabia albo książę....

I zaczęła układać karty z apostrofami.

— O zakład, znowu mnóstwo czerwieni kole ciebie, serdeczne kochanie; musiał się w tobie okrutnie rozkochać...

Tą razą przeciwko zwyczajowi, stara do późna siedziała we dworze i gawędziła, a gdy odchodziła, Marylka wzięwszy ją za rękę, aż do progu izdebki odprowadziła.

VIII.

Od bytności Adasia w Międzyborzu mijalo już dwa miesiące, i Marylka od czasu zwierzenia się przed matką, nie wspomniwała w rozmowie ani razu o Adasiu. Ale jego obraz aż nadto wyrzył się w jej myśli i sercu, a żeby o nim myśleć nie miała; i chociaż przystępy tęsknoty jak mogła tak w sobie tłumila, przecież marzenia o nim zajmowały pomimowoli jej główkę, gdy z robótką siedziała, lub gdy chodziła po ogrodzie, a i we śnie nieraz o nim marzyła. Lecz gdy porównywała hr. Alfreda z wesółym i otwartym Adasiem, jakże nizko stał pierwszy w jej przekonaniu, jak wyżej nierównie ostatni—Ależ on już nie dla mnie—mówiła do siebie z westchnieniem—choć zdaje mi się, że już nikogo po nim kochać nie będę mogła. Lecz czyliż dla

niego starą panną mam zostać? czyż mi się już nikt więcej podobać nie może? O! na złość się w kim zakocham, na złość jak wróci udawać będę, że się w kim innym zakochałam! Dosyć tych smutków po nim; powiedziałam sobie, że jak mamę Kocham, płakać po nim nie będę i dotrzymam!

Jednakże nie dotrzymała słowa Marylka, bo pewnego dnia z rana, gdy już ubrana i świeża, z silniejszym rumieńcem z nocy na ładnej twarzyczce w swój komnatce przy biurku siedziała, przepisując modlitewkę jakąś do swój książeczki do nabożeństwa, weszła Joasia, żywa i śmiejąca się blondynka:

— Proszę pannulki—mówiła wyjmując sukienkę z szafki—mój dziadek mi mówił, że pan Adam onegdaj przyjechał do Komarowój, i że znów wczoraj wieczór pojechał do Warszawy.

Marylka pisać przestała i pilnie się przysłuchiwać zaczęła.

— Pojechał znów?—hamując zajęcie zapytała Marylka.

— Bo jego kochanka podobno tam wyjechała, to on za nią poleciał; a Kalinowski mówił dziadkowi, że rozkochany tak co aż strach—i zaśmiała się ochoczo.

— O! okropnie rozkochany — z przymuszonym uśmiechem dodała Marylka.

— Pewno się tam, proszę pannulki i ożeni. Może nie będzie taki swawolny jak zawsze.... Ale proszę pannulki, czy to prawda, że ten pan, co tu ze starym panem był onegdaj, to konkurent do pannulki?

— Któż ci to mówił?

— Stara Kowalewska tak go wychwala, że to pan z panów; ale nie wiem, czy on się... Z przeproszeniem pannulki chciałam coś mówić, ale już nie powiem.

— No mów Joasiu, ja się nie rozgniewam.

— Oto, że jemu źle z oczu patrzy, i jakem go zobaczyła, to mi się nie wiem dlaczego pudel naszego ekonoma przypomniał—i znów się zaśmiała.

Marylka także się uśmiechnęła, i — może masz słusność Joasiu—odpowiedziała.

Gdy wyszła Joasia, Marylka jakkolwiek przyrzekła nie płakać, jakkolwiek ta wiadomość o Adasiu nie była niczém ważniejszym nad to, co już się stało i o czém wiedziała; znów łezki pokazały się w jej oczach, i po rumianej buzi pociekły. Zakrywszy twarzyczkę, pisanie na chwilę przerwała.

IX.

W kilka dni po wizycie, hrabia Alfred swym ekwipażem sam znowu przybył do Międzyborza. Przyjęty uprzejmie przez gospodarzy, prawil Marylce dusery, a wybadawszy w pierwszej wizycie z rozmowy sposób myślenia rodziców i panny, tą razą starał się zupełnie w swych zdaniach zastosowywać do nich. Z panem Piotrem rozprawiał o uprawie roli, wychwalając rygor żołnierski, potrzebny w gospodarstwie; z Marylką zaś przypomniał sobie kilka dzieł naszych oryginalnych, powszechną wziętość mających, i rozplwiał się w pochwałach o nich i o naszych niektórych autorach. Marylka z figlarną minką niby robotką zajęta, śledziła go, i w rozmowie wybadywała konkurenta, którego przenikliwością, kobietom właściwą, odrazu czém był poznała. A gdy odjeżdżał, w jego twarzy dostrzedz było można zadowolenie z siebie i pewność, że pożądany na rodzicach i panie efekt sprawił.

Nazajutrz po tój wizycie odebrano z Leszczyna od hrabiego list, w którym pisał, że hrabia Alfred szalenie się w Marylce rozkochał, że z pewnością dojść może do skutku ten związek, gdy on sam (stary hrabia) starań dołoży; spodziewał się także, że człowiek tak miły i tak dystyngowany, i Marylce wpaść musiał w oko.

Pan Piotr przyniósł Emilii i Marylce, siedzącym w sali, ów list, i w głos przeczytawszy, rzekł:—Cóż ty na to Marylko?

— Ja, papciu?— z uśmiechem odpowiedziała dziewczyna— żał mi tylko zabiegów tego pana Alfreda i starań dziadzi, bo pominąwszy wszystko, ta jego gwałtowna miłość po drugiem widzeniu się, jakoś dziwnie wygląda.

— Rzeczywiście, moja dziewczko, ale stryj widzę galopującym sposobem chce moję *donię* wydać za tego świszczypalkę.

— Zareczam papci, że jeślibym podobnych konkurentów miała, z pewnością starą panną zostanę.

— No, no, róbcie jak chcecie. Ja dziś jadę do Łomnic i wstąpię do Leszczyna; jak mu to wszystko opowiem, to *staryj bude kryczaty*.

— O! i owszem, mój papciu, powiedz wprost dziadzi odnimmie—powstając i całując w rękę zawołała Marylka—że niechaj darmo nie łudzi tego Alfreda, bo mi się wcale nie podobał, bo go nie chcę i wręcz odmawiam—stanowczo dodała.

Tegoż samego dnia wybrał się pan Piotr w zamierzoną podróż. Ekwipaż jego zwyczajny był nader skromny: bryczka niewielka polówka, para koni kurych, spasionych ale żwawych, w ruskich chomontach, i Józef furman węsala, w szarym płaszczu, w lokierowanym kaszkicie. Jadąc, często po rusku rozmawiał z Józefem o koniach, lub napominał, gdy po korzeniach lasu zbyt prędko jechał; i tak np: *tra buło wzięty dziś siakaj Bardzińsku, a Malkowsku ostawity doma; a ne trasy, ne trasy tak po koreni, czujesz! słupaj hudko* i t. p.

Przyjechawszy do Leszczyna, i zapewniwszy się że jest pan hrabia, szedł prosto do jego pokoju, pomimo, że Puchalski z otwartą gębą wyszedłszy naprzeciwko z polecenia zapewne pana, dla wywiadzenia się kto przyjechał, długo chciał majaczyć, zanim poznał pana Piotra. Hrabia siedział w zwyczajnym letnim stroju, zajęty spisywaniem swych konch.

— Stryja dobrodzieja!

— Ach! witam—uprzejmie podając mu rękę i przestając pisać zawołał hrabia.—No! intereso nasze na dobrej stopie: rozkochany do najwyższego stopnia.

— Ależ stryju dobrodzieju,—mówił siadając z miną obojętną pan Piotr — był dopiero dwa razy.

— I cóż z tego?—lekko syknąwszy odrzekł hrabia — musiał i Marylce wpaść w oko?

— Powiem otwarcie stryjowi dobrodziejowi, że przeciwnie, że wcale nie.

Hrabia wytrzeszczył nań oczy siwe i wpadł i syknął.

— Jakto? nie podobał się tak miły człowiek?

— Rozmaite są gusta, stryju dobrodzieju; wręcz mi oświadczyła, że jej się nie podobał.

— Ależ, bo wy ją zanadto samowolnie prowadzicie — rzekł prędko hrabia.

— Nakazać jój aby się podobał, to przechodzi granice naszej władzy. Wybór męża jój woli zostawiliśmy.

Syknął hrabia mocno, nie zadowolony tą stanowczą pan Piotra odpowiedzią; pomny jednak interesu, hamował jak mógł swe nieukontentowanie.

— Ja myślałem, że rając wam człowieka porządnego, dobrze wychowanego, znakomitej rodziny, lepszego wyboru Marylka zrobiłaby nie mogła.

— Wdzięczni téż stryjowi dobrodziejowi jesteśmy za jego dobre dla nas chęci, ale właśnie dlatego, ażeby pana Alfreda nie ludzić, otwarcie powiem stryjowi, że się Marylce nie podoba.

— Ależ jak go pozna lepiej?

— Wątpię bardzo. O ile wybadałem Marylkę, to miło nam będzie zawsze przyjąć pana Alfreda jako gościa, ale jako konkurenta nigdy.

— Jak sobie chcecie, jak chcecie—mruzczał stary widocznie obrażony—trudno wam widzę dogodzić.

Po chwilce milczenia, pan Piotr zmienił przedmiot rozmowy, przechodząc do interesów i rachunków, które z sobą mieli, i przez to wszystko w najgorszy wprawił humor hrabiego, który sykał, rzucił się nawet, hamując wszakże ile mógł swe nieukontentowanie. Po godzinie bytności, pan Piotr w dalszą odjechał drogę.

W kilka godzin po jego odjeździe przyjechał hrabia Alfred, wyświeżony, szastający się i wesoly. Tak jak pierwój wszedł do pokoju hrabiego i uprzejmie z uśmiechem uściśnął dłoń starego, ale ten ze smutną powitał go miną.

— Hrabio kochany, jadę do Międzyborza; *oh! mais elle est charmante!*

Stary chmurny, głowę zwiesił i jakby się wahał.

— *Qu'avez vous comte? vous êtes indisposé*--kręcąc się na jednej nodze troskliwie niby zapytał Alfred.

— *Non, seulement irrité*—chmurnie ciągle odpowiadał hrabia.—*Je vous dirai franchement comte*—nagle odwracając się do Alfreda, rzekł—nie będę obwijał w bawełnę, bo cię zanadto cenię i dobrze zyczę. Był tu przed chwilą jój ojciec.

— *No! comment?* czy była rozmowa o mnie?—niczego się jeszcze nie domyślając zapytał Alfred.

— Powiadam ci, dziwacy jakich mało; *savez vous, elle doit en avoir un autre.*

— Jakto hrabio?

— Otwarcie ci powiem hrabio, że ja tak blizki ich krewny, a nie spodziewałem się, że rzeczy tak stoją. Panna się kocha już oddawna w pewnym jegomości, o czém rodzice dopiero teraz się dowiedzieli, i powiem ci nawet, że dalsze zabiegi i twoje i moje byłyby daremne....

Ostąpił pan Alfred.

— *Est-ce possible?! —* cedził przez zęby zafrasowany i spojrział żalownie na swój prezent, który stał na biurku między cackami.

Musiał to dostrzedz hrabia, bo z weselszą odezwał się miną:

— *Que voulez vous*, to są ludzie tak dziwaczeni! Ale to nie stracone, uderzym szturm w inne miejsce.

— *Mais je l'aime tant!* — przypomniawszy sobie że trzeba jeszcze rolę zakochanego zachować, patetycznie zawołał Alfred.

— *Nous en trouverons de plus belles*, zobaczysz hrabio; ja cię w tych stronach wyswatać muszę — i podał mu rękę z uśmiechem dodającym odwagi.

Ale Alfred zachmurzony, niechętnie dłoń podaną uściśnął, i już do końca swęj wizyty mało mówił i siedział osowiały, wdychając jak zakochany. Hrabia cieszył go nadzieją prędkiego a lepszego wyswatańia.

X.

Za nadejściem smutnej jesieni, z gwałtownemi, świszczącemi wiatrami, z niebem szaremi obłokami pokrytém, i Międzybórz zmienił się i posmutniał. Poczerniały role pod zasiew wzruszone, a chaty wiejskie zbrudzone od deszczów, już nie tak wesoło przedstawiały się oku. Szum lasu i ogrodu już nie był tak wesołym, tak pełnym jak dawniej, bo liście schnąc i żółknąc, opadały i obnażały gałęzie; a nieraz silny wicher wyrócił w lesie jaką niebotyczną sosnę z korzeniem, lub w ogrodzie gałąź staręj lipy oberwał. Brzezina pośród sosen rosnąca, czerwonemi liśćmi odróżniała się śród wiecznie zielonej sośniny, i trzęsąc się, swe listki powoli pruszyła; trawy po kłombach pożółkły, spłwiałały; kwiatów już nie widać, może gdzie jeszcze opadłe listki późnej georginii pod krzakiem leżały.... Jezioro tylko swobodniej falami bujało, wezbrane częstym deszczem i wodą z rzeczutek doń wpadających. W ulubionej lipowej alei; konary tworzące jęj sklepienie przerzedziły się, a liście suche i żółtawe opadając, zasłały dawniej tak czystą i wesołą ulicę. Rzadko téż Marylka już po nięj przechadza się, chyba gdy słońce z za chmur na chwilę zablęśnie, wiatr się nieco uciśszy i sucho na dworze; gdy pajęczyna babskiém zwana latem

rozściela się, czepiając swe delikatne nitki po żdźbłach trawy i krzaczkach, i pod słońce zalsni jakby złotawą tkanką: wówczas Marylka wyjdzie na chwilę, pochodzi żalując kwiatków, liści i zielonej trawy, i słucha szumu drzew i pluskania jeziora.

W jednym z tych pochmurnych jesiennych dni, w saloniku w zwykłym pod oknami miejscu siedziały matka z córką, zajęte robótkami. Okna i drzwi szklane na ogród były zamknięte, wiatr szumiał i nagiął suche i nagie gałęzie drzew. Marylka ubrana była w kawowy pod szyję z guziczkami szlafroczek, z twarzą rumianą i spokojną, i włoskami krótkimi jak zawsze; Emilia czarno jak zwykle, skromnie lecz ze smakiem.

— Moja mamciu—podnosząc główkę mówiła Marylka— to dziadzio naprawdę się na nas gniewa; tak długo już nie był.

— Musimy do niego pojechać w tych dniach, Marylko, bo to znów z naszej strony niedobrze; zawsze on miał dla nas dobre chęci.

— Ale bo też przyzna mama, że dziadzio troszkę dziwny ze swataniem mnie z tym panem Alfredem, który oczywiście goniąc tylko za majątkiem, tak się przecież prędko odkochał we mnie, i teraz do panny Letkiewicz swe pociski skierował. Taki arystokrata jak on, do podobnych szlachcianek i parafianek się zalecać! — i pokręciła główką. — Ciekawam, czy dziadzio tam swaty popiera.

— Tutaj ci nic nie mówię, Marylko, bo masz słuszność, i ten związek nie dla ciebie; ale jeżeli później wybierać będziesz i szukać koniecznie takiego, któryby wszystkim twoim wymarżonym żądaniom odpowiedział: to zostaniesz starą panną, bo ideału nie znajdziesz — dodała matka z uśmiechem.

— Moja mamciu, i cóżby to szkodziło, gdybym starą panną została? Czyliż stara panna nie może się stać, gdy zechce, użyteczną rodzinie i społeczeństwu?

— To prawda, dziecko kochane, ale wierzaj mi, że ja jako matka twoja, i twój ojciec, pragnelibyśmy widzieć cię powierzoną godnemu, uczciwemu człowiekowi, na którego wsparta ramieniu, przeszłabyś wiek późniejszy jak nas zabraknie.

— E! nie mów tego mamciu... Ależ trudno moja mamo, ażebym szła za mąż bez przywiązania.

— Może ci się przecież ktoś podoba?

Marylka lekko westchnęła i pokręciła główką.

— Ha! może, ja idealów nie szukam; chyba znajdę takiego, który będzie zupełnie do kogoś podobnym — dodała ciszej i figlarnie.

— To jest do Adasia. Czy zawsze jeszcze o nim marzysz?

— Tak, czasem, moja mamo, ale już coraz, coraz mniej. Ale wió mama, ciekawam gdzie on się obraca? Ani słyszeć o nim; może się ożenił tam na Podlasiu: życzę mu z całego sercu dobrej żony.

I zamilkły matka i Marylka.

W tój chwili zaturkotało przed domem i zdawało się Marylce, że z szumem wiatru zadzwoniły mió dla jój ucha niedgdyś dzwoneczki.

— Ktoby to był? — powstawszy i składając robótkę mówiła i chciała biédz do jadalnego pokoju, gdy Joasia przechodząca wówczas przez salę, oznajmiła że p. Adam przyjechał.

Marylki twarz oblała się rumieńcem, i zatrzęsła się.

Matka na nią spojrziała, a ona odchrząknąwszy, poprawiła loczki i siadając znowu i biorąc robótkę, rzekła:

— Proszę! Adaś..... ciekawam — obojętnie niby mówiła.

Po chwili wszedł Adaś swobodnie, ale z twarzą bladą jakby po chorobie, jakby z wyrazem minionój troski, daleki od tój tak dawno widzianój miny wesolój i trzpiotowatój, i zbliżywszy się, ucałował z uszanowaniem rękę Emilii.

— Adasiu, jak się masz! — zawołała Emilia. — Myślałyśmy, żeś się tam już ożenił.

Uśmiechnął się Adaś smutno.

— Jakże zdrowie wasze? — i zbliżywszy się do Marylki, uściskał jój rękę. Ona z pewną nieśmiałością podawszy mu rękę, z wesolym uśmiechem odpowiedziała: — Witam, witam kuzynka!

— Myśmy tu wszyscy zdrowi chwala Bogu — patrząc nań rzekła Emilia — ale ty Adasiu jakiś blady jesteś, chorowałeś?

— Istotnie chorowałem.

Marylka baczniój nań spojrziała.

— Dziwi mnie, że kuzynek na Podlasiu chorował — kręcąc główką z przyciskiem dodała.

— Powracam teraz z Warszawy — mówił siadając.

— Ważny interes musiałeś mieć w Warszawie — figlarnie rzekła Marylka.

— O! ważny, bardzo ważny — dodał z westchnieniem.

— Czy jeszcze kuzynek tak wzdychający jak dawniej?

— Słaby był, dajże mu pokój Marylko.

— Kuzynek zapewne jutro znów na Podlasie, jeżeli wczoraj albo dzisiaj przyjechał?...

— O! nie, wczoraj wróciłem, ale już chyba nieprędko pojedę, i z całego serca żaluję tego czasu, który tam spędziłem.

— Jakto, Podlasia?—i kiwała główką z niedowierzaniem.

— Cóż tam słychać w Warszawie?—zapytała Emilia.

Adaś zaczął opowiadać o zabawach i rozrywkach tego miasta, ale w opowiadaniu jego jakaś lakoniczność i smutek się przebijały.

Weszła Joasia oświadczając, że baba po lekarstwo przyszła.

— Marylko, bawże gościa tak rzadkiego teraz i spytaj, czy kawy lub herbaty nie pozwoli?

Adaś podziękował i odmówił.

Gdy Emilia wyszła, Marylka spojrzała nań ciekawie i bystro.

— A teraz kuzynku, proszę tu usiąść — wskazując na kanapę obok jój krzesła stojącą — i wypowiadać się, bo nie rozumiem tego wszystkiego.

Posłuszny Adaś usiadł na wskazaném miejscu.

— Będiesz się znów śmiać kuzynko, tak jak wtenczas.

— Nie tą razą, nie; bo widzę, że coś na seryo rzeczy stoją. Ten twój smutek i choroba.... Cóż panna Hiacynta?

— W jak najlepszym zdrowiu i życzę jój szczęścia w związku, który teraz ma zawrzeć, a może już zawarła.

— Jakto?

— Idzie za mąż, rozumić się.

Marylka spojrzała nań badawczo i smutno; Adaś smutno zwiesił głowę.

— Widzisz we mnie wielką zmianę, kuzynko? nie prawdź.

— Istotnie.

— Ale to już przeszło; byłoto jednak coś więcej jak ciężka choroba:— boleść zakrwawiająca serce, rozczarowanie piekielne, ale już przeszło.

Marylka słuchała go uważnie i z ciekawością.

— Przekonałem się, że teraz miłość, to szczytne młodzieńcze uczucie, u was kobiet ustępuje przed zimnym, brudnym, pieniężnym interesem; że miłością tą lubicie się bawić, bawić tylko na jawie i w książkach; że nie będąc majątnym, ani kochać, ani wzajemności spodziewać się nie można. A ja ślepy—

z gorzkim mówił uśmiechem—wierzyłem w świętość tego uczucia, i patrząc w jej oczy w których zdawało mi się, że czytam najczystsze pojęcie tego uczucia i wzajemność niezachwianą obok wszelkich najszczytniejszych duszy przymiotów, szedłem dalej i dalej, póki nie upadłem na ziemię jak śmiały Ikar...

Marylka patrząc na smutną twarz Adasia, na te jego z gorzkim wyrzutem wymawiane słowa, i pierwszy raz widząc go w podobnym stanie, westchnęła i łezki w jej oczach pomimowoli zabłyśły.

— Wierzaj mi kuzynko—mówił dalej—bolesném było dla mnie to przejście, alem przez to skorzystał wiele: poznałem więcej ludzi i nauczyłem się szanować zdania starszych i doświadczonych... A wuj mówił mi prawdę: on znał ją lepiej...

— Za kogoż ona idzie?

— Za jakiegoś nadzwyczaj majątnego szlachcica z płockiego, z którym w Warszawie się poznała; idzie za niego z dobrej woli, bez przywiązania, dla pieniędzy... Wiész, gdy mi się zdawało żem ją już dobrze poznał, w moich oczach przedstawiała mi się piękną, uczuciową do exaltacji i rozumną; słowem, widziałem w niej wszystkie najpiękniejsze przymioty duszy i piękność ciała. Nieraz gdyśmy rozmawiali o uczuciach, o wyższości moralnej strony człowieka nad jego wartość majątkową, mówiła tak pięknie, z takim zapalem, że zdawało się, że te zdania wprost z jej serca i przekonania wypływały; a chociaż się nie oświadczałem z moją miłością w sposób, jaki mić kiedyś uczylaś kuzynko,—wtrącił z lekkim uśmiechem—wiedziała jednak aż nadto o niej. Mnie się zdawało także, żem jej wzajemność pozyskał, a gdym się dowiedział że jedzie do Warszawy, wpadłem na chwilkę do Komarówój i wzięwszy fundusz potrzebny, pobiegłem za nią. Tam już zastałem owego szlachcica, który się tak nagło zjawił, i ją zastałem zupełnie inną, obojętną, jak gdyby nas tylko obojętna i daleka znajomość wiązała. Zaczęła w mój przytomności oczywisty robić preferans dla owego jego mości; niebawem dowiedziałem się że już zaręczona, a wreszcie że ślub ma być wkrótce. Pojmujesz więc kuzynko moje rozczarowanie, moje boleść; nie wstydzę się powiedzieć, że płakałem jak dzieciuch, ale zarazem uczulem, że tę miłość sama we mnie zabiła. Znienawidziłem ją od téj chwili, i dziwię się nawet téj tak nagłej zmianie; dziś mi już tak lekko i dobrze, jak przedtém, kiedym nie znał téj nieszczęsnej miłości... Ale dajmy już temu pokój: cóż tu słyhać kuzynko?

— O! tu dużo słyhać—z westchnieniem odrzekła Marylka—mnie swatano.

— No! z kimże?

— Dziadzio mnie swatał z panem hrabią Alfredem.

— Tym z Lubelskiego?

— Tym samym.

— A! zmiłuj się kuzynko, znany mi jak zły szeląg; to utracysz, ostatnią wioskę stracił. Słyszałem właśnie, że wyjechał na Wołyn' żenić się.

— Toż ze mną.

— Winszuję—i zaśmieli się.

— To też po drugiej bytności zakochał się we mnie szalenie, a ja jako prosta szlachcianka, nie czując się godną tój hrabiowskiój miłości...

— Dalaś mu w nos pstryczka...

— Coś nakształt, bo od czasu oświadczenia dziadziowi że mi się zupełnie nie podobał, nie był tu już wcale.

Gdy weszła Emilia, znowu zaczęto mówić o Warszawie.

Miłość jest nader egoistyczną, więc też zostawiamy do domysłu, co się działo w sercu Marylki słuchającój poprzedniego o nieszczęsnej Adasia miłości opowiadania; to tylko pewna, że mając duszę tkliwą i poczciwą, żalowała biédnego Adasia, i westchnąwszy mówiła sobie w duchu: czemuż nie byłam Hiacyntą!

Wieczorem gdy podano świece, przyjechał pan Piotr, uściłkał jak zwyczajnie Adasia, mówiąc.—*Ne przywezesz z sobaju żinki?* Gospodarkę opuścicieś, Kalinowski się żalił.

— Teraz będę się starał to wszystko naprawić—odpowiedział Adaś.

W miarę dłuższego pobytu Adasia w Międzyborzu, rozchmurzał czoło, był coraz mowniejszym, obszerniej i weselój o Warszawie opowiadać zaczął i uśmiech coraz częściej na jego twarzy zawitał. Marylka wszakże szanując jego poprzednią boleść i smutek, nietyle już żartowała i śmiała się z niego jak zawsze, i z współczuciem spoglądała na niego.

Późno już w noc Adaś dnia tego Międzybórz opuścił.

XI.

W Komarówój podczas tak długiej Adasia niebytności, Kalinowski się niepokoił i niecierpliwił. Pora jesienna już nie

nastrecała mu tylko zatrudnień, tyle krętaniny. Zboże już dawno było w stodole, siano i potraw w stogach i brogach na łąkach stało; bociany już były poodlatywały, zostawiając próżne i nastrzępione swe gniazda na stodołach: tylko sosny jak zwyczajnie szumiały na gumnisku i jak dawniej zielenią były pokryte. Stary już więcej w domu przesiadywał, do gumniska i zabudowań dworskich tylko zaglądając; swobodniej teraz rozpisywał swe uwagi nad chorobami, i swobodniej i skrupulatniej chore zwierzęta mógł leczyć. Spodziewając się i wyglądając ciągle napróżno swego panicza, chodził, mrucał i narzekał że go nie widać.

— Gotów tam głupstwo zrobić i ożenić się — mówił w duchu przestraszony tą własną uwagą — aleby może taki tu znać dał, możeby stary Kalinowski zasłużył chociaż na doniesienie, a przynajmniej kazałby tu inaczéj wyporządzić — i uspakajał się nieco. A nieraz gdy w swéj izdebce siedział w okularach z otwartą gębą, drżącą ręką gryzmołąc swe uwagi, i zdawało mu się, że coś huczało; wybiegał z piórem za uchem na dziedziniec, gdzie nic najczęściej nie zobaczył, tylko szum mocny i jednostajny sosen, grusz i lasu usłyszał. Nieraz Marcin zajrzał na pogawędkę: wówczas Kalinowski rozwodził swe żale na panicza, i przy gorącej herbatce gwarzyli starzy.

Dopiero pewnego dnia przed wieczorem, gdy powracał ścieżynką swoją z gumniska z kluczami, ujrzał wreszcie najtyczankę przed dworem i Adasia z niéj wysiadającego.

Przestraszył się i zafrasował stary, gdy go ujrzał tak bladym i smutnie go witającym.

— A co paniczek taki blady, czy nie chory broń Boże? — z całą troskliwością zapytał.

— Nie mój Kalinosiu, zdrożony tylko jestem; wcześniej się dziś położę, i wszystko ci mój stary opowiem.

I wieczorem gdy się Adaś w łóżko układał, stary Kalinowski usiadł w nogach i słuchał opowiadania jego o pannie Hiacyncie i o swym zawodzie.

Ale stary zamiast dzielić smutek swego panicza, klasnął w trakcie opowiadania w stare żylaste ręce i zawołał: — Chwała Bogu! oto to, *prawde powiedziałszy*, to ja się tego spodziewałem i chciałem nawet tego; ale znowuj bracie to bardzo do serca nie ma co paniczek — dodał zmieniawszy ton wesóły na poważny i patrząc na smutną twarz Adasia.

A gdy ten skończył opowiadanie i rzekł w końcu:—Mój Kalinosiu, zaręczam ci że smucić się nie będę, a nawet zapomnieć o tem już łatwo mi przyjdzie,—stary ucałował rękę Adasia i rzekł wesoło:

— Otóż to tak, to lubię; ja zawsze *prawdę powiedział-
szy* gadałem: na co nam tam gdzieś szukać żonów, kiedy Mię-
dzybórz tak blisko..... To mnie się nieraz bywało sni, że ja tu
w Komarówę widzę dom niby ten sam, a niby większy, i pani-
czka z panną Maryanną jak sobie w nim siedzą i gospodarują
szczęśliwi, i kochają się jak para gołąbków; a ja także jak za-
wsze, doglądam, kuruję i raduję się tak, że się aż obudzę.....
Daliżóg, że niech jeno paniczek tak na seryo *wyskarkuluje*
i o tem pomyśli.— Stary zrobił tak poważną minę a razem tak
serdecznie prosił i namawiał, że się Adaś roześmiał i odrzekł:

— Zobaczmy, mój Kalinosiu, wszakto żona od Boga prze-
znaczona.

Nazajutrz, jak wiemy, Adaś był w Międzybórz.

XII.

W jednym z piękniejszych słonecznych dni jesiennych, Emilia z Marylką wybrały się do Leszczyna udobruchać widocznie zagniewanego hrabiego, a ztamtąd do Grabowca do generałowej, którą już oddawna nie odwiedzały.

Koczyk stary, żółty, bez herbów, para koni podobnego gatunku, jakimi jeździł pan Piotr, i w podobnych ruskich chomontach; Józef Garman w znanych nam stroju i Mateusz lokaj podobnie ubrany: stanowili ich ekwipaż, który ze strony hrabiego już nieraz wzbudził uśmiech ironii i zadziwienia, że tak skromnie i podobnym *klakiem* jeździć było można. Marylka od ostatniej bytności Adasia widocznie jakaś wesoła i promieniąca, w różowym kapelusiku, który jej tak był do twarzy, i w czarnej salonce, z wesołą minką usadowiła się około matki.

Droga była nudna, po błocie i po korzeniach lasu, otaczającego Międzybórz; Marylka przypatrywała się grubym sosnom i dębom, które się przed jej oczami przesuwaly, i śmiała się z Mateusza, który drzemał i kiwał się na koźle; a gdy wyjechali z lasu, spojrzala w równinę roztwierającą się szeroko i ujrzawszy Komarówę na boku, w oddali siniejącą swemi drzewa-

mi, i bielejącą płatą piasku na której leżała: westchnęła niezna-
cznie i długo tam, jakby z upodobaniem, patrzyła. Gdy przyje-
chały do Leszczyna, jeszcze było rano, godzina 10ta; hrabia
tylko co wstał. Zapewniwszy się przez Puchalskiego że wejść
można, weszły do jego sypialnego pokoju. Hrabia w aksami-
tnym amarantowym szlafroku, z gołą i suchą szyją, siedział
skulony i zgarbiony w swém krześle przed biurkiem, paląc cy-
garo; jedna z tabakierek grała jakiegoś walca, na ranną prze-
znaczzonego porę.

Gdy go powitały, jakoś zimno i kwaśno ich przywitał,
i niechętnie podał rękę Marylce do pocałowania.

— Jak się macie?—przecedił kwaśno przez zęby, lekko
syknąwszy.

— Tak dawno nie widziałyśmy stryja — rzekła łagodnie
Emilia siadając koło niego — żeśmy same postanowiły prze-
konać się i zaspokoić się o zdrowiu. To się nie godzi, stryju,
tak o nas zapominać.

Stary kwaśno pokręcał głową i milczał.

— Ledwiebym nie odgadła—rzekła Marylka przystępu-
jąc do dziadka i biorąc go za rękę— że dziadzio na mnie kwa-
śno spogląda; a ja wiem za co, i do winy się przyznaję.

Stary szarpnął z gniewem rękę i syknął.

— Pocóż ja mam do was jeździć, kiedy nie chcecie rozu-
mieć mojej przychylności i nie umiecie oceniać, za nic sobie
macie moje dla was starania i zabiegi? Wierzajcie mi, gdybym
miał dzieci *par exemple une fille comme celle là*, samowolną
i grymaśną, tobym.....—tu urwał stary i troszkę zasapał.

— Tobys ją dziadziu różeczką wybił, nie prawdaż?—
wesół patrząc mu w oczy dokończyła Marylka.—Ale nie! tak
złybyś nie był, i nie będziesz dziadziu niechętnym dla swój
wnuczki, która cię przeprasza i dziękuje z całego serca za twe
dobre chęci, ale która, niestety! gwałtu swemu sercu uczynić
nie chce—i uklęknąwszy przy jego kolanach zrobiła minkę tak
wdzięczną i przymilającą, że stary powoli zaczął ochłaniać
z gniówu.

— *Un jeune homme si aimable, d'une si bonne race,*—
mówił już nieco udobruchany—nie pojmuję nawet, jak osobie
dobrze wychowanej mógł się nie podobać; ale to w waszych gło-
wach parafiaństwo jakieś przekłete, przesady z których nie
wiem kiedy się wyleczycie. Naturalnie, człowiek tak miły nie-

podobna, ażeby licznych nie znalazł zwolenniczek, i Letkiewiczówna idzie za niego z pocałowaniem ręki....

— Jakto, dziadziu, to się tak prędko we mnie odkochał?— figlarnie zawołała Marylka.

Stary nic nie odrzekł, pokręcał tylko głową i poprawiał kołnierzyki.

— Stryj kochany będzie pewnym—odezwała się Emilia— że umiemy cenić życzliwość jego dla nas, i przyjechałyśmy z Marylką prosić, aby niechęć swą od nas oddalił. — I zbliżyły się, całując w rękę starego, który pamiętając, że samby może gorzej wyszedł dając się na nie, udobruchał się i zapytał wkrótce, czy co jeść nie będą.

— Dziękujemy stryjowi—odpowiedziała Emilia—jedziemy na obiad do generałowej; jeżeli stryj da się z nami namówić, to prosimy.

— Ha! *pour votre compagnie*, cóż mam robić: rzadkato bowiem rzecz, że się puszczacie w wizytę, z której prawdziwą korzyść ta oto despotka odnieśćby mogła i powinna.

Gdy kobiety wyszły do salonu, oczekując tam przybycia hrabiego, stary ubierał się z pomocą Puchalskiego, nasykawszy i nagniewawszy się według zwyczaju, i dając polecenie, ażeby dziś wieczór przyjechał z powozem, z tłumokiem na wypadek, i ażeby nie zapomniał wziąć zwyczajnych akcesoryj, do których należała także jedna z grających tabakierok.

Wkrótce ukazał się damom bardziej niż zwykle wyświeżony: kołnierzyki sztywne i białe podrzynały mu uszy; czarna atlasowa chustka związana była w duży pretensyjny fontaz; ubranie na nim czarne i świeże, mankietki żabotowe, rękawiczki paliowe i lakierowane buciki. Innyto był zupełnie człowiek, nie ten zgarbiony z suchą szyją i skulony w szlafroku przed chwilą starzec.

— *Me voila prêt*—i suwając etykietalnie nogami, wyprowadzał kobiety na ganek.

Ale gdy ujrzał stary i skromny koczyk zataczający się w jak najszumniejszy, wedle całej umiejętności Józefa, sposób, syknął mocno i przeciągle:

— *Toujours le même*; a czy my dojedziem tym *klakiem* do Grabowca?—zapytał z ironią.

Emilia z Marylką spojrzały na siebie z uśmiechem.

Usiadłszy wiece hrabia obok Emilii z pewną niechęcią, Marylka zaś na przodzie, wyruszyli do Grabowca na obiad do generałowej.

XIII.

Grabowiec, wieś duża o milę od Leszczyna, a półtrzęcię od Międzyborza leżąca, tak jak wiele wsi na Wołyniu, kilku liczyła właścicieli. Leżała ona w otwartym położeniu nad ogromnym jeziorem, którego brzeg drugi majaczył niebieskim pasmem lasu sosnowego. Chaty szare, pochylone, poleskiej struktury, gdzieniegdzie drzewkiem ocienione, rozsypały się na wybrzeżu. Cerkiew drzewami ocieniona, wystawała swą kopułą i dachem ponad temi domostwy, równie jak kilka dworków z drzewami, mieszkania pp. właścicieli Grabowca. Trzy części były na Grabowcu; z tych jedna, dwanaście chat licząca, należała do państwa Zabielskich, druga z czernastu do p. Prużyca, a trzecia największa, bo chat trzydzieści, do generałowej, siostry stryjecznej Emilii z drugiego brata, znanego nam z Leszczyna hrabiego. To też dwór generałowej o wiele się różnił powierzchownością nawet od słomą krytych dworków państwa Zabielskich i p. Prużyca, chociaż p. Prużyc mając dwie chaty więcej od państwa Zabielskich, już swój dworek z większą od pierwszych ustroić pretensją; dał ganeczek z filarkami i schodkami, gdy u tamtych tego nie było. Dwór generałowej miał pozor nie tyle wystawny, ile pełen gustu i elegancji; drewniany, lecz obszerny, gontami kryty, ściany miał od dziedzińca winogradem czepiącym się ostionię; ganek oszklony, okna czyste i duże, dziedzińiec w klomby przystrojony. Pod dwoma świerkami tam rosnącemi, wśród mnóstwa ścieżek i ulic żwirem wysypanych, stały kamienne ławeczki; białe płotki w esy i słońcu misternie wyrabiane, oddzielały go od drogi.

Pani generałowa, tak zwana powszechnie po pułkowniku, zmarłym przed kilkunastą laty, według zdania jej wuja hrabiego z Leszczyna, była kobieta umiejąca prawdziwie utrzymywać swoją godność wystawnym prowadzeniem domu, wychowaniem córek, przestawianiem tylko z osobami *du haut genre*; pomijając to, że trzydzieści chat na Grabowcu nie wystarczały na podobnie wystawne życie, i że długi powoli rosły. A było trzy córki dojrzewające, o rok tylko różnicy w wieku mające, i widocznie o zamąż-pójściu marzące. Dom generałowej stał otwo-

rem dla gości, z których wszakże tylko dystygowane tytułem lub majątkiem osoby, z prawdziwą grzecznością i etykietałną uprzejmością były podejmowane; niższe figury, zbyt sztywno i zimno przyjmowano, nie dopuszczając nawet do głównego salonu, który li tylko na przyjęcie pierwszych był przeznaczony. P. generalowa jeździła tylko karetą i strzegła pilnie, aby raz przyjęcia stopy w jej domu nie zmieniano. Rozumie się, że p. Prużyc i państwo Zabielscy nietylko się z nią nie komunikowali, ale, jak to najczęściej bywa w podobnych majątkach, pokazywali widoczną niechęć, i jako nieprzyjaźni sąsiedzi, ze swoją koteryą żyjący, krzyczeli głośno na generalowę. Jej arystokracja kłufa ich w oczy: zajmowali w szkodzie, gdy im się sposobność nadarzyła, i cały szereg psot i nieprzyjemności, niezycliwym sąsiadom właściwych, wyrządzali.

P. Prużyc miał dwie córki w tym samym, co generalówny wieku: boże, zdrowe, rumiane dziewczęta. Te szczególniejszą niechęć okazywały pannom generalównom, i nieraz gdy te ostatnie wychodziły na przechadzkę, przechodząc koło dworku Prużycy, przy którym stały Prużycówny, scierały się obie strony.

— Patrz jakie wystrojone, jakie wyflokowane — mówiła jedna do drugiej Prużycówna w głos, tak, aby generalówny słyszały.

Czerwieniały panny generalówny, i Hipsia najśmielsza, bo najstarsza, mówiła po francuzku:

— *Ne faites pas attention à cette canaille là.*

— A proszę od *kanalii* nie wymyślać — wołała Prużycówna — bo jak my was malowane lalki nazwiemy, to wam aż w pięty pojdzie; patrzaj się....

Te i tym podobne starcia miały miejsce przy widzeniu się i spotkaniu dziewcząt, i wiele jeszcze innych zajść, jakie się pospolicie trafiają we wsi, gdzie jest kilku właścicieli.

Kolokacya Korzeniowskiego najwierniej nam przedstawia tego rodzaju komeraze.

Pani generalowa z Miedzyborczem żyła na politycznej stopie; rzadko przyjeżdżała ona tam z wizytą, chyba że ją zmusił interes, do którego p. Piotr i Emilia nieraz pomimowoli nakłonić się musieli, gdy prosić przymilać się i pozorne czułości okazywać zaczęła. Podobnie jednak jak hrabia wysmiewała zaocznie ich prowadzenie domu, nazywając ich *poctziwą szlachtą*; a Hipsia, najrezolutniejsza z generalównien, nieraz

Marylce niby niechęący jakiś uczyniła przyczynę, na który docwipnie i z godnością odcinała się Marylka. Pozornie jednak, dziewczęta były z nią na dość czulej i zażyłej stopie, i nieraz, gdy zawdzięczając interes ubity w Międzyborzu, brano koniecznie Marylkę na czas jakiś do Grabowca; nudziła się tam w tém nieszczerem siostr gronie, tak bardzo w zdaniach i zasadach różniąc się od nich, i rada się była zawsze jak najprędzej wyrwać z tego domu, gdzie jakieś zimno i sztywna zawsze etykietalność panowały.

Zajechał tedy nasz ekwipaż przed ganek i zaczęto wysiadać. Hrabia sykał i narzekał, że się *klakiem* strząśł okropnie. Gdy weszli do sieni obszernej i czystej, zastali tam kilku wąsatych lokai we frakach przy zegarkach, z których jeden zapewniwszy, że p. generałowa jest w domu, otworzył drzwi do pokoju. Hrabia już w sieniach przybrał jakąś lekkość i giętkość w figurze, bo wchodził do *apartamentów*, które prawdziwie w jego przekonaniu na tę nazwę zasługiwały.

Przeszli pierwszy pokój duży, wyklejony niebieskiem obiciem, z podłogą w talle, wyfroterowaną starannie, gdzie stały meble mahoniowe czarnym włosieniem pokryte, a na ścianach wisiały rodzinne portrety; następnie przeszli drugi podobnie duży, wytworniej przybrany, z białem w kwiaty zielone obiciem i firankami muslinowemi u okien, gdzie stały podobnie mahoniowe meble i mnóstwo sofek i kozetek; pośrodku sufitu wisiał mały żyrandol. Byłto salonik przeznaczony na przyjęcie osób mniej dystygowanych; przeszli jeszcze mały gabinet podobnie przystrojony, gdzie gwar rozmowy w przyległym a głównym salonie doszedł do ich uszu i oznajmił, że ktoś z dystygowanych gości przybyć musiał.

Istotnie wszedłszy do salonu, zastali tam generałową, trzy jej córki i otyłego, lat przeszło czterdziestu mężczyznę, z dużemi, czarnemi faworytami, w czarnym fraku z kaszkieciem w rękę, siedzących około głównego stołu przed kanapą.

Byłto okazały salon, widny, obszerny, po obu stronach kwiatami na etażerkach przystrojony; podłoga świecąca więcej niż w innych i w drobniejsze ułożona talle, obicie ze złotemi szlakami i żyrandol duży brązowy u sufitu. Meble palisandrowe stały w umyślnym nieładzie i w wielkiej obfitości, kanapki, kozetki krzyżowały się tak, że pomimo obszerności salonu, zbyt mało próżnego pozostawało miejsca. P. generałowa wysoka,

szczupła, ostrego spojrzenia i dumy na pomarszczoném a bladém czole, z ustami zaciśniętymi, z nosem zakrzywionym, wytwornie i z pretensją przystrojona, choć już siwiejąca, z wymuszoném chwianiem głowy podbiegła do wchodzących. Trzy jej córki w niebieskich sukienkach, wszystkie trzy blondynki z zadartemi noskami i rumianemi buziami, podobne do siebie tak, że je trudno rozeznąć od siebie było, uczyniły toż samo; otyły jegomość powstał z krzeselka i zaczęły się witania, całusy na wiatr, pytania niby szczerze o zdrowie, i wymówki o tak dawne nieodwiedzanie. Hrabia przybrał tu minę i ruchy właściwe mu, gdy się znajdował na ślizkiej posadzce prawdziwego, jak mawiał, salonu: szastał się pomimo wieku, wykręcał na jednęj nodze, przeginał się i poprawiał kołnierzyki.

Po przywitaniu się dam i dziewcząt, otyły jegomość skłonił się Emilii i Marylce, a hrabia zbliżywszy się doń, podał mu łaskawie rękę: — Marszałka dobrodzieja, *comment-va?* Tak dawno nie mieliśmy przyjemności widzieć go.

Coś niezrozumiale zamruczał marszałek i wszyscy usiedli; Marylka między siostrami, które z nią rozmowę zaczęły.

— *Ingrate! tu nous a oublié tout-à-fait* — ze szczerą niby wymówką rzekła Hipcia, najstarsza, z noskiem bardziej zadartym.

— Ależ Hipciu zapomniałaś, że Marylka nie lubi po francuzku — przestrzegła ją Binia po drugiej stronie Marylki siedząca.

— Ach prawda, zawsze zapominam, żeś taką antagonistką francuzczyzny; ale zdejźże kapelusz, cóżto za etykieta, chodźmy tam do gabineciku, to się nagadamy, *car ici nous sommes un peu gênées* — dodała ciszej.

— *Camille, tu resteras* — znacząco, spoglądając na pana marszałka, szepnęła siostrze Hipcia.

I we trzy z Marylką wyszły do gabineciku, podczas gdy przy głównym stole chłodna zaczęła się toczyć rozmowa o złych drogach i niepogodach jesiennych.

W gabineciku usiadły na sofce pod oknem.

— Cóż się stało, że pan marszałek u was? — zapytała Marylka kładąc zdjęty z główki kapelusz na pobliską kanapkę.

— Ah! to też właśnie — uciszonym głosem zawołała Hipcia — wiesz, *on nous a dit*, że się ten Krezus chce żenić i że jeździ teraz po domach i wypatruje. Coś tu bardzo do Kamilei się przysiąda.

— I wy jęj nie zazdrościcie?

— A i czegoż? Jeżeli Kamilera pójdzie za niego, to i nam będzie dobrze... Ale ty, ty, taką partya odrzucić!

— Dziadzio wam mówił?

— Nietylko ón, ale wszyscy wiedzą o tem. Oj ty para-fianko!

— Czyba musisz mieć kogoś innego?—zapytała z uśmiechem Binia, i z Hipcią spojrzaly na Marylkę, która się nieco zarumieniła.

— *Vois-tu elle à rougi*: wydała się sama—zawołała śmiejąc się Hipcia.— Ale któżby to był twoim *sigisbe*?

— Zaręczam wam że nikt.

— Ależ hrabia Alfred—zaczęła znów Hipcia.

— Czyście go widziały?

— *Il a été ici*; dziadzio go przywoził...

— Tak bardzo wam się podobał?

— *Il a une mine tres distinguée*, ale chociaż powabniejszy od pana marszałka, nie wiem którego bym wybrała—mówiła Hipcia.—Zdaje się, że w końcu wybrałabym tego pucołowałego Kręzusa, bo z pieniędzmi zawsze i wszędzie dobrze....

Jakkółwiek w zdaniach pamiły generalówny zupełnie się różniły od Marylki, której sposób myślenia już znamy; wszakże tą razą nie chciała wszczynać z niemi bezskutecznej dysputy, i po chwili jeszcze zabawienia w gabineciku wyszły do salonu, i znówu dawne miejsca zasiadły.

Pan marszałek bardzo mało mówił, siedział na różku krzesła oplęty i widocznie strojem swym galowym żenowany. Chrzakał i czasem tylko wtrącił swoje — *musi być tak, musi być nie*.

Kiedy generalowa wyszła i poruszono się z miejsc: hrabia usiadł bliżej Emilii szepcząc jej coś na ucho, a marszałek zbliżył się do Marylki, posłał, chrzakał, wreszcie się odezwał:

— Pani *musi być* rzadko wyjeżdża teraz na taką drogę.

— Istotnie bardzo rzadko.

Byłoby dużo ze strony małomównego i niesmiałego marszałka, że się na ten krok zdobył; po chwili milczenia chrzakał i zaczął:

— A z Międzyborza długo *musi być* panie jechały?

— Byłyśmy u dziadzi w Leszczynie, i z nim razem przyjechałyśmy.

Binia i HIPCIA mrugnęły na siebie znacząco, patrząc na marszałka, który znów po tém zapytaniu urwał i chrząkał.

Powrót generałowej, a za nią oznajmienie lokaja, że już waza na stole, zmieniły pozytury osób w salonie.

Generałowa z chwianiem głowy podała rękę marszałkowi, hrabia Emilii, a dziewczęta wzięwszy się pod ręce, szepcąc i chichocząc szły za niemi do jadalnego pokoju, dużego i widnego po drugiej stronie za salonem znajdującego się, zawieszono-ego portretami familijnemi, gdzie stół z całą pretensją był zastawiony. Srebra, za których prawdziwość ręczyćbyśmy nie mogli, pokrywały biały aż do ziemi spadający obrus, i zacząwszy od grabek i nożów, a skończywszy na zatyczkach kilku butelek z winem czerwonym, wszystko oprócz talerzy i szklanek polyskiem srebra błyszcząco. Hrabia z przyjemnością spoglądał na to nakrycie, które mu tak do gustu trafiało, i które tak zawsze wychwalał; jedną tylko okoliczność tań, której może w duchu nie aprobował: że przy tém eleganckim nakryciu potrawy były tak skąpo wydzielane, że trzeba było tylko jego familijnej zażyłości, ażeby głodnym nie wstać, biorąc obficie bez względu czy dla ostatniej biorącej osoby wystarczy.

Tą razą dla marszałka widoczną robiono atencją: siedział on na pierwszym miejscu, to jest na prawo przy generałowej. Może téżto dla niego wydobyto wszystko, co tylko było świeżym i co mogło stół upiększyć: waza porcelanowa dawno niewidziana i takież półmiski pojawiły się tą razą.

Rozmowa przy obiedzie toczyła się obojętna. Naprzeciw marszałka siedziała Marylka, i HIPCIA zauważyła i szepnęła do Bini obok siedzącej, że pan marszałek jak w tęczę wlepił oczy w Marylkę. Hrabia rozprawiał o sosach i chwalił Malinowskiego, nazywając go drugim Tremo.

Już przy końcu obiadu zaczęto rozmowę o sąsiedztwie. Hrabio wtrącił, że nadzwyczaj mało dobrych sąsiedztw w tych stronach.

— Istotnie — mówiła generałowa — oprócz stryja, pana marszałka, hrabiostwa Antoniostwa, i ciebie Emilio, *nous n'avons point de meilleurs voisinages*; a trudnoż znów komunikować się *avec de pareils* Zabielsey i Prużyce — z ironicznym uśmiechem i chwiejąc głową dodała.

— *Ah c'est vrai, numan, une contrée abominable* pod względem sąsiedztw — śpiewnym głosem ozwała się HIPCIA.

— Dlatego też mamy żal do pana marszałka— rzekła gospodyni— że tak rzadko robi nam przyjemność widzenia go.

Zamarmotał coś i skłonił się marszałek.

— A i ty Emilio także winną jesteś.

— Zdaje się siostrzo, że pod tym względem obie nie mamy nic sobie do wyrzucenia.

— *Eh! des nouvelles de la contrée*, nie wiesz tam co generalowo?— zapytał hrabia.

— Żadnych innych stryju, chyba to, że Letkiewiczówna idzie za hrabiego Alfreda: *elle fait une partie brillante*.

Tu wszystkich wzrok zwrócił się na Marylkę, oprócz Emilii i marszałka, który już oddawna ciągle w nią wlepione miał oczy. Marylka lekko się zarumieniła i coś do Hipci zaszeptala.

— Ha! *un jeune homme* tak dobrze— mówił hrabia Letkiewiczówna świetną, świetną robi partya: życzyć tylko wam młode panny, abyście podobny wybór zrobić mogły.

Szczęściem powstano od stołu, zaczęły się ukłony, i całe towarzystwo weszło napowrót do sali.

Kiedy Marylka z Hipcią wzięwszy się pod ręce chodziły po salonie, podczas gdy starsi i dwie siostry znów koło stołu zasiadły; oczy marszałka śledziły widocznie Marylkę. Miał istotną ochotę znowu się do niej zbliżyć, ale mu się sposobność nie nastęrczała.

Binia i Kamilla złośliwe też uwagi na Marylkę i pana marszałka do ucha sobie szeptały.

W kilka godzin po obiedzie wyjechała Emilia z Marylką. Pożegnanie ze strony generalowej i panien było nader niby czule; hrabia pozostał zamawiając się na noc, marszałek natychmiast po wyjeździe kobiet odjechał.

Ależ słówko o panu marszałku.

Pan marszałek należał do najmajątniejszych w okolicy, posiadał bowiem do tysiąca dusz, i gotowizny przyznawano mu dosyć; żył jednak bardzo skromnie i spokojnie. Dwór jego w Zaborowie był nader skromnym: drewniany, pod słomą, wewnątrz jedynie wygodę a nie ozdobę mający na celu, gdzie siedział cicho i samotnie, zbierając i powiększając ciągle fortunę. Zresztą byłto człowiek spokojny, wyrachowany, mało mówny i powolny. Miał on już lat czterdzieści wieku, a o małżeństwie jakoś nie pomyślał; teraz dopiero w marcowych latach może mu się sprzyrzyło to jednostajne i ciche życie, może pomiarkował, że

miléjby mu było przy tak dużym majątku mieć młodą i miłą żonę, któraby staraniami i pieczołowitością osypała już nieco ociężałego marszałka, i naprawdę o żeniacze zamarzył. W chwili poczęcia tój stanowczej myśli podszedł do lustra, zaczesał faworyty czarne i gęste na rumiane i pucotowate policzki, z włosów ułożył czub na środku i z boków uładził, i spojrzął wyprostowawszy się: — Można jeszcze, jeszcze nie zapóźno — rzekł sobie w duchu, i niewiele myśląc postanowił robić wybieczki po okolicy, rzadkie dotąd nadzwyczaj, celem wypatrzenia panny, któraby mu się podobała, a którójby może i on, jak mniemał, nietylko z majątku, ale i z powierzchowności jeszcze mógł się podobać. W podobnym celu przybyłego zastaliśmy go u generałowój.

XIV.

Po powrocie do Międzyborza, nazajutrz rano, gdy Maryłka wychodziła z pokoju ojca, gdzie zwyczajnym trybem papci dzień dobry mówić zwykła; spotkała spiesznie wchodzącego do sieni Kalinowskiego w swój granatowój kapocie, w butach zabłoconych, z miną zafrasowaną i coś niezwykłego wróżącą.

— Jak się masz, Kalinosiu: cóż cię tu do nas sprowadza?

— Ah! pannulku, *prawde powiedziawszy*, ja tu z prośbą przyleciał do mamy pannulki, żeby pojechała do nas, bo pan Adam słaby.....

Maryłka mimowoli lekko zakrzyknęła.

Kalinowski mówił dalej:

— Po doktora jeszcze nie jeździłem; zdaje się, że słabość nie tak wielka, to *prawde powiedziawszy*, może i pani pomoże, ale niech tylko jedzie.

— Cóż mu jest, mój Kalinosiu?

— Gorączki ma trochę, to ja ledwo nakłonił, żeby w łóżku pozostał, póki pani nie nadjedzie.

Maryłka pobiegła do matki z widoczną niespokojnością: — Mamo! mamol—wołała wbiegając do sypialnego matki pokoju, gdzie Emilia kończyła swe ranne modlitwy—Aduś zasłabł, niech mama pojedzie, Kalinowski przyjechał.

— Czy bardzo słaby?

— Kalinowski mówi że niebardzo, ale prosi mamy, żeby koniecznie mama pojechała.

Te ostatnio słowa były zarazem szczerą prośbą Marylki, i zdradzały niepokój i troskliwość, które napróżno tać i hamować usiłowała.

Emilia rozmówiwszy się z Kalinowskim, wzięwszy z apteczki domowej stosowne lekarstwa, które jój Marylka z dziwnym pośpiechem podawała i zawijała, wsiadłszy w bryczkę, która zwyczajny a nam znany pana Piotra ekwipaż stanowiła, pojechała do Komarówój. Kalinowski konno trząst się koło bryczki, a Marylka rada ich czémprędzej wyprawić, niespokojna wyglądała znów z niecierpliwością powrotu matki. Chodziła często do jadalnego pokoju, przerywając robótkę, zaglądając w szyby, i w duchu zasyłając modły do Boga o zdrowie tego, który był dla niej tak drogim, a dla którego miłość starała się niejako tać i przeczyć przed sobą.

Powróciła wreszcie Emilia, zapewniwszy i zaspokoivszy Marylkę, że słabość jest lekką, i że na drugi dzień Adaś z pewnością do zupełnego zdrowia powróci.

Jednakże nazajutrz Marylka wypatrzyła chwilę w którój Marcin przyszedł do jegomości i w sieni wychodzącego zatrzymała.

— Mój Marcinie, czy ty dziś nigdzie nie pojedziesz?

— *Przez urazy* Wielmożnój panienki, jegomość mnie posyła do Somianki.

— To pewnie wstąpisz tak jak zawsze do Komarówój.

— Jeżeli panienka *przez urazy* każe.

— Ja nie, ale mama mówiła, że gdybys jechał w tamtą stronę, a nawet umyślnie, żebyś się dowiedział o zdrowiu pana Adama.

— Dobrze pannulku.

I dopuściwszy się tego niewinnego wybiegu, Marylka pobiegła do zwyczajnych swych dziennych zajęć.

Tegoż samego dnia przed południem zajechała przed dwór żółta, odkryta, staroświecka karyolka, parą średnich siwków zaprzężona, z furmanem w szarym płaszczu, i wysiadł z niój pan marszałek.

Pan Piotr wyszedł do sieni na przyjęcie tak rzadkiego a tak cenionego w okolicy dla majątku gościa, i uprzejmie go powitawszy, konie odprawił do stajni, pomimo wzdragań się marszałka, a jego poprowadził do sali. Marszałek był ubrany wykwiintnie, tak jak u generałowój: bakembardy zaczesane sta-

rannie na twarz, czub duży nastrzępiony na środku czoła, frak czarny i pantalony ze strzemiączkami: wszystko to opięto okrywało okrągłą jego figurkę. Dodać do tego potrzeba białe rękawiczki, pokrywające pulchne jego rączki.

Emilia z Marylką siedziały na sali. Zaczęły się przywitania, marszałek się kłaniał i mruzczał.

Nudnato była wizyta pana marszałka, który oprócz swego *musi być tak, i musi być nie*, rzadko z czém zaczął od siebie rozmowę. Usiadłszy na rożku krzesła etykietalnie i ostrożnie, spoglądając na zajętą robótką ładną Marylkę, krząkał, a Emilia i pan Piotr jak mogli utrzymywali rozmowę, dopóki nie dano do stołu.

Jakże odmiennym był stół tutejszy od stołu generałowej! Białe jak śnieg nakrycie, talerze białe i czyste, a chociaż widelce i noże nie miały srebrnej oprawy, lecz poprostu kościaną, chociaż nie było świecidełek, solniczek srebrnych, rzniętych karafek i t. p., nakrycie to miało jednak pozor dziwnie gustowny i zachęcający. Potrawy proste, szlacheckie, nieliczne, lecz obficie wydzielane, przyprawione były ze smakiem i znajomością sztuki kucharskiej, jakiejby się i Tremo nie powstydzil. A przy obiedzie znalazło się kilka butelek starego i dobrego wina, dla uczczenia tak rzadkiego jak marszałek gościa.

Po obiedzie marszałek jakoś się więcej ośmielił: swobodniejszym był w ruchach, swobodniej siadał na krześle, mniej krząkał, a nawet zbliżył się do Marylki i zapytał:

— Pani *musi być grywa* na fortepianie?

— Troszkę, grywam tylko dla siebie — odpowiedziała z uśmiechem.

— Czy nie możnaby tego posłyszeć?

Marylka się wahała.

— Zagraj jak umiesz, Marylko — rzekła do niej Emilia.

I Marylka usiadłszy do fortepianu zaczęła grać czysto i z uczuciem jakiegoś skoczego mazurka. Pan marszałek stanął naprzeciw, wlepiwszy oczy w Marylkę; gładził faworyty, czuba poprawiał, a nawet nogą do taktu tupał i zdawał się bardzo z jęj gry zadowolonym.

Zabawiwszy jeszcze czas jakiś, widocznie więcej rozmowny i śmielszy odjechał.

XV.

We dwa miesiące po swój bytności u generałowój, gdzieśmy Emilią i Marylkę widzieli, stary hrabia siedział jak zwykle w swym pokoju w Leszczynie, w wolterowskiem krześle przy biurku, zajęty przepisywaniem rejestrzyku ulubionych konch. Przez okna widać było śniegiem pokryty ogród i suche drzew konary, pokryte białemi zamrozu igielkami. W piecu huczał ogień świeżo znać naniecony. Hrabia ubrany był w ogromny watowany szlafrok zielony, z którego mała jego głowa i suche ręce zabawnie wyglądały.

Wtém wszedł Puchalski.

— Pan marszałek przyjechał.

Zerwał się rzucając pióro i — prosić, prosić do salonu i ubranie dla mnie żywo — dobitnie i prędko zawołał; i gdy Puchalski wyszedł, sam zaczął się ubierać z pośpiechem. Za powrotem starego sługi, gdy mu ten powoli i niezgrabnie usługiwał, gniewał się, sykał i piłł niecierpliwu hrabia; wreszcie ubrawszy się w tuzurek jak mógł najprędzjej, wyszedł spieszenie suwając nogami do salonu.

Marszałek w galowym stroju, jak go już widzieliśmy w Międzyborzu, czekał w salonie. Podbiegł doń hrabia z grzecznością, uścisnął za rękę, mówiąc:—*Comment va?* Kochanego marszałka! gość tak rzadki i miły..... — Bo chociaż marszałek nie liczył się do rzędu osób dystyngowanych rodem, majątek jego jednak i myśl, że może się stać dla interesów hrabiego użytecznym, nakazywały ze strony tegoż wielkie uważanie.

Kiedy usiedli, ozwał się hrabia:

— Prawdziwie tak rzadko marszałka kochanego widzujemy, że jego wizyta istotną jest dla nas siurpryzą.

Mruczał coś niezrozumiale, skłaniając się marszałek.

— A u nas — mówił dalej hrabia — tak mało ludzi z któremiby jakoś komunikować się można. Cieszymy się, gdy kochany marszałek zaszczyt nam ten czyni.

I po wielu grzecznościach ze strony hrabiego, po marmotaniu i krzäkaniu ze strony marszałka, ten ostatni wreszcie ozwał się z widoczném wysileniem mocno odkrzäknąwszy:

— Ja tu przyjechałem do pana hrabiego z prośbą o pełną łaskę..... której, spodziewam się, musi być pan hrabia

mi nie odmówi....—mówił to przerywającym głosem, aż się zasapał marszałek.

— *Oh! soyez sûr*, będę się miał za szczęśliwego dogodzić jego życzeniom, rozkazom.....—zrobiwszy poruszenie rzekł hrabia.

— Nie wiem, czy pan hrabia *musi być* wie.... że ja mam zamiar żenić się.

— Ah!—z uśmiechem zawołał hrabia.

Odkrząknąwszy marszałek, tak dalej mówił:

— Mając jaki taki mająteczek.... chciałbym się podzielić z osobą dobrą, miłą i ładną.....

— Ale naturalnie!

— Otóż odwiedzając tu sąsiednie dwory, nikt jednak tyle nie wzbudził we mnie afektów.... co panna Maryanna Zielonka, a pana hrabiego wnuczka, *musi być*: czy tak?

— A tak istotnie wnuczka — z rozpromienioną twarzą odpowiedział hrabia.

— Pan hrabia, ja słyszał, *musi być* u niej i u jej rodziców... ma głos stanowczy.... i chociaż nie wątpię, że gdybym sam prosił nie odmówiliby mnie; jednakże pan hrabia *musi być* zna moją nieśmiałość i *tego*..... (odkrząknął). Dlatego ja pana hrabiego proszę, ażeby mnie oświadczył i ażebym już zapewniony jego listem.... na śmiało mógł do Międzyborza przyjechać i powtórzyć....

— Oh! panie marszałku, zanadto dla naszej familii czynisz pan zaszczytu—chwytnąc go za rękę zawołał hrabia.—I ja, jój dziadek, dumnym będę z tak wielkiego dla mój wnuczki związku; bądź więc pan marszałek pewnym, że dziś jeszcze, jeśli każeś pojadę, i listem jak każeś natychmiast cię uwiadomię. O przyjęciu wątpić nie można i nie powinienes.—i znów podsunął się do ręki kłaniającego się a zasapanego wysileniem marszałka i uściskał ją serdecznie—to rzecz tak bagatelna—mówił dalej.—Obowiązek, który na mnie wkładasz, marszałku, będzie najmiłym jakiego w życiu dopełnić mogłem.

Marszałek po tém wysileniu znów do swój małomówności powrócił. Hrabia uradowany podać kazał śniadanie, ale marszałek wymówił się i po krótkim jeszcze zabawieniu, odjechał, zapewniony, że hrabia natychmiast do Międzyborza pojedzie i listem choćby dziś jeszcze o skutkach swój missyi doniesie.

Zaraz po wyjeździe marszałka, kazał hrabia zaprzęgać i zajeżdzać, i ubrawszy się w niedźwiedzią ogromną szubę, wsiadł do eleganckich sanek na mahoniowy kolor pomalowanych, z futranem z przodu nakryciem, niebieskimi po bokach kutasami ozdobionych. Puchalski z otwartą gębą uczepił się z tyłu, furman w ogromną bermycę się ustroił, i posunęli po ujeżdżonym śniegu lekko i żwawo do Międzyborza.

Zimą daleko krótszą była droga z Leszczyna do Międzyborza, albowiem ogromne jezioro w lesie, które objeżdżać było potrzeba, zamarznęło w téj porze, dozwalało przejechać na prost; pod Międzyborzem znane nam jeziorko podobnie zamarznęło, skracalo także drogi o wiele.

I w owę chwilę, nie można powiedzieć, ażeby Międzybórz nie przedstawiał się z pewnym wdziękiem: chaty szare pokryte śniegiem, ugarnirowane błyszczącymi sopłami lodu, drzewa zamrozią pokryte, w fantastycznych przedstawiały się kształtach; a bór sosnowy szumiał tajemniczo dokoła, strzepując ze swych gałązek lekkie śniegowe igielki.

Zajechawszy przed ganek, wysiadł spiesznie hrabia, syknąwszy i fuknąwszy na Puchalskiego, który mu niezgrabnie przy wysiadaniu rękę podał; kazał koniom zatrzymać się, w sieni spiesznie szubę zrócił i zwrócił się szastając nogami do pokojów. W pierwszym nie było nikogo, ani w gabinecie; w sali dopiero zastał pana Piotra, Emilią, Marylkę i Adasia, wesoło rozmawiających i siedzących około stołu, na którym stała taca z kawą.

— Jak się macie? — mówił zasapany i prędko do podbiegającego do niego pana Piotra; Emilia powstała i ucałowała go w rękę, podobnie jak Marylka; on zaś spojrzawszy na Adasia, na którego twarzy ślady dawnéj troski i choroby już nie było, i dawna wesołość i figlarność osiadły, skłonił lekko i dumnie głowę, na co mu Adaś odpowiedział ukłonem grzecznym, ale zimnym.

— *Vous avez du monde*, a ja z tak ważną rzeczą do was przyjechałem, i ani chwilki czasu nie mam do stracenia.

— Ależ stryju dobrodzieju, *traż choć popasty koni*.

— Nie, nie, proszę was tylko *à l'ecart*, bo to rzecz ważna — spoglądając na młodą parę, ciszej mówił hrabia.

I pan Piotr i Emilia ciekawi, zwrócili się z nim do pokoju pana Piotra.

Gdy weszli we troje i drzwi za sobą zamknęli, hrabia rzekł sapiąc:

— Szczęśliwi ludzie, wam samo szczęście lézie w ręce, bylebyście tylko chcieli korzystać. *Imaginez.....* przyjechałem tu z prośbą marszałka, który się, o szczęśliwcy! o waszą Marylkę oświadcza przezemie—i patrzył na nich, będąc pewnym wrażenia, jakie na nich sprawi.

Ale p. Piotr i Emilia zamiast się cieszyć, spojrzeli po sobie tak, jak gdyby to dla nich była rzecz zwyczajna.

— *Nol cõto, to samo, co wygrać wielki los na loteryi.*

P. Piotr wreszcie odezwał się:

— Wdzięczni jesteśmy marszałkowi a stryjowi dobrodziejowi, ale w tym względzie sami nic stanowić nie chcemy, bo to od Marylki zależy.

Syknął hrabia i spojrział z przestraczem na Emilią, która zdawała się potwierdzać słowa męża.

— Ależ jeżeli jój pozwolicie być tak samowolną jak dotąd, to może znów jaki grymas pokaże.

— Zawołaj Piotrusiu Marylki—rzekła Emilia spokojnie.

P. Piotr wyszedł, hrabia mówił dalej:

— Bo na ten piérwszy związek z Alfredem, już nic nie mówię, *passé*, chociaż nie do darowania, że odrzuciła partyą tak świetną; ale tu, gdzie milionowy majątek!... *Un mari un peu avancé en âge*, to prawda, ale przy którym *elle pourait faire tout ce qu'elle voudrait.....*

Weszła Marylka z rumieńcem na rozweselonój twarzy, p. Piotr za nią.

— Marylko—rzekła matka—p. marszałek oświadcza się przez dziadzię o twoją rękę; rób co ci się podoba, masz zupełną pod tym względem wolność.

Marylka poważną zrobiła minkę, zbliżyła się do hrabiogo patrzącego nań z ciekawością i przestraczem, wzięła jego suchą rękę i pocałowawszy, ozwała się:

— Mój dziadziu kochany! już widzę, że się na mnie gniewać będziesz za to, co ci powiem; lecz jeśli się będziesz z marszałkiem widział, powiedz, że wdzięczną mu jestem za ten zaszczyt, jaki mi jego prośba o rękę przynosi, że szacunek i przyjaźń zachowuję i zachowam dlań nazawsze; ale.... ale ręki mu mojej oddać nie mogę.

Cofnął się hrabia kilka kroków i wytrzeszczył na nią oczy pełne zadziwienia, gniewu i jakby zgrozy; potem przyszedłszy do siebie, syknął mocno i przeciągle i usta mu zadrżały.

— Wiesz—mówił prędko—być tak głupią jak ty dziewczyno, to nie do opisania; jakiegoż u licha konkurenta oczekujesz?!

— Takiego dziadziu, który mnie kochać i którego ja kochać będę.

— *Bêtise!*—mówił z przyciskiem, hamując gniew i siadając na krześle—wszystko przypuszczałem, ale do tego stopnia uporu i jakiejś, jakiejś *je ne sais quoi*... to nie do zniesienia; dosyć, że ja zawsze żalować muszę moich zabiegów i fatygi.

— Wdzięczni stryjowi dobrodziejowi będziemy zawsze za jego dobre dla nas chęci—rzekł p. Piotr.

Znaczące to były słowa do hrabiego, dlatego też hamował się w swój złości.

— *Ha! que faire*, trudno, ale że nie umiecie szczęścia chwycić, to i to prawda.

Marylka ukłękła przy kolanach dziadka, ucałowała mu rękę, dziękując za jego przyjazd i dobre chęci. Hrabia się jeszcze zżymał, pozostać nie chciał, odmówił kawy, i mruczając „dziwaczy“ odjechał.

XVI.

Pięknieto na wsi, gdy maj swe skarby rozłoży po ziemi, gdy bzy i czeremchy zakwitną, trawki się zazielenią, drzewa nowym i pełnym zaszumią liściem, a słowik w gęstwinie ozwie się pieśnią miłości; wówczas wszędzie ładnie i najniewdzięczniejszego nawet położenia okolica, przybiera powab właściwy, któryby można porównać do twarzy nieładnej, lecz miłej. Jakaś błogość, odrodzenie, które i na nas działają, odbijają się w każdym tworze, w każdej roślinie, w każdym żyjątku.... Cóż dopiero puszcza, las, gdzie tak wiele i tak rozmaitej bywa roślinności, gdzie począwszy od źdźbła świeżej, zielonej trawy, od pierwiosnka kryjącego się gdzieś u stóp starego dębu, aż do śpiewów ptastwa, wszystko rozkosznie, radosnym drzeniem, zda się swój byt oznaczać.

To też ładnie było w owe porę w Międzyborzu. Otaczający go las w świeżym, zielonym przystrojonym szacie, szumiał wesoło, radośnie; po nim rozlegały się odgłosy ptastwa, pszczoły i muszki brzęczały wśród liści, a woń ziół i kwiatków leśnych napelniała powietrze. I gwar wiejski, fujarki pasterzy i klaskanie ich batożków, pełniejszym się po lesie rozchodziły echem; jeziorko czyste z zielonemi aksamitnymi brzegi, brzmiało chórami żabek, a drzewa we wsi i dworskiego ogrodu pełniejsze przybrawszy kształty, malowniczo zacięniały domostwa.

Kłomby dziedzińca pokryły się kwiatami, bez biały i niebieski leniwo kołysał swe kity, roznosząc zapach dokoła.

A ogród nam znany jakże znów pięknym był w owe porę! Alec lipowe jakże majestatycznie znów wiązały swe konary, tworząc sklepienie od słońca nieprzebyte, roznosząc po swych ulicach półcień zielonawy!...

Ulubiona Marylki alea gęstszymi jak zwykle liśćmi umajona, w całej swój majestatyczności i wdzięku rozciąga się przed nami. Ulica wymięciona, sucho na niej i czysto jak na toku w stodole; muszki i pszczoły brzęczą po niej rozkosznie, motyle przelatują między grubemi lipowemi pniami, a schylające się ku zachodowi słońce, złoci gdzieś gdzie z zewnątrz brzeżki konarów, i smugami światła ściele się po gładkiej ulicy, jakby rade zajrzeć chociaż z boku tam, gdzie się przez wierzech przedrzeć nie zdołało.

Na kamiennym ławeczce bieleje sukienka Marylki z niebieską przepaską, i miły jej głos i uśmiech dźwięczą zdaleka; koło niej Adaś. Zbliży się do nich.

Marylka z rozpromienioną twarzą, a razem z figlarną, jej właściwą miną, bielsza, bo jeszcze nie opalona; ładniejsza, ze świeższym rumieńcem, jak gdyby z majem nowych jej wdzyków przybyło, podparłszy białą swą rączkę pod brodę, w drugiej bawiąc się parasolką, zdawała się obojętnie słuchać, co jej Adaś mówił. Ten znów w całej swój postaci wielką okazywał odmianę od poprzedniego widzenia: twarz jego niezwykłym jakimś życia tchnęła wyrazem, oczy jego łzawe z miłością zwrócone na Marylkę, zdawały się pieścić, napawać jej widokiem. Wpół siedząc, wpół klęcząc ze złożonemi przed nią rękami, ładnym był w owe chwile Adaś; po chwili stłumionym nieco i drżącym przemówił do niej głosem:

— Czyliż potrzeba, ażebyś ci słowami, zimnemi wyrazy objawił to, co me serce czuje dla ciebie?... Marylko! mamże ci wicznie powtarzać że cię kocham, kocham nad życie?! Marylki twarz i oczki zabłysnęły w ową chwilę wyrazem tryumfu, i serce mocniej zabiło na to magnetyczne słowo *miłość* z ust tego, którego oddawna kochała, a dla którego wszakże pozornie być obojętną usiłowała. Zręcznie to przelotne wrażenie utaiwszy, zaśmiała się niby szydersko i obojętnie, postanowiwszy mścić się za cierpienia, które on swą mniemaną dla Hiacynty miłością jej sprawił, a następnie poważną zrobiwszy minkę, odrzekła:

— P. Adamie, dotąd myślałam, że żartujesz, ale mówisz tak szczerze, że jak mamę kocham, każesz mi wierzyć; a więc powiem ci otwarcie, że mi uchybiasz: żartować ze mnie nie pozwolę i nie powinieś.

— Jak to rozumieś?

— Rozumieć, to najłatwiej, to rzecz najprostsza: że kochając się niedawno tak zapamiętała w Hiacyncie, chcesz mnie wziąć za tak ograniczoną, ażebyś twoim chwilowym jakimś zapewne czułościom uwierzyć chciała.

— Ależ tamto, zechciej zrozumieć najdroższa, było szaleem tylko, częmsi gorączkowym, chwilowem, z czego sam sobie zdac sprawę nie umiem...

— Czyliż to drugim szaleem być nie może?

— O! przysięgam ci Marylko na szanowne cienie moich rodziców, na pamięć tych chwil szczęśliwych, w których dziećmi będąc, po tym biegaliśmy ogrodzie, łapiąc motyle i zrywając kwiatki, że miłość moja dla ciebie jest świętą, czystą, prawdziwą, wieczną... Jam się oddawna do ciebie przywiązał, oddawna kochał jak siostrę, oddawna nauczyłem się szanować twoich rodziców, którzy mi moich zastępują...

Marylka spuściła główkę, ukrywając wzruszenie i pokręcała ją niby z niedowierzaniem. Adaś mówił dalej po chwili z tęsknotą i obawą:

— Czyliż mam być tak nieszczęśliwym, Marylko, że w twém sercu ani cząstki współczucia dla siebie nie znajdę?... Marylko! powiedz, powiedz, zaklinam cię!

I biedny Adaś prosił tak tęskno i szczerze, z taką obawą i wzruszeniem, że potrzeba było wielkiej zręczności Marylki, ażeby od swéj zemsty nie odstąpić i nie odpowiedzieć: kocham

cię, kocham mój drogi. Jednakże bawiąc się parasolką, niby na pół żartem, obojętnie odrzekła:

— Przyznam ci się kuzynku, że nie rozumiem cię dobrze... Kochać!—i kiwała filuternie główką—czyż to tak łatwo, czyż sercu nakazać można, ażeby kochało tę lub tego?... Kochać! có się to p. kuzynowi zachciéwał..

— Marylko! ty żartami chcesz mnie zbywać...

— Bo téż to uważam za żart tylko.

Biedny Adas ręce załamał boleśnie.

— A! więc moje marzenia, moje nadzieje mają być czczeni marami tylko. Jam się spodziewał Marylko, że samotna moja Komarowa stanie się kiedyś dla mnie siedliskiem szczęścia, gdy przy tobie i dla ciebie tylko żyć mi pozwolisz. Obrazy te uśmiechały się do mnie, obrazy cichego, spokojnego, lecz najszczęśliwszego życia; ale nierozważny byłem, że zanadto pewny byłem siebie, i zarozumiały, sądząc, że przy skromnym moim mająteczku uszczęśliwić cię zdołam...

Z wyrzutem spojrzała Marylka na Adasia i radaby była z wymówką wystąpić, ale zamilkła.

— Ale czemuż — mówił dalej Adas z gorzkim uśmiechem i tęsknotą — czemuż ci godni ludzie, gdy im wyjawilem miłość ku tobie, gdym im za rękojmnią jedyne szczęścia mego, posiadanie ciebie przedstawił: czemuż mnie uzuchwalili przyciskając ze łzami do swych piersi, zezwalając z ochotą, i twojej jedynie woli zostawiając rozrządzenie twój ręki—i łzy zabłyśły mu w oczach, i głos mu zadrżał.

Ale Marylka mścić się postanowiła, za bolesne chwile pamiętnéj niewzajemności, i figlarnie zaśmiawszy się, zapytała:

— A gdybym ja téż kuzynku miała podobnie jak ty kiedyś serce zajęte kim innym, to co wtenczas?

— Wtenczas—z rozpazą prawie mówił Adas—byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi.

— Żałuję cię kuzynku, bo nim jesteś według swego zdania—i westchnąwszy, przybrała tak poważną minkę, tak obojętnie zaczęła coś rysować parasolką po ziemi, że biedny Adas uwierzył.

— A więc to prawda...! leczi któżby śmiał?...! któżby to był?.....

— Zabawny kuzynek, *któżby śmiał*—i zaśmiała się—ten mógłby śmieć, któremubym pozwoliła wejść do mego serca.

Adasiowi oczy zaiskrzyły się przykrym, prawdziwego smutku i zazdrości wyrazem; zdawał się szukać w swój myśli.

— Ależ powiedz mi Marylko, któż przecie? Tu z podobnych nikt nie bywa.

— Ale będzie bywał, poznałam go niedawno u cioci generałowej.

Adaś nie bywał u generałowej, mógł więc nie znać osób u niej bywających; zwłaszcza że wiedział, że generałowa teraz radaby mieć z końców świata konkurentów do swych córek.

Smutno, prawie z rozpaczą załamał ręce, głowę zwiesił na piersi i westchnął ciężko.

— Jeśli to szczerze mówisz, Marylko...

— O! najszczerzej, nie widzę powodów tajenia przed tobą téj okoliczności.

— A więc żadnej mi nie pozostaje nadziei tego, co jedyném szczęściem być dla mnie mogło, bez czego dla mnie samotność, tułactwo, grób... Ha! jeżeli więc kochasz, życzę ci z serca Marylko, ażeby twój wybór padł na człowieka godnego ciebie. Jeśli usłyszę kiedyś że cię uszczęśliwił, zdala od was, ucieszę się prawdziwie: to będzie jedyną osłodą moich chwil czarnych, smutnych i ciężkich, które odtąd widzę przed sobą... Lecz być tu przy was, koło was, nie zniosłoby skrwawione serce moje: usunę się gdzieś daleko. Z przykrością może przyjdzie mi moje małą i miłą Komarowę opuścić, w której obiecywałem sobie tyle szczęścia, która najdroższy pomnik dla mnie, bo dworek moich rodziców posiada; przykro mi będzie rozstać się z wami, których tak kocham, przy których kilka chwil jasnych w mém życiu zabłysło: ale porzucić was muszę. Proszę cię tylko o jedną łaskę, Marylko—biorąc jej rękę rzekł dalej drżącym głosem— ażebyś jeśli cokolwiek dla mnie bratniego zachowała uczucia, wspomniata o mnie czasem; o mnie, który, wierzaj mi, w codziennych odtąd modłach prosić będę za ciebie i za tych godnych ludzi, którzy mi drogich rodziców zastąpić byli w stanie. Jeżeli kochasz, bądź szczęśliwą Marylko... a ja cię żegnaj. Na co dłużej rozkrwawiać serce; żegnaj na długo, może na zawsze.

I Adaś wzięwszy jej białą rączkę cisnął ją do swego serca i pocałunkami obsypywał, a łzy płynęły po ładnej jego twarzy. Nie czuł nawet, że ręka którą trzymał drżała; nie widział wzniesionej piersi i łez, które w oczkach Marylki zabłysły, zdradzających wahanie się w utrzymaniu zamierzonej roli.

— Ale Marylka do końca mścić się postanowiła i zapytała niby spokojnie:

— Chcesz jechać? czy znowu na Podlasie?

— Gdziekolwiek, byle nie tu, nie w tych stronach. Jutro lub pojutrze już mnie w tych stronach nie będzie.

— Tak prędko!...toż z ciebie kuzynku romantyk. Ale jedź, jedź, jeśli cię to tak wiele ma kosztować, widząc mnie szczęśliwą?

— Czyż powną jesteś, że będziesz szczęśliwą?

— Prawie pewną, bo znasz mnie kuzynku, że mój wybór z waszych serc bardzo trudny. Jestem grymasna i nielada co mi się podoba; ależ dość już tych jeremiad, chodźmy do domu.

I powstawszy spiesznie, Marylka zwróciła się ku domowi ze swobodą i lekkością, z rozweseloną i zarumienioną twarzą. On powstał niechętnie ze spuszczoną głową, chmurny, niepewnym za nią postępując krokiem.

— Zaręczam ci kuzynku — kładąc rękę na jego ramieniu i idąc ciągle mówiła Marylka — że się wkrótce pocieszysz, zapomnisz tak jak Hiacyntę, i powiesz nawet w końcu, że nie była warta, tak jak ona, twego przywiązania.

Adaś smutno i z wyrzutem na nią spojrział: przedmioty kołowały się w głowie biedaka.

— Ja zapomnieć ciebie? o nigdy! Jakże mnie nie znasz, Marylko!

Gdy weszli do sali przez drzwi szklane, spotkali Emilią wychodzącą z przyległego pokoju, która spojrzawszy na twarz Adasia zniechęconą, kiwnęła znacząco, jakby z wyrzutem na Marylkę; ale ta kładąc paluszek na ustach, zdawała się prosić, jęj aby działać pozwoliła.

Adaś zbliżył się do Emilii, ujął jęj rękę i z gorzką tęsknotą wymówił:

— Marylka zakrwawiła mi serce swą odmową. Pozostać dłużej w tych stronach jest dla mnie niepodobienstwem; niemniej jednak życzę jęj z całej duszy szczęścia, życzę jęj więcej aniżeli sobie. A dla was szanowni państwo, których dom uważałem za drugi rodzicielski, nazawsze zachowam przyjaźń, wdzięczność i uwielbienie bez granic; boleję tylko nad tępem, że los mi odmawia szczęścia jedyne, że od dzieciństwa ściele mi pod nogi ciernie, które mi odtąd aż do grobu towarzyszyć będą. Jeżeli dość będę miał siły wyjeżdżając z Komarowej na długo, może nazawsze, jeszcze raz wstąpić do tego szanowne-

go dworu, to was raz jeszcze uścisknę i łzami obleje ręce wasze, żegnając was i ją—spojrzał smutnie na Marylkę i westchnął ciężko;—jeżeli zaś nie, listownie wam moje prześlę pożegnanie—i ze łzami całował rękę Emilii, która podobnie mając łzy w oczach, z wyrzutem spojrzała na Marylkę.

Ta jednak jak poprzednio paluszek na swój buzi położyła.
— Czyż takie jest stanowcze Marylki postanowienie—zapytała z nieznacznym uśmiechem Emilia.

Marylka westchnęła niby, spuściła oczki w ziemię.

— Ah! tak moja mamó—odrzekła.

— Marylko!—zaczęła Emilia, ale ją mściwa dziewczyna proszącym gestem wstrzymała.

Adaś zrozpaczony nie zważał tego wszystkiego; czując tylko głęboki smutek z niewzajemności Marylki, bolejąc i zazdrozcząc, że kto inny, którego nie znał, został szczęśliwym, do którego serce dziewczęcia przyłgnęło. Po chwili pożegnał raz jeszcze Marylkę cisnąc jej dłoń do swych piersi, tęskniami jak poprzednio żegnając ją wyrazy i życząc szczęścia w przyszłości; uściskał rękę Emilii, której lekkiego uśmiechu nie widział, pana Piotra pragnął także pożegnać, ale go nie było...i...odjechał.

— Ależ słówko o miłości Adasia.

Miłość jego do Marylki wzrosła niedawno, była wszakże prawdziwą czystą i trwałą. Po wiadomym nam pierwszym jego szale do Hiacynty, który istotnym był tylko szalem, gdy znów zaczął bywać w Międzyborzu, gdy przy boku Marylki powoli zaczął zacięrać ślady bolesnego przejścia, gdy jakoś baczniej jak dotąd zwracał na nią uwagę i porównywał ją z innymi, z Hiacyntą: odkrywał w niej odtąd coraz nowe skarby przymiotów duszy i ciała, i uczucie prawdziwe, przywiązaniem od dzieciństwa i wspomnieniami lat dziecinnych razem przebytych podniesione, wzrosło w młodem a pocziwém jego sercu, i dziwił się, że mając od tak dawna skarb ten tak blisko i tak często przed oczyma, potrafił pójść za popędem szalu, i że teraz dopiero przejętym był prawdziwém dla niej uczuciem. A Marylka z każdym dniem stawała się dlań powabniejszą, z każdym dniem wzrastała i nabierała w nim sił jego miłość. Jemu teraz tak miło było przyjechawszy do Międzyborza, pośmiać się z nią, pożartować, posprzeciwiać; posłuchać jej dźwięcznego, metalicznego uśmiechu i głosu, popatrzeć w jej ładne oczki, wycałować jej pulchne rączkę, chociaż Marylka

nietylko nie wydawała się ze swém niemniej prawdziwém a dawniejszém uczuciem, ale nawet w miarę dostrzegania budzącęj się w ukochanym skłonności serca, usiłowała być dlań ozięblejszą, ostrzej i bardziej seryo mu odpowiadając, udając czasem dąsy, gdy jój rączki zanadto całował. Pojąć łatwo radość wewnętrzną serca przejętego uczuciem, które widzi rodzącą się w ukochanym, a zwątpiała już wzajemność; pomnąc jednak boleść, jaką jój sprawił mniemaną dla Iliacynty miłością, postanowiła, jak wiemy, mścić się udaną obojętnością. A Adaś z każdym dniem prawie bywając w Międzyborzu, rojąc przyszłe obrazy szczęścia, do których mu Kalinowski wiele dopomagał, swobodnie i wesoło dawał się rozrastać swemu uczuciu, nie przypuszczając, by mu udana niewzajemność Marylki do urzeczywistnienia nadziei mogła się stać przeszkodą. Wyjawiwszy swą miłość i swe zamiary panu Piotrowi i Emilii, którzy go do swego przyciskając serca, do Marylki odesłali; od niej téż, jak wiemy, tak smutny dla siebie wyrok usłyszał.

Po odjeździe Adasia, Emilia rzekła z wymówką do Marylki:

— Nacóż go tak smuczisz? Biedny chłopiec aż się zmienił; to znów niedobrze, może mu to zaszkodzić.

— Moja mamciu, nic mu nie będzie, a to i zemsta moja i trochę próby.

— A jak pojedzie istotnie, tak jak mówi?

— Nie bój się, mamciu, przyjedzie on tu jeszcze; zresztą o to jestem najspokojniejsza, to moja rzecz. Ale długo, długo ceregielów jeszcze przejdzie, zanim mu podam tę oto niebrzydką rączkę—i przebierając paluszkami w powietrzu:—niech się dowie, że to nie tak łatwo dostać jój można.

— Gdybym nie była pewną jego szlachetności, jego sposobu myślenia i jego miłości ku tobie, Marylko, wierz mi, nie byłabym tak pochopną i nie zezwoliła tak śpiesznie na ten związek.

— Mama myśli, że ja tego nie pojmuje: odgrywałam i odgrywam rolę nadzwyczaj trudną, ale na swoim postawić muszę i zemścić się za te chwile, które przeżyłam.... Ale moja droga mamo, coto na to powie dziadzio, ciocia, siostry? Ah! wie mama, że to będzie paradne: dżeszty łaski stracimy i tytuł nasz *pocziwój szlachty* nazawsze się już ustali.

Gdy noc nadeszła, noc cudna, pogodna, z jasnym niebem, na którym księżyc w pełni świecił wśród miriadów gwiazd; gdy chóry zabek jeziornych ozwały się harmonią pełną, wśród lasu ni-
knącą: Marylka otworzyła okienko swjej komnatki, i stanęła w niem jak kiedyś. Woń bzu i akacyi, i świeży powiew wieczorny ożywiły komnatkę; ogród szumiał lekko świeżemi liśćmi, na których gdzieniegdzie perlila się rosa.

I stała tak jak kiedyś, ale wtenczas księżyc lśnił się w lezkach smutku i tęsknoty, wtenczas pierś wznosiła się ciężko i boleśnie; dziś jakże odmienne uczucia miotaly jej sercem! Z podniesioną główką do góry, ze złożonemi rękoma chwytala radośnie pełną pierś świeże i aromatyczne ogrodu powietrze, w oczkach łez nie było, na twarzy osiadł wyraz słodkiego spokoju i radości, a usta modlitwę dziękczynną do Boga szeptały...

XVII.

Nazajutrz rano, gdy Marylka już ubrana krzątała się wesoło z kluczykami po dworze międzyborskim, Joasia przybiegła do niej z oznajmieniem, że Kalinowski przyjechał konno i koniecznie się chce z paniąką widzieć, że jakiś strasznie zafrasowany, i że czeka w jadalnym pokoju.

Marylka spiesznie wybiegła.

Istotnie koło drzwi stał Kalinowski krzając, w swym zwykłym stroju, lecz w nieładzie, z rozczochranym siwym włossem, z wyrazem smutku a razem bojaźni w twarzy i z oczyma jakby ze świeżemi łez śladami, sapiąc, z otwartą gębą, mnąc słomkowy kapeluszek w rękę.

— Dzień dobry Kalinosiu! jak się masz?

Stary w miejsce odpowiedzi schylił się do kolan Marylki i zasłochał.

— Co tobie, mój Kalinosiu? — nieco przełknięta zapytała Marylka.

— Ja tu *prawde powiedziałszy* — mówił szlochając stary — przyjechał z prośbą za moim ukochanym paniczem, żeby się pannulka nad nim ulitowała... Taże on się zmarnuje, zagryzie *het precz i ze wszystkiem*; taże on chce cudować, Komarówę chce puszczać w dzierzawę: slychane to rzeczy?... a sam chce jechać w świat, *het*, gdzie go oczy poniosą. Jak pójdzie, to ja go stary i nie zobaczę więcej. Wciąż jeno płacze

u desperuje, że pannulka go nie chce, a mnie za każdym jego westchnieniem, jakby kto, *prawde powiedziałszy*, rozprawał nożem. Niech się pannulka nad nim ulituje.... pannulce będzie u nas dobrze: u nas dwór skromny, ale się powiększy, a my będziemy chuchać i pyłki zmiatać przed pannulką, i ja stary będę się cieszyć, że przy was będę mógł pracować,....

— Mój Kalinosiu, ależ jeżeli ja go nie kocham, to cóż zrobić?—ze współczuciem patrząc na starego zapytała Marylka.

— Czemu pannulka nie ma jego kochać? Toć chłopiec jak lalczka, a dobry, a pobożny; toćżeście się razem *prawde powiedziałszy* wychowali: jak pannulka zechce to i pokocha—i całował ją po kolanach z płaczem, prawdziwy smutek zdradzającym, tak, że się Marylka już zawahała; jednakże obojętnie niby zapytała:

— I tak naprawdę wybiera się wasz panicz jechać?

— A jakże! Powiada, że musi wyjechać, a gdzie? ot sam *prawde powiedziałszy* nie wie. Gada jak w gorączce; dziś ma rozporządzić wszystko, posłał już po Kopasiewicza i jemu w dzierzawę chce puszczać, a jutro powiada wyjedzie—i zaszczołał stary.—A ja z nim chyba pojedę, ho ho, pojedę, bo co jaby bez niego robił? Ja go na rękach *prawde powiedziałszy* swoich wypielegnował, a Komarowój mnie szkoda: tam tak ładnie, i teraz tak ładnie, tak zielono, a sosny szumią i las.....

— Mój Kalinosiu, zanim pojedziecie, przyjdziecie tu dziś choćby jeszcze z p. Adamem na pożegnanie. Powiedzcie mu, że ja proszę niech przyjedzie i to wcześniej, żebyśmy się mogli nacieszyć wami, kiedy w tak daleką i długą puszczać się podróż.

Stary zrazu zrobił minę ciekawo uradowaną, ale w końcu znowu głowę spuścił i wzdychał.

Z upartą dziewczyną nie było rady: chciał coś mówić, ale go Marylka „do widzenia“ mówiąc pożegnała i wybiegła. Stary załamał ręce, postął chwilę i wyszedł, a dosiadłszy starego kasztanka, jak smutny przyjechał, tak niepokieszony odjechał.

W kilka godzin potem przyjechał Adaś. Gdy wszedł do sali w której Emilia z Marylką siedziały, przestraszyły się kobiety: tak był od wczoraj zmienionym, tak oczy jego były obłąkane, twarz blada, i usta zsiniało. Przywitał ich czule z tęsknotą oświadczając, że przybył pożegnać się z niemi.

— Marylko dość już tego.... zemściłaś się okropnie....

I gdy Marylka spuściwszy oczki zdawała się już zezwalać na ukończenie téj zemsty, Emilia wzięwszy jój rękę i podając ją Adasiowi, rzekła:

— Nie odjeżdżaj Adasiu, Marylka tylko zemścić się chciała za twoję mniemaną dla téj Hiacynthy miłość: szczerze jest ona do ciebie przywiązana i oddawna....

Że Adaś nie odszedł od zmysłów w téj chwili ze zbytku szczęścia, to dziwnie; zrazu nie wierzył oczom i uszom, ale w końcu widząc przed sobą zarumienioną Marylkę ze spuszczo-nemi oczkami, z figlarną minką, upadł przed nią na kolana i całując i cisnąc jój ręce do piersi, płakał i śmiał się z radości.

Na to wszystko wszedł p. Piotr, i widząc to zaczął śpie-wać basem piosneczkę ruską:

*„Daj nam Boże dobryj czas
Tak u ludzi jak u nas;
Weseliłeś całyj rid
A Adasiowi na perid....“*

I nastąpiła uroczysta chwila przyrzeczeń, oświadczenia mi-łości i przywiązania, uścisków przyszłego zięcia i błogosła-wieństwa rodziców, a łzy rozrzewnienia zabłyły w oczach te-go całego grona.

Szczególnym zbiegiem okoliczności, w owę uroczystą chwi-łę usłyszano trzask z bicza i turkot jakby kilku powozów.

O! jakże nie w porę przybywali goście dla naszych kochan-ków, którym potrzeba było samotności na wzajemne wylanie uczuć, na rojenie obrazów przyszłego ich szczęścia!

— Pewnie generałowa albo hrabia—zawołał p. Piotr— Jeżeli oni; to jakby umyślnie na uświęcenie zaręczyn waszych przybywają—i wyszedł spiesznie na przyjęcie gości.

Istotnie zajeżdżała przed ganek pompatycznie karetą ge-nerałowój, za nią koczyk hrabiego z Puchalskim na koźle i z tłu-mokiem z tyłu.

Z karety wysiadła z chwianiem głowy, ze słodziutką min-ką generałowa. Pomagający jój wysiadać p. Piotr, pomyślał: w słodziutkiem baba usposobieniu, ani chybi, że za interesem przyjechała. Za nią wysiadła z ironicznym uśmiechem Hip-cia, następnie z trudnością stary hrabia, podobnie nadzwyczaj uprzejmy, choć sykający i narzekający na zdrętwienie nogi. Nie

zwyczajne uściśnienie ręki p. Piotra ze strony hrabiego, najoczywistsiej jakiś interes wróżyło.

Całe to grono gości, prowadzone przez kłaniającego się p. Piotra, weszło do sali. Emilia i Marylka zaczęły ich witać, Adaś kłaniał się obojętnie, lecz grzecznie. Generalowa ledwie raczyła kiwnąć głową, Hipcia nie zwróciła nań niby uwagi, a hrabia mrużąc siwe i wpadłe oczy i poprawiając kołnierzyki, lekko także kiwnął głową, syknął lekko, i jakaś niechęć przebiegła po jego twarzy.

Marylka poprzednią wzruszoną sceną, była roztargnioną, nie zwracała nawet kilka razy uwagi, jak jój Hipcia docięła odprawą marszałkowi, i z widocznym roztargnieniem jój odpowiadała.

— Co tobie *Marie*, *tu es si pensive aujourd'hui?*—za-szeptala do niój Hipcia.

— Zdaje ci się kochanie; zresztą być może, bo dziś nie-zupełnie zdrową jestem.

Pokręciła główką Hipcia i patrząc na Adasia, znów za-szeptala:

— A mnie się zdaje, żeś ty tego roztargnienia i tój me-lancholicznój miny jaką masz, przejęta od tego blondyna; *dites moi*, co te za jegomość?— z cierpkością zapytala.

Marylki twarz się oblała rumieńcem z oburzenia; wiedzia-ła bowiem, że Adaś był im już znajomym, że go nietylko tu, ale i w innych domach niejednokrotnie widziały. Szczególniej téż obrazil ją ton lekceważenia, z jakim Hipcia o niego zapy-tala się.

— Dziwi mnie, że go nie znasz, a jednakże nie masz krót-kiego wzroku—z gorzkim uśmiechem odpowiedzala.

— Nie poznaje cię Marylko, *et je ne conçois pas*, że cię to moje zapytanie obraża; *mais ma parole*, że nie przypomi-nam go sobie. Aha, *j'y suis*, to ten *chose, chose*.....

— Ja mam się obrażać, za co? Moja Hipciu jakież po-sądzenie— i uściśnęła ją za rękę.

— Teraz rozumiem wszystko, jestem w domu—mru-gając oczyma mówiła Hipcia.

Generalowa była nadzwyczaj uprzejmą i mowną, hrabia żartował, dowcipkował, rozprawiał o gastronomii; czasem tyl-ko spojrzawszy w stronę, w której Adaś stał przeglądając nuty, z roztargnieniem, nie ochłonawszy jeszcze ze szczęścia, chmu-

rzył trochę i marszczył czoło, i kołnierzyki jakby gniewnie poprawiał.

Pan Piotr podobnież w niezwykle dobrym był humorze: ruskie wyrazy sypały się jak z rękawa, i dziwnie, że hrabia ani razu nic nie syknął. Emilii twarz była słodko uśmiechniętą, i zdradzała podobnież wewnętrzne jakieś zadowolenie. Podano do stołu: wszyscy wyszli i zasiedli stół w jadalnym pokoju, stół biały, skromnie, zawsze jednakowo, tak przy gościach jak i bez gości, zastawiony. Adasiowi wypadło miejsce koło Marylki, mógł jęj więc czasem życzliwe poszepnąć słówko; hrabiemu, jak zwykle, Puchalski usługiwał, zawiązawszy mu serwetę pod brodę.

Po sieni tymczasem kręcił się Kalinowski, który ciekawy przybiegł znów konno za paniczem, i zaglądając przez okna i przez drzwi, radby był podstuchać i wypatrzeć, co się tam z Adasiem działo. Udało mu się wreszcie dojrzyć przez uchylone drzwi od sieni wesołą i pełną radości twarz Adasia, siedzącego obok Marylki; i stary aż podskoczył z radości, dusza mu się zaśmiała. Pochylony na przód z nosem w lekko uchylonych drzwiach, z oczyma jeszcze łzawemi i wyteżonemi, z otwartą gębą, z niepohamowaną radością śledził Marylkę i Adasia, chcąc się całkiem upewnić i w swęj radości utwierdzić, i szeptał do siebie:

— O! i dała się przecież namówić, a nie pożałuje tego; ho! ho! nie pożałuje—i wykręcał się stary na pięcie i znów nos do szpary przytykał.

— Wyrażnie wesoły, o! śmieje się, o! Komarowa ocalała *prawdę powiedziałszy*...—i serdecznie radował się stary.

Tymczasem przy obiedzie dość obojętna toczyła się rozmowa o gospodarstwie, przyprawianiu potraw, o sąsiedztwach i t. p. Hipcia z ironią spoglądała na Adasia i szeptała coś do Marylki, która widocznie z większą uwagą słuchała tego, co jęj obok siedzący Adaś mówił. Hrabia niechętnie spoglądał na Adasia, gdy ten coś do Marylki przemawiał, i gdy ta, tak widocznie rada, słuchała słów jego.

Przy końcu obiadu pan Piotr dał znak Mateuszowi, który wkrótce przyniósł kieliszki i kilka butelek szampana.

Pan Piotr wysadziwszy korek jednéj z halasem, co się stało powodem krzyku generalowéj i Hipci, i nalewając wszystkim pieniaćcego się napoju, ozwał się uroczystie:

— A teraz, mili moi państwo, musicie wypić zdrowie.....
tój oto pary— wskazał na Marylkę i Adasia—której weselisko,
da nam Bóg doczekać, obchodzić niedługo będziemy.

Na to niespodziewane *dictum*, zrazu głuche panowało
milczenie; wreszcie hrabia syknął, ale tak przejmująco, mocno
i przeciągle, że się zdawało, jakoby silny wicher zagwizdał w ko-
minie, i jaszczurczym wzrokiem spojrział na młodą parę.

Generalowa z chwianiem głowy odwracając się do hra-
biego, zapytała:

— *Est-ce une comedie?....*

— Nie pani siostró dobrodziejko—zawołał wesolo pan
Piotr— to ani *komedya*, ani żadna *maszkarada*, ale prawda
wierutna.

Hipcia skrzywiła się ironicznie.

— Ależ zdrowie, mili państwo, wypijmyż proszę - nalegał
pan Piotr. Hrabia wrzał wewnątrz, usta mu drżały, nie wszakże
nie mówił, i uchwyciwszy jakby konwulsyjnie kielich, wychylił
go i postawił ze stukiem; generalowa z Hipcią ze skrzywieniem
umaczały usta i.... powstano od stołu.

Gdy w milczeniu nasi goście weszli do sali, hrabia zbli-
żył się do Emilii i do gabineciku wyprowadziwszy, a drzwi od
sali zamknąwszy, stanął przed nią sapiąc, założył ręce i rzekł:

— Jeśli to nie jaka farsa, to nie pojmuję waszego sumie-
nia, jak możecie zawiązywać los dziewczynie.

— Jakto stryju kochany?

— Nie pojmuję, jak wy rodzice kochający, możecie mar-
nować dziecko takim związkim, tak nagle...

— Ależ stryju, oni się znają od dzieciństwa, kochają się
szczerze; zresztą gdybym nie znała z gruntu charakteru Adasia...

— To wszystko bardzo ładnie—rzekł syknąwszy—chara-
ter, charakter, ależ Marylka mogłaby była dostać coś godniej-
szego, *faire une partie un peu plus brillante*, darujecie, nad
tego jakiegoś, jakiegoś.....— z ironią dodał.

— Takie jój jest postanowienie, i my, przyznamy się
szczerze stryjowi, radzi jesteśmy, że podobny jój wybór i z na-
szem dawném życzeniem ich połączenia zgodził się.

— Pięknie, ładnie: to też to najgłupsza zasada usamo-
walniać dzieci i wszystko robić co one zechcą.... Zresztą was
przekonać to to samo... W końcu powiem ci tylko, że tego
się po was nie spodziewałem, i że *finis coronat opus*. Głupi!

—dodał ciszej, i wszedł do salonu zostawiając Emilią, która po chwili za nim weszła.

Hrabia zbliżył się do generałowej, sapiąc i zerkając spod oka złośliwie na Marylkę i Adasia, którzy z sobą rozmawiali; Hipsia siedziała zdaleka z beczelnym ironii i pogardy uśmiechem.

— *Mais c'est infame*, głupstwo *au suprême degré* — rzekł pocichu do generałowej — *et nous partons*.

— *Partons* — odrzekła generałowa — *c'est du grec pour moi*. — Hrabia wyszedł i kazał zaprzęgać.

Rozmowa już jakoś nie szła gdy powrócił, goście poważeni, zapomnieli nawet, że przyjechawszy za interesem, potrzeba było mniej jakoś swój niechęci okazywać, i postanowili już dziś nic o interesie nie wspominać, i czém prędzej wyjechać.

Pożegnanie było zimne: hrabia szarpnął rękę lekko, gdy go Marylka ucałować chciała, Hipsia na wiatr jej pocałunek dała, i goście nasi nie kiwnąwszy nawet głową Adasiowi, wyjechali z wielkiem ukontentowaniem naszych narzeczonych.

Otóż i koniec mojej powiastki, z której nie wiem czyście choć trochę zadowoleni, czy postacie w niej działające chociaż na troszkę waszego zasłużyły współczucia. Stusnie jej zarzucić możecie, oprócz wielu innych niedostatków, brak efektu i dramatyczności; ale ja chciałem wam tylko przedstawić kilka obrazów z życia wiejskiego, z życia *poczcowej szlachty*, tak najczęściej nazwanej przez tych, którzy oczyma próżności i dumy na świat Boży spoglądają, a u których wyraz *poczcowość* znaczy to samo, co — *głupota*.

Jeżeliście cierpliwie doczytali do tego miejsca, choćbym was miał znudzić doreszty, muszę jednak, trzymając się zasad powieściowych, nadmienić w końcu, co się z osobami działającymi ostatecznie stało: czy poumierali, czy się pobrali lub rozwiedli i t. p. Związek Adasia z Marylką nastąpił w jesieni tegoż roku, w którym ostatni czytaliście rozdział; gości było dużo, był i stary hrabia wyświeżony, wystrojony, chociaż sykający i niechętny; była i generałowa z córkami z ironicznymi uśmiechami.

Dziś Komarowa jest przybytkiem szczęścia dwojga młodych małżonków, którzy pojmując życie i stanowisko wzglę-

dem swych poddanych i sąsiadów, miłością wzajemną, ciągłą pracą, serc czystością i duszy swobodą, kosztują szczęścia prawdziwego. Dworek prawie ten sam: odnowiono go tylko i przybudowano doń dwie oficynki. Sen ów niegdy Kalinowskiego sprawdził się zupełnie, i stary szczęśliwy drepcze jak dawniej około gospodarstwa, kuruje zwierzęta, i ścieżynką codziennie odwiedza gumniska i zamyka spichlerzyk, gdzie sosny szumią jak dawniej i bociany latem klekocą... A Międzybórz niewiele stracił na zameściu Marylki: odwiedza ona go często, gdyż tak blisko. Emilia często w Komarówę przesiaduje, a stara Kowalewska mieszka jak dawniej w swój stancyjce kuchennój, i gdy Marylka przyjedzie, kładzie jej kabały, odmienne (już wszakże we wróżbach od poprzednich.

Stary hrabia długo niechętném jeszcze patrzył na nich okiem; wreszcie przyjechawszy raz i drugi do Komarówę, gdy poznał bliżej Adasia, gdy go z całą przyjęto uprzejmością i obsypano wygódkami które lubił: pogodził się niejako i przestał przynajmniej wyrzekań głośnych przed wszystkimi na *mezalians* Marylki.

Hrabia Alfred, jak wiemy, ożenił się z Letkiewiczówną, i wzięwszy za nią znaczny posag, dopiął celu swych życzeń i nadziei; a tracąc go zawzięcie, długo nim zapewne cieszyć się nie będzie.

Marszałek już sobie wybił z głowy zamiar szukania żony; żalując swego wysilenia i zabiegów, pojąć dotychczas nie może, dlaczego mu Marylka odmówiła.

Grabowiec zawsze na jednej stopie: długi rosna, panienki rosna i dojrzewają, a konkurentów jakoś nie widać. Ktoby więc życzył sobie z młodych ludzi *dobrze* się na Wołyniu ożenić, niech jedzie do Grabowca, a generałowa *à bras ouverts* przyjmie go do swych córek.

WTÓRE ULAMKI HISTORYCZNE

z XVIII wieku.

W krótkim przeciągu czasu przychodzi mi ponowić téjże samej treści przedmiot dziejowy, co zawdzięczam literackiej uprzejmości Alexandra hr. Przezdzieckiego, który zasilił mię nowemi materyałami, jakimi są *gazety pisane* z czasów Augusta II. Poczët ich obejmuje dziewięć lat z panowania tego monarchy, a w szczególności rok 1717, 19, 21, 22, 23, 25, 26, 27 i 28. Lecz niestety, nader znaczne zachodzą w rze- czonym zbiorze przerwy w tygodniowo wydawanych numerach; mniej zaś od innych uszkodzony jest rok 1727, z którego po- daję dwa główne ustępy. Jeden z nich napomyka o okoliczno- ści zupełnie nam nieznanój, tojest: o załargach nuncyusza z marszałkiem W. K.; drugi przedstawia całkowite pasmo awanturniczéj do Kurlandyi wyprawy hrabiego Maurycyego de Saxe, syna naturalnego Augusta II i hrabianki Königsmark. Oprócz tego przytoczę i inne drobniejsze fakta, ścisły mające związek z ogłoszonymi w Bibl. Warsz. na luty r. b. wyciągami.

Porównywając dwóch tych jednocześnie piszących korre- spondentów, znajduje też same różnorodne wiadomości doty- czące się kraju, pojedynczych osób, miejscowości; też same nowinkiienne stolicy naszéj, lub w razie przebywania króla w dziedziczném swém państwie. A że oba donosiciele zgadza- ją się najzupełniéj z sobą co do szczegółów jakowego ważniej- szego zdarzenia, i co do daty mianowania senatorów, dygnitarzy świeckich i duchownych, lub ich zgonu; wszystko to utwierdza mię w przekonaniu: że rękopismienne gazety zasługują na wszelką wiarogodność, i że trudniący się onych redakcją, byli-

to ludzie zdrowo rzeczy biorący, ocierający się zblizka o magnatów i dwór królewski, słowem: dobrze świadomi toku rzeczy prywatnych i publicznych. Jeśli czasem donieśli co niedokładnie, to nie zaniechali następnie odwołać, lub stosowne uczynić sprostowanie. Lecz przystąpmy do zapowiedzianych wyciągów.

Z Wiednia *die 13 octobris 1717*. Król wicz JMé August, lubo jeszcze *die 6 praesentis* stanął tu, dotąd nie witał cesarstwa dla indyspozycyej swojej febry tercianny. Chcąc zaś król wicz ogłosić się katolikiem, *requisivit beneplacitum* cesarza JMci, które *cum summo applausu* odebrawszy, zaprosił do siebie xiędza nuncjusza Spinolę, aby publicznie mszą świętą w lokalu jego odprawił. Xiędz nuncyusz przybywszy do mieszkania król wicza d. 11, mszą św. miał publicznie przy bytności katolików i acatholiców. Po mszy *manifestavit* król wicz, iż się odtąd deklaruje dobrym katolikiem, i że nim był od pięciu lat sekretnie; tym zaś którzy się tam znajdowali *acatholicici*, podobnegoż życzył szczęścia.

Z Warszawy *die 9 julii 1722*. Dzis o godzinie 4 zrana król JMé divertował się do Maryemontu, recognoscować fabrykę *circum circa* pałacu erygowaną w winnicę.

Król JMé *die 24 octobris 1725* obchodził ceremonią w Marymoncie winobrania *in assistentia* Ichmościów tu przytomnych, a *die 29 octobris* przeniósł się do Czerniakowa na czteroniedzielną rezydencyą, zkąd tu przyjeżdżać czasem będzie na komedye włoskie, na których odprawowanie komedyanci włoscy z Saxoniej oraz z muzyką królewską przybyli.

Późniejsze doniesienie zawiadamia, że dla niewygody, niezdrowego powietrza i niepogody, zaniechał król po kilku dniach dalszego tamże pobytu i wrócił do stolicy.

Rok 1727.

Od 1722 r. sprawował w Warszawie urząd nuncjusza papieżkiego Wincenty Santini arcybiskup Trapezuntu. Musiał on być wielce żarliwym w utrzymaniu wiary katolickiej w czystości, a przytém za surowy w swoich czynnościach duchownych

i w wydawanych wyrokach. W czém zaś i w jaki sposób nadużył swój władzy, nie jest mi wiadomo, gdyż właśnie niedostaje kilku numerów gazety, któreby rzecz tę wyjaśnić zdołały. Że powyższy nasz domysł o nuncyuszu jest niepłonny, okazuje się z doniesienia pod dniem 6 marca:

„W poniedziałek Xiążę JMć Prymas (Teodor Potocki) odwiedzał wizytę JMć X. nuncyuszowi, u którego przez półtorej godziny bawił, gdzie miał temuż x. nuncyuszowi powiedzieć: że teraz nie tak są ludzie *zelosi pro ecclesia* jak przedtem bywali, zaczętem ostrożnie postępować należy, aby ten rygor nie poszedł *in postpositionem*“.

Poniżej zaś wyczytuje: „Z Rzymu die 14 *februarii* piszą, iż *interdicta* juryzdykeji x. nuncyuszowi przez marszałka W. K. *facta* (1), wielkie porobiła rozruchy, ponieważ Ojciec Św. i całe *cardinalitium collegium pro injuria s. sedis apostolicae*, mają i postać polskiego nie przyjmą (2), ani terazniejszego nuncyusza *revocabunt*, ani inszego nie przyszlą, póki taż juryzdykeja pomienionemu x. nuncyuszowi *non restituetur*. Obaczym tedy, co za *expediens* senatorowie i *ministri status* do Rzymu na przyszłej konferencyi obmyślą“.

Z Warszawy die 7 *augusti*. Słychać za pewne, iż już przyszły *revocatoriae* od Ojca Św. xiędzu nuncyuszowi, do czego mu dopomogli OO. Bernardyni tutejsi, przy listach króla Jmci *quaerelis suis*, że niejakiemu p. Zbrożkowi dworzaninowi xięcia kasztelana wileńskiego, który był do nich wstąpił, pomieniony x. nuncyusz wystąpić kazał. A gdy on wyniść nie chciał, posłał *vicecancellarium suum*, aby *sub obedientia* przyszedł do nuncyatury. Tam gdy *cum Definitore* stawił się, *compulsus* habit zdjąć, i ubrać się po świecku. O którą wioleńczyą żalił się zaraz definitor bernardyński. Gdy tedy Ojciec Św. wziął o tem wiadomość, posyłał zaraz po generała bernardyńskiego *sciscitando veritatem*; a gdy był upewniony, miał mówić: *nunquam tam prudentem virum putaveram haec fecisse* (3).

(1) Był nim Józef Wandalin z Wielkich Kończyc św. P. R. hrabia na Ossownicy Moiszach.

(2) Wyznaczony w poselstwie Jan Tarło Wda lubelski, jeszcze się nie wybrał.

(3) Na miejsce odwołanego nuncyusza zjechał na początku lipca 1728 Kamil Paulucci arcyb. ikoński i stanął u Kapucynów. W sierpniu zaś „przeniósł rezydencyą swoją *ad solitum* nuncyuszów *locum* do Teatynów“ (*Gaz. pis.*)

Z Drezna *die 3 septembris*. Król Jmć z łaski Bożej zdrów i zawsze wesoly, dywertuje się codziennie. I tak w Blaum o milę ztąd łowami różnych zwierząt czas trawił, gdzie ktoś człowieka zastrzelił. Panna grafowna Anna Orzelska przez wszystkie dni podczas tego dywertymentu, po kawalersku była ubrana.

Wyprawa Maurycego de Saxe do Kurlandyi. Dla lepszego zrozumienia toku rzeczy, przywieść wypada poprzednie okoliczności. Podeszły w wieku Ferdynand ks. kurlandzki, ostatni z rodu Kettlerów mieszkał w Gdańsku. Stany kurlandzkie zgromadzone w Nitawie, zapobiegając niesnaskom, jakieby po śmierci jego wyniknąć mogły, tajemnie obrały księżciem Maurycego de Saxe. Rzeczpospolita, do której wedle konstyt. 1589 r. Kurlandya po ustaniu linii męskiej Kettlerów wrócić się miała, obowiązała króla na sejmie grodzieńskim 1726 r. do ogłoszenia, że wybór Maurycego jest nieprawny i nieważny, i rozkazania mu, aby zrzekłszy się wszelkich roszczeń do Kurlandyi, dyplom elekcyi swojej oddał. Gdy Maurycy nie chciał być wyrokowi temu posłusznym; za nieprzyjaciela przeto na tymże sejmie ogłoszony został. Zagnalony okolicznościami wrócił do Saxonii, gdzie marzył o swej udzielnosci, utrzymywał związki z swemi stronnikami, nakoniec z bronią w rękę wystąpił. Posłuchajmy teraz, co w téj mierze i w jakim duchu przemawia społeczesny, że tak go nazwę, kronikarz tygodniowych wypadków.

Ze Gdańska *die 12 julii*. Przeszłego tygodnia przyjechali tu niektórzy oficyerowie Francuzi i Niemcy, czekając na grafa Moritza de Saxe jadącego tędy do Kurlandyi dla utrzymania swojej *pseudo* elekcyi i sekundowania swoich elektorów i adherentów.

Piszą z Drezna: na grafa Moritza *sensibilis assensus*, że nie pożegnawszy króla JMci odjechał *incognito* z Saxonii, ponieważ król przez kilku ministrów *requisiverat* go, aby wcale o Kurlandyi zapomniał.

Ze Gdańska *die 19 julii*—Graf Moritz de Saxe przejechał temi dniami tędy pod imieniem szlachcica kurlandzkiego. Oficyerowie Niemiec i Francuzi, jako téż i kilku szlachty kurlandzkiej, sporządzający tu mundury dla ludzi, z nim razem morzem odjechali. Xię Ferdynand kurlandzki nie determino-

wał jeszcze ztąd swój wyjazd do Kurlandyi, ile mając tamże nieprzyjaciół swoich (1).

Ze Gdańska *die 27 julii*—Graf Moritz wysiadł pod Lubawą w Kurlandyi, zostawiwszy w Gdańsku dwóch oficerów dla dokończenia munduru i innych prowizyj. Kurlandczykowie jego *adhaerentes*, czynią sobie wielką nadzieję utrzymanie *circa electionem suam*, deklarując: że nie zezwolą, aby księstwo miało być podzielone na województwa, *et non patiantur altercationem aliquam in suis juribus, privilegiis, et in libertate religionis evangelicae*.

Ze Gdańska *die 16 augusti*—Xię Ferdynand kazał publikować w Kurlandyi uniwersał swój *ad mentem* króla Jmci i Rzplitej, żeby szlachta i stany tameczne nie rekognoskowali elekcji grafa Moritza i temu nie assistowali. Graf Moritz fortyfikuje się na jednej kępie przy pewnym jeziorze, mając przy sobie trzysta ludzi, spodziewając się ich więcej; do której fortyfikacji sprowadził siedmnaście sztuk armat żelaznych.

Z Kurlandyi *die 28 augusti*—Graf Moritz ufortyfikowawszy się na wyspie *Usmeytz*, miał dość prowiantów i amunicyj wojennych, do którego przybywszy generał Lesse (raczej Lascy) z rozkazu cesarskiego requirował, ażeby ustąpił ztamtąd i wyniósł się za granicę. Graf do trzech niedziel prosił frysztu, ale mu generał i do trzech godzin nie pozwolewszy, obiecał go rugować z wyspy téj, poczem się oddalił. Gdy obaczono, że wojsko obrócone jest ku wyspie, graf Moritz zabrawszy co mógł z sobą uchodził ku Prusom; ale generał Lesse pogonił ordynował za nim, i niemal wszystkich zabrano, prócz samego grafa, który samoczwart uszedł—Regestr zabranych ludzi: generał leutnant Beling, camerher de Alter, graf Orngela, oberstlejtnant Galene, landsaft Glasenap, major Till, kapitanowie: Ormfeld, Brynken, Korff, Mersell, Roland, Lamar, (2) trzech kucharzów, kredencierz, lokaje, jedna kompania dragonii, druga piechoty; prochu beczek 140, armaty żelaznej 12, mąki beczek 2000 (3).

(1) Nie ruszył się z Gdańska i ciągle tamże przebywał.

(2) Opuszczam innych oficerów, których nazwiska nader są poprzekrećcane, inne zaś nieczytelnie wypisane.

(3) Na załączonym półarkuszowym planie piórem i ołówkiem kresłonym, znajduje się jezioro mające 14 mil obwodu, i blisko niego miasto Windawa. Na jeziorze wydane są dwie kępy; na większej

Ze Gdańska *die 6 septembris*—Xię Jmé biskup warmiński (Krzysztof Szembek) prezydent komisyyi kurlandzkiej *die 26 augusti* przyjechał do Nitawy w 500 dragoniej. Miasto *in armis sub vexillis* witało go. Najpierwej wstąpił do kościoła katolickiego, gdzie odprawiwszy mszą św. *condescendit* na ratusz *et fundavit jurisdictionem commissionis*. Poczém zalimitował sessyą, oczekując na innych PP. komisarzów. Stanęli także tam Ichmość mazowiecki (Stan. Chomętowski) i połocki (Stan. Dönhoff) wojewodowie w znacznej partyi wojska, i zaraz osadzili bramy miejskie i rynek. Jeden z między szlachty kurlandzkiej powitawszy komisyyą reprezentował *necessitatem convocandi status Curlandiae*, ale Ichmość komissarze odpowiedzieli: że nie inną intencyą tu zjachali, tylko *ad executionem* sobie *commissorum* od króla i Rzplitej—*Die 7 sept.* był czytany na komisyyi projekt *proscriptionis* grafa Moritza *ex ditionibus* nie tylko Kurlandyi, ale też całego królestwa i W. X. Lit. który po niemiecku i po łacinie drukować kazano. Dnia zaś następnego po wszystkich kościołach w Nitawie z ambon publikowana kassacya *electionis* grafa Moritza.

Z Warszawy *die 8 novembris*. Wczoraj tydzień przybył tu z Nitawy JP. Poniński łowczy wschowski, który donosi: że srebra grafa Moritza 110 grzywien wążące, oddane są na kościół katolicki; sześć par bogatych sukien tegoż grafa, rozdano na paziów i lokajów Jmé P. Nakwaskiego starosty ciechanowskiego za fatygi jego.

W dalszym ciągu rozwodzi się korespondent i to z wielkimi szczegółami o czynnościach komisyyi, o różnych zajściach i trudnościach do załatwienia tej sprawy; o zezwoleniu zwolnienia stanów kurlandzkich, nakoniec o rozjechaniu się komissarzów. Co się zaś dotyczy Maurycego de Saxe, dowiadujemy się, że po niepomyślnej swój wyprawie, wrócił do Saxonii i że zamysła wstąpić do szeregów wojskowych króla francuzkiego.

przyległej morzu, zrobiony jest okop mieszczący w sobie obozowisko grafa Morytza.

Pisałem w kwietniu 1853 r.

Tymoteusz Lipiński.

NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

ODDZIAŁ MONOGRAFII (*).

Historycy Warszawy.

Po dziele, które przedstawiało historią miast Rzpltej w ogóle, mówić z kolei należy o książkach, które przedstawiają historią jednego, ale za to pierwszego miasta. Dla kraju należało się pierwszeństwo, ale w kraju przed wszystkimi innymi gradami zwraca na siebie uwagę Warszawa. To stolica Polski *de facto* od czasu Zygmunta IIIgo, a przed Zygmuntem od czasu ostatniego z Jagiellów, to stanowczo wybrany gród sejmowy dla całej Rzpltej, a przed tym ostatnim Jagiellą, to jeszcze stolica książąt udzielnych, najpotężniejszych z krwi Piastów, którzy najdłużej prawo swoje i udzielnosc zatrzymali. Panowali oni tutaj jakby na wyspie w Koronie polskiej. Nastęrczała się nieraz chwila tym książętom, że mogli się przesiąść na tron królewski i oddalić przez to samo Jagiellów do Litwy; tak więc już od końca XIVgo wieku aż do czasów Zygmunta Starego, książęta mazowieccy wazyli szalę panujacej rodziny w Polsce, a liczylu wielu w Koronie gorliwych stronnikow i pomiędzy uczonemi, jakim był Długosz, i pomiędzy pierwszymi obywatelami kraju, jakim był pry-

(*) Zobacz Bibl. Warsz. T. IV, str. 69 z 1852 r.

mas Zbigniew Oleśnicki. Warszawa razem z niemi mogła przyjść do panowania nad Polską i do pierwszeństwa przed innemi grodami Rzpltej, ile że Kraków leżał na samych granicach kraju.

Losy Warszawy dziwne są w historii. Inne miasta rodzą się, budują, wzrastają w ludność, przywileje i domy; potem z kolei do pewnego znaczenia politycznego przychodzą, stają się składem pamiątek narodowych, siedliskiem wysokich władz i magistratur. Historią miast innych można pisać z roku na rok, po kronikarsku, bo co chwila następują się nowe dla niej fakta i nowe widoki. Są miasta i dawniejsze od Warszawy i późniejsze od niej, które coś więcej jak stolica Rzpltej mogą powiedzieć o sobie. Ta niepewność jednakże ma miejsce tylko względem dziejów pierwotnych miasta. Owszem później, a zwłaszcza od czasu, kiedy stała się Warszawa miastem koronnem i siedliskiem sejmów, wreszcie polem zabiegów stronnicych i burzliwych elekcij, podań jest tysiące, miliony: cała sztuka w ich umiejętnem wybraniu i artystycznym układzie zebranych bogactw. Nic dziwnego: byłato główna arterya życia narodowego, z której krew po wszystkich zakątkach Rzpltej sphywała i wracała zawsze do serca.

Historya Warszawy lat ostatnich jest historya kraju, jest historya Rzpltej całej; wszystkie zagadnienia, które rozwiązywała przyszłość, tutaj miały początek i ztąd wychodziły te wszystkie plany i zamysły królów. O Warszawę, o sejmy w niej zgromadzone, rozbijała się duma i widoki panów. Jeszcze za Zygmunta IIIgo, za Władysława IVgo, historia Polski była w Polsce; ale od czasu Jana Kazimierza kupi się coraz więcej w jednem mieście, które przodkuje każdemu ruchowi, z którego murów życie na kraj wychodzi. Czasy Augustów saskich stanowią tutaj drugi okres, w którym coraz więcej Warszawa nabywa w kraju znaczenia i powagi. Ojciec po wojnach szwedzkich i po konfederacyach, które zakończył sejm niemy, bawił się precudownie w Warszawie: budował gmachy, utrzymywał dwór Anny Orzelskiej, mustrował swoje wojska, dawał bale, reduty, maskarady, wreszcie wystąpił z kempementem pod Willanowem, o którym długo i dużo w Warszawie gadano. Syn zjeżdżał tutaj regularnie na sejmy, naradzał się z księciem prymasem, rozdawał ordery, strzelał do tarczy w ogrodzie saskim; a pobożna żona jego królowa, codzien gdzieindziej, po dwa i po trzy razy znajdowała się na nabożeństwie, obchodząc ko-

ścioty stolicy. Wgnany z Dreżna król August IIIci stanowczo osiedlił się w Warszawie, i w niej utrzymywał świetnie swój dwór ciągle przez lat siedm; i nigdzie krokiem przez ten cały czas nie wyjechał, chyba na łowy do Kozienic, albo na kilka godzin pod Marymont z Brühlem i księciem kurlandzkim. Historia Rzpltej od r. 1717 jest w samych tylko radościach pańskich i szlacheckich, w uctach, zabawach, wjazdach, kazaniach i processyach; Polska wtedy przez lat kilkadziesiąt strzelała na wiwat i nie troszczyła się o przyszłość. Otóż i tych chwil krótkiego, rzadkiego w dziejach naszych pokoju, wyborym była reprezentantem Warszawa. Za Augusta II więcej strzelała i wrzała życiem; za Augusta III więcej się modliła i brała do nauki. Epoka tych szczególniej lat siedmiu przed bezkrólewem Poniatowskiego, była złotą epoką dla miasta. Dawniejsi królowie często oddalali się na boje. Sobieski rzadko siedział w Warszawie, kiedy miał Willanów pod bokiem, a do tego długo przesiadywał na Rusi w Jaworowie i Żółkwi; August III, a płynęło to z jego natury, wszystkie swoje wspomnienia jakie zostawił w Polsce, przywiązał wyłącznie tylko do murów Warszawy.

Nie brak tedy faktów do historyi miasta z czasów późniejszych, ale, jakśmy powiedzieli, brak zupełnie źródeł do spisania pierwszych jego dziejów. Warszawa nagle jakoś z émy wieków powstaje, nagle podnosi się na stolicę udzielnego księstwa, i nagle zaczyna świetną rolę odgrywać w dziejach Mazowsza. Już w r. 1339 zjechali się tutaj posłowie papieżcy i sądzili sprawę Polski z zakonem krzyżowym w starym kościele św. Jana, który długo czekał jeszcze nim został świetną kollegiatą. Otóż ten wzrost miasta przed rokiem 1339, jest dla nas wielką do rozwiązania zagadką. Mamy legendy pobożne i podania o początkach miasta, piękne, poezją osnute o Warszu i Ewie, o lilisach płynących Wisłą do Gdańska; starożytnicy pokazują nawet miejsca najdawniejsze w Warszawie, na których mieszkać mieli Warsz i Ewa (o ile słyszeliśmy, te podania wielce się różnią pomiędzy sobą, bo jedne wskazują na dzisiejszą wieżę kościoła N. Panny, drugie na dawny kościółek św. Jerzego, dzisiaj fabrykę żelazną Evansa, i na dom narożny Starego-Miasta i Dunaju od Gołębiój ulicy), ale oprócz tych podań, nie prawdziwie historycznego. Co większa, drobne miasteczka polskie, znakomite kiedyś i nieznakomite, posiadają dyplomata, nadania, przywileje lokacyjne na magdeburgią; o Warszawie zaś nie wiemy nawet, kie-

dy została miastem. Wprawdzie kalendarze krakowskie z wieku zeszłego, pomieszczając na tytułowych kartkach swoich różne daty, które się zawsze zaczynały tém, że od stworzenia świata upłynęło lat tyle a tyle, oznaczają bliżej rok założenia Warszawy, a raczej erekcyi jej na miasto (1251—2—3); ale któżby się dzisiaj na tych podaniach, podobnych może do Warsza i Ewy, zasadzał? Przywilej lokacyjny Warszawy zaginął, i najusilniejsze starania uczonych, niczego w tym względzie nas nie nauczyły. Są ślady, że ten dyplomata znajdował się jeszcze pod koniec r. 1617 w archiwum Starego-Miasta; ale kiedy za wolą starszyny, wszystkie prawa i przywileje Warszawy zebrane zostały w jedną całość 1692 r.: erekcyjnego dyplomatu już w niem nie było, bo oryginał praw z r. 1692, doszedł do naszych czasów. P. Wejnert słusznie się domyśla (1), że w przeciągu tych lat 75, od 1617—92, przywilej nie przypadkiem, ale przez złą wolę osób interesowanych zaginąć musiał. Na dowód tego przytacza, że w téj właśnie epoce lat 75, powstało w Warszawie ośm nowych jurydyk. Nic naturalniejszego: panowie, którzy te różne osady i miasteczka swoje zakładali pod stolicą Rzpltej, chcieli być sobie niezawisli na swoim gruncie; a nie ma wątpliwości, że Stare-Miasto, niby jako matka nad dziećmi, bo nad przedmieściami swojemi, pewną opiekę rozciągać chciało. Oryginalny przywilej lokacyi pierwotnej Warszawy wskazywał pewnie granice jurydykcyi miasta i szerokość jego władzy. Jeżeli się go zniszczyło, oczywiście wszystko szło w zamęt: i prawa, i granice, i stosunki nawet jurydyk do samego miasta. Wejnert dalej uważa, że nie zginął przywilej ani w czasie dwukrotnego szturmu Szwedów, ani téż w czasie napaści Rakocgo: bo naprzód ani Szwed, ani Rakocy nie mieli w tém interesu, żeby walczyć z przywilejami miasta, a powtóre, co nierównie ważniejsze jest, wszelkie inne przywileje, które chowano kiedyś na ratuszu Starego-Miasta w skarbcu, dodziśdnia istnieją w oryginałach; jednego tylko przywileju lokacyi nie ma. My sądym, że w istocie przywilej ten zginął w czasie wojen szwedzkich za Jana Kazimiérza, lubo nie w skutku najścia szwedzkiego. Ukazujemy tu tylko na czas, który najstosowniejszy był, podług nas, do popełnienia kradzieży, której się wydawca *Starożytności Warszawskich* domyśla; wtenczas wśród powszechnego zamętu i oszołomienia umysłów,

(1) Bibl. Warsz. 1849 r. Tom IVty, str. 163.

kiedy dzisiaj niepewne było jutra, mógł ktoś z interesowanych uchwycić przywilej. Sprawca był widać i potężną i przemyślną osobą, bo razem z oryginałem zniszczył wszystkie kopije przywileju, kiedy go uczeni znaleźć dotąd nie mogą. Nie sposób przypuścić, żeby nie było tych kopij; dla sprawy jednak kradzieży oryginał był tylko ważny, ile że widać nigdzie oblatowany nie był w aktach publicznych: przynajmniej zachowując nam kopiją, byłby się grzecznym pokazał dla nauki. Kopija nie miałaby znaczenia urzędowego, ale nauczyłaby nas całej prawdy o początkach miasta.

Jednakże historycy warszawscy powinni by przeglądając dzieje pojedynczych jurydyk w XVIIym wieku powstałych, studyować nad postępowaniem i charakterem osób, które te jurydyki zakładały. Może kto nadał wtedy jakie większe przywileje swojej osadzie od innych: toby mogło obudzić podejrzenie. P. Wejnert wskazał ślad jeden—to jest czas; wartoby ślad drugi wyanalizować.

Wioski, które leżą w okolicach Warszawy, są od niej dawniejsze i poprzedziły dobrze miasto w historycznym życiu. Nie można zupełnie polegać na wiadomości, że książę mazowiecki Ziemowit zabity był na zamku ujazdowskim przez Litwinów: bo Strykowski pierwszy podał to nazwisko i nazwisko innej wioski, w której miał się stać ten wypadek, a wszyscy za nim powtarzali na ślepo. Z tego nie wypada jednak, żeby Ujazdów nie był starożytny: już w r. 1282 (13 lipca) Mikołaj kasztelan wiski, a syn Wojciecha na Jazdowie, mieniał się dobrami z Albertem biskupem kujawskim, i za Szawłowice brał Powsin, w okolicy naszego miasta (Rzyszcz. Tom II str. 118). Tak samo przytoczylibyśmy mogli wiele miejsc bliskich Warszawy, wspominanych tak dawno po dyplomatach; kiedy o tym grodzie, który je potem skupił naokoło siebie w jedną ziemię, powiat, okolice, zupełnie głucho. Paprocki cytuje jakiego dyplomata Konrada, pierwszego księcia udzielnego na Mazowszu, a brata Leszka Białego, które ni by datowane były w Warszawie i to jeszcze dobrze w pierwszej połowie XIIIgo wieku; ale krytyka historyczna podała w wątpliwość same dyplomata. Być może zresztą, że oznaczenie miejsca jest błędne, gdyż znajduje się o dwie mile od Warszawy wieś Warszawice, którą, że biorą za jedno z naszym miastem, wykazał już Tymoteusz Lipiński w jednym z przypisków do Starożytnej Polski. Jednakże te przywileje Paprockiego bardzo ry-

mują z podaniami kalendarzy krakowskich zeszłego wieku, i że musiało w nich być coś zasady, to także, zdaje się, nie ulega żadnej wątpliwości. Przy Jazdowie mogła powstawać Warszawa. Ztémwszystkiém dopiero w r. 1313 pierwszy raz z zupełną pewnością mówią dzieje o grodzie naszym: właśnie wtenczas po śmierci księcia Bolesława, trzech jego synowie dzielili się spadkiem ojczytym, który na trzy osobne kawaly pokrajali. W podziale tym wspomniano wyraźnie, że Warszawa dostała się Trojdenowi z Sochaczewem i Ciechanowem; więc musiała już wtedy być znaczném miasteczkiem, kiedy pomiędzy celniejsze osady mazowieckie książęta ją policzyli: boć w dyplomacie, naturalnie, wymieniali głównejsze grody. W lat dwadzieścia kilka potém, Warszawa już zaczyna zbierać swoje pamiątki, jest miejscem zjazdów i siedzibą udzielnego księcia. Tak wszystkie okoliczności na to kroją, że środek wieku XIIIgo dał początek stolicy polskiej.

Taka jest niepewność dziejów; nie więc dziwnego, że historycy naszego miasta, których się teraz dziwnym sposobem wielu namnożyło, musieli dopiero zbierać materyały, gromadzić rozpiezchnione wiadomości, i że do dziejów właściwych miasta daleko nam jeszcze. Może spisywać dzieje swoje Kraków, Poznań, Lwów i Wilno, ale nie może dotąd Warszawa.

Długo też zapominali o niej badacze historyczni. W naszym dopiero wieku, że pominiem opisy i dzieła specyalne, nigdy w dziejach oświaty i literatury niezapomniany ksiądz Albertrandi, zaczął się trudnić pamiątkami Warszawy, a pomiędzy innemi napisał dzieje kapituły u św. Jana, dzisiaj zatracone z nieoczoną szkodą dla nauki. W późniejszych czasach, Gołębiowski zrobił o Warszawie dwa opisy, w dwóch oddzielnych redakcyach i w dwóch wydaniach. Była to książka bardzo ciekawa i jest dodziśdnia ciekawa dla wielu wiadomości, które w sobie zawiera. Nie jest to jednak historia miasta, ale raczej przegląd historyczny wszystkich osobliwości Warszawy: oczywiście, bardzo na dzisiaj szczupły i niedostateczny. Warszawa od r. 1815 zaczynała liczyć nową epokę swojego wzrostu i dziejów: zdobyła się w gmachy i przybierała postać wielkiego europejskiego miasta i stolicy kraju, której za Rzplitej nie miała. Książka Gołębiowskiego pokazała się więc bardzo w czasie: opisywała mieszkańcom miasta tego pamiątki z przed r. 1830, i dawne gmachy, które nowym ustępowały. Była to książka zupełnie dla

pewniej chwili napisana, niby przewodnik jaki, których tyle mają stolice europejskie. Była czytana.

Po Gołębiowskim, na skalę nierównie rozleglejszą, dla nauki już a nie dla próżnej ciekawości, rozpoczął badania swoje o Warszawie ksiądz Franciszek Xawery Kurowski. Nie miał on także, widać, myśli zająć się historią miasta, ale chciał raczej opisać wszystkie jego pomniki, niedorywco i nie dla jednej chwili dobrze, jak to zrobił Gołębiowski: pragnął wyczerpać całość, wypowiedzieć o tych pomnikach wszystko, co wypowiedzieć się da, jednym słowem chciał napisać historią, a raczej kronikę zewnętrzną Warszawy. Chodził sam wszędzie, w najmniejszy kątek zaglądał, kopijował napisy po gmachach, notował podania, które zasłyszał, wiadomości, które po książkach i rękopisach poznajdował, i takim sposobem utworzył spory zasób materiałów, z którego miał napisać swoje *Pamiętki Warszawy*. Spoczęła w nich praca mozolna i uporczywa lat blisko trzydziestu.

Zdaje się, że rękopism cały, który miał obejmować trzy grube tomy, nie ukończony jeszcze; lubo przed kilką już laty autor wchodził w układy z jednym ze znanych tutejszych przedsiębiorców, celem ogłoszenia drukiem *Pamiętek*. Z niecierpliwością zawsze nauka wyglądać będzie tego owocu starań zanego autora. Historycy naszego miasta umieją cenić te źródła, z których czerpał ksiądz Kurowski, a które dla nich już niedostępne. Oto w ciągu kilkunastu lat ostatnich, Warszawa nowe przeżyła przesilenie: jedna część ogromna miasta, gdzie był Żolibórz historyczny i Fawory, przestała istnieć, i żyje tylko w pamięci ludzkiej; oto z drugiej strony tyle nowych gmachów na miejscu starych zawałonych przybyło. Wszyscy my, którzy dzisiaj piszemy, już tylko z podania wiemy o wielu rzeczach i miejscach, które tu były wtenczas, kiedy ksiądz Kurowski ciągle od lat kilkudziesięciu przebywał i ciągle pracował w Warszawie. Ma on też skopijowany najmniejszy napis, który kiedykolwiek egzystował na jakim domu; ma rysunki kościołów i pałaców, ma o nich podania zaczerpnięte z ust starych ludzi, a więc z pierwszej ręki, od tych, którzy na wzrost gmachów tych i pamiętek różnych patrzyli. Otóż to właśnie, co jak powiedzieliśmy, dla historyków Warszawy dzisiaj jest niedostępne, do czego klucz jeden ksiądz Kurowski posiada. To, co w księgach drukowanych się mieści, nie jest i nie może być tajemnicą: od czyjejś pracy i odczytania się zależy, znać mniejszą albo większą obfitość źró-

deł, ogłoszonych publicznie; ale źródła mówiące i świadczące, często umierają. Jeżeli tedy ksiądz Kurowski zaklął w pismo swoje *Pamiętki*, jeżeli je zebrał wszystkie; nie dziw, że wyglądamy ich ciągle z utęsknieniem. Każdy dzień opóźniony w ogłoszeniu ich jest stratą. Mając już jedno, historycy Warszawy poszliby dalej, a tak zbierają i to jeszcze, co już ma ksiądz Kurowski a co dla nich jeszcze dostępne, i przewracają księgi, które on przewrócił. Szkoda podwójnej, a może i potrójnej roboty. Dzieło jego miało być tak podstawą dla przyszłego historyka Warszawy, jak dla monografii miast naszych podstawą jest *Starożytna Polska*.

O wartości jednak *Pamiętek* księdza Kurowskiego możemy już sądzić, bo kilkanaście z tych *Pamiętek*, większych i mniejszych, autor drukiem ogłosił: z cząstek godzi się wnioski robić o całości (1).

Autor zaczął dzieło swoje od ogólnych wiadomości o początkach i wzroście miasta; mówi o jego rozległości, opisuje następnie mury zewnętrzne, wały i bramy (Kal. polit. 1847). To pierwszy rzut oka na Warszawę. Teraz rozpoczynają się szczegóły: opisany naprzód zamek książęcy i królewski, potem rynek, który autor obchodzi razem z czytelnikiem, kamienica za kamienicą, rozpowiadając wspomnienia i wypadki nawiązane do poje-

(1) Oto, ile znamy, ogłoszone drukiem *Pamiętki*.

a) W oddzielnych broszurach:

1) Wiadomość historyczna o kościele metropolitalnym warszawskim pod tytułem św. Jana; w Warszawie, 1841 r. w 8cc. str. 175. To jest czwarty z kolei wyciąg z rękopismu księdza Kurowskiego (str. 7).

2) Wiadomość o kościele jezuickim (powtórzona w Przyjacielu Ludu, nie wiemy z pewnością roku, ale mniej więcej około 1843.

b) W artykułach umieszczonych po różnych pismach pojedynczych:

W *Pamiętniku Religijno Moralnym*, (Tom. I).

1) O kościele Dominikanów Obserwantów.

2) O kościele św. Jerzego.

W *Roczniku Religijnym Aleluja*: 1) Cuchthaus. — 2) Kościół P. Maryi, Tom 3. — 3) Brygidki. Tom. IV 1843. — 4) Sakramentki. Tom IV str. 51.

W *Kalendarzyku Politycznym Radziszewskiego*: 1) z roku 1842: Wiadomość historyczna o pałacu Krasńskich, 2) z 1845 r. o zamku warszawskim, 3) 1847 r. Rynek warszawski.

dynczych domów. Ze Starego-Miasta idzie na przedmieścia, opisuje tam gmachy i kościoły.

Głównie, co zarzucić możemy księdzu Kurowskiemu, jest ta dziwna zdolność kompilowania wszystkiego, co tylko gdzie drukowane, bez należytej na to uwagi, czy wydrukowane jest sprawiedliwe i prawdziwe. Drugi zarzut, że autor w porównaniu z dziełami, które przytacza, zamała ma wiadomości z archiwów. Jeszcze się mocno w *Pamiętkach historycznych Warszawy* przebijają szkoła Ursynowska; zbyt widać kompilatorstwo Łukasza Gołębiowskiego. Ksiądz Kurowski wszystkiemu wierzy, co gdzie wyczyta; rzeczy już przestarzałe, dawno zapomniane, pomiędzy legendy odrzucone, spisuje: to jest chcieliśmy powiedzieć, że w jego dziele zbyt ważną rolę dawną historią bajeczna Warszawy. Ta historia bajeczna zniknęła już przecie z dziejów narodu, powinnaby więc zniknąć i z całej przeszłości miast polskich.

Brak wszelkiej krytyki sprawił to, że do *Pamiętek* księdza Kurowskiego, oprócz starych błędów, które wszyscy ciągle aż do nas powtarzali, weszły i inne błędy—jego własne: bo często tam domysł nieszczęśliwie jest podany za prawdę. Zkąd np. wziął autor wiadomość, że wielki dom, podobno najdawniejszy w Warszawie, stojący na rogu Dunaju i Starego-Miasta (dzisiaj oznaczony nr. 48), był zajęty przez Władysława Jagiełłę, kiedy płynął wodą na objęcie Kujaw (nie wiadomo w którym roku miało być to objęcie Kujaw?); zkąd wiadomość, że tam w tym domie Witold i Kiejstut przebywali? Długosz, a za nim Wapowski, opisali najdokładniej wszelkie podróże po kraju Władysława Jagiełły; teraz z ich łaski wiemy nieledwie, gdzie każdy dzień król przebywał, a dyplomata świeżo wydane dopełniają nierównie lepiej i potwierdzają wiadomości przez Długosza nam w kronice podane. Otóż, ile wiemy, Jagiełło raz tylko jeden był w Warszawie u Ziemowita księcia mazowieckiego w r. 1426; płynął po Świętach Wielkanocnych na statku Wisłą do Kujaw; był w naszym mieście i w Płocku, zkąd na sejm zboczył do Łęczycy, a w maju był już z powrotem w Krakowie (Wapowski tom 2 str. 38. Gołęb. tom 1 str. 331). Ale nie jeździł wtenczas Jagiełło na objęcie Kujaw, bo, jak widzimy, skończył na Łęczycy. Poźniej już, ale łądem pojechał tegoż r. 1426 na przegląd stron zachodnich królestwa: był w Międzyrzecu, Wałczu i Drahimiu. Zkąd, gdzie się wzięło u księdza Kurowskiego to objęcie Kujaw,

które nie były przecież zawojowane od Krzyżaków? Witold był wprawdzie kilka razy w Warszawie, ale tu o to nam idzie, z kąd pewność, że i Jagiello i Witold stali w kamienicy na Starém-Mieście? Było daleko przyzwoicij dla nich stawać na zamku, a gdyby zamek nie pomieścił królewskiego dworu, naturalniej jakoś przypuścić, że książę mazowiecki prędzejby wyniósł się do kamienicy. Zresztą, czyż w którym z historyków naszych jest chociażby jednem słowem powiedziano, że król tu albo tam mieszkał w Warszawie? Podają fakt, że był w naszym mieście, ale żaden z nich nie zajmuje się jego mieszkaniem; ta okoliczność zdaje się więcj jak co innego, napominać na zamek.

Tak znowu podana jest wiadomość w *Pamiętkach*, na żadnem źródle nie oparta, bo autor nikogo w tém miejscu nie cytuje, że Dominikanie reguły św. Ludwika Bertranda, znani pod nazwiskiem Obserwantów, mieli pierwsiastkowo swój kościółek na Piaskach, tam gdzie dzisiaj koszary Mikołajewskie, i że Jan Kazimierz oblegając Warszawę, w której się Szwedzi zamknęli, postanowił i ślubował wystawić kościółek tymże Dominikanom po wojnie na tém miejscu, na którym tylko co leżał obozem. Byłato właśnie ta okolica na *piaskach*. Dalej autor podaje, że po przeniesieniu się Dominikanów do Warszawy, do tak nazwanj *kaptlicy ruskiej* pod Św. Krzyż, kapliczka na Piaskach coraz więcj marniała, aż dopiero pod koniec panowania Augusta II, proboszcz warsz. św. Jana, a suffragan łucki biskup filadelf., ksiądz Rostkowski, użył jej murów na zakład dobroczynny, w którym pomieścił Dom Poprawy (Cuchthaus). Co się tyczy téj kapliczki na Piaskach, żeby w niej mieli być pierwsiastkowo Dominikanie Obserwanci, Wejuert obiecał nas przekonać, że ksiądz Kurowski mylił się w swoim podaniu (Starożytności Warszawskie tom I. str. 368). Nie dotrzymał wprawdzie obietnicy, ale i nam się zdarzyło mieć pod ręką urzędowe dokumenta, świadczące o pierwszym osiedleniu się Dominikanów Obserwantów w Warszawie; nigdzie tam przecież wzmianki nie było o kościółku na Piaskach. Kościół warszawski tego zakonu był filiją kościoła w Górze Kalwaryi, a sam ksiądz Ambroży Skopowski założyciel i spowiednik Jana Kaz., człowiek światły i pobożny, pochodził także z klasztoru Góry Kalwaryi. Tak podania o Janie Kazimierzu, obozującym pod Warszawą, o ślubie jego, o nabożeństwie przed szturmem, o kościółku wreszcie na Piaskach, tracą poezyą. Jak nawet było te-

mu wszystkiemu wierzyć, kiedy w żadnym z kronikarzy, co tę smutną epokę dziejów opisywali, o faktach podanych przez księdza Kurowskiego nie ma wzmianki? Autor znalazł te fakta gdzieś zapewne w jakiejś broszurze i z dobrą wiarą powtórzył.

Że autor *Pamiętek* mało zażywał archiwalnych źródeł, to również zaraz na pierwszy rzut oka uderza. Nie ma jakoś ciągu, całości w jego obrazach; są tylko sztucznie powstawiane kawałki, złąd, zowąd, jakby mozaika, ale nie skończona. Czy podobna powiedzieć np., że wizyta księdza Młodziejowskiego, albo druga księdza Okęckiego (obiędwie pod koniec XVIII wieku odbyte), stanowią także źródło dla dziejów kościoła św. Jana? Jeżeli w tych wizytach są jakie ważne historyczne i nieznanne szczegóły, to jedno z dwojga: albo są z dawniejszych wizyt żywcem pożyczone, albo z akt urzędowych na nowo przez tych biskupów wyczerpnięte. Autor powinienby tego dojść, i sprawdzić podane wiadomości w oryginałach, i w samych aktach; a mógł to zrobić dokładnie, tém bardziej, że wszystkie archiwa duchowne stały przed nim otworem. Prawda, że los, który pod względem pamiętek niegrzeczny jest dla Warszawy, nie pozwolił odszukać także i pierwotnej erekeyi kościoła św. Jana; ale od r. 1406, kiedy osadzono w nim kolegiatę, od czasu kiedy znakomici członkowie duchowieństwa mazowieckiego, kanclerze, przyszli biskupi i podskarbiowie, jako księza, zaczęli zasiadać w gronie téj kapituły: powinno być coś więcej do powiedzenia i o kościele i o kapitule. Tymczasem ksiądz Kurowski ledwie trzy, cztery fakta wyjął z ksiąg doręcznych, pomiędzy nimi jeden z Korony Niesieckiego, drugi z Voluminów Legum, i na tém skończył historią kolegiaty. O funduszach prawie nic nie ma, oprócz tego, co w erekeyi. Ks. Edward Czarnecki, niedawno zmarły kustosz katedralny (w r. 1831), przygotował i zostawił w rękopismie podobną wiadomość, którąby warto drukiem ogłosić. Ksiądz Kurowski wie o téj pracy jedynie z podania.

Jakoś w tych wszystkich pracach nie znać systematu i nie widać żadnego celu. Każdy artykuł księdza Kurowskiego jest składem przeróżnych, ciekawych wiadomości, które napisy szczegółowo rozdziałów wyliczają, pełniąc tém samém służbę, jakby znaków kupieckich na sklepach: oto chór, organy, posadzka, okna, sklepienia, filary, dach, facyata i t. d. Taki sposób pisania bardzo wygodny: bo można wszystko odrazu pomieszać, prawie o czém się podoba, przerywać i powracać się raz wraz do przed-

ksiądz Paweł Redeki wytlumaczył je na polskie w części, w liczbie 25 dowodów. Dłaczegóż autor *Pamiętek* powtarza o tém wszystkiém stare baśni, które dzisiaj ujść nie mogą: że magistrat Starój Warszawy pełen gorliwości o chwałę Najwyższego, otrzymał od Stefana Wierzbowskiego biskupa poznańskiego, pozwolenie, i zawiązał pomiędzy sobą konfraternię literacką? Tymczasem przed Wierzbowskim już biskup Tolibowski zapisywał pewną sumę na fundusz temu bractwu w r. 1657; tymczasem są ślady nierównie dawniejszej egzystencji bractwa. Myśmy już w poszukiwaniach naszych do historii Warszawy, badając początku bractwa, do r. 1579 cofnęli się i ciągle odtąd widzimy ślad tego pobożnego zgromadzenia. Właśnie wtenczas w dniu 26 października 1579 r. stanął przed księdzem Wojciechem Pągowskim scholastykiem sandomiérskim, wikarym generalnym i officyałem warszawskim, ks. Wojciech Pruszczyński proboszcz kościółka św. Ducha, który nierównie dawniej już egzystował, jak powiadano dotąd, a którego nową historją te fakta stanowią, i razem z braćmi literackimi pokazał pozwolenie biskupa Łukasza Kościeleckiego, czyli erekeyą dla bractwa; przeciw czemu zaraz protestował ksiądz proboszcz Najświętszój Panny w Warszawie. Takim sposobem nie w r. 1669, ale w r. 1579 powstało bractwo; i nie Wierzbowski, ale Kościelecki był piérwszym jego założycielem. W aktach są ślady częstych sporów, jakie to zgromadzenie pobożne z kolci z innemi toczyło; widać było bardzo zgiełkliwe i lubiące wojnę, kiedy przenosiło się od św. Ducha do św. Jana, potém do Jezuitów, i znowu powróciło do św. Jana na stały pobyt za czasów króla Korybuta. Temu właśnie, że mało się zajmował ksiądz Kurowski ludźmi, przypisać należy i to ważne opuszczenie, że w monografii o Jezuitach warszawskich, zakonu *per excellentiam* naukowego, którego głównó zasługi albo przeciwzasługi płyną z nauczania, niczego się prawie nie dowiadujemy o professorach i szkołach. W jedném z dzieł swoich Hoffmanowa wspominała, pamiętamy, o jakiejściś instytucyi pobożnej przy kościele św. Jana, o dwunastu dzia-dach do posługi, i pięknie zachowała nam o téj instytucyi podanie, które zasłyszala z ust panów; dodając nawzajem i tę od siebie uwagę, że właśnie piękny tkwilby w tém wszystkiém przedmiot dla historycznej powieści (à la Notre-Dame de Paris). Ksiądz Kurowski téj instytucyi jednak nie uważał, bo nie znalazł o niej wzmianki w książkach, a może zresztą téj legendy nie uznał za

godną swojej wiadomości historycznej o kościele św. Jana. Ale wracając się do kapituły dawniej kollegiaty, czemuż było nie spisać przynajmniej o ile się to da, chronologicznego spisu prałatów warszawskich? Niech to będą same nagie imiona i daty, zawsze będzie zasługą. Niedawno ksiądz Łętowski podjął tę pracę dla Krakowa:—myśl śliczna, godna ze wszech miar naśladowania. Gdyby autor *Pamiętek* nie naśladował go, ale dał sam przykład, pewnieby tym sposobem zasłużył się nauce więcej, jak tym najniezgrabniejszym spisem ołtarzy, o których nic prawie powiedzieć nie umiał: kiedy założony, przez kogo, jakie miał uposażenie, jakie obrazy, jakie pamiątki. Na te spisy potrzeba wprowadzić inną obszerniejszą książkę, ależ w miarę godziło się i o ludziach wspomnieć w kronice.

Większą połowę ks. Kurowskiego książeczki o kościele św. Jana stanowią spisy nagrobków. Dawniejsze drukował już Starowolski w *Monumentu Sarmatarum*; ale ksiądz Kurowski te wszystkie opuścił: przepisał tylko inne, których w Starowolskim nie ma, to jest te, które on pomiął, albo które są od niego późniejsze. Tego nie rozumiem. *Monumentu Sarmatarum* nie każdy pod ręką mieć może, a każda monografia do tego, o ile można, powinna się starać o całość. Dobrze zaś zrobił ksiądz Kurowski, że nadgrobków na polskie nie przetłumaczył, jak to sobie zamierzył: naprzód niepotrzebnato rzecz wcale, bo dwa razy zabiera miejsce w druku, a powtóre jest w tej myśli tłumaczenia nadgrobków coś potwornego. Tłumaczyć można i trzeba historyków, jakimi są: Długosz, Fredro, Solikowski; ale nadgrobków, napisów, dyplomatów, tłumaczyć nie można i nie trzeba. Wielka zasługa wtenczas, kiedy się wydadzą w oryginale; w tłumaczeniu ocalone, tracą one połowę wartości, jeżeli nie całą.

Po najdawniejszym i najzasłużeńszym dotąd może historyku Warszawy, wypada mówić o tym, który wydanie jej pamiętek, na wielką i największą może zakreslił skalę, i dla którego sam ten pomysł wystarczy za prawo do pięknej zasługi. Mówimy o p. Wejnercie.

P. Wejnert jeszcze w r. 1847 ogłosił prospekt na *Starożytności Warszawy*. Nie było żywej duszy, żeby się nie radowała temu przedsięwzięciu, bo miasto nasze, nad którego dziejami tak mało dotąd pracowano, zasługiwało ze wszech miar na opis swoich starożytności. Zajęcie to tém bardziej w niewielkim tłumie archeologów wzrosnąć musiało, że pan Wejnert obiecy-

wał dawać same nowości. Nie miały to już być artykuły zlepiane na wzór dawniejszych z podań książkowych, ale obiecywały przed nami otworzyć nowe źródło dotąd zamknięte, to jest archiwa miejskie, ledwie znane z nazwiska, i akta metryki koronnej. P. Wejnert miał drukować oryginały i dyplomata; jednakże nie chciał autor być jedynie wydawcą starych przywilejów: owszem myślał pisać monografię. Text oryginalny dowodów swoich, prawa, nadania książąt obiecywał drukować w ciągu swojego opowiadania. Myśl śliczna, bo drukując same przywileje, wyda się dyplomatarysz, już tём samém że dyplomatarysz, dla ogółu niedostępny, a jedna monografia chociażby najnie dokładniejsza, już to krok jeden stawiony naprzód. Tak więc p. Wejnert, równie jak ksiądz Kurowski, nie zajmował się tyle miastem, ile pamiątkami Warszawy. Gromadzić miał także materyały. Obadwaj jeden drugiego dopełniali. Kurowski zasadzał się na powadze książę; Wejnert na powadze akt. Jak ksiądz Kurowski z nieufnością a raczėj z nieśmiałością brał do ręki przywileje, jeżeli je brał kiedy do rąk; tak Wejnert książki. Obadwaj byli jednostronni i bładzili. Ale w tём wyższość Wejnerta nad Kurowskim, że nie powtarzał za poprzednikami starych baśni, ale sam kopał w kopalni bogactw przeszłości.

Nieoceniona szkoda, że te *Starożytności* Wejnerta nie udały się. Smutno pomyśleć, ale nam jeszcze bardzo wiele do zrozumienia się, do światła niedostaje. W Niemczech lada miścina ma opisanе swoje pamiątki i dyplomatarysze; u nas, pierwsze miasto rozległego kraju, tak mało znalazło ciekawych ludzi, którzyby o jego losach dowiedzieć się chcieli! Wejnert obiecywał nam przynajmniej dziesięć tomów tych *Starożytności*; co rok miał wyjść tom jeden. Gdyby się udało przedsięwzięcie, ten zbiór dziesięcioletni byłby stanowił jedną tylko seryą, a wydanie p. Wejnerta zamieniłoby się w rodzaj pisma peryodycznego, którego zakres nie mógłby ściślej być oznaczony. Materyałów dla takiego miasta jak Warszawa, nie powinnooby na długo zbraknąć. Tymczasem zamiast dziesięciu tomów, autor dał nam dwa, a z różnych artykułów o Warszawie i z broszury, która oddzielnie wyszła, dałby się z biędą ułożyć tom trzeci. Otóż i całe plony, któreśmy sobie na tój drodze z radością kiedyś obiecywali (1).

(1) Dzieła p. Wejnerta, o których tu wspominamy, są:

1) *Starożytności Warszawskie*. Warszawa, w drukarni Józefa Unger, 1848 r. 2 tomy w 8cc, str. 383 i 411.

W tém, co nam dał p. Wejnert, trudno mu odmówić wielkiej zaślugi. Rozszerzył się naprzód nad herbem miasta, syreną, który, jak dowodzi, powstać miał z gryfa, herbu książąt mazowieckich, jako dziedziców na Belzu. Osobna rozprawa jest o herbie przedmieścia Pragi. Dalej rozdzielił nam miasto na składowe historyczne części; rzecz, którą zdaje się, całkiem omiął książę Kurowski, a którą Wejnert pierwszy dla nauki rozwinął. Każdej jurydyki określił nam oddzielnie początek, wzrost i granice, przywileje wyliczył, jeżeli jakie posiadała. Oprócz Starego i Nowego-Miasta, było w Warszawie 14 oddzielnych jurydyk, krom Pragi, która także pomiędzy wielu panów się rozdzieliła. Opis ratusza na Grzybowie, skreślony w osobnym artykule. Taryffa z r. 1792, która podaje ilość domów na Pradze (było ich 518), i wylicza skrzętnie ulice i właścicieli domów, jakkolwiek w książce o starożytnościach Warszawy jest zbyteczną; jednakże stanowi pamiątkę i pokazuje nam stan tego przedmieścia w czasie dla niego najświetniejszym. Otóż w r. 1792 na Pradze było 5 oddzielnych jurydyk, co dodawszy do jurydyk Warszawy, ogromną wyniesie liczbę 21 niepodległych jedna drugiej części, z jakich się dawna stolica Rzplitej składała. Były to, że tak się wyrazim, feodalne zabytki Warszawy wieków średnich, które za wpływem nowej cywilizacji wpaść musiały na inne zasady równości obywatelskiej. Autor skończywszy rzecz swoje o podziałach Warszawy, trafnie ocenia korzyści i straty z jurydyk dla Starego-Miasta, t. j. właściwego grodu.

Obok opisu części, druga rzecz w dziele p. Wejnerta nie mniej ciekawa, równie pomysłem piękna: sąto opisy historyczno-statystyczne szpitali warszawskich. Autor dał nam taką kronikę dwóch tylko zakładów dobroczynnych najdawniejszych,

2) Opis historyczny trzech kęp na Wiśle pod Warszawą i t. d. Warszawa, w druk. Banku polskiego, 1850 r. w 8cc. str. 156.

3) Opis historyczny zaślubin królewica polskiego Jakóba Sobieskiego i t. d. Warszawa, drukiem Stan. Strąbskiego 1851 r. w 8cc, str. 31 (jestto oddruk z Bibl. Warsz.).

4) Wiadomość historyczna o morowej zarazie; u Strąbskiego w 8cc, str. 42 (także oddruk z Bibl. Warsz.).

5) Różne artykuły autora w Bibl. Warsz. w latach 1847—1851 pomieszczone. Ostatnim z tych artykułów jest: Obchód uroczystości Bożego Ciała w Warszawie w XVII i XVIII wieku (Bibl. Warsz. marzec, 1853).

to jest św. Ducha i P. Maryi. Ważne są te artykuły dla dyplomatów i nadań książąt, które autor podrukował.

Nie miał jeszcze pola p. Wejnert, żeby się wdawać w szczegóły, ale opis trzech bram nowo-miejskich jest zupełną dla miasta naszego archeologiczną nowością. Kronika pałacu Kazanowskich, o którym jeszcze w opisie Warszawy Jarzembski wspomina, licząc cudy w nim widziane, bardzo zajmuje. Wiadomość o najdawniejszych widowiskach teatralnych w Warszawie do r. 1778, jest bardzo drogim przydatkiem do dziejów teatru naszego. Bogusławski pisał własne dzieje, to, na co patrzył; tutaj w artykule p. Wejnerta rozwija się szereg starań i zabiegów, czasami nawet intryg, na założenie pierwszego teatru w naszej stolicy. Rozpoczął szereg tych usiłowań Francuz Rousselois i Włoch Karol Cacino w r. 1768; zaprowadzali operę, balet, dramę, teatr razem francuzko-niemiecko-włosko-polski. Potem w tę sprawę wplątali się dwaj książęta Sulkowscy, możnowładcy owego czasu, którzy żyć chcieli i umieli żyć wystawnie, w posród zabaw i rozkoszy warszawskich. Sprzeciwiał im się trochę książę Stanisław Lubomirski, marszałek wiel. koron., do którego z urzędu władza policyjna nad miastem należała. Książę dbał o wygodę stolicy, starał się utrzymać wszelkiemi siłami teatr, żeby stał o własnych nogach, i żeby łaski panów, a zwłaszcza książąt Sulkowskich nie potrzebował; dbał co najwięcej o los artystów, żeby im się dobrze działo i żeby ich dyrekeya nie zwodziła; godził na to, żeby monopol nie zbogacał zbyt i tak już bogatych przedsiębiorców. Postać Ryxa często w tej historii na plac wychodzi. Tenże książę marszałek szlachetnie raz jeszcze w *Starożytnościach* miasta Warszawy p. Wejnerta występuje w artykule o pierwszych okopach otaczających Warszawę i Pragę. Bezpieczeństwo obywateli i spokojność wielce widac leżała temu panu na sercu, a kiedy zaraza groziła zdaleka Warszawie, sam książę nad nią czuwał i gromadził rozmaite środki ostrożności.

Musim jeszcze zwrócić uwagę na rozprawę p. Wejnerta, która ma za przedmiot wyjaśnić tę okoliczność, kiedy do Warszawy przeniesiono z Krakowa rezydencyą królów, a więc kiedy miasto nasze zostało stolicą Rzplitej. Rzecz to wiadoma, że Warszawa Zygmunтови III wiuna ten zaszczyt, a z nim nową epokę wzrostu i sławy. Zamek krakowski był nawiedzony dwukrotnym pożarem w r. 1595, i tak dalece podupadł, że nie mógł

Rzplitej została Warszawa z woli królów, nie z woli narodu. Zygmunt III zaprowadził zwyczaj, następcy go naśladowali w tym zwyczaju. Miała do tego Warszawa inne cechy, które jej nadawały znakomitą powagę w Rzplitej: to jest elekcyje pod Wolą i sejmy; a tak powoli ta historia, która nie pozwoliła, by z Krakowa zrobić prowincjonalne miasto, później już była po stronie Warszawy. Więc zawsze początek idzie od Zygmunta, a kiedy tak jest, każdy krok tego króla, który z Warszawy robił coś większego, coś silniejszego, poważniejszego jak było, jest faktem dla historyi Warszawy, i każda myśl króla jest faktem, chociażby skończyła się li tylko na projekcie. Zresztą niezupełnie na projekcie, bo w *Voluminach Legum* jest uwolnienie Warszawy od wszelkich ceł, wydane na tymże właśnie sejmie 1598 r., który i akt królewski zakwestyonowany miał zatwierdzić. Zrobiono zarzut p. Wejnertowi za wydrukowanie tego przywileju; zarzut zdaniem naszym wcale niesłuszny (1). Historyk przyszły miasta, który korzystać będzie z prac dzisiejszych, nie zapomni o tym dyplomacie; nie powie wprawdzie, że król w r. 1598 nadał miastu to, co się w akcie znajduje; ale powie, że chciał nadać, i że już pisany kazał wygotować przywilej, który przecież dla przeszkód niewiadomych, nie zyskał powagi urzędowej.

W Opisie trzech kęp pod Warszawą, p. Wejnert mało zrobił dla kępy półkowskiej, a mniej jeszcze dla kępy przy Belku (gdzie podobno naprawdę się pomylił, jak mu tego dowodził Lisowski, wzięwszy łachę wiślaną za wyspę); ale zupełnie nowe rzeczy nam rozpowiedział o trzeciej i największej ze trzech, kępie Saskiej. Tamte mniej też nas obchodzą, bo ich dzisiaj nie ma, a stara Saska kępa przeżyła już wieki i wieki jeszcze może przeżyje. Z największym zajęciem czytaliśmy historią tego małego kraiku, bo tam doprawdy cała jego historia; zacząwszy od pana Baryczki, który w r. 1597 wyciął na niej dęby, topole, olszyny niemалą ilość, i o to miał sprawę w magistracie (bo była kępa własnością miasta), aż do ostatnich chwil Stanisława Augusta, ciągle nas losy tej kępy zajmują. Główne Rzpltej imiona posiadały w niej grunta i ziemię: Ernest Denhoff wojewoda malborski, królewicz Jakób Sobieski, referendarz koronny Szczuka, pani z Bielińskich Denhoffowa i t. d. Mieszkali tutaj Holendry za Jana Kazimiérza, potem Riaucour rajca warszawski, który

(1) Bibl. Warsz. 1850, T. I, str. 144.

umiał swoje rodzinę do historycznych wynieść i dał Rzpltej syna biskupa. Od r. 1735 wdzierzał tę wyspę na lat 30 August IIIci; ale autor nic nam nie podaje, co robił król z nią, chociaż czynsze regularnie płacił. Zdaje się, że August myślał założyć tutaj sobie jaki zwierzyniec, w którymby mógł polować, i taki ogród, jak saski, w którymby mógł strzelać do tarczy; ale do wykonania tego nie przyszło. Jedną tylko uroczystość orderową król wyprawiał na Saskiej kępie (3 sierpnia 1754 r.). Że jednak August pierwszej myśli swojej nie porzucił, w tém widzimy dowód, że po upływie pierwszych lat 30 dzierżawy, na drugie lat 30 kontrakt odnowiono. Żałowaliśmy bardzo, że nie było do historyi téj wyspy jakiej mapy pomiarowej, jakiego krajobrazu owego państwa, którego losy tyle nas zajęły. Przypomnieliśmy sobie powiastkę p. Krakowowej, umieszczoną kiedyś w Wizerunkach wileńskich, pod tytułem: *Sasi na kępie*. Miał to być historyczny obrazek, a podał niestworzone dzieje i rzeczy. I zaraz przyszedł nam na myśl ten Baryczka wycinający lasy; imię jego wiele pamiątek ma w Warszawie. Jedno z drugiem związawszy, możnaby ze wszystkiego piękną utworzyć historyczną sielankę.

Zarzucono p. Wejnertowi i sprawiedliwie, że zbyt się wda-je w uczone wywody; że mówiąc np. o podziale Warszawy, wda-je się w rozumowania, czém były gminy we Francyi, a gdziein-dziej rozbiera, co znaczyło *jus asyli i jus patronatus*. W isto-cie, dla historyi Warszawy, pominąwszy już okoliczność, że te wywody nikogo nie nie nauczają, rzeczy to niepotrzebne wcale. Nic to jednak nie umniejsza zasług autora *Starożytności*, jakie położył dla dziejów swojego rodzinnego miasta. Mybyśmy prę-dziej p. Wejnertowi zarzucili zbytnią jednostajność w opisach: wszędzie cyfry i cyfry, wszędzie rachunki i taryfpy. Jeżeli hi-storya murów, jako murów, niewiele nas obchodzi; tém bardziej mniej nas obchodzić mogą te numeracye domów, te bezustanne szeregi dochodów i wydatków. Owszem, podziękować trzeba p. Wejnertowi, że w historyi np. szpitalów, rozwinął przed na-mi stan finansów tych dobroczynnych zakładów w różnych epo-kach; takie rzeczy wiele, bardzo wiele nauczają i są drogocennym materiałem dla przyszłych badań; ale zarzucamy p. Wejnertowi, że w stosunku do objętości jego dzieła, tych cyfr i rachunków zawiele. Zkąd to powstało?—Ztąd, że autor czerpiąc tylko z ar-chiwów, nie przewertował w stosownej ilości książek, i dlatego bardzo mało umiał urozmaicić swoje badania i zarysy. Tak na-

wet i w broszurce, którą napisał o weselu Jakóba Sobieskiego, sam opis wesela jest podrzędną rzeczą; autor wolał kilka szczegółów podać w listach, z kądnąd już znanych, które na końcu umieścić, a głównie mu chodziło o to, żeby pokazać, ile ta cała uroczystość kosztowała Warszawę. Są więc w broszurce ogromne wypisy z akt miejskich, zawierające billans wydatków Warszawy w najdrobniejszych szczegółach, na uczczenie wesela królewicza. W takim zbiorze cyfr niejedyn badacz znajdzie dla siebie coś ciekawego: ten, nazwisko nieznanego malarza, który był użyty do wykonania jakiej pracy artystycznej; drugi znajdzie datę, że w tym a tym czasie, taki a taki gzyms przybito na kościele albo na ratuszu; trzeci wyprowadzi jakie wnioski o rzemieślnikach miasta Warszawy i t. d.; — ale w ogóle te rzeczy zbyt są podrzędne przy innych tylu ciekawych, których składem być muszą akta miejskie. W Krakowie takie cyfry bardzo lubi zbierać Ambroży Grabowski.

Tak wszystkie prace p. Wejnerta, te nawet, które zdają się znaczeniem swoim wychodzić poza obręb miasta Warszawy, (np. wesele Jakóba), są ściśle poświęcone Warszawie. Jesteśmy mocno przekonani, że na tej drodze, którą sobie wybrał autor *Starożytności*, może więcej od wszystkich innych badaczy przynieść korzyści dla nauki. Jego myśl, żeby nie dawać suchych wyciągów z akt, albo samych tekstów przywilejów, ale żeby materiały zebrane przez siebie odlać w pewne monografie, ścieśnić w jednym opowiadaniu: najstosowniejszą jest przy ogłaszaniu takich pomników, dla jakich składem mają być jego *Starożytności*. Te monografie, jakie p. Wejnert powinien wydawać, nie mogą i nie powinny być zupełne; mają nam tylko o ile możliwości wszystko wypowiedzieć, co gdzie o jakim zakładzie, kościele, domu, funduszu, znajduje się w aktach. Gdyby p. Wejnert starać się chciał o dokładność i gdyby myślał obejmować całość, i dlatego książki przewracał: żałowalibyśmy darmo straconego czasu. Jego zadaniem jest mnożyć w druku materiał archiwalny. Jak się więcej źródła wyświecą, drugi już, późniejszy badacz, zestawi wszystkie wiadomości przez innych przygotowane w obraz historyczny, niepośledniej wartości.

Ze wszystkich historyków Warszawy, na najrozleglejszą skalę rozpoczął badania swoje p. Sobieszczański. Jak zdaje się, chce dać literaturze szereg monografij o naszym mieście już opracowanych. Napisał dzieło, w którym zamknął ogół wiado-

mości swoich o samą stolicę. To niby kanwa, wstęp do przyszłych badań, to zagajenie, w którym rysuje się obraz całego dzieła, jakie będzie. P. Sobieszczański ma zamiar opowiedzieć nam kronikę nie tylko zamku, kollegiaty i każdego kościoła, ale każdego celniejszego i niecelniejszego gmachu Warszawy (1).

Jego *Rys statystyczno-historyczny* jest w obecnej chwili dziełem doręcznym, potrzebnym każdemu, kto chce się bliżej zapoznać z Warszawą: ale dokładniejszy to nierównie rys od dzieła Łukasza Gołębiowskiego, które dotąd jedno miało przywilej, że było uważane za kronikę i monografię naszego miasta. Ten *Rys* nowy zupełnie zastąpił dawny *Opis Warszawy*. Są wprawdzie jeszcze w *Opisie* szczegółowe wiadomości, niewyczerpane przez p. Sobieszczańskiego, który zajmując się miastem w ogóle, nie miał jeszcze czasu wdawać się w zbytne drobiazgi; drobiazgi te i dzisiaj stanowią pewną wartość dzieła Gołębiowskiego, ale kiedy w rozwinięciu dzieła w opisie szczegółów, p. Sobieszczański przewyższy dawny elementarz obfitością i bogactwem faktów: *Opis Warszawy* zejdzie do rzędu tylko pamiątek literackich, pozostanie w katalogach bibliograficznych, i wspomni o nim później ten, kto będzie pisał w przyszłości historią monografij Warszawy.

I w tym właśnie, że *Rys* Sobieszczańskiego zastąpił *Opis*, leży cała zasługa dzieła. Książka to żywotna, bo stanowić będzie teraz podstawę dla innych badań. To taki początek dla Warszawy, jak Starożytna Polska jest początkiem dla historii miast Rzplitej.

Pan Sobieszczański ma szczególną zdolność w wyszukiwaniu materiałów, które mu do pracy jego służą. Ma nadzwyczajną cierpliwość, prawie niemiecką; i ztąd pochodzi, że zawsze chce wyczerpać przedmiot, i nikomu już nic do pracy nie zostawić;

(1) Tutaj należą: a) dzieło Sobieszczańskiego: *Rys historyczno-statystyczny i t. d. Warszawa, 1848 r. w 8ce str. 499.* Przedruk z Bibl. Warsz.; i b) z przyszłego dzieła, które nie wykończono jeszcze, następujące artykuły drukowane w kalendarzu Strabskiego na r. 1852: 1) Kościół św. Jana. 2) Brama krakowska; 2) Kronika pałacu Daniłowiczów, zwanego biblioteką Żaluskich. Jest także w Kalendarzu Powszechnym Orgelbranda na r. 1852 artykuł o pałacu w Łazienkach królewskich, a poprzednio jeszcze tamże w r. 1848 przetłumaczył p. Sobieszczański artykuł Zugha budowniczego z czasów Stanisława Augusta, pod tytułem: Ogrody warszawskie w r. 1784, i dopełnił go bardzo ciekawemi przypiskami.

z tą pochodzi, że nie żałuje żadnej fatygi i starań, a czego postanowił dostać, tego pewno dostanie. Ma wiele przecucia, bo wynajdzie to, o czém się nikomu nie śniło, a gdyby się i śniło, to nie wie jak do rzeczy ma trafić. Pan Sobieszczański znalazłszy jaki fakt, lubi go zaraz zewsząd oglądać i sprawdzać, porównywać z innemi, stosować do dat rozmaitych: to jest, lubi go prze-filtrować i wszechstronnie obejrzawszy, przepuścić przez kategorie swojej krytyki. Z tą pochodzi, że autor ten jest nadzwyczaj ostrożny, i że nigdy (naturalnie o ile jest człowiekiem), błędu żadnego nie powie. Może grzeszyć opuszczeniem faktu jakiego nieznanego sobie, ale nigdy powtórzeniem jakiejś starej baśni, lub skoszlawieniem wypadku. Główną zaletą p. Sobieszczańskiego są daty; a ma ich mnóstwo, więcej jak jakikolwiek autor, który pracował na polu przeszłości polskiej. Wszystko są to niezmiernie zalety, i jeżeli komu, to badaczowi przedewszystkiém potrzebne. Ale przy tém wszystkiém u p. Sobieszczańskiego jest mało życia, i jak to sprawiedliwie zauważył Kraszewski „brakuje mu dotąd, w rzeczy sztuk pięknych przynajmniej, większego rozmiaru pomysłów, i umiejętniejszego skorzystania z tego, co zbiera“. Za to jest, powiada p. Kraszewski, na co się chętnie godzimy, cierpliwość benedyktyńska, przejrzenie źródeł umiejętne, krytyczne, wytrawne (1). Pracą, pojęciem swojego przedmiotu, jedném słowem naturą historyczną, uważany li tylko jako badacz p. Sobieszczański, jest żywcem podobny do zasłużonego ze wszechmiar autora Starożytniej Polski Tymoteusza Lipińskiego. Żebyśmy wreszcie jedném słowem zakończyli charakterystykę p. Sobieszczańskiego: jestto najdoskonalszy i do tego krytyczny kompilator wszelkich wiadomości drukowanych i pisanych.

Rys historyczno-statystyczny Warszawy skąpy jest bardzo w wypadki aż do czasów Zygmunta IIIgo. Odtąd się obraz więcej rozwija: widać, że p. Sobieszczański do dziejów poprzedniej epoki mało przeglądał dyplomatury i starych akt ksiąg mazowieckich, które są w metryce koronnej. Z tą o tej właśnie epoce Warszawy mało jest wiadomości w Sobieszczańskim, i prawie nic nowego; jest to tylko, co wiemy z dawnych źródeł, mniej bajkami, które w tychże źródłach zostały, bo ich autor oczywiście nie powtórzył. Od czasów Zygmunta III, a zwłaszcza

(1) Gazeta Warsz. 1852 r. nr. 1.

od wstąpienia na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego, obraz miasta coraz bardziej wydatnieje; do większego zainteresowania czytelnika losami Warszawy, pomogły wiele autorowi różne rękopisma, projekta, plany, widoki, których za tego panowania namnożyło się, a które porzucane są w oryginałach i kopiach po różnych rękach. Najwięcej jednak dla urozmaicenia obrazu tej ostatniej epoki posłużyły autorowi pamiętniki Antoniego Magiera, w których daje czytelnikom ogromne wypisy, a które nadzwyczajnie obudzają ciekawość; bo zbiorem są faktów drobnych, postrzeżeń prawie codziennych, owocem ciekawości, która we wszystko zajrzeć lubiła, żeby to wszystko, co widziała, dla pamięci następnych pokoleń zanotować. Ze te pamiętniki Magiera istnieją, pierwszy raz dowiedzieliśmy się od p. Sobieszczańskiego; że stanowią pełen najwyższego interesu materiał dla dziejów wewnętrznego życia miasta i kraju, to przekonanie winniśmy także autorowi Rysu historycznego. Z Magiera dowiedzieliśmy się ciekawych rzeczy o filantropie, generale francuzkim, baronie Leforcie, który obiecał z ubogich i żebraków oczyścić Warszawę, a obłowił się tylko pieniędzmi polskimi, i uciekł hulać i bawić się w Paryżu; z Magiera wiemy, kiedy w Warszawie nastąpiły fraki, pudry i kapelusze, jakie były sławne cukiernie, kto znakomicie robił buty; dowiadujemy się, zkąd katarynki nazywają się szene katarynkami i t. d.

Magier musiał być całe życie poważny jako człowiek badaniom i nauce natury poświęcony; i nieszukając nowinek, te zbierał tylko, które do niego doleciały: ale dolatywały wszystkie, i nic dziwnego w ogromnym mieście. P. Sobieszczański byłby sobie na nową wdzięczność zarobił u ludzi, którym te okruchy dawnego bytu mile i zrozumiałe są, gdyby się zajął wydaniem tych notat Magiera, z których czerpał, a które w swoim zbiorze posiada (1). Magier jest wielkim, bo nieznanym a obfitym materiałem dla naszego miasta. O bogactw jego ogromie sądzić nawet nie możemy; chyba ci mogliby coś o tém powiedzieć, którzy te notaty czytali, a my robim wnioski jedynie z kilku kawałków zacytowanych w dziele p. Sobieszczańskiego. Magier, zdaje nam się, znał dzieje każdego niemal domu w Warszawie: ponotował wszystkie zdarzenia większej wagi, które w jakim domu zasły,

(1) Exemplarz także tych zapisek Magiera posiada K. W. Wojcicki, jak nas sam o tém zapewniał.

zebrał wszystkie anegdoty o nich, i znał wiele osób, których mieszkania wskazywał. Według naszego pojęcia, Magiera pamiętniki krążą li tylko w murach naszego miasta, ani na krok niewychodząc za okopy i rógatki. Sąto pamiętniki nie tak o nim samym, o czasach jego młodości, o wychowaniu, szkołach, które przebywał, a czego właśnie spodziewamy się po tytule: jak sąto ponotowane fakta i zdarzenia liczne z epoki ważnej, związane w jedną całość. Jestto, że tak się wystowim, razem kronika murów i osób, zwyczajów i mody, błędów i śmieszności, dziwactw i dowcipu, cnoty i złej woli w Warszawie, w zakresie lat panowania Stanisława Augusta i epoki księztwa warszawskiego. Co tylko z jakiegokolwiekbądź względu wychodziło za obręb powszedni, a stało się, albo rozgłosiło w Warszawie, jest w tej kronice: bale, parady, teatru, koncerta, pieśni i. t. d. Z tego względu niejedna rzecz tu się znajdzie, która dzieje Rzplitej, a najwięcej historią osób potężnych w Rzplitej obchodzić może. Na p. Sobieszczańskim leży teraz cała odpowiedzialność za to, gdyby ten piękny pomnik miał zginąć dla nauki. Jest w Warszawie starzec, który w mieście naszym, jak Magier, przeżył długie lata i jest chodzącą kroniką wypadków, bo tyle ich widział; p. Sobieszczański użył jego pomocy do następnych części dzieła swojego o Warszawie, i słusznie: bo nauka, która z ust płynie, jest czystsza od nauki czerpanej z książek. Co stary Magier umiał opisać, to drugi starzec potrafi opowiedzieć, i stworzy księgę ciekawą, aby kto tylko za jego opowiadaniem pisał. P. Sobieszczański ceni te poufne zwierzenia się i notuje; nie będą więc one stracone, tak jak i Magiera stracić się nie godzi. Trzeba, żeby sobie każdy pracując powiedział: „czego ja nie zrobię, tego już nikt po mnie nie zrobi“, a wtenczas każda praca wielki przyniesie owoc.

Oprócz tych trzech głównych historyków Warszawy, pisali i inni o dziejach stolicy polskiej; pojawiło się takim sposobem kilka pojedynczych rozprawek i monografij.

Baliński napisał artykuł o Warszawie do Starożytnej Polski, w którym nie uniknął błędów, i wydał oddzielnie w oddruku z Allelui broszurkę o kościele księży Kapucynów w Warszawie (1).

(1) Fundacya zakonu kościoła ks. Kapucynów w Warszawie, opisana przez i. t. d. Warszawa, w drukarni przy ulicy Rymskiej nr. 743. 1840 r. w 8ce, str. 83.

Baliński zdobył się na pragmatyczne opowiadanie o klasztorze, w czém go jeszcze żaden z następców nie naśladował. Opowiedział o początku wprowadzenia Kapucynów do Polski, o fundacyi Jana III, o dziejach klasztoru aż do r. 1781; a potem osobno opisywał ołtarze, klasztor, kaplice, ogrody i cmentarz dawny. Czerpał naturalnie z akt klasztornych, ale bardzo po omacku; wiedział, że potrzeba dać szkic pragmatyczny, ale w pracy nie wytrzymał. Oprócz więc ciekawych zkądinąd wiadomości o rodzinie Sobieskich, o Maryi Kazimierze, której ciało tutaj cichaczem przywieziono i podrzuciono pod furtę klasztorną; oprócz kilku wspomnień królewicza Jakóba, który synka tutaj swojego obok rodziców pochował, a miał w klasztorze własne cele; oprócz opisu żałobnego z r. 1733, kiedy ciała królestwa przewożono do Krakowa z Warszawy, i kilku wspomnień o Piotrze W.:—nie ma tutaj nic o dziejach klasztoru i zakonników. Tylko opis budowania kościoła dość zupełny. Gdyby p. Baliński przejrzał pilniej akta zakonne i źródła, które był przejrzyć powinien, jak to ma we zwyczaju, byłby nam coś powiedział o przyczynach konfederacyi Kapucynów, którzy dnia 19 sierpnia 1731 r. o godzinie 11ej w processyi poszli z krzyżem do OO. Bernardynów na Krakowskie - Przedmieście, i zostawili w klasztorze tylko swoich kommissarzów i furtyana. Bernardyni mile dobrowolnych wygnańców przyjęli, ale *ex quo motivo* poszła ta konfederacya? Kuryer Polski powiada: „nie wiedzieć“. Byłato jakaś sprawa familijna, jakieś powstanie zakonników przeciw władzy, ale gruntujące się na prawie; bo w styczniu r. 1732 sam Ojciec Święty wdał się w te spory i wskazał do swojego nuncjusza w Warszawie, żeby starał się o powrócenie księży do konwentu. Mimo to, mocno się opierali Kapucyni przy swoim, i ledwie 9 września 1732 r. powrócili do siebie po roku i trzech tygodniach wygnania. (Kur. Pol. 1731—1732 r. nr. 86, 111 i 142). Byłby nam wspomniał także p. Baliński i o Janockim, który tutaj w kościele Kapucynów przyjął chrzest święty i wiarę katolicką z rąk księdza referendarza Załuskiego i. t. d.

Stanisław Lisowski w Album Wojcieckiego umieścił dwie rozprawki o Warszawie. W jednej postawił fakt w miejsce powtarzanego ciągle błędu od czasu Juliana Ursyna, który niefortunny wcale domysł rzucił, że od stracenia Nalewajki poszło nazwisko Nalewek w Warszawie. Pokazuje się, że rezerwoary wody, w którą zaopatrywało się miasto, a które w tamtej oko-

licy i staropolskim językiem nazywały się *nalerkami*, dały nazwisko ulicy, a nie śmierć watażki kozackiego. W artykule o *zarazie morowej*, autor zebrał polityczne urządzenia magistratu z czasów Jana Kazimierza dla zachowania zdrowia. Zaczynał też Lisowski pracę o księgarniach i drukarniach warszawskich, której jeden mniej więcej wykończony ustęp wydrukował w Bibliotece Warszawskiej. Prace jego śmierć w samym kwiecie przerwała.

Do historyków Warszawy zaliczmy wreszcie K. Wł. Wojcickiego, który oddawna już pracuje nad opisem cmentarzów naszego miasta, gotując wielce ważne dzieło w rodzaju Starowolskiego, pod tytułem: *Monumenta Sarmatarum*. Będzie to na-przód zbiór nagrobków na cmentarzach warszawskich w jedną księgę wcielony. Oczywiście, p. Wojcicki nie spisywał wszystkich nagrobków, ale zajmował się tylko ludźmi, którzy albo zasługami na polu literatury, albo dobroczynnością, albo innym sposobem zarobili sobie na wdzięczność publiczną (1).

Wyliczeni tutaj historycy Warszawy, wszyscy bez wyjątku trudnili się więcej pamiątkami miasta, jak samém miastem. Warszawa jednak ma swoją historią. Ważne historyczne wy-

(1) Dzieło to więc będzie bardzo ważne, ciekawe i nauczające. O niejednej znakomitości nie wiemy nawet, że leży na Powązkach, albo gdzieindziej w Warszawie. Na nagrobkach znajdujem także często wiadomości, których szukać napróżno po pi-smach drukowanych. Szczególniej miłośnicy dat ścisłych i pewnych będą szczęśliwi, kiedy obaczą te drugie z kolei *Monumenta*. Była to praca mozolna, ale zupełna, bo obejmuje nagrobki z Powązek i cmentarza Święto-krzyżskiego. P. Wojcicki w tym jeszcze roku chce drukować swój zbiór, poprzedziwszy go krótką wiadomością historyczną o cmentarzach warszawskich. Przodkowie nasi niebardzo szanowali te pamiątki i napisy po murach i grobach, kiedy po Starowolskim nikt się nie zajął pracą, żeby je zebrać; dlatego też wiele ich zaginęło ze stratą nauki. Książę biskup płocki, Michał Poniatowski, brat Stanisława Augusta, ma pod tym względem zasługę, bo napisy kościelne kazał zbierać w całej swojej dycezyi i drukować. Potem wierszoklita ksiądz Xawier Zubowski, kanonik kurzelowski, ogłosił prospekt na pismo peryodyczne, w którym miał wydać wszystkie napisy i nagrobki w całej Koronie i Litwie; ale do wykonania obietnicy nie przyszło. Dzisiejsi szperacze opisując pojedynczo dzieje kościołów, zbierają napisy; pomiędzy innemi odznaczył się pod tym względem przynajmniej Pamiątnik Religijno-moralny, który u nas wychodzi.

padki w jej murach miały miejsce. Historia Warszawy może być i musi być napisaną 'pragmatycznie, obrazowo, w podobnym guście jak jest Kraszewskiego Wilno, tom I i połowa IIgo. Tylko ta historia Wilna jest w dziele Kraszewskiego wstępem, potrzebnym objaśnieniem do następnych tomów; historia polityczna Warszawy powinna być sama w sobie oddzielną całością. Są chwile, że cała Rzplta była w Warszawie; te chwile ponawiają się coraz częściej za panowania Poniatowskiego. Dlatego radziłybyśmy widzieli, żeby z tej historii politycznej miast naszych, raz nazawsze wydzielić historią wewnętrzną miasta, które dotąd zwykle w dziełach badaczy łączą się niepotrzebnie. Zresztą sam obrany sposób pisania, powinien być też wskazywać na obrac się mającą formę.—Zubrzycki pisze kronikę Lwowa: u niego rzecz główna daty i porządek chronologiczny; otóż jak Naruszewicz, na czele pojedynczych artykułów wystawia rok, i pod nim grupuje różne zdarzenia, i polityczne, i prywatne, i kościelne, i gospodarskie miasta, stosownie do tego, jak zasługują na uwagę historyi. Porządek między temi wiadomościami pod jednym rokiem pomieszczonemi, jest bardzo często przypadkowy.—Łukaszewicz nie pisze li tylko kroniki; owszem, ta kronika jest pojedynczym rozdziałem i jednym z najszczuplejszych w jego dziele. Łukaszewicz kreśli tylko szereg monografij o Poznaniu. Kraków także nie ma swojej historyi napisowej: ma więcej materiały i mnogie opisy pamiątek. Jednego tylko Wilna Kraszewski napisał historią, ale nie podoba nam się, że polityczną pomieszał z wewnętrzną.

Podług nas, można i trzeba opisywać naprzód pamiątki miasta, a kiedy już zbierze się potem dość tych pojedynczych monografij, a w nich materiału, można i trzeba pisać historią miast. Ta historia musi być dwojaka, to jest na dwa osobne rozpadąć się działy: w pierwszym historia, jak ją nazwaliśmy, polityczna, a taką miasta nasze mieć mogą, ile że w szlacheckim kraju, wpośród bujnego życia. Zdaje się, że żadne miasto polskie nie jest bez tych wielkich wspomnień, których echo potem odbiło się w kraju. Najmniejsze grody nasze, jak Tarnogród, Bar i Tyśzowce, wstawiły konfederacye. Pod tym względem panowanie Poniatowskiego szczególniej odznaczyło się, a nawet, że tak powiemy, uhistoryczniło prawie każdy zakątek historyczny ziemi polskiej. Inne miesciny, dzisiaj zapomniane, jak Raków, były ogniskiem wielkiego umysłowego życia i szeroko rozpościerały

wpływ swój. Toż samo powiedzieć o każdym miasteczku, w którym była drukarnia, założona przez jakiego magnata, dla jakichś politycznych czy religijnych celów. Inne grody wslawiły bitwy, i każda osada, każde miasteczko, które nie ma żadnego z tych wielolicznych wspomnień, obchodzi nas jako ognisko, siedziba, gniazdo panów, którzy wpływ swój wywierali kiedyś na Rzplitą. Taką historią ma Ostróg, Tęczyn, Szydłowiec, Biała Radziwiłłowska w województwie Brzesko-Litewskiém. Inne miasta uświetnili swoim pobytom i rządami biskupi, opactwa, klasztory. Na Rusi znowu oddzielna ziemia i pamiątki kozaczyzny. Otóż wszystko, co ma jakiegokolwiek miasto polskie z tych wspomnień po senatorach, po szlachcie i wypadkach, które wychodziły poza obręb miasta samego i ziemi, stanowi historią polityczną miast. Oczywiście, są tutaj różnice, stosownie do wielości i jakości wspomnień. Kraków i Wilno więcej znaczą, jak Poznań i Płock; a Poznań więcej jak Radom albo Częstochowa. Kraków i Wilno były stolicami krajów oddzielnych, jak Warszawa całego; Poznań, Kalisz i Lwów, mają także wspomnienia swoich niepodległych książąt, jak Czersk i Rawa. Te miasta żyły kiedyś politycznym żywotem, książętami swojemi: inne drobniejsze grody żyły politycznym życiem panów swoich, dziedziców, biskupów, którzy byli tylko senatorami Rzplitej.

Dopiero po historii politycznej, powinna iść historia wewnętrzna, właściwie mieszczańska, w której opiszemy powstanie, wzrost miasta, przywileje, prawa, magdeburgią, rząd wewnętrzny i koleje tego rządu; historia mieszczan, to jest celniejszych rodzin, które kierowały losami miasta; dzieje zakładów naukowych, wpływ ich i t. d., a ma to być znowu opisane w porządku chronologicznym, pragmatycznie, tak, żeby jedno z drugiego się rozwijało, z przyczyny skutek. Nie mają być oderwane artykuły o tém, o owém, ale całość ujęta w jednym opowiadaniu. Szczególniej dla dziejów stanu mieszczańskiego w dawniej Polsce, należałoby układać wszędzie spisy prezydentów, ministrów, wójtów i porządków miasta.

Gdyby jednakże kto chciał całe dzieło o jakim mieście napisać razem ze wszystkimi pojedynczymi monografiemi, na czele powinien położyć historią polityczną, potem historią wewnętrzną, a nareszcie opisy. Wzór piękny jest w Kraszewskim.

Ale wracając do Warszawy, dla dziejów politycznych miasta zrobiono jeszcze bardzo mało, bo nikt o tém nie myślał przy zbier-

raniu drobiazgow. Jednakże, chociaż przypadkowo bardzo ważne ogłoszono materyaly o dwóch najściach szwedzkich. *Grangier de la Marinière*, który obiecuje nam napisać życie Maryi Ludwiki i Maryi Kazimierzy, dwóch królowych francuzek, zebrał w bibliotekach rządowych swego rodzinnego kraju kilkanaście ciekawych listów Maryi Ludwiki o epoce 1656 r., które ogłosiła Biblioteka Warszawska. Sąto materyaly do dziejów Rzplitej, ale i dla Warszawy razem, bo celem było tego zbioru listów dać rys wiadomości o oblężeniu stolicy. Lisowski z metryki koronnój, jako dopełnienie do artykułu Grangiera, wypisał także obszerny opis tegoż samego oblężenia, dokonanego przez Jana Kazimierza. A do drugiego najścia za czasów Augusta Sasa, Wejnert w opisie trzech kęp pod Warszawą (str. 79—90) dał nam dyaryusz oblężenia Warszawy przez króla polskiego, kiedy naprzód w mieście, a potem w zamku, po elekcyi Stanisława Leszczyńskiego, zamknął się generał szwedzki Horn. Oblężenie to trwało od d. 30 sierpnia do 4 września 1704 r. dni tylko sześć, ale jako trofeum zwycięstwa, August wziął wtedy do niewoli biskupa poznańskiego, który ukoronował Stanisława. Opis tego oblężenia z akt miejskich wyjęty, przewybornie zaokrąglą wiadomości w Załuskiego *Epistolae historico-familiares* w tomie IV, str. 368—371 podane. Takich opisów więcej, a p. Wejnert dużo interesu do suchych badań swoich dorzuci. W opisie trzech kęp dyaryusz oblężenia nie był na miejscu, a jednakże nikt z badaczów przeszłości gniewać się nie będzie za to na wydawcę; tém stosowniejsze będą takie wyciągi akt przy opisie pojedynczych gmachów i zakładów Warszawy. Myśmy się po części za to gniewali na p. Wejnerta, że nic o tych pamiętnych, szczególnie dla miasta naszego epokach, Karola Gustawa i Karola XII, nie napisał. W I tomie Starożytności jest tylko troszkę utyskiwań na rumowiska, które po sobie zostawili Szwedzi, przy opisie kościoła św. Ducha. Taka właśnie epoka powinnaby po sobie zostawić wszędzie widoczne szczyby. Notować podobne rzeczy, podwójna korzyść: i dla historii politycznej miasta, o którą się upominamy, i dla tych monografij, które dowody (*pièces justificatives*) i rozwinięcie historii specjalnej stanowić powinny (1).

(1) Dla uzupełnienia wiadomości tutaj podanych o pracach dokonanych dla historii Warszawy, dodajem, że i myśmy kiedyś na tém polu stawili kroki. Artykuły nasze ogłoszone są:

1) Kościół św. Andrzeja i Kanoniczki w Warszawie, w Bibl. Warsz. 1850, t. I, II, III.

2) Kronika pałacu Kazimierowskiego, w Gaz. Warsz. 1847 r. nr. 111.

3) Kronika pałacu Krasińskich, w Gaz. Warsz. 1850 roku, nr. 121.

4) Kampement w Warszawie 1732 r., w Przeglądzie Naukowym 1847.

W rękopismie zaś mamy artykuły:

1) Kronika kościoła i klasztoru Dominikanów Obserwantów.

2) Kronika mostów na Wiśle pod Warszawą.

3) Kronika bractwa św. Rocha przy kościele św. Krzyża ks. Misyonarzy.

ORAWA.

PRZEZ

Ludwika Topcznara.

Ze wszystkich hrabstw węgierskich, żadne nie jest tak zamkniętym, nie stanowi tak doskonałej całości, jak orawskie (po słowacku hrabstwo), albo *Comitatus Arvensis*, *Arvaer Gespanschaft*, tak nazwane od rzeki Orawy po słowacku, *Arva* po łacinie. Od południa oddzielają tę ciekawą krainę wysokie hole liptowskie, stanowiące przedłużenie Tatrów, znacznie od nich niższe i całkiem wapienne; od trenczyńskiej stolicy na zachód dzieli ją wyniosły grzbiet, a z północy od Galicyi Mała i Wielka Bába, nasza Bába-góra: tylko od wschodu nie odgraniczają Orawę góry, i jakby wielką równiną łączy się Podhale z Węgrami. Bliżej rozpoznając te miejscowości spostrzegamy, że to kraj pagórkowaty.

Granica polityczna pomiędzy Podhalem a Orawą nie jest zarazem granicą naturalną: grzbietto bowiem zaledwie okiem dostrzeżony. W obszernie rozpostartych torfowiskach na wyniesieniu grzbietu, czerniących się zdala, biorą początek rzeki płynące do przeciwnych mórz: do północnego i do południowego, do Podhala i do Węgier. Wyniosły grzbiet umieszczony na niektórych kartach jest czystym wymysłem teoretyzujących geografów. Małe strumyki zacierające na wschód wpadają do Dunajca, a nieco większe do rzeki Orawy, nadając jej miano hrabstwu. Ten przedział nie wpłynął jednakże na ludzi: tenże sam szczep Podhalań przenosi się do Orawy i zachodzi aż pod Babią-górę do wsi Sydzina, leżącej już w Galicyi. Mieszkańcy ci

mówią narzeczem Podhalan, z nieznacznym miejscowym odcieniem. Język ich doznał mniej jeszcze zmian jak Podhalan, i jakby skamieniały, trwa w swych starożytnych formach, nie uległszy wpływowi literatury i ogólniej oświaty; zdaje się, że mówią językiem, jakiego przed kilkoma wiekami w Polsce używano. Nierównie większą część hrabstwa orawskiego zamieszkują Słowaki, zajmujący południowe strony, a pomiędzy nimi tu i owdzie znajdują się wioski polskie. Orawa nie jest równiną, lecz w całym znaczeniu tego wyrazu krajem pagórkowatym; miejscami zmieniają się pagórki w góry, a po dolinach ciągną się długie wioski i miasteczka, które w wiarę żyzności zbliżają się lub oddalają od siebie. Najcelniejsza część Orawy znajduje się w dolinie rzeki téjże nazwy, prującej to czworograniaste hrabstwo, jakby przekątna od północnego-wschodu ku południowemu-zachodowi. Dolina ta odznacza się znakomitą żyznością, malowniczymi widokami, bogatemi siołami i miasteczkami; w środku wznosi się na ostro wyskakującej skale, śmiało zbudowany zamek orawski, wśród cudnego krajobrazu.

Stosunki polityczne i forma rządu odbiły się na całych Węgrach, a zatem i tutaj: wioski i miasteczka orawskie odróżniają się na pierwszy rzut oka od podhalańskich. W ogólności widać tutaj nierównie więcej dostatku i dobrego bytu; świadczą to zabudowania miejskie i wiejskie, ubiór mieszkańców, okazałe siwe bydło i znaczne stada owiec. Wielkie obszary żyzniejszej ziemi od podhalańskiej, i nader małe podatki, wydały ten stan rzeczy. Orawa uchodzi jednakże w pojęciach węgierskich za najbardziej upośledzone od przyrody hrabstwo, za najbiędniejsze w całej koronie, lubo w porównaniu z Podhalem jest jeszcze żyzną i dość obfitą krainą. Od niepamiętnych czasów rząd miał wzgląd na tutejsze ubóstwo, i sprzedawał sól po niższej cenie, aniżeli w innych hrabstwach węgierskich. Orawa stanowi koniec zachodnio-północny Węgier, i odróżnia się pod wieloma względami od innych hrabstw. Prawie połowa Orawy jest własnością wielkich właścicieli, i do nich należy prawie cała część północna; w południowej własność bardzo jest podzielona: liczni właściciele nawet grunta miejscami podrobili nadzwyczajnie. Aczkolwiek przyrodzone własności kraju i znaczna część ludu należy do tego samego plemienia, co Podhalanie; przecież zupełnie odmienne wyobrażenia i zwyczaje panują u nich, pochodzące od wykształconej części mieszkańców,

od szlachty. Wszystko zapowiada tu inną formę rządu. Dla Podhalań Kraków jest punktem ostatecznych wyobrażeń, a dla Orawców Peszt; do niego zwracają swoje myśli i chęci, tam głównie sprzedają swe produkta, tam wywożą znaczną ilość lnianego płótna, ztamtąd wychodzą rozporządzenia rządu, i dlatego Orawianie nierównie więcej mają styczności z Pesztem i innymi miastami nad Dunajem leżącymi, aniżeli z północnymi sąsiadami, zamieszkałymi w nieurodzajnych Bieskidach.

Orawa, podobnie jak i Podhale, nie jest krainą rolniczą: wysokie góry odgraniczające ją z południa i z północy, i potężne grzbiety wznoszące się i przerywające ją w różnych stronach, zwróciły mieszkańców do chowu bydła i uprawy lnu. Widozna jednakże zachodzi różnica pomiędzy częścią północną a południową. Pierwsza wielce podobną jest do Bieskidów: panuje tam ta sama ostrość klimatu, i za nią idąca niezżyżność. Jestto kraina wydająca owies, w której udają się nadto jęczmień, ziemniaki i len; żyto zaś i pszenicę sieją w ogrodach jakby dla osobliwości. W kupki zebrane jodły i świerki, rozrzucone tu i owdzie pomiędzy ornymi rolami, nadają właściwą barwę krajowi. W południowej części Orawy, mianowicie też w stronie zachodniej, są rozleglejsze równiny, starannie zasiane żytem i pszenicą. Przemysł w Orawie nie jest wielki, i ogranicza się li tylko na wyrabianiu płótna z lnu, który albo sami sieją, albo zakupują na Podhalu i w północnych Bieskidach.

Północna część Orawy leży na stoku spadającym od Babięj-góry; wioski tamtejsze mają podobny charakter do bieskidowych: domy nie stykają się z sobą, lecz są rozrzucone na pochyłościach gór, albo ciągną się wzdłuż potoku, nie stanowiąc jednej całości. Domy obszerniejsze i porządniejsze świadczą w niewątpliwy sposób o znaczniejszym dostatku mieszkańców. Orawcy zwykli z drzewa stawiać znaczniejsze domy o piętrze, pospolicie z gankiem misternie wyrobionym. Każda wieś posiada nadto kościół murowany, powszechnie stawiany na znaczniejszem wyniesieniu; białe jego ściany i czerwony dach z wysoką wieżą, są chlubą mieszkańców wsi, którzy nie pojmują, jak można żyć nie mając u siebie porządnego kościoła. Tym sposobem wydaje się kraj bardzo cywilizowanym. Na całym pograniczu od Galicyi aż do końca r. 1850 był szereg przykomórków, które tutaj nazywano *tryczatkami*. Wioski

takie odznaczały się widocznie większą zamożnością; stały w nich większe domy murowane, wygodniejsze karczmy, i kramy z różnemi drobnostkami, a mianowicie z tytuniem, bo dawniej w Węgrzech każdy uprawiał i sprzedawał tytoń po bardzo niskiej cenie. Do rzędu takich wiosek należały: Sucha Hora przez Słowaków zamieszкана; Piekielnik, 1888 stóp nad poziom morza wyniesiony, wioska polska obszerna, położona już na przeciwniej pochyłości obszernego torfowiska, końcem wschodnim sięgająca do Ludźmirza. Wieś ta graniczy z Czarnym Dunajcem; wielka nieuprawiona równina, służąca za pastwisko, oddziela ją od niego. Starannie uprawne role i nieco odnienny krój domów drewnianych, odróżniają jedynie Podhale od Orawy. Wyżej na północ leży Podwilk, wioska zmieniająca się w miasteczko, 2,052 stóp wyniesione; ma ulice starannie brukowane, kilka domów murowanych o piętrze, i niezgorszą karczmę. Krainę pomiędzy Piekielnikiem a Podwilkiem zasłania połączny grzbiet, odwracający północno wiatry; a że ku słońcu wystawiona, stała się żyzniejszą aniżeli okolice bardziej równe przy Trzcanie. Od tych własności fizycznych pochodzi znaczniejsza żyzność; pola tutaj dzielą się w długie a wąskie zagony, okryte bujnemi owsami, jęczmionami, a niekiedy żytem i koniczyną. Dostatek nadał mieszkańcom niezależny i dziwnie śmiały charakter, zmieniający się prawie w zuchwałość. Chłop tej okolicy nie zwykł nikomu z drogi ustępować, nawet prowadzącemu ciężary. W nierównie dzikszej okolicy od poprzednich *tryczatków* leży Polhora na pochyłości Bieskida, grzbietu łączącego się bezpośrednio z Babią-górą. Polhora była kiedyś bardzo odwiedzana; łączyła Węgry z Żywcem przez wioskę Krzyżną. Już się zciemniło, kiedym właśnie z spomnianej wioski przybywał po bardzo złym gościńcu do Polhory, i zastałem tu lepszą karczmę, aniżeli się można było spodziewać. W ogólności w Węgrzech żyją mieszkańcy lepiej niż w Galicyi; przyczyna tego pochodzi od większej zamożności i wstrzemięźliwości, tudzież urodzajności południowych Węgier. Pod względem geologicznym bardzo ciekawą jest Polhora. Niedaleko wioski, wśród niebieskawo-szarych margli, dzielących się w łupki, wytryskują źródła mniej więcej solą kuchenną nasycone; zastałem je w trzech blisko sobie leżących miejscach. Podobne źródła powstają przez rozpuszczenie się pokładów soli kuchennej, a zatem i tutaj w głębiach musi się ona znajdować; ztąd jeszcze

wynika, że formacya trzeciorzędowa, której ogniwa są pokładem soli w Wieliczce i Bochni, ciągnie się przez znaczne części Bieskidów. Drugi również ważny wniosek da się wyprowadzić, że te góry musiały się wznieść po osadzeniu się tej względnie młodej formacyi; świadczą o tem wszystkie warstwy piaskowe, nachylające się na południe pod ostrym kątem pomiędzy Krzyżną a Polhorą. Nachylenie ich sprawiły podziemne ognie w łonie ziemi ukryte.

Cała nadgraniczna od Galicyi część Orawy, czyli północna, składa się z nieprzeliczonych równoległych grzbietów, pomiędzy którymi rozciągają się mniej więcej szerokie doliny; wpośród nich szumią bystre strumyki, a nad niemi ciągną się długie wioski lub miasteczka, jakoto: Żubrałtawa, Stannica i t. d.

W całych Węgrach nie ma tak dobrych dróg jak w Orawie; nie ustępują one często najlepiej wykonanym i utrzymanym w królestwie Polskiem lub w Lombardyi, gdzie najwyborniejsze gościńce zastałem. Nietylko że drogi orawskie należą do najlepszych, ale jest ich wielka liczba i przecinają się we wszystkich prawie kierunkach. Dziwne były dawniej zwyczaje na Węgrach: szlachta nietylko że drogowego nie opłacała, ale nadto wcale się nie przykładała do robienia dróg i ich utrzymywania; ktokolwiek nawet lepszym pojazdem jechał, nie opłacał drogowego, tylko wieśniak był obowiązany nietylko opłacać za jazdę, ale sporządzać je i corocznie dwa razy poprawiać. W miejscach gdzie się opłacało drogowo, nie było na Węgrach rogatek jak gdzieindziej, tylko koło na żerdzi osadzone ostrzegalo jadącego, że tu trzeba składać opłatę. Dawalo to nieraz powód do sporów, bo często w nocy przemykali się wieśniacy. Od r. 1850 nie opłaca nikt drogowego, a wszyscy bez wyjątku są obowiązani naprawiać drogi.

Dwom przyczynom winna jest Orawa swe dobre drogi: nieprzeliczonym strumieniom sprowadzającym z gór zaokrąglone kamyki i zwiry, przysposabiającym niejako noturalny materiał do budowy dróg, i stolicznym panom czyli urzędnikom administracyjnym, jak ich dawniej nazywano, którzy zaprowadzali coraz więcej nowych gościńców, a dawne utrzymywali w wzorowym porządku. Od północy ciągnie się wyborny gościniec ku południowi, począwszy od komory Podwilk, wysoko nad poziomem morza leżącej, bo 2,052 stóp, i przechodzi przez wioski Orawkę i długą Jabłunkę. Tutaj łączy się z nim droga, prowadząca z Piekielnika; a połączona, ciągnie się dalej ku Trzcianie

po potężnych równoległych grzbietach, podobnych do skamieniałych fal. Odtąd zmienia się kraj tak co do fizycznych, jako i etnograficznych stosunków: tu graniczy lud polski ze słowackim szczepek. Klimat widocznie łagodniej, ziemia żyzniejsza, staranniej jest uprawną. W miarę posuwania się ku południowi, kraj staje się coraz bogatszym; odbija się to w nieprzeliczonych siołach i miasteczkach, ciągnących się wzdłuż rzeki Orawy. Na zmianę fizyognomii téj części hrabstwa orawskiego wpłynęły mianowicie skały wapienne, nadające ziemi większą żyzność; z niemi idą w parze widoki pełne różnaitości ze szczególniejszemi krajami. Mosty drewniane, sztucznie wiązane, łączą przeciwne brzegi téj wijącój się rzeki. Od Kubina, stołecznego miasta hrabstwa orawskiego, zmienia się znów położenie kraju: rozległe błonia okryte bujnemi płony ciągną się ku potężnym holom liptowskim, stojącym wpoprzek jakby potężny mur. Niedaleko za Parnicą wchodzi Orawa pomiędzy góry, i wąską szczeliną z potężnój ściany granitu, łączy się przy Kralowianach z Wagiem, rzeką biorącą początek w Liptowie, a płynącą zo wschodu ku zachodowi. Inny gościniec, bardziej zachodni, ciągnie się do Podhory przez Zubrohławę i łączy się z drogą główną przy zamku orawskim. Od Kubina wreszcie wykonane zostały dwie drogi przez hole liptowskie: jedna prowadzi do Rosenbergu, druga przez Leszczyny do cieplicy Łuczka zwanój, licznie odwiedzanej w czasie pory letniej przez obywateli Orawy i Liptowa.

Prawie pół mili na północ od Trzciany, na rozciąglým wale, u stóp którego płynie rzeka Czarna Orawa, ciągnie się więcéj jak ćwierć mili długa wioska Chyżne, z okazałym kościołem. Wieś ta ma szczególne wejrzanie: zbliżając się do niój od południa, uderza niezmiernie długi szereg domów na grzbiecie rozciągnięty. Nie wspomniałbym o téj wiosce, gdyby nie zasługiwała na uwagę dla szczególnej mieszaniny języka; mieszkańcy jój mówią bowiem w połowie po polsku, a w połowie po słowacku, i nie można powiedzieć, iżby jedno albo drugie narzecze przeważało. Żywo przypomina to podobną mieszaninę języka angielskiego, w którym nic nie ma: ani francuzkiego, ani niemieckiego, tylko coś pośredniego; język mieszkańców Chyżnego jest polsko-słowackim.

Z miasteczkiem Trzcianą czyli Tersteną rozpoczyna się czysta Słowaczyna; miasteczko to bardziej jest podobne do

znacznej wioski, i mieszkańcy prawie bez wyjątku zajmują się rolnictwem; domki mają drewniane, tylko kościół i ratusz muryrowane, czynią wyjątek. Niemal wdziału okolicy dodają sterzące skały wapienne, wznoszące się z pośrodku piaskowców, mających łagodnie pocięte zarysy grzbietów. Dalej na południe ciągnie się droga w dolinie Czarnej Orawy, wśród skał malowniczych, i w miarę posuwania się ku Twardoszynowi, wznoszą się coraz wyżej jej boki. Niektóre ściany wyglądają jakby składały się z nieprzeliczonych tablic jedna na drugiej ułożonych: sąto wapienie w cienkie warstwy podzielone, podobne do Rogoźnickich, Czorsztyna, i Pienin. Odtąd płynie wśród nich Orawa aż poza Kubin, wśród pól urodzajnych i bujnej roślinności.

Pół mili od Trziciany leży inne miasteczko Twardoszyn, przy spływie Białej i Czarnej Orawy, na wysokości 1685 stóp nad morzem. Biała Orawa z zachodnio-północnej strony, z gór Bukowa i Kiczora wypływająca, łączy się z Czarną Orawą, biorąc początek w torfowiskach Bory zwanych, niedaleko Piekielnika. Obfitość wód i malowniczo poszarpane skały niemal dodają wdziękowi Twardoszynowi, znaczniejszemu miasteczkowi drewnianemu. Widać tu nieco więcej żywiołu miejskiego, chociaż mieszkańcy przeważnie zajmują się rolnictwem, i nieco rzemieślników; odbywają się tu wielkie targi na bydło i zboże. Mieszkańcy gór rozciągających się na północy, sprzedają tu swe bydło i owce, a natomiast nabywają żyto i pszenicę, przywożone z urodzajnych południowych Węgier, a mianowicie z okolic Prywidzy w stolicy nitrzańskiej. Dostawy te żyta od kilku lat znacznie się powiększyły w skutek gnicia ziemniaków; ludność górską znakomicie rozrodziwszy się przez wprowadzenie tej rośliny do Europy, niedosyć produkuje zboża do swego wyżywienia. Kiedym jechał ku zamkowi orawskiemu (1851 r. połowa sierpnia), raz wraz trzeba było wymijać wozy żytem obciążone; targ przepelniali za niemi ubiegający się. Porządny most na kamiennych filarach, a łączący Twardoszyn z drogą bitą, stał się ulubionym spacerem mieszkańców. Właśnie była niedziela, ciepły wieczór wywołał znaczną część młodej ludności na przechadzkę, przyglądającą się szybko płynącej wodzie; weselość, śmiechy i śpiewy, brzmiały zewsząd i dowodziły, że mieszkańcy używają spokojnego szczęścia i bawią się również dobrze jak wielkie stolice. Pewna swoboda i spokojne używanie, charakteryzują większą część miasteczek półno-

nnych Węgier. Grunta przy Twardoszynie są wybornie uprawione i wydają się jakby same ogrody; osolliwie dobrze rosną kapusty, grochy szablaste i lny. Wzniesione boki doliny okrywają krzaki, lecz na wyżynie położone role wcale są odmienne, bo nie tak żyzne; panujące na nich ostre wiatry osuszają je i oziębiają, i są powodem do ich wyjałowienia. Dolina Orawy podobna do uśmiechającego się ogrodu, a wyżyna do bezdroślinnej i posepnej puszczy. Od Twardoszyna ku Kubinowi ciągnie się dolina przekątna przez to czworograniaste hrabstwo, i jest najcelniejszą jego ozdobą; liczne wioski leżą jedna za drugą w zakrętach, i prawie zawsze widać tylko jedną, a minąwszy zakręt, nowa się ukazuje.

Od Twardoszyna na południe, co ćwierć mili jest wioska za wioską, połączone głównym gościńcem. I tak za wspomnioném miasteczkiem leży wieś Krasnohorka, a za nią Niżna, pod wysoką górą do stogu siana podobną; dalej Podbiel, zapewne nazwana od wielkich ścian białych wapieni, poprzekładanych czarnym item. Odtąd co chwila zmieniają się widoki, jedne od drugich rozkoszniejsze; zaraz za Podbielą są niezwyčajne i rozmaite widoki; kilka wierzchów podobnych do piramid, wydały nader malowny krajobraz. Za wioską Krywa (Krzywa) wzmagą się widocznie zamożność mieszkańców; włościańskie domy są bardzo obszerne; zwyczajnie są 10 do 15 sążni długie, i tak stawiane, że część ku drodze wychodząca, stanowi ich szerokość, i miewa dwa lub trzy okienka. Koniec drugi domu dotyka się stodół, które łączą się ze sąsiednimi i stanowią jeden bardzo długi budynek. Izbę z oknami wychodzącemi na drogę zajmuje gazda, w innych są mieszkania służby, kuchnia, spichrz, różne stajnie dla krów, koni, owiec, schowania na sprzęty gospodarskie i t. d. Sposób ten budowania albo raczej skupiania się na najmniejszej przestrzeni, nie zasługuje wcale na pochwałę, albowiem w razie pożaru, a te nie są tak rzadkiemi, staje się ofiarą płomieni pospolicie połowa, jeżeli nie cała wioska. Właśnie zastałem w r. 1851 pogorzałą jedną zaraz za Krywą leżącą wioskę; ogień wybuchł na wiosnę w samo południe, i prawie cała spłonęła, tylko niektóre domy ocalały, gdzie wcześniej pospieszono zerwać gontowy dach. Wszędzie widać było jeszcze tu i owdzie podłużne kostki z potężnych pni spojone, osmalone czarnym węglem; największa część domów zupełnie zgorzała.

Za Krywą dobre ćwierć mili leży znowu obszerna wieś Dubowa. Spoglądając z wyższego miejsca na te równoległe domy, świadczące niowątpliwie o dostatku mieszkańców, nie można pojąć zkąd to pochodzi, gdyż posiadają małe grunta. Przy wiosce pasto się okazałe bydło węgierskiej rasy z niezmiernie długimi rogami, w których Orawcy niezmiernie się kochają. W dolinie jest tylko cząstka gruntów, bo największa część rozpościera się na wyżynie.

Zbliżając się do Lekotki, również długiej wioski, otwiera się jeden z najwspanialszych widoków w całej Orawie; przede-wszystkiẽm uderzają bystro wyskakujące skały, oblane rzeką, i uwieńczone rozpadającym się w ruinę zamkiem orawskim; inne wzgórza okrywają czarne lasy. Skały dziwnie pięknie uszykowane, przegrodzone bujną roślinnością, wydały ten rzadki krajobraz. Na samym wierzchu jednej stromej skały, zaledwie dwa sążnie szerokiej, wznosi się najwyższa część zamku, zupełnie opustoszała; podróżni niekiedy ją zwiedzają, aby z nię, używać nieporównanych widoków, które ze wszęch stron mają coś tajemniczo ponętnego. Od tój najwyższćj części zamku, ciągną się zabudowania aż do połowy góry; tam odznacza się starożytny kościół w gotyckim stylu, zachowany dobrze; odbywa się w nim nabożeństwo. Aczkolwiek najwyższa część zamku wznosi się tylko na 72 stóp nad poziom Orawy, płynącćj w tẽm miejscu na 1513 stóp nad poziomem morza. skała wydaje się niezmierną. Przy nię znajduje się mała wioska, zwana Podzamcze, z pięknymi zabudowaniami, mianowicie dworskimi. Tu mieszka prefekt czyli rządcą dóbr, prowadzący zarząd większćj części całego hrabstwa.

Góry wzniesione na południe od zamku, okrywają nadzwyczajnie bujne buki; inne są czarne od smagłych jodeł i świerków. Pomiedzy temi drzewami rosną dziko liczne krzaki agrestu i pożyczek, z owocami wcale smaczniemi. Sądziłem, że te krzaki zostały tutaj zasadzone ręką człowieka, ale tak nie jest. W tój okolicy są one dosyć pospolite, jak i w innych na Spizu; i tak: na niezmiernie stromych skałach wapiennych, wznoszących się nad wsią Wikartowa, znajdowałem krzaki agrestu, a nie można przypuścić, iżby były przez ludzi sadzone, bo w tój wiosce nigdy nie mieszkali ludzie nieco więćj ucywilizowani, i to nie u stóp góry, ale na trudno dostępnym wierzchu. Wszystko przemawia, że te krzewy właściwe są okolicom karpackim, i nie

zostały zdala przyniesione, ale powstały jak inne rośliny pierwiastkowe.

Malowno widoki, nieustannie zmieniające się, trwają do mostu wioski Jelszawa. Dolina Orawy za zamkiem orawskim zwęża się do tego stopnia, że drogę do Kubina poprowadzono na boku bardzo nierównym, i trzeba raz wraz wjeżdżać na grzbiety i z nich zstępować; jednak droga ta nie nudzi, bo ciągnie się wśród bujnych lasów i zachwycających dolin. U stóp widać bogate sioła, a pomiędzy niemi odznacza się zaraz za zamkiem orawskim ozdobne Międzybrodzie, wioska z obszernymi zabudowaniami gospodarskimi. Pod Jelszawą przejeżdżaliśmy most na Orawie niezwyčajnej budowy; pospolicie w naszym czasie, w tego rodzaju budowach przewożą żelazo; tutaj wprost przeciwny jest przypadek: składa on się z samego drzewa, i nie ma prawie nic żelaza. Dwa potężne łuki bardzo sztucznie wiązane z drzewa, unoszą się lekko nad rzeką; aby drzewo nie zgniło, wystawiono nad mostem wielki dach, przez co zdala ma wejrzenie długiego napowietrznego budynku. Takie mosty bardzo są trwałe; niniejszy, już przed czterdziestu laty zbudowany, zachowuje się dotąd dobrze. Od Jelszawy rozszerza się znakomicie dolina ku Kubinowi, stołecznemu miastu Orawy; na tej drodze wśród bujnej roślinności okazują się liczne wioski, a w każdej dobry byt i dostatek. Przed Kubincem wznosi się wyniosły Chocz, i z nim łączą się niższe wirchy, jakby mur odgraniczający. Okolica ta należy do najniższych w całej Orawie, i dziwnie odbija od górzystych części tego hrabstwa pod Babią-górą, najbiedniejszych w całych Węgrzech, a jednak zamożniejszych od niektórych części Bieskidów, jak np. przy Jordanowie lub Obidowej.

Kubin, właściwie Niżny Kubin, odróżnić trzeba od Wyższego Kubina, pół mili na wschód położonej wioski, którą przyrodzone stosunki uczyniły celnym punktem w całej Orawie, i z tej przyczyny obraną została na stolicę: oddawna jest siedzibą władz sądowych i administracyjnych. Średniowieczne zasady rządu węgierskiego, łączyły dwie te władze w jednych osobach: jedni i ciż sami urzędnicy sędzili, wykonywali prawo i rządzili. W roku 1850 nastąpiła stanowcza zmiana w zarządzie Węgier, i władze administracyjne oddzielono od sądowych; pierwsze pozostały w dawnych miastach komitackich, a drugie mają być urządzone według ogólnych zasad państwa austrya-

ckiego. Kubin ma wejrzenie zupełnie zastosowane do potrzeb, jakimi się rządili Węgry przez ośm wieków: nie ma w nim właściwie żywołów miejskich, ale wszystko stosuje się do przyjmowania władz rządzących. Celną częścią miasta jest obszerny rynek z wielkim murowanym gmachem o piętrze, zwany domem komitatu czyli hrabstwa. W nim mieściły się władze rządowe, w wielkiej sali odbywały się sejmiki i obiory, w innych salach mieściły się archiwa, w innych mieszkania dla naczelnika rządu i niektórych urzędników, a w tyłach więzienia. Obok komitackiego, wszystkie inne domy w Kubinie są drobnemi; wyjątek czyni wielka oberża o piętrze. Zwyczajnie niewielki ruch panuje w tém napół rolniczém miasteczku, tylko (opisując dawny stan rzeczy) w czasie narad komitatu, co kwartał odbywających się, napępniało się znakomicie ludźmi, szczególnież zaś w czasie wyboru urzędników. W Węgrzech obierano co trzy lata w każdym hrabstwie wszystkich urzędników administracyjnych i sądowych. Przy tak nadzwyczajnie ruchomym zarządzie, jeden tylko ober-geszpan był nietylko dożywotnym, ale nadto w rodzie dziedzicznym; do pewnej familii przywiązany był ten urząd, a na przypadek jój wygaśnięcia, naznaczał król nowego ober-geszpana. Obowiązki jego były w późniejszym czasie zupełnie polityczne: reprezentował w izbie wyższej swe hrabstwo, zwoływał w komitacie zgromadzenia obiorcze i onym przewodniczył, wreszcie wywierał wpływ moralny na mieszkańców hrabstwa. Wszystkich innych urzędników bezpośrednio rządzących obierała szlachta ze swego grona na trzy lata; t. j. bezpośredniego rządcę komitatu czyli wice-geszpana, z władzą odpowiadającą mniej więcej prezesowi gubernialnemu, kilku radców czyli sędziów nazywanych *Stuhlrichter*, pełniących zarazem obowiązki sędziów i kommissarzy obwodowych w przydzielonym dystrykcie, i różnych innych urzędników. Wyjątek z tego czynili zwykle inżynierowie komitatu i ioni mniejsi urzędnicy. Aby być wybranym, trzeba było być szlachcicem: od roli szedł obywatel na urzędnika, ale rzadki opuszczał dziedziczną wioskę, by się wyłączenie oddać rządzeniu. Ile razy zachodziła potrzeba, zjeżdżali się urzędnicy do stołecznego miasta, lecz wnet po naradzie i wydaniu rozporządzeń, wracali do domów. Jeżeli zastanowimy się nad ostatecznym rezultatem tego zarządu, spostrzeżemy, że zarząd odbywał się zwyczajnie

odpowiednio potrzebom, a urzędnicy bardzo mało kosztowali. Piastować bowiem urzędy uważali Węgrzyni za największy zaszczyt, i mnóstwo obywateli ubiegało się o takowe, chociaż do nich były przywiązane bardzo szczupłe płace; najwyższe wynosiły dwa lub trzy tysiące złotych polskich, inne ledwie kilkaset złotych; pensya ta pospolicie wychodziła na częstowania obiorców. Wszysey urzędnicy komitatu orawskiego pobierali rocznie 30 do 50,000 złotych polskich.

Jeżeli podobny sposób rządzenia ma niemałe zalety, nie odznaczał się jednak sprężystością. Na pochwałę urzędników orawskiego hrabstwa trzeba powiedzieć, że niemało wpłynęli na zaprowadzenie porządku w swym kraiku; a chociaż najuboższy, posiada najlepsze gościńce w całych Węgrzech i doskonale je utrzymuje, tak, że nie ustępują drogom w najlepiej rządzonych państwach. Gościńce nietylko prowadzili po równej i pagórkowatej części kraju, ale przez hole liptowskie i Bieskidy, przez wysokie góry; do tego trzeba było i znacznych nakładów i obszernej znajomości budowania dróg. Tym gościńcom winna głównie Orawa wejście ucywilizowane, i że we wsiach nie widać walących się chat, lecz po większej części porządne i piękne dwory; często zastaje podróżny wygodne karczmy i oberże.

Nie mogę przemilczeć wady tego rodzaju rządu; zbyt mała liczba urzędników, albo ich obojętność w wypełnianiu poruczonych obowiązków, nie umiała utrzymywać ogólnego bezpieczeństwa, mianowicie przy skłonności ludu do gwałtów i rozboju, do czego niemało pomagają trudno dostępne, górzyste okolice, okryte gęstemi lasami. Mówiąc o Podhalu, wspominałem, że jego mieszkańcy znajdowali na Węgrach bezpiecznie schronienie, a nawet wygodne kryjówki, z których wychodzili i niepokoiili swe okolice. Niemało udziału mieli w tém sami Orawianie: nietylko sprzyjali temu, ale nawet pomagali. Wyrodziła się tym sposobem w Węgrzech ogólna obawa o swe mienie, a podróżny uważał się za szczęśliwego, jeżeli nie będąc napaństwany wracał do domu.

Opowiem niektóre szczegóły mniej znane o sposobie dawnego rządzenia komitatów. Pod przewodnictwem wice-geszpana zbierali się urzędnicy komitatu dla narad; zgromadzenie to nazywano magistratem (magistratus). Pospolicie szlachta dobrowolnie przybywała na kwartalne narady, zwane kongregacyami, odbywające się przynajmniej cztery razy do roku, a w miarę po-

trzeby 5 do 6 razy, i nawet częściej. Odczytywano na nich na-
 przód wydane postanowienia rządowe, listy pisane od innych
 hrabstw, zdania sprawy urzędników z dokonanych czynności,
 prośby gmin lub pojedynczych osób. Każdemu z radców i zgro-
 madzonej szlachty stanowiącej publiczność, wolno było obja-
 wiać swe zdanie nad toczącemi się interesami, które odczyty-
 wał sekretarz komitatu, nazywany na Węgrach notaryuszem.
 Nieraz powstawały żwawe, długo trwające spory. Na pochwałę
 zgromadzeń tych trzeba powiedzieć, że rzadko przechodziły
 karby przyzwoitości. Każde bowiem przekroczenie dopuszczo-
 ne na kongregacyi, ściągało na siebie karę za obrazę zgro-
 madzenia, co nazywano technicznie *violata sedes*. Natychmiast
 spisywał zaskarżenie podskarbi komitatu, a po naradzeniu się
 zgromadzenia i wydaniu wyroku, wykonywano karę; była dwo-
 jaka: za obrazę jednego z urzędników magistratu 400 złp.;
 innych zaś osób, znajdujących się na zgromadzeniu, 100 złp.
 Jeżeli skazany nie złożył natychmiast oznaczonej kary, w kilka
 dni później musiał dodatkowo dopłacić 400 złp. Na zgroma-
 dzenia komitatu przybyła szlachta nosiła strój węgierski; skła-
 dał się z czarnej czamarki z potrzebami jedwabnemi i z pała-
 sza przy boku. Dawny to jest zabytek, przypominający, że każdy
 szlachcic był zarazem żołnierzem. Na sądach komitatu, nazywa-
 nych *sedes judiciariae*, niewolno było nosić broni. Do składu
 jego wchodziłi obrani urzędnicy, wraz z przybranemi radcami;
 liczba ograniczała się pospolicie do sześciu. Cztery razy do ro-
 ku bardzo uroczyście odbywały się zwyczajne sądy. Za dawnych
 czasów ich rozpoczęcie oznajmiał jeden z sędziów temi słowy:
 „*indicitur sessio. honeste se gerant et arma deponant*” (roz-
 poczynają się sądy, niechaj każdy przyzwolicie się zachowa,
 a wstępujący niechaj złoży broń). Ale poszanowanie praw tak
 było w narodzie zakorzenione, tak przesiąkli niem Węgry, że
 nikomu na myśl nie przyszło wchodzić na sądy z pałaszem,
 lub z jaką inną bronią. Sądy te rozstrzygały tak w sprawach
 cywilnych jak i kryminalnych, i dlatego przy każdym stołeczném
 mieście konieczną była szubienica, jakby na znak władzy; po-
 wszechnie była stawiana na miejscu wyniesioném, aby ją zdala
 każdy mógł widzieć.

Jeżeli najwyższa przyzwoitość miała miejsce na sądach,
 to inaczej działo się na restauracyach czyli wyborach urzędni-
 ków; namiętności stronnictw rozpuszczaly tu wodze. Węgrzyni

przywiązani do sposobu swojego zarządu, ubiegali się nadzwyczaj gorliwie o posady, i ztąd budziły się namiętności. Urzędników na trzy lata obierano, a to aby mniej zdolni, niepilni, ustępowali miejsca nowym siłom i lepszym chęciom. Na wybory zwoływał ober-geszpan wszystką szlachtę całego komitatu. Każdy pełnoletni szlachcic miał głos przy obiorach. Jak to wszędzie bywa, wcześniej przed nastąpić mającemi wyborami wielkie robiono zachody o głosy; na rok, a często na dwa lata wprzód zbierano stronników: to częstowaniami, to innemi środkami, a w miarę zbliżania się wyborów tém czynniejszemi byli kandydaci. Najciekawsze były sposoby zjednania sobie głosów ubogiej szlachty, nieróżniącój się niczém od drobnój szlachty polskiej. Byłto pewien rodzaj chłopów uprawiających mały kawałek roli, z dyplomem szlacheckim i przywilejami do tego stanu przywiazanemi, a co nie mało znaczyło dawniej na Węgrach; byli oni w całym znaczeniu tego wyrazu wolni, tylko za wyrokiem mogli być uwięzieni, nie opłacali podatków i głosowali na wyborach swojego hrabstwa. Od téj drobnój szlachty poprostu kupowano głosy za 4, 6, 8, a nawet 12 złp.; w czasie zebrania zaś częstowano winem i jadem. Przybywając do miasta przeznaczonego na wybory, nosili onaki swego kandydata: wstążkę kolorową zwyczajnie czerwoną, albo w braku jój, gałązkę świerkową lub dębową. Przywódcy stronnictw musieli ich strzedz, aby się nie stykali blisko z przeciwnikami, bo ten ruchomy żywioł zdania swoje zwykł popierać siłą, a nie rozumował, ani dowodził.

Na kongregacye zapraszano jeszcze na świadków szlachtę z sąsiednich komitatów. Z każdego sąsiedniego hrabstwa przybywało przynajmniej sześciu szlachty, ale niekiedy liczba ta do trzydziestu dochodziła; tych gości trzymano w wysokim poszanowaniu, a przyjmowali ich właściwego komitatu urzędnicy. W dniu do wyborów przeznaczonym, szlachta starannie ubrana zgromadzała się w sali domu komitatu, a jeżeli ta była zaciasną, w kościele lub w innym obszernym gmachu. Pierwszą czynnością wice-geszpana i urzędników tymczasowych było wysłać deputacyą do ober-geszpana z zaproszeniem do przewodniczenia wyborom, a gdy tenże wstąpił do zgromadzenia, witany był hucznemi mowy, pełnemi kwiatów retorycznych, do których przysposobiana bywała młodzież w szkołach; i niestety!

zwykle uważano młodzieńca za dosyć wyuczonego, jeżeli był w stanie powiedzieć mowę przy nadarzonej okoliczności; zresztą zwyczajnie mało co dbano o wykształcenie w naukach filologicznych albo ścisłych, tak kształcących rozum. Ztąd téżto pochodzi ta uderzająca jednostronność w umysłowym kierunku Węgrów, tenże sam zupełnie sposób zapatrywania się na rzeczy, jak w innych częściach Europy. Po skończonej powitalnej mowie, wice-geszpan składał do rąk ober-geszpana pieczęć komitatu wraz z kluczami od archiwum, z oświadczeniem, że ustępuje z swego miejsca wraz z dotychczasowemi urzędnikami czyli magistratem, i udawali się w tłum szlachty. Ober-geszpan wtedy przedstawiał trzech lub więcej kandydatów na różne posady, a zebrane stany większością głosów obierały nowych urzędników na trzy następne lata; zwyczajnie wybierano powtórnie część dawnych urzędników. Przy obiorach powstawały niekiedy żwawe spory i rozprawy nie mające końca, mianowicie, jeżeli się ubiegali kandydaci wspierani również silnym stronnictwem. Nieraz gdy nie przekonywały słowa, brano się do silniejszych dowodów: przeciwników wydalano ze sali głosowania nieraz z dobytą szablą. Po długich sporach, gdy wreszcie dokonano wybory urzędników, ober-geszpan odczytał ich spis, i oddawał im władzę. Po tak nazwanéj restauracyi urzędników, wychodzili wszyscy dla restauracyi żołądków do obszernie zastawionych stołów. Wtedy zapominano wzajemnych uraz: przeciwnicy podawali sobie ręce i biesiadowali jakby nigdy pomiędzy nimi nie zaszło; weselość zastąpiła spory, i zdawało się, że w tém towarzystwie panuje odwieczna harmonia. Węgier bowiem ma bardzo poczciwy i dobry charakter: zapomina łatwo urazy, a mając jakby wrodzone poszanowanie dla praw, z powolnością i chęcią ulega obranym urzędnikom, choćby był ich zaciętym przeciwnikiem.

Na ogólny krajowy sejm obierała także szlachta deputowanych w swych komitatach; wybory te odbywały się nierównie spokojniej, aniżeli przy restauracyach. Ogół zwyczajnie tém się zajmuje, co go bezpośrednio obchodzi: pojęć ogólniejszych nie rozumie i nie ma dlań tyle przychylności.

Z mostu kubińskiego roztwiera się jeden z najpiękniejszych widoków: tu leżą obszerne błonia okryte gęsto wioskami, które pruje szumna Orawa; dalej piętrzą się potężno grzbiety, a tuż nad miastem wznosi się wspaniale skalisty Chocz. Puściliśmy

się na południe ku Parnicy: dobrą milę trwała ta droga śród starannie uprawionych pól i pięknych siół. Wielka ta wioska leży nad samą Orawą, 1160 stóp wysoko nad morzem, i dotyka się gór stanowiących granicę południową tego hrabstwa. Ledwie ujechaliśmy z Parnicy pół mili dalej ku południowi, zmienił się zupełnie obraz przyrody: miejsce pól okrytych płodami Cerery, zastąpiły dzikie lasy i sterczące skały, a wśród nich łąki cudnej zieloności; nagle zwały się dolina, i wody Orawy przedzierały się przez głęboką szczelinę wśród wysokich ścian granitu aż do samych Kralowian. W nadzwyczajnie dzikiej okolicy przy ujściu Orawy do Wagu, na wyniesieniu 1160 stóp nad poziomem morza, założoną została ta szczególna wioska. Ze wszystkich stron otaczają ją góry czarnym lasem okryte, a pomiędzy nimi przedzieraają się zielone wody Wagu. Ale opuścimy ją, bobymy przeszli do sąsiedniego turczańskiego hrabstwa. Spadek rzeki Orawy pomiędzy Twardoszynem a Kralowianami jest znaczny, i wynosi 525 stóp paryzkich, na długości zaledwie 6 mil geograficznych. Wyniesienie nad morze niektórych wiosek, postępując od Twardoszyna ku Kralowianom, jest wymierzone, jak następuje: Dłuha 1950 stóp, Dubowa 1672, Podzamki przy zamku orawskim 1567, Kubin 1362, Parnica 1316 st. p. Część południowa hrabstwa Orawy ma także krajinę halską na granicy Orawy od Liptowa, również malowną jak polskie Podhale, a mianowicie koniec zachodni Tatrów sięgający do orawskiego hrabstwa. Naprzeciw Żuberca ginie ostatni granit, ciągnący się od doliny Jaworyny ze wschodu na zachód, i stanowiący właściwe Tatry; z niemi styka się inne pasmo z północnego wschodu ku południowemu zachodowi aż do Kralowian; nazywać je zwykłym holami liptowskimi, i stanowią podłużne, wysokie grzbiety. Prawie w połowie tego pasma wyskakuje potężna masa wapienna, skalista, góra Chocz; dalej ciągną się znów niższe grzbiety, wznoszące się mniej więcej do równej wysokości i stykają się z małym pasmem granitowym. Kierunek ich tenże sam co Tatrów, t. j. ze wschodu na zachód. Pasma to odgranicza hrabstwo turczańskie od północnych części trenczyńskiego, i jest nadzwyczajnie poszarpanem: ma zupełnie podobną budowę geologiczną do Tatrów; granity powznosiły czerwone piaskowce, wapienie szare (liasowe), nummulitowe osady i piaskowiec karpatowy, i te warstwowe skały nachylają się ku północy.

W całych Tatrach nie ma nigdzie tak doskonale zachowanych lasów, jak w zachodniej części Orawy; są tam obszernie lesiste doliny, gdzie nie powstała siekiera: ogromne jodły i świerki okrywają doliny Uraniową i Jaworową. W tych dolinach nadto są pokłady rudy żelaznej, lecz o ich rozciągłości i bogactwie, nie można nic pewnego powiedzieć, bo nie są dość odkryte. Aby zużyć niszczące się bezużytecznie drzewo i rudy, założono przed 15 laty w poblizkiej wiosce, Podbiela zwanój, wielki piec do wytapiania żelaza; lecz zaszyły nieporozumienia pomiędzy zarządcą państwa orawskiego a przedsiębiorcą, jakimś żydem z hrabstwa szaryskiego, i piec ten zaczyna zmieniać się w ruinę, nie wytopiwszy centnara żelaza. Życzyłoby należało, aby się rozwinął ten zakład hutniczy w większych wymiarach; liczna bowiem ludność mało ma zarobku i przez gnucie ziemniaków, od kilku lat w ciągłej zostaje obawie umierania z głodu, i widocznie coraz bardziej ubożeje. Użytkowanie z drzewa gnijącego od wieków i z rud bezużytecznie spoczywających w łonie ziemi, byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla mieszkańców, i dowodziłoby, że zarząd siedzący w orawskim zamku, pojmuje swoje i mieszkańców korzyści.

Ostatnią wielką doliną w zachodnich Tatrach jest dolina Rohaczów, nazwana od wysokich szczytów, w jej końcu wznoszących się, jakby jakie rogi. Dolinę Rohaczów dzieli od wschodu od znajomój doliny Chochołowskiej potężny grzbiet, coraz wyższy i bardziej najeżony w miarę zbliżania się do łańcucha tatrowego, w który ostatecznie spływa. Wyskakująca z tego grzbietu poza pasmo tatrowe masa skalna, nosi nazwę Osobity, co zapewne ma znaczyć, że ta góra stoi osobno wzniesiona ponad niższe grzbiety piaskawca. Osobitę już zdała łatwo poznać po jej trójkątnym szczycie, do piramidy podobnym; przedstawia się bardzo pięknie w coraz zmiennych postaciach. W właściwych sobie zarysach widać ją już z Poronina, mianowicie jadąc z Zakopanego do Kościeliska, i ma postać od zachodu również szczególną, aczkolwiek i tutaj po zarysie piramidnym ostrym łatwa jest do poznania.

Dolina Rohaczów jedna z najznacześniejszych w Tatrach, przerywa jakby potężna rozpadlina pochyłości północne łańcucha; szerokość jej jest dosyć znaczną, i gdyby nie wyskakujące skały, pospolicie gestym lasem okryte, byłaby zupełnie podobną do doliny Białki, prowadzącej do Morskiego Oka. Nadzwyczajna dokość głównie charakteryzuje dolinę Rohaczów; nagle

spadający strumień zaczyna się w jeziorach pod stopami wysokich Rohaczów; w krętym biegu przerzuca się z jednego boku na drugi doliny, a gdzie ta woda płynie spokojniej, przyczynia się do zieloności łąk. Ale rzeka ta, jak wszystkie alpejskie, nieraz do tego stopnia przybiera, że okrywa całą dolinę: wtedy niesie z sobą niezmierne głazy, i niemi zawala polany, starannie przez mieszkańców uprawione, wyrwa potężne drzewa, i wlece je daleko w okolice pagórkowate. Jeszcze teraz na wielu miejscach widać straszne ślady spustoszenia, tego pozornie spokojnego strumienia. Postępując doliną z dołu ku górze, uderza nadzwyczajna różnaitość w widokach: jeden dzikszy od drugiego, nie widać nigdzie śladu człowieka, nie ma nawet nędznego szałas. Najcelniejszy widok w tej dolinie jest blisko jej początku z boku wschodniego, na cztery stawy leżące pod potężnymi szczytami Rohaczów, rozłożone jakby na czterech wielkich progach, a jeden od drugiego wyższy. Kiedym na nie spoglądał, najpiękniejsza była pogoda; właśnie przyświecał łagodny promień zachodzącego słońca, żadna chmurka nie powstała na lazurowém niebios sklepieniu, a siwe skaliste olbrzymy, zdawało się, że pokryła fioletowa barwa, i w miarę skłaniania się tarczy słonecznej, coraz więcej ciemniały. W tém właściwém oświetleniu, wśród uroczystej ciszy tu panującej, wydawały się czarne wody stawów podrohaczowych, jakby błyszczące oczy tych mass skalnych. Nie ma w tém nic dziwnego, dla czego te piękne widoki tak głębokie wywierają wrażenie na ludzkie, tak zdolnym do przyjmowania silnych wrażeń. Lud w tych niezwyčajnościach widzi cuda, a badacz skutki wielkich sił przyrody.

Nad rozciąglą wioską Żuberec, 2224 stóp wyniesioną nad poziom morza, ciągnie się potężny grzbiet od boku Rohaczów; jedna jego część wyskakuje wyżej i nosi nazwę Siwój Turni, od składającego ją siwego wapienia. Z górą tą kończy się właściwe pasmo Tatrów. Dziwną jest rzeczą, że na granicy hol liptowskich nie ma żadnej doliny lub jakiegokolwiek przerwy; a chociaż mają zupełnie odmienny kierunek, łączą się z sobą najściślej, i dlatego niektórzy uważali ostatnie za niższe Tatry. Pasma gór w jednym czasie powstałe, mają jednakowy kierunek; hole liptowskie wzniosły się zapewne pierwój z powierchaj ziemi, aniżeli wyższe Tatry, które dobyły się nawet w części zachodniej hol liptowskich. Wniosek ten wy-

prowadzam z nachylenia się warstw wapienia spoczywającego na granicie; nachylają się bowiem nie wprost na północ, ale najczęściej ku północnemu zachodowi, w kierunku odpowiednim holom liptowskiem. Długie wapienne grzbiety tych hol wznoszą się tylko 4000 stóp lub nieco więcej nad zwierciadło morza; w nierównych odstępach przerywają je mniej więcej głęboko nacięte doliny. U ich stóp rozciągają się długie wioski, z mniej więcej jednakowem górskiém wejrzeniem. Za wioską Żuberec, posiadającą piękne trzody wieprzy i rosłych wołów, dobre pół mili dalej na zachód leży wioska Huta, 2339 stóp nad poziom morza wyniesioną. Najstarsi nie zapamiętają, iżby w niej była kiedy huta, a przecież wszelkie jest prawdopodobieństwo, że kiedyś tu istniała. Jej mieszkańcy obok chowu bydła i uprawy niezbyt wdzięcznej ziemi, zajmują się głównie szklarstwem, i przyjęli na siebie obowiązek wprawiać szyby do okien w sąsiednich górach, mianowicie też w północnej stronie. Ci rzemieślnicy podróżujący są bardzo pożądani w okolicach pozbawionych miast, a wiejska ludność tak tu jest uboga, jak w Bieskidach i na Orawie. W Żubercu mieszkają sami Słowacy, gdy tymczasem w Hucie żyją Polacy, nieróżniący się niczem od Podhałań; zachodzi pytanie: czyto przybyła kolonia, czy też żuberscy mieszkańcy wcisnęli się klinem pomiędzy Polaków, bo nikt nie pamięta, żeby się tutaj sprowadzili. Prawie mila od Huty, dalej na zachód, również pod górami, leży inna wioska, zamieszkała w większej połowie przez polską ludność, a w mniejszej przez Słowaków, zwana Borowo. Na drodze z Huty coraz bardziej zmieniają się malowne krajobrazy, a chociaż gościniec nie był najlepszym, bo nieustannie trzeba się było wspinać na górę i znów zjeżdżać po kamieniach, chętnie zapominało się o tém, tak wynagradzały widoki. Wyniesienie Borowa jest znane: wynosi 2969 stóp nad poziomem morza, a zatem leży na téjże wysokości prawie co Kościelisko. Wejrzenie jego dlatego jest nadzwyczajnie dzikie; drzewa, krzaki, siwa barwa domów i sposób ich budowania, świadczą o ostrości tu panującego klimatu. Wprawne oko po tym charakterze łatwo pozna, że ta wioska wznosi się wyżej od innych, a tém samém wysoko nad powierzchnią morza.

Aż do Leszczyn, wioski rozciągającej się pod stopami znakomitej góry Chocz, cała kraina na północnej pochyłości hol liptowskich ma zupełnie podobną fizyognomią, jak pomiędzy Żubercem a Borowem. Nie dojeżdżając do Leszczyn zastaliśmy

wyborny gościniec przerywny te grzbiety. Inżynier projektujący takowy okazał wiele oględności: droga ta ciągnie się środkiem pasma, dolinami, na wschodnim boku góry Chocz, i tak trafnie jest prowadzona, że prawie nie trzeba jechać pod górę. Gościniec ten wykonany był li pracą dwóch stykających się hrabstw: Liptowa i Orawy. Przy wykonaniu jego niemałe trzeba było przewyciężyć przeszkody: łamać wyskakujące skały, rwące strumienie ujmować tamami, i liczne stawiać mosty. Zarządy dwóch hrabstw wykonały tę drogę również trudną jak pożyteczną. Potrzeba było do tego wprowadzić dziesiątka lat, ale ostatecznie stanęła, i prowadzi do serca Liptowa przez licznie odwiedzone, również skutecznie jak miłe cieplice, Łuczki zwane.

Pół mili na zachód od Kubina jest obszerna wioska, Leszczyny, otoczona jednym z najwspanialszych krajobrazów: od południa wznosi się potężna massa skalista Chocza, od północy sterczą dwie oddzielnie wyskakujące góry: Tupa skała i Ostra skała Kubiaska, a na zachód otwiera się obszerny widok ku Kubinowi. Wieś tę otaczają znaczniejsze równiny, a jej domy wnoszą się ze środka bujnej roślinności. Wysokie góry nietylko zasłaniają tę dolinę od wiatrów, ale zbierając promienie światła, uczyniły okolice Leszczyn cieplejszą, aniżeli by można wnosić z jej znacznego wyniesienia nad poziom morza, bo leży 1727 stóp nad jego zwierciadłem. Chocz wznosi się według dwóch pomiarów, wykonanych przez Wahlenberga i przezemnie, na 4,957 stóp, a Ostra skała 2,454 stóp.

Ktoby się spodziewał, że do tych odległych, zapomnianych dolin zapuściły się zmiany religijne! Jeszcze w XV wieku przyciągali zwolennicy Hussa do swych zasad tutejszych mieszkańców, a nawet posunęli się jeszcze 15 mil dalej na wschód, czego są ślady przy Czerwonym klasztorze na Spizu, gdzie, według opowiadań ludu, mieli zburzyć Hussyci klasztor św. Kunegundy, wystawiony na szczycie Pienin, którego ślady widać dotąd. Następnie mieszkańcy Leszczyn i okolicznych włości podczas reformacyi w XVI wieku chwycili się zasad Lutra, i tych trzymają się dotąd. Byłem na nabożeństwie: odbywało się nader przyzwoicie w czystym i miłym kościełku; zgromadzeni włościanie chędogo, nawet z pewnym zbytkiem ubraniu, modlili się wszyscy na książkach; ksiądz w poprawnym słowackim języku miał kuzanie, i mnóstwo zdań wznoszących umysł

umiał uczynić swym parafianom przystępnymi. Liczne dwory zdobią tę wioskę, należącą do znacznie rozrodzonej familii Smreczanich i Zmeszkalów.

Ćwierć mili dalej na zachód leży Wyższy Knbin, wioska mająca jeszcze więcej dworów szlacheckich, aniżeli Leszczyny. W Węgrzech od niepamiętnych czasów jest zwyczajem, że się familia dzieli gruntami wioski, i każdy spółwłaściciel stawia sobie własny dwór, a nawet posiadając liczne inne włości, nie opuszcza swego rodzinnego gniazda: i ztąd pochodzi ta znaczna liczba dworów niektórych wiosek. Z Kubina wywodzi się liczna familia Kubinich, rozgałęziona po całych Węgrzech. Przez połączenia się małżeńskie wchodzą wprawdzie obce familie do wiosek, ale i takie stanowią zwykle jakby jedną całość. Niemąło przyczyniło się to spólne pożycie do wyrobienia obyczajów patryarchalnych, i do stódkich a poważnych zwyczajów, w wysokim stopniu wykształconych na Węgrach.

Pomiędzy Wyższym a Niższym Kubinem rozdziela się gościniec: jedno ramię prowadzi na zachód do Kubina, drugie prosto na południe, przez hole liptowskie przy zachodnim boku Chocza, do małego miasteczka liptowskiego Rozenberga, Bamskiej Bystrycy (Neusohl) i Pesztu. Drogę tę jeszcze przed 25 lat wykonano, również za staraniem mieszkańców dwóch wymienionych hrabstw.

Słowacka ludność zajmuje południową część Orawy, znacznie bogatszą krainę. Ta okoliczność sprawiła, że jest bardziej wykształconą od polskiej, żyjącej na nader biédnej ziemi. Słowacy mają porządne i wygodne domy, ubierają się dobrze, prawie wszyscy czytają na książkach, a często umieją i pisać; za tém idą łagodniejsze obyczaje, ogłada i większy przemysł. Na wydanie tego stanu wpłynęły głównie stosunki przyrodzone i umysłowe usposobienie mieszkańców, skłonnych do zastanawiania się; tymczasem w północnych stronach Orawy często z największym trudem człowiek tyle zarabia, ile starczy na przewleczenie mizernego żywota. Niemąło do podniesienia ludności polskiej przyczyniliby się księża polscy, ale na nie-szczęście ci zwyczajnie są Słowakami, więc niezrozumiałym językiem przemawiają do swych parafian.

W głównych zarysach skreśliłem obraz tej małej górskiej krainy, w której ludzie zaledwie są w stanie wyżyć, i od kilku lat ciągle walczą z głodem, grożącym im przez psucie się ziem-

niaków. Niezmierna pracowitość i wygórowana skromność w zaspokajaniu niezbędnych potrzeb, zaledwie ich wybawiają od śmierci z głodu. Zdaje się, że przez wprowadzenie téj, jakby na wyginienie skazanej rośliny, rozrodziła się zabardzo ludność; uprawa mało wydajnej roli i chów bydła nie są w stanie ją wyżywić. Aby zatem tak wielka liczba mieszkańców mogła tutaj żyć, potrzeba albo zaprowadzenia zatrudnień przemysłowych, albo żeby część porzuciła swą rodzinną ziemię i osiadła w bardziej urodzajnych krajach; właśnie południowe Węgry są na to jakby przeznaczone. Bardzo urodzajna ziemia, leżąca od wieków odłogiem i pracowita ludność, mogłyby przyprowadzić do stanu kwitnącego to bezludne prawie stepy.

Odnaczający rys charakteru Orawów jest miły spokój duszy, oddychający wewnętrzném szczęściem domowém; nie obudzily się w nich wyższe potrzeby umysłowe, i nie biorą udziału w dociekaniu i rozwijaniu prawd, które rządzą przyrodą i trudnym do zbadania duchem ludzkości. Cieszą się skromném używaniem i pracą bardziej mechaniczną, która nie prowadzi ich do głębszych dociekań. Prostota i słodycz obyczajów mieszkańców téj prowincyi pochodzi głównie ztąd, że się składają z jednorodnego szczepu słowiańskiego; a chociaż w północnych stronach Orawy mieszkają Polacy, a w południowej Słowaki; dwie te narodowości bardzo są do siebie podobne, i często trudno ich odróżnić można na pierwszy rzut oka. Pierwsi nierównie są żywsi, drudzy powolniejsi, a tém samém bardziej rozważający. Mała liczba żydostwa, trudniąca się i tutaj jak wszędzie karczmarsstwem i handlem, nie mogła wpłynąć na zepsucie obyczajów ludu.

*Spis gór i miejsc zamieszkałych, wynierzonych barometrem
w Orawie.*

	stóp. par.	
Biały Potok, wieś	1950	Zejszner.
Borowo, wieś	2969	Zejszner.
Chocz, góra	4913	Wahlenberg.
— — inny pomiar	4937	Zejszner.
Dłuha, wieś	1580	Wahlenberg.
— — inny pomiar	1572	Zejszner.
— poziom Orawy przy Dłuhéj	1550	Wahlenberg.
Dubowa, wieś	1567	Zejszner.

	stóp. par.	
Huta, wieś	2339	Zejszner.
Holica nad Koszarem, górą nad wsią Huta.	3268	„
Jablunka, wieś	1822	„
Kralowiany, wieś	1253	Wahlenberg.
— poziom wód przy spływie Wa- gu i Orawy	1235	Wahlenberg.
Kubin Niżny	1326	„
— — inny pomiar	1352	Zejszner.
— poziom Orawy	1296	Wahlenberg.
Leszczyny wieś	1727	Zejszner.
Orawski zamek, Podzamcze	1596	Wahlenberg.
— — inny pomiar	1513	Zejszner.
— poziom Orawy	1546	Wahlenberg.
— — — inny pomiar	1464	Zejszner.
Orawskiego zamku szczyt	1781	Zejszner.
Ostra skała kubińska	2019	„
Parnica, wieś	1334	Wahlenberg.
— inny pomiar	1316	Zejszner.
— poziom Orawy	1294	Wahlenberg.
Piekielnik, wieś	1888	Zejszner.
Podwilki, wieś	2052	„
Podbiel, wieś	1712	Wahlenberg.
— poziom Orawy	1682	„
Puców, wieś	1436	Zejszner.
Rohacz szczyt	6407	Wahlenberg.
— inny pomiar	6205	Zejszner.
— najwyższy staw pod Rohaczem	5224	„
— granica drzew przy Rohaczem	4262	„
Siwa turnia, góra nad Żubercem	5470	„
Skalka nad Medwiedźcem	2098	„
Sucha hora, wieś nadgraniczna	2421	Wahlenberg.
Torsztena lub Trzciana, miasteczko	1819	„
— inny pomiar	1810	Zejszner.
— poziom małej Orawy	1800	Wahlenberg.
Twardoszyn, miasteczko	1685	Zejszner.
Żuberec, wieś	2293	Wahlenberg.
— inny pomiar	2224	Zejszner.
— grzbiet nad wsią téjże nazwy	4870	„



KRONIKA LITERACKA.

Pamiętniki o dawniej Polsce, z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy Jana Franciszka Commendonii. 2 tomy. Wilno. 1851. T. I, str. LVIII i 268, II. 328.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nasza literatura historyczna, niedawnemi czasy nabyła dzieło, z którego nigdy dosyć nie może się chlubić: — sąto listy kardynała Commendoniego o Polsce. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, powtarzamy, bo od czasu kiedy te listy z archiwów watykańskich przepisał Albertrandi, upłynęło już lat 73, blisko trzy ćwierci wieku, i wymarły już te wszystkie osoby, dla których Albertrandi wypisywał, i które z jego obszernych materyałów miały zrobić użytek. Tak po śmierci pracowitego i pełnego zasług biskupa, rozplynęły się te jego papiery po świecie, rozdzieliły się na tysiące cząstek: tutaj troszkę, tam więcej pozostało; tutaj pewna całość, a tam urywek bez początku i końca. Miłośnicy nauki, szczerzy i pojedyncze kawały tych materyałów, i tych już po części ukończonych badań, odkrywali jak wyspy na morzu literackiem i ogłaszali drukiem. Raczyński, a zwłaszcza Onacewicz zasłużyli się pod tym względem najlepiej literaturze ojczystej. Teraz w zawody z nimi wchodzi Malinowski. Dwaj poprzednicy jego drukowali dzieje Rzplitej już opracowane przez Albertrandego; Malinowski ocalił od śmierci jeden pomnik, materyał odkryty przez niego na Watykanie, i zbogacił literaturę cudnym dziełem, a Albertrandemu postawił najpiękniejszy pomnik, śliczny kwiatek do dziejów prac jego dorzucił. Bo i zaprawdę, powiemy śmiało, że literatura nasza historyczna nie dotąd jeszcze równego listom Commendoniego nie posiadała. Ursyn w Pamiętnikach o dawniej Polsce zaczął nam z tej strony, co i te listy, pokazywać ziemię Jagiellonów, to jest ze strony jej wewnętrzznego życia: nie bawił się na granicach i wojnach, a czytelnika swojego prowadził pomiędzy komnaty zamkowe, wasatych senatorów i poważne matrony polskie; nawet dał Ursyn urywki z Gracyana, który pobyt Commendoniego w Polsce opisywał, a jednak nie odmawiał nam tak oblicza, obranego przez siebie wieku, jak te listy.

o których piszemy. Ursyn drobił się: wziął wielki przeciąg czasu i o każdym coś powiedział; ztąd, lubo jego zarysy bardzo są ciekawe, bardzo nowe, charakterystyczne, treścią swoją ponętne, rozbiegły się, rozleciały i ślad ich tylko widać w powieściach. Listy Commendoniego malują wiek jeden, chwilę jedną; ale malują tak, ze wszystkimi jego własnościami, z błędami, z cnotami, niepokojami, ruchem, ogniem, namiętnościami, malują tak ubiegłe życie: że nie nie zostawiają do życzenia. To wizerunek nakreślony ręką najbiegłego artysty. arcydzieło prawdziwe sztuki.

Wiernyto i piękny obraz dwóch lat tylko, ale te dwa lata dokładnie wystawiają ów wielki czas wewnętrznych politycznych i religijnych niepokojów Rzplitej; owej epoki sławnej w znakomite mężi i wiekopomne czyny, które stanowią świetne, z niczem w dziejach nieporównane Zygmuntofskie czasy. Commendoni maluje ten złoty wiek Rzplitej w chwili, w której już gasła Jagiellońska dynastia. Wiele tutaj nowych żywiołów, których jeszcze za Starego Zygmunta nie było. Rozbijała się szlachta pod łagodnym panowaniem króla Augusta, i swobodnie po wzburzonym morzu pływała. Za ojca, silny był jeszcze katolicyzm w Polsce, a za Batoiego, napowrót już odzyskiwał utracone siły. Ztąd w złotych dziejach Rzplitej, czasy Zygmunta Augusta mają swój odrębny koloryt. To mozaika chęci, zamiarów, planów, wiar, prawodawstwa; to sobor narodowy obok Trydentu, to rosnąca wciąż powaga rycerskiego stanu, obok tradycyjnej powagi senatu; to Hozyusz, Uchański, Padniewski, Myszkowski, obok Wergera, Orzechowskiego, Frycza, Lismanina i innych. Z jednej strony, jak piorun wszechmocny książę wojewoda Radziwiłł Czarny; z drugiej, jak wąż rozumny, kardynał Commendoni. I Litwa staje naprzeciw Koronie, bo lęka się o przyszłą unię lubelską. Obraz wypełniony, przesłiczny, dzieło pełne najwyższego interesu, z którego się więcej o przeszłości nauczymy, jak z dziesięciu jakichkolwiek kompilacyj historycznych.

Okropne było położenie Zygmuntofskiej Rzplitej, w chwili, kiedy Commendoni miał ją nawiedzić. Reforma religijna nurtowała pod ziemią wszystkie stany i ziemie koronne i litewskie. Nie było niezbożności i sekty, któraby się pod niebem polskim nie przyjęła i nie wybujała w rozłożyste drzewo. Miesiąc każdy, dzień, godzina prawie, przynosiły nowe zasady, nowe pojęcia i nowe wyobrażenia o Stwórcy i o kościele. Codzień nowy kościół katolicki sprofundowano: to w Wielkopolsce, to na Rusi, i zgrozy nie było widać. Nadszedł czas zupełnego rozkiełznania się myśli człowieczej, i ludzie we wszystko uwierzyć byli gotowi, oprócz w jednego Boga. Znaleźli się śmialkowie, którzy usprawiedliwiali błędy i występki, a cnoty dawne wystawiali na pośmiewisko, udając je za plód ciemnoty i barbarzyństwa przodków, bo wiara i reformami zajmowało się wtedy wszystko, co żyło w Polsce. Nie było domu, miejsca, schadzki, uczty i pory, gdzieby nie było razem i sporów o wiarę. W domu wojewody wileńskiego,

(30)

kaznodzieja jego nadworny Tomasz, nauczał publicznie, że każdy człowiek może sobie wyrozumować swoją własną wiarę i powinien się jej trzymać; każda chimera stawała się zasadą i podstawą nowego wyznania. Katolicy milczeli i czuli swoją słabość w obec strasznego potoku, który wzbierał tak gwałtownie; jakże nie mieli stracić serca, kiedy np. w całym wojsku polskim na Litwie, znajdował się jeden tylko kapłan katolicki przy hetmanie? (Tom I, str. 38). I dziwnie sprzyjał tej swawoli myśli, stan ówczesnego społeczeństwa polskiego.

A naprzód: duchowieństwo katolickie było w najwyższym stopniu zdemoralizowane. Tacy biskupi jak Uchański, Pac i Pętkiewicz, jawnie dążyli do reformy. Oprócz tego, każdy żył sobie oddzielnie ze swoim dworem, ze swoją myślą, z planami na przyszłość; niecierpieli się wszyscy, nastawiali na siebie wzajemnie, i jeden drugiego w łyżce wody utopiłby. „Na dwa dni pogodzić ich z sobą nie można, mówił Commendoni” (Tom II, str. 150). Spółzawodnictwo do władzy doczesnej, chciwość dóbr materialnych, zachwiana gorliwość w wierze, sprowadziły pomiędzy biskupów rozwolnienie obyczajów i starganie dotychczasowych hierarchicznych względów. Padniewski niecierpiał Uchańskiego, Uchański toczył wojnę na śmierć i na życie z biskupem na Kujawach Wolskim. Dajny głos Commendoniu, a kilka frazesami żywo ten straszny obraz duchowieństwa prałat rzymski nam odmaluje. Jeżeli się kiedy zwracali biskupi do Rzymu i jeżeli ztamtąd wyglądali pomocy, to chyba dlatego, żeby papież wsparł ich pieniędźmi i ocalił im zagrożone przez reformę dochody w Polsce. Znieważali się publicznie, a chociaż Commendoni ich godził na chwilę, znowu się kłócili po sejmach. Za dziesięciny daliby się ubić na miejscu, a reszta, moralność i wiara, Bóg i kościół, były wcale dla nich obojętną rzeczą. Na sejmach w rzeczach wiary, gorliwsi od nich byli świeccy katolicy. Nawet miłośnicy ojczyzny, jako senatorowie nie uwodzili się; interes postawili wyżej nad wszelkie względy w doczesnym i przyszłym życiu. Ale często i należycie zrozumiany własny pożytek, ustępował przed poddmuchami osobistej namiętności. Czasem tylko który słówko jakie wysykał za sprawę więcej ogólną, ale to bardzo czasem. Z sobą pozornie grzeczni, wyglądali z niecierpliwością na nuncyusza, aby cudy przed nim rozgadywali na papieża; jakby dlatego chcieli się widzieć z Commendonim, żeby powiedzieć mu, że całą winą nieszczęść Rzplitej płynie z Rzymu (Tom I, str. 45). Nie pokazywali pod tym względem najmniejszego taktu. Zygmunto wi Augustowi należy się w znacznej części odpowiedzialność za taką politykę biskupów, bo w nominacjach swoich nie baczył na dobro kościoła, ale na konieczność. Do Rygi np. myślał wsadzić na arcykatedrę katolicką dziecko, i to jeszcze syna księcia meklemburskiego, który przyjął augsburskie wyznanie. Sam król pojmował dobrze ten zamęt, „ci biskupi (mówił o swoich senatorach duchownych do Commendoniego) przychodzą do kościoła na mszę i na kazanie, ale nie wiedzą jakiej są wiary” (I, 56)

Ztąd kardynała Hozyusza, biskupi Zygmuntowscy niecierpieli, i nie radzi go widywali na soborach i sejmach (1. 33).

Commendonni starał się odkryć za przybyciem swoim do Polski powód, który tak mocno zobojeźnił ich dla wiary. Po wielu badaniach odkrył nareszcie ten powód, który jeszcze większą plamę rzuca na duchowieństwo polskie. Oto, ponieważ król był bezdziejny, i podług powszechnego mniemania niedługowieczny: wszyscy dostojnicy koronni, a więc i biskupi, już zawczasu zwracali swoją uwagę na dynastya przyszłą, która po Jagiellońskiej miała nastąpić, i każdy kierował przekonanie swoje wedle osobistych widoków. Byłato chwila nieszcześnieego przesilenia dla Rzplitej, która jeszcze sobie rządu dobrego nie ustanowiła. Biskupi tutaj występowali jako obywatele kraju, ale nie sami już dzielili się na stronnictwa: panowie świeccy, tak katolicy jak różnowiercy, stawali pod różnemi chorągwiami. Z dniem każdym przybywało więcej rozdrażnienia, więcej niechęci. Dziwneto było wazenie się losów: jeszcze król był na tronie, a już sześć głównych stronnictw wybitnie odznaczyło się na łonie narodu, nie rachując mniejszych. Cominendonni z krwią zimną je wylicza.

Ten niepewny stan rzeczy obecnej, ta obawa o przyszłość, gra wielką rolę w konwulsjach Zygmuntowskiej Polski. Ładu chwila król mógł zamrzeć, a tutaj tyle spraw pierwszego znaczenia potrzebowało jeszcze ojcowskiej jego opieki. Rzplita pod tym względem była w trudnym do opisania zamęcie. Ceną krwi swojej nabyła Inflanty, i nie wiedziała jak się ma z nimi rozrządzić. Litwa i Prusy pokazywały wiele gotowości do prowadzenia oddzielnie od losów Korony łódki swojego żywota. Na wschodzie Iwan wojnami groził. Rakuszenie infrygowali już za życia i sadowili się w Węgrzech, gdzie ich, i Polskę przestraszała potęga turecka, zbrojna przednią strażą wiarołomnych księztw naddunajskich. Rzplita w tym zamęcie na dzień jeden przyszłości swojej przewidzieć nie mogła. Zewsząd nadciągały burze i nawałnice. Gdyby jedną godziną prędzej umarł Zygmunt August przed dokonaniem największego swojego dzieła, wielkie pytanie, coby się stało już wtenczas z Rzplita?

Wśród nieladu wyobrażeń i chęci, mnożą się wnioski, myśl buja. Widzimy ze słów Commendoniego, jak z ujmą senatu straszliwie zaczęła wzrastać powaga stanu rycerskiego, i jak z początku tę wszechmocność swoje objawiła na sejmach. Niekoniecznie dlatego, żeby duchowieństwo poniżyć, szlachta powstała przeciw wszelkim przywilejom panów i starszych braci: szlachta chciała ograniczyć naprzód, a potem znieść do szczytu jurysdykcyę biskupów; nie robiła to przez miłość dla reformy jedynie, a więcej przez miłość wzrastających swobód, przez samą konieczność rozwijania zasad, któremi się od lat niepamiętnych rządziła. Duchowieństwo po części samo popchnęło szlachtę po drodze reformy. Jeszcze za nuncyusza Lippomaniego w r. 1557, wydano

w Warszawie uchwałę na stronę katolicyzmu, obronę kościołów i akademii, co nieprzyjaciele Rzymu wzięli za chęć przesładowania. Podnieśli więc ogromne krzyki „z większą niż pierwój znie wagą, uciskiem kościoła i duchowieństwa,” (I. str. 151). Wielu różnowierców zuchwale skargi zaniósł przed króla, który przez bojaźń, żeby z tego wielki płomień się nie zapalił, zre szła z natury swojej łagodny, i ujęty licznemi darami: uległ złym doradcom i powydawał na rzecz heretyków tajne listy, przeci wne pierwszemu wyrokowi. Tak było w Polsce razem prawo i przywilej; a różnowiercy wyrokiem warszawskim pogardzili i odważyli się na to, do czego im wprzód serca brakło. Toruń i Gdańsk, dwa największe miasta na Pomorzu, wypowiedziały zupełne posłuszeństwo kościołowi, przywłaszczyły sobie świątynie Pańskie i wylamały się z pod władzy swoich biskupów. Różnowiercy ogień swój, którym oddychali, potrafili rozniecić w sercach katolickiej szlachty, która już dawno narzekala na zbytnią przewagę duchowieństwa i wtręcanie się jego do rządów świeckich. Biskupi polscy mieli prawo zapożywać przed swój trybunał o religią, i zwykle wyroki kończyły się klątwami. Dla różnowiercy, który zerwał z kościołem przodków, sama klątwa była niczém, ale ważne za sobą pociągała skutki w prawodawstwie. Wyklęty nie mógł stawać w sądach świeckich, nie mógł być opiekunem i świadkiem; tracił zatem wiele z praw szlacheckich, bo starostowie i urzędnicy publiczni musieli wykonywać wyroki biskupów. Otóż na ten przywilej duchowieństwa rzuciła się szlachta, zasiadająca na sejmie w Piotrkowie w r. 1562. Zapadła tam konstytucya, przez którą starostowie sądowi uwolnieni byli od obowiązku wykonywania wszelkich innych wyroków, oprócz wymienionych w statucie króla Jagiełły, wydanym na sejmie w Jedlnie (1). W samej konstytucyi nie było nic przeciw duchowieństwu; ale że w jedlińskim statucie nie było mowy o klęciu i odstępstwie od wiary, i że widać biskupi umieli zabiegać, że starostów za wykonawców swojego sądu sobie zjednali: król kasował to, co powstało z nadużycia, z niewiadomości prawa, i powracał w czystości dawne zasady rządowe. Konstytucya z r. 1562 nie była wprost przeciw duchowieństwu; owszem godziła na wszelkie nieuprawnione juryzdykcyę, sądy i wyroki: celem było jój głównym, podkopać wpływ biskupów, którzy te zamachy dobrze rozumieli. Cóż teraz znaczyl wyrok bez egzekucyi? Klęty przychodził do sądu, a starosta nie sprzeciwiał mu się, kiedy chciał być opiekunem albo świadkiem. Niezgodni biskupi nie bronili się wcale na sejmie 1562 r. ale dopiero po zapadłym wyroku, poznali całą przepaść, jaka się pod ich nogami otwarła. Różnowiercy cisnęli się na dobra i fundusze duchowne, kościoły zamieniali w zbory, dziecięciny albo sobie przywłaszczyli, albo nowym nauczycielom dawali, i klątwy nie miały żadnego znaczenia.

(1) Konstytucya ta z r. 1562 znajduje się w Vol. Leg. tom IIgi. str. 621.

Jednocześnie inny cios podobnego rodzaju uderzył w panów, co także właśnie dowodzi, że konstytucya piotrkowska 1562 r. nie tak była skutkiem myśli przeciw-katolickiej, jak myśli szlacheckiej i chęci zdobycia coraz większych swobód. Za prawem piotrkowskim, tak katolicy jak i różnowiercy głosowali. Naimnożyło się w Polsce starostów i starostw przez zbytnią rozrzutność królów: Alexander cały skarb rozdał, Zygmunt Stary przez Bonara oczyszczał skarb z ogromnych długów, które koronę jego ciążyły. Królowie rozdawali starostwa, a panowie przywłaszczali je sobie jako ziemie dziedziczne, kiedy się ich nikt o to nadużycie nie pytał. Energeticznym krokiem potrzeba było ratować własność publiczną. Otóż jednocześnie z uchwałą o egzekucyi wyroków, zapadła druga konstytucya, na mocy której królowi nadano władzę roztrząsania praw, jakie starostowie mieli do ziem koronnych; każdy obdarowany musiał składać przed nim przywileje i dowody swojej własności, a do czego by prawa swojego nie udowodnił, to jako własność koronna przechodziło na skarb. Nazywano ten sposób dochodzenia prawdy *egzekucya*. Otóż ta egzekucya i uchwała o spełnieniu wyroków, są głównymi wypadkami w Polsce owego czasu; około nich płacze się wszystko, i nienawiści osobiste i namiętności stronnictw.

Właśnie wtenczas odbywał się w Trydencie sobor powszechny, który chciał uspokoić wzburzoną łódkę Piotrową. Sobor poprawiał błędy, usuwał nadużycia, ale dlatego właśnie, że szedł za sprawiedliwością, do płomienia w Polsce dorzucił nowy płomień, bo duchowieństwo narodowe zepsuło się i wierzyło już tylko w przywileje i w nadużycia. Trydent nakazywał, żeby każdy kapłan miał jedno beneficjum, i żeby przy niem mieszkał; w Polsce w modę weszło, żeby posiadać po kilka, po kilkanaście posad duchownych, i naturalnie nie za to nie robić! Żaden z biskupów polskich nie wyszedł na biskupa, zanimby wprzód w trzech, czterech i więcej katedrach nie odział się w prałuckie tytuły, i dochodów razem z Płocka, z Krakowa, z Gniezna albo z Przemyśla nie pobierał. Za granicą księża mieszkali przy probostwach, w Polsce było to niepodobieństwem fizycznem: rozerwać nikt się nie mógł dobrowolnie, i nikt też posad dobrych nie rzucił, a na ten chyba koniec przyszłoby potrzeba było wszystkim kanonikom i prałatom katedralnym. Rozporządzenia trydenckie nie podobały się też powszechnie w Polsce: duchowieństwo nasze głośno pisało się na konfederacyę przeciw Rzymowi. Jedni chcieli wbrew woli soboru wypowiedzieć posłuszeństwo i beneficya zatrzymać; drudzy przejściem do reformy grozili. Mówiono, że szlachta straci ochotę do duchownego stanu, że kościoły polskie opustoszeją, że zatem konieczność nagnie księży do reformy: bo jużcie potrzeba mieć jakieś wyznanie. Uchański był kontent z tego rozporządzenia i chciał je zaraz przywieść do skutku; Padniewski zawsze mu przeciwny, zapalał się i ciskał pioruny gniewu na Trydent. Mówiono, że prymas chce się zbogacić z łupów, kiedy

innych obędzie; mówiono o biskupie krakowskim, że właśnie boi się być obdartym, bo było pan w całym znaczeniu tego rodzaju możny, i jeden z najbogatszych magnatów w Polsce. Inni biskupi ze zgrozą nazywali statuta trydenckie, *egzekucją* przeciw duchownym.

Z tysiąca stronnictw, które wtenczas żyły i działały w Polsce, żadne dobrze nie wiedziało do czego dąży, bo żadne nie wytknęło sobie celu. Jedni tylko różnowiercy mieli widoki dla przyszłości, ale te widoki były sekiarskie, bo nie miały na względzie kraju, jego potęgi i sławy, ale prosto uderzały na Rzym i dogadzały najlichszym namiętnościom, kiedy chciały co prędszej, same nie wiedząc dlaczego, pogrzebać katolicyzm w Polsce. Różnowiercy widzieli przed sobą wroga i postanowili go nękać, nie wiedząc i nie przeczuwając, co z tego wyniknie i czy ta wyuzdana ich nienawiść będzie z pożytkiem dla Rzplitej. Nigdy tam nie ma rozumu, gdzie już zapanowała ślepa namiętność.

Otóż różnowiercy powiadali w Polsce, że oni tylko są prawdziwemi poddanemi króla, bo jemu tylko samemu na wierność przysięgają, wtenczas, kiedy księża katolicycy przysięgają papieżowi (I, 76). Dalej, chociaż Zygmunt August upornie milczał w tym względzie, publicznie go już na sejmach nazywali następcą i namiestnikiem Boga w królestwie polskiem (str. 91). Byłto hołd złożony systematowi panującemu w Anglii, gdzie król rządził kościołem; bo i nasi różnowiercy chcieli Zygmunta Augusta wy kierować na polskiego papieża, i pochlebiali królowi rozwodem, którego sobie pan ten niezmiernie zyczył. Stworzyli nareszcie myśl soboru narodowego, a na tej drodze występując, znaleźli wiele pomocy do urzeczywistnienia swoich zamiarów w samych postanowieniach soboru trydenckiego. Sobor chciał wszędzie w karby ująć rozwolnioną karność kościelną; polecił tedy, że w każdej prowincyi ma się zaraz odbyć synod prowincjonalny, na którym oprócz uroczystego uznania statutów soborowych, biskupi mieli jeszcze radzić o bliższych potrzebach swojego kościoła, i zawsze w duchu postanowień trydenckich. Oprócz Trydentu, Uchański prymas wybornie różnowiercom posłużył. I jemu się marzyła jakaś niepodległość od Rzymu, jakiś rodzaj oddzielnego patriarchatu, i dlatego ciągle marzył o tym soborze narodowym. Chciał to niby zaprowadzić zgodę religijną w ojczyźnie, i dlatego miał zamiar porozumiewać się z odstępcami. Książdz Uchański nie pojmował tego, że porozumieć się nawzajem, jestto nawzajem porobić sobie jakieś ustępstwa; tymczasem najmniejsze ustępstwo w reformie, zreorganizowałoby w Polsce kościół katolicki na jakiś kościół pośredni pomiędzy Rzymem a Lutrem. To też poznali się łatwo na tych farbowanych lisach ci, co się wiary przodków trzymali, i nie pozwalali na sobor narodowy.

Pycha różnowierców jednakże z dniem każdym coraz więcej wzrastała. Już zwycięstwa Rzplitej na granicy przypisywali swoim modlitwom, a do biskupów wyciągali ręce, chcąc w zamian za

dziesięciny, oddać im bogate opactwa Cystersów i Benedyktynów. Za to posłowie byli zawzięci przeciw biskupom aż nie do uwierzenia (str. 95). Różnowiercy zrywali się już do bitew. Czując swoją siłę, zaczęli napastować zakonników katolickich i oblawać napadać na kościoły. Kościół Franciszkański ledwie się im obronił w Krakowie, w styczniu 1564 r. Na Wielkanoc tegoż samego roku, kusili się o drugi kościół św. Marcina w témże mieście: było to probostwo kasztelanica krakowskiego, które mu ojciec chciał zająć zbrojną ręką (str. 156 — 167). To nie jeszcze: zwyczajnie gorliwość sekciarska polowała na kościoły, ale zdarzały się wypadki przenikające zgrozą, których znosić, żadne społeczeństwo nie powinno. W Lublinie, publicznie na processyi znieważono Przenajświętszy Sakrament, a bluźnierca nadymał się pychą, znalazłszy potężnych obrońców (l. 159. 193). Zniewaga spadała tylko na katolickie kościoły, bo cerkwie wołoskie, a nawet żydowskie bóżnice, doznawały opieki rządu i były spokojne (2. 101). Smutno już w złotych czasach Zygmuntońskich spoglądać na te zarody sporów i walk religijnych, które się potem tak olbrzymio rozwinęły w Polsce. Te walki, które tutaj są rzadkie jeszcze, z kolei czasu coraz częstsze, przejdą nareszcie w krew i w życie Rzplitej; tylko medal się na inną stronę przewróci: teraz zaczynają bój różnowiercy z wątpliwą nadzieją powodzenia, bo katolicyzm silny jeszcze, ale za kilka chwil ten bój rozpoczynać będą już katolicy, zawsze i wszędzie z nadzieją pewnego zwycięstwa, bo wszystko za nimi, i bój ten przeciągnie się po same dni upadku Rzplitej.

Pomiędzy temi stronnictwami, wśród tego gwaru życia, wśród tego ognia namiętności, świeci szlachetna postać znakomitego króla, dobroczyńcy narodu, człowieka z sercem i smutną myślą, i zatopiła się w niedalekiej przyszłości. (Najcudowniejszych rysów do nakreślenia charakteru Zygmunta Augusta dają nam te listy Commendoniego, i jego własnoręczne listy do Radziwiłłów, przez Lachowicza wydane. Rzplita nie mogła sobie życzyć lepszego, większych przymiotów i zaciejszego króla; i jeżeli miała prawo za co narzekać na Zygmunta Augusta, to chyba za to niestannowczosć kroku, to jest w ogóle — za brak woli. Ależ w tém nie wiele był winien przed narodem Zygmunt August; wychowanie Bony zrobiło go tym *dojutrzkiem*, tym królem, co prochu się lękał; a i tak jeszcze to wahanie się Zygmunta, kto wie ile dobrego przyniosło dla Rzplitej. Gdybyśmy mieli króla trochę żywszej krwi w połowie XVI wieku, wielkie pytanie, czyby nie przyszło do okropnej wojny domowej? Zygmunt Jagiellończyk rozumiał dobrze swoje posłannictwo w posród wojowniczego narodu, a był pośrednikiem pomiędzy wszystkimi: jednych i drugich łagodził, i całe usiłowanie swoje na tołożył, ażeby nigdy nie dopuścić strony do ostateczności. Chwalim się tolerancją naszych naddziadów: oddajmy i sprawiedliwość Zygmuntowi Augustowi, że on nam jedynie tolerancją utrzymał i zachował spokojność kraju. Za jego

panowania jeszcze, każdy gwałt był poskromiony siłą prawa, czyto wypływał z winy różnowierców, czy katolików. Później już tego nie było: później już widocznie w stosunkach wewnętrznych Rzplitej zapanowała stronnosc. Jeżeli Zygmunt August był z natury swojej dojrutkiem, po części i sam wiek jego wpływał znakomicie na to usposobienie umysłu.

Łagodny, miły, grzeczny i przystępny dla wszystkich, miał król wiele nauki i wiele rozumu; w rozległych widokach obejmował przyszłość, i dokładnie znał niebezpieczeństwa, jakie zagrażały Rzplitej. Zygmunt August znał dobrze wiek swój i ludzi, kraj swój i jego historią. Wojny straszliwie nienawidził i wszystkie starania swoje na to łożył, aby wojny uniknąć; żeby zaś dopiąć tego celu, gotów był sam się osobiście poświęcić i największe ponieść ofiary. Był słabowitym, a troski jego o teraźniejszość i przyszłość, męczeńską koroną czoło jego przyozdobiły. Co do wiary, był w sercu zawsze katolikiem, lubo nie mógł ręczyć za siebie, i pierwszy szął, pierwszy ogień wybuchającej wojny domowej, mógł go rzucić w objęcia różnowierców. Król jednak idąc za nimi, nie szedłby za przekonaniem i sercem, ale i w tym kroku ulegając smutnej konieczności, myślałby pewnie o ubezpieczeniu spokojności publicznej. Król miał dla Rzymu wiele dobrych chęci, jednakże nie wpadał w ostateczność i chciał się także porozumieć z różnowiercami na soborze narodowym, bo ewangelików nie miał za heretyków; ztąd poszły wszystkie podejrzenia o jego nieprawowierność. Aryanie w reformach swoich przekroczyli wszelkie granice przyzwoitości; król kazał ich druki palić publicznie, wstrząsał się na ich samo wspomnienie. Straszne nieporządki Rzplitej raziły go i obiecywał je na sejmie poskromić; ale zawsze dla umiarkowania swojego kończył na niezem. Mówią, że król był uparty. Ależ trudno było doprawdy znaleźć człowieka z tak łagodną i świętą naturą. W Zygmunta Augusta wiele można było wmówić nastawianiem ciągłym, a więcej jeszcze władzy miało nad nim przekonanie osobiste i rozum; Commendoni co krok z nim walczył, walczył właśnie tym rozumowaniem, bronią człowieka swiątłego, i zawsze postawił na swoim: król cofał się przed nim na każdym kroku. Commendoni odbierał naszemu Zygmunutowi najstarsze nadzieje, same zawody w smutnym życiu zsyłał na dni jego; a jednak król umiał ocenić człowieka, który się nie uwodził żadną obcą namiętnością, bo szedł jedynie za głosem powinności i przekonania. Mało co przed przyjazdem muncyusza, król rozdzielił się ze swoją żoną Katarzyną Austryaczką (w r. 1563), której w żaden sposób znieść nie mógł, a między powodami do tego były i skrupuły sumienia. Podwójnie spokrewniony z nią, za pozwoleniem dopiero papieża śluby swoje zawarł, co go właśnie dręczyło niewymownie, bo w tém widział uchybienie moralności i przepisom wiary. Dotego żaden pocąg ani krwi, ani przywiązania nie łączył go z Katarzyną. Płakał, łzy wylewał, chciał mnichem zostać, aby się tylko od żony uwolnić; a prosił się, prosił serdecznie

Commendoniego, żeby go od tego ciężaru uwolnił: nuncyusz wskazywał mu na świętość małżeństwa, niszczył wszelkie skrupuły sumienia i codziennie więcej był wymagającym. Korzystając z ogólnego usposobienia, lekko przyszyboby królowi zerwać z katolicyzmem, jak z rwał Henryk VIII; a przecież nie zrobił tego. Owszem, król był nawet bardzo pobożnym: sam Commendon opisuje, jak chodził do kościoła, jak się komunikował publicznie z wielkiem zbudowaniem ludu. Sejmy, podług starożytnego zwyczaju zaczynały się od uroczystego nabożeństwa i wezwania Duchy Św.; różnowiercy ten obyczaj chcieli obalić, jeden król oparł się temu, i starą pobożność przodków li tylko powagą swoją utrzymał (2 str. 14). Król nie chciał łupić własności klasztornych, lubo go do tego zachęcano, i powiadał, że wolałby wprzód zastawić wszystkie dobra koronne (2. 156). Był biedny jednak i pożyczał od opata oliwskiego pieniądze, a egzekucya, do której się brał, nie pochodziła li z tego jedynie, że szlachta chciała naprawić Rzplite; owszem, było to sprawa osobista króla: szło o jego dochody, o odzyskanie tych dóbr, z którychby miał około 700,000 złp. dochodu (1. 83). Dodajmy do tego, że król miał, słuszne czy niesłuszne, ale miał zawsze powody do pewnej nieufności względem Rzymu. Mówiono np., że papież utrzymuje stronę kawalerów nieczwolych przeciwko Polsce, wspólnie z Iwanem; mówiono, że chce zerwać pokój zawarty pomiędzy Zygmuntem Starym a księciem pruskim, i wyswobodzić Inflanty, (1 str. 256—262). Pomimo tego wszystkiego król powtarzał, że nie chce sądu w rzeczach wiary (str. 180), i że chce żyć i umierać katolikiem (2 23), aby tylko rozwód, aby tylko rozwód:— to była zawsze ostatnia jego przy każdej okoliczności przymówka.

Królowa śmiertelnie lękała się rozwodu; były w tém także skrupuły sumienia, ale zdaje się też, że było i wiele przywiązania do męża. Pomimo tylu cierpień i przykrych ze strony króla przypomnień i zawodów, zawsze Katarzyna austriaczka była dla niego z uszanowaniem, z miłością, i nie tała się weale z temi uczuciami swojego serca. Codziennie w modlitwach swoich i za niego zasyłała gorące westchnienia do nieba, a była bardzo pobożną.

Kiedy Rzym słał Commendoniego do Polski i obronę katolicyzmu zlecał mu w instrukcyach swoich, nie chciał bynajmniej walczyć na udry, bo nauczył się, że ta droga do niczego dobrego nie poprowadzi (2. 183). Dlatego wybrał też człowieka, wzor dyplomatów. Inny nuncyusz więcej gorący, byłby niezawodnie wojnę domową rozpalil w Polsce; ale Commendon nie chciał i nie umiał służyć za zarzewie do boju i spotkał się w tej myśli razem z królem Zygmuntem. Ztąd może i społeczenie, jakie obadwaj dla siebie powzięli. Commendon znał już poprzednio wielu Polaków: kardynała Hozyusza, Kromera, Piotra Barzego, Kościeleckiego wojewodę poznańskiego i innych; po drodze jednakże gdzie mógł rozpytywał się każdego o Polakach i Polsce. Opisuje sam rozmowę jaką miał z Michałem Działyńskim w Villach,

i z Kromerem w Prukleiter. Hozyusz obeznał go z osobami, rzeczą i położeniem spraw Rzplitej. Tak za granicą jeszcze, potem w podróży i w Rzplitej, studyował Commendoni charakter narodu i jego przeszłość, wyciągał wnioski dla przyszłości. Zastanawiał się, badał, chciał w rozumie swoim znaleźć środki stosowne do geniuszu narodu, żeby za pomocą nich działał na korzyść swojej sprawy. Nie postępował płochy, a każdą rzecz dobrze wprzódy rozmyślał. Byłto dyplomata celujących zdolności, a dla Polski Zygmuntowskiej jedyny; prawy do wysokiego stopnia, nigdy osobistych korzyści nie szukał, bo nie na względach dworu budował swoje nadzieje (2, 40). Papióz słał go na sejm walny do Piotrkowa. Lękał się, żeby szlachta dalej nie rozwijała zasad, już raz za prawo narodowe przyjętych; wybrał jego, bo jak sam Commendoni zauważał, miał przeznaczenie dotykać się największych ran wiary (98). Commendoni otoczył się wielkiem gronem ludzi zdolnych i bogobożnych, żeby mu byli pomocą w trudnym przedsięwzięciu, i puścił się do Polski.

Jak jednakże pojmował dobrze swoje stanowisko do Rzymu, i jak był ostrożnym, bogobożnym w zażyciu swojej władzy, świadczy ta jego ciągła obawa, czy odpowie godnie swojemu przeznaczeniu; to ciągle narzekanie na słabość sił swoich, ta ciągła troska, która go ani na chwilę nie odstępowała, że przyjął na siebie dobrowolnie wielką odpowiedzialność. Chciał zatem instrukcyj ścisłych i prosił, żeby władzę jego, ile możności, ograniczono; obawiał się zgrzeszyć przez niewiedomość albo niedołęztwo. Z drogi pisał do Rzymu, że „pragnie nie módcz tego, czego by nie powinien.” Chciał ograniczeń, bo tym sposobem będzie miał najgrzeczniejszą wymówkę na wszelkie prośby, którymby zadosyć nie mógł uczynić. Prosił tylko o dwie rzeczy: naprzód, żeby mu dano władzę rozgrzeszania kacerzów, odszczepieńców i świętokupców; a potem, żeby mógł darować wszelkie zyski źle nabyte, darować z łaski, albo z warunkiem spełnienia jakiego pobożnego uczynku. (T. I. str. 2, 3). Pozwolono mu na wszystko, a Commendoni jeszcze upraszał, żeby mógł rozgrzeszać niektórych z członków swojego poselstwa, za czytanie ksiąg kacerskich (str. 17).

Przez Wenecyą więc, Lublanę, S. Weit, Bruc nad Lejtą, szybko przejechał Commendoni do Presburga, gdzie widział się z cesarzem. Listy z Polski przesyłał na ręce dobroczyńcy swojego kardynała Karola Boromeusza. Pierwszy list pisał z Krakowa 24 listopada 1563 r. Na samym wstępie powołała go kapituła i akademia. Rektor na tém posłuchaniu dosyć uniarkowanie zaczął przymawiać nuncyuszom, poprzednikom Commendoniego; ksiądz to zganił, ale stosownie, poeichu: rektor zaczął się uniewinniać, a nuncyusz dla jego pocieszenia poszedł do szkół i słuchał w akademii profesora teologii. Ta anegdota wybornie charakteryzuje Commendoniego: ustępstwo za ustępstwo, a jednak przytém utrzymywanie powagi i godności Rzymu. Biskupa nie było w Krakowie, nuncyusz zastał go dopiero w Itzy, i tutaj

już na wstępie do Polski, ujrzał się otoczonym intrygami. Padnie-
wski zaraz wylał tyle przed nim żółci na króla, na arcybiskupa,
na różnowierców, na księży, na wszystko. Jednej rozmowy było
dość Commendoniu, żeby tego człowieka ocenił. Kto na kraj
własny narzeka, a wszystko czarne widzi wokoło i rzuca potwarz
na wszystko, a siebie samego broni: jest namiętnym człowiekiem
i zaslepią się dobrowolnie. Pierwsze posłuchanie u króla miał
Commendoni w grudniu 1563 r. i zaraz mu powtórzył zasadę swo-
ją, że na religii jedynie opierają się państwa, i że ten kraj jest
najszcześniejszy, który umie dobrze połączyć władzę duchowną
ze świecką.

Zląkł się Commendoni, bo wszystko co tylko straszego
słyszał wprzód o Polsce, snem było w porównaniu z rzeczywi-
stością. Wojewoda wileński przyjechał na sejm z wyraźnym ża-
daniem zapewnienia wszelkiej swobody dla wyznań. Ta postać
Radziwiłła Czarnego przerażała nuncyusza: było ogrom potę-
gi, mąż siły i wszechmocnego wpływu na Litwie. Jeżeli źle by-
ło z katolicyzmem w Koronie, w Litwie nierównie było gorzej.
Inni walczyli przeciw Rzymowi dla jakichś widoków osobistych;
ale Radziwiłł pałał ku niemu jakąś wściekłą niechęcią, a sama
drobna niechęć tego możnowładcy, już klęskami groziła. Dalej
dowiedział się Commendoni, że jakiś Aryanin w Krakowie utrzy-
mywał, iż Chrystus był synem Józefa: zaczął od tego swoje posel-
stwo, że prosił aby go uwięziono (I. 31).

Reformy pierwotnej luterskiej, Commendoni nie zastał już
w Polsce, a na jej miejscu, nowe, coraz straszniejsze i bezbożniej-
sze wylęgały się potwory. Znaleźli się fanatycy, co po żydowsku
przepowiadali obrzezanie. Nie było już kary i wstydu:—samych
odstępców liczyła Rzplita. Rzadko bardzo, zdarzały się przecież
wypadki, że dyssydent powracał na łono kościoła, ale nie gnały
go wstyd, bojaźni sumienia, tylko chęć nagrody i myśl, że przez
to zjedna sobie łaskę jakiego możnego a prawowiernego pana
(I. 113). Cóż mogło zrobić to pojedyncze, nieszczerze czyjeś na-
wrócenie się, kiedy dobrzy senatorowie nie mogli tyle ile chcieli,
a król przeważnym wpływom burzliwych możnowładców ulegać
musiał? Ale niezgoda była wszędzie; gdybyć miał nadludzką
siłę Commendoni i zdołał pokój ustalić, zwycięstwo jego nie ulega-
łoby jeszcze żadnej pewności. W senacie oprócz biskupów, jeszcze
dwie trzecie wojewodów i kasztelanów trzymało się wiary ojców,
lubo trudno było powiedzieć z pewnością, kto był w Polsce ówczesnej
katolikiem (I. 245. 253).

Polityka nuncyusza, jaka w zarażonej Polsce odnosiła zwy-
cięstwo, była dobrze obrachowaną. Żaden gwałt:—to była zasada
tej polityki. Byli źli biskupi polscy, którzy jemu, cudzoziemcowi,
przez niechęć osobistą kazali być pośrednikiem i urządzić
Polski; chcieli, żeby groził królowi i klątwę mu pokazywał w oddali,
a nawet detronizował w ostateczności (I. 152). Ten sposób wy-
myślili na Zygmunta Augusta, żeby ich majątki od różnowierców

ratował (Uchański, Padniewski). Ale nuncyusz nie dał się złudzić: był rozsądniejszy i więcej miłował Polskę od samych Polaków. On miał dla króla jedną tylko groźbę— sprawę barską. Zygmunt August starał się napróżno o skarby i księstwo macierzyńskie, i miał w tém jakiś punkt honoru, żeby wywalczyć prawa swoje. Commendoni umiał bardzo pięknie i zręcznie zastąpić się Barem. Ile razy widział, że król dziwaczy, zawsze na jeden przedmiot naprowadził rozmowę i dowodził królowi, że całą nadzieję wygrania sprawy ma w papieżu i że naturalnie, papieża obrażać nie powinien. „Masz w ręku twojem szafunek dostojności, mówił do króla, a dla urzędu i znaczenia ludzie wiele zwykle poświęcają. To w umiejętnych rękach silny żywioł działania. Urzędy zajęte dzisiaj przez różnowierców, te zwłaszcza, do których obszerna jurydykcyja należy, powinny być katolikom rozdawane“. W istocie Commendoni wiele się krzątał i wiele zrobił w tym względzie. Najwięcej mu szło o pieczęci. Za jego też staraniem, kanclerzem został wbrew Sobkowi, katolik Dembiński, podkanclerzym Myszkowski. Na jego prośbę i inni podnosili się: Piotr Barzi dostał kasztelanią i starostwo, a o generalstwo wielkopolskie rok przeszło z królem traktował; tak długo się Zygmunt August namyślał, komu ten ważny urząd ma powierzyć, lubo stanowczo oświadczył się, że wybierze katolika. Nie mówimy już jak gorliwie przestrzegał, żeby robić niepodejrzanych biskupów. Zbliżył się zaraz do panów, którzy jeszcze albo nie zerwali z Rzymem, albo gorliwemi byli katolikami. Potrafił z nich zrobić narzędzia swojej woli. Chwalił ich bezustannie przed papieżem, prosił o bulle do nich, listy, albo pochwały. Często zasylał blankiety, albo wyrażenia, w jakich terminach ma Rzym, temu albo tamtemu panu, oświadczać swoje wdzięczność (2. 14). Znał dobrze naturę ludzką i wiedział, że jeżeli wiele jest w człowieku szlachetności, to wiele też i samolubstwa. Tak na zalecania Commendoniego, Rzym w listach do niego pisywanych, chwalił i oświadczał się z przyjaźnią dla Kościelęckich, wojewody poznań. i sieradzkiego, nawet dziękował wojewodzie sieradzkim, którzy podówczas bawili w Bononii; tak ujmował sobie księdza Myszkowskiego, księdza Melchiora Mościckiego prow. Dominikanów, Konarskich biskupa poznańskiego i kasztelana kal. braci rodzonych, biskupa wileńskiego Protaszewicza, burmistrza Rotermunda i t. d. Za każdą pochwałą albo listem, gorliwość chwalonych wzmagala się i wydawała owoce. Commendoni kazał chwalić nawet prymasa, którego niecierpiał, nawet króla, który tych pochwał nie potrzebował (1. 265).

Z nadwyczajną zręcznością utrzymywał on te stosunki z Uchańskim, który także przez skórę przeczuwał, że ten potężny człowiek przyszedł dźwignąć jego obałac. Commendoni bardzo często znosił się z prymasem, bo nawet tego wymagała konieczność: z kimże miał działać, jeżeli nie z nim razem w obronie wiary? Ale każde słowo swoje ważył Commendoni, które wyrzekł do

księdza arcybiskupa, dla którego był z wielkiem uszanowaniem. Łudził go oświadczeniami szczerój przyjaźni, w oczy mu powtarzał jedno, za oczy drugie robił: wmawiał w niego, że to albo owo myśli; mówił, że donosił o tém do Rzymu, i chwalił go nieraz imieniem stolicy apostołskiej i do nowój pracy zachęcał. Za cel główny w stosunkach z Uchańskim, położył sobie Commendoni, żeby go nie rozdrażniać i nie zrobić nieprzyjacielem sprawy. To grzecznie, to poważnie traktował z nim, a zawsze w taki sposób, żeby go nie utracić dla swojej chorągwi; tak samo politykował z innemi biskupami podejrzanej wiary, tak samo szczerze się powierzał prawowitym i o których enocie był dostatecznie przekonany. Paca z Kijowa i z senatu duchownego chciał stanowczo usunąć (1. 65). Ale sercem i duszą oddany był Hozyuszowi: zdaniu kardynała ślepo wierzył, bo obadwaj jedną mieli politykę i do gwałtu się nie uciekali.

Na sejmie jednym i drugim, który się odbył za panowania Zygmunta, Commendoni był ciągle obecny, i jednę godzinę, jednę sprawę nie opuścił. Poznawszy się bliżej z panami potrafił zawiązać dość rozległe stosunki tajemne ze szlachtą: rzec można, że jeżeli nie przewodził, to często podnosił głos na sejmach. Rozsiewał pewne obawy i pogłoski, a miarkował wrażenie. Jeżeli zapalony reformator powstawał na sejmie z wnioskiem, który przestraszał Commendoniego; nuncyusz zaraz podstawił swojego posła, który albo w inną stronę burzę odwrócił przez nowe deklamacye, albo wprost przeciwnym wnioskiem, wniosek przeciwnika zagłuszył. Siał też nieporozumienia pomiędzy różnowiercami. Codziennie prawie po sesjach sejmowych trwały narady osobne nuncyusza i jego przyjaciół: tam każde zawsze słowo rozważano, każdą myśl zbadano, na każdy postrach wymyślono sposób. Do nuncyusza chodzili nie tylko posłowie, ale senatorowie i biskupi, razem albo pojedynczo. Dla posłów sam pisał mowy, a pomagał mu w tém Piotr Barzi, który własnym kosztem podejmował te z ręce w rękę nuncyusza narzędzia (2. 19). Nieraz Commendoni sam zwoływał narady w mieszkaniu swoim, nieraz z kłopotami swojemi do innych spieszył. I jednak rozwijał straszną potęgę, kiedy sam zacięty Radziwiłł Czarny, kilka razy upraszał się o posłuchanie u nuncyusza, i naturalnie, nigdy go nie otrzymał. Commendoni tak lawirował pomiędzy trudnościami, że zawsze miał na zawołanie jakąś ważną wymówkę. Myszkowskiego całkiem posiadał; nieraz go podmaśniał, jakby chciał zupełnie oddzielić państwo od kościoła. A tak postępując, trzymał Commendoni w swoim ręku klucz do wszystkich tajemnic Rzplitej Bacznoego oka jego nic, zupełnie nic, nie uszło.

Ale najwięcej zawsze traktował sam osobiście z królem, który przeciw zwyczajowi swemu, długo z nim lubił rozmawiać. Na zamku piotrkowskim i warszawskim była zawsze ostatnia instancya. Chciał, żeby król kazań, szkół i ksiąg heretyckich w swoim państwie zabronił. Czasem się i dziwnie zapominał. Peroro-

wał królowi o jakichś prawach, jakie miał papież do Polski, i straszył go buntami poddanych. Zygmunt August powoli poddawał się wpływowi tych dowodzeń, kiedy uwierzył Commendoniu na chwilę, że papież może osadzić na tronie polskim którego z arcyksiążąt austriackich (T. I str. 94). Straszył też króla przykładem zagranicy: Anglią, Henrykiem VIII, okropnościami, które się działy we Francyi. W tym celu ogłosił nawet książeczkę w Krakowie i rozrzucił ją pomiędzy szlachtę: żywemi farbami w niej odkreślił to, co powstało z soboru narodowego we Francyi. O tej książeczce i w tym przedmiocie, spory obijały się o ściany sejmowe (2. 26). Walczył dyalektyką, na słowa, na wyrazy; ludził tekstami z pisma św., a umiał tak cudownie, tak zręcznie nakreślać myśl pisma do swoich widoków, że przekonywał każdego. Nie było jednakże podstępu i niesprawiedliwości w jego rozumowaniu. Wszystkie te sceny, które się odbywały na zamku pomiędzy nim a królem, na osobności, są skreślone mistrzowsko. Zdaje nam się, że staje dwóch przeciwko sobie prawników: jeden skarży a drugi broni; walą się dowody na dowody, coraz silniejsze, coraz większe, scierają się dziełni szermierze, a w końcu jeden zawsze przemaga. Ten jeden, to zawsze Commendoni, silniejszy charakterem i zdolnościami umysłu od naszego Zygmunta. Tych rozpraw obudwu panów, nuncyusza i króla, ilekroć się z nimi napotyamy, naczytać się nie możemy. Takie rozmowy zajmują w najwyższym stopniu, bo od nich zależała przyszłość Rzplitej, bo tam każde słowo mogło stać się faktem, a fakt ten obchodził miliony ludzi. Król długo na wszelkie żądanie o wierze Commendoniego, odpowiadał, że zaspokoić wprzód tej sprawy nie może, przed urządzeniem unii z Litwą i odzyskaniem dobr koronnych.

Commendoni zaprzął się do mozolnej pracy w Polsce. Ledwie mu chwilka czasu starczyła po pracach sejmowych, wybrał się w podróż po ziemiach Rzplitej. Zbywało mu na czasie, ale nie na gorliwości, a byłby wszędzie zajrzał, wszędzie poprawiał rozwolnioną karność kościelną. Biskupi polscy, którzy szczerze z katolicyzmem trzymali, zapraszali go ciągle do siebie, sądząc, że samo ukazanie się Nuncyusza w stronach zarażonych reformą, pożądane sprowadzi skutki. Tak, bardzo często zapraszał do Poznania Commendoniego Adam Konarski, który serdecznie bolał nad swoim opuszczenym i sprofanowanym kościołem (1. 169). Niezawsze mógł nuncyusz zadość uczynić wszystkim prośbom i wymaganiom, bo nieraz trzeba było gonić za dworem na drugi kraniec Rzplitej, do Litwy; a zresztą miał taki nawał pracy, że w żaden sposób wystarczyć mu nie potrafił. Innym razem zjeżdżał na sejm do Parczowa, błądził po starożytnym Podlasiu i Litwie, bo mu szło o sobor trydencki. Zasmakowawszy w tej podróży, zrobił wycieczkę przez Lublin na Ruś. Był w Kamieńcu, w Łucku, we Lwowie. W stolicy Rusi Czerwonej złożył synod z arcybiskupem Tarłą. Błądził po granicach Rzplitej od strony Turcyi; tam nigdy jeszcze przed nim nie postąpiła noga nuncyusza. W Belzu przyszli

do niego Rusini wyznania greckiego i narzekali, że w Polsce tyle sekt, że w Niemczech, a najwięcej w Wirtembergu, drukują katechizmy heretyckie po rusku, i że rozrzucają je po kraju, że emissaryusze reformy wcisnęli się już do Rusi: prosili tedy nuncyusza, żeby papież powstrzymał ten zgubny wylew, bo różnowierców tak samo niecierpieli jak katolicy. We Lwowie biskup ruski Arseni Baluban, wspólnie z arcybiskupem ormiańskim i Tarłą, przygotowali nuncyuszowi świetne przyjęcie i na toż samo narzekali. Te podróże bardzo wiele nauczyły Commendoniego. Przypomniało się mu, że był Wenecyaninem i że miał ziemską ojczyznę. Jest w zbiorze niniejszym list jego do jednego z dostojników weneckich, w którym opisuje Polskę, rozwija pomysły swoje o handlu, jakiby Wenecya mogła rozpocząć z Polską, a za jego pośrednictwem z całą Północą. Wskazywał nawet na kupca Thedaldi, który się ofiarował pierwsze przełamać lody. Zresztą obiecywał sam za powrotem do Wenecyi, obszerniej pomówić w tym względzie z panami swojego kraju. Te pomysły Commendoniego są pierwszego znaczenia dla Polski; trafił tutaj w serca i Polski i Wenecyi, bo nie ma wątpliwości, że rozwinięty handel byłby i w Rzplitej podniósł w byt lepszy całe klasy mieszkańców (1 str. 98—103).

Tak nie jednę tylko religijną wyniósł korzyść nuncyusz z tej podróży, lubo li tylko jeździł dla sprawy zagrożonej wiary; nie zważał na to, że ślad w ślad za nim ciągnęła morowa zaraza. Ale oprócz Rusi widział i inne jeszcze strony, inne ziemie. Hozyusza, który później po nim nadjechał z Trydentu, odwiedził nieco później w Hejlsbergu i bawił w Warmii dość długo. Kardynał zaraz za swoim przyjazdem upraszał listownie, żeby go nawiedził, ale wtenczas Commendoni pilnował w Piotrkowie sejm i biskupów; zaraz jednakże po zakończonych obradach wyjechał do Łonży, gdzie miał zjechać Hozyusz, bo król powiedział mu, że chce rozmówić się z kardynałem o stanie Rzplitej. Po drodze we Włocławku usiłował pogodzić biskupa Kujaw z prymasem. Był potem nieraz jeszcze Commendoni w różnych miejscach, jak w Płocku, w Włocławku, w Poznaniu, w Radomiu; oddawał hołdy królowej, prymasa odwiedził w Łowiczu. Zajrzał kilka razy i do królowej do Radomia. Żaden nuncyusz tak dobrze jak Commendoni, nie znał Polaków i Polski.

Widzieliśmy, jakimi środkami działał w Polsce Commendoni; teraz przyjrzyjmy się co zrobił.

W pierwszej instrukcyi, którą już w Polsce otrzymał, zlecano mu z dworu rzymskiego cztery rzeczy; nominacye królewskie, uchwałę piotrkowską, sprawę barską i utrzymanie zgody między biskupami (1. 67). To były główne przedmioty, na które Commendoni miał zwrócić uwagę; reszta zostawiała się jego zręczności i gorliwości. Za przyjazdem do Polski przekonał się, że trzy przedewszystkiem klęski groziły Rzplitej: rozwód, sobor i wojna domowa; to były właśnie wydziały gorliwości jego, którą papież zalecał.

Obalić prawo było trudno, ale Commendoni wynalazł środek, żeby prawo ściśnięte w Polsce, więc treściwe, wytłumaczyć, objaśnić, rozwinąć, a tém samém myśl jego główną zniweczyć. Konstytucya piotrkowska obalała jurysdykcyą duchowną; objaśniona, miała ją na nowo podźwignąć. Zygmunt August ułatwiał do tego nuncyuszowi sposoby, kiedy na jednej z nim poufnéj konferencyi oświadczył, że uchwała piotrkowska nie była wystosowana przeciw duchowieństwu, i nie miała wcale na celu obalenia władzy. Tego właśnie Commendonemu potrzeba było; odtąd ciągle nastawał na króla, żeby ją rozwinął, bo kiedy celem uchwały nie jest znieważenie wiary, a na mocy jéj duchowieństwo i wiara cierpi, należy się słusznie wymierzyć sprawiedliwość niewinnym. Z wytłumaczeniem uchwały piotrkowskiej, podawał zaraz Commendoni do podpisu królowi potwierdzenie prawa zapadłego w Warszawie 1557 r. na korzyść duchowieństwa. Nad wszelkie spodziewanie spotkał opór w księdzu podkanclerzym; Myszkowski oświadczył, że pieczęci przyłożył nie może do aktu już tém samém nieprawego, że było po sejmie, a wielu biskupów i senatorów się rozjechało. Przyszło do sporu na słowa i dowody. Nuncyusz silny w dyalektyce, pokonał łatwo księdza Myszkowskiego, a kiedy podkanclerzy stawiał jeszcze opór, wtedy nuncyusz pojąć nie mógł tych skrupułów, bo nie rozumiał uszanowania dla prawa, jakie jest w narodzie i jeszcze przez stróża prawa.

Nuncyusz dobrze roztrząsnąwszy ten przedmiot i przejrzałwszy prawa koronne, przekonał się wreszcie, że Myszkowski miał słuszność, kiedy się jemu opierał: w przeciwnym razie byłby sam upadł, a sprawy przez to nie polepszył. Poradził więc sobie Commendoni inaczej, kiedy nie mógł nakłonić króla, (a więcéj podkanclerzego jak króla, bo Zygmunt August już się zgadzał na wszystko), żeby objaśnił uchwałę piotrkowską; chciał przynajmniej, żeby biskupi nie przestawali sądzić spraw o wiarę, dowodząc tém samém, że ta nowa konstytucya, bynajmniej nie nadwergęza sądowój ich władzy. Było to nierównie właściwszém, niż bez nadziei nastawać na uchylenie saméj ustawy, która samą bezskutecznością przeciwnych zabiegów duchowieństwa, nabrałaby nierównie większego znaczenia w Rzplitej. Już na téj drodze pomyślnie rzeczy iść zaczęły, już kilka wyroków zapadło pomimo konstytucyi na korzyść duchowieństwa, i bez wątpienia czas i zwyczaj zniosłyby powoli skutki uchwały piotrkowskiej; kiedy Uchański wpośród największój wrzawy na sejmie, kiedy szło o podatki na wojnę i groził rozwód królowéj, pozwał jednego starostę, że nie wykonał pewnego wyroku na stronę kapituły gnieźnieńskiej, a potém odezwał się z kłatwą. Szło o dziesięciny: szlachta gniewem buchnęła, nawet katolicy powstali przeciw arcybiskupowi, i sprawa przepadła (2. 220).

Sehor narodowy był drugiem widmem, które przerażało nuncyusza. Uchański chciał na niego zwołać wszystkich razem, i katolików i dyszydentów tysięcznych odcieni. Powiadał, że wprzód nimi się przywróci jurysdykcyę biskupowi, postanowić coś potrzeba względem wiary. W tém właśnie tkwiło niebezpieczeństwo. Uchański zastaniał się powagą Trydentu, który nakazywał, żeby w ciągu roku po wszy-

stkich prowincyach kościoła zgromadzały się synody, i przyjęły uroczystość uchwały postanowione na soborze powszechnym. Gdybyć na ten cel zwoływał Uchański synod, cóżby miał przeciw temu Commendoni? Ale prymas wzywał nie samych biskupów i duchowieństwo, ale i świeckich, ale i dyssydentów, jużćie nie na to pewnie, żeby słuchali tego, czegoby biskupi bronili; owszem, prymas chciał się porozumieć względem wiary, to jest zgadzał się na pewne ustępstwa, a żeby też ze swojej strony zgodzili się na drugie dyssydenci. Takimby sposobem powstał oddzielny i niepodległy kościół polski, bo nie katolicki, a papież tём samém władzę nad nim utraciłby. O tём we dnie i w nocy marzył książdz Uchański. Prymas utrzymywał, że różnowiercy polscy nie są heretykami, i w króla wmawiał to przekonanie. To też chórem różnowiercy za nim krzyczeli, że chcą porozumieć się o wiarę. Trudno wyliczać sposoby, jakimi wojował Commendoni, aby oddalić to widmo soboru narodowego. Czytelnicy znajdą je w samej książce. Jak Uchański ciągle się wywijał i raz pobity, znowu w innej postaci odnawiał myśl soboru; tak Commendoni brał się na różne sposoby, żeby pokonać zbyt niebezpiecznego nieprzyjaciela. Ujął króla dla Trydentu, i w Parczowie na sejmie odbyła się owa czuła scena, w czasie której nuncyusz się rozplakał, a na której król, niby imieniem Rzplitej przyjął uchwały soboru powszechnego. Był to sejm niemy: wszyscy milczeli, nawet dyssydenci, być może uroczystością sceny zdumieni; a jeden prymas tylko myślał o tём, że mu się pozór do zwołania soboru narodowego wynika i wołał: „nim przyjmieiny, wprzód trzeba przejrzeć te konstytucye trydenckie” (1. 178). Nuncyusz dla metropolii lwowskiej oddzielny złożył sobor z arcybiskupem Tarłą, z którym się łatwo porozumieć było. Za to w gnieźnieńskiej, co chwila dzień stanowczy odwlekał. Chytry arcybiskup, kiedy nie stało już pozorów, zwoływał synod prowincjonalny, ściśle katolicki, bo z samego duchowieństwa, na sejm do Piotrkowa. Tak w jednym czasie i w jednym miejscu, dwa wielkie ciała ówczesnej Polski zgromadzić się miały. Na sejm przyjechałoby wielu posłów dyssydenckich; oczywiście, obok biskupów obradujących w osobnym gronie, zdania genueńskie zaczepiałyby się o katolickie, nastąpiłoby pomieszanie się, a wtenczas łatwo synod prowincjonalny mógłby się zmienić na sobor narodowy, a nawet kto wie, i w konstytuante, któraby stanowiła razem o rządzie przyszłej Polski i o widmie, to jest o wierze narodowej. Mogło to bardzo nastąpić, bo sejmy Zygmuntofskie wyszły z dawniej koleji; nie były to sejmy sześciotygodniowe, ale w miarę namiętności rozwijały się i rosły w sejmy trzech, cztero, sześciomiesięczne, na których szlachta wrzała, stanowiła o wszystkiém. Potrzeba było tylko jednego śmiałego kroku, jednego zuchwałego trybuna, a Zamojski pewnieby nie konstytuował Rzplitej i przyszedłby już do gotowego. Na to godził Uchański. Nie obchodził go los rodzinnego kraju, który z ochotą poświęcał dla własnej dumy. Commendoni przekonał króla inaczej: przestraszył go buntami, wojną domową, do której zarzewie rzucał prymas wśród rozbujałego narodu. Zygmunt August nie pozwolił na zgorzenie: wezwał arcybiskupa, aby sobor

albo na inny czas odłożył, albo przeniósł w inne odleglejsze miejsce od Piotrkowa, np. do Sieradza. Uchański był znowu pokonany. Wówczas całą usilność położył w tém Commendoni, żeby żadnego synodu nie dopuścił w metropolii gnieźnieńskiej. Miał w tém nawet Rzym przeciwko sobie; Rzym wierzył zapewnieniom prymasa, że sobor odbędzie się w duchu uchwał trydenckich, ale Commendoni wytłumaczył papieżowi, że lepiej nie ufać w przyrzeczenia: „bezpieczniej, mówił, nie zwoływać soboru, jak zwołany, poskramiać w granicach przyzwoitych.” Zresztą lękał się wniesienia na sobor rozwodowej sprawy.

W tej materji rozwodu wziął sobie za prawo Commendoni nie a nie z królem nie mówić, jak gdyby nie nie było. Wiedział, że kiedy sprawa wejdzie na stół, musiałby stanąć naprzeciw serdecznym króla żądaniom, a chciał go łagodzić: strzegł się więc, żeby słówkiem jedném o tę materję nie zacząć. Zygmunt August nie chciał też sam zacząć, bo wiedział, że spotka opór niezłamany. Tak udawało się rok cały. Ale różnowiercy, którzy nie umieli trafić do soboru narodowego, podnieśli tę straszną kwestyą, a bili w słabą stronę, bo utyskiwali, że król nie ma następcy, a z żoną go mieć nie może; podług nich, interes kraju gwałtem domagał się o rozwód. Biskupi obudzili w umyśle królewskim potrzebę rozwodu, odszczepieńcy jej użyli na swoje korzyść, a duchowieństwo zbierało gorzkie jej owoce (2. 19). I nagle wszystkie myśli reformy skierowały się wyłącznie na ten punkt. Tém straszniejsza była ta kwestya dla Rzymu, że król, który umiarkowaniem swoim pomagał wiele katolicyzmowi, tym razem był z różnowiercami i nie zważał na świętość sakramentu. Zygmunt August osobiście podmawiał postów, którzy materją rozwodu wnosili na sejm. Burzliwy poseł z mądrego Ostrorogów domu, podniecał namiętności i z ogniem przemawiał w izbie o konieczności rozwodu. Różnowiercy obiecywali powrócić dziesięć duchowieństwu, aby tylko doczekali się królewskiego potomka, a Zygmunt August żądał rady senatu i płakał na sejmie, kiedy o jego szczęściu domowém mówiono: byłyto lzy wdzięczności dla różnowierców (2. 34). Nunocyusz nie pozwalał na rozwód, więc żeby zgluszyć argumenta przeciwników, postanowił króla nakłonić do pożycia z żoną. Było to nadludzkie prawie przedsięwzięcie. Żałujem, że znowu przytoczyć nie możemy w treści przynajmniej tych rozmów, które z tego powodu miał Commendoni z królem. Sam nunocyusz nie wypisuje wszystkiego co z sobą mówili, lękając się, żeby nie przedłużył listu nad zamiar. To szkoła dla wynowy i dla prawników, jak mają obalać przedstawione sobie dowody i prawdy: król tam stawał z uczuciem swoim i rozumem, Commendoni z tekstami ewangelii i pisma św. Wiara chrześcijańska jest wiarą zaparcia się, więc nie schlebia namiętności; jakaż w tém sztuka Commendoniego, że ukazywał i umiał dowieść całej jej piękności i sprawiedliwości? (2. 38). Król wyniósł z jego rozmów to przekonanie: że on sam odbiera chłostę za własne i królestwa swego grzechy. „O, gdyby środek na to wynaleźć“ powtarzał król w swojej boleści, i rozchodził się z nunocyuszem, chcąc raz z nim jeszcze pomówić

w tym przedmiocie. Powtarzał jak Chrystus: „Panie! odwróć ode mnie ten kielich, ale niechaj się stanie święta wola Twoja“.

Nuncyusz przestraszony nadzwyczajnym wzrotem sprawy rozwodowej na sejmie, rzekł się na chwilę myśli swojej, żeby króla nakłonić do spokojnego pożycia z żoną; posłowie katolicy mu pomagali, że sprawy nie wniesiono na sejm, albo, że ją odwlekano przynajmniej. Pomiędzy duchowieństwem znalazł się jednakże człowiek, który mocno za królem obstawał: byłto ksiądz referendarz koronny Karnkowski, następca Uchańskiego na prymasowskiej stolicy. Przeciw niemu, Commendoni sprowadził na sejm Hozyusza, człowieka, którego wszyscy szanowali. Z pomocą tych ludzi, umiał Commendoni zwlekać, a zwłoka w takim razie, była wygraną. Wytrzymawszy mężnie pierwsze szturmy, nuncyusz z wolna posunął się naprzód, i zaczynał z królem tę drugą rozmowę, której pragnął tak serdecznie Zygmunt August. Ale już wtenczas i mowy nie dopuszczał o rozwodzie, a dowodził królowi, że przez obowiązek sumienia żyć musi z żoną, i odwiedzać ją samotnie w Radomiu. Król płakał, ale powoli dawał się przekonywać. Wyjeżdżał do Litwy, i chciał przez Mazury i północ pospieszyć do Wilna; nuncyusz mu dowodził, że bliższa i piękniejsza droga przez Radom. Zygmunt August zgadzał się już żyć z żoną w jednym pałacu, aby nie w jednych komnatach, nie obiecując jednak miłości. Na tym punkcie stała sprawa, kiedy nagle cesarz zaprosił siostrę na pogrzeb Ferdynanda Igo do Wiednia. Nowe trudności dla Commendoniego. Król pozwalał wyjechać żonie, bo się chciał jej pozbyć; żona się napierała, żeby mogła odwiedzić rodzinę. Commendoni traktował już wtedy nie z królem, ale z Dudyczem biskupem pięćkościelskim, któremu wytłumaczyć potrafił, że wyjazd królowej na nowo odświeży sprawę, już raz pogrzebaną. Został się dlatego dłużej w Piotrkowie jak myślał, i nareszcie przywiódł strony do tego, że cesarz rzekł się nadziei widzenia siostry i że królowa o podróży myśleć przestała, a Zygmunt August odpowiedział grzecznie szwagrowi: „żony nie puszczam, bo za granicą gadano coś o rozwodzie moim, a nie znajduję za przyzwolitą rzecz, usprawiedliwiać te dziwaczne wieści wyjazdem z państw swoich, królowej“ (2. 195). Ustąpił Zygmunt we wszystkiém nuncyuszowi, a chociaż odebrał mu Commendoni najdroższe nadzieje, chwalił go król jeszcze przed Rzymem.

Takimi środkami, umiarkowaniem, oddalaniem materiałów palnych, Commendoni wywoływał z Polski wojnę domową, blizką już wybuchu. Dla tego celu prosił króla o wyroki przeciw różnowiercom obcym, i otrzymał je z łaskawością. Na mocy tych wyroków, król wypędzał z granic Rzplitej wszystkich cudzoziemców, którzy napłynęli do Polski, w celu opowiadania nowej wiary (są obadwa w tom. I str. 185—189). Za to nie pozwalał królowi wypędzać z Rzplitej li tylko samych Trynitarzy, bo jak Hozyusz powiadał, że to niesprawiedliwość: albo wszystkich razem, albo żadnego. Klótnie były pomiędzy różnowiercami ogromne, większe nawet jak pomiędzy niemi a katolikami: wolał tedy, żeby wszyscy razem się gryzli, i żeby większy był chaos w szeregach nieprzyjaciół. Kiedy Hozyusz oświadczył się z myślą, za-

prowadzenia Jezuitów do Polski, żeby uczyli naród czystej wiary i moralności; Commendoni serdecznie temu dziełu przyklasnął. W listach jego widzimy to pierwsze kroki, które stawiał na ziemi naszej przeważny zakon (2. 115). Przez te dwa lata, które Commendoni przebył w Polsce, były już plany dla kolegiów w Wilnie, w Poznaniu, w Hejlsbergu i w Pultusku. Pierwszy po Hozyuszu odezwał się z tą myślą fundacyi, biskup Noskowski, który długo namyślał się, co stosowniej wybrać: Płock czy Pultusk (str. 246). Do wileńskiej fundacyi zanim się jeszcze namyślił Protasewicz, Commendoni króla zachęcał: bo Litwa bez szkół, bez nauczycieli, koniecznie potrzebowała światła (2. 20).

Commendoniu jeszcześmy winni wiele zarysów do schwycenia charakterystyki osób z epoki Zygmunta Augusta. Żaden z naszych historyków nie rzucił ich tak pełną garścią na przeszłość, żaden tak dobrze nie wtajemniczył nas w namiętności wieku. Mimowolnie żałować potrzeba, że Commendoni pisał tylko historję dwóch lat Rplitéj.

Na pierwszym planie, przed wszystkimi innemi, swoją nadzwyczajną ruchliwością i stanowiskiem, zwraca na siebie uwagę prymas Uchański: przyszły biograf tego człowieka będzie najwięcej winien Commendoniu. Był to głowa niespokojna, która miała w tém upodobanie, że różniła się od innych w celach i środkach. Wiedzieliśmy coś o jego pretensjach, i zamiarach, o jego patryarchacie który dla Polski budował; ale w tych wiadomościach naszych, jedno drugiego się nie trzymało. Stary to był jednak intrygant i dobrze znany Rzymowi, który go niechętnie do katedr wysokich podnosił, za co już Przerębskiego Uchański namawiał do utwierdzenia niezawisłości kościoła polskiego. W listach Commendoniego znajduję portret tego dziwnego człowieka zdjęty z natury, grający życiem i nadzwyczajnym podobieństwem; bo też mistrz kreślił ten portret. Matacz to pierwszego rzędu, i tém samém niebezpieczny, że umiał igrać z namiętnościami czasu. Uchański nigdy nuncyuszowi nie powiedział prawdy; w jego oczach pokazywał się zawsze gorliwym katolikiem, pobożnym biskupem, uległym synem stolicy apostolskiej, a za oczy poruszał przeciw niej całe piekło. Był to jeden z tych ludzi miernych zdolności, któremi kieruje całe życie nienasycona ambicja. Zład nie był często logiczny w swoim postępowaniu i chwycił się różnych środków: dzisiaj był protestantem, jutro katolikiem, dzisiaj obywatelem kraju, jutro burzycielem, dzisiaj ciskał pioruny, a jutro się upokorzył; żadnej stałości, żadnej woli, żadnego charakteru. Stałość tylko okazał w utrzymywaniu celu, do którego dążył, i tutaj rozwinął szereg działań, które dowodziły w pewnym względzie wysokich zdolności. I uni są zwycięzcami na słowa, Uchański był dyalektykiem w czynach swoich; pobity na jednóm polu, udawał przekonanie, i kiedy się tego najmniej nikt nie spodziewał, pod inną postacią odnawiał zamiar dawny i nowe walki obudzał. Wszyscy wiedzieli do czego prymas godzi, a złapać go na niczém nie mogli. Nuncyusz miał w ręku dowody jego złej wiary, i kilka razy mu to i w oczy i przy świadkach wyrzucał; dowodził mu, że jego zaręczeniom niezawsze wierzyć mo-

zna, bo słowo sobie, czyn sobie; ale Uchański jak wąż zwijał się w swoje sploty i wymykał się z rąku, które go trzymały. Mówił nuncyuszowi, że chce walczyć za utrzymaniem władzy duchowieństwa, a myślał ciągle o sobie tylko, to jest o soborze narodowym. Często biegł do niego z poradą, z kwestyą jakąś, zasięgał zdania; a jednak mimo to, na jego rozkaz tłumaczono na język polski wyznanie augsburskie (12. 47), i on sam dowodził, że komunią brać potrzeba pod dwoma postaciami. Oskarżano nawet potajemnie arcybiskupa, że sprowadził uchwałę piotrkowską, i że jednocześnie przez prawa trydenckie chce pozbawić podległe mu duchowieństwo wielu praw i beneficjów. Kiedy był jeszcze biskupem kujawskim, powiadano o nim, że pozwalał księżom się żenić; i teraz jako prymas nieraz dowodził, że nie w Polsce zrobić nie można dla wiary, niedawszy wprzód żon duchowieństwu. Człowiek najobojetniejszy dla wiary, powstawał nawet przeciw królowi bez najmniejszej zasady, bo nie bronił wtedy praw Rzplitej, ale słuchał popędów dumy (2. 82) i obcych dworów wyzywał zemsty (2. 56). Papieżowi obiecywał posłuszeństwo, ale za pieniądze (1, 163). Chciał dla Polski wyrobić prawo takie, jakie dla Niemiec wydał cesarz Karol V, przez sławne *Interim* (1, 237). Nie udał się sobor narodowy, więc straszył księży i biskupów, że różnowiercy zabiorą nim dobra, i że takim sposobem bez soboru porozumieć się trzeba; to znówu króla zachęcał, żeby sam uczynił reformę duchowieństwa (2, 13, 124). Zazdrosny o Hozjusza, nie pozwalał Zygmuntowi Augustowi, żeby z kardynałem bez jego wiedzy naradzał się, i w tym razie uważać chciał Hozjusza za cudzoziemca i sługę Rzymu; więc żądał niepodobnej rzeczy, którejby mu król nie pozwolił przez samą powagę majestatu (2, 96). Miał szpiegów nawet w Rzymie, i raz wraz obgadywał Commendoniego przed papieżem (99). Był to ten niebezpieczniejszy człowiek w Rzplitej, że wymowny i biegły w prawie. Ale Uchański knując wielkie zamysły, był tylko spiskowym: nigdy nie dorósł do tego, żeby został głową swojego stronnictwa. Kierowali nim jego przyjaciele różnowiercy, których chował na swoim dworze; Frycz Modrzewski jest na ich czele. Ztąd pochodziło to całe wahanie się Uchańskiego; podlechtany, zapalony, tysiącne miał wybiegi, ale nie miał śmiałości. W nuncyuszu widział zawsze władzę, w Rzymie zawsze jakąś powagę apostolską; deklamował zatem tylko, że nie chce żyć już więcej w tej niecznej wierze, rozumiejąc przez to wiarę naddziadów (2, 309). To też uległ wo wszystkim Commendoniemu i śmierć wszystkich swoich nadziei optakiwał. Żółć swoją wylał w skargach na Hozjusza, na przedstawieniach i uniżonych prośbach do Rzymu, które wprzód szkalował; te przedstawienia streszczają całą jego politykę, a dla historyi czasu są niezmiernie ważne. Za Commendoniego zbijał logicznie wszystkie jego wywody, i że Uchański nawet na pokorze nic nie wskórał, to zdaje się nie potrzeba już mówić. Czytelnik znajdzie całą tę obronę i przeciw obronę w listach Commendoniego. „Niechaj Bog przebaczy tomu, kto Uchańskiego wyniósł na arcybiskupa“, woła w jednym wierszu Commendoniego.

Drugi taki egoistyczny, w samym sobie zakochany charakter, przedstawia ksiądz Padniewski. Niewieleby miał ten biskup wdzięczności dla Commendoniego za to, że jego tajemne myśli tak odsłonił przed wszystkimi. Wielka szkoda, że nie mamy historyi, którą pisał Padniewski (t. I, str. 15): tamby pewno czyny swoje i postępowanie w szlachetnym wystawił światu. Nie tak jednakże było: pozabawiony pieczęci, zły, że mu różnowiercy rwali dziesięciny, ksiądz Padniewski żył tylko gniewem. Podniósł Uchańskiego do prymasostwa (11, 209), a potem piorunował na niego. Nuncyusza na króla podburzał, straszne zatargi prowadził z Tarnowskim kaszt. wojnickim. Dumny, nadęty, nie ustąpił nikomu. Była epoka, że go kiedyś słuchano, i że wielki wpływ wywierał na sprawy Rzplitej; wtenczas mówił płynnie i wiele, wtenczas był świetnym biskupem. Ale kiedy zółte wezbrała, człowiek ten, wszystko odrazu gotów był poświęcić dla dogodzenia swojej dumie i namiętności. Obojętny dla wiary, dla kraju, i dla króla, na sejmach groził, że je porzuci, a porzuciwszy wyczekiwał doniesień od pisarza, którego zostawił w Warszawie. Chciał nawet uciekać za granicę, ale w ustach jego ta groźba była tylko środkiem; nie zważano na nią, to też Padniewski wcale nie myślał o spełnieniu groźby. Chytry, przewrotny, pochlebiał Commendoniu w początku, chciał z Rzymu pieniądze, sprzedawał swoją pomoc w sprawie wiary. Szczęście dla Rzplitej, że ten niebezpieczny człowiek nie miał takich zdolności umysłowych, jaką posiadał dumę. Przez nią wydawał się więcej złym, jak nim był w istocie.

Do złych biskupów należał jeszcze Pac, kijowski (t. I str. 32 i 65). Więcej poczciwsi, więcej zacni byli: Mikołaj Wolski z Kujaw, który jednakże wiele hałasował i wzniecał niepokój, przez kłótnie swoje z prymasem, tak, że aż przeklinali się wzajemnie (11, 205, 250); dalej Myszkowski, którego Commendoni wysoko bardzo ceni, jako człowieka szczerzej wiary i mocnego przekonania; człowieka z charakterem, który nie tylko dla powodów światowych trzymał się katolicyzmu, ale z obowiązku sumienia; dziwny tém bardziej, że cała rodzina jego różnowiercom przywodziła. To też go, za to i Rzym i Commendoni udzielając beneficja, dobrze opisywali. Śliczny jest wizerunek biskupa poznańskiego Konarskiego, który chciał krew wylać dla wiary (str. 169); Noskowskiego, który w najczystszej rządził diecezji (str. 196); Herburt, który był potomkiem dobrego gniazda, jak sam Commendoni pisze (str. 39, 240); staruszka Protaszewicza, pobożnego i świątobliwego (str. 32). W kilku słowach, ale bardzo mówiących, odmalowany też zacny Secygniowski biskup kamieniecki, niezłomny w wierze, jeden zgodny ze wszystkimi, ale ubożuchny i dlatego rzadko i niedługo przesiadujący na sejmach (1, 75). O poczciwym Narkuskim ze Żmudzi, kilka także szczegółów (1, 254). Z duchowieństwa, kreśli jeszcze Commendoni dosadne wizerunki Geschkowa opata oliwskiego (t. II, 59). Nie może słów znaleźć dla pochwalenia nowego arcybiskupa, którego król przed jego odjazdem z Polski mianował do Lwowa po Tarle, to jest Słomowskiego. I drugiemu biskupowi ze Żmudzi Wierzbickiemu, oddawał także pochwały (11, 99)

Pokazuje się z tego przeglądu, że więcej było biskupów pobożnych, jak nowatorów, a przecież nigdy katolicyzm nie był w tak złém położeniu w Polsce, jak za czasów Zygmunta Augusta. Témci gorzej wychodzą na tém prymas i biskup krakowski, Orzechowski, który już wtenczas spożoźniał, raz, a Kromera kilka razy, z wielkimi pochwałami przytacza Commendoni.

Pomiędzy świeckimi panami nadzwyczajnym ogromem uderza księżę Czarny Radziwiłł: to jeden z największych ludzi, których wydała kiedykolwiek Litwa. Zu jego też głosem szło wszystko: u siebie wszechmocny, w Polsce jeszcze przeważał szalę królów. Czynów jego moc znajdziem w listach Commendoniego. Koniec jego był okropny, który nuncyusz trzy razy aż ze wszelkimi szczegółami opisuje, (11, str. 204, 208, 212). Umierał, jak żył filozofem XVI wieku, to jest człowiekiem, który w nic nie wierzył; konając jeszcze bluźnił podaniom i wierze pradiadów. Wszystkie inne charaktery błędną przy książęciu Czarnym, a taka ich rozmaitość! Według nuncyusza, najrozumniejszym panem w całej Rzplitej był Spytek Jordan, wojewoda krakowski (str. 122 i 165). Jakić był wiary Spytek, sam nuncyusz z początku nie wiedział, ale słyszał, jak na sejmie 1564 r. mówił za duchowieństwem, a jemu okazywał przychyłność, co dla Commendoniego chwilowo starczyło. Dalej w poufnych rozmowach z tym wojewodą, więcćj serce jego poznał Commendoni. Dla dobra państwa wojewoda chciał utrzymywać powagę senatu i powagę biskupów, chociażby *ateuszów* (str. 122). Ztąd nieprzyjacielem wielkim był Spytek szlachty, i zawsze przeciw niej występował (2, 75, 133), i szczęśliwie, bo wpływ miał wielki. Dumnym i najbogatszym panem i wichrzycielem był Marcin Zborowski kasztelan krakowski, z którego córką król, żeby sobie ujął tego pana, obiecał żenić się; ale umarł kasztelan jeszcze przed wyjazdem Commendoniego (2, 208). Katolicyzm bronili jeszcze: poważny Floryan Zebrzydowski, starzec wielkićj powagi i cnoty, który słabym będąc, kazał się zanosić do izby i przeciw przewadze szlachty głos podnosił (2, 133, 142); dalej dwaj bracia Kościeleczy, o których już mówiliśmy, obaj zaleceni przez nuncyusza Rzymowi, wojewoda sieradzki i poznański, obadwaj zmarli w ciągu tych lat dwóch, w których postował Commendoni, a których strata, była stratą ciężką dla katolicyzmu; o wojewodzie sieradzkim było nawet podejrzenie, że umarł otruty (255); Konarski, wojewoda kal., brat biskupa poznańskiego, gorliwy także (232), wreszcie kanclerz koronny Dembiński. Obawiał się go z początku Commendoni, bo widział wprawdzie, jak p. Dembiński dopełniał obrządków katolickich dla oka, ale nie miał przekonania mocnego o nim, jakić był wiary; nad wszelkie spodziewanie się nuncyusza, pokazał się kanclerz przy pieczęci gorliwym katolikiem, i wyrzucał mocno prymasowi jego obojętność (1, 127, 159). Koroną katolickich panów był Piotr Barzi, znany oddawna Rzymowi; Barzego, za sprawą nuncyusza, król zrobił starostą lwowskim. Było to bardzo usługne w rękach Commendoniego narzędzie; to też go wynosi pod niebiosa nuncyusz, a nawet projekt

napisał, żeby mu papierz podarował pretensye swoje do *świętopietrza* w Polsce (2, 224). Byłto prawdziwy ksiądz w świeckiem ubraniu.

Na duchowieństwo katolickie powstawał na sejmie Tarnowski wojewoda sandomierski, katolik (2. 134); a bronił go z tój zasady, co i Spytek Jordan, Tomicki kasztelan gnieźnieński, lubo ewangelik (2. 33). Ksiądz Karnkowski referendarz koronny, późniejszy prymas, człowiek pobożny, był przecież za rozwodem królewskim, i w tym celu częste poselstwa odbywał do Wiednia (str. 77. 86). Ostroróg najzaciętszym był szlacheckim trybunem. Porwał się raz do szabli na posła Nakleskiego, który wystąpił po katolicku na sejmie; ostatnie nazwisko to, zdaje się przekręcone jest z włoska (2, 154).

Jako piękne także charaktery, lubo znienacka narysowane, występują: sławny Rotund Milesius, burmistrz wileński; uczony Ruiz, który wybierał się z powrotem do Hiszpanii (T. 2. str. 5), a co najwięcej ojciec Melchior, Dominikan, którego szlachetną postać kilka razy w dziele oglądamy.

W epoce krytycznej, którą nam Commendoni stawi przed oczy wiele rzeczy przybierało postać inną: rozwijała się konstytucya narodowa. Drogie szczegóły zanotował nam o tém Commendonii. Szlachta, która już sobie przywłaszczyła całą władzę w Rzplitej, miała wiele dowcipu, kiedy chciała na podstawie prawnej oprzeć swoje pretensye. Ktoś mądry kierował nią niezawodnie w tajemnicy. Czy wzór wzięta z trybunów rzymskich, czy tóż w Polsce samój ten narodził się projekt, dość, że gotowano urząd nowy, potężny w Rzplitej dla poparcia praw szlacheckich. Instygator koronny miał wynieść się nad wszystkich wielkich dygnitarzy i senatorów, bo jemu straż oddawano nad egzekucyą prawa; mógł napominać wykraczających, a nawet karać. Byli tacy, którzy chcieli w każdym województwie, ziemi i powiecie, posadzić oddzielnego instygatora, z prawem podobnegoż dozoru. A powód do tego dał niechący król sam. Żalili się posłowie na sejmie, że urzędnicy nie pilnują prawa i swoich obowiązków, a nikt ich o to nie sztrofuje: więc król rzucił myśl, żeby przed posłami jego na sejmiki, każdy obżałowany, uciski swoje i krzywdy od urzędników doświadczone przekładał, a winnych obiecywał zapożywać przed sejm walny i sądzić. Posłowie zarzucili króla dowodzeniami, że to nie zbliży upragnionego celu, i woleli stanowiąc oddzielnych instygatorów po ziemiach; chcieli po dwóch kandydatów wybierać, żeby jednego z nich król nominował z władzą pozywania wszystkich przed sąd królewski: instygator taki co trzy lata miał być obierany. Już król i część senatu przystała na ten wniosek, ale w tém szlachta zdradziła cel swój: więc; inicjowani do projektu domagali się, żeby ziemie ostatecznie wybierały sobie instygatora bez potwierdzenia królewskiego i żeby ten instygator miał prawo pozywać każdego bez względu na stopień i dostojenstwo, żeby urząd ten był świętym i nietykalnym, a obrażający instygatora, żeby był uważanym za zbrodniarza obrażonego majestatu. Zrećnienie spiskowi zakrywali cel swój, i gdyby postavili na swoim, dawny rząd Rzplitej byłby upadł. Nastalby nowy porządek rzeczy, zupełnie od poprzedniego odmienny. Biskupi odkryli spisek, bo instyga-

lorowia przed sądy swoje mogli pociągnąć ich, plebanów i zakony. Więc bić zaczęli na taką reformę zasad, a w pomoc im przyszli senatorowie świeccy. Spytek Jordan podniósł głos wymowny i strzaskał całą budowę. Postłowie do najwyższego stopnia byli oburzeni. Commendoniego także niepokoił projekt i wiele się przyczynił do zwycięstwa zdrowszej rady, nad hydrę bezrządu (T. II, str. 57, 61, 75).

Nie udało się szlachcie, ale duchowieństwu o instygatorze na swoje korzyść myślało. W każdej dyecezyi był jeden kapłan, któremu poruczano te ważne obowiązki. Uchański chciał mianować jednego generalnego na wszystkie dyecezye, który jednakże miał od arcybiskupa zupełnie zależeć. Ale instygator koronny poróżnił się z tego powodu z Uchańskim i doszło do kroków najzaciętszej nieprzyjaźni; wreszcie prymas ustąpił i zląkł się niepopularności swojego projektu (2, str. 225).

Potem już kiedy król miał odjeżdżać do Litwy, senatorowie koronni troskając się o sprawiedliwość i rząd, upraszali Zygmunta Augusta, żeby dla rozstrzygania nagłych a nieprzewidzianych potrzeb i wypadków, mianował wielkorządców. (Tom II, str. 165). Zeszło na projekcie.

Kilka ciekawych szczegółów dostarczył nam Commendoni, do wyrozumienia naszego prawa kanonicznego. Kościół rzymski ma jedno prawo dla całego świata, ale w każdym kraju rozwija się ono pod wpływem odrębnym miejscowości. Duch, treść główna zostają wszędzie tak sama, ale forma się ugina i te właściwości prawa, które uginać się mogą, bez nadwężenia istoty. Commendoni ubolewa np., że w dyecezyach polskich, krewni zmarłego biskupa mają prawo do jego dochodów przez czas od śmierci aż do pogrzebu; że czasem kanonicy w braku krewnych, polują na te dochody, że z nich żadnego nikt nie zdaje rachunku; a że jest w tym interes, żeby dochody jak najdłużej pobierać; często do szczęścia, siedmiu miesięcy opóźnia się umyślnie pogrzeb. Nie było tak źle w arcybiskupstwie gnieźnieńskim, bo tam ustanowiony ekonom rządził dobrami i za życia i po śmierci prymasów kościoła polskiego, i potem zdawał z nich liczbę. Była też i w tym niedogodność, którą Commendoni chciał usunąć, że nominaci biskupi, zaraz bezpośrednio po swoim naznaczeniu, obejmowali dobra; nuncyusz się obawiał, żeby, jeżeli ta zdrożność usuniętą nie zostanie, nominaci po objęciu dochodów nie lekceważyli sobie aktu prekonizacji w Rzymie. Tém bardziej można się było o to obawiać, że szlachta zazdrosna o wpływ papieża, nie chciała znieść żadnego kardynała w Polsce, i nawet prawem chciała to obwarować. Nawet duchowieństwo samo spierało się z Rzymem, już nie o wiarę, o władzę doczesną, ale czysto o kwestyę karności. Archidyakon łęczycki miał jechać do Rzymu i protestować przeciw postanowieniu trydenckiemu, na mocy którego jeden ksiądz nie mógł posiadać kilku beneficjów. Zbijał nuncyusz rozsądnie te pretensye (Tom II, str. 197), i rozsądnie radził Rzymowi, jak ma tym i drugim nieprzyzwoitościom zapobiedz, żeby był i wilk syty i owca cała. Zawsze prawdziwym mąż stanu przebijają się w Commendonim. Szlachta też przewidywając, że w nuncyuszach napotka zawsze nieprzyjaciół, dowodziła,

że ich nie potrzebuje i że nie powinien król przyjmować więcej nuncyuszów (2, 22, 64).

Nie skończylibyśmy naszego sprawozdania, gdybyśmy chcieli wspominać o wszystkich, co w sobie mieszczą te listy Commendoniego. Nie jedna zagadka z przeszłości rozwiązana tutaj. Unia polityczna z Litwą wiele ma miejsca w notatach kardynała. W miarę większych albo mniejszych pomyślności na granicy wschodniej, Litwini, dzisiaj inne, jutro inne podawali Koronie warunki téj unii, ale się jój nie wyrzekali. Sam książę Mikołaj Czarny występuje tutaj jako nieprzeciwnik unii, tylko jako polityk targujący coś dla siebie i dla rodzinnego kraju. Mamy tutaj myśl i unią dzień za dniem, jak się rozwijała, jakie przechodziła fazy. Miał wiele Zygmunt August kłopotu z Commendonim o arcybiskupstwo rygskie, o które zabiegał ewangielik, książę meklemburski dla młodziutkiego syna; tak nie pod jednym względem ciężkie mu były te Inflanty. Commendoni bał się, żeby Ryga nie dostała się w ręce niekatolickie, i radził królowi wsadzić na to arcybiskupstwo nawet Polaka, ale umiającego po niemiecku, aby tylko nie księcia Meklemburga (Tom I str. 60, 4). Nie chcąc też mieć z Turcyą sąsiedztwa, król nie popierał swojego siostrzeńca Zapolskiego, którego boje w Siedmiogrodzie często Commendoni wspomina. O panu Łaskim, walczącym w Węgrzech, także wiele wzmianek. Czasami zaleci nam tu ztąd ni zowąd ciekawa wiadomość o stanie kościoła w Siedmiogrodzie (Tom II str. 72). Multany, Wołoszczyzna, także często wspomniane; jest nawet w Commendonim wiadomość, której nie znajdziem ani w naszych, ani w węgierskich i wołoskich kronikach, o przywłaszczycielu Pawle Pasku, który wysłany był przeciw zbuntowanym Wołochom, niby przeciw gospodarowi Alexandrowi; ale schwytany z rozkazu króla, który się obawiał zawsze burzy od Turcyi, i ściągnięty do Piotrkowa, tamże dnia 15 marca 1565 roku ścięty został. (T. II str. 105). Nowością dla nas jest także podanie się w tymże roku 1565 Parnawy i trzech innych zamków inflanckich, Polsce, z przyczyny, że król szwedzki nie płacił żółdu założdze (Tom II. str. 203).

Commendoni był stronnikiem cesarza, jako apostolskiego monarchy. Chciał, żeby na tron polski po śmierci Zygmunta Augusta wstąpił który arcyksiążę; nawet działał dla téj przyszłości. A jednak z jego opowiadania nieraz przebija się samolubna polityka sąsiada. Wszędzie królowi polskiemu stawał on na zawadzie, nie chciał go uznać panem Prus, zazdrościł Siedmiogrodu i t. d. (T. I, str. 240, 259. T. II, str. 37, 182).

Nie... to niepodobieństwo przebrać bogactwa téj ślicznej książki; napisaliśmy już tyle, a gdzież jeszcze treść listów Comendoniego? Jeszcze jak żyjem nie czytaliśmy piękniejszej powieści historycznej jak ta: w niej ogrom faktów, zupełna encyklopedia i biblioteka, w niej dawnych lat zasklepione całkowite życie..

Julian Bartoszewicz.

ROZMAITOŚCI.

Dopelnienie

Rysu historycznego szkoły technicznej w Krakowie.

Rozum, cnota i przemysł połączone z pracą.
Stanowią szczęście ludzi i kraje bogacą.

Szanowna redakcja Biblioteki Warszawskiej, raczyła umieścić krótką moją wiadomość o szkole technicznej krakowskiej w swém piśmie na miesiąc lipiec r. z. Rys ten historyczny młodej naszej szkoły, która przez troskliwość b. Senatu rządzącego wzniesiona, a obecnie przez ministra oświecenia JW. Leona hr. Thun tytuł akademii technicznej otrzymała, wkrótce rywalizować będzie z innymi zakładami zagranicznymi tego rodzaju. Jestto jedyna rękojmia rozwijającego się dobrego bytu i pomyślności, jakiemi się kraj nasz cieszyć będzie miał prawo niedługo. Młodzież galicyjska dawniej pobierająca nauki w szkole technicznej lwowskiej, przebywać musiała wiele trudności: musiała ona walczyć z wieloma przeszkodami, zmuszona była słuchać wykładu w języku niemieckim, choć z takowym niedokładnie obeznaną była. Największą jednak dla niej trudnością było udawać się z zachodnich części Galicyi do Lwowa. Dzisiaj przy zaszytych zmianach terytoryalnych, nie tylko z wspomnianej części, ale nawet od Lwowa chętnie przybywa na nauki do Krakowa, których z większym pożytkiem w języku krajowym słucha.

Dowiadujemy się dzisiaj, iż dyrektor instytutu tego, p. Michał Łuszczkiewicz doktor filozofii, wraz z zgromadzeniem professorów, ułożył myśl reorganizacyi tej szkoły w ten sposób, iż dzisiejsze 5 kursów, mają być zmienione na 3 klasy realne czyli przygotowujące do szkoły technicznej, a 3 lata właściwej techniki, jak to się za granicą, a mianowicie w Wiedniu praktykuje. Myśl ta podobno była przedłożona przez p. Czerkaskiego, inspektora nad instytutami naukowemi w całej Galicyi i w wielkiem księstwie krakowskiem; niech jednak wyszła ząąd chciała, jest ona dobra i pochwały godna.

P. Łuszczkiewicz, mąż energiczny i o dobro instytutu technicznego żarliwy, wszelkich możebnych środków używa, aby tę szkołę podnieść do takiego znaczenia, iżby i pożytek i zaszczyt krajowi przyniosła.

Wspomniałem w moim poprzednim artykule, iż w r. 1850, w czasie pożaru Krakowa, szkoła techniczna uległa zniszczeniu; iż niepodobna było myśleć o przywróceniu jej bytu. P. Łuszczkiewicz przeniósł naprędce szkołę techniczną do bursy muzycznej, tak, że nauki nie na swoim dwuletnim wykładzie nie ucierpiały. W ciągu dwóch lat, szkoła techniczna nie tylko odbudowaną, ale znacznie rozszerzoną została. Postać jej, jeżeli nie piękniejsza, to przynajmniej równa się postaci wszechnicy Jagiellońskiej. Wnętrze jej podpierają słupy murywane, które zamieniły ją w olbrzyma dźwigającego na swych barkach przyszły zaród szczęścia i pomyślności kraju, który wzbogacony będzie młodzieżą ukształconą w zawodzie technicznym, dzisiaj tak ważną rolę w stosunkach towarzyskich odgrywającym.

Wypada mi teraz przystąpić do rzeczy, t. j. do dopełnienia tego, co przepomniałem w poprzedzającym moim artykule napisać, a bez czego całość wieleby ucierpiała.

Jeżeli skromnie imiona: Szczepana Humberta, Ludwika Kosickiego, Alexandra Cybulskiego i Józefa Podolskiego zapisane zostały w sercach wdzięcznych Krakowian i uczniów szkoły technicznej; tém więcéj wypada tu o nich wspomnieć, kiedy się mówi o szkole, której pierwszy protektorem, a trzej ostatni przewodnikami byli. Żal po nich nazawsze wryty będzie na twarzach młodzieńców, odbierających wsparcie i nauki od mężów, tak wiele dla ludzkości czyniących.

Gdy Niemcy wielbią swego Albrochta Thaer'a, założyciela szkoły agronomicznej w Mögeline: dlaczegoż my nie mamy uwielbiać rodaków, którzy się do podniesienia nauk, naszej sławy i dobrego bytu szlachetnymi środkami przyczyniali?

Z téj wychodząc zasady, chcę obeznać czytelników Biblioteki Warszawskiej z imionami również jak Thaer godnymi pamięci i czci.

Wiadomość o Szczepanie Humbercie wyjęta została z programu szkoły technicznej krak. na r. 1811. Nie mamy innych źródeł, z którychbyśmy zaczerpnąć mogli bliższych szczegółów: cieszymy się przeto i tém, co nam ś. p. Ludwik Kosicki dyrektor udzielić zechciał.

Szczepan Humbert

urodził się w Paryżu dnia 25 lipca 1756 r. Po ukończeniu nauk stosownych do obranego przyszłego zawodu, przybył do Polski w r. 1775 w miesiącu czerwcu; później w lat 8, t. j. w r. 1783 przyjął obowiązki architekta u JO. ks. Lubomirskiej. W r. 1796 został obywatelem m. Krakowa.

W roku 1812 śmierć wydarła mu żonę, bez żadnego z nią potomstwa i napełniła serce jego goryczą aż do zgonu, który nastąpił w r. 1829, dnia 19 marca. Testament jego własnoręczny w języku francuzkim, przez który uposażył swój instytut według urządzenia przez siebie napisanego, jako melujący najwłaściwiej szlachetny sposób

jego myślenia i charakter duszy, znajdzie czytelnik w powyżej rzeczonym programmie; tymczasem przytoczę ustawę, jaką dla swego instytutu ś. p. Szczepan Humbert napisał.

Urządzenie instytutu założonego przez Szczepana Humberta dla biednych uczniów z parafii W.W. Świętych, w r. 1827.

Odebrawszy od mieszkańców tego kraju, w którym przeżyłem lat 52, wiele dowodów przychylności: pragnę uwiecznić pamięć moje między niemi, przeznaczając majątek mój nabyty 50letnią pracą na użytek tego miasta.

Przekonany, że sztuki i rzemiosła są najdzielniejszą sprężyną pomysłności i narodowej, a na których krainie tej dotąd zbywa, mi niemam, że przywiązania mego do niej dam najlepszy dowód, tworząc instytut, któregoby celem było usposobienie dobrych rzemieślników; bo podług mego przekonania, ten jest najlepszy sposób zapewnienia tak szczęścia familij szczególnych osób, które z tej fundacyi bezpośrednio korzystać będą, jak pomnożenia dobrego bytu wszystkich mieszkańców tego miasta w ogólności.

Dla osiągnięcia wedle méj możności tego celu, tudzież dla zapobieżenia wszelkim ztąd wyniknąć mogącym wątpliwościom, nadaję i stanowią urządzenie tego instytutu, podług którego powinien być na zawsze utrzymywany i rządzony, stosownie do mych zamiarów i przepisów, zawartych w artykułach następujących:

TYTUŁ I.

O instytucie w ogólności.

Art. 1. Zakład ten nazwany będzie instytutem Szczep. Humberta.

Art. 2. Zamiarem moim jest wydoskonalenie sztuk i rzemiosł, to jest kształcenie dobrych rzemieślników, jakoto: murarzy, cieśli, kamieniarzy, kowali, ślusarzy, stolarzy, hebenistów, stelmachów, zegarmistrzów, kotlarzy, blacharzy, siodlarzy, i innych podobnych.

Chcę więc, ażeby biedni uczniowie ze szkoły W.W. SS., którzy się poświęcają tym rzemiosłom, byli w stanie kontynuowania swoich nauk dla nabycia wiadomości teoretycznych, nieodbicie potrzebnych, jakoto: w arytmetyce, geometrii, matematyce zastosowanej, architekturze, mechanice, hydraulicce, chemii, mineralogii, metalurgii, rysunku; słowem w tém wszystkióm, czego pospolicie uczą w szkołach przemysłowych i w instytutach politechnicznych

Art. 3. Uczniowie nie są koniecznie obowiązani uczyć się wszystkich przedmiotów dopiéro wymienionych, ale każdy powinien przykładać się do tych, które mają związek z rzemiosłom, które sobie wybrał, a bez których nie mógłby go doskonale posiadać. Również wszyscy uczniowie będą obowiązani uczyć się języka niemieckiego i francuzkiego.

Gdyby który uczeń instytutu zmieniając chęć poświęcenia się rzemiosłu lub sztuce opuścił instytut: obowiązany będzie zwrócić instytutowi według możliwości, koszta na niego wyłożone.

TYTUŁ II.

O funduszach instytutu.

Art. 4. Na uposażenie tego instytutu przeznaczam testamentem moim kapitały wynoszące około 60,000 złp.

Art. 5. Kapitały będą umieszczone i hipotekowane bądź na domach w mieście Krakowie, bądź na dobrach ziemskich, położonych w jego okręgu.

Art. 6. Instytut ten stanowić będzie oddzielną gałąź od innych fundacyj mających za cel instrukcyą publiczną, a kapitały, które mu przeznaczam, nie będą mogły nigdy być wcielone do funduszków uniwersytetu.

Art. 9. Ponieważ kapitały te mają stanowić dochód wieczysty przeto wypożyczone i zapewnione będą pod tym warunkiem: że właściciele domów lub dóbr, na których te kapitały będą umieszczone, nie będą mogli oddać ich dowolnie.

Art. 11. Kapitały te przynosić będą prowizyi po pięć od sta, która powinna być wnoszona co 6 miesięcy z góry do kassy rządowej jeneralnej; zkąd kassyer uniwersytetu pobierać ją będzie co pół roku dla uskutecznienia wyplat wskazanych przez kuratora. Gdyby procenta nie były płacone regularnie, Senat bez wpływu jakiegokolwiek bądź władzy sądowej, zmusi do tego dłużnika środkami administracyjnymi.

TYTUŁ III.

O uczniach, tojest o dzieciach, które będą utrzymywane kosztem instytutu.

Art. 12. Tworząc instytut ten na korzyść mieszkańców w. m. Krakowa, a szczególnie na korzyść młodych, którzyby chcieli wyuczyć się jakiego rzemiosła, żądam, aby uczniowie byli wybierani między dziećmi ubogich obywateli i rzemieślników, osiadłych i mieszkających w parafii WW. Świętych.

Art. 13. Wszystkie wyznania chrześcijańskie bez różnicy będą przypuszczone, lecz będą mogli być przyjętymi tylko synowie ubogich rodziców, którzy swemi obyczajami, pilnością i dobrą sprawowaniem się, zasłużą sobie na to dobrodzieństwo; albowiem przykład rodziców mocno działa na dzieci, i rzadko się zdarza, aby synowie rozwolnych ludzi, nie stali się z czasem podobnemi.

Nadto nie będą przypuszczeni tylko chłopcy, którzy ukończą z korzyścią kurs nauk elementarnych w szkole parafialnej WW. Świę-

tych, i którzy dadzą niewątpliwe dowody dobrych obyczajów i dobrego sprawowania się.

Art. 14. Pomiedzy kilku współubiegającemi się równie moralnemi, najubożsi, a przedewszystkiem sieroty, będą miały pierwszeństwo; po tych następują ci, którzy najlepiej ukończą nauki.

Art. 15. Gdyby w parafii WW. Świętych nie było uczniów pragnących uczyć się jakiego rzemiosła, albo gdyby ich nie było w liczbie dostatecznej, albo nakoniec, gdyby nie mogli być przyjętemi dla braku dostatecznych dowodów, jako oni i rodzice nie zasługują na to dobrodziejstwo podług przepisów art. 13; w tym przypadku będzie mógł być zrobiony wybór pomiędzy familiami rzemieślniczemi, mieszkającemi w innych parafiach miasta, z zastrzeżeniem jednakże pierwszeństwa dla tych, którzy odbędą swe nauki w szkole parafialnej WW. Świętych.

Art. 16. Kurator dziedziczny będzie miał prawo obrania jednego ucznia co trzy lata, z wolnością niestosowania się do przepisów art. 12, 13 i 15, i formalności poniżej wskazanych.

Art 17. Każdy z uczniów przestanie używać dobrodziejstwa instytutu, skoro stanie się niegodnym takowych przez swe niedbalstwo albo złe sprawowanie się. Również będzie oddalonym z instytutu każdy, który po skończonym roku szkolnym nie miał promocyi do klasy wyższej.

T Y T U Ł I V.

O wyborze czyli mianowaniu uczniów.

Art. 18. Gdy najpiérwszym obowiązkiem każdego proboszcza jest czuwać nad dobrymi obyczajami i instrukcją swoich parafian, i gdy on najlepiej znać może zamożność i sprawowanie się ich; przeto upraszam dziekana lub proboszcza WW. Świętych i wszystkich jego następców, aby chcieli należeć do administracyi mego instytutu, przedstawiając wspólnie z wójtami gmin właściwych kandydatów, sposobem w artykułach następnych oznaczonym.

Art. 19. Skoro tylko dziekan lub proboszcz odbierze od kuratora uwiadomienie o nominować się mającej liczbie uczniów, uwiadomi o tém swoich parafian z ambony po kazaniu niedzielném, i poleci ogłoszenie tego w szkole WW. Świętych; w przypadku przewidzianym art 15., wezwie proboszczów innych parafij miasta, ażeby skutecznie podobne ogłoszenie w swoich kościołach i szkołach.

Art. 20. Rodzice lub opiekunowie dzieci, którzy będą chcieli otrzymać miejsce w instytucie, powinni podać o to prośbę na piśmie do dziekana lub proboszcza, popartą dowodami żądanemi przez art. 12 i 13. Proboszcz rozstrząsnąwszy takowe, poweźmie wiadomość tak o stanie i moralności rodziców, jako téż o talentach i sprawowaniu się dzieci; a wiadomości takowe wraz z prośbami zakomunikuje wójtom gmin właściwych. Poczém proboszcz wspólnie z wójtami ułoży listę proszących, przedstawi tych, kórych uzna za najgodniejszych

i odda ją kuratorowi, dołączając wszystkie prośby, dowody i uwagi. Lista ta będzie podpisana przez proboszcza i wójta; gdyby wójt nie zgadzał się z proboszczem, uwiadomi o tém kuratora.

Art. 21. Dla odpowiedzenia zaufaniu swych współobywateli, wójt szczególnież starać się powinien o dobro swój gminy, tudzież aby sprawiedliwość była wymierzona każdemu. W przekonaniu więc i nadziei, że żaden wójt nie usunie się od należenia do wyboru uczniów, wkładam na nich obowiązek roztrząsania podań, wchodzenia ściśle w stan i przymioty proszących, układania i podpisywania listy kandydatów, wspólnie z proboszczem przedstawiania kuratorowi powodów opozycyi, gdyby nie chcieli przychylić się do wniosku proboszcza.

Art. 22. Gdyby w przyszłości znalazł się proboszcz W.W. Świętych, któryby nie chciał trudnić się wyborem uczniów, sam wójt téj gminy, na wezwanie kuratora, będzie mógł ułożyć listę kandydatów; równie jak w przeciwnym razie, gdyby wójt nie chciał się tém trudnić, proboszcz ułoży listę i poda ją kuratorowi.

T Y T U Ł V.

O utrzymaniu uczniów.

Art. 23. Aby instytut ten stał się użyteczniejszym, potrzeba, aby dzieci do niego przyjęte, były pod dozorem osoby, która z powołania swego poświęca się publicznemu nauczaniu. Ufundowanie oddzielnego kolegium najlepšíjby odpowiedziało temu celowi, ale gdy majątek mój nie wystarcza na to, upraszam uniwersytetu, aby mi był pomocnym w urzeczywistnieniu zamiarów moich. W tymto widoku i nadziei, że uniwersytet przyłoży się do ustalenia i zrobienia prawdziwie użytecznym instytutu mego, pragnę, aby dzieci przyjęte do niego, umieszczonemi były w jednym z gmachów akademickich, które ludzie dobroczytni zeszyłych wieków poświęcili na schronienie ubogich uczniów pod imieniem burs. Utrzymywani tam będą kosztem mojej fundacyi, którą w tym względzie porównywan z fundacją istniejącą od czterech wieków, pod nazwiskiem Borkaru; jednakowoż mój fundusz zawsze będzie od niej odosobniony i w żadnym przypadku do innego funduszu wcielonym być nie może. Gdyby fundusze mego instytutu tak się powiększyły, iżby zaprowadzić można oddzielną szkołę techniczną, opatrując ją gmachem przyzwoitym, oddzielnym dyrektorem i nauczycielami i innymi przedmiotami, albo gdyby rząd tego miasta podobny instytut ustanowił: natenczas dzieci mojej fundacyi, będą mogły być przeniesione do téj szkoły politechnicznej, byle tylko używając wszystkich przywilejów uczniów téj szkoły, znalazły tamże korzyści, które miały w bursie, to jest: aby były pod dozorem dyrektora czyli naczelnika téj szkoły, podała się sposobność ugodzenia dla nich stołu lub gotowania żywności w domu, nakoniec aby miały przyzwoite mieszkanie i opał. W tym przypadku fundacya moja stanowić będzie osobny oddział szkoły technicznej. Dzieci na mym funduszu będące, uczyć się będą wszystkich wiadomości i nauk w téj szkole

dawanych, i będą we wszystkim miane za równe innym uczniom tej szkoły; nakoniec cokolwiek powiedziano jest niżej o seniorze bursy, to bry się ma rozumieć o dyrektorze czyli naczelniku szkoły technicznej, któryem będzie powinien pełnić wszystkie obowiązki niniejszém urzędziem na seniora bursy włożone.

Art. 24. Dla oddzielenia ile możności instytutu mego od innych podobnych i dla nadania mu cech jemu właściwych, upraszam uniwersytetu, aby w bursie Jeruzalem wyznaczył jedną lub dwie stancye dla ile biędnych uczniów mego instytutu, w których będą mieszkać razem z ilewie ich wiek, nauki i klasa dozwolą. Będą tak jak wszyscy inni uczniowie mieszkający w bursie pod dozorem seniora podlegli przepisom burso-

Art. 25. Wszyscy uczniowie otrzymają: pióro, przywieszki, książki, korrepetycyę, opał i światło. Co się tyczy innych potrzeb, jakoto: sukni, bielizny i t. d. instytut nie będzie obowiązany zaopatrzyć w nie tylko tych, którychby rodzice znajdowali się w niemożności dostarczenia takowych w całości lub w części; albowiem nie chcę ja odbierać rodzicom przyjemności przykładania się do utrzymywania swych dzieci. Kurator porozumie się z seniorem względem kosztów utrzymania, biorąc za zasadę rachunek następujący:

Zywność przez 10 miesięcy	złp. 120
Książki, papier i t. d.	— 20
Korrepetycyę	— 30
Opał i kucharka	— 13
Światło.	— 8
Surdut i kamizelka.	— 40
Dwie pary pantalionów.	— 24
Bielizna, jakoto: dwie koszule, dwoje gacek, dwie chustki na szyję.	— 12
Pranie.	— 20
Bóty	— 10
Czapka	— 3

Razem uczyni złp. 300

Wydatek ten dla kilku tylko uczniów tyle wyniesie, albowiem trzeba się spodziewać, że dla większej ich części rodzice przykładając się w części do expensy, postawią instytut w możności pomnożenia liczby uczniów. Gdyby jednak w przyszłości summa złp. 300 nie wystarczała na utrzymanie jednego ucznia; kurator jest upoważniony powiększyć ją według okoliczności do kwoty złp. 400, której kurator już powiększyć nie może bez upoważnienia uniwersytetu i senatu. Gdyby rodzice nie byli w stanie dania uczniowi łóżka, instytut dostarczy go; ale w tym przypadku staje się ono własnością instytutu. Rodzice, którzyby chcieli uwolnić się od przykładania się do potrzeb dzieci swoich, powinni udowodnić niemożność świadectwami proboszcza i wójta.

Art. 26. Używanie dobrodziejstwa mego instytutu ograniczam do lat 5, t. j. że żaden uczeń nie będzie mógł być utrzymywany kosztem mego instytutu tylko przez ciąg nieprzerwany lat pięciu.

Art. 27. Jeżeli oszczędności instytutu dozwolą, administracya będzie mogła wyznaczyć zasiłek na raz jeden najwięcej złp. 100 tym uczniom, którzy odbywszy nauki z postępkiem celującym i wyuczyszysię dobrze swego rzemiosła, będą chcieli udać się za granicę.

TYTUŁ VI.

O administracyi.

Instytut mój przeznaczony na pożytek biednych obywateli tego miasta, a szczególnie z parafii WW. ŚŚ. poddaję pod najwyższą opiekę Senatu rządzącego w m. Krakowa; a pragnąc zapewnić mu, byt jak najdłuższy, tudzież upewnić się, że fundusze, które mu naznaczam, nie będą na inny użytek obrócone: upraszam Senatu rządzącego, aby czuwał nad wypełnieniem niniejszego urzędzenia stosownie do swoich zamiarów. Po wszystkie czasy naczelnicy kościoła byli ojcami ubogich i protektorami nauk, i gdy im winna ludzkość większą część zakładów pobożnych, pochlebiam sobie, że nie zechcą wymówić się od wzięcia pod swoją opiekę mego instytutu.

Upraszam przeto JW. J. ks. biskupa krakowskiego, jako kancle-rza uniwersytetu i wszystkich jego następców, o ile godnością kancle-rza będą zaszczytzeni, ażeby starali się o utrzymanie bytu instytutu me-go we wszystkich wydarzyć się mogących wypadkach, nadewszystko zaś aby się zajmowali nim w przypadkach przewidzianych art. nastę-pniemi.

Administracya instytutu tego składać się będzie z 3 gałęzi, tojest seniora bursy, kuratora instytutu i uniwersytetu krakowskiego. Gdy dwaj piérwsi są obowiązani zdawać sprawę uniwersytetowi z swojego zarządu, zaczynam od przepisania ich praw i obowiązków.

TYTUŁ VII.

O seniorze.

Art. 28. Uczniowie instytutu mego, dlatego samego, że będą mieszkali w bursie, będą pod dozorem jój seniora; polecam ich przeto ojcowskiéj opiece wszystkich prefektów i seniorów, z tém większą ufnością, że poświęcając się oświeceniu publicznemu, przyłożą się bez wątpienia chętnie do wszystkiego, co by mogło rozszerzyć oświecenie i prawdziwie użyteczném go zrobić.

Równie z tego powodu pragnąc, aby uczniowie stołowali się u seniora, proszę go i wszystkich jego następców, aby się do tego przy-chylili według swojej możności, tudzież aby wspólnie z kuratorem za-jęli się dostarczeniem przedmiotów, wyszczególnionych w art. 25. sto-sownie do potrzeb uczniów.

Art. 29. Przy końcu roku szkolnego, tojest w końcu lipca, se-nior zniesie się z kuratorem, końcem oznaczenia liczby uczniów na rok następny i kosztów utrzymania. Jak tylko uczniowie umieszczonemi

zostaną w bursie, senior przystąpi do sprawdzenia artykułów dostarczonych przez ich rodziców i ułoży wykaz potrzeb mających się dostarczyć przez instytut, który zakommunikuje kuratorowi. Potém ugodzi się z rzemieślnikami względem ceny artykułów potrzebnych, i odebrawszy takowe, wyda im świadectwa, za któremi kurator zaassygnuje wypłatę należytości do kassy akademickiej.

Art. 30. Przy końcu roku szkolnego, senior uczyni kuratorowi w krótkim przedstawieniu obejmująco jego postrzeżenia nad wypadkami i postępem instytutu. Przedstawienie to posłuży kuratorowi za podstawę do raportu, który tenże obowiązany będzie zdać uniwersytetowi. Ten raport seniora będzie mógł mieć formę jednostajną i obejmować powinien liczbę uczniów, ich wiek, nauki, postępek sprawowania się, liczbę opuszczających instytut, tudzież liczbę przyjąć się mających, koszta utrzymania i część w jakiej rodzice się przyłożyli, wpływ instytutu na przemysł i pomyślność miasta; słowem to wszystko, co zasłuży na podanie do wiadomości uniwersytetu i publiczności.

Art. 31. W przypadku objętym w art. 17 senior uwiadomi kuratora o okolicznościach zagnajających do oddalenia ucznia, aby tenże zażądał od uniwersytetu oddalenia tegoż.

TYTUŁ VIII.

O kuratorze.

Art. 32. Tak dla zapewnienia trwałości i regularności administracyi, jako też dla uniknienia niedogodności elekcyi, nadaje instytutowi memu kuratora dziedzicznego; a chcąc p. Józefowi Hallerowi dać dowód mej stałej przyjaźni, godność kuratora dziedzicznego zlewam na jego familię wiecznemi czasy, tojest: na p. Hallera i na jego zstępnych w linii prostej męzkiej, podług porządku pierworodztwa, aż do zupełnego tej familii wygaśnięcia.

Art. 33. Po wygaśnięciu familii Hallera, godność kuratora przejdzie do familii, tojest na [dzieci męzkie prawe p. Wojciecha Kucińskiego, senatora, również w porządku pierworodztwa.

Art. 34. Po wygaśnięciu familii Kucińskich, albo gdyby żaden z jęj członków nie chciał przyjąć godności kuratora, JW. biskup, jako kurator uniwersytetu, na przedstawienie uniwersytetu nada ją familii tutejszej, wybierając między familiami znaczniejszemi tę, która swoją dawnością, reputacyą bez zmayı i zasługami dla miasta, da najpewniejszą rękojmią pomyślności mego instytutu.

Art. 35. Gdyby żaden członek z familii Hallera nie znajdował się w mieście, nie mógł albo nie chciał przyjąć godności kuratora; natedy familia Wojciecha Kucińskiego zastąpi familją Hallera dopóty, dopóki ta nie obejmie obowiązków tej godności.

Art. 36. Najpierwszym obowiązkiem kuratora będzie, często zasięgać wiadomości o stanie dóbr wiejskich i domów, na których kapitały będą umieszczone, a w przypadku przewidzianym art. 10, zdać powinien natychmiast raport szczegółowy uniwersytetowi i wypełniać

to, co doradzi gorliwość i przywiązanie do dobra publicznego dla upewnienia całości i bezpieczeństwa funduszków.

Art. 37. Corocznie przed zamknięciem szkół, kurator znieśli się z seniorem bursy względem kosztów wyżywienia; i wzięwszy na uwagę przychód instytutu i oszczędności upłynionego roku, oznaczy liczbę uczniów mianować się mających, uwiadomi o tém dziekana lub proboszcza W.W. Świętych, wzywając go o skuteczenie ogłoszenia i złożenia listy kandydatów, stosownie do art. 19 i 20.

Odebrawszy listę, kurator weźmie ją pod rozwagę, roztrząśnie ściśle wszystkie podania i dowody, i powezmie szczegółowe wiadomości na okoliczności, któreby mu się nie zdawały dostatecznie udowodnione. Późem zanominuje uczniów na przedstawienie dziekana lub proboszcza i wójta, a'bo gdyby uznał potrzebę nieprzchylenia się do niego, doniesie o tém uniwersytetowi.

Art. 38. Z rozpoczęciem nauk, kurator wskaże nowo mianowanych uczniów dla umieszczenia ich w bursie i dojrzy, aby byli opatrzeni we wszystkie potrzeby podług art. 25. Będzie czuwał nad sprawowaniem się uczniów, będzie przytomnym na wszystkich examinach, będzie ich odwiedzał w domu dla powzięcia wiadomości o żywności, korepetycyi, mieszkaniu, nadziei i o wszystkiem, co może mieć związek z u trzymaniem ich i nauką; na przedstawienie majstrów i właściwego wójta, będzie im mógł udzielić pomoc na podróż, stosownie do art. 27.

Art. 39. Kurator zda rachunek corocznie uniwersytetowi ze swoich czynności, i obraz szczegółowy ugruntowany na spostrzeżeniach seniora, obejmujący stan przychodu, wydatku, oszczędności instytutu i wszystkich szczegółów, które mogą mieć wpływ na utrzymanie, użytek i pomyślność tego instytutu. Będzie się starał, aby obraz ten był udzielony publiczności przez ogłoszenie go w gazetach lub innych pismach peryodycznych.

Art. 40. Kurator porozumie się z kassyerem uniwersytetu dla znajomości stanu przychodów, i wydawać będzie polecenia wypłaty na piśmie.

Art. 41. Gdyby senior żądał oddalenia jakiego ucznia, kurator obowiązany będzie zasięgnąć wszelkich potrzebnych wiadomości, i podać pod decyzją uniwersytetu przedstawienie seniora z uwagami swemi, bądź uzna lub nie uzna, że uczeń wzmiankowany nie zasługuje nadal na dobrodziejstwa instytutu.

Art. 42. Kurator będzie utrzymywał książkę dla wpisywania w nią raportów peryodycznych, zdawanych uniwersytetowi, nominacyi uczniów, assygnacyj na wypłatę wydawanych do kassy uniwersytetu, jednem słowem całej korespondencyi, aby zawsze można wynaléźć ślad; i utrzymywać będzie w porządku wszystkie akta i papiery, dotyczące się instytutu.

Art. 43. Dla wynagrodzenia kuratora za prace, które na niego wkładam i dla przywiązania go tém mocniej do utrzymania i pomyślności instytutu, nadaję mu prawo mianowania w trzy lata jednego ucznia, nie poddając go warunkom i formalnościom, przepisany art. 13, 14, 20 i 21.

TYTUŁ IX.

O uniwersytecie.

Art. 44. Ponieważ zakład mój poświęcam edukacji publicznej, poddaję go pod zwierzchnictwo uniwersytetu krakowskiego, który upraszam, aby raczył objąć jego stér najwyższy, tak co się tyczy bezpieczeństwa summi i szafunku dochodów, jak téż wyboru uczniów i nauki, w celu, ażeby instytut ten był kierowany i rządzony stosownie do niniejszego urzãdzenia. W téj myśli upraszam uniwersytet, aby czuwał nadewszystko nad całościã funduszów, a gdyby w przypadku przewidzianym art. 10, ich podniesienie stało się koniecznym, aby w tém zawiadomił Senat i przedsięwziãł wszystko, cokolwiekby od niego zależało, celem ocalenia instytutu od wszelkiej straty i szwanku.

Art. 45. Niemniej wkładam uprzejmie na uniwersytet obowiązek polecenia kassyerowi swojemu, aby tenże trudnił się funduszami mego instytutu, i z obowiązku pobierał dochody co sześć miesięcy z kassy głównej, tudzież uskuteczniãł wypłaty za assygnacyami kuratora i utrzymywał rejestra i rachunki oddzielne tak przychodu, jako téż i rozchodu mego instytutu. Kassyer nie uskuteczni żadnej wypłaty bez rozporzãdzenia kuratora, na piśmie wydanego. Te reskrypta będą złożone w papierach rachunkowości jako dowody.

Art. 46. W przypadku przewidzianym art. 37 i 41, uniwersytet wyrzeczy ostatecznie względem wyboru uczniów lub ich wyłączenia.

Art. 47. Uniwersytet czuwać będzie nad postępowaniem kuratora tak dalece: iż gdyby kiedy który kurator z familii Hallera nie pełnił z gorliwością swoich obowiązków, uniwersytet będzie miał prawo żądać od JW. JMX. biskupa zanominowania w jego miejsce innego członka familii Kucieńskich. Ten wybór nie pociãgnie za sobą wyłączenia zupełnego familii Hallerów, ale owszem natychmiast, gdy się znajdzie który z téj familii zdatny do objęcia urzãdu kuratora, będzie mógł przyjąć prawa i obowiązki, które włożyłem na tę familiją, za uczynionem w téj mierze przedstawieniem do JW. JMX. biskupa, jako kanclerza uniwersytetu.

Art. 48. Cokolwiek rzekto się o familii Hallera, stosować się ma do familii Wojciecha Kucieńskiego. Po wygaśnieniu zupełnym familii Józefa Hallera w ten sposób, iżby skasowanie jakiego kuratora z familii Wojciecha Kucieńskiego stało się koniecznym; uniwersytet przedstawi w tym celu JW. JMX. biskupowi, a w braku tego rządowi, jednego z znakomitszych obywateli miasta, z tém równie zastrzeżeniem, iż familija Kucieńskich będzie mogła odzyskać prawa godności kuratora, skoro tylko znajdzie się kto z jej członków zdatny do sprawowania takowych obowiązków. Po wygaśnieniu zupełnym familii Kucieńskich, uniwersytet przedstawi rządowi jedną familiją obywateli znaczniejszych m. Krakowa na ten koniec, aby urzãd dziedziczny kuratora był jej powierzonym w myśl art. 34.

TYTUŁ X.

Zakończenie.

Art. 49. Pochlebiam sobie, że skutek uisci całkowicie moje nadzieje, i że zakład ten stając się coraz użyteczniejszym i dobroczynniejszym, zasłuży stopniami na coraz większą opiekę i uwagę rządu i obywateli. Być więc może, że przyszłość natchnie kiedy rząd albo prywatnych przyjaciół dobra publicznego chęcią podniesienia tego zakładu i pomnożenia jego funduszu; w takim razie administracya instytutu jest mocną przyjmować darowizny instytutowi uczynione o tyle, o ile to stać się będzie mogło bez oddalenia się od celu i przeznaczenia tego instytutu, i bez nadwężenia niniejszego urządzenia.

Art. 50. Gdyby atoli w czasach następnych konieczną i zgola nieuchronną było potrzebą rozciągnięcie albo zmieniecie jakiego warunku w obecnym urządzeniu; wtedy uniwersytet bądź sam przez się, bądź w skutek uwag kuratora, weźmie tę okoliczność pod rozwagę, a uchwalwszy i postanowiwszy łącznie z swoim kanclerzem JW. J. M. ks. biskupem (zawsze jednak bez nadwężenia zasad głównych niniejszego urządzenia) zmianę, jakiejby wymagały okoliczności konieczne a dla zakładu korzystne, podda ją pod zatwierdzenie Senatu, tojest rządu miasta Krakowa, bez czego żadna zmiana w obecnym urządzeniu miejsca mieć nie może.

Art. 51. Gdyby w przyszłości przez zbieg okoliczności nieprzewidzianych, instytut ten nie miał się utrzymać i zachować w stanie stosownym do moich życzeń i myśli; na taki przypadek przeznaczam summy, które mają stanowić fundusz niniejszego dzieła, szkołę politechniczną paryżkię, i na ten koniec wkładam na kuratora obowiązek doniesienia o tém dyrekeyi szkoły politechnicznej i urzędowi municypalnemu miasta Paryża, i zniesienia się z niemi zobopólnego względem przeniesienia funduszuw mojego instytutu do Francyi, które z mocy prawa staną się własnością szkoły politechnicznej paryżkię, i stanowić będą oddzielnie źródło jęj dochodów.

Art. 52. W razie wątpliwości, textu francuzkiego trzymać się należy.

Skoro tylko Senat wolnego miasta Krakowa zatwierdzi i zasankcyonuje niniejsza rozporządzenie, będzie odpisanem na trzy ręce; z których jeden exemplarz po zaciągnięciu go do hipoteki, złożonym będzie w archiwum Senatu, drugi w archiwum uniwersytetu, trzeci oddany będzie p. Hallerowi.

Tak zrobiono i podpisano w Krakowie dnia 2 sierpnia 1827.

(podpisano) *Etienne Humbert.*

Nr. 298, D. G. S.

Senat Rządzący Wolnego Miasta Krakowa i Jego Okręgu.

Projekt niniejszy przyjmuje i zatwierdza.

Kraków, dnia 15 lutego 1828 r.

W zastępstwie prezesa (podpisano) *J. Soltykowicz.*

Mieroszewski Sek. Gen. Senatu.— *Nowakowski* Sek. exp. Senatu.

Wedle raportu przez exekutorów testamentu w r. 1834 pod dniem 5 lipca do nr. 621, uniwersytetowi złożonego, fundusz cały, tak za sprzedane kamienice jako też i inne ruchomości zebrany, wynosi 49,000 złp. Summa ta na różnych realnościach tu w Krakowie, podług formalności testamentem wskazanych, ulokowaną została.

Uczniowie, a raczej wychowawcy ś. p. Szczepana Humberta, od czasu wprowadzenia w życie jego woli, aż po rok 1841, mieszkali w bursie Jeruzalem, a na nauki do szkoły technicznej uczęszczali. W skutek pożaru, który tak bursę wspomnioną jako też szkołę techniczną w roku wyżej wymienionym nawiedził, nastąpiło rozdzielenie szkoły wydziałowej ze szkołą techniczną; pierwszą bowiem do gmachu św. Barbary, niegdyś kollegium jezuickiego, jak również bursę przeniesiono; któreto zakłady zostają pod jednym zarządem Jana Kantego Morelowskiego, będącego zarazem dyrektorem szkoły wydziałowej i seniorem bursy. Jegoto gorliwości przypisać należy, iż młodzież na funduszu Humberta umieszczona, jest odznaczającą się w naukach i moralności....

Nie należy sądzić, iżbym miał zamiar dowodzić, że Szczepan Humbert jest założycielem szkoły technicznej; bynajmniej, to b. Senatowi przypisać należy. Ale kto podał myśl do zaprowadzenia onęj? któż pierwszy zwrócił uwagę, iż kraj nasz wymaga podobnego zakładu, któremi się kraje ucywilizowane już oddawna szczycą, jeżeli nie Humbert? Dlatego tutaj i wszędzie twierdzić będę, że ś. p. Szczepan Humbert jest twórcą szkoły technicznej w Krakowie.

Z kolei wypadaloby mi opisać życie ś. p. Ludwika Kosickiego NN. WW. i filozofu doktora, członka towarzystwa naukowego krakowskiego, autora Konstrukcyj łacińskich, męża, który siły swe w zawodzie naukowym starał; ale nie mając dokładnych materyałów, odzywam się do mężów, którzy bądź stosunkami przyjaźni, bądź familijnymi są bliżej z nim związani, aby to próżne miejsce zapełnić raczyli.

Mężowie około dobra publicznego pracujący, jakimi są nauczyciele, zasługują na wdzięczność nie tylko współczesnych, ale i u późnych pokoleń. Oni bowiem ograniczając się na szczytych funduszach, jakie im rząd za ich nieopłacone prace udziela, kształcą młodzież i sposobią na obywateli, którzy kiedyś krajowi swemu użytecznymi być mają.

Na tę wdzięczność zasłużyli niemylnie: ś. p. Alexander Cybulski i Józef Podolski.

Alexander Cybulski

urodził się w Mokrsku, w gubernii krakowskiej, r. 1807. Oddany do szkół krakowskich, po ukończeniu nauk w klassach niższych, nie mając dostatecznego od rodziny zasiłku, z korepetycyi utrzymywać się i dalej nauki o własnej pracy kontynuować musiał. W r. 1825 uzyskawszy *testimonium maturitatis*, ukończył wydział filozoficzny w uniwersytecie Jagiellońskim i zupełnie się zawodowi matematycznemu oddać postanowił. Później jednakże, nie upatrując w obranym przez

siebie przedmiocie żadnej promocyi i widoków, zmienił wydział matematyczny, i na wydział medyczny uczęszczać sobie zamierzył; jakoż po ukończeniu przedmiotów na ten wydział przepisanych, wieniec doktora medycyny r. 1837 zaszczycony został. Wkrótce potem otworzyła się potrzeba obsadzenia katedry technologii, przy szkole technicznej zaprowadzić się mającej. Do tego nowego jeszcze w kraju naszym przedmiotu, trudno było znaleźć zdadne indywiduum, któreby potrzebie szkoły i przeznaczeniu swemu godnie odpowiedziało: władza przeto szkolna osądziła za rzecz najstosowniejszą wysłać za granicę takiego meża, któryby w krótkim przeciągu czasu ten rozległy przedmiot zgłębił i stosownie do potrzeby w szkole naszej rozwinąć go zdołał. Wybór ten padł na Cybulskiego. Wysłany w r. 1838 kosztem rządu do Wiednia na rok jeden, nie zawiódł o nim nadziei. Znajomość głęboka matematyki, posłużyła mu do szybkiego obeznania się z przedmiotem całkiem na matematyce opartym. Zwiedził on w tój zamożnej pod każdym względem w fabryki obfitój stolicy najslawniejsze zakłady, przypatrzył się metodzie wykładania tego przedmiotu, dla którego był za granicę wysłany: uczył się tego, co mu poznać wyłącznie wypadało, zbierał te wiadomości, jakie mu do przyszłego jego zawodu niezbędnie były potrzebne, i z bogatym tychże plonem do kraju powrócił. W r. 1839 rozpoczął piérwszy zawód publicznego nauczycielstwa, jako zastępca profesora technologii przy szkole technicznej, po ukończeniu którego złożył zaszczytnie konkurs i na rzeczystego profesora patent otrzymał. Niezmordowana pracowitość, chęć doskonalenia się coraz większego w obrany przez siebie przedmiocie, jedyna mu wziętość u rządu, przywiązanie u swych uczniów, miłość u współkolegów i szacunek w całej publiczności. Trzechletnio prace w stanie nauczycielskim, tyle talentom jego zalet przynoszące, tyle zdolność jego wyświecające, okrutna choroba zatamowawszy, nakoniec go nam z grona naszego wyrwała. Umarł dnia 18 maja 1844 r. a z nim speliły nadzieje, jakimi się znający jego poświęcenie się dla dobra szkoły i nauk wszysecy cieszyli. Ostatnia przysługa odilana zmarłemu nauczycielowi przez swych uczniów, jest najjaśniejszym dowodem, ile sobie na ich przywiązanie zasłużyć, ile ich serca dla siebie zobowiązać umiał. Pisma jego drukiem ogłoszone są: rozprawa z okoliczności promocyi jego na doktora medycyny: „De vis electricae usu medicinali“; Rozprawa o zasuszaniu drzewa, w programmacie szkoły technicznej na r. 1842 umieszczona. Pozostała się nadto jeszcze trygonometria w rękopiśmie, do druku prawie przygotowana, o znakomitęj jego biegłości w matematyce świadcząca; jak nieumniej technologia również w rękopiśmie będąca (1).

ob. 1081, 1082, 1083, 1084, 1085, 1086, 1087, 1088, 1089, 1090, 1091, 1092, 1093, 1094, 1095, 1096, 1097, 1098, 1099, 1100, 1101, 1102, 1103, 1104, 1105, 1106, 1107, 1108, 1109, 1110, 1111, 1112, 1113, 1114, 1115, 1116, 1117, 1118, 1119, 1120, 1121, 1122, 1123, 1124, 1125, 1126, 1127, 1128, 1129, 1130, 1131, 1132, 1133, 1134, 1135, 1136, 1137, 1138, 1139, 1140, 1141, 1142, 1143, 1144, 1145, 1146, 1147, 1148, 1149, 1150, 1151, 1152, 1153, 1154, 1155, 1156, 1157, 1158, 1159, 1160, 1161, 1162, 1163, 1164, 1165, 1166, 1167, 1168, 1169, 1170, 1171, 1172, 1173, 1174, 1175, 1176, 1177, 1178, 1179, 1180, 1181, 1182, 1183, 1184, 1185, 1186, 1187, 1188, 1189, 1190, 1191, 1192, 1193, 1194, 1195, 1196, 1197, 1198, 1199, 1200, 1201, 1202, 1203, 1204, 1205, 1206, 1207, 1208, 1209, 1210, 1211, 1212, 1213, 1214, 1215, 1216, 1217, 1218, 1219, 1220, 1221, 1222, 1223, 1224, 1225, 1226, 1227, 1228, 1229, 1230, 1231, 1232, 1233, 1234, 1235, 1236, 1237, 1238, 1239, 1240, 1241, 1242, 1243, 1244, 1245, 1246, 1247, 1248, 1249, 1250, 1251, 1252, 1253, 1254, 1255, 1256, 1257, 1258, 1259, 1260, 1261, 1262, 1263, 1264, 1265, 1266, 1267, 1268, 1269, 1270, 1271, 1272, 1273, 1274, 1275, 1276, 1277, 1278, 1279, 1280, 1281, 1282, 1283, 1284, 1285, 1286, 1287, 1288, 1289, 1290, 1291, 1292, 1293, 1294, 1295, 1296, 1297, 1298, 1299, 1300, 1301, 1302, 1303, 1304, 1305, 1306, 1307, 1308, 1309, 1310, 1311, 1312, 1313, 1314, 1315, 1316, 1317, 1318, 1319, 1320, 1321, 1322, 1323, 1324, 1325, 1326, 1327, 1328, 1329, 1330, 1331, 1332, 1333, 1334, 1335, 1336, 1337, 1338, 1339, 1340, 1341, 1342, 1343, 1344, 1345, 1346, 1347, 1348, 1349, 1350, 1351, 1352, 1353, 1354, 1355, 1356, 1357, 1358, 1359, 1360, 1361, 1362, 1363, 1364, 1365, 1366, 1367, 1368, 1369, 1370, 1371, 1372, 1373, 1374, 1375, 1376, 1377, 1378, 1379, 1380, 1381, 1382, 1383, 1384, 1385, 1386, 1387, 1388, 1389, 1390, 1391, 1392, 1393, 1394, 1395, 1396, 1397, 1398, 1399, 1400, 1401, 1402, 1403, 1404, 1405, 1406, 1407, 1408, 1409, 1410, 1411, 1412, 1413, 1414, 1415, 1416, 1417, 1418, 1419, 1420, 1421, 1422, 1423, 1424, 1425, 1426, 1427, 1428, 1429, 1430, 1431, 1432, 1433, 1434, 1435, 1436, 1437, 1438, 1439, 1440, 1441, 1442, 1443, 1444, 1445, 1446, 1447, 1448, 1449, 1450, 1451, 1452, 1453, 1454, 1455, 1456, 1457, 1458, 1459, 1460, 1461, 1462, 1463, 1464, 1465, 1466, 1467, 1468, 1469, 1470, 1471, 1472, 1473, 1474, 1475, 1476, 1477, 1478, 1479, 1480, 1481, 1482, 1483, 1484, 1485, 1486, 1487, 1488, 1489, 1490, 1491, 1492, 1493, 1494, 1495, 1496, 1497, 1498, 1499, 1500, 1501, 1502, 1503, 1504, 1505, 1506, 1507, 1508, 1509, 1510, 1511, 1512, 1513, 1514, 1515, 1516, 1517, 1518, 1519, 1520, 1521, 1522, 1523, 1524, 1525, 1526, 1527, 1528, 1529, 1530, 1531, 1532, 1533, 1534, 1535, 1536, 1537, 1538, 1539, 1540, 1541, 1542, 1543, 1544, 1545, 1546, 1547, 1548, 1549, 1550, 1551, 1552, 1553, 1554, 1555, 1556, 1557, 1558, 1559, 1560, 1561, 1562, 1563, 1564, 1565, 1566, 1567, 1568, 1569, 1570, 1571, 1572, 1573, 1574, 1575, 1576, 1577, 1578, 1579, 1580, 1581, 1582, 1583, 1584, 1585, 1586, 1587, 1588, 1589, 1590, 1591, 1592, 1593, 1594, 1595, 1596, 1597, 1598, 1599, 1600, 1601, 1602, 1603, 1604, 1605, 1606, 1607, 1608, 1609, 1610, 1611, 1612, 1613, 1614, 1615, 1616, 1617, 1618, 1619, 1620, 1621, 1622, 1623, 1624, 1625, 1626, 1627, 1628, 1629, 1630, 1631, 1632, 1633, 1634, 1635, 1636, 1637, 1638, 1639, 1640, 1641, 1642, 1643, 1644, 1645, 1646, 1647, 1648, 1649, 1650, 1651, 1652, 1653, 1654, 1655, 1656, 1657, 1658, 1659, 1660, 1661, 1662, 1663, 1664, 1665, 1666, 1667, 1668, 1669, 1670, 1671, 1672, 1673, 1674, 1675, 1676, 1677, 1678, 1679, 1680, 1681, 1682, 1683, 1684, 1685, 1686, 1687, 1688, 1689, 1690, 1691, 1692, 1693, 1694, 1695, 1696, 1697, 1698, 1699, 1700, 1701, 1702, 1703, 1704, 1705, 1706, 1707, 1708, 1709, 1710, 1711, 1712, 1713, 1714, 1715, 1716, 1717, 1718, 1719, 1720, 1721, 1722, 1723, 1724, 1725, 1726, 1727, 1728, 1729, 1730, 1731, 1732, 1733, 1734, 1735, 1736, 1737, 1738, 1739, 1740, 1741, 1742, 1743, 1744, 1745, 1746, 1747, 1748, 1749, 1750, 1751, 1752, 1753, 1754, 1755, 1756, 1757, 1758, 1759, 1760, 1761, 1762, 1763, 1764, 1765, 1766, 1767, 1768, 1769, 1770, 1771, 1772, 1773, 1774, 1775, 1776, 1777, 1778, 1779, 1780, 1781, 1782, 1783, 1784, 1785, 1786, 1787, 1788, 1789, 1790, 1791, 1792, 1793, 1794, 1795, 1796, 1797, 1798, 1799, 1800, 1801, 1802, 1803, 1804, 1805, 1806, 1807, 1808, 1809, 1810, 1811, 1812, 1813, 1814, 1815, 1816, 1817, 1818, 1819, 1820, 1821, 1822, 1823, 1824, 1825, 1826, 1827, 1828, 1829, 1830, 1831, 1832, 1833, 1834, 1835, 1836, 1837, 1838, 1839, 1840, 1841, 1842, 1843, 1844, 1845, 1846, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856, 1857, 1858, 1859, 1860, 1861, 1862, 1863, 1864, 1865, 1866, 1867, 1868, 1869, 1870, 1871, 1872, 1873, 1874, 1875, 1876, 1877, 1878, 1879, 1880, 1881, 1882, 1883, 1884, 1885, 1886, 1887, 1888, 1889, 1890, 1891, 1892, 1893, 1894, 1895, 1896, 1897, 1898, 1899, 1900, 1901, 1902, 1903, 1904, 1905, 1906, 1907, 1908, 1909, 1910, 1911, 1912, 1913, 1914, 1915, 1916, 1917, 1918, 1919, 1920, 1921, 1922, 1923, 1924, 1925, 1926, 1927, 1928, 1929, 1930, 1931, 1932, 1933, 1934, 1935, 1936, 1937, 1938, 1939, 1940, 1941, 1942, 1943, 1944, 1945, 1946, 1947, 1948, 1949, 1950, 1951, 1952, 1953, 1954, 1955, 1956, 1957, 1958, 1959, 1960, 1961, 1962, 1963, 1964, 1965, 1966, 1967, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972, 1973, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1979, 1980, 1981, 1982, 1983, 1984, 1985, 1986, 1987, 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025, 2026, 2027, 2028, 2029, 2030, 2031, 2032, 2033, 2034, 2035, 2036, 2037, 2038, 2039, 2040, 2041, 2042, 2043, 2044, 2045, 2046, 2047, 2048, 2049, 2050, 2051, 2052, 2053, 2054, 2055, 2056, 2057, 2058, 2059, 2060, 2061, 2062, 2063, 2064, 2065, 2066, 2067, 2068, 2069, 2070, 2071, 2072, 2073, 2074, 2075, 2076, 2077, 2078, 2079, 2080, 2081, 2082, 2083, 2084, 2085, 2086, 2087, 2088, 2089, 2090, 2091, 2092, 2093, 2094, 2095, 2096, 2097, 2098, 2099, 2100, 2101, 2102, 2103, 2104, 2105, 2106, 2107, 2108, 2109, 2110, 2111, 2112, 2113, 2114, 2115, 2116, 2117, 2118, 2119, 2120, 2121, 2122, 2123, 2124, 2125, 2126, 2127, 2128, 2129, 2130, 2131, 2132, 2133, 2134, 2135, 2136, 2137, 2138, 2139, 2140, 2141, 2142, 2143, 2144, 2145, 2146, 2147, 2148, 2149, 2150, 2151, 2152, 2153, 2154, 2155, 2156, 2157, 2158, 2159, 2160, 2161, 2162, 2163, 2164, 2165, 2166, 2167, 2168, 2169, 2170, 2171, 2172, 2173, 2174, 2175, 2176, 2177, 2178, 2179, 2180, 2181, 2182, 2183, 2184, 2185, 2186, 2187, 2188, 2189, 2190, 2191, 2192, 2193, 2194, 2195, 2196, 2197, 2198, 2199, 2200, 2201, 2202, 2203, 2204, 2205, 2206, 2207, 2208, 2209, 2210, 2211, 2212, 2213, 2214, 2215, 2216, 2217, 2218, 2219, 2220, 2221, 2222, 2223, 2224, 2225, 2226, 2227, 2228, 2229, 2230, 2231, 2232, 2233, 2234, 2235, 2236, 2237, 2238, 2239, 2240, 2241, 2242, 2243, 2244, 2245, 2246, 2247, 2248, 2249, 2250, 2251, 2252, 2253, 2254, 2255, 2256, 2257, 2258, 2259, 2260, 2261, 2262, 2263, 2264, 2265, 2266, 2267, 2268, 2269, 2270, 2271, 2272, 2273, 2274, 2275, 2276, 2277, 2278, 2279, 2280, 2281, 2282, 2283, 2284, 2285, 2286, 2287, 2288, 2289, 2290, 2291, 2292, 2293, 2294, 2295, 2296, 2297, 2298, 2299, 2300, 2301, 2302, 2303, 2304, 2305, 2306, 2307, 2308, 2309, 2310, 2311, 2312, 2313, 2314, 2315, 2316, 2317, 2318, 2319, 2320, 2321, 2322, 2323, 2324, 2325, 2326, 2327, 2328, 2329, 2330, 2331, 2332, 2333, 2334, 2335, 2336, 2337, 2338, 2339, 2340, 2341, 2342, 2343, 2344, 2345, 2346, 2347, 2348, 2349, 2350, 2351, 2352, 2353, 2354, 2355, 2356, 2357, 2358, 2359, 2360, 2361, 2362, 2363, 2364, 2365, 2366, 2367, 2368, 2369, 2370, 2371, 2372, 2373, 2374, 2375, 2376, 2377, 2378, 2379, 2380, 2381, 2382, 2383, 2384, 2385, 2386, 2387, 2388, 2389, 2390, 2391, 2392, 2393, 2394, 2395, 2396, 2397, 2398, 2399, 2400, 2401, 2402, 2403, 2404, 2405, 2406, 2407, 2408, 2409, 2410, 2411, 2412, 2413, 2414, 2415, 2416, 2417, 2418, 2419, 2420, 2421, 2422, 2423, 2424, 2425, 2426, 2427, 2428, 2429, 2430, 2431, 2432, 2433, 2434, 2435, 2436, 2437, 2438, 2439, 2440, 2441, 2442, 2443, 2444, 2445, 2446, 2447, 2448, 2449, 2450, 2451, 2452, 2453, 2454, 2455, 2456, 2457, 2458, 2459, 2460, 2461, 2462, 2463, 2464, 2465, 2466, 2467, 2468, 2469, 2470, 2471, 2472, 2473, 2474, 2475, 2476, 2477, 2478, 2479, 2480, 2481, 2482, 2483, 2484, 2485, 2486, 2487, 2488, 2489, 2490, 2491, 2492, 2493, 2494, 2495, 2496, 2497, 2498, 2499, 2500, 2501, 2502, 2503, 2504, 2505, 2506, 2507, 2508, 2509, 2510, 2511, 2512, 2513, 2514, 2515, 2516, 2517, 2518, 2519, 2520, 2521, 2522, 2523, 2524, 2525, 2526, 2527, 2528, 2529, 2530, 2531, 2532, 2533, 2534, 2535, 2536, 2537, 2538, 2539, 2540, 2541, 2542, 2543, 2544, 2545, 2546, 2547, 2548, 2549, 2550, 2551, 2552, 2553, 2554, 2555, 2556, 2557, 2558, 2559, 2560, 2561, 2562, 2563, 2564, 2565, 2566, 2567, 2568, 2569, 2570, 2571, 2572, 2573, 2574, 2575, 2576, 2577, 2578, 2579, 2580, 2581, 2582, 2583, 2584, 2585, 2586, 2587, 2588, 2589, 2590, 2591, 2592, 2593, 2594, 2595, 2596, 2597, 2598, 2599, 2600, 2601, 2602, 2603, 2604, 2605, 2606, 2607, 2608, 2609, 2610, 2611, 2612, 2613, 2614, 2615, 2616, 2617, 2618, 2619, 2620, 2621, 2622, 2623, 2624, 2625, 2626, 2627, 2628, 2629, 2630, 2631, 2632, 2633, 2634, 2635, 2636, 2637, 2638, 2639, 2640, 2641, 2642, 2643, 2644, 2645, 2646, 2647, 2648, 2649, 2650, 2651, 2652, 2653, 2654, 2655, 2656, 2657, 2658, 2659, 2660, 2661, 2662, 2663, 2664, 2665, 2666, 2667, 2668, 2669, 2670, 2671, 2672, 2673, 2674, 2675, 2676, 2677, 2678, 2679, 2680, 2681, 2682, 2683, 2684, 2685, 2686, 2687, 2688, 2689, 2690, 2691, 2692, 2693, 2694, 2695, 2696, 2697, 2698, 2699, 2700, 2701, 2702, 2703, 2704, 2705, 2706, 2707, 2708, 2709, 2710, 2711, 2712, 2713, 2714, 2715, 2716, 2717, 2718, 2719, 2720, 2721, 2722, 2723, 2724, 2725, 2726, 2727, 2728, 2729, 2730, 2731, 2732, 2733, 2734, 2735, 2736, 2737, 2738, 2739, 2740, 2741, 2742, 2743, 2744, 2745, 2746, 2747, 2748, 2749, 2750, 2751, 2752, 2753, 2754, 2755, 2756, 2757, 2758, 2759, 2760, 2761, 2762, 2763, 2764, 2765, 2766, 2767, 2768, 2769, 2770, 2771, 2772, 2773, 2774, 2775, 2776, 2777, 2778, 2779, 2780, 2781, 2782, 2783, 2784, 2785, 2786, 2787, 2788, 2789, 2790, 2791, 2792, 2793, 2794, 2795, 2796, 2797, 2798, 2799, 2800, 2801, 2802, 2803, 2804, 2805, 2806, 2807, 2808, 2809, 2810, 2811, 2812, 2813, 2814, 2815, 2816, 2817, 2818, 2819, 2820, 2821, 2822, 2823, 2824, 2825, 2826, 2827, 2828, 2829, 2830, 2831, 2832, 2833, 2834, 2835, 2836, 2837, 2838, 2839, 2840, 2841, 2842, 2843, 2844, 2845, 2846, 2847, 2848, 2849, 2850, 2851, 2852, 2853, 2854, 2855, 2856, 2857, 2858, 2859, 2860, 2861, 2862, 2863, 2864, 2865, 2866, 2867, 2868, 2869, 2870, 2871, 2872, 2873, 2874, 2875, 2876, 2877, 2878, 2879, 2880, 2881, 2882, 2883, 2884, 2885, 2886, 2887, 2888, 2889, 2890, 2891, 2892, 2893, 2894, 2895, 2896, 2897, 2898, 2899, 2900, 2901, 2902, 2903, 2904, 2905, 2906, 2907, 2908, 2909, 2910, 2911, 2912, 2913, 2914, 2915, 2916, 2917, 2918, 2919, 2920, 2921, 2922, 2923, 2924, 2925, 2926, 2927, 2928, 2929, 2930, 2931, 2932, 2933, 2934, 2935, 2936, 2937, 2938, 2939, 2940, 2941, 2942, 2943, 2944, 2945, 2946, 2947, 2948, 2949, 2950, 2951, 2952, 2953, 2954, 2955, 2956, 2957, 2958, 2959, 2960, 2961, 2962, 2963, 2964, 2965, 2966, 2967, 2968, 2969, 2970, 2971, 2972, 2973, 2974, 2975, 2976, 2977, 2978, 2979, 2980, 2981, 2982, 2983, 2984, 2985, 2986, 2987

Józef Podolski

urodził się w r. 1803 z ojca Jana i matki Magdaleny z Radomyskich Podolskich, we wsi Motkowicach, w gubernii krakowskiej. Pierwsze początki nauk odebrał w domu rodziców, a w r. 1817 przybywszy do Krakowa, do klasy pierwszej przyjęty został. W r. 1823 skończył klasy licealne i świadectwo dojrzałości (maturitatis) otrzymał. Skończywszy rok nauk filozoficznych wówczas obowiązujących, poświęcił się naukom sposobnym do stanu nauczycielskiego w wydziale matematyczno-fizycznym, i w r. 1827 wydział ten ukończył. W tym roku śp. profesor Markiewicz zajęty był obserwacjami barometrycznemi, w celu wynalezienia maximum i minimum oscyllacji dziennych. Podobne śledzenia wymagały obserwacji nieustannych; chciał zatem jednemu z uczniów kształcących się w tych naukach pracę tę powierzyć. Za powzięciem tej wiadomości, zgłosił się do profesora Markiewicza, „gotowość wykonania tej pracy z chęcią przyjąwszy, od 1go października 1827 r. odbywać począł. W końcu tegoż miesiąca od byłego kuratora (Zaluskiego) uzyskał nominacją na pomocnika przy katedrze fizyki z pensją 300 złp. rocznie. Pierwszą tę nominacją przyjął z wdzięcznością, mniej uważając na pensją do niej przywiązaną, skoro miał sposobność zostawiania obok profesora zdolnego i o wzrost nauk gorliwego; zresztą i sejm następny pensją tymczasową miał podwyższyć i ustalić, co jednak dla rozwiązania się jego, nie mogło przyjść do skutku. Na tej posadzie zostając, był używany do zastępowania profesorów fizyki i matematyki w liceum św. Anny. Z chęcią pełnił każde wkładane nań obowiązki, w nadziei, że rząd z czasem, sprawiedliwe jego zasługi ocenić zechce. W r. 1832 zdał examina ścisłe na doktora filozofii, w r. zaś 1833, przez powołanie Tyrchowskiego Mikołaja, ówczesnego profesora matematyki w liceum św. Barbary do zastępowania prorektora, na przedstawienie rektora uniwersytetu, zastępstwo profesora matematyki w liceum św. Barbary powierzone mu przez radę wielką uniwersytetu zostało. Po organizacyi nauk fizycznych w liceach, posady w liceum otrzymać nie mógł; kommissya reorganizacyjna postanowiła posadę adjunkta przy katedrze fizyki, i do niej pensją 1500 złp. przywiązała, na którą w tymże roku podawszy się, od wydziału filozoficznego do nominacyi przedstawiony został. Po uzyskaniu rzeczonój posady, usiłował dopiąć celu już od roku zamierzonego, tojest udania się do Wiednia, jużto dla zwiedzenia szkoły politechnicznej, już też dla słuchania kursu znakomitego tam profesora fizyki. Uszczuplał zatem swoje wydatki, i na podanie uzyskał w maju 1834 r. pozwolenie od rady wielkiej do odbycia tej podróży. W Wiedniu znalazł względne przyjęcie tak od ś. p. profesora astronomii Littrow, jako też od profesora fizyki Etingshausena; słuchał ostatniego prelekyi

chnologią, dał dowody głębokiej znajomości swojego przedmiotu; nieszczęsna śmierć nie pozwoliła cieszyć się nim dłużej, albowiem w r. 1848 z powszechnym żalem przeniósł się do wieczności.

i miał sposobność widzenia ważniejszych doświadczeń, z których niektóre dla niego samego powtarzał. Uczęszczał nadto do instytutu politechnicznego na mechanikę profesora Arzbergera, technologią profesora Altmüttera i geometryą profesora Stampfera; a względności tych profesorów winien, iż bogate ich zbiory modelów, a mianowicie dwóch pierwszych, w każdym czasie były dlań otwarte. Po powrocie jego przy końcu września, pragnął umieścić się przy szkole technicznej, czego jednak otrzymać nie mógł. Dopiero w r. 1835 przy następnem rozwinięciu się téj szkoły, uzyskał zastępstwo profesora mechaniki, do której geometrya wykreślna przydzieloną została, i rachunek wyższy. Następnego miesiąca na przedstawienie wydziału filozoficznego, został potwierdzony adjunktem na drugie dwa lata, z warunkiem stawienia na miejsce swoje zastępcy. W r. 1836 na przedstawienie członków komitetu ekonomicznego, mianowany został przez b. Senat Rządzący członkiem tegoż komitetu. Przy końcu lipca t. r. zwiedził: Wrocław, Berlin, i słuchał w Berlinie w sierpniu kursów: Mitscherlicha chemii, Magnusa technologii i Szuberta fizyki. W r. 1837, wydział filozoficzny, rozprawę jego: „O działaniu magnesów na różne ciała,” już dawniej napisaną, drukować dozwolił; a po odbytej promocyi, stopień doktora filozofii udzielił. W październiku tegoż roku, jako przy końcu swego urzędowania w uniwersytecie, na przedstawienie dziekana otrzymał list pochwalny od senatu uniwersyteckiego. W r. 1838 ś. p. professor Markiewicz, na własne żądanie przeniesiony został na stan spoczynku, w skutek czego kommissarz rządowy powołał go do pełnienia zastępczo obowiązków profesora fizyki; konkurs zaś na tę katedrę na d. 11 lipca t. r. ogłoszono, na którą podać się nie omieszkął. W tym czasie ustalono budżet szkoły technicznej i ogłoszono konkurs na katedry tamże wakujące, do których należała katedra mechaniki i matematyki wyższej, której także obowiązki zastępczo pełnił. Nie opuścił pory ubiegania się i o tę drugą katedrę, i tym sposobem wypadły dlań dwa konkursy, z przedmiotów należących do najtrudniejszych, których nadto wykładem przez 2^{1/2} godzin tygodniowo był zajęty. Dnia 7 i 8 lipca odbył konkurs w szkole technicznej; 11 zaś i 12 w uniwersytecie. Pod dniem 7 września otrzymał nominacyą na profesora przy szkole technicznej katedry, o którą się ubiegał; katedry zaś fizyki, cały rok następny szkolny obowiązki pełnił, i dopiero w czerwcu 1839 r. zawiadomiony został przez kommissarza rządowego, iż Senat rządzący powołał na tę katedrę profesora tegoż przedmiotu z Insbruck (p. Kuczyńskiego), któremu przy końcu września gabinet fizyczny oddawszy, uniwersytet opuścił, w którym prawie bez przerwy aż do tego czasu był czynnym. W taki sposób przeszły lata 1838 i 1839, stanowiące może najważniejszą epokę jego życia, tak pod względem zbiegu okoliczności, jako i nadzwyczajnej pracy. Następnie dla okazania sposobu wykładu swoich lekcyj w szkole technicznej, napisał rozprawę: „O składzie dmiechów i zasady obrachunków przy ich zakładaniu”, którą w programmacie tegoż instytutu na rok 18³⁹/₄₀ umieścił. W r. 1842 zawakowała posada matematyki elementarnej przy uniwersytecie, przez przeniesienie profesora Hube-

go na stan spoczynku, nie omieszkął i o tę ubiegać się posadę; a po odbyciu konkursu, rektor uniwersytetu zawiadomił go, iż uznany został za zdolnego do wykładania przedmiotu powyżej rzezonego; wszelako katedra ta oddaną została p. Janowi Kantemu Steczkowskiemu, b. adjunktowi przy obserwatorium astronomiczném w Krakowie. Następnie przez przeniesienie się na stan spoczynku ś. p. Ludwika Kosickiego, dyrektora szkoły technicznej, rząd wynagradzając tyle razy zawiedzione nadzieje Józefa Podolskiego, w r. 1845 powołał go na dyrektora tejże szkoły. Wszelako zbyt czarna praca nadwerżyła jego zdrowie, i a poratowania którego udał się w r. 1850, dnia 15 lipca do Szczawnicy, zostawiając kierunek szkoły p. Michałowi Łuszczkiewiczowi. Odgłos rozlegający się po całej Europie o pogorzeli miasta Krakowa łobiegił i do osłabionego na siłach Józefa Podolskiego, pomimo, że szanowny Szalaj właściciel i przedsiębiorca kąpiel Szczawnickich, silną naprzeciw temu postawił zaporę. Wiadomość, iż szkoła techniczna w r. 1841 wraz z bursą Jeruzalem spalona, uległa powtórniemu wznieszeniu, w taki go stan choroby wprawiała, iż dnia 30 tegoż miesiąca roku, pomimo wszelkich ratunków, na ręku Dra Zieleniewskiego, tamże bawiącego skonał, gdzie też pochowany spoczywa. Cześć popiołom jego!...

Oto są krótkie dzieje tego nowego w Krakowie zakładu.

Jan Kr. Pietraszek

b. uczeń tegoż instytutu.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

151. Paweł i Wirginia (.) Obraz przyrody przez Bernardin de St. Pierre. Z francuzkiego na język ojczysty przełożył Hipolit Witowski. Przekład ozdobiony 10 stało-rytami. 8ka. Lwów. 1851. Nakładem H. W. Kallenbacha, druk J. P. Sollingera wdowy w Wiedniu. Str. 112. Rsr. 1 kop. 50.

1852.

159. Ostatnie rady i przestrogi dla moich uczennic przez Agnieszkę z Wilczewskich B.... Ochnistrzynią pensyi wyższej w Włocławku. 8ka. Włocławek. 1852. W drukarni Teodora Buchholtz. Str. 199.

160. Taryffa domów miasta Warszawy i Pragi z planem ogólnym i 128 szczegółowych planików ulic i domów, ułożona przez inżyniera miasta, Warszawy H. Świątkowskiego. 8ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk J. Glücksberga. Poglądu na postać m. Warszawy str. 36, taryffy domów str. 71. i spisu alfabet. ulic str. 11. Rsr. 2 k. 25.

1853.

73. Ciekawe zjawiska przyrody przez de Marles. (*Po polsku i po francuzku*). Z rycinami (jest ich 4. lit. J. V. Flecka). 12ka. Warszawa. 1853. Nakład S. H. Merzbacha, druk Strąbskiego. Kart. 2 i str. 171. Rsr. 1.

74. Krótkie odpowiedzi na pospolite przeciw religii zarzuty. Ułożył X. Ségur, kapelan wojskowego więzienia w Paryżu; a z 25 wydania przetłomaczył X. S. S(narski). D(ominikan). 16ka. Wilno. 1853. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 200. Kop. 35.

75. Nowy lekarz czyli sposoby leczenia koni, bydła, owiec i innych domowych zwierząt, tudzież karmienia i rozmnażania onych (.) Tłumaczenie uwieńczonego dzieła przez towarzystwo ekonomiczne w Marchii Jana Mikołaja Rohlwes, królestwa pruskiego lekarza zwierząt, członka pomienionego towarzystwa w Potzdamie. Edycya siódma... Z dwiema rycinami. 12ka. Warszawa. 1853. Nakład S. H. Merzbacha, druk pod firmą J. Kaczanowskiego. Str. VIII i 315. Rejestru kart 6. Rsr. 1 kop. 20.

76. Powszechne ziemioznawstwo czyli opisanie budowy i składu ziemi, jej stosunku do wszech świata, tudzież najważniejszych i najciekawszych na nią zjawisk. Dzieło pożyteczne do czytania i nauki dla wszystkich świat zmysłowy poznać chcących. Dra Fr. W. Hoffmanna profesora geografii i matematyki w kollegium w Loewen, członka wielu naukowych towarzystw. Przełożył z niemieckiego P. E. Leśniewski. Z 4 chromolitograficznymi rycinami i wielu drzeworytami. 8ka. Warszawa. 1853. Nakład Bernstejna, druk J. Jaworskiego. Kart napis. 2 i str. 441. Rejestru karta 1. Rsr. 3.

77. Rozbiór artykułu 149 Kodexu Handlowego czyli Odpowiedź na zamieszczone w tomie 5tym Temidy Polskiej pytanie prawne: Co znaczy wyraz Opposition użyty w Art. 149 K. H. czy wymówka czy też Areszt? Tudzież rozbiór artykułu 447 K. P. S. przez A. Ch. Jakobsztam. Wydanie drugie, poprawione, nowemi spostrzeżeniami pomnożone i poprzedzone dosłownym wyciągiem Artykułu z Temidy Polskiej. 8ka. Warszawa. 1853. Nakład autora, druk Adolfa Krethlow. Str. 54.

Do N. 157 *Kroniki z r. 1852.*

78. Wspomnienie z podróży do Syberji, pobytu w Berezowie i Saratowie; napisane przez Ewę Felińską. Tom III. 8ka. Wilno. 1853. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 304. Rsr. 1 k. 50.

79. Wybór najciekawszych podróży i odkryć... Oddział V. Podróże po Persji, Armenji, Mezopotanji, Chaldei, Kurdystanie, Arabji etc. przez Henryka Garnier. Przekład z francuzkiego, Wojciecha Szymanowskiego. Z 4 rycinami na stali. 12ka. Wilno. 1853. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 238 i rejestru karta 1. Rsr. 1 kop. 20.

80. Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiej w Polsce od czasów najdawniejszych, aż do najnowszych. Przez Ludwika Gąsiorowskiego, Dra Med. i Chir. Członka Towarzystwa Lekarskiego warszawskiego i naukowego krakowsk. z Uniw. Jagiell. połączonego. (Zgodłem);

Służmy poczciwój sławie, a jako kto może,

Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże.

J. Kochanowski.

Tom II. 8ka. Poznań. 1853. Nakładem Jana Konst. Żupańskiego, druk N. Kamińskiego i Spółki. Napisów i przedmowy str. liczb. VIII i 475. Spisu rzeczy str. liczb. VIII.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Gazeta Warszawska drukuje powieść J. Kraszewskiego *Djabel* (z czasów Stanisława Augusta), a Dziennik Warszawski powieść hr. Rzewuskiego, *Zaporożec*.

— P. Alexander Połujański przygotował do druku rękopis obszernej, złożony z 4ch tomów, p. n. „Opisanie lasów królestwa polskiego i gubernij zachodnich cesarstwa rosyjskiego, pod względem historycznym, statystycznym i gospodarczym.” W pierwszym tomie obejmie lasy królestwa, a mianowicie gubernii: warszawskiej, radomskiej, augustowskiej, plockiej i lubelskiej; w drugim opisane będą lasy gubernii: kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej; w trzecim lasy gubernii: kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej; a ostatni zawierać będzie opis lasów gubernii: mohilewskiej, witebskiej, smoleńskiej i pskowskiej.

— W Poznaniu już jest pod prasą Album *Kieliszińskiego*, znanego rytownika, który przed zgonem na lat kilka rzucił ołówek i rylec, a oddał się wyłącznie pracy ręcznej ogrodowej.

— Z powieści J. Korzeniowskiego *Spekulant*, napisał J. N. Kamiński komedią, która ma być wkrótce przedstawioną w teatrze lwowskim. Tenże napisał także oryginalną komedią p. n. „Despotyczna starościanka i jej imieniny, czyli cicha woda brzegi rwie”.

— W Pradze czeskiej wydawana biblioteka teatralna, obejmuje przekład komedii Alex. br. Fredra: *Damy i Huzary* (*Damy a husari*).

— Bazarza polskiego, wydawanego przez A. J. Glinńskiego w Wilnie, wyszedł tom IIgi. Na 256 stron, obejmują on 11 oddzielnych baśni i gawęd ludowych.

— Artysta teatru wileńskiego p. Emil Deryng, napisał dramat *Pojata*, ze znanego romansu Bernatowicza.

— Znany kompozytor *St. Moniuszko*, ma już na ukończeniu nową operę dla wileńskiej sceny: *Sen Wieszcza*.

— P. Ludwik Zejszner professor uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, zamierza rozprawy swoje naukowe, rozrzucone po różnych pismach peryodycznych, zebrać razem, zbogacić je nowemi, i w jednym dziele wydać. Będzie to piękny dar dla literatury naszój.

— Były professor literatur klasycznych w uniwersytecie Jagiellońskim, p. Antoni Małcki, przełożył traged. Sofoklesa „*Elektra*” wierszem miarowym, nierymowym, i opatrzył krok za krokiem uwagami, wyjaśniającemi tak trudności mitologiczne, jak mianowicie odrębności, właściwe dramatowi klasycznemu.

— Nakładem i drukiem księgarni pod firmą Józefa Zawadzkiego w Wilnie wyjdzie wkrótce w polskim przekładzie słynna ze swój popularności w Niemczech i łatwości w praktycznym zastosowaniu „*Szkola Chemii*” z 290 drzeworytami w teście, przez profesora Stöckharda.

— W r. 1849 Józef Kremer wydał Tom Iszy dzieła p. n. „*Wykład systematyczny filozofii*”, obejmujący wszystkie jej części w zarysie. W roku 1852 nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego w Wilnie wyszedł tom 2gi tego dzieła, obejmujący: „*Rzecz o naturze i o duchu ludzkim*”. Tom ten zamyka całość dzieła.

— Księgarz Henryk Natanson ogłosił przedpłatę na: „*Mechanikę teoretyczną i stosowaną dla użytku inżynierów i mechaników*, napisaną przez Juliusza Weisbacha, a przełożoną z drugiego wydania niem. przez Stanisława Bakkę.” Całe dzieło składać się będzie z dwóch części: teoretycznej i stosowanej. Część teoretyczna wyjdzie w 6—7 zeszytach po 6 ark. druku, z wielą drzeworytami w teście. Przedpłata na jeden tom wynosi rs. 3 kop. 60.

— Rocznik *Gospodarstwa Krajowego* T. XXIII, nr. 1 (lipiec), stanowiący początek r. b. wyszedł z druku i zawiera: 1) O stosunkach i przyniatach dóbr pod względem ich wielkości; 2) O skutkach reformy handlowej w Anglii, dla naszego handlu bardzo ważnych; przez A. hr. Z.; 3) O gospodarstwie w okolicach Dynaburga; przez K. hr. P.; 4) Doświadczenia, jakie zrobił Dr. Willems wszczepianiem choroby gnicia płuc u bydła; 5) Opis akademii rolniczej w Regenwalde, przez A. H. Rozmaitości i korespondencye.

Czerwiec 1853.

Miejsce dotychczas wyliczone jest 307.0 albowin parzych nad poziom morza czyli w roku 1841.23.5 na wierzchu

TERMOMETR statopniowy				BAROMETR w milimetrach słupkowych do 0°				Dzielnik Wielkości
10	4	0	10	10	4	0	10	
14.8	14.1	13.4	12.7	747.30	747.30	747.30	747.30	
14.7	14.0	13.3	12.6	747.24	747.24	747.24	747.24	
14.6	13.9	13.2	12.5	747.18	747.18	747.18	747.18	
14.5	13.8	13.1	12.4	747.12	747.12	747.12	747.12	
14.4	13.7	13.0	12.3	747.06	747.06	747.06	747.06	
14.3	13.6	12.9	12.2	747.00	747.00	747.00	747.00	
14.2	13.5	12.8	12.1	746.94	746.94	746.94	746.94	
14.1	13.4	12.7	12.0	746.88	746.88	746.88	746.88	
14.0	13.3	12.6	11.9	746.82	746.82	746.82	746.82	
13.9	13.2	12.5	11.8	746.76	746.76	746.76	746.76	
13.8	13.1	12.4	11.7	746.70	746.70	746.70	746.70	
13.7	13.0	12.3	11.6	746.64	746.64	746.64	746.64	
13.6	12.9	12.2	11.5	746.58	746.58	746.58	746.58	
13.5	12.8	12.1	11.4	746.52	746.52	746.52	746.52	
13.4	12.7	12.0	11.3	746.46	746.46	746.46	746.46	
13.3	12.6	11.9	11.2	746.40	746.40	746.40	746.40	
13.2	12.5	11.8	11.1	746.34	746.34	746.34	746.34	
13.1	12.4	11.7	11.0	746.28	746.28	746.28	746.28	
13.0	12.3	11.6	10.9	746.22	746.22	746.22	746.22	
12.9	12.2	11.5	10.8	746.16	746.16	746.16	746.16	
12.8	12.1	11.4	10.7	746.10	746.10	746.10	746.10	
12.7	12.0	11.3	10.6	746.04	746.04	746.04	746.04	
12.6	11.9	11.2	10.5	745.98	745.98	745.98	745.98	
12.5	11.8	11.1	10.4	745.92	745.92	745.92	745.92	
12.4	11.7	11.0	10.3	745.86	745.86	745.86	745.86	
12.3	11.6	10.9	10.2	745.80	745.80	745.80	745.80	
12.2	11.5	10.8	10.1	745.74	745.74	745.74	745.74	
12.1	11.4	10.7	10.0	745.68	745.68	745.68	745.68	
12.0	11.3	10.6	9.9	745.62	745.62	745.62	745.62	
11.9	11.2	10.5	9.8	745.56	745.56	745.56	745.56	
11.8	11.1	10.4	9.7	745.50	745.50	745.50	745.50	
11.7	11.0	10.3	9.6	745.44	745.44	745.44	745.44	
11.6	10.9	10.2	9.5	745.38	745.38	745.38	745.38	
11.5	10.8	10.1	9.4	745.32	745.32	745.32	745.32	
11.4	10.7	10.0	9.3	745.26	745.26	745.26	745.26	
11.3	10.6	9.9	9.2	745.20	745.20	745.20	745.20	
11.2	10.5	9.8	9.1	745.14	745.14	745.14	745.14	
11.1	10.4	9.7	9.0	745.08	745.08	745.08	745.08	
11.0	10.3	9.6	8.9	745.02	745.02	745.02	745.02	
10.9	10.2	9.5	8.8	744.96	744.96	744.96	744.96	
10.8	10.1	9.4	8.7	744.90	744.90	744.90	744.90	
10.7	10.0	9.3	8.6	744.84	744.84	744.84	744.84	
10.6	9.9	9.2	8.5	744.78	744.78	744.78	744.78	
10.5	9.8	9.1	8.4	744.72	744.72	744.72	744.72	
10.4	9.7	9.0	8.3	744.66	744.66	744.66	744.66	
10.3	9.6	8.9	8.2	744.60	744.60	744.60	744.60	
10.2	9.5	8.8	8.1	744.54	744.54	744.54	744.54	
10.1	9.4	8.7	8.0	744.48	744.48	744.48	744.48	
10.0	9.3	8.6	7.9	744.42	744.42	744.42	744.42	
9.9	9.2	8.5	7.8	744.36	744.36	744.36	744.36	
9.8	9.1	8.4	7.7	744.30	744.30	744.30	744.30	
9.7	9.0	8.3	7.6	744.24	744.24	744.24	744.24	
9.6	8.9	8.2	7.5	744.18	744.18	744.18	744.18	
9.5	8.8	8.1	7.4	744.12	744.12	744.12	744.12	
9.4	8.7	8.0	7.3	744.06	744.06	744.06	744.06	
9.3	8.6	7.9	7.2	744.00	744.00	744.00	744.00	
9.2	8.5	7.8	7.1	743.94	743.94	743.94	743.94	
9.1	8.4	7.7	7.0	743.88	743.88	743.88	743.88	
9.0	8.3	7.6	6.9	743.82	743.82	743.82	743.82	
8.9	8.2	7.5	6.8	743.76	743.76	743.76	743.76	
8.8	8.1	7.4	6.7	743.70	743.70	743.70	743.70	
8.7	8.0	7.3	6.6	743.64	743.64	743.64	743.64	
8.6	7.9	7.2	6.5	743.58	743.58	743.58	743.58	
8.5	7.8	7.1	6.4	743.52	743.52	743.52	743.52	
8.4	7.7	7.0	6.3	743.46	743.46	743.46	743.46	
8.3	7.6	6.9	6.2	743.40	743.40	743.40	743.40	
8.2	7.5	6.8	6.1	743.34	743.34	743.34	743.34	
8.1	7.4	6.7	6.0	743.28	743.28	743.28	743.28	
8.0	7.3	6.6	5.9	743.22	743.22	743.22	743.22	
7.9	7.2	6.5	5.8	743.16	743.16	743.16	743.16	
7.8	7.1	6.4	5.7	743.10	743.10	743.10	743.10	
7.7	7.0	6.3	5.6	743.04	743.04	743.04	743.04	
7.6	6.9	6.2	5.5	742.98	742.98	742.98	742.98	
7.5	6.8	6.1	5.4	742.92	742.92	742.92	742.92	
7.4	6.7	6.0	5.3	742.86	742.86	742.86	742.86	
7.3	6.6	5.9	5.2	742.80	742.80	742.80	742.80	
7.2	6.5	5.8	5.1	742.74	742.74	742.74	742.74	
7.1	6.4	5.7	5.0	742.68	742.68	742.68	742.68	
7.0	6.3	5.6	4.9	742.62	742.62	742.62	742.62	
6.9	6.2	5.5	4.8	742.56	742.56	742.56	742.56	
6.8	6.1	5.4	4.7	742.50	742.50	742.50	742.50	
6.7	6.0	5.3	4.6	742.44	742.44	742.44	742.44	
6.6	5.9	5.2	4.5	742.38	742.38	742.38	742.38	
6.5	5.8	5.1	4.4	742.32	742.32	742.32	742.32	
6.4	5.7	5.0	4.3	742.26	742.26	742.26	742.26	
6.3	5.6	4.9	4.2	742.20	742.20	742.20	742.20	
6.2	5.5	4.8	4.1	742.14	742.14	742.14	742.14	
6.1	5.4	4.7	4.0	742.08	742.08	742.08	742.08	
6.0	5.3	4.6	3.9	742.02	742.02	742.02	742.02	
5.9	5.2	4.5	3.8	741.96	741.96	741.96	741.96	
5.8	5.1	4.4	3.7	741.90	741.90	741.90	741.90	
5.7	5.0	4.3	3.6	741.84	741.84	741.84	741.84	
5.6	4.9	4.2	3.5	741.78	741.78	741.78	741.78	
5.5	4.8	4.1	3.4	741.72	741.72	741.72	741.72	
5.4	4.7	4.0	3.3	741.66	741.66	741.66	741.66	
5.3	4.6	3.9	3.2	741.60	741.60	741.60	741.60	
5.2	4.5	3.8	3.1	741.54	741.54	741.54	741.54	
5.1	4.4	3.7	3.0	741.48	741.48	741.48	741.48	
5.0	4.3	3.6	2.9	741.42	741.42	741.42	741.42	
4.9	4.2	3.5	2.8	741.36	741.36	741.36	741.36	
4.8	4.1	3.4	2.7	741.30	741.30	741.30	741.30	
4.7	4.0	3.3	2.6	741.24	741.24	741.24	741.24	
4.6	3.9	3.2	2.5	741.18	741.18	741.18	741.18	
4.5	3.8	3.1	2.4	741.12	741.12	741.12	741.12	
4.4	3.7	3.0	2.3	741.06	741.06	741.06	741.06	
4.3	3.6	2.9	2.2	741.00	741.00	741.00	741.00	
4.2	3.5	2.8	2.1	740.94	740.94	740.94	740.94	
4.1	3.4	2.7	2.0	740.88	740.88	740.88	740.88	
4.0	3.3	2.6	1.9	740.82	740.82	740.82	740.82	
3.9	3.2	2.5	1.8	740.76	740.76	740.76	740.76	
3.8	3.1	2.4	1.7	740.70	740.70	740.70	740.70	
3.7	3.0	2.3	1.6	740.64	740.64	740.64	740.64	
3.6	2.9	2.2	1.5	740.58	740.58	740.58	740.58	
3.5	2.8	2.1	1.4	740.52	740.52	740.52	740.52	
3.4	2.7	2.0	1.3	740.46	740.46	740.46	740.46	
3.3	2.6	1.9	1.2	740.40	740.40	740.40	740.40	
3.2	2.5	1.8	1.1	740.34	740.34	740.34	740.34	
3.1	2.4	1.7	1.0	740.28	740.28	740.28	740.28	
3.0	2.3	1.6	0.9	740.22	740.22	740.22	740.22	
2.9	2.2	1.5	0.8	740.16	740.16	740.16	740.16	
2.8	2.1	1.4	0.7	740.10	740.10	740.10	740.10	
2.7	2.0	1.3	0.6	740.04	740.04	740.04	740.04	
2.6	1.9	1.2	0.5	739.98	739.98	739.98	739.98	
2.5	1.8	1.1	0.4	739.92	739.92	739.92	739.92	
2.4	1.7	1.0	0.3	739.86	739.86	739.86	739.86	
2.3	1.6	0.9	0.2	739.80	739.80	739.80	739.80	
2.2	1.5	0.8	0.1	739.74	739.74	739.74	739.74	
2.1	1.4	0.7	0.0	739.68	739.68	739.68	739.68	
2.0	1.3	0.6	-0.1	739.62	739.62	739.62	739.62	
1.9	1.2	0.5	-0.2	739.56	739.56	739.56	739.56	
1.8	1.1	0.4	-0.3	739.50	739.50	739.50	739.50	
1.7	1.0	0.3	-0.4	739.44	739.44	739.44	739.44	
1.6	0.9	0.2	-0.5	739.38	739.38	739.38	739.38	
1.5	0.8	0.1	-0.6	739.32	739.32	739.32	739.32	
1.4	0.7	0.0	-0.7	739.26	739.26	739.26	739.26	
1.3	0.6	-0.1	-0.8	739.20	739.20	739.20	739.20	
1.2	0.5	-0.2	-0.9	739.14	739.14	739.14	739.14	
1.1	0.4	-0.3	-1.0	739.08	739.08	739.08	739.08	
1.0	0.3	-0.4	-1.1	739.02	739.02	739.02	739.02	
0.9	0.2	-0.5	-1.2	738.96	738.96	738.96	738.96	
0.8	0.1	-0.6	-1.3	738.90	738.90	738.90	738.90	
0.7	0.0	-0.7	-1.4	738.84	738.84	738.84	738.84	
0.6	-0.1	-0.8	-1.5	738.78	738.78	738.78	738.78	
0.5	-0.2	-0.9	-1.6	738.72	738.72	738.72	738.72	
0.4	-0.3	-1.0	-1.7	738.66	738.66	738.66	738.66	
0.3	-0.4	-1.1	-1.8	738.60	738.60	738.60	738.60	
0.2	-0.5	-1.2	-1.9	738.54	738.54	738.54	7	

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.461	27	6.903
Najwyżej dochodził — d. 9 o g. 6 r.	756.50	27	11.354
Najniżej — — d. 26 o g. 4 w.	737.84	27	3.072
Średnia zmiana dzienna barometru	2.018		0.894
Największa zmiana dzienna barometru d. 9—10 o g. 6 r.	5.93		2.629
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 27 lat poprze- dzających	2.093		0.928
Średnia temperatura czerwca wynosi: +	18 ^o .57 C.	27	+ 14 ^o .86 R.
i ta jest wyższą o	0.97	„	0.78 „
od stanu normalnego z 27 lat poprze- dzających	17.60	„	14.08 „
Największe ciepło dochodziło d. 29 o godz. 4 wiecz.	29.2	„	23.36 „
Najniższa temperatura była d. 11 o g. 10 w.	9.1	„	7.28 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2 638	„	1.800 „
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 19—20 o g. 4 w.	9.8	„	7.84 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: +23^o.8 R. d. 21 po połud.

Minimum: + 5^o.5 „ d. 9 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 163,6 milim. czyli 72,52 lin. par.; ilość ta wody jest o 45,35 lin. par., większa od normalnej.

Dotąd ani razu w czerwcu nie spadło tak wielkiej ilości wody atmosferycznej.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 70,9 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11,22 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0,01 większą od normalnej.

Dni pogodnych było 9, napót pogodnych 9, pochmurnych 12.

— deszczu 17 (d. 1, 11, 12, 13, 14, 16, 18, 19, 20, 21, 22, 24, 25, 26, 27, 28, 29).

— gradu 2 (d. 1, 19).

— mgły 1 (d. 13).

— grzmotów 10 (d. 1, 14, 16, 18, 19, 20, 21, 22, 25, 29).

— błyskawic bez grzmotów 9 (d. 14, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 25; 29).

Wichrów było 3 (1 Z., 1 PdZ., 1 Pd).

Wiatrów mocnych 3 (1 Z., 1 PdZ., 1 Pn.).

Wiatr panujący: północno-wschodni, częste były południowe i południo-wo-wschodnie.

Czerwiec r. b. z początku to jest w pierwszych dziesięciu dniach był suchy, pogodny i ciepły; przeciwnie w dwudziestu ostatnich wilgotny, niepogodny i nadzwyczaj słotny. Najcieplejsze dni były d. 4, 5, 6, 7, 17, 18, 20, 21, 22, 29, 30; najchłodniejsze d. 11, 12, 26, 27. Pod względem stanu nieba miesiąc ten znacznie się różnił od lat innych; począwszy bowiem od d. 10 aż do końca, deszcze ulewne przy grzmotach i błyskawicach prawie co dzień padały. Dnia 19 między godziną 1 a 2 z południa wśród grzmotów i deszczu spadł grad wielkości łaskowego orzecha; deszcz zaś był tak ulewny iż w przeciągu nie całej godziny, wody spadło wysoko na 10,46 lin. par., to jest więcej niż kiedykolwiek w tak krótkim czasie. Zastępuje i to na uwagę iż u nas podczas lata chmury deszczowe zwykle przychodzą od zachodu, w tym roku przeciwnie w czerwcu chmury deszczowe i gromowe od wschodu lub od południa nadciągały. Ilość wody z deszczu wynosi co do wysokości 6 cali 0,52 lin. par. t. j. przeszło dwa razy więcej niż zwykle.

D. 9, 16, 17, 21, pokazywały się plamy na słońcu.

BISZEN I MENISZE.

USTĘP Z FIRDUSEGO: SZACH-NAMEH,

PRZEŁOŻONY PRZEZ

Lucyana Siemierishiego.

Historyczne znaczenie i poetycka ważność perskiej epopei: Szach-Nameh.

Rzecz godna zastanowienia, iż od niejakiego czasu wzięto się u nas naprawdę do przenoszenia na język ojczysty najwyborniejszych utworów starożytnych i średniowiekowych; a wzięto się z większym nierównie talentem, znajomością i ocenieniem rzeczy, niż dawniej. *Biblioteka Warszawska*, ten jedyny dziś organ głębszej umysłowej czynności w kraju, umieściła kilka przekładów, które duchem i formą mniej więcej zbliżając się do wzorów, dają, że tak powiem, nową karmę, silniejszą podniecie i dobry kierunek siłom tworzącym krajowych pisarzy i artystów. Rzecz pewna, że umysł ludzki nie może się obejść bez takich potrąceń; co więcej, dźwiga się przez nie z nizkiej atmosfery w którą go wciąga zbytne hołdowanie miejscowym potrzebom i wyobrażeniom, pragnącym niby odzwierciadlać się w utworze. Gdy jednakże szczyt sztuki powinien być czemś więcej, niż prostym wyrazem pojęć i potrzeb ogółu w przecięciu; przeto wszelkie spowinowacenie się z arcywzorami, których wpływ rozciągał się na całe wieki, i które są niejako kodexem praw piękna, bo zawsze wieje z nich świeża młodość: uważać można za istotne zbogacenie literatury krajowej, choćby tylko z tej strony, że ją z wielkimi łącząc tradycjami, broni od zmalenia i przeżuwa-

jącej się martwoty. Nikt tu zapewne nie pomówi mi o chęć pędzenia literatury naszej na drogę ślepego naśladownictwa; albowiem z bogacenie się w sposoby i tajemnice kompozycyi, ożywienie wyobraźni, przez skąpanie jej w czystych źródłach płynących z szczęśliwszych wieków natchnienia, są właśnie owemi żywiołami, które tak samo działają na siłę produkcyjną, jak działać zwykła na zbiór obfitszy odmiana ziarna. Jeżeli znajomość obcych utworów budzi w piszącym chęć zrównania się z najlepszymi; to z drugiej strony uczy nas, ileto jeszcze potrzeba, abyśmy w powszechniej dziedzinie literatury narodów, zaszczytniejsze miejsce zająć mogli. Zarzuciłby kto pozornie, iż większa część literatów naszych obeznana jest z arcywzorami tak w oryginałach, jak przekładach na francuzki lub niemiecki język, a zatem, że dla nich przekład ojczysty na niewiele się przyda; lecz zarzut taki łatwo daje się obalić tém doświadczeniem, iż dobrze przelany utwor obcy staje się własnością narodu, kiedy myśli, zwroty, formy należące do innych wieków, ludów, nieba, wiecła w te brzmienia, które od kolébki slyszymy. Zresztą nie sama tylko uczona i pisząca klasa zyskuje na tém, ale każdy, ktoby rad umysł swój oświecić i podnieść do wyższej potęgi. Dlatego, jak już natrąciłem, kilka probek różnych przekładów zamieszczonych w *Bibliotece*, naprowadzają mię na wniosek, że zaczynamy naprawdę wiązać się tradycyi, snującą się z nieśmiertelnych wieków Hellady; że zdolne pióra poświęcają się umiejętnym rozbiorom utworów stanowiących epoki, jakby chciały dotykalnie przekonać, jakich potrzeba warunków, jakiej potęgi gieniuszu, jakiej dzielności tworzenia, żeby się pomieścić w rzędzie tych gwiazd, które nigdy zachodzić nie zwykły.

Ta potrzeba wewnętrzna odświeżenia źródeł kreacyi przez zetknięcie się z utworami oryginalnymi literatur, mniej dotąd dla nas przystępnych, a mianowicie wschodnich, które już to dla nieznajomości tych języków, a zresztą i dla fałszywych pojęć o poezyi Wschodu, pomawianej o przesadę i wybujałość nieprzypadającą nam do smaku: skłoniła mię, acz niebiegłego w orientalnych językach, że korzystając z dobrych tłumaczeń na nowożytny język, wziąłem się do przekładu jednego z najpiękniejszych ustępów ogromnego poematu Firdusego: *Szach-Nameh*. Uczyniłem to głównie z dwóch względów; raz, aby przekonać, iż owa przesada i wybujałość stylu, obok częstego ubóstwa i płaskości pomysłu, jest własnością nie całej poezyi

Wschodu, ale pewnych epok upadku; podrugie, że cały poemat *Szach - Nameh*, a mianowicie ustęp przełożony przezemnie *Biszen* i *Menisze*, przedstawia wzór bohaterskiej epopei, daleko może odpowiedniejszej naszym dzisiejszym pojęciom, malującej uczucia i postaci ludzkie więcej może do naszych zbliżone, niż w pięknych nieśmiertelnie, ale i nieśmiertelnie zimnych i posągowych epopejach Grecyi. Zabrawszy się do téj pracy, która mi uprzyjemniła kilka chwil życia, za każdym bowiem wierszem, wydanym w ojczyństwem mowie, czułem jakby rosę ożywczej poezyi spadającą mi w duszę: nie mogłem się wydziwić, dlaczego jedyny z naszych poetów umiejący po persku, bawiąc się w naśladowania różnych kassyd i gazelli, nie został uderzony bogactwem i doskonałością prawdziwie klasyczną epopei Firdusego, i nie zabrał się do jéj przekładu? Ta uwaga przyspieszyła moje przedsięwzięcie. Nim się doczekamy poety, któryby umiał po persku i z oryginału tłumaczyć; spróbuję, pomyślałem, tłumaczyć z wiernych przekładów dokonanych przez biegłych orientalistów. Tém sumienniej mogę to zrobić, że Firdusi nie bawi się ani w słów igraszki, ani za wyszukaną formą i sztucznie rymy goni, ani kocha się w zuchwałych i mglistych przenośniach, ale śpiewa poprostu jak Bialbiul, a opowiada naiwnie jak stara kronika, a rozumuje jak mędrzec poświęcony. Przymiennie skąpy w słowa a w rzecz bogaty, ogłasza zdania, maluje uczucia, wyprowadza postacie powleczone pewnym kolorytem Wschodu, należące do swego kraju; ale zresztą jak zdania, tak uczucia, tak osoby, ujęte głęboko, oddane z prawdą, przechodzą, że tak powiem, na własność każdego wieku i narodu. Jestto przywilej wielkich gieniuszów i epok kreacyjnych, że nie są wyłączną własnością żadnego kraju i żadnego wieku: utwory Greków i Rzymian dowiodły tego dawno. Epopeję Firdusego mieszczę w téj saméj kategorii nie tylko pod względem poezyi i artyzmu, ale pod względem historycznego powinowactwa; ona nam bowiem wyjaśnia rycerskiego ducha średnich wieków, jaki przez wpływ Arabów rozszedł się po Europie.

Powiedziawszy co się tyczyło mego przekładu długiego ustępu o *Biszenie i Meniszy*, który tworzy niejako osobny, zupełny poemat; winienem choć w krótkości opowiedzieć całą treść *Szachnameh*, pilnując w ciągu różnych wyjaśnień, niezbędnych do zrozumienia pewnych miejsc niniejszego przekładu.

Islamizm rozpościerający się w pierwszej połowie VIIgo stulecia po Azji zachodniej, zburzył żywot dziejowy Persyi starożytniej. Niedarmo wschodnia powieść twierdzi, iż w noc urodzenia się Mahometa, od tysiąca lat płonący święty płomień Persów zagasł, i wspaniały pałac Sasanidów w Madain (*Ktesifon*) przez trzęsienie ziemi runął w gruzy. Później znów, gdy Mahomet postąpił rozkaz Chozrowi Parwis, aby go za proroka uznał, a tenże odrzucił wezwanie i rozdarł pismo; natenczas prorok miał wieszcze wyrzec słowa: „podobnie Allah rozedrze państwo Chozra i uszy zatknie na jego wołanie!” Przepowiednia ta spełniła się niebawem. Burza zerwawszy się z pustyni Arabii, w niewiele lat wysypała się na państwo Iranu. Pod Omarem wyznawcy proroka przeszli Tygrys, pobili Jesdeczerda ostatniego Sasanidę, a rozorawszy stolicę królów w Ktesifonie, Persyą zamienili w prowincyą rozległego mocarstwa kalifów. Pierwsze lata kalifatu w ziemiach między Eufratem a Oxem, wydały niszczącą wojnę miejscowym obrzędom i religiom; prześladowanie dosięgło czcicieli ognia, którzy przenieśli się w niedostępne góry wschodniej Persyi i północno-zachodnich wybrzeży Indyów, gdzie jeszcze i dziś żyją ich potomkowie w Guzeracie i Suracie. A zatem tylko w częściach Iranu stykających się bliżej z państwem kalifów usadowiła się silniej kultura arabska, rugując krajowy język, tak zwany *Pehlwi*; przeciwnie we wschodnich prowincyach utrzymał się duch staro-perski, żyła mowa ludu, skrycie krzewiło się życie, które z czasem wybuchło oddziaływaniem przeciw naciskowi Arabów. Gdy tedy po nagłym wybuchaniu potęgi kalifów nastąpiło równie nagle słabnięcie pod mdłemi następcami proroka; zaraz w zapadłych powiatach Persyi wystąpili niektórzy naczelnicy w zamiarze odzyskania niepodległości. Już za czasów Haruna Arreszyda ród Tahirydów posiadał królewską prawie władzę; a jeszcze wyżej poszedł pod koniec IXgo wieku Jakób syn Leisa, prostego pochodzenia, który ogłosiwszy się głową kraju, cały prawie Iran odzyskał, i niezawisłą od kalifatu dynastyą Soffarydów założył. Aczkolwiek naczelnicy tej nowej monarchii perskiej sprzyjali nauce Koranu jako religii panującej, zarazem też umieli korzystać z obudzonych uczuć staro-perskiej narodowości, tej silnej podpory ich tronu. Nic też dziwnego, że czciciele ognia jeźli nie otwartej opieki, to doznawali od nich największego pobbżania; równie i inne żywioły ducha staro-perskiego znalazły w nich szczerych opiekunów przez to samo, że

niweczając wpływ arabski, wzmacniały ich władzę. Najtroskliwioj też pielegnowali język krajowy, podniecając budzącą się gorliwość w odrzebywaniu starych tradycyji i dziejów. Temuto zbiegowi okoliczności winni Persowie przechowanie irańskich bohaterskich powieści i stworzenie tak bogatęj literatury. Dzieło to jednakże, wykonywane częściowo, spełnił Mahmud I z dynastyi Gasnewidów (997 — 1130). Potężny ten monarcha, który ogromem zdobyczy w Indyach prześcignął samego Alexandra W., umiał być i wyznawcą Koranu i zapalonym obrońcą narodowości perskiej. Język arabski dotąd urzędowy, pod nim musiał ustąpić językowi perskiemu. Liczny poczet poetów zgromadził na swoim dworze i polecił im zbierać stare pieśni i podania, do czego i sam czynnie się przykładał. Gdy tedy po długich poszukiwaniach zebrał obfity zapas dokumentów, odnoszących się do przeszłości Iranu; przemyślał, jakby znaleźć poetę, któryby podjął się przeobrazić i spoeetyzować te surowe materyały. Tym koncem ustanowił rodzaj współzawodnictwa między nadwornemi poetami; wszakże próby dostarczone przez różnych wierszopisów, nie odpowiedziały życzeniom sultana. Polecił tedy Ansaremu zajęcie się wyłącznie tém dziełem; lecz Ansary składając się brakiem natchnienia, wskazał swego przyjaciela Abul Kasim Mansura, znanego pod mianem Firdusi, to jest *rajski*, jako posiadającego potrzebne przymioty do wykonania tak wielkiego utworu.

Abul Kasim Mansur urodzony około roku 940 w bliskości miasta Tus w Chorasanie, pochodził z rodu *dihkanów* czyli posiadaczy ziemskich. Z młodości jego tyle wiadomo, że staranne odebrał wychowanie; umiał po arabsku, i znał język Pehlwi. Zajęty od najmłodszych lat zbieraniem poojezystych tradycyji, do 58 roku życia pracował w ustronném mieście Tus nad swoją księgą królów. Ustęp jeden z tego poematu, o Rustemie i Irfendiarze, wpadłszy w ręce sultana, utorował mu drogę do dworu, gdzie mu dotąd przystępu bronily intrygi innych poetów, pomimo poleceń ze strony Ansarego. Mahmud w uniesieniu nad tak pięknym utworem dał mu przydomek *firdusi*, i z nim też przeszedł do nieśmiertelności. Co więcj, chcąc genialnego człowieka przykuć do siebie, umieścił go w umyślnie dlań urządzoném skrzydle pałacu, gdzie pełno było portretów króli, bohaterów Iranu i Turanu, przytęm koni, słoni, dromedarów i tygrysów, zdobiących ten kącik poety. Hojny Mahmud rozkazał jeszcze swemu wezyrowi Hassanowi Majmendi, wypłacać Firdusemu za każde tysiąc dwu-

wierszy, 1000 sztuk złota; lecz Firdusi nie przyjął, powiadając, że dopiero po ukończeniu weźmie całą sumę i za nią wystawi służę na gruncie swoim w Tus. Tymczasem zazdrośni koledzy usiłowali odwrócić od niego względy pańskie, puszczać słuchy, że Firdusi należy do sekty Szrytów, nienawidzonej przez sultana. Zabiegi te nie były bez skutku; owszem, przyniosły tysiące zmartwień Firdusemu, który mając nieprzyjaciela w wezyrze, nieraz cierpiał niedostatek w pierwszych potrzebach życia. Mimo tego, po dwunastoletnim, często goryczą zaprawnym pobycie na dworze w Gasninie, ukończył w 71 roku swego życia, a 1011 po Chrystusie wielką swą epopoje, i zamknął ją temi słowy, tchnącemi tak zasłużoną dumą:

„Kiedy się księgę tę napisało,
 Jako świat duży rozbrzniełam chwałą;
 Bo kto ma dowcip, rozum i wiarę,
 Ten zgadnie mojej wartości miarę.
 A więc zasiawszy słowa nasienie
 Nie umrę—choćjaż ziemski byt zmienię!”

Napisawszy przez 35 lat około 60,000 dwuwierszy, mógł się spodziewać stosownej nagrody od sultana. Jakoż w pierwszym uniesieniu kazał mu sultan tyle sztuk złota wypłacić, ile będzie mógł słoń udźwignąć; jednakże chytra rada Hassana Majmendi przemogła nad hojnością monarszą. Właśnie Firdusi znajdował się w łaźni, kiedy mu w imieniu Mahmuda przyniesiono 60,000 sztuk srebrnej monety. Oburzony tęp uszczupleniem przyobiecanej nagrody, rozdzielił całą sumę między łaźnienników i szynkarza, u którego wypił szklankę *fukuu* (piwa), a sultanowi kazał powiedzieć, że dzieła swego nie pisał za pieniądze. Postępek ten tak obruszył Mahmuda, że w pierwszym wybuchu gniewu chciał go kazać rzucić słońiom pod nogi. Wprawdzie sultan uspokoił się i przebaczył mu; ale Firdusi tknięty do żywego, nie chciał już dłużej na dworze Gasninu pozostać. Przebrany za derwisza wymknął się potajemnie, zostawiwszy satyrę, w której w energicznych wyrazach wyrzuca sultanowi jego nieszlachetny postępek. Ścigany przez rozgniewanego pana, tułał się po sąsiednich krajach, mianowicie przebywał w Bagdadzie, gdzie złożył jeszcze piękny poemat: *Jussuf i Sulejcha*. Poźniej widać uzyskał przebaczenie, bo resztę dni w rodzinnym swoim Tus przepędził, i tam też skolatany przeciwnościami, żywot zakończył r. 1020 po Chr. W tej samej chwili, kiedy kondukt pogrzebowy wychodził z bram miasta, nadbiegli sultańscy posłańcy,

przynoszący poecie należną summę złota i w dodatku zaszczytny *Chylat*. Pozostała córka nie chciała zrazu przyjąć tych skarbów, lecz za poradą przyjęła i dogadzając życzeniu ojca, wyłożyła je na wybudowanie splawnego kanału i śluz, ku wygodzie mieszkańców miasta rodzinnego.

Szachnameh czyli księga królów Firdusego, opiewa dzieje irańskie i późniejszego państwa perskiego aż do zniszczenia go przez Arabów. Historyczna prawda mało jest szanowaną na Wschodzie: dlatego też starzy królowie Iranu, czyli Baktryańscy, są tam przedstawieni jako władzcy tych wszystkich ziem, jakie późniejszą monarchią perską składały; co więcej, poeta związał ich tak z ostatnimi Achemenidami, jakby w istocie byli ich poprzednikami na tronie perskim. Wszakże związek i ciąg jeden panujący w dynastyach i toku zdarzeń, nie może bystrego dostrzegacza tak dalece zbalamucić, aby odrazu nie postrzegł, że treść poematu składa się z rozmaitych i odrębnych części. Części te, z których powstało wielkie ciało Szachnamy, są naprzód: powieści o królach i bohaterach Iranu z mytyczno-symbolicznym wstępem; podrugie: podania z późniejszej perskiej historii od ostatnich następców Daryusza, Histaspa, aż do upadku Sasanidów.

Aczkolwiek te cykle podań, początkowo zupełnie nieprzystające do siebie, zlały się od niepamiętnych czasów w uściech ludu, nim je Firdusi jeszcze ściślej w poemacie swoim połączył; jednakowoż historyczny rozdział nie zatart się do tego stopnia, aby wyraźnie nie można oznaczyć gdzie się kończą bohaterskie powieści Iranu. Zupełnie też przypadają na ustęp poświęcony panowaniu Gusztaspa; a ze śmiercią Rustema przebrzmiewa właściwy ton epiczny, i zrywają się pasma wiążące w pewną jedność różnorodne zdarzenia tych zamierzchłych wieków. Zupełną tedy całość tworzą powieści o królach i bohaterach Iranu, w pierwszej połowie Szachnamy zawarte. Poprzedza je mytyczny wstęp; obrazy w nim przesuwające się tkwią w najstarożytniejszej religii ludu aryjskiego, i symboliką swoją trafnie przygotowują do wielkiej walki, opiewanej w poemacie. Już bowiem w powieściach o Kajumorze, Huszengu, Tahmurasie i Dżemszydzie widocznie występuje walka światła z ciemnością, a jeszcze wyraźniej pojawia się w powieści o Sohaku sprzymierzeńcu Achry-

mana, jak i w jego upadku dokonanym przez boskiego bohatera Feryduna.

W tej epopei irańskiej oddzielonej tak wyraźnie od drugiej połowy Szachnamy, podziwiać musimy jedno z największych dzieł, jakie gieniusz poetycki mógł stworzyć, a raczej najcudowniejszy plód wielu pokoleń, stopiony i przerobiony w mistrzowską całość, potęgą poetyckiego technienia Firdusego. Kto się zastanowi nad nieskończonym bogactwem treści, nad żywotnością tak ruchliwą jakby ją nawskróś przeniknął duch świata, nad różnorodną fizjonomią zdarzeń i losów, nad mnóstwem okropnych, głęboko tragicznych katastrof: ten pomimowolnie przyzna, iż niełatwo która epopeja wytrzyma porównanie z utworem Firdusego. Toż samo da się powiedzieć o olbrzymiości ducha, który pomyślał Szachnameh, i o potężnych rozmiarach w jakich wykonaną została. Podobna owym cudownym miastom zamierzchtëj przeszłości, co to choć rozsypane w gruzy, jeszcze ogromem swoim gaszą dzisiejsze rąk naszych zlepki, stoi, jak niepożyty pomnik jakiegoś bajecznego plemienia olbrzymów: rzekłbyś, drugi Czil-Minar z pilonami, perystylami, rzędami kolumn, dźwigającemi tak wysokie sklepienie, że dostajesz zawrotu głowy; zdobny w sfinxy, jednorożce, smoki uskrzydłone, byki, te symbole wiary zagubionego świata Tytanów. Wszakże do głębszej nierównie przeszłości niż Persepolis dopiero przez Achamenidów założone, należy pierwotny poetyczny materiał Szachnamy; bezwątpienia jestto pomnik z pierwiastków ludzkości: chyba ruiny hieroglifami okryte, mogą być z nim równoczesne. Ród ludzki świeży młodością, blizki swojej kolebki, stojący przy źródle potoku czasów, w obec wielkich, jeszcze niezwiertzałych sił i kształtów natury, mógł zdobyć się jedynie na taką wyobraźność, przechodzącą prawie w bezmiar; dlatego też wszystkie stosunki rozciągnięte są tam do nieskończoności, wielkość i siła bohaterów mają coś nadludzkiego, cały świat zamienia się na widownię ich czynów, a wieki rachują się na lata. Aczkolwiek Wschód wyposażył te rycerskie powieści swoimi cudami, aczkolwiek wycisnął na nich piętno szczytności; to z drugiej strony, szczęśliwem losów rządzeniem, plód ten zakwitnął na pochyłości wyżyn zachodniej Azji, staczających się ku Europie, gdzie właśnie przez senne mroki fantazyi orientalnej przeciskała się jutrzienka jasnej wiadomości. Tym sposobem przez trzeźwe pojmowanie życia, rozlukana wyobraźność dostała się w kluby, a nadzwyczajność

i excentryczność ułożyły się do skali rozumnych pojęć człowieka. Czyste niebo Iranu, promieniami swego słońca oświecającami tak wyraziście każdy przedmiot, przyzwyczaiło i mieszkańców téj ziemi do jasnego widzenia i ogarniania każdej rzeczy, a tém samém ochroniło i poetyckie twory od mglistości potwornéj i zamętu; więcéj nawet powiem, że nadało pewną plastyczną okrągłość i najwybujałym kształtom fantazyi.

Nie myślmy wszakże, aby ta część Szachnamy, o której mowa, miała być epopeją irańską w kształcie swoim pierwotnym; cały bowiem tok językowy, pełność myśli i obrazów jest dziełem Firdusego, który tchnieniem swego gieniuszu wiele ożywił i przerobił. Że zaś ta powieść bohatera w głównych swych rysach jest starożytną i prawdziwą, o tém ani wątpić. Historycznie ścisłych dowodów wprawdzie trudno wynaleźć, ale i sam Firdusi po wielekroć najuroczyściej zapewnia, że się trzymał najwierniej starożytnych podań, za co mu nawet przeciwnicy robili zarzut, iż mu brakło daru wynalezienia. Rzecz pewna, iż sama ta epopeja przekonywa, jako nie mogła wypłynąć z ducha i pojęć mahometaniskich; wszystkie bowiem jéj części przenika wiara Zoroastra w walkę dwóch przeciwnych sobie potęg świata. Co więcéj, odmalowane w niéj stosunki życia i urządzenia państwa, tego są rodzaju, iż w żadnym historycznie wyświeconym okresie dziejów Wschodu nie spotykają się; zważywszy tylko stanowisko możnych panów względem szacha, przypominające wazalów naszych wieków średnich, dumę i niepodległość lenników i t. p., a przekonamy się, że taki stan rzeczy wbrew sprzeciwia się sposobowi myślenia i despotycznemu charakterowi wszystkich w ogóle państw azyatyckich. Z wewnętrznego téż ducha piérwszój części Szachnamy i z jéj epicznej siły nabywa się wyraźnego przekonania, że wszystko ma w niéj grunt rzeczywisty, że główne jéj massy nie na mytycznej wzrosły podstawie, że to nie ulotne zmyślenie, ale że na prawdziwych zdarzeniach i żyjących kiedyś postaciach wyrosła. Zresztą poeta tak się wzył w starożytny świat podań, tak się przeniknął niemi, i nawzajem wlał w nie swojego ducha, że bardzo trudno rozpoznać co wziął z podania, a co swego użyczył. W szczytném natchnieniu umie panować nad przedmiotem, lub się z nim spajać; kiedyniekiedy lekkim skrzydłem anioła śmierci unosi się jego skarga na przemienność rzeczy ziemskich, a z osobą swoją tylko wtedy występuje, gdy mu przyjdzie odle-

głą przeszłość porównać z teraźniejszością. Zresztą umiał on tak opanować najróżnorodniejsze materiały, że w potoczności swój, w głęboko obmyślanej całości wydają się jakby dzieło długiego, wysoko nastrojonego natchnienia.

Dualizm religii Zoroastrowej, ta dusza irańskiej epopei, musiał koniecznie przeleć się w Szachnamę. Wszakże cała nauka wyznawców ognia w niektórych tylko główniejszych punktach, a nie tak szczegółowie jak w Zend-Aweście pojawia się w Szachnamie. Ormuzd, bóg najwyższy promieniący światłem, przyjął tam miano *Jasdan*, dane mu przez nowożytnych Persów; dla niego płoną święte ognie, jak *Mihir*, *Guszash* i *Bersin* czyli ogień słoneczny, gwiazdowy i piorunowy. Z otaczających go półbożych istot, jak Amszaspandes i Jezeds, niektóre tylko występują i to częstokroć w odmiennej postaci. Nieprzyjazną Ormuzdowi siłę, siłę złego działającą w cieńności, wyobraża Ahryman, otoczony *diwami*, z którymi otwarcie lub potajemnie występuje do walki z dobrą bóstwem Ormuzdem i z człowiekiem. Postać *diwów* okropna i potworna; czarny ich kolor, wzrost jak góry, głos jak grzmot; a kiedy ciągną ich tłumy, ćmi się powietrze. Wszakże aby ludzi kusić i opętać, biorą wdzięczniejsze postacie śpiewaków lub pięknych niewiast. Najgłówniejszą grają tam rolę: Diw-Sefid i jego pomocnicy: Sendze, Pulad, Aulad, Gandi i Erszeng. Do tego Zoroastrowego świata demonów miesza niekiedy Firdusi także *Iblisa*, złego ducha Islamu, równie jak stróża raju *Riswana* mieści w poczet niebiańskich duchów nauki Parsów. Alburs święta góra Parsów, siedlisko Ormuzda i duchów czystych, na której szczycie nie ma ani czarnej nocy, ani upałów, ani zgnilizny, ani bojaźni śmierci, gdzie Arhiman nie śmie się zbliżyć, z kąd wychodzi wielki monarcha, słońce, źródło pokoju i życia, jeszcze i w Szachnamie świeci całym mytycznym blaskiem. Tam przebywa *Simurg*, cudowny ptak, obdarzony człowieczą mową i boską mądrością; onto najwięcej opiekuje się bohaterami Iranu.

Widownią zdarzeń opiewanych w irańskiej powieści tak pojął poeta, jakoby odegrały się na owój niezmierniej przestrzeni, rozciągającej się od Parapomizu aż do zachodniego Kaukazu, od Sihunu czyli Jaxartu, aż do zatoki perskiej; w niektórych nawet klechdach o Sohaku i Kai Chozru, rozszerza jeszcze bardziej scenę ku zachodowi i wschodowi. Jednakże głównie w ustępach dotyczących się królewskiego rodu Kajanidów, widocznie Baktryja

występuje jako właściwe ognisko potęgi irańskiej. W okolicy Dzihunu (Oxu) dzielącego Iran od Turanu, staczają się główne bitwy między dwoma wiecznie zwaśnionemi narodami. Starożytny Balk, dziś jeszcze u mieszkańców Wschodu uważany za siedlisko najwcześniejszej kultury, wyraźnie bywa wzmiankowany jako stolica późniejszych Kajanidów. Także i Alburus zachował pierwotne swoje znaczenie; oznacza on bowiem wysoki, śnieżysty węzeł gór środkowej Azji, łączący zachodnią część Himalaj łańcuchem Belurtagu i Mustagu z górami Niebieskimi.

Jeżeli Firdusi jako wyznawca mahometańskiej wiary, i ze względu na sultana Mahmuda nieprzychylnego czcicielom ognia, nie mógł w całej obszerności zachować religijnych wyobrażeń, przebijających się w dawnych podaniach; tedy znowu co do zewnętrzne go życia starego Iranu, wiernie trzymał się źródeł. Widzimy tam stojącego nad wszystkiemi szacha czyli szehryara, dziedziczącego koronę prawem pierworodztwa; zaś z wygaśnięciem dynastji, obieranego przez możnych panów z pobocznych linii królewskiego rodu. Dwie takie powinowate dynastje występują w naszej eposce: Piszdadiów i Kajanidów. Jako godło najwyższej władzy noszą szachowie złotą, drogiemi kamieniami wysadzaną ozdobę głowy, składającą się z korony (Tadž), mitry (Kulah) i diademu (Dihim); przytém zdobi ich pierścień a raczej sygnet, pas, ramienniki, naszyjnik, kolce i miecz państwa, wszystko z szczerego złota. Tron jest z kości słoniowej wysadzanéj kamieniami. Do godeł koronnych liczy się maczuga z głowy тура i chorągiew Kawy: sęto znamiona wywalczonéj niepodległości; jako zaś symbol najwyższej godności spotykamy tam mistyczny *puhar Dżemszyda*, który podzielony na siedm części, objawia tajemnice siedmiu pasów ziemnych czyli *kiszwerów*, również *zwierciadło światów Kaj Chozra*, pokazujące wszystkie skrytości nieba i ziemi. Czerwone, złociste i niebieskie są narodowe barwy, a złote słońce jaśnieje jako herb państwa w chorągwi Kawy. Najbliższemi szacha są *Mobedowie* czyli kapłani, w ważnych wypadkach wzywani do rady, a przytém spełniający obowiązek astrologów, wieszczków i guślarzy. Stosunek podobny do średniowiekowego lennictwa łączy przedniejsze osoby narodu z panującym: onito otaczają tron jego z zaszczytném mianem *Pehlewanów*, czyli rycerzy i witeziów. Noszą pancierz miedziany, za oręż maczugę i arkan; przytém włócznię, tarczę, kindżał, miecz, łuk i strzały. Liczba Pehlewanów jest mnoga; znacniejsi

są: Rustem, Sal, Keszwał ojciec Gudersa; Szidus, Roham i Giw synowie ostatniego; Biszen syn Giwa; Milad ojciec Gurgina; Ferhad syn Berzyna; Guraze ojciec Giwgana i t. d. Jako przeciwnicy szachów Iranu, od czasu podziału państwa przez Feryduna, który kraje za Oxem nadał Turowi jednemu z swych synów, występują szachowie Turanu; największą rolę między nimi gra Afraziab syn Peszenga a prawnuk Tura. Główniejsze miejsca na dworze Afraziaba zajmuje wezyr, Piran mądry. Z turańskich rycerzy najznamienitsi: Gersiwes brat Afraziaba; Pilzen, Lehak, Nestihen, Karuchan, bracia Pirana; następnie: Kurem, Ekwas, Kalbed, Keru, Barman, Feruchel, Enderyman. Od najdawniejszych czasów panujące na Wschodzie wielożeństwo natrafiamy zarówno w Iranie jak w Turanii; jednakże w ten sposób, że jedna z wielu niewiast jest wybraną i panią haremu. Jako małżonki, kochanki i matki bohaterów znaczniejsze są: Rudabe małżonka Zala a matka Rustema; Temine kochanka ostatniego a matka Sohraba; Sudabe małżonka Kaj-kawusa, i dwie córki Afraziaba: Menisze i Ferengis, jedna połączona z Biszenem, druga z Siawuszem.

Uważając irańską epopeję, ten zléwek różnych cyklów powieści i innych klechd w Szachnamie ze strony kompozyceji; zaraz uderza, że w niej niedostaje owęj jedności przywiązanęj do jednęj głównej osoby. Zestrzelenie tylu zdarzeń i walk, ciągnących się przez wiele wieków, w jedno ognisko, około jednego bohatera, było rzeczą niepodobną. Jednakże ten niedostatek wyrównywa się w inny sposób, a to przez ścisły związek w działaniu; co odpowiada wymaganiom epiecznej jedności. Epopeja wciągająca w siebie nawał wypadków, niekoniecznie powinna szukać punktu ciężkości w osobie bohatera; dość dla niej, gdy ma główny przedmiot do którego wszystko zmierza i w całość zaochrągla; dość dla niej główna akcyja, około której grupują się masy, wypadki, stosunki i położenia. To stałe ognisko, to jądro interesu, na pierwszy rzut oka można odkryć w Szachnamie; jestto bowiem: *walka irańskich bohaterów przeciw potęgom ciemności*. Tam więc koncentruje się bogate życie całych stuleci, tam każdy wypadek, podobnie jak drobne strumyki, wlewa się w potężną rzekę. Aczkolwiek mnóstwo pokoleń ludzkich, mnóstwo dynastji i królów przewija się po widowni; jednakże owa wielka walka w którą wszyscy są porwani, tworzy tak silne ogniwo, że jedność najzupełniej jest osiągnięta, nawet gdyby nie podnosiła ją jeszcze olbrzymia postać Rustema, górująca

w większej części poematu. Oprócz tego, że wszystkie części poematu, wszystkie sytuacje i zdarzenia przez swój stosunek i udział w wielkiej walce, przez rozrost z jednego korzenia i ścisły związek między sobą tworzą najzupełniejszą całość; to jeszcze jedność epopei perskiej znajduje silne poparcie w idei przeznaczenia, niby starożytnego *fatum*: w skutek czego zbrodnia popełniona jeszcze przez naddziadów, porywa potomków w swą przepaść, jakby jakaś ciemna potęga pędziła całe rody do wzajemnego niszczenia się, dodając zbrodnię do zbrodni, zemstę do zemsty. Przyłączywszy do tego owę walkę irańskich bohaterów z potęgami ciemności, wyobrażającą walkę dobrego pryncypium ze złem, przekonamy się, że każda cząstka napozor oderwana, spojona jest w Szachnamie jakby żelaznym ogniwem.

Już w samym wstępie poematu, ponad świetnym obrazem *Dżemszyda*, tego drugiego boga światłości na ziemi, panującego długie wieki nad rajskim światem, unosi się jak złowrogi kometa, nieszczęście grożące od Ahrymana: i raz błędąc, znów żywiej płonąc, a zawsze trwożąc okropną przyszłością, ciągle tkwi na niebie całego poetycznego utworu. Kiedy Dżemszyd ulega pokusom podziemnych potęg, wiszące nieszczęście jak piorun spada; przestרח i bezceństwo rozpościera się w pięknej krainie słońca, kiedy *Sohak*, ten sprzymierzeniec Ahrymana, wyrzucony z ciemnych czeluści podziemnego świata, zasiada na tronie Iranu i otoczony piekielną drużyną, napelnia ziemię zbrodnią i gwałtem. Rozpacz ogarnia umysły, gdy cały ród ludzki spodziewa się paść ofiarą nienasyconego smoka, wiszącego u piersi Sohaka; coraz czarniejsze przychodzą nocy, aż nakoniec błyska jutrzienka wybawienia. Na świętej górze Alburs, znalazł schronienie Ferydun, ulubieniec boski z plemienia Dżemszyda, i tam, gdzie słońce wiecznego światła nie zachodziło nigdy, chociaż cały świat grzęznął w ciemnościach, usposobił się młodzian przez modlitwy do wielkiego przedsięwzięcia; ze szczytu Albursu zstępuje zbrojny na ziemię Iranu, ażeby rozpocząć walkę przeciw Sohakowi. Dobre potęgi sprzyjają mu; Ormuzd posyła doń swego posłańca Serusza, który go napawa cudowną siłą, i Ferydun zwycięża syna piekiel, a świat pozdrawia go błogosławieństwem jako wybawcę. Podobien promiennemu bogu wstępuje na tron swoich ojców, rozpościerając błogosławieństwo i obfitość; pokój, sprawiedliwość i szczęście wracają do Iranu. Zdawałoby się, że władza złego już starta na ziemi: ależ w głębokościach nurtuje

zawsze stary smok, i z wolna wytyka głowę, puszczając jad zguby w ród czystego Feryduna. Demoniczne wpływy, których ofiarą padł Dzemszyd, szerzą się w jego pokoleniu i biorą przewagę nad dwoma starszemi synami Feryduna; na trzecim tylko spoczywa duch ojca. Złamany brzemieniem lat, zgrzybiały król, dzieli państwo pomiędzy trzech synów; i zaraz zrywa się zdaleka grożąca burza. Tarowi zdaje się, że przez otrzymanie Turanu, Selmowi, że przez wyznaczone mu kraje na zachodzie, mniej dostali niż najmłodszy Iredź, który odzierzył koronę Iranu. Połączeni nienawiścią i zazdrością żądają od ojca, aby im oddał dzielnicę trzeciego brata; Ferydun karci ich gorzkimi słowy; ale łagodny, bogu oddany Iredź występuje jako pojednawca, składa koronę i oświadcza, iż na korzyść najstarszego brata wyrzeka się dóbr ziemskich. Głos ludu ujmuje się za swoim oblubieńcem: „tylko Iredź godnym jest tronu”, powtarzają wojownicy; lecz oba ci współnicy Ahrymana, w których sercu wygasły wszelkie ludzkie uczucia, większą pałają jeszcze zawziętością, widząc wspaniałomyślny postępek brata; jakoż w zbrodniczym uniesieniu *Tur* wbija kindzał w pierś miłego bogu młodzieńca, a *Selm* rzuca się na skrwawionego, aby mu zadać cios ostatni. Tak tedy spełniła się zbrodnia; z płaczem upada Ferydun na ciało zamordowanego syna, i wymawia przekleństwo, które jak pałący wiatr pustyni ma zniszczyć występnych. Prosi on nieba, aby mógł dożyć zemsty nad winnemi. Modlitwa jego zostaje wysłuchaną; duch na wysokości ujmując się za Iredżem, przygotowuje mu mściciela we wnuku jego *Minuczerze*, który młody i pełen rycerskiej siły prowadzi zastępy Iranu przeciw obu zabójcom, i odciawszy im głowy, posyła Ferydunowi. Uradowany spełnieniem ostatniej swej prośby, a jednak ubolewający nad smutnym przeznaczeniem dzieci, osiwiłaby monarcha żegna ten świat.

Wszakże nad zwłokami rodu jego ciągle powiewa chorągiew wojny. Przez ten postępek zbrodniczy, zła potęga z rodu do rodu rozpościera się w domu bratobójców; a chociaż krew zamordowanych wywołuje nieustanną zemstę na dzieciach ich dzieci; oprócz tego przybývają inne sromoty, wywołujące przedwieczną sprawiedliwość. Jakoż dobry duch uzbraja swoich Iranów i prowadzi ich do bitwy przeciw ciemnym potęgóm, które w rodzie Tura panują nad Turanem. Ta walka mająca trwać długie wieki, stanowi główną akcyą poematu; zaraz téż występuje na widownią rodzina bohaterów, której przeznaczeniem wywalczyć państwu

światłości, czyli jego odbiciu się, słonecznemu Iranowi, ostateczne zwycięstwo. Historia o młodości Zala i jego przywiązaniu do córki króla Kabulu, jest jak strumyk wlewający się w wielką rzekę; aż dopiero owoc tej miłości, potężny i niepokonany *Rustem*, nadaje nowy kierunek i pęd tej wojnie ludów. Smutno świecą gwiazdy Iranu, pola jego krwią użyznione, wnuk Tura, straszny *Afraziab* już ma wziąć górę, już zatknąć sztandar swój zwycięzki na tronie Dżemszyda; lecz z Rustemem wstępuje nowy duch w strwożonych: rozchodzą się posępne chmury, bo oto prowadzi on młodego *Kai-Kobada* z rodu Ferydunowego, i daje za króla ogołocnemu z pana narodowi; a sam uderza na wojsko Turanów i rozprasza je. *Afraziab* ucieka za *Dżihun*, i zwołana siły gromadzi do nowego napadu, a tak pozorny następuje rozejm. Rozgniewany *Ahryman* że jego dzieło spełzło na niczym, pracuje z podwojoną usilnością, ażeby rycerzy bożych na innej drodze o zgubę przyprawić. W duszę następcy *Kai-Kobada*, którym był *Kai-Kawus*, wlewa dumę, łakomstwo i nieograniczoną zarozumiałość, że aż się kusi Bogu być równym. Szalenięc ten po trzykroć losy wyzywa do walki: raz kiedy idzie do *Mazenderanu*, kraju diwów, drugi raz do *Hamaweranu*, a na koniec gdy chce do nieba wzlecieć; po trzykroć wywołane nieszczęście ma w niego i w naród uderzyć, lecz każdym razem silne ramię *Rustema* pokonywa nieprzyjazne potęgi; aż wreszcie w szkole nieszczęść *Kai-Kawus* uczy się mądrości, i znowu jasne słońce wschodzi i zachodzi nad Iranem. *Ahryman* innego używa fortelu: złość jego obraca się przeciw *Rustemowi*, jakoż tak stosunki zagmatwał, że własny syn *Rustema*, *Sohrab*, staje do walki z ojcem, i z jego ręki ginie. *Ahryman* mniemał, że pod tym ciosem pęknie serce *Pehlewana*; lecz żelazny *Rustem*, aczkolwiek ugodzony tak ciężko, dźwiga się na nowo, aby być tarczą i okiem Iranu. Duch ciemności niezmordowany w swoich podstępach, szuka innych sposobów na zgubę nienawistnego kraju; syn *Kai-Kawusa*, *Sinusz*, czystością duszy miły bogu, z cnót *Iredżowi* podobny, jest tą ofiarą wybraną przez złego ducha. *Macocho* pięknego młodzieńca zaczyna puszczać się na intrygi, które go mają o zgubę przyprawić; lecz czysty wychodzi z tej próby zwycięzko, chociaż nowe zastawiono nań sidła. Wielkość jego duszy niemogąca znieść wiarołomstwa, jakiego się dopuścił *Kai-Kawus*, różni go z ojcem i wypędza do *Turanu*, gdzie szach przyjmuje go przyjaźnie i własną córkę daje za żonę. Lecz tylko pozornie uśmiecha się mu szczę-

ście; mleczkiem złowrogie okalają-go siły; jakiś zdrajca potrafił serce Afraziaba napęlić przeciw niemu nieufnością, jakoby Siawusz zostawał w porozumieniu z nieprzyjaciółmi; i oto niewinny młodzieniec przez zbójców nasłanych z rozkazu szacha zostaje napadnięty i zabity, a żona zaledwie życie unosi z rąk przesładowców. Zbrodnia ta, będąca powtórzeniem zbrodni dokonanej niegdyś na Iredżu, zapala gwałtowniej przytłumioną nienawiść irańskich rycerzy przeciw sprzymierzeńcom Ahrymana. Wrzący jak strumień lawy, cały Iran wali się na sprawcę krwawego czynu z Rustemem na czele, który niszcząc cokolwiek spotka na drodze, wynajduje Kaj-Chozru, syna Siawuszowego, urodzonego z Afraziabówny, i sadza na tronie irańskim; poczem straszniejsza niż kiedykolwiek wszczyną się wojna, przez wiele dziesiątków lat pustosząca środkową Azyą. Burza ta zmiata całe pokolenia ludzi, okoliczne narody porywa w swój taniec, i aż po krańce ziemi trwa zamieszanie. Węzeł w tej części poematu łączący rozmaite ustępy, tak jest silnym, że pojedyncze powieści, aczkolwiek dają się oddzielić, spływają w najzupełniejszą całość; tylko ustęp o *Biszenie i Meniszy*, który podaje w przekładzie, pomimo że zachowuje główną myśl poematu, odróżnia się od innych tém, że brzmi jak wdzięczny dźwięk lutni wśród szczyku oręża. Nakoniec po zupełnej klęsce zadanej Afraziabowi, burza ucicha, rozkołysane balwany wstępują w koryto, a zwycięzcy do domu wracają. Nowa gwiazda szczęścia i pokoju wschodzi dla Iranu; po zgonie Kai-Chozra, następcą jego Lohrasp krótko panujący odstępuje berła swemu synowi Gusztaspowi; i pod nim to objawienie nowej oczyszczonej nauki światła przez Zerdusztą (Zoroastra) jest jakby ostatecznym zwycięstwem waleczników bożych nad potęgami ciemności. Jednakże raz jeszcze potęgi te wychodzą z swoich przepaści, i rzucają się z całą wściekłością, aby przeciwnikom wydrzeć owoce zwycięstwa.

Naprzód wnuk Afraziaba, Ardszasp, pobudzony jest do wojny przeciw wyznawcom nowej religii; poczem nienawiść złych duchów obraca się na syna Gusztaspa, zwycięzkiego *Isfendiara*, którego prorok Zerduszt wybrał swoim rycerzem, i błogosławieństwem od nieszczęść zażegnał. Podejrzliwość umięta wzniecić nawet w sercu ojcowskiem, tak dalece, że umyślnie posyła syna na niebezpieczne wyprawy, aby śmierć znalazł; jednakże młody bohater szczęśliwie unika niebezpieczeństw, i ściera wrogów Iranu. Złe duchy uciekają się nakoniec do najczarniejszej

zdrady: nad rodem Zala, który tyle wieków był tarczą swego kraju, biorą wpływ i przewagę, że się od nowój nauki odwraca i występuje przeciw szachowi; samą nawet wiarę światłości chcą obalić, podniecając zwolenników dawnój nauki przeciw nowym wyznawcom. Rustem ogłasza się niepodległym panem Sejestanu i wypowiada szachowi posłuszeństwo, w skutek czego Gusztasp przyrzeka synowi ustąpić tronu, jeżeli tego Pehlewana zwiąże i odda mu w ręce. Isfendiar acz niechętnie, gotuje się spełnić ten rozkaz: rozpoczyna się pojedynek, w którym przez kilka dni dwaj bohaterowie walczą z odmienném szczęściem; aż w końcu Rustem zadaje młodzieńcowi cios śmiertelny. Lecz prorok rzucił był kłutwę na tego, co przeleje krew Isfendiara; więc i zwycięzca popada w moc podziemnych potęg: duchy śmierci czarnemi skrzydły unoszą się nad nim, i ciągną go za zabitym królewiczem w państwo nocy. Tak tedy runął bohater, którego dziełom świat był zamały, a z nim zgasła siła wielkiego rodu; wprawdzie osiwały Zal chce szukać pomsty na jego zabójcach, i kiedy wywodząc żale usiada na rozwalinach swego domu, znika nawet ślad jego pobytu na ziemi. Ahryman dokonał swego dzieła; zmiotłszy tyle rodów bohaterskich, tyle kwitnącego życia w ustawnych bójkach zdeptawszy, wyrócił i dwie najpotężniejsze kolumny Iranu. Jednakże traiczny ten koniec nie może być uważany jako bezwarunkowe zwycięztwo złych potęg, albowiem podług wyobrażeń religii Zerdusztowój, Ahryman i Ormuzd walczą z sobą aż do skończenia wieków, przeto i na ziemi walka ta ustać nie może; z końcem poematu można się nowych walk domyślać, które przecież za jego obrębem leżą. Poeta tylko na mogiłach ulubieńców swoich zatyka chorągiew żałoby, i śpiewa ofiarom nieubłaganego losu pieśń pozgonną; co zaś późniejsze czasy przyniosą, w jaki sposób bój rozpocznie się na nowo, niech kto inny opowie: jemu boleść usta zamyka.

Ogromny ten przedmiot, którego wewnętrzny związek dopiero co skreśliłem, oświadczył Firdusi tak potężnie, że całe te olbrzymie massy, w pewnych granicach pociągnionych na wszystkie strony, zaokrąglają się w misterną całość, a czyny i zdarzenia, wypełniające tysiące lat, zlewają się prawie w jedno działanie. Również godną podziwu jest sztuka, z jaką poeta umiał uporządkować nieskończone mnóstwo osób, czynów, i trafów losu. W tym wielkim obrazie życia i czynności całego ludu przez

wiele tysięcy lat, rozmaite zdarzenia są tak rozumnie ugrupowane, że każde o tyle bliżej lub dalej stoi od swego ogniska, o ile ma większą lub mniejszą wartość i wagę. Dlatego też uwaga czytelnika, pomimo tego nawału obrazów, nigdy nie ostyga; a chociaż ją bardziej porywają niektóre górzące postacie, jednakże ogólny cel do którego to wszystko pędzi, i czytelnika zawsze zwraca do myśli panującej na dnie Szachnamy.

Równym mistrzem jak w zakreśleniu całości i w prowadzeniu opowiadania, okazał się Firdusi w rysowaniu charakterów i postaci; bo chociaż te niekiedy pojawiają się w rozmiarach godnych plemienna olbrzymów, niemniej noszą piętno rzeczywistej prawdy życia. W nieskończonej liczbie figur przewijających się w tym niezmiernym dramacie, są niektóre uderzające wielkimi indywidualnemi rysy. Ferydun, ten wzór króla, któremu Ormuzd powierzył utrzymanie ładu na świecie, wynosi ze szczytów świętej góry Albus, gdzie młodość na paszeniu trzód spędził, niebiańską czystość. Pełen cichej wielkości, siły i łagodności, unosi się nad zamętem i burzą miotającą jego królestwem; a nawet zbrodnia jego synów, zmuszająca go do spełnienia krwawej kary, nie może zgasić tej miłości, jaką serce ojcowskie pała. Ciemną stronę natury człowieczej pokazuje Tur i Selm, których samolubstwo uczyniło skamieniałemi na wszelkie szlachetne uczucie. W ciemnościach, jakie z ich winy rozpostarły się na ziemię, świeci Iredz, niby jasna gwiazda; błogosławieństwo niebios spoczywa na nim, oddycha samą miłością, mądrość płynie z ust jego, a pokój i swoboda gdziekolwiek się obróci, towarzyszą mu. Ależ zbyt on zadobry dla tego świata, więc też pada ofiarą! Pełno pięknych skłonności do rzeczy wzniosłych i dobrych, ognistych postanowień i bujnych dążeń objawia się w charakterze *Kai-Kawusa*; lecz z drugiej strony dworskość, chwiejność umysłu i zapalczywość w gniewie, rzucają cień na dobre jego przymioty. Prawdziwa postać bohatera i króla pojawia się w *Kai-Chozru*: w pokoju wymierza sprawiedliwość i dba o dobro i pomyślność kraju, a w wojnie występuje na czele rycerstwa jako dzielny wódz, i gdzie się zwróci, wszędzie idzie za nim zwycięstwo. Strawiwszy młodość i męskość na świetnych wyprawach i czynach rycerskich, zwykłym obrotem człowieczej natury, zapuszcza się w drobiazgowy zacięki nad mistycznym związkiem przeznaczeń świata, i rys ten użycza jego postaci i tak już zajmującej, jakiegoś uroku cudowności. Nad wszystkich Pe-

hlewanów góruje *Rustem* (zwany także *Tehomten*, to jest silnie zbudowany), i to jest ulubieniec poety, który go przyzodobił najwyborniejszymi przymioty. Mleko dziesięciu mamek nie może wystarczyć rześkiemu chłopięciu; jeszcze dzieckiem, a już obala rozjuszonego słonia. Ciało jego jakby ze spiżu, postać jak góra, szeroka i wydęta pierś, a siła niezrównana. Na sam jego widok bledną nieprzyjaciele, kiedy się pokaże na swoim *Rekszu* w koleczój zbroi, z tygrysią skórą na barkach, z kindziałem i mieczem u boku, a w dłoni z maczugą i arkanem u siodła. Na głos jego trzęsą się góry i morze, a na krzyk pękają serca dzikich lwów. Sam jeden rzuca się nieraz na liczne wojsk zastępy, pewien że je pokona; diwów i czarodziejów twierdze nie ostoja się przed nim. Łatwy do gniewu, popędliwy, prędko daje się ugłaskać i znowu łagodny i prawy, wierny monarsze, gotów każdej chwili przelać zań krew i żywot położyć; lecz przytém umie swą godność zachować, i nieraz w oczy szachowi szczerą prawdę powiedzieć. Jakby odblask Rustema, równie dobry jak on do miecza, równie niezłomny, jest *Sohrab*, z tą różnicą, że w tym młodzieńcu śmiałość bywa posunięta do szaleństwa, a wyższa dążność przechodzi nieraz w wyuzdaną żądzę sławy. Jednakże do najcudowniejszych wizerunków jakie poezya mogła stworzyć, należy bez wątpienia *Siwus*; czystota jego duszy odbija się w śliczności ciała, i jakby aureolą otacza skronie; szlachetność jakiejś boskiej prawie natury rozlewa się w całej postaci i wszystkie serca przyciąga ku niemu; a jednak jakieś złowrogie przeczucie, jakaś przepowiednia towarzyszy pierwszym jego krokom na scenie świata, że chociaż szczęście i pomyślność strząsają nań swoje kwiecie, nieodgadniona melancholia wróży blizki upadek. W pełni dzielności młodzieńczej występuje *Isfendiar*; bohaterska to dusza aż do zapamiętałości. Wewnętrzne przekonanie, że jako wybraniec proroka żadnemu niebezpieczeństwu nie ulega, nadaje mu pęd niesłychany, gdy się ciska na trudne i sławne przedsięwzięcia. Ciemniejszą stronę tego jaskrawego obrazu przedstawiają bohaterowie Turanu, aczkolwiek i między nimi znajdują się szlachetne umysły. I tak: *Afraziab* nie jest bez dobrych przymiotów serca; jednak miotany dzikimi namiętnościami, niełatwo skłania się ku dobremu. Złe bowiem duchy przewodząc w jego domu, usidliły go, że prawie nie ma własnej woli, tém bardziej, że używszy za narzędzie brata jego *Gerziwesa*, istotę podłą i chytrą, pędzą go ze zbrodni w zbrodnię. Wyobrazicielem lepszego

pryncypium w Turanie jest wezyr Piran, z przydomkiem mądry. Kobiety również są scharakteryzowane. *Rudabe*, to piękny wizerunek dziewczęj czystości i niewinności, z którą budząca się namiętność stacza walkę; *Themina*, to serce łatwo zapalające się najgwałtowniejszą namiętnością, i ani w kochaniu, ani w przyjaźni, ani w rozpaczy nieumiejące znaleźć miary; przeciwnie w *Sudabie* skreślona wyuzdana zmysłowość, która odepchnięta, wysadza się na najokrutniejszą zemstę, *Menisze* zaś, to prawdziwy ideał prostej a głębokiej miłości: poświęcenie się jej, cierpienia, mają prawie coś wspólnego z poświęceniem się, cierpieniami chrześcijańskiej niewiasty.

W opowiadaniu Firdusego panuje potężna, tyłańska niejako poetyczność, i ten sam duch bohaterstwa i energii ożywia go, jaki niegdyś musiał ożywiać ów ród żelazny, którego dzieła opiewa. Ton uroczysty nie dopuszcza ani komiki, ani żartu, ani dowcipkowania; a jednak umie przechodzić w najmniejsze dźwięki, i najtkliwsze uczucia równie wdzięcznie i wymownie wyrażać, jak grzmieć całą piersią okrzykiem bojowym. Dlatego też Firdusi głębokością i mocą uczucia stoi prawie na osobności między poetami Wschodu. Ta gorącość serca, ta rzewność taka prosta nie tylko przeziara w tych miejscach, gdzie niejako sam puszcza się w dumania, ale i w osobach, w które wlał usposobienie swoje wewnętrzne; przeto łatwo przywiązuje się do nich czytelnik, i nad ich losem płacze. Nie więc dziwnego, że Szachnama dotąd jest najulubieńszym poematem Persów. Więcej niż od ośmiu wieków powtarza ją każdy Pers z pamięci. Kiedy w narodzie tym, który tak dalece od dawniej wielkości odbiegał, jeszcze się taka cześć dla poety przechować mogła: dowodzi to, albo nieśmiertelności utworu, albo wielkiej żywotności, nieopuszczającej nigdy wschodnich plemion. Jednakże sława Firdusego nie ogranicza się na samą jego ojczyznę: od wybrzeży syryjskich i ziem nad Bosforem, aż po Ganges, wszędzie biją czołem przed cudowną Szachnamą. Nietylko to znaczenie Szachnamy na Wschodzie, ale i rzeczywiste jej piękności, trafiające bardzo do naszego smaku, spowodowały mię, naprzód tę część ustępu o *Biszenie i Meniszy* podać na próbę, a później i cały ustęp, przedstawiający zupełnie skończoną dla siebie całość, ogłosić drukiem.

Irmanowie proszą Kai-Chozru o pomoc.

Za swych witezi sławę i zdrowie,
Kai-Chozru spełnił puhar godowy.
Tron miał ubrany skrós w złotogłowy,
Koronę z pereł dużych na głowie;
A gdy śpiew brzękom gęśli przywłórsa,
On, w pełny puhar usta zanurza.

Godowych gości krąg go otacza:
Witez Gustehem—równego gracza
Jak on, nie znajdzie; przy nim tuż siada
Ferhad, Giw, Keszwad, przyboczna rada,
Więc Szarpur, Gurgin ów syn Milada,
Tus i Ferybus, Roham i Biszen.
Swojem rycerstwem Kai-Chozru pyszen,
Pije pospołu z wierną drużyną;
W czasach rumiane perli się wino,
Nito Jemenu rubin nalany.
Wkoło narcysy i tulipany,
Dziewcząt, jak Peryów, gromadka lekka;
Czarny im kędzior cieni jagody.
Tysiącem woni, barw, grają gody;
Komorny, szacha rozkazów czeka.

Wtém przez oponę wszedł do świetlicy
Odźwierny, stając przed mądrym panem:

—„Irmany—rzecze—przyszli z granicy
Między Iranem, między Turanem,
I posłuchania zebrzą u proga
By sobie zjednać pomoc na wroga.”

Komorny zaraz podjął tę mowę,
Kornie przed stopnie zaniósł tronowe.
Szach skinął głową: wysłuchać myśli
Tych, co o pomoc wzywać go przyszli.
Jakoż komorny wrócił wraz z nimi,
A oni z krzykiem, zawodząc srodze,
Usty zmiatając kurz po podłodze,
Dłoń łamiąc, głosy mówią wielkimi:

—„Moearzu świata, niezwyciężony!
Niebo dni długich niech ci użycza!
Przychodzim do cię z dalekiej strony
Od turańskiego aż pogranicza;
Chan-Irman miasto nasze się zowie,
Poddani twoi, my Irmanowie.

Długo, o panie! bądź naszym szachem!
 Długo na łotry mieczem i strachem!
 W wszystkich kiżwerach (1) wsparciem, opieką,
 A złości od nas podał ucieką.

O miedzę z nami siedzą Turanie
 Łotrowie, trapią nas niesłuchanie.
 Znów od Iranu wielki bór leży,
 Nasza zgryzota! Takich rubieży
 Błogich jak nasze, nie znajdzie wszędzie;
 Bo to uprawne, grządka przy grzędzie,
 A drzew bez liku, a wszystkie rodzą:
 Nasze tam trzody pasać się chodzą.

Poradz, o szachu! w srogim kłopotcie;
 Wszak tam żarłocznych odyńców krocie,
 Dużych jak góry, z słoniami zęby,
 Zasiw nam depcą, niszczą poręby.
 A całe miasto w łzach się rozplywa
 Na poniszczone trzody i żniwa.
 Kłoda najgrubsza kłem ich podcięta
 Pada jak trzcina; żadna zamknięta
 Warownia takich kłów nie wytrzyma:
 Przed srogą plagą schronienia nie ma!
 Ratuj nas, szachu, my niebożęta."

Gdy Chozru skargę wysłuchał ona,
 Miał twarz i postać całkiem wzruszoną:
 Nieszczęścia biednych litował szczerze,
 I wraz zawołał:— „Dalej rycerze!
 Jeśli z was który za sławą dyszy,
 I wzbic się pragnie nad towarzyszy,
 Niech bieży: Bóg mu siły użyczy.
 Ow bór oczyścić z drapieżnej dżicy.
 Jeśli odyńcom łby zmiecie z karków,
 Co chce, niech bierze drogich podarków."

I wnet rozkazał wnieść złotą czarę,
 Przed tron postawić i co niemiare
 Sypać klejnotów; perł jak śniegi,
 Aż było pełno, wyżej nad brzegi.
 Dziesięć z siedzeniem rumaków rzeskich
 Przyprowadzono w rumskich czaprakach,
 Ozdobnych znakiem cyfer królewskich;
 Aż rozgorzało serce w junakach,
 Gdy szach przemówił takimi słowy:

(1) Puchar Dżemazyda ma sjeđin podziałów, odkrywających tajemnice siedmiu pasów ziemskich albo kiwów.

—„O! Pehlewany! korony stróże!
 Kto z was po skarby chce sięgnąć duże,
 Kto za mnie przelać krew swą gotowy?”
 Gdy tak przemówił nikt się nie zrywa,
 Nikt—tylko Biszen, mężny syn Giwa.
 Dziarsko wystąpił zśród Pehlewanów
 I rzecze:—„Niebu niechaj cześć będzie!
 Ciebie, o szachu! wesprze Pan Panów,
 Twa wola prawem zawsze i wszędzie!
 To, coś powiedział, nie był dźwięk próżny:
 Kto żyje, każdy łask twoich dłużny.
 Masz mię posłusznym woli twój posłem,
 Na służby pańskie w siły urosłem.”

Tak mówił Biszen; ale wraz za tem
 Wzrok Giwa w smutku oblekł się chmury;
 Więc się skłoniwszy przed majestatem,
 Śmiałka Biszena tak karcił z góry:

—„Jakież ci słowo z ust wymknęło się?
 Jak śmiesz w swą siłę dufać młokosie?
 Młokos młokosem, choć rwie się w pole,
 Bohater rośnie w doświadczeń szkole.
 I wprzód nim większych rzeczy pokusi,
 Goryczy życia napić się musi.
 Na tor nieznany nie leć mój synu:
 Przed szachem wara rwać się do czynu.”

A dumny junak mową rodzica—
 Znać krew—rozpłonął jak błyskawica
 I rzekł:—„O szachu! nie daj mu wiary;
 Jam nie niewieściuch, choć krótko żyję
 Mam doświadczenia tyle co stary;
 Pozwól niech spełnię twoje rozkazy.
 Syn Giwa, z przygód wyjdę bez skazy,
 Potwornym dzikom poscinam szyje.”

Szach na tę mowę wpadł w podziwienie,
 Umysł rycerski chwalił w Bieszenie,
 I rzekł:—„Witeziu! zapął nie kłamie,
 Dzielne mi z tobą przybyło ramię!
 Król, otoczony takich sług likiem,
 Jesli drży kiedy—jest nikczemnikiem!”

Potém zwracając rzecz do Gurgina:
 —„Ciebie na druha w podróż mu daję,
 Przez nieznajome prowadź go kraje
 Aż do tej rzeki, gdzie państw kończyzna.”

II

Biszen ciągnie na bój z odyńcami.

Z szlmem na głowie, w oręż wszelaki
 Wyruszył Biszen zaopatrzony;
 Jechał z nim Gurgin, już doświadczony,
 A siłą, mężstwem, prawie jednaki.
 Wziął gwoli łowów rysia z sokołem,
 I, jak słoń złoźny górą a dołcem
 Pędząc przez puszcze, zbijał gazele;
 Dzikich też osłów położył wiele.
 Owce pierzchały, gdy go postrzegły,
 Lecz wnet pod rysią łapą poległy;
 Na arkan osły brał: rzekłbyś żywy
 Drugi Tahmuras, co zgromił diwy.
 Z ptaków porwanych w szpony sokole
 Widział krwi rosą zbryzgane pole.
 I tak zbiegali pustynne szlaki
 Jakby zielony ogródek jaki.

Aż wreszcie Biszen dotarł pod bory,
 I nichamowany, do bójki skory
 Ledwo się wstrzymał, że w nie nie wskoczył,
 I z odyńcami bitwy nie stoczył.

Więc z koni zsiadli pod samym lasem,
 Chcąc się chwilowym pokrzepić wczasem.
 Oba, jak dłudzy na ziemi legli,
 Jarkim płomieniem chrósty zażegli,
 Wciąż dokładając, i naprzemiany
 W wóz zagładając z winem skórzany.
 Tymczasem osioł piekł się na rożnie;
 A oni radząc zrazu ostrożnie,
 Potem w weselsze wpadłszy humory
 Jedną pieczenie, chyłą watory.

Gdy napój twarzę im rozplomienik
 Rzekł Gurgin:—, „Drzymka teraz na dobie!”
 Lecz Biszen na to:—, „Spiać nic nie zrobię;
 Tybys się także bracie nie lenił,
 I razem skoczył do dzieła ze mną,
 By Chozru klasnął na wieść przyjemną.
 Odyńce strzałmi naprzód zabawię,
 A ty zasadzon czekaj przy stawie,
 Aż kiedy z kniei dojdą cię ryki
 Bierz za maczugę, i one dziki
 Które ja strzałmi zranię, lub spłoszę,
 Maczugą swoją morduj potroszę.”

Na to zaś Gurgin:—, „Oj! nie tak bratku,
Szach nam rozkazał; bo jeśliś z datku
Korzyszał, skarby biorąc dla siebie:
Więc sam po sławę sięgaj w potrzebie.
Pomocy żadnej dać ci nie mogę,
Dość na tém, jeśli wskazałem drogę.”

Młodziuchny witeź zdumiał się na to,
I świat mu czarną powłókl się szatą;
Lecz się nie wahał z napiętym łukiem
Nito lew skoczyć w odwieczne bory:
Huk jego z grzmotów równał się hukiem,
I z drzew zielone strząsał bisiory.

Jak słoń pijany, z mieczem w prawicy
Napadł na stada dzików; a dzicy
Zewsząd opadłszy, kupą go parli,
Z wściekłości ziemię pod sobą darli:
Świat ten, myślałbyś, spali się cały,
Takie płomienie z kłów ich buchały.

Dzik jeden, nito Ahryman drugi
Wpadł nań i kawał urwał koleczugi,
A potem ostrzył kły o pień drzewny
Jak o głąz szablę; ten i ten gniewny
Coraz się wścieklej na bój gotował,
Aż opar czarny wzbil się nad niemi;
Lecz Biszen sypiąc razy gęstemi,
Ogromną bestyą zwałił na pował.

Co widząc dziki, jak stado lisów
Rannych, precz drapło z krwawych popisów;
Tym, co nie uszli z pobojuwiska
Witeź jął rzędem ucinać łbiska,
I na Szebrynga, przy napiersniku
Nanizal onych łbisków bez liku:
By jako dowód, że pokonani,
Kły ich szachowi mógł przynieść w dani,
Lub wśród witezów pańskiego dworu
Chłubić, jakiego zabił potworu.

III.

Gurgin oszukuje Biszena.

Gurgin w chytrnościach istny lis szczwany
Został pod lasem, i zadumany,
Chmurny wzrok wodził; zębami zgrzytał.
Wprawdzie Biszena wdzięcznie powitał,

Jednak go srogie obawy bodły,
 Że wróci do dom jako człek podły.
 Więc mu Ahryman podszepnął radę:
 Żeby Biszena zgładził przez zdradę.

Czemż mu rady nie dał Stworzyciel?
 Kiedyż on boskich dzieł nie wielbiciel!
 Kto pod kim dołki kopie, ten snadnie
 Sam się posliznie i w dołek wpadnie.

Gurgin łakomy sławy i złota,
 Jak pajak w chytre sidła go mota;
 Biszen nie przeczuł, że zamysł zdrajny
 Gurgin obwinał w język układny.

Gdy więc siedzieli oba przy winie
 Weseli, Biszen rzekł:—„Mój Gurginiel
 Widziałeś jaką bitwę wygrałem,
 Jestli kto równy mnie w państwie całym?”

A Gurgin na to:—„Mówię najszczerzej
 Że mężniejszego nie znam z rycerzy!”

Biszen rad słowu, nie przewidywał
 Jak zgubny postęp zdrajca ukrywał.
 Na humor spełnił szklanekę po szklance,
 Wesołym żartem grał w pogadance,
 I jeszcze w większą popadł ochotę
 Gdy Gurgin mówił:—„Rycerską cnotę
 Podziwiam w tobie! Kto junak taki,
 Ten wszystkie sławą przejdzie junaki!
 Lecz słuchaj, nową myśl ci odsłonię:
 Nie po raz pierwszy jestem w tej stronie;
 Często tu gnała przygód pokusa
 W gronie Rustema, Nudera, Tusa.
 Tu się stoczyło bojów niemało,
 Tu się forteli siła udało.
 Dawne to rzeczy! Chozru jak oko
 Własne nas cenil, sławiąc szeroko.

Na pograniczu samém Turana,
 Ztąd niedaleko, ze dwa dni drógi,
 Jest tam dolina kwicciem usłana:
 Serce weseli jój widok błogi.
 Piękneto pole, kto zuch a młodyl
 W te sady, gaje, przystęp tak łatwy!
 W zdrojach różane szemrzają tam wody,
 Po trzcinach gdaczą wciąż kuropatwy;
 Lilią zgina ciężar kielicha,
 W cyprysach pieśni Biulbiuła dzwonią,
 Gdy do kochanki róży swój wzdycha;
 Powietrze moschu zaprawne wonią.

Niebawem pustka tamtych wybrzeży
 Rajem zakwitnie; zewsząd się zbieży
 Rój dziewic, Peryów, w dolinkę ona
 Na uroczystość przysposobiona.
 Menisze, córka Afraziabowa,
 Słońce przy blasku jej niech się schowa,
 Każe swój namiot rozbić na błoni,
 A dziewy, nito raju hurysy,
 Woniące moschem, smukłe cyprysy,
 Całemi tłumy krążą koło niej.
 Lice krasnienkie, usta pieściwe,
 I oczka mają tak pożądliwe,
 Że głowę stracisz w onej dolinie,
 Jak w złotym chramie bożyszczą w Czynie.

Ruszajmy druhu w krainę cudu!
 Droga niedługa, niewiele trudu.
 Porwiem dziewczeczek kilka Meniszy,
 O naszej sławie Chozru usłyszyl!

Tak mówił Gurgin; w Biszenie całym
 Krew zakipiała—więc rzekł z zapalem:

—„Głupiec, kto taką gratkę przeczyl!
 Jedźmy, ciekawe napasiem oczy.“

I wnet wskoczyli oba na siodła,
 Droga ich prosto w dolinę wiodła.
 Pomieszało się w głowie Junoszy,
 Nie śni o sławie, lecz o rozkoszy.

IV.

Biszen idzie oglądać córkę Afraziaba.

Owoż, gdy jeden pełen ufności,
 A drugi knując podstępne złości
 Wjechali w środek wielkiego lasu:
 Zachciało im się używać wczasu.
 Więc tam ze dwa dni zabawili się,
 Puszczając na łow ptaki i rysie.

Gurgin wytropił: że już Menisze
 Jest niedaleko, że w całej pyszo
 Błyszczy dolina krasą swęj pani,
 Że na to święto wszyscy zebrani.
 A co tam dziewic! ile gęslarzy!
 Biszen zaś na to:— „Kto nic nieważy,
 Nic nie ma. Lecę, choćby ukradkiem
 Widzieć, jak święta Turkowie święcą;
 Widzieć dziewczęta z obliczem gładkiem.
 A jeśli jakie wdzięki przynęca,

Więc się im przyjrzą zblizka, dokładnie;
 A co tam dalej począć wypadnie
 Gdy wrócę, radzić będziemy razem,
 I przedsięwzięcie poprzem żelazem....“
 Gurgin mu na to:—„Dalej na siodło!
 Oby-ć szczęśliwie wszystko się wiodło!“

Lecz Biszena dwojgiem róż płonie;
 Srogi niepokój budzi się w łonie.
 —„Hej bracie!—wołał—podaj mi diadem,
 Co zdobiąc ojca mego głowę
 Blaskiem obrzucał izbę godową.
 Nie radbym z czołem jechać tam bladym,
 Przeto daj łańcuch i zausznice,
 Podarunkami Chozra zaświecę!“

Skrzydły orlemi opiąwszy wkolo
 Diadem, na męzkie wbiwszy go czoło,
 Dosiadł rumaka, Szebrynga grzbiotu;
 Jasność mu biła z pasa, z sygnetu,
 I jasność z rumskiej brokatnej szaty.
 Przez bór przepędził jakby skrzydlaty.
 A gdy doliny dopadł już cwałem,
 Mimo że do niej rwał się z zapalem,
 Szukał kryjówki w cyprysach ciennych,
 By i sam ochłodził z żarów płomiennych,
 A i koń jego wytchnął po znoju.
 Więc wzrok puszczał w jaru zakątki
 Widział Turkinie w bogatym stroju,
 Jak Kandaharu śliczniuchne łątki
 Przy dźwięku śpiewów i gęśli wrzawie
 Przebiegające w płasach po trawie.

Z namiotu swego rychło postrzegła
 Menisze obcą postać rycerza,
 Co to cyprysem w górę wybiegła,
 Co takim lica blaskiem uderza,
 Jak kwiat jaśminu biały wśród mroku,
 Albo Kanopy gwiazda w obłoku.
 Widzi na skroni diadem bogaty,
 A na nim lite jedwabne szaty.
 I zapalała pod awą zasłoną
 Żadną ku niemu nieugaszoną;
 Więc do piastunki przemawia swojej:
 —„Biegaj, tam młodzian jak cyprys stoi!
 Wywiędź się, kto on księżycolicy;
 Utul serdeczny żar mój tęsknicy,
 I spytaj: zkąd się wzięła młodzianie

Z taką urodą cudną i rzadką?
 Zapewne jaka Pery twą matką,
 Że w każdym sercu budzisz kochanie?
 Powiedz ty, który serca nam trujesz,
 Czy zmartwychwstania dzień nam zwiastujesz?
 Już zdawien-dawna, każdego roku
 Wiosnę tę święcę w tych gór stoku,
 Lecz nikt się zbliżyć nie śmiał w dolinę:
 Ciebie pierwszego widzę i ginę!
 Pójdź Pery synu, Soheilu gwiazdo!
 Podzielać z nami uciechę każdą.“

Ku cyprysowi poszła piastunka,
 Rozkazów pani pilna zwiastunka;
 I, wypatrzywszy Biszena w cieniu,
 Błogosławieństwo słąc w pozdrowieniu,
 Słowa Meniszy oddała wiernie.

Uradował się młodzian niezmiernie,
 Różą mu skwitły jagody obie;
 Więc mówił:— „Witam! witam waszeci!ł
 Lecz Pery synem nie jestem przecie,
 Tylko irański witeż jam sobie!
 Giw moim ojcem—i ztąd mam chlubę.
 Dzikom tutejszym przysiągłszy zgubę
 Zwiódlęm bój z niemi;—padły potwory,
 Kłów samych snopek zebrałem spory.

Wtém, chęć mię zbiera waszym tu godom
 Przyjrzyć się zblizka; i, już nie do dom
 Wracam jak chciałem, lecz tum się kwapił,
 Chociaż niepokój ciągły mię trapił
 Przez całą drogę, czy mi los zdarzy
 Piękną Meniszę ujrzyć choć z twarzy.

Chceszli ułatwić miły stosunek,
 Tę szatę dam ci na podarunek;
 Czasę z perłami jeszcze dać gotów,
 Mnóstwo noszeni, cennych klejnotów.

O! jakże duszę moję zachwycą
 Dolina strojna jakby świątnica!
 Więc jeśli ci się diadem podoba,
 Te kolce, perły—szyi ozdoba,
 Bierz je! i staw mię przed jej obliczem,
 Budząc żar ku mnie w sercu dziewiczém.”

Piastunka spiesznym wróciła krokiem,
 W ucho Meniszy słowa te składa:
 —„Taki, jak wzrostem, licem, a okiem
 Pięknie go stworzył Pan Bóg: bądź rada!“

Na to Menisze śle w odpowiedzi:
 —,Niech się mój witeź próżno nie biedzi!
 Chęci spełnione—jesteś czekany!
 W mrokach méj duszy błysniesz jak zorze,
 Uśmiech na ustach zbudzisz nieznany,
 W krzak róż zamienisz samotne łoże.“

Piastunka znowu pobiegła z wieścią;
 Biszen słów lubych poił się treścią.

V.

Biszen idzie do namiotu Meniszy.

Gdy go za druha wzięła Meniszo,
 Porzucił ciemne w gaju zacisze,
 I chyłkiem, wietrząc słodkie ponęty
 Skradał się, kędy namiot rozpięty.
 A gdy namiotu podniósł kotarę,
 I wszedł jak cyprys bujny nad miarę:—
 Wnet przy jój łonie znalazł pieszczoty.
 Ona mu zdjęła ciężki pas złoty
 I zapytała: „Zkądżeś się zjawił,
 Gdzieś towarzyszy swoich zostawił?
 O piękności! cóż cię sprowadza?
 Rzuć tę maczugę, niech nie zawadza!“

Więc niewolnice, że to gość drogi,
 Różaną wodą myły mu nogi,
 I zastawiły ucztę wspaniałą.
 Różnych tam potraw było niemało;
 Wina obfitość, w gęśle dzwoniłono,
 Obcych z namiotu precz wyprawiono.
 Dwoma rzędami stojące dziewy
 Grając na arfach zawiodły śpiewy;
 Kobierzec błyszczał, jak pawie pióra,
 Podłoga nito lamparcia skóra,
 Złotem, rubinem połyskująca,
 I woń krzążyła upajająca.

Biszen pił dużo starego wina,
 Co skończył, znowu puhar zaczyna;
 Tak trzy dni brodził w winie, w miłości
 Aż spity—upadł bez przytomności.

VI.

Menisze prowadzi Blazena do swego zamku.

Czas jęj opuszczać dolinę cudną,
 Lecz się z Biszenem rozłączyć trudno;
 A gdy on ciągle napoły pijany
 Plotł coś o winie, i o kielichu:
 Menisze, senny napój pocichu
 Wlewa mu; Biszen wypił podany.
 Zaledwie czaszy dotknęły usta,
 Upadł bez zmysłów, bład jak chusta.
 Upowitego w senne pieluchy
 Wzięto na nosze, wysłane puchy;
 A ona tuż się przy nim sadowi,
 I każe nieść się wprost ku domowi.
 Pościel mu skrapia olejkiem wonnym,
 Sypie kamforę; a gdy pod bronę
 Miasta przybyli—w strachu niepłonnym
 Na skarb swój drogi rzuca zasłonę,
 I nocą wszedłszy w komnaty swoje,
 Kazala szczerlnie zamknąć podwoje.

Biszen w sypialni snem upowity
 Leżał. Menisze zbudzić go rada;
 A że jęj dowcip w fortel obfity,
 Więc jakiś balsam ostrożnie zada.
 Wnet też do zmysłów przyszedł—i oto
 Śnieżne ramiona ujrzał—i główkę
 Doń się tulącą, z taką pieśczołą
 Podzielającą łoża połówkę.
 Lecz razem postrzegł, że w Afraziaba
 Zamek się dostał; strach go nagaba,
 Modli się Bogu, woła w rozpacz:
 —„W tym zamku pewna śmierć mi się znaczy!
 Pomścijcie nieba zdradę tak czarną,
 Niech się na zdrajcę przekleństwa zgarnął
 Któż jak nie Gurgin chytrym językiem
 Wciągnął mię, żem się stał niewolnikiem!“
 A ona:—„Jakoś to złe się utrże;
 Używaj dzisiaj—nie myśl o jutrze.
 Człek się przez różne zwija koleje:
 Kocha się, klóci, zabija, śmieje.“
 Tak widząc, tutaj topor katowski,
 A tam małżeńskie łoże bez troski:
 Oboje w lubyh toną rozrywkach.
 Śpiewaczki przyszły, a przy ich śpiewkach

I gęśli dźwięku—wesoło jedzą,
 Niebezpieczeństwy nic się nie biedzą.
 I czas upływa.—Jednak komorny
 Wię o tēm wszystkiem, dworak przeczorny!
 A wię w ten sposób: między dworzany
 Był jeden plotkarz, szpieg zawołany,
 Kłótnik siejący ziarno niezgody;
 On zwietrzył gościa: a gdy dowody
 Najdokładniejsze zebrał o wszystkiem,
 Co zacz, z kąd przybył, z jakim nazwiskiem;
 Że mu o własne gardło chodziło,
 Wnet komornemu odkrył jak było.
 A ten niemalym zjęty przestraczem
 Tak mówił, zdając sprawę przed szachem:
 —„Twa córka, panie—niepłonne słowa—
 Z Iranu gacha u siebie chowa.“

Szach zadrzał na to, jako osika
 Którą wiatr trzęsie: trząsł się, krwią płakał,
 Przekleństwem domu obrzucił zakał.
 Gniewny, przypowieść starą wykrzyka:
 —„Kto córkę chowa, nie ujdzie sromu,
 Choćby i w szacha rodził się domu!“

Poczem chcąc słuszny sąd dać o córce,
 Zwał Karuchana, zamku dozorcę,
 I rzekł:—„Co począć? sprawa haniebna:
 Daj radę—twoja rada potrzebna!“

Na to ów rzecze:—„Każ przetrząść, szachu!
 Każdy zakątek w panińskim gmachu;
 Jeśli chcesz córkę swoją zawstydzić,
 Niedosć tu słyszeć—potrzeba widzieć.“

Szach polegając na mądrém zdaniu
 Każe w Meniszy szukać mieszkaniu,
 Gerziwewowi rozkaz wydaje:

—„Z Iranu wszystko złe się dostaje;
 Przez Iran i przez własne me dziecko
 Przyszło nieszczęście na mnie zdradziecko.
 Węz zatem wierną z sobą czeladkę,
 Przetrząś piwnice, izby, poddasze,
 Póki ci ptaszek nie wpadnie w siatkę,
 I w więzach staw go przed oczy nasze.“

VII.

Gerziwes stawia Biszena przed Afraziabem.

Gdy się Gerziwes zbliżył pod bramę,
 Doszedł go z wnętrza zgiełk, śpiewy same;

Czasem dźwięk gęśli i fletni zławia:
 Snadź, że Menisze gody wyprawia.
 Wnet wszystkie wyjścia przecięli słudzy,
 Ci u bram, na dach powłazą drudzy;
 A gdy wciąż w gmachu brzmiała ochota,
 Gdy nikt otwierać nie przyszedł wrota,—
 Wtedy Gerziwes strzaskał zapory,
 I wiodąc z sobą dworskich huf spory,
 Do wielkiej izby wszedł niespodzianie
 Pewny, że gacha przy niej zastanie.

Już z progu wzrokiem dopadł go w głębi,
 Patrząc, by jastrząb w stado gołębi.
 Sześćset panienek stało tam wiankiem,
 A każda z arfą i złotym dzbankiem;
 Obcy młodzieniec siedział pośrodku
 Chyląc nalaną czaszę do spodku.
 Gerziwes zdala, a już doń krzyczy:
 —„Podtył znać w tobie ród niewolniczy;
 Nie śniło ci się popaść w lwią norę,
 Teraz się wykręć z szponów—masz porę.”

Ho! nie przelewki!—pomyślał młodzian—
 Sam, bez oręza, zbroją nie odzian.
 Żebym Szebrynga choć miał pod ręką!
 Śmierć tu niechybna! Okrutną męką
 Wrogi mi wydrą żywot niewinny.
 Gdyby tak Guders, Giw, lub kto inny!
 Lecz darmo! nie mi już nie pomoże
 Chyba ty jeden pomożesz Boże!

Witeź miał zawsze w jednej cholewie
 Kindzał ukryty; dobył go w gniewie
 I, stając we drzwiach błysnął żelazem.
 Śpiew ucichł, arfy umilkły razem:
 —„Jam Biszen!—krzyknął—głowa Pehlwanów!
 Keszwad mym dziadem!—więc się zastanów.
 Komu z was głowa cięży na grzbiecie
 Niechaj mię bierze—może weźmiecie!
 Bo i w dniu sądnym, gdy zmarłe wstaną,
 Jeszcze mi trwoga będzie nieznaną!”

I w Gerziwesa topiąc wzrok smętny
 Rzekł:—„Tak poigrał ze mną los wstrętny!
 Słyszałeś, jakie w witeziów kole
 Mam zachowanie. Więc jeśli w pole
 Chcesz wyjść, bój z wami mię nie ustraszy,
 Bo pragnę ręce umyć w krwi waszej,
 Głowy tureckie zmiatać kindzałem
 I ziemię zasiać tureckim ciałem.

Lecz gdy przed szacha będziesz mię stawil,
Opowiem wiernie całą przygodę;
Ty zaś mu doradz: weźmiesz nagrodę,
By mi niewinny żywot zostawil."

Czytał Gerziwes w licu otwartém
Śmiałka, że słów tych nie mówił żartem,
I że dobywszy z pochw bulata
I krwi natoczy, i łbów napłata.
Przeto mu przysiądz kazał, i wzajem
Żywot zaręczył, toż obyczajem
Wojennym kindżał wydarł mu z dłoni;
A kiedy Biszen już się nie broni,
W łańcuchy od głów do stóp go skuto.—
Nie obronisz się rycerską butą,
Przeciw losowi, który nas ziemian
Wznosi, lub w przepaść grąży naprzemian!

Niosąc na rękę ciężkie kajdany,
Przed Afraziaba Biszen pozwany
Stanął wybladły, z odkrytą głową
I lżą w źrenicy; gdy taką mową
Szach weń uderzył:—„O! podły wraże!
W jakim przybyłeś tutaj zamiarze?"

Lecz Biszen szacha pocziwszy zdrowiem,
Rzekł:—„Jako było, wiernie opowiem.
Przybyłem tutaj nie z mej przyczyny,
Więc na nikogo nie kładz tu winy.
W dolinę, kędy święcono święto,
Zaszedłem tocząc bitwę zaciętą
Z dzikami; moi ludzie zaś społem
Jakoś za zbiegłym poszli sokołem;
Gdy ja tymczasem w srogiem znużeniu
Usnąłem w chłodnym cyprysów cieniu.
Aż tu—czy dziwo, czy Pery jaka
Zleciawszy, porwie mię od rumaka
I uspięnego niesie przez chmury,
Aż gdzie się ciągnął orszak twój córy.
Spojrzę—a wzgorza, dolin przesmyki
Zalegli jezdni, nosze, lektyki;
A gdzie się gęstszy tłum jeźdzców tłoczy
Baldach jedwabny wpada mi w oczy.
I w pańskiej pysze buja nad głowy.
Cudny palankin aloesowy,
Kędy na puchach piękność uspięna
Leżała sobie—przy niej korona.

Wtém Pery nagle Ahrmana wzywa,
I jako wietrzyk zwinna i żywa

Porwie mię, w panny rzuci objęcia,
Szepcąc nad spiącą swoje zaklęcia.
Nakoniec w te tu przybywszy mury
Taki mię objął smutek ponury,
Chociem nie zgrzeszył czynem zbrodniczym,
Ani twą córkę nie splamił niczém.
Peryą winuj: jój czarów siła
Zdradliwych, takim snem mię spowiła!"—

Na to Afraziab:—„Szczęście twe zgasił
Poszedłeś krzywo, bies ci dał hasło.
Z lukiem, z kołczanem wybiegłeś w świątek
Śniąc wielkie boje, sławy dostatek;
A teraz w pętach, bez czci i chluby,
Pleciesz jak baba smalone duby.
Lecz żyj co włzie, to mię nie wzruszy,
Z rąk moich pewno nie wyłzesz duszy.”

A Biszen:—„Pozwól królu dostojny
Powiedzieć słówko. Dzik kłami zbrojny,
Toż lwisko groźny z pazurem krzywym
Będziez do bójki kiedy leniwym?
Równic i witez: byle przy zbroi,
Każdemu w bitwie kroku dostoi.

Lecz sam to przyznaj, czyli pięść goła
Zastęp orężny pokonać zdoła?
Czyś kiedy widział takie zjawisko
By bez pazurów biło się lwisko?

Chcesz więc spróbować czy nie mam lęku:
Daj mi maczugę ciężką do ręku,
Daj konia, co to do boju rwie się,
Tysiąc rycerzy wyprowadź w pole:
Jeśli choć jeden głowę uniesie,
Babą się nazwać, szachu, pozwolę!

Zaledwie słów tych domówił jeniec,
Szach w gniewie skoczył, jak potępieniec,
Do Gerziwesa trzęsąc się rzeczć:
—„I ty za zdrajcą prosisz człowiecze?
Ty chcesz, bym chronił jego żywota
Gdy nas wyzywa, obelgi miota?
Małożto złego nawarzył u mnie,
By jeszcze w siłę swoją bił dumnie?
Ściśnij mu nogi, ręce żyłate;
Zuchwalec w śmierci znajdzie zapłatę!
Niech szubienica przed zankiem stanie
W miejscu, by każdy mógł patrzeć na nią;
Na haku zbrodzień się pokolysze,
I więcej o nim niech już nie słyszę!

Taka nauczka nie będzie na nic,
Sposzy Iranów od moich granic!

Wzięto Biszena. Ból jakby w kleszcze
Piersi mu ścisnął, z oka lza tryszcze;
Mówił, a serce było obawą,
Powieka zaszła wilgocią krwawą:
— „Gdy na mém czole Bóg wyrył palcem
Że tu mam zginąć nędznym padalcem,
Nie strach mi śmierci z wszechmocnej woli;
Ale ta jedna obawa boli,
Że mi tchórzostwo wróg zadać może,
Jeśli bez walki głowę położę,
I pamięć moję brzydko ogada
W oczach mojego ojca i dziada.
Oj! będą-że się wrogi cieszyli
Kiedy pobladnę w skonania chwili!

Podal od szacha, rodziny lubej,
Nieszczęsną gwiazdą idę do zguby!
O! wietrze bujny! leć do Iranu
Zanieś poselstwo mojemu panu!
Opowiedz, w jakiej dni skończę męcę,
Pod lwim pazurem, we lwiej paszczęce.
Toż Gudersowi powiedz: że ginę
Przez druha mego Gurgina winę;
A jemu rzeknij: psie jadowity!
Na tamtym świecie staniem jak wryty,
Kiedy cię widmo Biszena krwawe
Zahaczy, mówiąc: z grzechów zdaj sprawę!

VIII.

Piran prosi Afraziaba o łaskę dla Biszena.

Bóg na biédaka spojrział litośnie,
Nie chciał Biszena sprzątać w lat wiósnicę —
Bóg i zamachy wrogów połamie.
Już szubienicę wzniesli przy bramie,
Gdy mędrzec Piran przechodząc blisko,
Widząc moc Turków i zbiegowisko
Około drzewa śmierci tak wielkie,
I zadzierzgniętą na nim pętelkę,
Zagabał Turków: — „Któż wytłumaczy
Co szubienica przed zamkiem znaczy?”
Gerziwes na to: — „To dla Biszena:
Gorszego wroga Afraziab nie ma!”

Słyszając to Piran chciał widzieć jeńca.
 A on stał smutny i obnażony,
 Wargi miał spiekle, twarz bez rumieńca,
 Z skrępowanemi na tył ramiony.
 Rzekł doń:—,Czyż życie tak ci obrzydło,
 Żeś aż tu przyszedł śmierci wpaść w sidło?"

Gdy Biszen wszystko wyznał do joty,
 Zliczył Gurgina zdrady i psoty:
 Pirana sercu litość nie obca,
 Więc też zapłakał nad losem chłopca,
 I kazał katom, by nie naglili;
 A do Biszena rzekł:—,Téjże chwili
 Biegnę, rzecz całą donieść szachowi:
 Może mniej srogi krok postanowi."

Poczém spał konia, i pędząc żwawo
 Przed królewskiego zamku wystawą
 Zsiadł, i z schyloném czołem ku ziemi,
 Z rękami na pierś skrzyżowanemi
 Zbliżał się przed tron zwyczajem slugi
 Rzekąc:—,Cześć szachu i żywot długii!"

Z uśmiechem władzca świata go zwitał,
 Że z prośbą przyszedł, z oczu wyczytał;
 Więc rzekł:—,Mów, czego żadasz, a śmiało;
 Tak zacnych ludzi jak ty znam mało.
 Może majątek chcesz mieć książęcy,
 Może z turanских powiatów który?
 Przecież ja skąpcza nie mam natury,
 A twe usługi stoją za więcej."

Słyszając to Piran, niskim pokłonem
 Uderzył; głosem upokorzonym
 Rzekł:—,Oby szczęście siedzibę stałą
 Na twoim tronie, szachu, obrało,
 A każdy promień jasnego słońca
 Niech wyobraża sławy twój gońca!

Darów twych w skarbach nie mógłbym zliczyć;
 Dałeś—co tylko myśl może życzyć.
 Mam dość; o więcej człowiek niestoi,
 Nigdy nie żebrzą poddani twoi.
 Władzą twą, moje szczęście się mierzy,
 A moja sława szczęściem rycerzy.
 Więc nie łakomstwo tu mnie sprowadza,
 Lecz coś innego myślom zawadza

Potężny szachul—tak mówił dalej—
 Słuchaj mej rady lwów gromicielu!
 Śmierci Biszena nie miej na celu
 Bo zemstę w Chozra sercu zapali;

On, i lwy jego ten pozor złowią,
I o Siawusza boje odnowią.

Ongi biegałem z radą codziennie,
Lecz nie słuchałeś, robiąc odmiennie;
Aż gdyś ją w końcu odrzucił z wstrętem,
Przestałem bywać rajcą—natrętem.
Wiesz, zem nie radził gwałcić sojuszu,
Ani się krwawo mścić na Siawuszu,
Cnym Kajanidzie, twoim obrońcy.
Przepowiedziałem ów napad mszczący,
W którym Tus, Rustem oręż przypasze;
Przepowiedziałem, jak łany nasze
Ich słońce zdepcą ciężkimi stopy,
Jak krew zadymi w podniebne stropy
Z ciał naszych, wszędy się walających,
Jak zadrzym na jęk niewiast płaczących.
A tyś niebaczny lał jadowity
Napój, i Siawusz (1) upadł zabity!

Czy myślisz, że już nie ma Rustema,
Czy tyłu mężnych, czy Giwa nie ma?
Jeszczeż ci mało? bięda po biędzie
Z Iranu długim pasmem wciąż idzie.
Napróżno modły niesiśmy Bogu,
Gdy koń ich orał po tym rozłogu;
Jeszcze nie stępsiał bułat Salzera,
W pochwie go pewno rdza nie pożera;
W garści Rustema błysnie niedługo,
Krew się ku słońcu poleje strugą.
Chciałżebyś w nędzy widzieć nas schnących,
Wonią oddychać kwiatów trujących?
Niech twój mądrości gniew nie przygłuszy,
Bo pył zniszczenia kraj ten przypruszy,
Jeśli Biszena głowę dasz katom.

O! szachu! rozważ duchem, a szczerze,
Jakim uległeś zemstom i stratom,
Odkąd z Iranem zdarłeś przymierze.
Złe się uspiło—nie budź go lepiej;
Po co trząś owoc z drzewa niedoli?
Zemsta, nienawiść jeśli-c się czepi,
Nie znajdziesz pleców, wróg cię okoli.
Już widzę Giwa i innych tyła;
Widzę Rustema—by krokodyla;

(1) Kawus, szach Iranu, pomimo zawartego miru z Afraziabem, wydaje wojnę. Czemu Siawusz, syn Kawusa, obruszony, idzie na pomoc Afraziabowi, który go przyjmuje, i daje mu córkę swą za żonę. Lecz później, przez podszepty Gerziwesa zaczyna go podejrzewać o zdradę;—na koniec na śmierć skazuje. Z jego krwi wyrosła roślina: *krew Siawusza*, której liście przedstawiały wizerunek zamordowanego. — Otóż i nowy powód do odwiecznej walki Iranu z Turanem.

Gudersa—jako szarszunem w dłoni
Mszcząc śmierci wnuka po łbach nam dzwoni.”

Kiedy tak Piran gniew mu ukrócał,
Rzekł szach—a jeszcze złością się rzucał:
—„To chyba nie wiesz, co Biszen zbroił?
Gdy chcesz, bym słuszną zemstę ukoił.
Mennisze w żądzy niepowściągliwej
Zhańbiła dom mój, i ten włos siwy;
Każda z mych niewiast. choć pod zastoną,
Dziś z jego łaski będzie czernioną;
Nawet gmin gotów pod moim bokiem
Śmiać się na gardło, uragać wzrokiem.
Dopóki lba mu strącić nie każe,
Póty zły język siałby potwarze,
I—takimby mię zbryzgano kałem,
Iżbym krwią płakał, jak już płakałem.”

Piran zaś na to:—„Władzco nad światy!
O! prawdomówny, szczęściem bogaty!
Coś rzekł, przewyższa wszelkie pochwały,
O dobrą sławę domu tys dbały.
Lecz błagam, rozważ mądry Szehryarze
Radę, co-ć daję w głębszym zamiarze.
Biszena prosto wtrąć do więzienia,
Niech wzywa śmierci tam jak zbawienia;
Będzie to takim śmiałkom przestrogą,
By krzywą do nas nie leźli drogą.
Zniknie na zawsze wtrącony w jamę,
Nawet go diwy nie znajdą same”.

Podobała się rada Pirana
I wnet Gerziwes wezwan przed pana.

IX

Afraziab każe Biszena wtrącić do więzienia.

Do Gerziwesa rzekł szach rozkazem:
—„Wtrącić Biszena w lochy; żelazem
Okuć mu ręce, nogi i szyję,
W ciemnicy pieczar zamknąć—niech guije!
Twarde łańcuchy każ skuć umyślnie,
I tak łbem na dół strącić go z góry
W pieczarę, kędy przez zmrok ponury
Nigdy się księżyc, słońce nie wcisnie.

Ów głaz ogromny Akwana diwa,
 Którym wydobył z morskiej topieli,
 Coście go w Czinu borach widzieli;
 Głaz, co Erszenga grób dziś pokrywa,
 Sprowadź mi słonmi z onego grobu,
 Zawal pieczarę, by już sposobu
 Nie było wyjścia. Nin mi uciecez,
 Prędcój się Biszen w tej bezdni wściczeł!
 Obojgu krwawą zemstą zapłacę!
 Idź, zrabuj, rozburz pyszne pałace
 Tój wszeteczniczy! Z bezwstydnój skroni
 Zedrzej koronę! i powiedz do niej,
 Do mojej córki: z jakąż ślepotą
 Honor ojcowski zdeptałaś oto;
 Ród sławny, węzły zhańbiłaś święte;
 Korona, skarby, są ci odjęte.
 Więc obnażoną wiedz przed pieczarę,
 I powiedz: tutaj znajdziesz swą parę —
 To twój kochanek, skazan na długo;
 Ciesz go, gdy jęczy, i bądź mu służką!”

Gerziwes wybiegł z izby tronowej
 Spiesznie wykonać ten rozkaz nowy.
 Biszen silnemi okuty pęty
 Już zawleczony stanął przy jamie;
 W żelazach noga, w żelazach ramię,
 Tułów żelaznym obręczem spięty.
 Kowale skuli dużemi młoty
 Każdą część ciała jakby w leszczoty;
 Poczem go pchnięto na łeb, głęboko,
 Czclusć zawarłszy oną opoką... .

Ztamtąd Gerziwes siepacze swoje
 Prosto w Meniszy powiódł pokoje;
 Rozburzył wszystkie sprzęty, komnaty,
 I na łup oddał skarbiec bogaty.
 A zaś Meniszę z odkrytém łonem
 Boso i z czołem już obnażonóm,
 Bładą — cierpienie zjadło ją same —
 Rozkazał powlec przed straszną jamę.
 „Oto twój pałac! — Gerziwes powie —
 Za dziewczkę teraz służ Biszenowi.”

Poszli. Menisze sama została;
 Z oczu jej gorzka łza się polała.
 Z jękami w jedną, to drugą stronę
 Rzuca się w puszce nieprzebrodzone:

A powrócił znowu przed pieczęć
 I wyprzedził z takim ekspressem
 O dół oddzielenie a tamże kory
 Biega do miasta i — jak dzień był
 Nieznośne pod brzośnią; gdy ja wspomnę
 Znowu do jakich wieszawsz się dawać
 Aby nakazać cłobem kochankę...
 Tak jej spływały dla bez zastania
 Środ głodny męży, czarnej kochanki
 A jednak wzmianka strona swój grój

WIADOMOŚĆ

O MATERIAŁACH DO HISTORII POLSKIEJ,

znajdujących się w cesarskiej bibliotece manuskryptów w Paryżu;

przez W. K.

(Dokończenia).

W oddziale *Supplément françois*, w manuskrypcie zatytułowa-
 nym *Mélanges*, pomiędzy papierami odnoszącemi się wyłącznie
 do historii szwedzkiej znajduje się interesujące pismo Puffen-
 dorfa kanclerza szwedzkiego, o związkach których Szwecya ma
 szukać w Europie. Puffendorf uważa, że Rossya, Brandeburgia
 i Dania, są największemi Szwecyi nieprzyjaciółmi; alians z Fran-
 cyą jest dla niej najkorzystniejszy, z Anglią o tyle tylko, o ile kraj
 ten Szwecyi potrzebuje i lęka się: bo, jak powiada Puffendorf,
 Indianie modlą się do szatana, aby im nie szkodził. Głównym
 przedmiotem obawy ze strony ministra szwedzkiego jest Pomo-
 rze, o którego wydarcie bardzo się lęka. Godném jest uwagi, że
 w Polsce nie widzi nieprzyjaciela, i owszem mógłby liczyć na jój
 alians, gdyby od słabego rządu polskiego można było spodia-
 wać się pomocy. Z upadkiem Wazów i ze zmianą stosunków
 Rzplitej z dworem austryackim, zmieniło się zupełnie nasze
 internacjonalne położenie. W r. 1657 Szwecya proponowała

rozbiór Polski (1), a w r. 1682 kanclerz szwedzki już inaczej dla Polski jest usposobiony. Oto ustęp jego dotyczący Rzplitej: „Korona polska ma tyle z sobą do czynienia i takich sąsiadów w Turkach, Tatarach, Kozakach i w Rossyi, że o daniu pomocy innym skutecznie myśleć nie może, chociażby nawet chciała i chociażby zapomniała niezliczone szkody, zadane jej przez Szwedów w ostatniej wojnie, prowadzonej, jak mówią Polacy, bez żadnego powodu i nieroztropnie, bo raczej Szwedzi Polsce dać byli powinni pomoc. Wprawdzie nie życzą sobie Polacy, a tém mniej nie pomogą do tego, aby Rossya koronie szwedzkiej prowincye inflanckie zabrała, i tém niebezpieczniejszą stała się dla nich; lecz pominąwszy, że Rzplita ma wstręt do wojny zaczepnej, nie znajdzie już może ani tój potęgi, ani okazji, aby zamiar podobny w chwili kiedy działać potrzeba, do skutku przyprowadzić: chociaż obawiać się należy, aby dzisiejszy marsowy król nie chciał poddanym swym znakomitej oddać przysługi, i dla zapewnienia synowi swemu następstwa, nie pomyślał o zaborze Inflant. Podobnież nie złączą się Polacy z Brandeburkiem dla wypędzenia Szwedów z Inflant i Pomorza, ale téż i dla Szwecyi nie nie uczy-

(1) Propozycya ta zamieszczona jest w instrukcyi dla Fryderyka Frierendorffa, jadącego do Anglii w imieniu Karola Gustawa. Znalazłem ją w archiwum bruxelskiem w 1 vol. manuskryptu p. t.: „Ephemerides de Leonard et de Herman Voeller” 1642 – 1667 (*Archives de l'Allemagne et du nord*). Ponieważ całość jest zaobszerna i historyą naszą mniej obchodzi, ograniczę się na ważniejszych wyjątkach. Karol Gustaw podpisał tę instrukcyą 3 sierpnia 1657 w obozie pod Wedell nad Elbą, i w niej proponował Oliwierowi Kromwelowi związek ścisły Szwecyi z Anglią dla zupełnego pogrzebania Holandyi i Danii, których konkurencya dla obu krajów w sprawach handlowych staje się niebezpieczna. Król szwedzki ofiaruje Anglii Oldenburg i cały okręg westfalski, a to aby Anglia jako właścicielka już nabytych posiadłości na stałym lądzie, przez powiększenie onych zyskała przeważniejszy wpływ na interesa Niemiec. Zund miał być przejściem wolnym i dla wszystkich narodów otwartym; Szwecya miała zająć ważniejsze punkta w Norwegii, całe Inflanty i Kurlandya; elektorowi brandeburskiemu ustępowano całych Prus królewskich, i niczego zgółta miano nie zaniedbać, co by ku poskromieniu dworu austriackiego i całej ligi katolickiej posłużyć mogło. W § 4 czytamy: „Sollte dieses nicht zureichen wollen und der Protector iudiciren ihm etwas convenable zu sein, dass er etwas an den König in Pohlen wie auch in Dantzig pretendirte”, to te rzeczy, mówi król szwedzki, dałyby się ułożyć. § 7.... „Das gantze Preussen, entweder *per pacificationem cum Polonia*, oder sonsten auf andere Vergleichungswege, an einen ewangeli-

nią, a najmniej będą chcieli zaczepić którego sąsiada. Możliwy przypuszczać, że król polski dałby się wciągnąć do wspólnej z nami wojny, której ostatecznym końcem byłaby dla niego zdobycie Prus elektorskich, dla nas zajęcie tylnego Pomorza; ale potrzeba zważyć, że taka wojna wymaga poprzedniego między dwoma koronami aliansu i umowy, które przeprowadzić jest niemalą sztuką, jak o tem wszyscy wiedzą, co znają stan Polski i bez końca istniejącą zazdrość Rzplitej do dzielnego króla. I to także dodać należy, że muszą się mieć na baczności względem Turcyi i być zawsze w pogotowiu przeciw tak potężnemu nieprzyjacielowi; nie mogą także spuszczać z uwagi dzisiejszych wewnętrznych niepokojów w Rossyi. Niczego więc nateraz spodziewać się nie można, a my właśnie mówimy o dniu dzisiejszym, bo każdej niemal godziny musimy się obawiać, aby nas z Pomorza nie wyrugowano, a w razie takiej silnej napaści już byłoby po wszystkióm, zanimby Polska na pomoc nam przyjść mogła. Byłyby nadto i inne trudności do zwalczania, nimby się przywiodło dwa narody tak różno sobie w obyczajach, języku

Schen Herrn (als den Churfürsten von Brandenburg oder jemandt andern) der sich gegen den Catolischen zunöthigen zu *maintwiran* wüste, wozu der Herr Protector auf solchen fall möglich-t helfen würde, *bonis et legitimis modis* abzutretten". Bo, mówi dalej, zostawić katolików w dawnym stanie rzeczy, ani *consentientia*, ani *ratio status* nie dozwala; przytóm przez oderwanie Prus od Polski chce on się ubezpieczyć, i nazawsze od wojny z tym krajem zapewnić. Ale za niebezpieczeństwa, trudy i wielkie wydatki w ciągu wojny poniesione, za utratę niesłychanej liczby wojska, i za inne szkody, które Szwedzi od Polaków (!) wycierpieli „wurde man (dla króla szwedzkiego) von seithen Pohlen nichts weniger begehren können als ganz Lieslandt *cum appertinentiis* (Curland zu verstehen)"; oprócz tego, jakiegoś wynagrodzenia pieniężnego dla wojska i za szkody na Pomorzu zrządzone. Takie były pod koniec wojny szwedzkiej zamiary Karola Gustawa względem Polski; że on na inne warunki pokoju przystał, stało się to skutkiem odmiany szczęścia, skutkiem téż interwencji stanów holenderskich, które się lekaly przemocy szwedzkiej, jak o tem obszernie rozpowiada *Aitzema* kronikarz holenderski w 37 księdze swego olbrzymiego dzieła.

Jednakże chociaż upadły zuchwał projekt Karola Gustawa, niemniej ważnym jest ten pomnik, bo dowodzi, jak nisko w owym czasie stały Niemcy i Polska, że niemi absolutnie chciał król szwedzki rozrządzać. Bliższą o tym dokumencie wiadomość powziąć można w rozprawie Dr. Corremansa *Compte Rendu de la séances de la Commission Royale d'Histoire*. Bruxelles, 1846. XI. s. 38.

i religii, do wierniej i szczerzej zgody, nimby się usunęło zakorzenione między niemi poróżnienia.“

— *Manuskrypt p. t.: Lettres, Memoires, Actes et Traités concernant la Pologne depuis le Roy François I jusques a 1640.* Wielki foliati obejmujący 182 arkuszy zapisanych jedną ręką; charakter pisma z pierwszej połowy w. XVIII. Odnosi on się do różnych epok i do różnych spraw; pokrótce przejdziemy jego treść.

Korrespondencye ceremonialne między Franciszkiem I, Zygmuntem Starym i Ludwikiem węgierskim 1524 — 1527. Przy nich dołączona jest relacya zwycięstwa Tarnowskiego nad Wołoszą 22 sierp. 1532 (1).

(1) Niemając pod ręką ówczesnych kronik, nie mogę porównać tego opisu; wiem tylko, że bitwa pod Obertynem bardzo mało w szczegółach jest znana: może więc nie będzie od rzeczy, jeśli opis ten woryginalie tutaj zamieszczę:

„Voyevoda Moldaviae et praedecessores ejus, ut perfidorum mos est, nihil unquam longo jam tempore Regibus et Regno Poloniae quod tenebantur praestituerunt, quo ipse Voyevoda innixus hyeme praeterita praeter omnem expectationem, foederibus et juramentis quae fecerat neglectis, nullaque hostilitatis denunciatione praemissa, Provinciam Regni Poloniae *Pokuzia* nuncupatam fide et honore postposito occupavit. Quam injuriam cum Serenissimus Poloniae Rex diutius ferro non posset Exercitum selectorum mercenariorum militum ex Regno suo comparavit et conscribi jussit, opera Magni Dⁱ Joannis Comitis de Tharnovo Palatini Regni Poloniae Capitanei generalis quem ille variis in locis ne hostis certum numerum scire posset collegerat et disposuerat, et non multum ante festum Sancti Jacobi ad loca quae praesidiis hostis firmata erant admoventi jusserat, constabatque totus ille Exercitus Equitibus, praeter trecentos pedites qui machinis et bombardis erant addicti.

„Ex his Equitibus ipso Capitaneus Gnalis praemisit duo mille et aliquot centum Equites, qui praeter Valachorum spem et sententiam variis in locis Provinciam illam *Pokuziam* adorirontur. Valachorum ibidem in ipsis praesidiis erant fortassis 1400 bello apti praeter aliam colluviem. Poloni milites mandata Capitanei strenuo exequentes, non una ex parte eam provinciam invaserunt, confligentes cum hostibus, multos trucidarunt et non paucos vivos ceperunt inter quos erant plerique ipsius Valachi familiares et aulici, atque in duobus diebus totam provinciam recuperarunt praeter castrum quoddam *Gwozdzierz* quod cuidam nobili Polono fuerat ademptum, hoc tamen etiam paulo post obsidentes in potestatem suam redegerunt et illic quemdam praefectum militum Vloder nomine praefecerunt. Pauci ex ista Polonorum irruptione qui superfuerant evasere in Valachiam. Huic victo-

Listy Zygmunta I do Franciszka, upominające się o szkody przez rozbójników morskich francuzkich kupcom gdańskim i elbląskim zadane, z r. 1537. Do tegoż list burmistrzów i rajców gdańskich.

Akt elekcyi księcia d'Anjou i akta do tójże elekcyi odnoszące się.

Traktat przymierza między Karolem IX a Henrykiem królem polskim i stanami Rzplitej.

Mowa Henryka po przyjeździe do Krakowa w senacie polskim, w której zastrzega, aby mu oprócz rad koronnych, wolno było mieć kilku najcelniejszych mężów na doradców szczególnych.

Deklaracya, którą Polacy uwalniają się od przysięgi Henrykowi królowi.

List króla Stefana do papieża (*lettre d'obédience*) 1576 i protestacya Henryka z r. 1579.

Następują papiery niebędące w żadnym związku z stosunkami polsko-francuzkiemi; takie zaś są:

Instrukcyja obywateli ziem pruskich na sejm 1607 r.

riac Capitaneus Gnalis Comes de Tharnovo non interfuit sed in posteriore exercitus parte, rerum eventum non procul praestolabatur. Victoriae vero nuntium cum quibusdam captivis, nobilis quidam juvenis de Tharnovo Ser^{mo} Poloniae Regi Cracoviam apportavit, paulo post appulit etiam ad Serenissimam Regiam Majestatem G^{nus} Dus Hieronimus Schaffraniecz qui plurimos ex victoria captivos attulit, iique hic inde per castra regia distributi.

„Post hanc acceptam Cladem Voyevoda Valachus percitius omnes quas potuit copias congessit et in tres Exercitus divisit, eratque numerus omnium super viginti millia. Cum his in provinciam Pokuziam perveniens sex millia equitum ad recuperandum Castrum Gwoździerz transmissit, de quo certior factus Comes de Tharnovo Capitaneus Gnalis cum toto suo exercitu et iis qui ultra se adjunxerant ad succurrendum obsessis affluit. Hoc videntes Valachi decima nona Augusti praeteriti cum exercitu Polono manus conserverunt, in eo conflictu cum Dei adjutorio Poloni superiores facti, Valachorum ista sex millia profligarunt et in fugam verterunt; multi illorum caesi, capti quam plurimi et praesertim de iis qui ipsius Voyevodae Curiae inserviunt. Hanc suorum stragem cum a duobus capitaneis qui ex praelio profugerant Voyevoda audivisset commotus jussit illis amputari capita, sed aliorum praecibus victus cathenis ferreis vinctos custodiae mandavit. Ista est Valachorum consuetudo quod eos omnes qui ex pugna evadentes domum revertuntur suppliciis gravioribus quam si in bello cecidissent afficiant, hinc fit quod in confligendo multis aliis nationibus sint ferocios.

Przysięga elektora brandeburskiego i warunki lenności księcia pruskiego, puszczonej w r. 1611.

Mowa ks. Janusza Radziwiłła 1613 r., w której króla o zły stan Rzplitej obwinia, żali się na wojnę, wyrzuca złe rady poufalitych królewskich, i ostro wymawia, że wbrew przysiędze królewskiej gwałt się dzieje wolności wyznać.

List Alexandra szlachcica szwajcarskiego, grobu Chrystusowego kawalera, w którym opowiada klęskę Tomszy uzurpatora wołoskiego, zadaną przez książąt Koreckiego i Wiśniowieckiego 1615 r.

Przymierze między cesarzem Maciejem a królem polskim 1615.

Traité de l'an 1617 convenue entre le Prince Ladislas Sigismond Prince de Pologne, Roy de Suède, elu Empereur de Moscovie d'une part, et la Republique de Pologne et grand duché de Lithuanie.

List Zygmunta III do cesarza tureckiego z r. 1617, przypominający, iż królowie polscy po wszystkie czasy święcie przestrzegali traktatów z cesarzami tureckimi, ze szkodą nawet własnego interesu; iż Rzplita stara się ukrócić swawolę kozactwa; iż królowie polscy posyłają podarunki hanom tatarskim jako przyjaciółom swoich przyjaciół i nieprzyjaciółom swych nie-

„Accensus itaque Valachus ira pariter et pudore, ipse in persona cum suis omnibus Polonos septos castris, ut eorum mos est, curribus et vallibus factis, cum multis magnis bellicis tormentis quae secum duxerat aggressus est. Cumque Poloni sic cincti non excedentes sextam partem numeri, quem secum habuit Valachus, vim globorum ulterius ferre non possent, prioribus victoriis animati et ope divina adjuti extra vallam in ordinibus suis prosilientes, proelium commiserunt et cum hostibus pro perfidia expostulantes et certantes ad quinque horas sine intermissione conserverunt manus, illosque ad interuicium usque prostrarunt, namque praeter multa millia caesorum Voyevoda ipse fugiens duobus vulneribus est affectus.

„Tormenta bellica magna cum quinquaginta cum pluribus globis, curribus onerariis et toto comiteo capta, inter qua fuerunt quaedam ante viginti quatuor annos Polonis et superioribus annis ipsis Transylvanis, Hungaris adempta item duo vexilla maiora et principaliora, tunpana et multa alia bellica apparamenta quae omnia facta sunt 22 Augusti praeteriti. Poloni prosequentes victoriam inscuti sunt fugientes Valachos per miliare Gertranicum unum cum dimidio trucidantes et plerosque de nobilioribus vivos capientes. Fuit caesorum ingens numerus, et inter eos multi ex principalioribus Valachia reperti.“

przyjaciół, a w końcu przestroga, aby wojska tureckie za kozactwem wysłane, nie zbliżyły się zbyt daleko do granic Rzplitej.

List króla polskiego do Ludwika XIII z d. 20 lip. 1619 r. z prośbą o pomoc przeciw potędze tureckiej.

Mowa ambasadora polskiego miana w Londynie 1621 r. (w marcu) do króla W. Brytanii z prośbą o posiłki przeciw Turcyi. W przemowie tej poseł zowie króla angielskiego obrońcą wiary, i twierdzi, iż on jeden tylko z książąt chrześcijańskich idzie nie za swym własnym, ale za publicznym dobrem całego chrześcijaństwa, i że on jeden tylko poznał, iż wszystka Europa zagrożona jest od Turcyi ze strony Polski, że Turcyja morzem wysła wielkie floty, a lądem rzuci się na Niemcy i nie będzie podobieństwa oprzeć się jej w tylu miejscach naraz.

Pacta conventa elekcji Władysława IV.

Traktat zawieszenia broni na lat 20, między Władysławem IV a Krystyną szwedzką w Stumdorfie 1635 zawarty.

Traktat pokoju między Polską a Moskwą 1634.

Causa et progressus belli Polonorum cum Moscoviticis breviter comprehensa et ad Caesarem pro informatione missa.— Pamiętnik opisuje stosunki Rusi z Polską jeszcze od czasów Włodzimierza Wgo, z nieco obszerniejszym opowiadaniem wyprawy Mniszcha, Żółkiewskiego i oblężenia Smoleńska.

List Karola Ogera do Mikołaja Burbona z d. 7 październ. 1635, opisujący pokrótce negocyacye w celu zawarcia pokoju między Szwecyą i Polską prowadzone (1).

List Zawadzkiego ambasadora polskiego z Ratuszów 2 grudnia 1636, opisujący ówczesne stosunki niemieckie.

Mowa ambasadora francuzkiego miana w Warszawie 1637 na sejmie do króla i Rzplitej, nakłaniając do wysłania ambasadorów do Kolonii, gdzie negocyacye o pokój rozpoczęte, i prosząc o dozwoleńie poboru 4,000 kozaków; co tém bardziej pozwolone być powinno, iż tej samój wolności dom austryacki w Polsce używa. Imieniem królewskim i stanów odpowiedział Gembicki, iż do Kolonii przeznaczeni byli: biskup Zadzik i Jakób Sobieski, lecz że ks. Zadzik zachorował, Sobieski mąż

(1) Poprzestaję na wspomnieniu o tym liście, gdyż negocyacye stumfordskie bardzo szczegółowo są znane z pamiętników Richeuliego, z relacyi ambasadorów holenderskich i z dzieła tegoż samego Ogera, które, jeśli się nie mylę, w Pamiętnikach o dawnój Polsce jest wyłączone.

roztropny i doświadczony niebawem wyjedzie. Rzplita zagrożona ustawicznemi wojny, kozactwa pozbawiać się nie może.

Następujący z kolei list Reja ambassadora polskiego z Londynu, wymaga pewnego objaśnienia. Wkrótce po wstąpieniu na tron Władysław IV powziął myśl zaślubienia córki palatyna reńskiego, wychowanej w religii protestanckiej. Była to w Polsce wielka nowość nie tylko dla różnicy religii, ale iż to małżeństwo pociągało za sobą zupełną zmianę polityki, której się Zygmunt IIIci trzymał. Władysław żeniąc się z córką palatyna, przez cesarza wygnanego, wchodził w poczet nieprzyjaciół domu austriackiego, dziedziczył po Fryderyku obranym królu czeskim prawa do korony czeskiej, i Polska w ten sposób z ligi katolickiej w ligę protestancką wstępowała. Wiadomość ta jak przerażyła dwór austriacki i hiszpański, tak Francji, Anglii, Holandyi i Danii wielce się podobała. Ambassadorowie holenderscy wysłani dla zawarcia pokoju między Polską a Szwecyą 1635 r., powiadają w obszernym swym raporcie (1), że na prywatnej audyencyi u króla mieli z nim w tym przedmiocie rozmowę. Mówił król, żeby mu to małżeństwo z księżniczką czeską było bardzo po myśli, ale że ma wielkie w kraju przeszkody od duchownych a nawet świeckich senatorów, szczególnież zaś od p. hetmana Koniecpolskiego; że już wytoczył tę sprawę do senatu, lecz po dłuższej rozprawie zdecydowano, że senat w tej mierze stanowić nie może i odesłano na sejm. Jak wiadomo, sejm położył za warunek, aby księżniczka czeska przeszła na wiarę katolicką. Aby ją do tego nakłonić, wysłał Władysław w maju 1636, Zawadzkiego Jana do Hagi, gdzie jej matka Elżbieta, wdowa po palatynie, mieszkała. Warunek ten psuł kombinacye gabinetów protestanckich, nie podobał się też

(1) Posłowie holendersey z każdej missyi za powrotem wielce obszerne składali sprawozdania. W archiwum haagskiem znajdują się trzy takie raporta z r. 1629, 1635 i 1650 do Polski odnoszące się, a każdy po kilkaset arkuszy ścisłego pisma zawiera. Trudno uwierzyć, z jaką szczegółowością zdają oni sprawę; opisując audyencye u króla mówią o jego osobie, ubiorze, zapisują co do słowa rozmowę, starannie notują wszystkie ceremonie; podobnie co do wizyt u panów polskich. Wszystkie posiedzenia negocyacyj wspomnionych są najtroskliwiej zapisane aż do uct. któremi ich traktowano, aż do mieszkań w których byli osadzeni. Chociaż tak obszerny, jestto nieoszacowany dla naszej historyi materyał, zwłaszcza obok niedbałej lakoniczności naszych kronikarzy.



Elżbiecie i królowi angielskiemu. Mimo to, Władysław w mniemaniu, że albo Elżbieta, albo stany Rzplitej z oporu swego ustąpią, kazał jechać Zawadzkiemu do Londynu, gdzie, jak się zdaje, już były rozpoczęte negocyacye między Jakóbem i Władysławem IV na podstawie projektowanego małżeństwa, którego wielce sobie król angielski życzył: raz jako blizki krewny księżniczki czeskiej, a powtóre jako szczególny religii protestanckiej obrońca. Zawadzki za powrotem znalazł rzeczy bardzo zmienione: opozycya przeciw małżeństwu z heretyczką bardzo wzrosła, tak, że nawet w senacie jeden tylko Piasecki zdanie królewskie popierał. Tym oporem zmęczony Władysław, widząc że już w lata zachodzi i na siłach słabiej, przystał na projekt zaślubienia arcyksiężniczki austryackiej. Nie znalazł w tym względzie żadnych w kraju trudności, ale za to tém większą niechęć ku sobie za granicą wywołał. Ślub z Cocylią Renatą miał się odbyć w listopadzie 1636 r.; wedle zwyczajnych form, król polski wysłał Reja do Hagi, Londynu i Paryża z zaproszeniem na tę uroczystość.

Rej za przybyciem do Hagi, przyjęty na posiedzeniu stanów generalnych, tłumaczył króla ze zmienionego zamiaru, lecz nietrudno mu było spostrzedz, jak wielce ta odmiana nie podobala się lidze protestanckiej. Ani wenecki, ani francuzki ambasador w Hadze nie odwiedzili posła polskiego; sam nawet książę Oranii wahał się, czy ma go przyjąć. Pod złą wróżbą wyjechał Rej z Hagi do Londynu, a tam go jeszcze gorsze spotkało przyjęcie. Przesyła jego opis radcy holenderskiemu Rejgersbergowi: pozwólmy więc niechaj sam zabierze głos:

„Król mój chciał, abym był jego posłem do króla Wój Brytanii, Danii i do W. Stanów holenderskich. W pierwszych dniach sierpnia usiadłem na statek w Gdańsku, lecz pod złą gwiazdą; miotany bowiem wiatrem i częstymi burzami, dopiero we wrześniu do lądu dobiełem. Bodajem był brzegów angielskich nie widział! Dlaczego? pytasz.—Przyczyną jest zerwanie owego małżeństwa z księżniczką palatynówną, ale nie z winy króla, bo ten nie zaniechał niczego, co by rzecz tak szczęśliwą do skutku przyprowadzić mogło; ale z winy stanów, które mniemały, że religia dyssydencka, będąc na szczycie królestwa i narodu, stanie się powodem wielkiego rodzaju klęsk i rozruchów. Że zaś król angielski już poprzednio dowiedział się, że miałem polecenie zaprosić go na uroczystość ślubu z siostrą cesarza: wziął to sobie za obrazę honoru, co posel jego w Polsce będą-

cy mniemał być uczczeniem, iż do niego podobnie jak do innych królów, poseł w tym celu został wyprawiony.

„Oprócz tego miałem do króla W. Brytanii inne rzeczy do załatwienia, dotyczące spraw publicznych i krwi jego, które trzeba było koniecznie, aby jemu samemu przełożyć. Bo gdy król mój kazał mi oświadczyć wyrazy szczerój życzliwości, przeczytałem to sobie za obowiązek i dowód mój wierności, aby się podjąć trudu tego posłannictwa. Sądziłem także, że niużyteczna rzecz walczyć z przeznaczeniem, które stanowi o małżeństwach, tych mianowicie, co w rękę swém berło dzierżą; że przedewszystkiém trzeba święcie zachowywać przyjaźń, która przynosi pożytki, aby niesprawiedliwe jej zerwanie szkody nie przyniosło.

„Tak rzeczy rozważając spodziewałem się, że zrazu surowszą, lecz później łagodniejszą twarz obaczę, i ta nadzieja mnie nie zawiodła: bo z początku nie znalazłem godnym swego oblicza, później łaskawiej ze mną przez wysłańców swych postępował, aż nareszcie pod pewnemi warunkami zezwolił na audyencyą“... Lecz gdy dzień naznaczony na audyencyą przyszedł, przyniesiono mu pismo, które miał do króla odczytać, ułożone w sposób niegodny, i wymagano po nim, aby je podpisał. Obruszył się na taki postępek i te wyrzekł słowa: „Nie z więzienia ja tutaj sprawę moję prowadzę, chociażbym i więzy raczėj poniosł, niż uchybił obowiązkowi. Wszyscy królowie są sobie równi, i nie może jeden od drugiego wymagać, czegoby sam nie zrobił w podobniém położeniu. Przynoszę wam zadośćuczynienie i cześć; jeśli ją zaniechacie, wróci ona ze mną i więcej tu nie przyjdzie. I król, i polskie królestwo może się obejść bez waszėj przyjaźni. Weszliście w czynności z posłem, a nie z prywatnym człowiekiem, a po ich załatwieniu przyrzekliście mi królewskiém imieniem, że jako poseł przyjęty będę. Gdzie tu jest wiara, gdzie uczciwość słów? Także więc, z najprzyjaźniejszego króla gotujecie sobie nieprzyjaciela, a sami przewyższacie barbarzyńców, którzy posłów z wszelką zachością przyjmują”. To powiedziawszy żądałem, aby słowa te królowi donieśli. Wówczas Jan Cocceus, starszy sekretarz królewski, palec swe w uszy włożywszy, wykrzyknął: „Nie po tom tu przyszedł, abym takie rzeczy słyszał!“ Ja zaś zawołałem: „po to tu jestem, abym i tobie wolne słowa wypowiedział i oznajmił je twojemu królowi, o którym nie chcę więcej słyszeć, ani o jego ministrach!“ I tak ich od siebie odprawiłem. Wyjeżdżam do

Holandyi, a teraz donoszę ci jak rzeczy w Anglii stanęły, abys i ty osądził i potomność, kto większą chwałę odniósł: czy poseł, czy ten do kogo wysłany. Londyn, 5 listopada 1637.

Andrzej Rey z Nagłowic poseł" (1).

(1) Nie były szczęśliwe nasze stosunki dyplomatyczne z Anglią. Ambassada Działyńskiego w r. 1595 obruszyła Elżbietę przeciw Zygmunтови III, i od tego czasu dwór angielski chował urazę do królów polskich. Jakób, proszony przez Gustawa szwedzkiego o posilki przeciw Polsce, wprawdzie odmówił ich, lecz zachęcał stany holenderskie, aby ich udzieliły. W dziele p. t. *Lettres, memoires et négociations du Chevalier Carleton Amb. ord. de Jacques I Roi d'angl. auprès des Etats Généraux* (Haga i Leyd a1759) w t. II. s. 150 znajduję w tym względzie ważny list tegoż króla do Carletona, rezydującego wówczas w Hadze.... „Cet Ambassadeur du Roi de Suède a été auprès de nous et nous a delivré au long ce qu'il avoit ordre de nous dire. Nous avons répondu a ses demandes d'une manière dont lui et le Roi son Maistre ont sujet d'etre contents. Entre autres choses il a demandé que, comme à son passage dans le pays ou vous étiez (w Holandyi) il a laissé une partie de sa negociation sans être finie et qu'il se propose de la reprendre à présent à son retour, il nous plût de la recommander aux Etats Généraux, qu'il pense que leur considération pour nous ammenera plutôt a une resolution. Nous sommes très disposés à faciliter la chose et nous souhaitons qu'il ait satisfaction dans ce qu'il demandera, que nous suposons être un secours d'hommes en cas que la guerre s'élève entre le Roi de Pologne et son Maistre. Mais la manière de procéder en cela mérite de serieuses reflexions à cause du grand commerce que nos sujets de cette Ile soit Anglais, soit Ecossois, font dans les domaines du Roi de Pologne. C'est pourquoi nous n'avons pas voulu recommander son affaire par une lettre spéciale aux Etats, parceque nous ne savons pas si la chose ne pourroit point être sue, nous avons mieux aimé vous faire connaitre en particulier combien nous lui souhaitons de succès et nous recommandons à votre discretion et à votre habilité de lui faire obtenir son but en notre nom, par tous les moyens que vous trouverez convenables et que vous pourrez avoir occasion d'employer sans faire intervenir publiquement notre nom contre le Roi de Pologne. Car si d'un côté par rapport à la cause de la Religion nous mettons une grande difference dans nos affections pour les personnes et les causes des deux Rois, d'un autre côté le soin que nous devons avoir du bien de nos sujets veut que nous travaillions à notre fin, de façon que nous contribuions au succès de l'Ambassadeur, sans causer inutilement à notre peuple le mal, qu'il pourroit recevoir de l'aliénation du Roi de Pologne”.

List ten był pisany 10 listopada 1617 r. Współcześnie, w ogromnym zbiorze *Résolution van Holland* (276 tom.) w woluminie od r. 1613 do 1620 znajduję (s. 296), iż na posiedzeniu stanów generalnych z d. 23 marca 1617, ambassador Gustawa Adolfa podawał propo-

Następnie rozpoczynają się korespondencye królewskie i inne oficjalne dokumenta, odnoszące się do uwięzienia Jana Kazimierza w r. 1637 we Francyi. Pierwszy list Władysława IV

zycze swego króla. Szukał przyjaźni Prowincyj Zjednoczonych i ścisłego związku między dwoma państwami, połączonemi wspólnością interesów i religii. Oświadczył zarazem, że potrzeba, aby protestanci mieli się na haczności przeciw nieprzyjaciolom ich religii, a mianowicie przeciw królowi polskiemu i jego adherentom. Król polski jest w ścisłej przyjaźni z królem hiszpańskim, i obydwu sobie pomagają w swoich interesach; potrzeba więc, aby z drugiej strony wysokie stany zawarły z królem szwedzkim traktat zaczepny i odporny. Już bowiem są wieści, że król hiszpański niebawem wyśle flotę na morze Bałtyckie; wysokie stany łatwo zatem pojmą, jakieby im groziło niebezpieczeństwo, gdyby król polski, zawojowawszy Szwecyą z pomocą sprzymierzeńców, pomógł nawzajem Hiszpanii przeciw Holandyi, coby niezawodnie nastąpiło". Jaka była odpowiedź stanów, w zbiorze tym nie znajduję; być może, że jej umyślnie nie zamieszczono, wszakże w *Historji Amsterdamu* Wagennara czytamy w tomie X. pod r. 1617, iż przyznano Gustawowi Adolfowi na wojnę z Polską 40,000 florenów miesięcznego wsparcia.

Nie ta jedna była oznaka czynnej niechęci Holendrów przeciw Polsce; nietylko Szwecyi dopomagała ona w wojnach przeciw Zygmuntowi III. W Elzewirskim wydaniu *Respublica Moscoviae* (1620), na s. 527 znajduje się list Michała Federowicza, pisany 1613 ³⁰/₈ do stanów holenderskich. „...Mittite itaque Deo fortunante sub initium anni sequentis naves vestras ad civitatem nostram Archangelum; casa tormentis bellicis, pulvere, empyrio et globulis plumbeis probe affatimque instruite, nos autem aut pecuniam e fisco persolvemus, aut merces nostras paris pretii rependemus“. A zaś w drugim liście (str. 537) z d. 1/6 1614 przełożywszy spisec i ucisk nieprzyjaciół i sąsiadów jego, tak dalej mówi do ks. Nassauskiego „...Tu autem suppetias adversus hostes, arma etiam et merces caeteraque ad bellum et vitam sustentandam necessaria, liberaliter nobis et benevole obtulisti“.

Między r. 1611—1637 był ambassadorem holend. w Konstantynopolu Kornelius Haga. Pod r. 1617 pisał on do stanów, że się w Turcyi na wojnę przeciw Polsce zanosi, lecz że on poczynił pewne kroki ku uśmierzeniu tych zapędów wojennych. Odpowiedziano mu natychmiast, iżby się do tego nie mieszał i zostawił rzeczy tak, jak są. Obawiano się bowiem podówczas wyprawy Zygmunta na Szwecyą, i zdaje się, że ją Zygmunt gotował; czekał zaś jedynie na przyrzeczone mu przez króla hiszp. 12 okrętów, o które się po kilka razy przez Alberta, a następnie Izabellę, regentkę Belgii, przypominał. W wspomnioném dziele Carletona znajduję pod tymże rokiem (1617) następujące ważne ustępy:

I. s. 316. „Le Roi de Pologne à envoyé son Ambassadeur au Marquis de Brandebourg a Berlin, pour lui demander passage pour

naznaczony w manuskrypcie jako grzeszący swoją śmiałością jest tój osnowy:

Ze Władysław z wielkim bólem dowiedział się, iż gdy brat jego Jan Kazimiérz przybił do portu francuzkiego, urzędnik

ses troupes, au secours d'hommes et d'argent, la permission de bastir quatre vaisseaux et une promesse de declarer tous ceux de la Religion reformée incapables de gouverner en Russe. Ces demandes extravagantes annocent l'intention qu'a ce Roi de faire la guerre dans ces quartiers et cette crainte a fait retirer le Duc de Courlande, qui a laissé la defense de son pays à un gentilhomme".

Wiadomości te zrobiły wrażenie na stanach holenderskich; jakoż czytamy w témże dziele pod r. 1617: „L'ambassadeur du Roi de Suède a obtenu la permission de lever 1,200 hommes de pied sur les frontières de ces provinces et trois cents matelots ou il pourra les trouver. Il a demandé un secours de vaisseaux, mais on ne lui a point repondu".

W marcu 1617 r.: „Outre la permission que les Etats ont accordée de lever un regiment d'infanterie sur leurs frontières et un certain nombre de matelots pour le roi de Suède, ils lui fournissent encore cinq vaisseaux contre le Roi de Pologne sous pretexte d'assurer le commerce de ces mers".

W marcu 1617: „Les Etats fournissent à présent six vaisseaux de gnerre: pour assister le Roi de Suède contre le Roi de Pologne, tant pour remplir l'obligation des traités, que pour assurer la libre navigation de ces mers, où ils soupçonnent que le Roi d'Espagne se sert du Roi de Pologne comme d'un instrument pour troubler leur commerce, qui est le soutien de leur Republique".

29 maja 1617: „Le secours pour le Roi de Suède qui a été augmenté jusqu'à six vaisseaux de guerre est prêt à mettre a la voile sous le commandement du baron d'Obdam Amiral de Hollande. Les Etats profitent de cette occasion d'envoyer un commissaire pour recevoir leur cuivre du Roy de Suède en payement de leur dernier prêt d'argent. Le Commissaire porte aussi au Roi de Danemarck une lettre en partie de plainte, en partie de conseil pour qu'il aide à conserver la liberté de la mer Baltique contre les Polonois".

23 czerwca 1617: „On commence ici a espérer que la guerre entre les Rois de Pologne et de Suède n'aura pas lieu, sur quoi on avait eu depuis peu de chaudes allarmes, mais il est arrivé hier plusieurs marchands de ces cotés là, qui raportent que le Comte d'Allem lève seulement trois regiments pour le Roi de Pologne, mais qu'on dit point ou ils seront employés. L'Ambassadeur de Suède resident ici, part pour retourner auprès du Roi son Maitre, se proposant de travailler en chemin faisant à attirer le Roi de Dannemark dans une union avec cet Etat et avec les autres princes unis; il en a parlé ici au Chef et m'a demandoit si je le croyois que S. Mté l'approuveroit. Je n'ai pas voulu le decourager, quoique je voye peu d'apparence de succès, puisqu'on commence à ne craindre plus l'ennemi commun dans la mer Bal-

J. Chrz. Mości, z bezprzykładném zuchwalstwem ośmielił się go zatrzymać i oddać pod straż. Dla jakiejby przyczyny to się stało, Władysław zrozumieć nie może, i niepodobna mu przypuścić, aby tak ciężka krzywda, taka obraza gościnności, takie

tique, ce qui auroit pu être en effet vinculum amicitiae si cette crainte avoit continué“.

W dziesięć lat potem, t. j. 1627, Hiszpanie czyniąc Zygmuntowi III nadzieje posiłków, pobudzili go znówu do myślenia o wyprawie na Szwecyą. W dziele (de Saint-Priesta) *Histoire des traités de paix du XVII siècle* (Amst. 1728) czytam w tomie II. 531: „Kiedy w r. 1627 król Zygmunł blizkim był zawarcia zawieszenia broni z królem szwedzkim, który nu wracał wszystko miasta zdobyte w Prusiech i Inflanciech, z wyjątkiem Rygi; król hiszpański chcąc przez Polskę zatrudnić króla szwedzkiego, posłał do Polski Gabryela Roi i barona d'Auchy, którzy mu przyrzekli, że przed upływem dwóch miesięcy król ich wyśle na morze Bałtyckie 24 (12), okrętów wojennych, na które generał Walstein wsadzi 12,000 ludzi. Król hiszpański oddaje te siły na pomoc Zygmuntowi III i utrzyma je przez cały ciąg wojny; mówili nadto posłowie, że już widzieli gotowe weksle na 200,000 talarów, które w tym celu mają być użyte. Król Zygmunł mniemając, że z temi posiłkami odzyska Szwecyą, nie chciał podpisać zawieszenia, choć go do tego nakłaniały stany holenderskie“.

Jak wiadomo, przysłał cesarz na pomoc 10,000 ludzi, ale okrętów Hiszpania nie przysłała. Zygmunł III przypominając je pisze do Izabelli 21 stycznia 1627: „.....Diligentissime autem postulamus ut Serenitas Vestra iisdem negotiis pro sua humanissima in nos voluntate favcat et ex sua quoque classe Dunkirchensi ad minus duodecim naves armatas versus Sueciam ad passum Balticum decurrere, nobisque auxilium ferre iubeat.....“ Cały rok upłynął, zapowiedziane okręty nie przyplwały; Zygmunł III do téjże Izabelli 7 kwietnia 1628 w ten sposób pisze. „.....Est autem talis (status belli Suetici) quod licet perniciem hostis nostri probe noverimus, nec ipsum aliquas condiciones pacis justas accepturum perspexerimus tamen quo saltem Statibus Regni nostri Poloniae diligentibus hoc requirentibus constare faceremus, nos a pace aequa minime abhorremus, tractari de illa permiseramus. Evenit tamen quod jam ante provideramus, hostem praecipue Ollandorum consiliis instructum, tractatibus tantum moras trahere et nihil magis quam bellum perpetuum cupere, quo etiam vires totius lignae Catholicae distrabi posse arbitrabatur. Nihil itaque superest nisi ut bellum inceptum prosequamur, sed cum sit adeo difficile, omnino auxiliis amicorum indigemus. Petimus a Mte Caesarea aliquem numerum peditatus Germanici, quem in Suecica littora trajecerimus, sed nihil certi expectare possumus occupata adhuc sua Mte bello Germanico. Unde praecipuam reponimus in subsidio classis maritimae a Mte Catholica et a Ser^{to} Vestra nobis promisso et diligentissime postulamus ut Serenitas Vestra pro suo benevolo in nos affectu illud maturius expediri

zgwalcenie praw i niieszanowanie królewskiej krwi, z wiedzą króla francuzkiego zdarzyć się miało. Boć przecie nie tajno jest J. Chrz. Mości, jaka się należy cześć księżetom, obce kraje zwiedzającym, i jaka powinna być oddana bratu króla polskiego, którego zawsze przyjazne stosunki z królem francuzkim łączyły. Dlatego, chociaż przekonany jest, że i bez jego listu, skoro tylko wiadomość o tém nadużyciu do uszu J. Chrz. Mości doszła, brat jego niechybnie zostałby uwolniony: czuje się jednakże spowodowanym prosić króla chrześciańskiego, aby raczył surowo ukarać urzędnika za takie niieszanowanie jemu okazane, i tak wielką pogardę krwi królewskiej.

W dołączonym liście do kardynała Richelieu Władysław IV jeszcze większe okazuje oburzenie i oświadcza, że ani brat jego, ani on nic takiego nie przedsięwzięli: „cohy zastugiwało na tak *niewczesną* karę“. Upomina więc, aby przez pamięć krwi królewskiej i związków z królem francuzkim przyjaznych, urzędnik, który się tego zuchwalstwa dopuścił, surowo był skarconym.

faciat. Hucusque enim nihil plane est praestitum, imo nec dum aliquid praeparatum, siquidem Gabriel Roi nullas adhuc naves comparasse auditur, hyeme interim tam opportuna et occasione rei bene gerendae interlapsa. Iterato amanter requirimus ut Serenitas vestra classem illam maturius jubeat parari et contra hostem nunc nostrum educi. Nostra etiam classis decem circiter navium interim Gedani apparatus, et ad medium mensis Maji omnibus necessariis instructa habebitur. Illud autem quam maxime desideramus ut Serenitas Vestra Classem etiam Dunkerkanam versus Sontum et ad portum in mari Baltico Sueticum Elsburgum dictum decurrere, et si fieri potest etiam in eo litore aliquem nume um bellatorum exponi, ibique consistere jubeat. Ita enim negotium facilius successurum judicamus si hostis noster a pluribus partibus oppugnetur.....“ 10 sierpnia 1628 Zygmunt znowu w ten sposób do Izabelli pisze: „Plurimum momenti accessisset bello nostro Suetico si classis Duncherchiana uti sperabamus versus Sontum et portum Elspurgensem Sueticum excurisset. In quo optimam propensionem Serenitatis Vestrae non defuisse confidimus et adhuc compensari posse speramus, si Serenitas Vestra remotis quae opponuntur difficultatibus expeditionem hujusmodi versus Sontum exequi jusserit, quod diligentissime requirimus. Illud autem constare volumus Serenitati Vestrae quod Gabriel Roi nullam adhuc classem in mari Baltico paratam habet cum tamen ab Octobre anni proximi praeteriti paratam habere debuerit.....“ W kilku jeszcze listach przypominał Zygmunt obletnicę Hiszpanii, lecz gdy się przekonał, że go tylko przyrzeczeniami zbywano, ulegając woli Rzplitej, zawieszenie broni na lat 5 w r. 1629 podpisał.

Odpowiedź Ludwika z d. 27 października 1637 r., ułożona jest w sposób nader zręczny i zasługuje, abyśmy ją całą umieścili: „Podobną boleścią i my przejęci byliśmy, kiedyśmy się ujrzeli zmuszeni zatrzymać najmilszego nam krewnego, ks. Kazimierza, brata WKMości, jaką się WKMość uczuła dotkniętym, dowiedziawszy się o tém zatrzymaniu. Aczkolwiek bowiem chowamy dla WKMości tę życzliwość, której sobie po nas obiecuje i do której sądzymy się obowiązani dla tylu dowodów wzajemnej przyjaźni; nie mogliśmy wszelako zaniechać użycia tej surowości względem osoby, tak ściśle z WKMością połączonej, gdyż dobro państwa naszego i spokój naszych poddanych wymagały po nas (jak to WKMość, któremu Bóg tak obszernie dał królestwo, łatwo zrozumieć), abyśmy ich niebezpieczeństwu tym sposobem zapobieżeli, i mniemamy, że gdy WKMość odłoży na bok uczucie braterskie, nie potępi tego czynu naszego, królewskim rozważywszy go umysłem. — Wiadomo wszystkim, że wspomniany najjaśniejszy książę był po wszystkie czasy oddany domowi austriackiemu, z którym wojnę prowadzimy; że z nieprzyjaciółmi naszymi w ostatnich latach zawsze się łączył; że przeciwko nam w Niemczech wojował i wśród tego ucisku wojny nie w innym celu do Hiszpanii się udawał, tylko aby wstąpić w służbę króla katolickiego, to jest, jak niesie opinia pospólstwa, aby objąć gubernatorstwo jednej z nadmorskich prowincyj, z którejby jako nieprzyjaciół na państwa nasze uderzył. W tym zamiarze książę ów nie wzięwszy paszportu, do posiadania którego wszyscy cudzoziemcy po krajach naszych jeżdżący, mianowicie podczas wojny są obowiązani, pod obcym nazwiskiem na brzegi nasze wylądował i fortece nasze w prowincyi (królowi hiszpańskiemu najprzeciwniejszej) oglądał; co gdy się stało, mądrości WKMości zostawiamy osądzić: czybyśmy się nie narazili na oskarżenia całego świata, gdybyśmy inaczej jak uczyniliśmy, postąpili. Gdybyśmy pozwolili mu jechać dalej do Hiszpanii z nabytą fortec naszych wiadomością, pojmie WKMość, jakaby ztąd nieprzyjaciół nasz odniósł korzyść. Przekonani jesteśmy, że WKMość rozważywszy powody, które nas skłoniły do ubezpieczenia się od najjaśniejszego księcia, uznać raczy, że książę ten dobrowolnie w owę nieprzyjemność popadł, służąc nieprzyjaciółom naszym z wielką gorliwością i pożytkiem. Jednakże niezmiernieby nas to zasmuciło, gdyby obecny wypadek, choćby w najmniejszej części osłabił nasz związek, statecznie

od lat tylu między Francją i Polską i między osobami naszym: zachowywany. Z naszej bowiem strony nigdy to nie nastąpi, i uroczyście oświadczamy, iż zawsze uprzejmiej życzliwości dla WKMości okazywać będziemy dowody, i mamy gorącą chęć składania ich nadal jak i dotąd składaliśmy. O czém poseł, który listy WKMości przyniósł, dostatecznie opowie i oznajmi zarazem, że z wielką ochotą zgodzimy się na uwolnienie N. księcia brata WKMości, otrzymawszy wprzód rękojmją, której od niego żądaliśmy. Prosząc Boga“ i t. d.

Znajduje się następnie list Jana Kazimierza pisany z więzienia z powinszowaniem narodzin syna J. Chrz. Mości i z prośbą, aby król francuzki jak najmocniej był przekonany, że Jan K. nigdy nie był i nie będzie nieprzyjacielem Francyi. W liście do Ryszelięgo prosi Jan K. kardynała, aby w umyśle króla wszelką o nim nieprzychylną opinią zatart, co sobie za dobrodzieństwo niepoślednie i wielkiej wdzięczności godne poczyta.

Interesujący jest list prymasa Lipskiego Jana, pisany do p. d'Avaux negocjatora francuzkiego w Niemczech, w którym po przyjacielsku donosi mu, iż powszechna opinia jemu przypisuje uwięzienie Jana Kazimierza. D'Avaux był jak wiadomo prawą ręką Richelieugo, a później Mazaryniego we wszystkich negocyacyach dyplomatycznych; posłował po kilka razy do Danii, Szwecyi i Polski, i od r. 1636 naprzód w Kolonii, a potem w Münster aż do 1648 r. o pokój z posłami cesarskimi traktował; mógł więc jako znający dokładnie stosunki polskie i austryackie dać znać Richelieumu o usposobieniu i zamiarach Jana Kazimierza. Wszelako przy liście Lipskiego znajdujemy notę, zapewne z kancelaryi Richelieugo wyszłą, która objaśnia, dla czego uważano p. d'Avaux za sprawcę uwięzienia księcia polskiego. Nota wspomniona tak brzmi: „M. d'Avaux allant en Pologne Ambassadeur extraordinaire l'an 1635 (après avoir passé en cette qualité en Danemark et en Suède 1634) arriva a Turn deçà la Vistule, ou pour lors estoit le Roy de Pologne et sa Cour, qui alla recevoir le dit Sieur d'Avaux avec grand accueil. Le prince Casimir de Pologne qui estoit à la Cour du Roy son frère, partit de Turn pour Vienna le mesme jour que M. d'Avaux y arriva, sans l'avoir voulu attendre ny le voir. Le dit S^{eur} Ambassadeur offensé de cella, en donne adzis à la Cour de France, qui reconnut dans l'action de ce Prince le mepris qu'il fesoit des François et de la France, et l'aversion qu'il avoit de notre nation et son zèle à la maison d'Autriche“. Być więc

może, że Richelieu zatrzymując Jana Kazimierza chciał tylko ukarać afront uczyniony ambassadorowi francuzkiemu. Zresztą list prymasa nie więcej w tym względzie nie zawiera; rozbiera tylko postępowanie króla francuzkiego, narzeka na nieszczęścia przez Francuzów ludziom wyrządzone i kończy przestrzegając, że słowa te pisze jako prywatny do prywatnego.

Następny list Władysława IV (z d. 27 marca 1639 r.) również jak pierwszy w mocnych słowach jest słożony; bez ogródki dowodzi on niestosowność tłumaczenia, jakoby Jan Kazimierz w celach Francyi nieprzyjaznych kraj ten zwiedzał, gdy on tylko burzą zagnany do portu schronił się. W końcu donosi królowi i Richelieuemu o wysłaniu ambassadora, który da żadaną rękojmią.

D'Avaux w odpowiedzi prymasowi Lipskiemu nie tłumaczy się bynajmniej z zarzutów jemu osobiście czynionych; żali się tylko, że król Władysław posługuje się pisarzami, którzy tak nieumiarkowanych i niestosownych wyrażen używają, dając za przykład, że z tego samego powodu przyszło między Francją i Anglią do ciężkich nieporozumień.

Z kolei umieszczone jest sprawozdanie sejmu warszawskiego r. 1639. Odbył się on „a la Polacque, c'est a dire avec mille contestations, confusions, crys et disputes des choses“. Wyrzucano królowi podróż do Wiednia, widzenie się z elektorem brandeburskim; wyrzucano sposób przemawiania Władysława do sejmu. Rozżalona szlachta na króla i Ossolińskiego rozjechała się, i tak sejm przepadł nie nie zdziaławszy. „Co się zaś tyczy sprawy Jana Kazimierza (mówi autor tego sprawozdania), rzecz wiadoma, iż król przed wszystkiemi obradami nakłonił senat i posłów do stawienia pewnej rękojmi i zapewnienia za wspomnionego księcia, co ma być już postane p. Gąsiewskiemu. Lecz obecnie wielu słusznie powątpiewa, ażali uchwały na początku sejmu zapadłe, mają dzisiaj wagę po jego zerwaniu, i ten zarzut jest słuszny, bo wszelkie postanowienie, bez powszechnego zezwolenia Rzplitej, bez potwierdzenia *per legem Comitalem* (jak tego wymaga terażniejsza praktyka w Polsce), nie może być ważne. A zatem plenipotencya do traktowania o uwolnienie księcia pochodzić jedynie będzie od króla, a nie od całej Rzplitej. Ponieważ więc Francya nie będzie miała żadnej rękojmi od Rzplitej, nie powinnyby się dziwić Polacy, gdyby wbrew ich oczekiwaniu nie ujrzano odrazu

skutków poselstwa Gąsiewskiego. Atoli wyjaśnienie tej wątpliwości zależy także od tego, w jaki sposób zaręczyła Polska za swego księcia. Rzecz ta chowana jest w wielkiej tajemnicy i cudzoziemcom niepodobna się czegoś dowiedzieć.

Szereg ten dokumentów zakończy list wierzytelny dla Gąsiewskiego, plenipotencya temuż dana w imieniu króla i w imieniu senatu, instrukcyja udzielona ambassadorowi polskiemu, i mowa tegoż do Ludwika na audyencyi uroczystej.

—*Manuskrypt p. t.: Pologne. Pièces historiques.* Wielki wolumin zawierający ważne dokumenta i wiadomości do historii polskiej z wieku XVIIIgo. Treść jego jest następująca:

Memoryał: *Szczegóły pretensyi i szkód wyrządzonych rozmaitym panom i innym mieszkańcom województwa kirowskiego przez wojska sąsiednie.* Obszerne to pismo rozpoczyna się z r. 1734, a kończy na 1748 roku.

Stan armii koronnej 1 stycznia 1755 (1).

(1) Ze względu na dokładne rozgatkowanie pułków, kompanij, rodzaju broni oraz płacy, uważam za pożyteczne powtórzyć tutaj te cyfry.

Hussarze.	Liczba głów ludzi	koni	Koszta utrzy- mania we frank.
<i>Dywizya J. K. Mości.</i>			
1 kompania J. K. M.	100	100	22,400
3 kompanie brygady J. K. Mości po 55 koni	165	165	36,960
<i>Dywizya lub brygada królewicza.</i>			
1 komp. królewicza.	80	80	17,920
3 komp. dywizyi królewicza.	165	165	36,960
<i>Brygada W. hetmana.</i>			
1 komp. W. hetmana.	80	80	17,920
3 komp. brygady W. hetmana.	165	165	36,960
<i>Brygada hetmana pol.</i>			
1 komp. hetmana pol.	80	80	17,920
3 komp. brygady hetmana pol.	165	165	36,960
<hr/>			
17 kompanij hussarzy	1,000	1,000	224,000

Uwaga. Rzplita płaci za utrzymanie każdego konia rocznie 224 fr.

Pancerni.

Brygada J. K. Mości.

1 kompania J. K. Mości	100	100	18,800
18 kompanij po 50 koni	900	900	169,000

Brygada królewicza.

1 kompania królewicza	80	80	15,040
15 kompanij królewicza	750	750	141,000

Traktat o prawie publiczném polskiem p. t.: „Idée de la

	Liczba głów ludzi	koni	Koszta utrzy- mania we frank.
<i>Brygada hetmana W.</i>			
1 kompania hetmana W.	80	80	15,040
11 kompanij hetmana W.	550	550	103,400
<i>Brygada hetmana pol.</i>			
1 kompania hetmana pol.	80	80	15,040
13 kompanij hetmana pol.	650	650	122,000
<i>Nadto:</i>			
16 komp. pod rozkazami J. K. Mości.	800	800	150,400
77 kompan. pancernych	3,990	3,990	750,120

Uwaga. Rzplita płaci za utrzymanie każdego konia rocznie 188 fr.

Autorament cudzoziemski.*Pułki piechoty.*

	Liczba głów ludzi	Racyo pułku	Summa racyj frank.
1 gwardyi koronnej	1,585	3,000	600,000
1 — królowej	611	1,000	200,000
1 — królewicza	618	1,000	200,000
1 — hetmana W.	458	900	180,000
1 — hetmana pol.	454	850	170,000
1 artyleryi	449	850	170,000
1 (?).	251	130	26,000
7 pułków	4,426	7,730	1,546,000

Uwaga. Racya żołnierza piechoty wynosi rocznie 200 fr.

Piechota węgierska.

	Liczba głów ludzi	Liczba racyj na komp.	Summa racyj frank.
1 kompania hetmana W.	50	150	30,000
1 kompania hetmana pols.	50	150	30,000
1 komp. Węgrzynów marszl. W.	100	150	30,000
3 kompanie	200	450	90,000

Uwaga. Węgrzyna racya wynosi rocznie 200 fr.

Dragonii.

Pułki	Liczba koni	Liczba racyj	Summa racyj frank.
1 gwardyi konnej J. K. Mości	500	1,000	300,000
1 — — królowej	206	500	150,000
1 — — królewicza	206	500	150,000
1 — — hetmana W.	206	500	150,000
1 — — hetmana pol.	206	500	150,000
2 (?).	512	1,000	300,000
7 pułków	1,736	4,000	1,200,000

Uwaga. Racya dragona wynosi rocznie 300 fr.

Ułani czyli Chevaux legers (?)

	Liczba koni	Liczba racyj	Summa racyj frank.
1 kompania J. K. Mości	125	125	18,500
3 komp. po 125 koni i jedna po 50.	425	425	52,900

Do przeniesienia 550 550 71.400

Republique de Pologne et de son Etat actuel", napisany w połowie XVIII wieku (1).

Memoryał z XVIII w. o prawach Rplitej do summ neapolitańskich. Autor Francuz, przedmiot ten dosyć gruntownie rozbiiera.

Specificatio Antiquarum simul et novarum familiarum in Regno Poloniae et Magna Ducatu Lithuaniae A. D. 1729. Arkuszy 19. Autor (jak się zdaje Polak) wymienia 213 rodzin i ich naczelników żyjących. Jestto dokument dość ważny z powodu, iż wskazuje rodziny, które za Augusta II miały znaczenie w Rzplitej, oraz po województwach i ziemiach.

Spis grodzkich i niegrodzkich starostw w Rzplitej wraz z nazwiskami ich possesorów z piérwszej połowy XVIII w.

	Liczba konl	Liczba racyi	Summa racyi fran.
Z przeniesienia	550	550	71,400
1 kompania hetmana W.	50	50	7,400
4 — do 50 koni.	200	200	29,600
4 — hetmana pol.	200	200	29,600
14 kompanij.	1,000	1,000	138,000

Uwaga. Racya ulana wynosi rocznie 138 fr.

Zebranie.

16 komp. bussarzy	1,000	1,000	224,000
77 komp. pancernych.	3,990	3,990	750,000
14 komp. ulanów.	1,000	1,000	138,000
7 pulków dragonów	1,736	4,000	1,200,000
7 pulków piechoty	4,626	8,150	1,636,000
Autorament polski	5,990	5,990	1,112,120
Autorament cudzoziemski	6,362	12,180	2,836,000
Armia koronna	12,352	18,170	3,948,120

(1) Obszerny ten manuskrypt wydany został p. t.: *Idée de la République de Pologne et son Etat actuel; manuscrit de la bibliothèque royale de la seconde moitié du XVIII siècle, publié par Eduard Kurzweil*. Paris, Lacour et Comp. 1840, in 8-vo, 285. Wydawca przypisuje to dzieło hr. de Broglie amb. francuzkiemu za Augusta II, twierdząc, że ks. Polignac nie jest jego autorem, dlatego, iż kilka razy w tém piśmie jest o nim wzmianka. Skoro manuskrypt ma być z drugiey połowy XVIII w. (ja mniemam, że pisany jest około 1750), to oczywiście nie jest jego autorem ks. Polignac, który w r. 1697 z Polski wyjechał. P. de Broglie był ambassadorem francuzkim w Polsce za Augusta III. Wydanie dokonane z małą znajomością przedmiotu.

Następują dwa bardzo ważne pisma przesłane z Warszawy do Wersalu przez ambasadę francuzką:

1) Memoire sur le projets de la Cour de Saxe. 1746. Autor twierdzi, iż zapewnienie sobie korony polskiej jest zamiarem rodziny saskiej. Król August III rzekł się w tym celu korony cesarskiej, zapewniwszy sobie wzajemnie pomoc austryacką w Polsce. Osadzenie królewicza w Kurlandyi jest środkiem przez ministra zręcznie w tym celu przeprowadzonym.

2) Pamiętnik o sejmie z r. 1746. Autor wystawia naprzód zamiary stronnictwa królewskiego, które chciało powiększenia wojska, i partyi Czartoryskich i Poniatowskich, która dążyła do przeprowadzenia ścisłego aliansu z Rosyją. Obie strony życzyły sobie z początku, aby sejm doszedł do końca; lecz wszczęły się dwie drażliwe kwestye, to jest porównanie województw w podatkach i poprawy trybunałów. Jedna i druga szkodliwa była Czartoryskim. Autor twierdzi, że gdyby porównano województwa w podatkach, sam książę wojewoda ruski musiałby płacić rocznie 300,000 fr. Trybunały popadłe w rozprzężenie były w zupełnej zawisłości od Czartoryskich. Skoro zatém dwie te sprawy wyszły na stół, *familia* (jak wówczas mówiono) czyniła zabiegi do zerwania sejmu; chciał go też zerwać biskup krakowski Załuski, z obawy aby mu nie odebrano W. kanclerstwa. Aby zniszczyć jego opór, ambassador francuzki doradził odebrać biskupowi pieczęć W. przed sejmem, i tak się stało. Czartoryscy dla zerwania sejmu wnoszą projekt (o którym wiedzieli dobrze, że przejść nie może) uchwalenia dyktatury, złożonej z króla i kanclerzy oraz marszałków i hetmanów, któraby miała prawo wydawać ustawy i nakładać podatki; lecz wkrótce zarzucono ten projekt. Familia proponuje, aby zamiast powiększać wojska Rzplitej, osadzić 40,000 wojska cudzoziemskiego po województwach. Tego się obawiał dwór i ambassador francuzki, i aby propozycyą tę obalić, umyślono zerwać sejm. Zakupiono posłów, którzy o niczem traktować nie dozwolili, zanim zrównanie województw i naprawa trybunałów przeprowadzoną nie będzie, co też zmusiło familią do zerwania sejmu. W końcu relacyi ambassador usprawiedliwia się ze znacznego wydatku pieniędzy, gdy ani jeden poseł nie chciał mówić zadarmo za koczycyą województw. Przykre to, ale pełne nauki i faktów nieznanych pismo, bogate w nieoszacowane obrazy Czartoryskich, Załuskiego, Brühla i innych.

Listy Ludwika XV do króla, ministrów i senatu, uwierzytelniające p. du Person de Castera (1750) jako ambasadora francuzkiego przy Rzplitej.

Pamiętnik ambasady francuzkiej pisany w Warszawie w sierpniu 1748 „sur les mesures à prendre pour la succession eventuelle au Royaume de Pologne.“ Autor proponuje ks. Lotaryngii na kandydata, upomina aby dwór wersalski działał w Polsce z Prusami, mówi o projekcie wyniesienia króla pruskiego na tron polski, przedstawia zamiary Czartoryskich, którzy, jak twierdzi, jeśli swego nie przeprowadzą, zgodzą się przynajmniej na króla dzielnego i wojownika.

Dokumenta urzędowe do zwołania i otwarcia nadzwyczajnego sejmu w r. 1750.

Zdanie sprawy z początkowych posiedzeń sejmu 1750 r. i z projektów knowanych. Ambasador francuzki donosi, że ponieważ z sejmu tego nic dobrego wypaść nie może, starać się będą o jego zerwanie, w czém użyje pomocy wojewody rawskiego. Memoryał ten równie ważny jak poprzednie, i pełen interesujących wiadomości o wielkich dygnitarzach polskich.

Protestacya Wydzigi przeciw sejmowi.

List Potockiego hetmana W. do trybunału piotrkowskiego i mowa Kruszyńskiego na tymże trybunale.

Dokumenta do historyi hajdamaczyzny; listy hetmana W. Potockiego i marszałka W. Mniszcha po łacinie i po francuzku; memoryał pana de Castera o hajdamaczyźnie, o uwięzionych podżegaczach, i zdanie sprawy z inkwizycyi z nimi odbytej.

Akta urzędowe do r. 1757.

Znaczny poczet listów ambasadora francuzkiego o przyjeździe posła tureckiego, który uroczyste odbył się w d. 18 marca 1758 r. Od tego dnia aż do dnia jego odjazdu (21 kwietnia), ambasador śledził wszystkie jego czynności, i o każdym jego kroku i słowie donosił.

Szczegółowe sprawozdania z posiedzeń senatu polskiego w marcu 1758 r.

— *Manuskrypt* p. t.: *Pologne et Moscovie*. Wielki foliał, pięknie i prawie cały jedną ręką pisany. Po większej części zawiera on kopie pism, o których powyżej mówiliśmy; i tak dokumenta do historyi Henryka Walezego zajmują 80 arkuszy. Od str. 179 zaczyna się memoryał p. t.: „L'estat des affaires de Pologne et Suède 1627“. Jestto opis działań i przygotowań

obu stron w chwili wylądowania Gustawa Adolfa. Armia jego inflancka liczyła 12 tysięcy, pruska 22 tysiące żołnierza.

Reszta pism w woluminie tym zawartych, znana jest czytelnikowi.

— *Manuskrypt* p. t. *Varia ad. res polonicas pertinentiu*, w 8ce arkuszy 96 częścią po polsku, częścią po łacinie; pismo z w. XVI i XVII. Jestto zbiór wszystkich czynności, uchwał i korespondencyj urzędowych od śmierci Zygmunta Augusta aż do sejmku elekcyjnego 1573 prowadzonych. Większa część tych korespondencyj i odezwo albo wcale jest nieznaną, albo tylko z treści. Takimi są:

Uchwały senatu Rzplitej zaraz po śmierci Zygmunta Augusta zapadłe, jakoto: opatrzenie pokoju polskiego; opatrzenie granic szlązkich i podgórskich; poselstwo od rad koronnych do rad W. ks. litewskiego; postanowienie zjazdu knyszyńskiego; listy wierzące od rad koronnych i litewskich, nawzajem dla delegatów wydane; poselstwo od stanów W. ks. litewskiego do rad koronnych, i odpowiedź JM. panów rad koronnych;—po polsku.

Akta odnoszące się do księstwa pruskiego; list od senatu do księcia pruskiego i tegoż respons; list od pana starosty żmudzkiego do rad koronnych o niebezpieczeństwie grożącym granicom Rzplitej; list od wojewody wołoskiego do rad koronnych i tychże respons; list od księcia Stuckiego do rad koronnych wraz z odpowiedzią; list od rad koronnych do wojewody trockiego;—po polsku lub po łacinie.

Oratio-nomine Illmi Prussiae ducis apud Reverendissimos. Illustrissimos, Spectabiles, Magnificos, Generosos, Nobiles, Dominos Archiepiscopos, Episcopos, Palatinos, Castellanos, Dignitarios et Officiales ac Universum Ordinem Equestrem amplissimi Regni Poloniae post mortem Sigismundi Augusti Regis in electione novi Regis apud Varsaviam ad villam Kamien in apperto campo sub tentorio habita. A. D. 1573 die 5 Aprilis.

Odpowiedź senatu na list księcia pruskiego i na mowę jego posłów.

List Grzegorza papieża XIII do stanów królestwa polskiego i mowa legata Commendoniego. Odpowiedź stanów na list papieżki i na mowę legata.

Tu następują listy monarchów zagranicznych wraz z mowami ich posłów, jakoto: cesarza, króla Francyi, króla szwedz-

kiego, Katarzyny królowej szwedzkiej (po polsku), wtóry list króla szwedzkiego, list ogólny od elektorów cesarstwa rzymskiego, arcybiskupa trewirskiego, księcia saskiego, margrabiego brandeburskiego, wojewody reńskiego i mowa posłów od elektorów cesarstwa. List i mowa od stanów królestwa czeskiego, od księżniczki brunświckiej infantki polskiej, od książąt pomorskich, od księcia Kurlandyi. Na mowy te i listy senat osobne wygotował odpowiedzi. Tłumaczenie listu cesarza tureckiego i Mehmeda baszy tegoż doradcy, wraz z odpowiedzią; po łacinie.

Zdanie sprawy w języku polskim senatowi przez Michała Haraburdę z poselstwa do Moskwy złożone.

— *Manuskrypt p. t.: Memoire du Royaume de Pologne.* Wielki foliał, 78 arkuszy pisma z w. XVI różnej ręki.

Oprócz dokumentów wymienionych już w innych manuskryptach, a których tu odpisy znajdują się, jakoto: instrukcyja dla posłów polskich jadących do Francyi 1573; mowa biskupa Konarskiego do króla polskiego 1573; toż do Karola IX; list od stanów polskich do posłów francuzkich w Płocku rezydujących, umieszczony tutaj ważny dokument:

Consignatio omnium et singulorum bonorum mensae Sacerae Regiae Mtis. in Regno, tam ad vitam donatorum, quam obligatorum nec non liberorum et Thesauro respondentium; a dalej:

Bona mensae S. R. Mtis libera thesauro respondentia; — jak również:

Arendae ad triennium concessae; i: Bona ad fideles manus administratae.

Cztery te nader dokładne i szczegółowe spisy zamieszczają, oprócz wykazu dóbr królewskich, nazwiska ich possesorów, dzierżawców i administratorów, taxy przez lustratorów oznaczone, opłacane czynsze, kwarty do skarbu Rzplitej składane, i pozostający czysty dla króla Jmci dochód. Jestto pomnik ważny zarówno do historyi finansów, jako i do historyi gospodarstwa krajowego.

W końcu wspomniany już obszerny traktat o skarbie królewskim i jego reformacyi, jak i wiele innych współczesnych, a zkądnąd znanych dokumentów.

— *Manuskrypt p. t.: Divers memoires du regne du Roy Charles IX après la mort de Sigismond Roy de Pologne pour l'eslection d'un nouveau Roy, qui se fit en faveur de*

Monseigneur le duc d'Anjou, qui fut depuis Henry troisième Roy de France et de Pologne.

Wielki foliał, arkuszy 76, pismo z w. XVI. Zawiera on wiele oryginalów z podpisem Karola IX i innych, lub kopij współczesnych. Między innemi ważniejsze są:

Oryginał instrukcyi dla ambassadora polskiego, zawierającój propozycye, które ma przelożyć w mowie swéj, powiedziéć się mającój w d. 14 kwiet., 1573 r. dla naklonienia Polaków do wyboru ks. d'Anjou na króla.

Konfederacya stanów w materyach religijnych, wolność wyznania zabezpieczająca, i protestacya katolików (po łacinie).

Spis artykułów umówionych w Kamioniu pod Warszawą 20 maja 1573 r. po wyborze króla polskiego.

Oświadczenie ambassadora fran. oznajmujące wolą królewską co do małżeństwa z księżniczką Anną.

Listy i mowy w czasie bezkrólewia po śmierci Zyg. Augusta do senatu polskiego, podobnie jak w rękopismie poprzednim.

Kopia manuskryptu, o którym już mówiłem: p. ł. „Ordo qualiter Smus Rex Poloniae juxta veterem consuetudinem patriae coronari debeat et quae solennitas et ceremoniae circa id servari sunt solitae.“

Testament króla polskiego Zygmunta Augusta, z polskiego na łacińskie przetłumaczony.

— *Manuskrypt* p. ł.: *Angleterre, Escosse, Pologne, Moscovie.*

Wielki foliał, ark. 137, prawie cały po włosku, kilka ustępów po łacinie pisanych, w większej części XVII w., jednostajną ręką.

Od str. 140 poczynają się dokumenta do historyi polskiej, a mianowicie: „Relatione data al Smo Sign. Nro Papa Pio Quinto da Mons. Giulio Ruggieri Prothenot. Apostolico retornato Nuntio di SSma Rep. dal Sermo Re di Polonia, Anno 1618“; arkuszy 36.

Legat Ruggieri w obszerném tém sprawozdaniu, podzieloném na 16 rozdziałów, mówi o kraju polskim, o narodzie, języku, o formie rządu, o prawach, tytułach i władzy króla, o jurysdykcyi, o osobie panującego króla, o urzędnikach, o religii, kościele, wojsku, księżętach pogranicznych i ich potędze, o handlu w Polsce, o celniejszych interesach na ostatnim sejmie rozbieganych i t. d.

Do historyi elekcji Henryka IV znajdują się w tym voluminie dwa interesujące zabytki. Wyszły one z kancelaryi ambasadora francuzkiego biskupa Montluc.

Na jednym arkuszu spisane są zalety, których Rzplita od przyszłego króla domagać się powinna, i korzyści, jakie z jego obioru odniesie. Jest takich 11, ułożonych w osobnych rubrykach. Są więc rubryki:

Honestas,	Cum Turca et Tartaris pax,	Sublata Harvica Navigatio
Nationis morum,	Accessio aliqua ad Regnum	Lingua
Similitudo,	Maris Dominium	Severitas domesticæ pacis.
Bona educatio,	Portus Restauratio,	
Sub legibus vivere didicit,		

Każdy kandydat przeprowadzony jest przez te rubryki; jest ich zaś sześciu: Ernest, Ferdynand, Succus, Moscus, Piasto, Gallus, Infans. Tylko dwoje ostatnich, to jest Henryk i Anna posiadają wszystkie kwalifikacye.

Na drugim arkuszu spisane są podobnie niedogodności kandydata, jakoto:

Aetas imperfecta	Mare non liberum
Vicinas suspecta	Domestica tyrannis
Nationis morum dissimilitudo	Opressio Libertatis
Hostilitas cum Turca et Tartaris	Defectus,
Cum Moscho item et Valacho	Linguae ignoratio.

Jeden Ernest ma wszystkie niedogodności, jak również Ferdynand u którego *aetus* (nie *imperfecta*, ale) *perfricta*. Pod rubryką infantki są wojny i morze niewolne *sed haec tollere potest maritus*. Henryk nie ma żadnej niekwalifikacji, nawet językowej, bo umie po łacinie, a *polonicam facile discet*.

Następują wróżby polityczne o królach Rzplitej, ułożone za Zygmunta Augusta przez Relyka doktora i astrologa krakowskiego, wedle położenia gwiazd.

Pytanie 1sze: Utrum istius Principis (Sigismundi Augusti) est diuturnum imperium. An sub alio melior futura gubernatio. Roku 1563, d. 1 kwietnia, o godzinie 1éj, minucie 13téj.

Odpowiedź 1sza (odnosząca się do Z. Augusta): panowanie jego nie tak długie, jak słynne, chociaż nie będzie zewnętrznej ani wewnętrznej wojny. Pan łagodny, dobrotliwy i prawy.

Odpowiedź 2ga (odpow. Henrykowi IV): w miejsce tamtego inny nastąpi, lecz bardzo krótko panować będzie, tak, że zniknie zaledwo rozsądek swój i dzielność okazawszy.

Odpowiedź 3cia (odpowiada Batoremu): zajmie królestwo zbrodniczy starzec surowy i skąpy, z nizkiego rodu. Smutne jego panowanie. Przybierze sobie do administracyi podobnego sobie, lecz jeszcze bardziej nieludzkiego i surowego człowieka.

Odpowiedź 4ta (odpowiada Zygmuntowi): wybrany zostanie młodzieniaszek, książę zręczny i ambitny. Mierne jego będą rządy, a zginie od miecza.

Im dalej w przyszłość zapuszcza się astrolog, tém wzrok jego staje się coraz błędniejszy. W odpowiedzi 8mej (odpowiadającej Sobieskiemu), widzi kobietę chciwą i rozpustną, która źle królestwem rządzić będzie; poczem oświadcza: *ultram prognosticari sidera non permittunt.*

— *Manuskrypt p. t.: Recueil des diverses depeches touchant l'election du Henry de Valois au trone de Pologne et touchant son retour en France, w 4ce.*

Jestto zbiór oryginalnych listów ambassadorów francuzkich. Zaczyna się od dwóch depez posta francuzkiego z Wiednia, z doniesieniem o śmierci Zygmunta Augusta i zamiarach dworu austryackiego. Następnie idą depesze wysłańców francuzkich z Polski, jakoto: Bazina, Montluca, Lansaca i Pibraca. Zbiór ten nawet obok pamiętników Choisnina ma pewną wartość i niektóre fakta nowe podaje.

— *Manuskrypt p. t.: Chronique de Pologne.* Pisany po hiszpańsku, w 4ce, wiel. we dwie kolumny, z w. XVII, z wielką mnogością skróceń, str. 186 js. l. Nie jestto kronika, jak katalog mylnie powiada, ale wykład prawa publicznego i wewnętrznego urzędzenia Rzplitej.

— *Manuskrypt p. t.: Traictez des Princes Allemans avec les autres Princes. Traictez de Suède, Dannemark, Pologne et Moscovie.*

Wielki foliał, arkuszy 236, pismo z końca w. XVII jednostajne i bardzo czytelne.

Piękny ten rękopism niewiele ważnego do naszój historyi zawiera. W części polskiej są dokumenta następane:

List Jana szwedzkiego do Stefana Batorego z 1582 roku o Estonią.

Dwa listy Jana Zamojskiego do Sudermana r. 1602. Wyzwanie tegoż na pojedynek i odpowiedź.

Traktat między Polską i Szwecyą 1629 r.

Traktat między Szwecyą i Gdańskiem 1630 r.

Traktat warujący ligę przeciw Turcyi, zawarty między Ludwikiem XII królem francuzkim, Janem Albertem królem polskim i Władysławem królem węgierskim i czeskim 1500 r.

Akta do elekcyi Henryka Walezego.

Traktat między Władysławem IV i Michałem Fedorowiczem 1634 r., i wiele dokumentów wyżej przytoczonych.

Dosyć ważny *rekoopism* p. t.: *Eclaircissement sur la revolte des Cosaques et sur l'éruption des Tartares en Pologne.*

— *Manuskrypt* p. t.: *Danemark, Norvège, Suède, Pologne.* Nie znajduję w nim nic ważnego oprócz mowy p. d'Avaux amb. franc. mianej w Sztokholmie 1635 r., w której zachęca Szwecyą do zawarcia pokoju z Polską, i przekłada aliansa Władysława IV dla korony szwedzkiej niebezpieczne.

— *Manuskrypt* p. t.: *Konstytucye seymu walnego z r. 1653, po polsku.*

— W *manuskrypcie* zatytułowanym w katalogu: *Memoire anonyme présenté au Roy de Pologne sur la levée des troupes que les imperiaux tachent de faire dans ses etats,* znajduje się krótki ale dość ważny memoriał, pisany jak się zdaje około r. 1634. Aczkolwiek nie jest podpisany, tytuł onego w katalogu widocznie jest mylny, i z treści pokazuje się, że pamiętnik ten zawiera propozycyę czynioną królowi franc. w celu zbierania wojska w krajach Rzplitej i sąsiednich. Oto wyjątek: „Królestwa i prowincye polskie, pruskie i kurlandzkie znajdują się obecnie w głębokim pokoju i liczą u siebie niemało młodzieży, pragnącej ruchu i nowości. Cesarscy prosili kilka razy i proszą jeszcze, aby im wolno było zbierać wojsko dla popierania swych gwałtownych uzurpacyj nad wolnością Niemiec, a jeśli kilka razy otrzymali tę wolność, to raczej dlatego, iż Polaków powstrzymać i ograniczyć w ich wolności nie było podobna, ale im téż kilka razy odmówiono, jeśli nad interesami prywatnemi przeważyły publiczne; Polska bowiem niczego się tyle nie boi, jak domu austryackiego w Niemczech. Z tym głównym powodem łączą się i inne, a mianowicie wielka liczba osób znakomych i zasłużonych, częścią krajowców, częścią szukających tutaj schronienia cudzoziemców, którzy tak z przychylności jak z interesów dobrze są dla naszego stronnictwa usposobieni, mają wstęp do króla i wielkie wzięcie w kraju, który czeka tylko na sposobność, aby objawić swoje opinie. Są więc obe-

nie w możności utworzenia siły zbrojnej i ofiarują usługi swoje królowi dla dalszego prowadzenia świetnych jego działań.

„Mogą oni (zapewne „podpisani“) wystawić w Kurlandyi i w księstwach pruskich dwa tysiące koni i pięć tysięcy piechotnego żołnierza. Z Marchii i Luzacyi spodziewają się wydobyć drugie dwa tysiące koni, a z Zaporozża sześć tysięcy i sześć tysięcy z Podola; są nadto w porozumieniu z tym, który dawniej komenderował armią saską, a z której mogą wielu rozpuszczonych do siebie przyciągnąć żołnierzy.

„Miejscem ich zebrania może być księstwo cieszyńskie i państwo pszczyńskie (Plesse) w górnym Szlązku; że zaś to księstwo graniczy z Węgrami, Morawią, Austryją, a bardzo blizkiem jest Czech: mogą więc z niego wkroczyć w sam środek krajów dziedzicznych i zniszczyć zasoby, któremi dotąd cesarscy utrzymywali się w Niemczech. Uwiadamiają nadto WKMość, że Węgrzy są bardzo niekontenci z cesarza, który ich przywileje naruszył; chcieli oni już wydobyć się z pod jego panowania i poddać się królowi polskiemu, gdyby im nie stanęły na przeszkodzie zasady tego królestwa, albo raczej tój Rzplitej, nielubiącej wzrostu władzy ich królów, niepragnącej zdobyczy, ale jedynie zachowania. Są więc *wspomnieni* w stosunkach bardzo ścisłych z magnatami węgierskimi i otrzymali od nich zapewnienie, że skoro się utworzy dość silne stronnictwo, połączą się z niem z bronią w rękę“.

„W razie gdyby te propozycje przypadły do myśli W. K. Mości, proszą oni, aby posłano do nich człowieka, któremby mogli zaufać bezpiecznie, i któryby, będąc zupełnie nieznanym, nie zdawałby się być podejrzanym: bo ta właśnie obawa, nie dozwoliła porozumiewać się w tój sprawie z rezydentem JKMc i w Gdańsku. Że zaś pieniądze są środkiem prowadzenia wojny, żądają oni dla każdego jeźdźca niemieckiego pięćdziesiąt patagonów, a żołdu miesięcznie dziesięć patagonów (1). Za niemieckiego żołnierza piechotnego dwanaście patagonów i sześć żołdu; za żołnierza piechotnego polskiego sześć i cztery żołdu miesięczne-

(1) Liwr w w. XVII równał się dzisiejszym 4 fr., ówczesne sou dzisiejszym 4 sou. Patagon w w. XVII 48 sou ówczesnych, to jest 192 dzisiejszych czyli 9 fr. 60 cent. Żądają więc za każdego jeźdźca niem. około 500 fr. i żołdu do 100 fr. miesięcznie. Nic dziwnego, jeśli nie wiemy nic o skutkach tego memoriału i propozycji, które zapewne wyszły z pod pióra Czechów schronionych do Polski po bitwie pod Białą Górą.

go. Za uzbrojenie jednego kawalerzysty polskiego dwanaście patagonów i sześć żołdu. Oficerowie zaciągu niemieckiego będą pobierali płacę jak w wojsku króla Jmci, a oficerowie zaciągu polskiego płacę taką, jak u nich zwyczajna; co nie czyni znacznej summy. Byłoby rzeczą pożądaną, aby wysłannik królewski miał moc traktowania o tych wszystkich rzeczach, nawet o broni, artylerji i o generałach.

„Z wielkim nadto byłoby pożytkiem, gdyby można nakłonić Szwedów, aby na Pomorzu dali miejsce zbierania się piechocie niemieckiej, któraby chcąc zejść się w księztwie cieszyńskim, przez całe królestwo polskie przechodzićby musiała. Wprawdzie Szwedzi zazdrośni są i sami tylko radziby znaczyć coś w Niemczech; być więc może, że będą robili trudności, ale dla niewielkiej liczby żołnierzy, którzy obowiązani są płacić za wszystko, powinna Szwecya zezwolić na żądanie króla Jmci, który im tak potężnie i wspomniałomyślnie dopomaga“. W końcu dodają, że ani środków swoich, ani przyjaciół, ani stosunków nie śmia wymieniać w piśmie, ale iż to wszystko szeroko wyłożą przy osobistém z postami króla zetknięciu.

—Jednym z najważniejszych do historii naszej dokumentów w bibliotece paryzkiej przechowanych jest *Manuskrypt* p. t.: *Négotiations sur la Vacance du Trone de Pologne en 1696 après la mort du Roi Jean Sobieski et des Diètes pour l'election de son successeur*. 4ka, str. 450. Na okładce taki znajduje się przypisek: *fait en 1730, Decembre 31, par M. le Dran chef du depot et premier commis des affaires etrangeres* (1).

Manuskrypt dzieli się na dwie części: pierwsza zawiera czynności ks. Polignaca w Polsce, druga rozpoczyna się od chwili, kiedy Ludwik XIV dla pomocy a bardziej dla kontroli

(1) Manuskrypt ten w r. 1829 znajdował się w rękach Salvandego; ten odsyłając go właścicielowi, taki napisał list (przy manuskrypcie zachowany). „Je ne crois point Monsieur, que ce volumineux Memoire, manuscrit sur les négociations relatives à la vacance du throne de Pologne en 1696 ait jamais vu le jour. Il est beaucoup plus complet et plus exact que La Bizardière, et présente par la réunion de tous les actes emanés du cabinet de Versailles, ou qui lui furent adressés dans cet periode, un intérêt veritable. Je ne puis donc que vous feliciter de sa possession.“

(podp.) de Salvandy. Paris 11 Juin, 1829.

działań swego ambassadora przysłał do Warszawy ks. Chateauf. Jestto szereg korespondencyj Ludwika XIVgo i jego ambassadorów. Jak wiadomo, Francya popierała wówczas swego kandydata księcia de Conti, o czém król francuzki z początku nie myślał, ale na co przystał zagniony świetnymi obietnicami, które mu poseł czynił. Wszelako zawarował odrazu, że nie chce na tę czynność wydać więcej nad 100,000 talarów rocznej pensyi; ale gdy się rozpoczęły negocyacye i ks. Polignac wszedł w targi z panami polskimi i szlachtą: Ludwik XIV oprócz powyższej summy wydał do półtora miliona franków, a do trzech milionów zapłacić zobowiązał się. Smutnyto jest dokument, a mimo to nieocenionej wartości; pokazuje on bowiem nam dotykalnie, jak się u nas robiły elekcye, począwszy (nie sięgnę zawysoko) od abdykacyi Jana Kazimierza. Plac elekcyi stał się placem targowym, na którym naczelnicy partyi umawiali się z tym, kto dawał więcej. Kilka ustępów które poniżej przytaczam, wykażą, jakiej wartości jest dla nas wspomniany memoryał: bo chociaż opisuje on głównie zabiegi partyi francuzkiej, bogatym jest w szczegóły ważne, fakta nowe, zupełnie nieznanne lub niedokładne, bez których historia tego pamiętnego bezkrólewia dokładną być nie może. Wszystkie osoby, które w tej epoce grały rolę, znajdują w piśmie tém dla siebie miejsce: oceniony ich wpływ, ich wartość moralna i polityczna, przytaczane rozmowy, opisany dokładnie ich sposób postępowania. Wielość szczegółów, fakta interesujące zawarte w depeszach Polignaca, przezorne uwagi Ludwika XIV, portrety figur historycznych, przewybornie w listach wspomnianych skreślone: nadają dziełu temu charakter tak ważny i tak pełen interesu, że się go czyta z równą przyjemnością, jak pamiętniki z współczesnej niemal epoki.

Kiedy czy skutkiem niepolitycznego postępowania Maryi Kazimiéry, czy téż skutkiem intryg ambassadora francuzkiego, partya francuzka wzięła górę i była niemal pewną zwyciężcą; królewicz Jakób zamierzył wycofać się z kandydatury, aby sobie i wielkich a próżnych wydatków, i wstydu oszczędzić. W jaki zaś sposób cofnąć się postanowił, okaże następny wyjątek (str. 154): „...Wkrótce po odesłaniu tej ekspedycyi Ludwik XIV dowiedział się z listu ks. Polignaca z d. 17 listopada (1696), że ks. Jakób tak był zakłopotany małemi dowodami życzliwości, okazywanój mu przez szlachtę, a wielką popularnością

księcia Conti, że zamierzał traktować z kimbądź, choćby z ks. Polignakiem o pretensye swoje do korony; że kasztelan chełmski, w którym rzeczony książę Jakób pokładał zupełne zaufanie, niewiedząc o stosunkach kasztelana z ambassadorem, przekonał go, iż w niebezpieczeństwie stracenia i majątku całego i korony, powinien zawczasu zapewnić sobie odwód, wybadawszy dwory interesowane w elekcji, z któremiby najlepszą mógł zawrzeć umowę, i że w tym celu książę Jakób miał tajną schadzkę z ks. Polignakiem. Oto jest sprawozdanie ze schadzki téj, przesłane Ludwikowi XIV przez ambassadora:

„Zaczął książę Jakób żalić się przedemną na królowę, która raz go wspierała, drugi raz poświęcała swoim przyjacielom, a ci zabierali jęj pieniądze śmiejąc się z niego, że to był odwet na sukcesyi jego ojca, który im wziął daleko więcej. Żalił się na Niemców, którzy go wspierali pięknemi słówkami, ale nie dając mu rzeczywistęj pomocy. Zakończył na tém: że jest najnieszczęśliwszym z ludzi, że nie takiego nie byłoby mu się wydarzyło, gdyby go zawczasu nie związano z domem austryackim; że tylko WKMość umie wspierać i protegować ludzi, i że zdecydował się zgłosić się do WKMości, wypowiedziawszy wszystkim swój żal cesarzowi i ceszarowej. W tym celu wysłał księdza Bernika do Wiednia z poleceniem, aby wyłożył położenie jego, przyjaźń królowej dla elektora bawarskiego i wielkie wrażenie, które hojność Francyi na umysłach zrobiła. Że aby pozyskać koronę, mimo tak potężnych przeszkód, trzebaby mu przynajmniej tylu milionów, ile WKMość za księciem Conti obiecuje; że trzecią część téj summy może znaleźć w swoim majątku dziedzicznym, ale reszty nie może się z żadną spodziewać, jak tylko od J. C. Mości. Gdyby mu dano tę summę, odzyskalby nadzieję, lecz jeśli mu téj łaski odmówią, musi wyrzec się wszelkich pretensyj, aby ze wstydem nie upaść. Żeby zaś wszystkiego naraz nie stracić, chce zrobić układ z innym kandydatem i sprzedać mu swoje głosy; że w tym względzie oddaje jeszcze pierwszeństwo wyboru domowi austryackiemu, żądając w nagrodę vice-królestwo Neapolu lub gubernatorstwo Neapolu, a w przeciwnym razie uda się gdzieindziej.

„Poczém książę dodał, że jeśli po takięj z jego strony deklaracji dwór wiedeński okaże się twardym lub bezsilnym, to on tegoż samego Bernika wyśle do WKMości (pod pozorem przejazdu do Hiszpanii), aby w jego imieniu ofiarował księciu

Conti wszystkich przyjaciół księcia, zastrzegając dla niego coś stosownego we Francyi, coby go mogło wynagrodzić. Radby zatem dowiedzieć się zawczasu, coby w tym przypadku dla niego zrobiono, i prosił mnie, aby pisać do WKMości i zapewnić, że księciu de Conti chętniej ustąpi korony, niż księciu Alexandrowi (Sobieskiemu) lub elektorowi bawarskiemu, bo jak się pokazuje, ks. Neuburski i Lotaryngski nie nie wskórają.

„Udałem, jakoby mnie ta jego mowa zdziwiła; mówił zaś niemal ciągle ze łzami w oczach. Odpowiedziałem mu, że nie powinien się zniechęcać, ale prowadzić dalej starania swe dopóki będzie miał jakąkolwiek nadzieję; że jednakże nie mogę ganić jego ostrożności, i że zrobię wszystko, co sobie życzy. Dodałem, iż Niemcy źle robią, opuszczając go w tak ciężkiej potrzebie, i że w tej nawet chwili mogę go upewnić, iż znajdzie u króla więcej życzliwości i wspaniałomyślności.

„Po rozmowie tej uwiadomił mnie kasztelan chełmski, że ksiązę Jakób nie był zadowolniony, i że mu polecił ułożyć instrukcyą dla księdza Bernika i mnie ją zakommunikować, abym w niej zamieścił co mi się będzie podobało. Pracowaliśmy nad nią przez całą noc i takeśmy ją ułożyli, że niepodobna aby pieniądze nie odmówiono; czy zaś na resztę przyzwolą, czy nie, rzecz obojętna. Nieco złośliwie włożyliśmy w nią uroczystą obietnicę w imieniu księcia Jakóba, iż królestwo, Rzplite, naród cały, poświęci zupełnie interesom cesarza, i że jeżeli z jego pomocą wejdzie na tron, jego tylko rozkazów słuchać będzie.

„Zachowałem sobie kopią tej instrukcyi, o której ksiązę Jakób myśli, że jest w wielkim sekrecie przysłana, a która go całkiem z nóg powali kiedy zechce, z powodu tej ofiary zbrodniczej i wprost przeciwnej wolności Polaków. Mam także list biskupa kujawskiego do cesarza; a że w wspomnionej instrukcyi ksiązę Jakób domagał się kapelusza kardynalskiego dla tego prałata, w celu iżby zwiększyć jego powagę i stawić go przeciw kardynałowi Radziejowskiemu: pokazałem poufnie oba te dokumenta temu ostatniemu, niemówiąc bynajmniej jak do nich przyszedłem. Osądziliśmy, że będzie użyteczna rzecz wyjawić je, skoro się dowiemy o przyjeździe księdza Bernika do Wiednia i o rozpoczętych przez niego negocyacyach, bo naówczas kardynał może udać, że otrzymał ich kopią wprost z Wiednia przez pocztę. Książdz Bernik żądał odemnie paszportu, którego

mu udzieliłem, i napisałem dla księcia Jakóba list, który ma od siebie postać do WKMości."

Oto jest odpowiedź, którą Ludwik XIV przestał 13 października na depeczę tę księdza Polignaka: „Nie WPanu tylko ks. Jakób zwierzył się z myślą traktowania z mym kuzynem księciem de Conti: w ten sam sposób mówił o tém matce poła polskiego, który jest przy mnie, a poseł ten pokazał list pisany do niego przez kardynała Radziejowskiego. Pokazuje się ztąd, że nie możesz znaleźć ludzi zdolniejszych do utrwalenia go w tém przedsięwzięciu, jak są ci właśnie, którzy jego zaufanie posiadają. I w istocie książę ten chwyciłby się drogi najkorzystniejszej dla siebie, gdyby mógł wyrzec się nadziei, których podstawa z każdym dniem kruszy się, i gdyby tym sposobem uratował przynajmniej rzeczywistą fortunę zostawioną mu przez ojca. Książę, któryby mu winien był koronę, musiałby wdzięczności swojej dać dowody; a w kraju, gdzie teraz przebywa książę Jakób, naraża on się na niebezpieczeństwo pozostania kiedyś bez majątku i bez zaszczytów, li tylko dlatego, iż napróżno dobijał się o koronę, której otrzymać nie mógł."

„Prowadź z nim WPan negocyacye, któreś rozpoczął; znasz zaś zanadto jego lekkość wrodzoną i częste zmiany, aby się nie dać oszukać pozorom, które okazuje, jakoby miał chęć powrotu do mojej łaski."

„Lecz ponieważ on jest jedynym pretendentem, którego masz przeciw sobie, i ponieważ on sam wyznaje słabość swojej partyi, nie zdaje mi się więc potrzebne, abys czynił duże nakłady dla zwalczania jego."

„Nareszcie powinieneś WPan pamiętać, że jeszcze sześć miesięcy do elekcyi, i że jeśli nie będziesz oszczędzał pieniędzy które masz, zjawić się może nowy pretendent, który choćby nie mógł czynić tak wielkich nakładów jak te, któreś już porobił, będzie w stanie zniszczyć W Pana dotychczasowe zabiegi."

Ta uwaga Ludwika XIV okazała się w swoim czasie sprawiedliwą. Przez czas bezkrólewia ks. Polignac rozdał niemal pieniądze, a gdy w końcu dawać przestał i zjawił się kandydat zasobny w gotówkę: nagle i niespodziewanie partya francuzka, która pierwój w całym kraju górowała, nie mogła księciu Contemu utrzymać korony. Cóżkolwiekby, Ludwik XIV w ciągu negocyacyi chciał się wycofać z tak kosztownego przedsięwzięcia, i wyrzucał ambassadorowi swemu rozrzutność, a miano-

wicie, iż władzę sobie daną w szafowaniu pieniędzy przekraczał. Oto jeszcze jeden list Ludwika XIV pisany 13 stycznia 1697 r. (str. 177): „...Otrzymałem depesze W Pana z 3, 7, 11 i 14 z. m. Uwiadamiają mnie, że stronnictwo ks. Jakóba zmniejsza się codziennie, że partya elektora bawarskiego jest nieznaczną, i że nowi pretendenci do korony nie zjawiają się. Miałbym powody być zadowolony z tego, co mi donosisz, i ze szczęśliwych owoców, które usilność W Pana dla dobra mego kuzyna księcia de Conti wydała, gdyby ona odpowiadała moim rozkazom. Lecz widzę, iż summy, któreś przyobiecał przekraczając moje pozwolenie, niewczą zupełnie środek przezemnie przedsięwzięty, i zmuszą mnie nakoniec do zaprzeczenia zobowiązaniom się W Pana, uczynionym w mojem imieniu.“

„Ze wszystkich moich listów poznałeś to W Pan, o ile należało oszczędzać pieniądze, które posłałem, i jakie są trudności w wyprawieniu do Polski summ tak wielkich, w chwili kiedy mnie wojna wydatkami obciąża.“

„Wszelako ważność téj elekcji skłoniła mnie do poświęceń dla zapewnienia korony memu kuzynowi, księciu de Conti. W tym celu zezwoliłem na wypłatę 100,000 talarów pensyi, na wypłatę 600,000 liwr. które odebrałeś, a nawet aż do 800,000. Nakoniec zezwoliłem na przyobiecanie w imieniu księcia de Conti summy 3 milionów po elekcji dla zaspokojenia armii, gdybyś W Pan nie mógł zaspokoić ich 1,500,000 do 200,000 liwrów.“

„Sądząc po tém, coś mi W Pan pisał, mniemałem, iż tak znaczne ofiary będą dostateczne dla pozyskania głosów narodu, już przekonanego, że żaden inny kandydat nie jest dlań stosowniejszy“.

„Zalety księcia i urodzenie jego, które go stawia poza interesami mocarstw podejrzanych Polsce, powinny mu zapewnić wielką przewagę nad innemi kandydatami, i słusznie sądziłem, że jeśli nie potrafisz oszczędzić z tych summ, które posłałem, to ich przynajmniej nie wydasz chyba z uwagi na innych pretendentów, lub na bliskość elekcji“.

„Stało się całkiem inaczej: książę Jakób zdaje się do dziś dnia być jedynym kandydatem, majątek jego wyczerpuje się, partya jego słabnie z każdym dniem więcej. Jeszcze cztery miesiące dzieli nas od elekcji; na pozór nie możesz sobie życzyć lepszego położenia, aby nie marnotrawić moich ofiar, a jednakże bez potrzeby zobowiązałeś mnie już do zapłacenia blisko sześciu milionów liwrów“.

„Nie zdajesz mi nawet rachunku z tych wydatków. W każdej depeszy dowiaduję się o nowój expensie, która zdawała się konieczną, a jak dotąd, żaden list W Pana nie uwiadomił mnie o szczegółach”.

„Łatwo mógł odgadnąć ksiądz Scarlati (1), że obietnice tak wielkie przez W Pana uczynione, ziszczonemi być nie mogą, i przywodziś mnie obecnie do tego, że muszę stwierdzić pogłoski, które roznosił”.

„Domyślisz się także W Pan, że zdając mi tak zły rachunek z pieniędzy, które przeszły przez ręce W Pana, wystawiłeś bezużytecznie nowy weksel na JM. pana Milтона, na którego wypłatę nie zezwoliłem, i nie przydałoby się na nic czynić ten nowy wydatek, skoro summy do których mnie zobowiązałeś, o tyle władzę W Pana przechodzą”.

„Ostatni środek, który obecnie pozostaje, jest rozważyć, ile można dla dobra méj służby wyciągnąć pożytków z pomocą pieniędzy, które rozdałeś, i z pomocą tych o których mnie masz, że są przyjaciółmi W Pana”.

„Rzecz wątpliwa, abyś mógł na nich liczyć w elekcyi mego kuzyna księcia de Conti, skoro W Pan coś w tym celu przyobiecał. Moją jednakże wolą jest, abyś wszystkie wydatki ograniczył wedle tego, com przyrzekł; a jeśli zmiana ta wpłynie tak niekorzystnie jak się spodziewam, i jeśli przyjaciele W Pana oświadczą, że do elekcyi téj należać więcej nie mogą: potrzeba starać się, aby ich, z pomocą tych 560,000 liwrów, któreś już rozdał i z pomocą 100,000 talarów pensyi, na które jeszcze zezwalam, zobowiązać do wyboru księcia, którego przychylność nie byłaby mi podejrzaną i któryby mi zawdzięczał koronę polską”.

„Książę Alexander hardzoby się nadawał ku temu; przekonany jestem, że i królowa matka wkrótceby zmieniła swoje uczucia, tak jak tego pragnę, gdyby spodziewać się mogła, że mi będzie obowiązana za tak wielką przysługę”.

„Majątek jój, razem z summą przezemnie na pensyą przeznaczoną, postawiłby ją w możności czynienia większych wydatków dla syna swego, niż któryby kandydat; i chcę, abyś W Pan planu tego odtąd się trzymał, jeśli nie masz więcej nadziei przeprowadzenia elekcyi mego kuzyna księcia de Conti, pod

(1) Pełnomocnik elektora brandeburskiego.

warunkami przezemnie dozwolonemi, to jest 600,000 liwrów, które już do Polski posłałem, a najwięcej 800,000 liwrów, 100,000 talarów pensyi i trzech milionów liwrów, które książę po wyborze swym podejmuje się armii zapłacić“.

„Masz nadto WPan wykonać te moje rozkazy o ile podobna najwcześniej, a jeśli wypadnie cofnąć słowo W Pana, interes mój wymaga, aby to uczynione było natychmiast bez czekania aż do elekcyi, bez nadużywania wiary tych, którzy się z W Panem umówili: bo wówczas zostałby królem polskim książę taki, coby pomoc uzyskał od moich nieprzyjaciół“.

„Możesz nadto W Pan użyć téj drogi dla elekcyi elektora bawarskiego lub którego pana polskiego, jeśli masz nadzieję, że się ona uda, i doniesiesz mi, co o tém W Pan sądzisz.“

Książdz Polignac nim jeszcze otrzymał tę depeszę, usprawiedliwiał się w ogólnych słowach z wielkich wydatków, przytaczając między innymi za powód, że nie mógł przewidzieć konfederacyi armii litewskiej, która go na nowe naraziła koszta. Odpowiada mu Ludwik XIV na d. 31 stycznia, że nie zmienia nic z ostatniej decyzyi. Ale współcześnie rozgłaszano na dworze francuzkim wieści, że ambassador króla marnotrawi pieniądze na życie zbytkowne i rozpustne, i że to wszystko, co z Polski donosi jest udaném, a przynajmniej przesadzoném. Podejrzenie to obok milezenia księdza Polignaka, co się tyczy szafunku pieniędzy, zdawało się królowi dosyć uzasadnione, tak, iż postanowił wysłać kogoś do Polski dla przekonania się o czynnościach księdza Polignaka. W tym celu wybrał niejakiego Forvala i temu dał obszerną instrukcyą, w której powiada, że mu nie chodzi tyle o wybór takiego księcia jak książę de Conti, jak raczej o owe miliony, które, wedle twierdzenia Polignaka, mają być rozdane. Już instrukcyą była gotowa, kiedy Forval zachorował; wysłano zatem z tą misyą księdza Chateaucneuf. Tymczasem nadeszła depesza Polignaka z d. 4 lutego, a z nią szczegółowy rachunek pieniędzy, i to zmieniło w głównej części decyzyą Ludwika XIV. Depesza ta jest następnój osnowy:

„Bez wątpienia nie przez zaniedbanie, ani przez zapomnienie mego obowiązku zwlekałem tak długo z przestaniem rachunku WKMości z wydatków poczynionych, chociaż w każdej depeszy przyrzekałem się uiszczyć; jedynym powodem tego opóźnienia było, że dopiero w ciągu trzech ostatnich miesięcy, pozawierałem umowy i poczyniłem zaliczki dla zapewnienia ko-

rony księciu de Conti, i że wolałem uścić się odrazu, nizeli okazywać szczegóły niedokładne“.

„Aby uniknąć niedogodności w której się obecnie znajduję, wystawiłem weksel na p. Milton na sumę 300,000 fr. o czém miałem zaszczyt zawiadomić WKMość listem z d. 14 grudnia. Jeżeli list kupiecki doszedł prędkiej, nie moja w tém wina; jakoż oddawna spostrzegam, że listy moje zatrzymywane są w Gdańsku lub w Berlinie. Cóżkolwiekby, WKMość może być przekonany, że nie ośmieliłbym się nigdy na tak wiele bez uwiadomienia WKMości i bez wyłożenia powodów, według mnie przekonywających, aby zapobiedz niebezpiecznym w tém bezkrólewiu zwłokom“.

„Nie mogę nic dodać do tego, co miałem zaszczyt donieść WKMcii w liście moim z d. 28 grudnia, i co w kilku słowach streściłem w liście z d. 15 stycznia, aby wyjaśnić, że niepodobna taniiej utworzyć w tém królestwie partyi tak potężnej i tak licznej jak ta, którą mam w moim ręku, i że interes zdawał mi się być dość ważnym, aby nie żałować summ, które w istocie byłyby zbyt wielkie, gdyby nie przyniosły pięknej i wielkiej korony, zdolnej do trzymania na wodzy największe mocarstwa niemieckie, i do zastraszenia cesarza nowemi rewolucjami w Węgrzech i Siedmiogrodzie“.

„Lecz ponieważ te uwagi w umyśle WKMości daleko są przytomniejsze niż w moim, nie mogły one zatem upoważnić mnie do przekroczenia naznaczonych mi granic bez nowego upoważnienia; przekładałam zatem WKMości relacją z całego mego postępowania.“

1) „Wasza Król. Mość raczy sobie przypomnieć, że w liście z d. 17 lipca r. z., (błagam najpokorniej, aby WKMość raczyła go powtórnie odczytać) przedstawiłem cały plan téj sprawy, a plan ten nietylko okazał się nateraz stosownym, ale się wypełnił i ulepszył wedle zasad rzeczywistych i trwałych, które poprzednio położyłem. I tak przyrzekłszy 60 tysięcy talarów, które WKMość znajdzie w rachunku, pozyskałem oddawna kardynała Radziejowskiego. Jeśli on mię oprócz tego kosztował 2,000 talarów za jeden pierścień i 4,000 talarów za drugi dla kasztelanowej Łęczyckiej, to dlatego, iż nie było innego sposobu, aby zachęcić oboje do popierania naszej sprawy, i że oszczędzając, jak to wówczas czynili, królowe, partyi naszej niemało szkodzili. Prymas, który dla nikogo z ta-

ką gorliwością nie mógłby pracować jak dla WKMości, chciałby jeszcze mocniej przywiązać się nawet po elekcyi, służąc WKMości czyto podczas konklawe w Rzymie, czy też w Polsce w jakichbądź czynnościach. Pragnąłby zatem, aby w miejsce pensyi, którą mu ofiarowałem, WKMość raczył mu dać jakie opactwo we Francyi, i życzy sobie, abym już miał na to przywilój w swym ręku, i doręczył mu go po wyborze księcia de Conti.

„Co do Sapiechów, umówiliśmy się o 100,000 talarów dla obu braci; lecz niepokoje litewskie zmusiły mnie do przyobiecania 10,000 talarów dodatku, a 2 tysiące dla jego syna z takąż pensją: a to z powodu ogromnych wydatków, jakie musieli ponieść dla pogodzenia konfederacyi.

„Co się tyczy Potockich, krok za krokiem postępowałem z nimi tak, jak księżę Jakób; z tą różnicą, że samemu W. łowczemu przyobiegał on 40 tysięcy talarów, z których 25 tysięcy wypłacił, a ja go miałem za 6 tysięcy, skoro go W. podskarbi nakłonił do uchwycenia się partyi francuzkiej z całą rodziną.

„W. podskarbiemu obiecałem 30 tysięcy talarów i 3 tysiące pensyi, na mocy wyraźnego zezwolenia WKMości. Bratu jego marszałkowi W. 20 tysięcy, a żonie jego 10 tysięcy, przez wzgląd na wielki ich wpływ w Rzplitej. Równie szczerze i z tego samego powodu obszedłem się z jego bratem, jak niemniej z podstolim, człowiekiem bardzo czynnym, który mi już znaczne oddał usługi w Lublinie, we Lwowie i w armii.

„Ks. biskup płocki i trzech bracia jego senatorowie, nie wydawali się zbyt wysokiej ceny, zważywszy na korzyści, jakie z nich odnoszę. Rzecz niezawodna, że ten prałat czyni więcej niż wypowiedzieć można, i że jest godnym naśladowania.

„Co do reszty, postępowałem z nimi wedle ich pożytku, gorliwości i więtości w senacie i pomiędzy szlachtą, tak, że sądząc po cenie jaką dla każdego naznaczyłem, można wnioskować o potędze każdego.

„Rozruchy na Litwie sprawiły, iż ona mnie kosztowała więcej niż mniemałem, a to dla utrzymania konfederatów tak, jak być powinni, to jest dla utrzymania ich w zupełnej zależności od podskarbiego, a uchronienia od wpływu kasztelana krakowskiego (1), księcia Jakóba, lub którego z książąt niemieckich. Nie

(1) Jabłonowskiego hetmana W. K.

mogłem zatem odmówić panu tak wiernemu i tak gorliwemu dla księcia do Conti, wynagrodzenia 30 tysięcy talarów po elekcji, ponieważ armia ta, potrzebna dla wspierania nas, kosztowała go przynajmniej drugie tyle; lecz zabierając znaczną część dochodów z ekonomij wakujących podczas bezkrólewia, poprzestał na summie wspomnianej.

„Co się tyczy pieniędzy wydanych na marszałkowską czyto w czasie sejmików, czy też w czasie elekcji, nie innego WKMości powiedzieć nie mogę, jak tylko, że niemi zapewniłem sobie życzliwość całej szlachty, i że nie było pewniejszego środka dla zachowania jej lub przeprowadzenia uchwał wiodących do celu.

„WKMość znajdzie na liście imiona celniejszych panów tego królestwa wciągniętych do naszej partyi, niektórych wszakże bez oznaczenia summy przezemnie przyrzeczonej, a to dlatego, że nie zrobiłem jeszcze pismienego z niemi układu, ponieważ nie byli w Warszawie, ale mogę być ich pewny, bo mam ich słowo i znam ich zamiary, wykazujące się wreszcie łatwo z tego, jak postępują.

„Ogólna summa tych różnych zobowiązań, aczkolwiek bardzo wysoka, nie powinna przecież zadziwiać WKMości, bo nie tylko że już zapłaciłem znaczną jej część, a reszta ma być złożona w dwóch ratach: jednej przed, drugiej po elekcji, ale nadto, że kwota 800,000 fr. przeznaczona dla prywatnych, ściągniętą zostanie z funduszów Rzplitej, tak, że WKMość nie wyda ani jednego talara więcej, jak to, co zamierzył. Ułożyłem się już o to z memi przyjaciółmi, przedstawiwszy im niepodobienstwo, aby można nadużyć w wydatkach, których wymagają obecne okoliczności i interesa. Zgodzili się oni, że lepiej zadowolnić prywatnych a mniej ofiarować dla Rzplitej, ponieważ mając ją niemal całą poszczegóło, mniej jest pożyteczne starać się o jej pozyskanie w ogóle. Środek ten nie zdaje mi się być dalekim od zamiarów WKMości, gdyż po kilkakroć odebrałem rozkaz, abym uważał: czy nie możnaby coś oszczędzić z summy ofiarowanej dla ogółu, a za to więcej dać prywatnym.

„Że zaś w drukowanym liście moim nie oznaczyłem ilości milionów, i gdy mi nietrudno odmienić traktat pruski (1), e ile

(1) Zawarty przez ambassadora ze szlachtą pruską dla popierania elekcji księcia de Conti.

on bliżej tę rzecz waruje; WKMość osądzi co chce i co może dać dla Rzplitej, aby jój pomódz w wypłatach armii. Błagam wszakże najpokorniej, aby to była summa znaczna i o ile możliwości większa nad 3,000,000 liwrow, które WKMość zezwolił przestać do Polski przed wyborem. Z summy téj odejmę co będzie potrzeba dla prywatnych, a resztę złożę w ofierze na sejmie. Przyjaciele moi poradzą, aby Rzplita była kontenta, i jeżeli Bóg pozwoli, rzeczy nie gorzej pójdą. Lecz prawdę mówiąc, im więcej będzie pieniędzy, tém pewniejszy będzie tryumf.

„W końcu Najjaśniejszy Panie dodam, iż rzeczy tak są już ułożone, że korona polska za tę cenę dostanie się w ręce WKMości; błagam zaś łaski WKMości w imieniu wiernój jego służby, co do dwóch punktów:

„Nasamprzód, aby WKMość raczył odesłać jak najspieszniej kuryera, który zawozi te rachunki, i odpowiedź WKMości przyniesie.

„Aby raczył wysłać pomoc, jeśli to można, przez tegoż kuryera. Bo inaczej trudno byłoby, iżby bankierowie wypłacili całą summę przed 15 maja, a rzecz konieczna, jak to miałem zaszczyt donieść WKMości, aby podczas sejmików poprzedzających elekcyą i kończących się w miesiącu marcu i kwietniu, szlachta wiedziała, że już pieniądze te, które rozdane być mają, nadeszły.

„Przydam prośbę o trzecią łaską, o którą z najgłębszą pokorą śmiem błagać WKMości, to jest, że jeśli WKMość nie ufa mi, iż rzeczy stoją tak dobrze jak donoszę, aby raczył przysłać ze swój strony kogoś do Polski, któryby zobaczył, co się dzieje, co tu mówią pomiędzy większą i mniejszą szlachtą, jak stoją interesa kandydatów, w co się obróciły zabiegi królowej i księcia Jakóba, czy jest nadzieja dla elektora brandeburskiego, i czyli nie ma niebezpieczeństwa, aby ksiązę Neuburski albo Ludwik badeński nie zatryumfowali w razie odstąpienia księcia de Conti. Byleby to był człowiek sprawiedliwy, szczery, bez uprzedzenia i podobnie jak ja wyłącznie oddany na usługi WKMości, radować się będę wielce, iż poświadczy moje czynności i doniesie o postępach moich w téj Rzplitej. Bez wątpienia, lepiej byłbym rozkazy WKMości wypełnił, gdybym mniej rozdał lub mniej przyobiecał, alebym i sprawy tak daleko nie posunął.”

Z depeszą tą przysłał książę Polignac wykaz summ zapłaconych i zapłacić się mających przed lub po elekcji, a nadto spis urzędów, godności i zaszczytów, które książę de Conti zostawszy królem, będzie obowiązany rozdać cenniejszym panom, elekcją jego popierającym (1). Przyłączył także do depeszy rotę przysięgi składanej przez osoby zobowiązujące się popierać księcia de Conti.

Ludwik XIV, jak się pokazuje, zadowolonym był z powyższego tłumaczenia się i rachunków, bo w następnym liście oświadczył, że oprócz 100 tysięcy talarów pensyi, 800,000 liwrów do rozdania, przystaje nadto na 3 miliony franków, płatne przed elekcją; uwiadamia przytém Polignaka, że stosownie do jego życzenia, ks. Chateaufeuf wyjeżdża do Polski.

Na tém kończy się pierwsza część manuskryptu. W liście, którym drugą część otwiera Polignac, żąda aby ks. de Conti z Francyi wyjechał i trzymał się sekretnie na granicach Polski. Żądanie to poszło w niesmak młodemu księżęciu, któremu się zdawało, że Ludwik XIV tylko dlatego negocjuje o koronę polską w jego imieniu, aby się go pozbyć z Paryża i z Francyi; rezultat jednak pokazał, że przezorność Polignaka była sprawiedliwą, i że tylko spóźnienie się księcia de Conti zapewniło Fryderykowi saskiemu utrzymanie się na tronie polskim. Ks. Chateaufeuf znalazł partya francuzką bardzo potężną; w pierwszym wszakże liście z d. 5 kwietnia (1697) z Warszawy pisany donosi, że nie tylko będzie opozycya przeciw księciu Contemu, ale że niezawodnie nastąpi rozdział w wyborze: jedni bowiem ogłoszą Contego, a drudzy innego kandydata, lecz którego, dotąd niewiadomo.

Wkrótce potem Polignac otrzymał weksle na trzy miliony, lecz bankierowie gdańscy wypłacić tak znacznej summy nie chcieli. Rozniosło się to po sejmikach, szlachta poczęła powątpiewać o rzetelności przyrzeczeń ambassadora francuzkiego. Lecz już tenże domyślał się jakichś intryg, choć nie widział ręki niemi kierującej; nareszcie odstąpili od niego Sapiehowie, wyszły na jaw tajne dotąd zabiegi Fryderyka Augusta, przyjechał wkrótce poseł saski Flemming.

Ambassador francuzki znajdował się w najprzykrzejszym położeniu: zbliżała się elekcya, a zatem nadchodził termin przed

(1) Rachunku tego ani spisu w manuskrypcie tym nie znajduję.

wyborem do wypłat n̄znaczony. Nie pomogły jego tłumaczenia, iż kupcy gdańscy weksłów nie wypłacili: panowie i szlachta głośno narzekać poczęli na zawód. Posłowie innych kandydatów pomnażali to rozjątrzenie, chcąc wziąć odwet na ambasadorze francuzkim, który tak długo był nad nimi górą; naówczas poseł saski uczynił francuzkiemu propozycyą, że jeśli ksiązę de Conti wyrzeczce się kandydatury, on wszystkie jego zobowiązania zapłaci.

Nadeszła nakoniec elekcyja; wybrano z jednéj strony ks. Contego, z drugieję Fryderyka Augusta. W jednym kościele kardynał, w drugim biskup kujawski *Te Deum* zaintonowali. Polignac doniósł Ludwikowi XIV o podwójnym wyborze, a ten odebrawszy w salonach wieczornych depeszę, wziął za rękę księcia de Conti i rzekł: „Panowie i pani! prezentuję wam króla polskiego”. Polignac upominał, żeby z odjazdem księcia ani chwili nie zwlekano, bo Fryderyk August ma tylko ośm dni drogi do Krakowa. I w rzeczy saméj: już August II był w Krakowie, zanim ks. de Conti wsiadł na okręt płynący do Gdańska.

Łatwo się domyślić, że ksiądz Polignac, chociaż może najmniejszą zawodu tego był przyczyną, popadł w niełaske. Przypisek do dzieła taką nam daje wiadomość: „Na rozkaz Ludwika XIV ksiądz Polignac powrócił do Francyi, o czém J. K. Mość zawiadomiony, kazał mu, aby się udał do swego opactwa aż do dalszego polecenia. Pozostał tam przez trzy lata; nakoniec J. K. Mość napisał do niego 23 maja 1701 r. z pozwoleniem przybycia na dwór. Od tego czasu wielkimi zasługami oddanemi w Rzymie i na kongresie utrechckim dokupił się kapelusza kardynalskiego.“

Na tém kończy się ten ważny, choć przykry dla polskiego czytelnika rękopis. Przyłączona do niego, już inną pisana ręką, wiadomość o przyjeździe Maryi Kazimiery do Francyi 1614.

Te są ważniejsze materyały do dziejów naszych w bibliotece manuskryptów zachowane, a w katalogu w oddziale polskim wymienione. Lecz nierównie większa ich liczba znajduje się w téjże bibliotece po innych oddziałach; spis ich i treść podam w następnym artykule.

PIERWSZA KOMMUNIA.

(ZE SZWEDZKIEGO, IZAJASZA TEGNERA).

Zielone Świątki—dzieńto zawiłał radosny!
Lśnią rankiem, białe wiejskiego kościoła ściany.
Na samym szczycie wysmukłej wieży, miedziany
Kur płomienieje, obłany promieniem wiosny:
Jak płomieniste języki, które w dzień owy
Na apostołów widomic zstąpiły głowy.

Jasne i modre niebo. Z kwiecioną skronią,
W świątecznej szacie, strojny maj zstąpił na ziemię.
Wiatry i zdroje wesele i pokój dzwonią.

„Bądź pochwalony, Boże!” kwiatów woła plemię
Krasnemi usty, powietrze przejmując wonią.
I na gałązkach wiotkich rój ptasząt rozchwiany,
Wesoło śpiewa hymn chwały Panu nad Pany.

Cmentarz kościolny wymiecion. Jako altana
Rozieleniała, w maj stara brama przybrana,
A na cmentarzu żelazne grobowców krzyże,
Dłoń kochająca w równianki ubrała świeże.

I nawet kompas, co wśród umarłych jedyny
Podnosi czoło (dawne on czasy pamięta)
Ustrojon w kwiatów przepaskę. Jak dziad sędziwy,
Wyrocznia swojej i wiejskich rodzin druzyny,
Gdy w dniu urodzin wieńczą go dzieci, wnuczeta:
Tak stary prorok ukwiecion, i na kamieniu
Milcząc wskazuje i mierzy czasu upływy,
Gdy u stóp jego wieczność spoczywa w uspieniu.

I wewnątrz kościół niezwykły strój przeobraża,
Bo dzisiaj młodzież, dorodne dziecwy, młodzicence,
Matek i ojców nadzieja, i ulubience

Niebios, tu kornie u stóp ołtarza
 Chrztu lat dziecinnych świętą ofiarę powtarza.
 Więc każdy kątek czysty; otarte z kurzawy
 Sklepienia, ściany, i pomalowane ławy.
 Rozkwitł jak kwietnik kościół, i święto zieleni
 W żywym obrazie przed twojem okiem się mieni.

Tu, z nadgrobowych herbów rycerskich wykwiła
 Związka gałązek, gęstemi liśćmi pokryta;
 Owdzie poważna, rzezana z dębu ambona
 Znów się zieleni, jak niegdyś kij Aarona.
 Na nią biblia osiana liściem, a w górze
 Pod baldachinem, posrebrzona gołębicą
 Niesie naszyjnik z kwiatów.—Lecz dalej w chórze,
 Potężny wieniec obwija ołtarz wokoło;
 A jasnowłose aniołów głowy, wesóło
 Patrzą, lyskając śród ciemnej wienca zieleni
 Podobnie słońcu, co się z za chmury prześwieca.

Świeżo otarta, dziś u kościółka sklepieni
 Korona z kruszczu, nowym się blaskiem promieni;
 Dziś i lichtarze świętna lilia ukwieca.

Już rozdał się dzwon: z wyżyn i dolin ściągnięte
 Mrowią się tłumy, by słowa usłyszeć święte.
 Słyszysz!... brzmi, płynie potężny rozgłos organów,
 Jak słowa Boże, jak górna mowa niebianów.

Jak spadł w powietrzu płaszcz z Eliasza ramieni,
 Tak spadła z duszy obelona ziemską. Drużyna
 Zgodnie wywodzi chór nieśmiertelnych świąt pieni,
 Utwór północnej *Dawida-ursy*, Wallina.
 I każde serce, na hymnów cudowném brzmieniu,
 Wzłata wysoko—wyżej, ku niebios sklepieniu.
 I każde lice niezwykłym światłem przyswieca,
 Jako jaśniały najświętsze Taboru lica.

Tłum. *Ig. Kułakowski.*

TOMEK MĘDRAK.

OBRAZEK Z ŻYCIA LUDU WIEJSKIEGO

opowiedziany ze zdarzenia prawdziwego

PRZEZ

Jana Wanteo Gregorowicza.

Dziwne w mieście są zwyczaje,
Mówią że to świat uczony;
A mnie się zaś wszystko zdaje,
Jakoby on był szalony.

K.

I.

Nic rozkoszniejszego, jak w ziemi krakowskiej położenie wsi Jaskułowa. Bo proszę sobie wyobrazić dwa łańcuchy równoodległe gór, przedzielone płaszczyzną, bujną roślinnością pokrytą, środkiem której woda z deszczu i nawałnic spływająca z pola od strony wschodniej wyplukała ogromny parów, coraz więcej ku zachodowi rozszerzający się, ale za to coraz mniej głęboki, i wysuwający się nareszcie na pasmo najbujniejszych łąk, idących precz, bez końca: bo jak tylko okiem dojrzyć się dało, zawsze smugę zieloną, wijącą się między polami dopatrzeć mogłeś. U spodu tego pasma gór, które właściwie nazwałby się go-dziło pagórkami, bo w pięć minut jeślibyś chciał nasycić oko cudnym widokiem, mogłeś wdrapać się na każdy wierzchołek; rozsypane były chałupki wieśniacze: mniejsze, większe, ze sto-dolami, chlewami, ogrodami owocowymi, które zdaleka wyda-jąc się jakby poprzylepiane gniazda jaskółcze do jakiego ogro-mnego gmachu, może dały początek nazwie wioski, przez nas opi-

sującej się. W niektórych miejscach parów łączył się małym przesmykiem ze ścianą łańcucha pagórków, i t \acute{e} m samem przecinał komunikacy \acute{a} między mieszkańcami; ale tu i owdzie zarzucony na chwiejących się dylach mostek usuwaj \acute{a} c t \acute{e} niedogodnoś \acute{c} , nadawał ca \acute{e} łej wsi postać szwajcarskiej krainy. Sam zaś parów, dzięki wodzie, która go utworzyła, pokryty dosyć grub \acute{a} warstw \acute{a} ziemi rodzajnej, zarosnięty był wierzbina \acute{m} , wiklina \acute{m} , brzezina \acute{m} , i wskr \acute{o} s poprzerzynany wydeptanemi ścieżkami, któremi wł \acute{o} ścianie z łatwoś \acute{c} i \acute{a} z jedn \acute{e} j strony wsi na drug \acute{a} przechodzić mogli.

Jednego dnia przy końcu miesiąca września, pokryła noc ciemną zasłon \acute{a} ca $\acute{ł$ ą okolicę. Niebo świeciło milionami gwiazd, jakby chciało iść w zawody z pływającym na swoim obszarze księżycem, który migoc \acute{a} c jasnym promieniem po zwilżonej ros \acute{a} trawie, rzucając długi cień od drzew i budynków, i na t \acute{e} le nocy wydatniejszemi czyniąc białe ściany cha $\acute{l$ up wieśniaczych: nadawał ca \acute{e} łej wsi postać fantastyczn \acute{a} , jakby przepelnion \acute{a} różnej barwy duchami, na dług \acute{a} wędrówkę po ziemi przeznaczonemi.

Chociażto pora nie tak późna, bo okna niektórych cha $\acute{l$ up migają jeszcze ogniem kominowym, a obszerny dw \acute{o} r wystawiony na wzg \acute{o} rzu, u st \acute{o} p którego rozpoczyna się opisany parów, ca $\acute{ł$ y błyszczy światłem; we wsi jednak już prawie cicho. Pracowity bowiem lud w Krakowskiem, w czasie żniwa i kopania rzepy i kartofli, w dni powszednie nie marnotrawi wieczor \acute{o} w napr \acute{o} żno, ale posiliwszy się wieczern \acute{a} i zm \acute{o} wiwszy pacierz, idzie zaraz na spoczynek, aby rano z pierwszym dnia brzaskiem być już na nogach, i przez to wcześnie \acute{j} w polu u roboty.

Cicho więc, tylko kiedy-nie kiedy odezwie się szczekanie psa, skrzyp drzwi odmykanych lub zamykanych, czasem cichy poświst przelatującego nietoperza, lub pokrzyk w ciemnym parowie puchacz \acute{a} albo sowy; a wtenczas ca $\acute{ł$ a wieś zda się na n \acute{o} wo ożywiać, bo ka \acute{z} dy pagórek odpowiada j \acute{e} j echem, i śl \acute{a} c g \acute{o} s od wzg \acute{o} rza do wzg \acute{o} rza, gubi go przy ścianie gdzieś tam daleko, jakby za mg $\acute{l$ ą, nad horyzontem czerniejącego lasu.

Z jedn \acute{e} j niewielkiej cha $\acute{l$ upki, położonej na samym zakr \acute{e} cie drogi od strony łąk, wyszła m \acute{o} łoda dziewczoja; a chocia \acute{z} wygaszony w izbie ogień świadczył, że mieszkańcy już o spoczynku pomyśleli, ona jednak zupełnie była ubran \acute{a} .

Zamykaj \acute{a} c nog \acute{a} drzwi sieni, r \acute{e} koma poprawiała zawiązanie chustki na głowie, muskaj \acute{a} c przyt \acute{e} m ma $\acute{l$ e kosmyki ciemno-

blond włosów, wymykające się zpod niej na obie strony twarzy. Gdy skończyła zalotne to zajęcie, zwróciła twarz ku drodze w stronę dworu, podparła głowę na jednej ręce, drugą łokieć jej przytrzymując, i w milczeniu zdawała się pilnie dawać baczenie na najmniejszy odgłos, zdala ją dochodzący. Ale jak na złość wszędzie było cicho. Dziewoja zmieniła miejsce, i podszedłszy kilka kroków, stanęła na wąkopie ogrodowym, z którego w dłuższej linii mogła przypatrzeć się drodze. Wspinała się biedaczka na palce, które wraz z nogą zupełnie bosą, usługę tę jej czyniły; czasem tak słuch wyteżala, że zdawała się lękać silnie odechnąć; czasem z matłem zniechęceniem spoglądała ku chałupie, jakby sobie przypominała spóźnioną porę i potrzebę spoczynku: gdy wtém, zdala od strony dworu, doszedł ją tętent i parskanie kilkunastu koni.

Dziewoja natychmiast obróciła się kierując oczy za słuchem, i jak tylko przekonała się, że to zapewne jest, czego tak pilnie wypatrywała; jak ptaszek spłoszony furknęła do sionki, i zamykając drzwi, przez dużą szparę zaczęła czynić dalsze przeglądy.

Tętent koński coraz się zbliżał i wkrótce pokazało się sześć par koni powodowanych przez trzech parobków, którzy pogwizdując, rozmawiając, tuż obok chałupki drogą przejechali. Dziewoja nasza pilnie każdemu z nich przyglądała się, lecz widąc, że żaden nie był tym, na kogo czekała: bo gdybyśmy poszli za ciekawym promieniem księżyca, całą jej twarz oświetlającym, dostrzeglibyśmy małą chmurkę na buzi, młodością i wdziękiem zdobną. Wyszła znowu z sionki, spojrzała na obie strony drogi, i widąc miała zamiar zaprzestać dalszego czuwania, bo chociaż z niechęcią, ale zwróciła się już ku chałupie, gdy nowy tętent znowu dał się słyszeć. Dziewoja jak łania w lesie, gdy posłyszysz jaki niezwykły szelest, wyciągnęła szyję i pilnie słuchała. Tętent coraz był bliższy i wkrótce dał się słyszeć śpiew, miłym męzkim tenorem wywodzony; ale głos był drżący, czasem nawet urywany, jakby bieg konia nie dozwalał śpiewakowi z całą swobodą rozwinąć dany mu od natury talent. Nasza dziewoja jak tylko śpiew usłyszała wyjaśniła zaszepioną buzię, uśmiechnęła się nawet cokolwiek, i gdy śpiewak już po raz drugi powtórzył:

Oj! da da da, dana dana,

Da tyś dziewczyna kochana.

Oj! dy dy dy, dyny dyny,

A my poczciwe chłopczyny.

furknęła znowu do sionki, a nawet pocichu otwierając drzwi, weszła do izby.

Nasz nocny śpiewak na kilkanaście kroków przed chałupką ucichł, zwolnił biegu trzymanej przez siebie parze koni, spojrział w okna, a ujrawszy że już w nich ognia nie widać, jakby z frasunku podrapał się w głowę, przekręcając na bakier czerwoną krakowską czapkę; zeskoczył rześko z konia, i uwiązawszy go przy wierzbie, cicho, jak kot kiedy się skrada do myszy, popod samą ścianą zaczął się przysuwać ku oknu.

Chciał wypadek, że nasza dziewoja tą samą powodowana zapewne ciekawością, a nie słysząc więcej ani śpiewu, ani tętentu koni, i chcąc dowiedzieć się, co znaczy takie ucieszenie się, zaczęła wewnątrz izby podobną pod ścianą podróż. W tej samej chwili, kiedy krasną buzię przykładala do szyby, aby przez nią spojrzeć na drogę; śpiewak to samo zrobił, pragnąc zajrzeć w środek chałupy, i dwoje ust przedzielonych tylko szybą, spotkały się tuż przy sobie.

Dziewoja słabo krzyknawszy odskoczyła z przestrachem, a młody parobczak postawszy chwilę, jakby zniecierpliwiony, lekko zapukał w okno.

Natychmiast drzwi naprzód od izby, a potem od sieni otworzyły się, i wyszła przecierając oczy znana nam dziewoja.

— Czyto ty Hanka— zapytał parobczak— przez szybę wyglądała?

— A cóżby ja—ta—z pewną nieśmiałością odpowiedziała Hanka—o tej porze przy szybie robita? Jużeswa oddawna ogień ugasili i poszli spać, bo matusia nachodzili sięta dosyć dziś u roboty w polu, to do łózka ino dygotali.

— A to chyba jakie złe musi być u was w izbie, boć przecie nieślepe mam oczy, i kiedym chciał zajrzeć czy śpita, czy nie, przez okno także coś na mnie wyjrzało.

— Ej! zdawało ci się mój Tomku— odpowiedziała Hanka skrycie się uśmiechając.—Cota mawa o takich rzeczach gadać po nocy, lepiej powiedz, dlaczego tak późno z końmi jedzicie na pastwisko, bo inni fornale na dwa pacierze już przed tobą pojechali?

— A bo moja Hanuś, zagadaliśwa się po wieczerzy w kuchni dworskiej, i żeby nie karbowy, co nas wygnał do stajni, toby człek nie wiedział kiedyby miał odejść.

— A i o czémżeta takim radziła? — zapytała troszkę z niezadowolaniem Hanka.

— Ha! tak o wszystkim: każdy ze swojej głowy coś przyłożył i zebrano się gadki co niemiara. Ale jak Jędrzej zaczął opowiadać o Warszawie, jakto tam łatwo o zarobek, jakta człek aby tylko statkował, to i wyżyć uczciwie może, i jeszcze mieszek dobrze wypakować, bota takiemu jak ja, to i 200 złp. i czasem więcej płacą bez rok: tak moja Hanuś ino mi nogi dygotały a wszystko do Warszawy.

— A to i pocóż tu przychodzi? — odpowiedziała naprawdę rozgniewana Hanka — mogłeś z niemi choćby do jutra gadać se o Warszawie, a mnie po nocy nie budzić. — I dziewczoja zdąsana, spuściła oczy.

— A bo widzisz moja Hanuś — odpowiedział Tomek, nie się niedomyślając przyczyny gniewu Hanka — jutro w Medalicach odpust, to chciałem się dowiedzieć, czy pójdiesz zaraz od rana, czy dopiero na sumę?

— To-ta nie do ciebie nie należy — odpowiedziała dziewczoja z jednem zawsze nieukontentowaniem — i odpustem jutrzejszym głowy se po próznicy nie zaprzątuj.

— O! moja Hanuś, i czegoż się boczysz? Ja gadam do ciebie po przyjaźni, po uczciwości, a ty wszystko boczysz się i boczysz.

— Idź se do Warszawy — szeptała zadąsana Hanka — tam się nie będą na ciebie boczyć, bo my nie Warszawianki, a one może będą dla ciebie dogodniejsze.

— Ej! moja Hanuś, przecieć mi-ta nie o Warszawianki chodzi, boćta tego babskiego towaru to i u nas jest *dowolna*; ale.....

— O! — odpowiedziała przeciągle Hanka — a z tobą co się dziś dzieje? czyś pijany czy co? — I w tém miejscu jakby z gniewu tupnęła nogą wprawdzie bosą, ale kształtną, wąską, na wysokiem podbiciu, i zaczęła nią bawić się z małym kamyczkiem.

— Moja Hanuś, nie piłem dziś wódki, a nawet i nie widziałem; ale zkądże ci wódka przyszła do głowy?

— A bo niestworzone rzeczy wygadujesz — ze spuszczone-mi oczyma mówiła Hanka. — To powiadasz, że ci do Warszawy *ino* nogi dygoczą; to-ta różne rzeczy wywodziś o babskim towarze, jakby ja.....

— Ej! moja Hanuś, ja cię też do tego nie mieszam; a że Warszawa ino mi w głowie, tota widzisz wszystko tak z przyjaźni do ciebie. Bota—mówił Stach dalej troszkę z nieśmiałością i lekko wzdychając— z kochania ani z gołych palców chleba nie będzie; a przecież jabym chciał, coby nam biędzy nie było na świecie, i żeby na weselu naszém i kapela, i ludzi *dowolna*, i wszystko po uczciwości było. Ale ciężkoła o to, bo ja tylko parobek dworski, tyś z matką biędne komornice, to i trudno *se* byłoby radzić.

— To możesz *se* iść do bogatszych—odpowiedziała z dąsem Hanka—ja cię przecież do zapaski nie przyszyła.

— Ha! moja Hanuś, ja to znam dobrze, bota was we wsi nikiěj plewy na *bojowisku*; ale.....

— No! ruszaj na łąki—przerwała rozgniewana Hanka—noc do spania, a nie do takich rozgadek—i to wymówiwszy, przestąpiła próg sieni w zamiarze udania się do izby, ale ją z tyłu za spodnicę przytrzymał Tomek i rzekł:

— Hanuś! nie bądź dziwna, nieczęsto mawa czas do rozgadki z sobą, a ty jeszcze uciekasz: i o cóż ci idzie?

— O co mi idzie?—odpowiedziała opryskliwie dziewczoja, —Boże kochany! takie różne przytyczki słuchać wywodzone, a wszystko do siebie, to nie ma żadnej przyjemności; i czegoż chcesz odemnie?

— No, nie gniewaj się moja Hanuś, bota nieprędkobys takiego dla siebie przyjaciela drugiego znalazła.

— O mój śliczny!—odpowiedziała dziewczoja z przekąsem—nibyto was mało wala się po świecie? Jutro na odpuście, to się *ino* roić będziecie *nikiej mrowie*.

— No! *jać* to znam dobrze, że ludowiny nigdy nie braknie, aleta Tomka takiego drugiego, tobyś *pewnikiem* nie znalazła.

— O! moje drogie rzeczy—odpowiedziała figlarnie Hanka pokręcając głową— a cóżto brakuje Stachowi, Jankowi, Wojtkowi: czy to nie parobcy, czy co?

— No jużćie nie *dziurgany*, ja to wiem; aleta w duszy swěj nie mają i *bez* pół těj przychylności dla ciebie, co ja.

— Albo to prawda?—odpowiedziała z dumą Hanka—albo to ja nie widzę, jak oni wszędy: czy w polu, czy w karczmie, wszystko wodzą oczami, a *ino* za mną, a wszędzie *kaj* się tylko obróć.

Tomek nie na te przechwałki nie odpowiedział; włożył rękę w zanadrze, drugą poprawiał spadające włosy na oczy i czerwoną czapeczkę na głowie, i pocichu zaczął poświstywać słuchając dalej mówiącej Hanki.

— A Wojtek czyto nie *duchem* napiera się iść do mnie w zaloty? Ho! mój piękny, jeszcze chłopski naród nie zaginał, jeszcze was *nikiej* śmieci po kątach.

Tu nastąpiła mała pauza milczenia. Stach ujawszy się pod boki stanął naprzeciw dziewczoi, i pogwizdując wołał: *fiu! fiu! fiu!* Hanka zniecierpliwiona znów stuknęła nogą i zawołała:

— I czegożta ze swoim świstaniem drzesz mi się nad głową? I matusię obudzisz, i mnie po *próżnicy* spać nie dasz. Jedź na łąki, bo jak polowy nadejdzie, to i mnie i tobie dostanie się co po plecach.

Ale Tomek ciągle świstał:— *fiu! fiu! fiu!*—pokręcał głową, przytupywał nogą; czém zniecierpliwiona Hanka, raptem weszła do sieni, zamykając drzwi na klamkę za sobą.

— Hanuś, Hanuś! — wołał Tomek napróżno chcąc wejść za nią—słuchaj *ino*, choć jeszcze ze dwa pacierze. Hanuś, moja, Hanuś, nie bądźże przecie taka dziwna.— Ze środka chałupy nic nie odpowiedziano; slychać tylko było jak dziewczoja weszła do izby i krzątając zabierała się zapewne do spania.

— Moja Hanuś!—mówił Tomek dalej proszącym głosem i podsuwając się ku oknu—moja Hanuś, choć na jeden pacierz, bo ci mam *cosić* powiedzieć; moja Hanuś!

— Jedź już na łąki—odpowiedziała Hanka pocichu przykładając usta do samej szyby—bo już późno i matusia mogliby się obudzić. A ta z takimi różnemi mowami coś tu *wyprowadził*, to idź *se* do Warszawianek, bo ja nie plewa, ani babski towar.

— No moja Hanuś—odpowiedział równie cicho Tomek przysuwając głowę tuż do okna—nie ma *cita* o co iść; zwyczajnie gębą się gada, choćta w głowie inny jest *układ*; a tak jakoś *nijako* odejść, kiedy się człek nie ugadał.

— To i czegoż jeszcze chcesz?

— Wyjdź moja Hanuś chociaż do sieni, to się naradziewa o jutrzejszym odpusćcie.

Wkrótce skrzypnęły drzwi od izby cicho otworzone, i zatrzymując się w sieni, zapytała Hanka:

- No i cóż ci ten odpust *ieno* dzisiaj w głowie?
- A bo widzisz—odpowiedział Tomek—chciałem się dowiedzieć, czy pójdziesz jutro do Medalic?
- A i cóż ci tak o to chodzi?
- Bo jakbyś ty poszła, to i ja bym się *sprosił* u ekonoma, i zarazbym się *wysłuchał*, bo nie byłem u spowiedzi jak Wielkanoc; a tak razem, to jakos byłoby nam różniej i weselej.
- O! widzisz go—odpowiedziała Hanka—do spowiedzi wesołości mu się zachciewa.
- Ej! moja Hanuś, przecie ja nie o takiej mówię wesołości jak w karczmie albo przy skrzytku, *ieno* tak... jakos... co to by ludziom i Bogu się podobało.
- No, dobrze mój Tomku: kiedy gadasz po ludzku, to jakos ładno słuchać.
- No to widzisz—odpowiedział Tomek—a ty tak się zamykasz przedemną, nikię przed wilkiem.
- A boś tak *nieprzyjemno* gadał wprzódy, że aż uszy bolały.
- No jakże, Hanuś?—zapytał Tomek—pójdziesz jutro na odpust?
- Jeżeli będzie pogoda—odpowiedziała Hanka pokazując pół twarzy szparą od drzwi—to pójde, ale dopiero na sumę. Ty idź rano, bo się prędzej wysłuchasz, to się później zejdziemy.
- No, to dobrze moja Hanuś.
- Jedźże teraz na łąki—odezwała się Hanka—bo i tak długo bałamuciewa.
- A jużćić całej nocy nie przestoje tutaj pode drzwiami—odpowiedział Tomek trochę z niezadowoleniem.—Ale słuchajno Hanuś: powiedz mi, czyś ty poznała jakem w okno zapukał że to ja?
- O! czy to mi pierwszyzna—odpowiedziała z pewnym rodzajem dumy.—Takiego pukania nikt we wsi nie umie, i jak tylko usłyszę choćby o północy, to na *pewniaka* wstaje i wychodzę, bo wiem, że to ty Tomku.
- A nie *zabaczysz* go nigdy?—zapytał Tomek.
- No! jedź już, jedź—odpowiedziała dziewczyna, nie odpowiadając mu na zrobione pytanie.—Pukanie nic nie znaczy, jak geba Bóg wie nie co gada; jedź z Bogiem—i to wymówiwszy otworzyła drzwi do izby.

— Hanuś! — zawołał pospiesznie Tomek — czekaj *ino*, wyjdź chociaż troszeczkę: niech cię aby obejrzę czy to ta sama Hanka, czy nie, co się z nią zawsze rozgaduje?

— Ta sama, ta sama—odpowiedziała z tłumionym uśmiechem Hanka — bo możeś ty myślał, że ja plewa albo towar babski?

— Ej! kiedyś strasznie dziwna — odpowiedział troszkę z gniewem Tomek—wywodziśta takie rzeczy, cota....

— No! jedź z Bogiem, bo już późno—odpowiedziała dziewczyna i wszedłszy do izby, zamknęła drzwi.

Tomek jeszcze postać chwilkę, podsunął się pod okno, lekko zapukał, ale mu już nie odpowiadano. Poprawił potem pasa, nasunął lepij na głowę małą czapczkę z pawiem piórkiem, i wsiadłszy na konia, wolnym stępem zaczął się posuwać ku pastwisku.

II.

Na obszernj łące przeznaczonej na pastwisko, a poprzerzynanej kilku rowami, których brzegi w wielu miejscach zarośnięte były gęstą wierzbiną, pasło się popętanych kilkanaście koni.

Przy odłogu czerniącym się niskimi, młodocianemi sosnami, dosyć gęsto w różnych kierunkach rozsypanemi, siedziat dwóch młodych parobczaków i Tomek, podsycając palące się wpośród nich ognisko gałęziami i różnóm zeszlém badylskiem.

Jeden z nich klęcząc wygrywał na fujarce, a drudzy w milczeniu zajmowali się porządkowaniem materiału palnego.

Nocna pora, cisza wszędzie panująca, przerywana tylko monotonném chrupaniem i parskaniem jedzących koni, niebo świecące gwiazdami i księżycem: wszystko to cudnego dodawało uroku do mitego i tęsknego tonu fujarki, choć nie uczenie, ale z czuciem piersiami wiejskiego muzyka wydobytego.

Dwaj téż drudzy milcząc słuchali. Ognisko trzaskało coraz lepij się rozpalając, a buchając płomieniem huczało, dudniąc głucho jakby ukryte bębny w orkiestrze. Powiew wiatru porwał czasem kłęb dymu z miłym tonem fujarki i pobiegł ku lasowi: wtenczas śpiew troszkę cichnął, i odbity o stare sosny, wracał echem nazad do ogniska.

Wtém dało się słyszeć od strony pola stapanie człowieka. Śpiew ustał i wszysey zwrócili uwagę w stronę dochodzącego ich głosu.

— Ej! to Walek — odezwał się grający powstając na nogi.

— A cóżeś ty Janek — odezwał się głos idącego — myślałeś, że to może jakie złe straszyc was idzie?

I gdy to mówił, przysunął się do samego ogniska, wysypał z sukmany ze dwa garnce świeżo ukopanych kartosli, a wyjmując z pod pachy także świeżo urwanęj sporą wiązkę rzepy, mówił dalej:

— Ledwomtu ukopał, bo bez motyki, tylko pazurami dalem *nikiej* kot.

— A rzepa? — zapytał się trzeci Janek — czy ze Szczepanowego połanka?

— A Bóg ją ta wie — odpowiedział Walek wydobywając kozik — po nocy to trudno się zmiarkować.

Tomek dotąd milczący, a mając widać na myśli jutrzejszą spowiedź, odezwał się dorzucając badyli na ognisko:

— Ej szkodniki, szkodnikil nie moglišta uprosić się na wsi o trocha ziemniaków: dyć to przecie grzech tak ludziom szkodę robić.

— Aby tylko do zjedzenia a nie do zbytku — odpowiedział na to Walek — to ukopać trocha ziemniaków nie ma żadnego grzechu.

— No juścić to prawda — odpowiedział Tomek z niejakiem wahaniem się — ale równie ksiądz przy spowiedzi zawdy wypytuje się, czy się czasem nie wzięło co nie swego; bo mówi, że kraść.....

— Ej! głupiś mój Tomku — odpowiedział przerywając Walek, gdy inni także z przeczeniem odezwali się. — Kraść, kraść! to co innego z pod klucza albo z jakiego zamknięcia, to się nazywa złodziejstwem; aleta trocha kartosli na upieczenie, żeby nam jakoś ładniej było koni pilnować, to żadne złodziejstwo: bo my tego nie schowawa ani na jutro, ani na pojutrze, tylko dziś zjewa i juścić.

— No! ani słowa — odezwał się Tomek — ale to zawdy nie moje.

— No! to się wie — odpowiedział Janek — ale zawdy grzechu nie ma.

— Nie, nie ma — potwierdzili drudzy.

— A jak źrebię — mówił znowu Janek — kiedy leci drogą za końmi, chociaż wpadnie w zboże, albo w groch, i tu skubnie, tam znowu stratuje, toć go przecieć nie zajmują, bo mówią

starsi, że na zjedzenie, to się nie godzi nikomu, ani nawet zrebiciu swojej pracy żałować.

— No juścić to prawda— odpowiedział Tomek, i jakby na potwierdzenie że został przekonany, mówił dalej:—dajże i mnie Walek rzepy; wszystkich obdzieliłeś, a o mnieś to zabaczył.

— Na—odpowiedział Walek rzucając mu kilka sztuk— jedz i zatkaj sobie gębę za to, coś nas porobił złodziejami.

— Albo to, mój kochany—odpowiedział na to Tomek— mało takich jest po świecie? I w naszej wsi znajdzie nie jednego; Kuba na ten przykład, co wtedy tylko nie weźmie, kiedy go ino widzą.

— Oj! prawda, prawda—dodał Walek— a Jóźka czyto już raz we dworze za złodziejstwo pokładali? Ale to na tym chłopie to psia skóra: dzisiaj wybiją, jutro znowu mu się wszystko lepi do rąk. Oj! to psia noga! I mnie tak rok jakęśwa w stajni spali, pas mi zabrał z kozikiem i z kótkami.

— No, to widzicie moi kochani—zakładając ręce i kiwając głową mówił Janek—co to za *wiara* taka cheiwa.

— No, ale cóżta nas przykładać do takich złodziei— odezwał się na to milczący ciągle Franek;—mnieta Bogu dzięki jeszcze nie w życiu nie odebrali

— A i mnie, i mnie—dodali drudzy.

— A ja miałby—odezwał się z oburzeniem Tomek—przez złodziejstwo duszę i sumienie zabijać? A niechby cię ta *ciorna-ści* wzięli.

— No Walek—odezwał się Franek rozgarniając popiół— kładź ziemniaki; a wy chłopcy idźta po badylska, bo tak pociemku siedzieć nieładno.

W kwadrans czasu już kartolle były w popiele ułożone, ognisko nowym płomieniem buchało, dwa spore naręcza suchych gałęzi leżały na boku przygotowane, a czterech parobczaków leżąc przy sobie powspierani na rękach, na nowo z sobą gwarzyli.

— Czy Jędrzej jedzie także z panem do Warszawy?—zapytał Tomek, ciągle widąc zajęty opowiadaniem słyszanem w kuchni.

— A bogaćta niema jechać— odpowiedział Walek— to światowiec, wić kaj się gdzie obrócić; bez niego by se pan i rady dać nie mógł.

—Ej! żeby mnieta tak wzięli—odezwał się wzdychając Tomek,—bo co se pomyszę o Warszawie, to *ino* zadygoczę.

— Ej! mnieta wszystko jedno—odezwał się Walek—czy tu, czy tam, to wszędzie robota; gdzie każą, to konie zakładam i wioł w drogę.

— Ej! i mnieta nie o Warszawę idzie—odpowiedział Tomek—żeby ją obejrzyć, bo i cóż mi z tego przyjdzie; ino słyszeliście, jak Jędrzej wczoraj gadał: że w Warszawie aby chcieć, to człek ma tyła zarobku, że bez rok może więcej zarobić, jak u nas bez pięć lat.

— Ha! może to być wszystko—odezwał się Walek—ale ta bez roboty nie obejdzie się nigdzie, to i pocóż latać po zagraniczu, kiedy w miejscu można zapracować.

— Tak, w miejscu—odpowiedział Tomek—ale co my tu bierzemy na rok złp. 60 zasługi, buty nowe i podszycie; to Jędrzej mówili, że w Warszawie taki parobek, czyto w domostwie jakiem, czy do koni, to dostanie samej zasługi złotych 200, oprócz tego, co tak można zarobić se śpiewający na tytoń, na kieliszek wódki, i 30, i 40 złotych do roku.

— Patrzajcie, moi ludzie!—odezwali się drudzy; a Tomek mówił dalej:

— Żebym tylko nie służył we dworze, tobym zaraz choć na rok poszedł do Warszawy: uciulałbym se z jakie 200 złp. i dopiero wróciłbym do wsi, ożenił, wziął gospodarstwo, bo z gołą garścią to trudno.

— Dobrze to wszystko, mój Tomku—odezwał się znowu Walek—ale ta od swoich tak jakos daleko, to straszno; mniabyta do drugiej wsi i kijem złąd nie wygnał, a cóż dopiero do Warszawy.

— No juścić to prawda—odrzekł Tomek—że między swemi to zawdy człowiekowi najprzyjemniej; ale nie wadzi ta, nie, gdy człek za młodu *trocha* świata przejrzy, i w starszych latach ma przecieć o czém *gadkę wywieść*.

— E!—odezwał się Franek—co mi tam po świecie, gdy bięda na grzbiecie; niech mi nie doskwierza, niech mi wszystko wypłacą jak się *patrzy*, to ja ze wsi i nosa nie pokaże obcym ludziom.

— No, ja ta wiem—odezwał się Tomek—że gęba to najpierwsza rzecz ze wszystkiego, ale kiedy człek już taką ma *ciekawość*, coby *duchem* chciał świata przejrzyć; bo jakbym tylko rok pobyl i uciulał 200 złotych, tobym powrócił, kupił konia, wóz, pług i wszystko co wypada.....

— I Hanę — dołożył Janek — oj! bajbugo — bajbugo!

— Alboto nie poczciwa dziewczyna? — odpowiedział Tomek — Zapewne, żebym zaraz się z nią ożenił.

— Ale, ale — odezwał się Walek — czy słyszeliście, jak Jędrzej coś gadał o jakichś niepocziwych dziewczyskach, a wszystko *okutalnie*; *ino* mrugał na dziewczuchy dworskie, a do nas się uśmiechał; ale ja ta nie mógł tego *domiarkować* się, do czego on to wszystko *przykłada*.

— E! głupi Walek — dołożył Janek — ja już byłem w Kielcach, w Radomiu, to się takim różnym dziewczyskom dosyć już napatrzyłem; a w Warszawie ma być ich jak mrowia.

— A i z czegoż one żyją? — zapytał Walek.

— O! a gdzieżeś to był! — odpowiedział Janek — kiedy Jędrzej opowiadali.

— Kiedyś to nie mogłem dobrze se w głowie pokalkulować, tak jakoś z ogródką mówili.

— To widzisz — i Janek nachyliwszy się do ucha Waleka, coś mu rozповідаł pocichu. Ten słuchał, kiwał głową jakby ze zgrozy, a nawet troszkę się zarumienił; i gdy Janek zakończył temi słowy:

— To widzisz, tak się ma wszystko rozumieć jak Jędrzej mówili; a ty jakieś myślał? — Walek potrząsając głową odpowiedział:

— *O! judy, judy!* — to wszystko z próżniactwa; i że to święta ziemia nie rozstąpi się przed takimi? A to w tej Warszawie nikić w piekle.

— Ej! — odezwał się na to Tomek — przeciećta zawdy człowiek swój rozum mieć powinien, i jak się chodzi tu w uczciwości, to i tam tak samoby się chodziło.

— No, jużta — odezwał się Walek — nie chcę takich rzeczy próbować; i niechbyta Warszawa i za morzami była, to mnie nicta do niej nie skusi.

— Ej! tak pojechać chociaż na obejrzenie — odezwał się Janek — tota nicby nie *wadzilo*; ale na długo zostać, ej! to bym nie przystał.

— A ja znów powiadam — odezwał się Tomek — że na obejrzenie *ino* pojechać, to nie ma pogo; bo cóż? zwyczajnie domostwa, kamienice murowane jak i u nas po miastach, to patrzeć nie ma nic ciekawego; ale pojechać choć na pół roku,

żeby potem z mieszkciem pękatym wrócić do domu, to co innego:—tak, tobym gotów i piechotą zaraz pójść.

— Oj! bajbugi, bajbugi!— odezwał się czwarty Franek, nie się prawie nie wtrącający do rozmowy— O! już im ino Warszawa w głowie i na języku; aby tylko człowiek głodu i zimna nie przecierpiał, to—ta jedno lichy czy w Warszawie, czy w naszym Jaskułowie. Biegaj ot lepij Tomku, ponawreraj szkapę, żeby w potraw nie poszły, a wy idźta jeszcze po badylska, bo ja poprzewracam ziemniaki w popiele.

Wszyscy powstali: Franek zaczął skrupulatnie każdy z osobna kartofel przewracać, Janek z Walkiem ruszyli ku młodej sośninie, a Tomek pośpiewując z przygrywką na fujarce:

Hej! koniki, hej! koniki pod lasem,

A mamci ja fujareczkę za pasem;

A jakci ja na fujarce zagraję

Usłyszysz mnie moje dziewczę o staję“.

ruszył ku koniom, i pośpiewując, długo jeszcze po sze-
 okiem błoniun słuęła się tęskna przygrywka fujarki.

III.

Na drugi dzień wszystko zdawało się obiecywać najpiękniejszą pogodę. To też lud wiesniaczy różnemi stronami spieszył do parafialnego kościoła, bo odpust, to wielka uroczystość dla ludności kmieciej.

Popod szumiącemi lipami handlarze porozkładali swoje kramy z paciorkami, obrazkami, krzyżkami; dalej stały wozy z jabłkami, gruszkami, orzechami, a przy samém wejściu od cmentarza aż do drzwi kościelnych, mieściło się dwa rzędy bab i dziadów proszących, kulawych i prostych, z zapuszczonemi brodami w lachmianastém ubraniu, którzy wyciągając ręce z żółwią skorupą, niemiłosiernie się wykrzywiając, krzykliwym śpiewem dopraszali się od przechodniów jałmużny.

— Dziadku—mówił średniego wieku włościanin, kładąc grosze na ręce dziadowskiej — dziadku, zmówicie to za duszę Jagnieszki, to znowu za duszę Szczepana, a tu macie dwa grosze, to zmówcie dziś i jutro za duszę Wojciecha, tylko nie zapomnijcie.

— Panie Boże wielki zapłać—odpowiedział dziad z niskiém nachyleniem się—nie zapomnę—i na dowód pamięci powtórzył imiona poleconych jego modłom.

— Tak, tak — mówił znowu włościanin — dobrze, za duszę Wojciecha dziś i bez jutro.

I chłopisko westchnął; widać że to dopełnienie obowiązku kościoła, modlenia się za zmarłych, bolesne mu sprawiło przypomnienie.

— Panie Boże wielki zapłać — mówił dziad do odchodzącego i przeżegnawszy się, począł szeptać pacierze, głośno wprzód rozpoczynawszy: *Zdrowaś Marya*.

Cały kościół jakby nabił, tak był przepelniony ludem.

Otworzono drzwi, bo tłumy nabożnych zalegały i przedsiónek kościelny, i nawet większą część cmentarza idącego wokół świątyni Pańskiej; a wszyscy z koronkami pozawieszanemi u ręki, modląc się pocichu, słuchali ze skromnością i nabożeństwem wielkiej mszy, odprawianej przez umyślnie z katedry przybyłego kanonika.

W ławkach przy wielkim ołtarzu i na środku kościoła pozasiadali: kolator z żoną, dziećmi, inni księża, właściciele ziemscy, oficyaliści prywatni, nareszcie i majstrowie różnych profesyj: słowem, kto tylko czuł surdut na grzbiecie, każdy się cisnął do ławek.

Kobięty zaś i dziewczęta wiejskie poubierane biało, świeżo, z kwiatkami u głowy i pełną szyją koralami, zajmowały cały przód kościoła, a bliżej chóru i dalej mieścili się dopiero chłopcy.

Już było pod koniec nabożeństwa, organ huczał, bo celebrujący odśpiewywał „*Te missa est*”; a gdy wzniósł rękę do udzielenia błogosławieństwa zgromadzonemu ludowi, cały kościół zaszumił powstaniem wszystkich na nogi.

Wkrótce jakby strumieniem lud płynął z kościoła.

Każdy przy samém wyjściu umaczawszy palce w święconej wodzie, robił potem na czole i piersiach znaki krzyża św. i wyszedłszy za obręb kościelny, witał się ze znajomemi, z krewniakami, sąsiadami, ustępując z uszanowaniem przed panem lub ofycjalistą w rozmowie dążącemi ku plebanii.

I kramy, wozy, zaczęły się ożywiać kupującemi, tak każdy się cisnął pragnąc z jakim gościńcem powrócić do domu.

Dziady i baby nie mogli nastarczyć chować groszy i odnawiać pacierzy, tylu było pobożnych z pamięcią o duszach zmarłych. Każda twarz włościańska tchnęła zdrowiem, swobodą, że miło było spojrzeć po ludzie rojącym się po wsi jak mrówki w mrowisku.

Bo téż Krakowiacy to może jedyny lud na świecie! Chłopi jak dęby, a prości jak świece. Chłop w chłop, młody, stary, wszystko żwawe, rosłe, dzielne; a jak się ubiorą po świątecznemu w modre sukmany, i przekręcą na bakier czerwone z pawiem piórkiem czapecki, to tak im ładnie, tak ślicznie, że aż ochota bierze uściskać i wycalować zucha Krakowiaka.

Kobiety za to już nietyle urodziwe: wysmukłe jak trzciny, ale śniade, i nigdy nie wytrzymają porównania z krasą sandomierzanek.

Gdy kościół zamknięto, jedna część ruszyła ku karczmie na posiłek w chęci zostania się na nieszpór, a większa część wysypała się na drogi i ścieżki z zamiarem powrotu do domu.

Tomek wynalazł Hankę, i chociaż w karczmie ludu było pełno, a dudlenie skrzypka nęciło do zabawy, wypiwszy jednak po kieliszku wódki, bo zaraz po spowiedzi nie godziło się myśleć o hulance, opuścili tak miłe dla nich zebranie, i złączywszy się z gromadką znajomych dziewcząt i parobczaków, pomaszzerowali prosto do domu.

Przy wejściu do wsi rozdzielili się: każdy poszedł w swoją stronę, umawiając się wieczorem zejść w karczmie, bo Janek grajek kupił w mieście nowych strun, a że to święto, więc jest czas do tańca i hasanki.

Hanka weselo powitała matkę, schowała do skrzynki świąteczne szmaty; ale biedaczka nie wiedziała, że smutno dzień zakończy.

Wieczorem we wsi Jaskułowie w karczmie ludzi pełno. Skrzypek wycina obertasy przy wtorce basetli, młodzież uwija się, pokrzykuje, potupuje; czerwone czapecki parobczaków i białe spodniczki dziewczuch tylko się migają w rześkich obrotach na prawo i lewo; kieliszek krąży, wszyscy rozprawiają, a gwar i szum daleko się rozlegając, zdaje się opowiadać wsi całej o ochocie i zabawie karczemnej.

Na boku pod ścianą stoi kupka włościan. Jędrzej, ów światowiec i bywalec po różnych stronach kraju wpośród nich coś głośno rozprawia, a wszyscy z największą ciekawością przysłuchują się mówiącemu:

— Ho, ho! — mówi Jędrzej — moi kochani, *mnieta* nie *pierwszoznu* zobaczyć się z Warszawą. Bywał jąta czasem i dwa razy na tydzień z drzewem, to ją znam nikięj zły szeląg. Tam to dopiero zarobek ludzie mają! Za taką furczynę co za nią

i 6 *czeskich* u nas możeby nikt nie dał, to tam bez prośby sześć a czasem i ośm weźmie się złotych. A parobkom, moi kochani, to nie tak jak tu: tam po dziesięć dukatów i więcej na rok dają zastug. A żebyście wiedzieli jakto tam *ludno* grają n kaa-tarynkach po szynkach, jakieto tam panny postrojone, *nikiiej* nasze pokojówki dworskie! Ho, ho! moi kochani, tamto żyć i umierać: człowiek się i nie napracuje, a przedźj złotówkę zarobi jak tu grosz.

Chłopi tylko słuchają, pokręcają głową z zadziwienia, ale milczą, bo trudno coś odpowiedzieć, gdy mało który był z nich dalej jak pięć mil od wsi.

— To jutro zaraz rano jedziecie?—zapytał jeden z włościan.

— O! raniutko—odpowiedział Jędrzej—a wszystko w drabiniaste wozy, bota jakieś maszyny, stolki, stoły i ta inne różności będziewa zabierać, co się syn pański na jesieni ma żenić.

— *Tota* dopiéro uciecha parobkom dworskim zrobiła się—wtrącił jeden z gospodarzy.

O! zapewne—odpowiedział Jędrzej.—Tomek to mało nie zgłupiał z uciechy, jakim mu powiedział, że także pojedzie.

— To i Tomek pojedzie?—zapytano.

— A jakże, i Tomek—odpowiedział Jędrzej, i dalej im rozpowiadał cuda o Warszawie.

Tomek też istotnie wesoly jak jeszcze nie był nigdy: nie szędzi grosza sypiąc go w skrzypce grajkowi, przekręca czapeczki, a co spojrzy na zasepioną Hanke, stanie przy muzyce i śpiewa:

„Jadę — ci ja jadę,
Het! daleko w stronę;
A jak do dom wrócę
Wynajdę *se* żonę.”

A Hanka smutna, bo nie rada, że Tomek taki wesoly, rozłączając się z nią na tak długo. I im weselój Tomek pokrzykuje, im zwawiej zawodzi taniec, tém žal jakiś więcej jój serce ściska, że o małoby nie płakila, gdyby nie było tyle w karczmie ludzi. Ale stroi minkę jak może: tańczy, bo i cóż ma robić biedaczka? Serce coraz smutnieje, z oczu ledwie łzy nie trysną, chociaż Tomek wywija z nią, czasem przycisnie i pośpiewuje:

„O! nie smuć się, nie sinuć,
Wrócę się ja, wrócę,
Bo Bóg moim świadkiem,
Że cię nie porzucę.”

Wtém wpadł lokaj dworski, i Jędrzeja, wraz z parobkami którzy mieli jutro jechać do Warszawy, wywołał pilno z karczmy do pana.

Tomek porzucił taniec, prędko zarzucił sukmanę, i nic nie rozmówiwszy się z dziewczoną, ruszył z drugimi ku dworowi.

W karczmie przerwana zabawa wkrótce zaczęła się ożywiać; znowu ozwały się skrzypki, śpiewki, pokrzyki, ale Hanka już nie było: bo i cóż jęj po tańcu, kiedy Tomek odjeżdża? Któż teraz jadąc na łąki będzie pukał w okno? Któż będzie rozmawiał wieczorami, gdy z nikim nie idzie jęj tak składnie pogadanka, jak z Tomkiem?

Biędna dziewczucha usiadła u siebie w chałupie na skrzynce pod oknem, oparła głowę na rękę i duma. Widać, że ma jakieś złe przeczucie, bo myśli sobie: może Tomek nie wróci, może zapomni o mnie, bo jemu tylko daleki świat w głowie? — I westchnęła ciężko biędna dziewczyna.

Czasem wyrzy przez okno czy nie zobaczy Tomka, czasem wyjdzie aż przed chałupę upatrywać go na drodze; ale wszystko napróżno. Ucichł już i gwar karczenny, cała wieś używa spoczynku, a Hanka ciągle czuwa. Co się zachrobocze gdzie koło ściany, albo śpiąca matka głośnieję chrapnie, Hanka już z twarzą przy szybie, patrzy, ogląda; ale wszystko napróżno, i tylko znowu boleśnie westchnie, bo Tomka jak nie widać, tak nie widać.

Sen nareszcie mimowoli zaczął pomалу sklejać oczy zmartwionęj dziewczynie, i wsparłszy głowę o krawędź łóżka, usnęła.

Ze strony wschodnięj czarny płaszcz nocy zaczął cokolwiek błędnać, a z przed stajen dworskich wyjechał jeden, drugi wóz po cztery konie zaprzężony, a za niemi dopiero trzeci, na którym siedzący Tomek trzaskając z długiego bieza, wesoło pogwizdywał.

Fury skierowały się prosto drogą około chałupki śpiącej Hanki, do której jak tylko Tomek dojechał, wstrzymał konie, związał na półgrabku lejce, i podsunąwszy się cicho pod okno, lekko zapukał. Z izby nie odpowiedziano. Stach nadstuchawszy, ponowił pukanie już głośnieję. Hanka na znak tak dobrze sobie znany ocknęła się, usiadła na skrzynce i przecierając oczy, wyjrzała oknem. Niedługo drzwi skrzypnęły i para miłosna znalazła się tuż przy sobie.

— To już jedziecie? — zapytała smutnie Hanka.

— Już jedziewa, moja Hanuś. Całą prawie noc ładowali-
śwa się i jak tylko konie zjadły, zaraz nam kazali zakładać. Po-
zdrowie moja Hanuś matusię; powiedz, że przywiozę *im* gościń-
ca, a tobie kupię śliczną chustkę, żebyś *się* miała czym mię-
dzy ludźmi popysznąć.

— Ej! ta może drogo—odpowiedziała Hanka—, a już ci się
niewiele zasługi należy.

— To też ja, moja Hanuś, nie z zasług wam pokupuję,
ino z zarobku: bo mawa z tydzień stać w Warszawie, a Jędrzej
mówią, żeta o zarobek dobry to łatwo.

— Ej! nie słuchałbyśta Jędrzeja—odpowiedziała zafraso-
wana dziewoja,—bo on ci tak nakładł w uszy o Warszawie, że
ci już nie teraz w głowie, *ino* Warszawa i Warszawa.

— No cicho, moja Hanuś, cicho—odpowiedział Tomek—
zobaczysz, że jak wrócę, a nie z pustym mieszkim, to sama bę-
dziesz rada, że mi się udało pojechać do Warszawy.

— Jata nie potrzebuję takiój radości—odpowiedziała z dą-
sem Hanka.—Ludzie *ta* są w naszej wsi, co się nie włóczyli po
zagraniczu, a dlatego chleba mają Bogu dzięki po sam pas; i ty-
byś lepiej zrobił, jakbyś *ta* takim *lekkim* zarobkiem, jak Jędrzej
gadają, głowy *se* nie zaprzętał.

— No cicho moja Hanuś, jak wrócę, to zobaczysz jak to..

— Ej!—przerwała Hanka—nie psuj mi już więcej naostatku
taką *gadką* głowy, bo tobie uciecha, a mnie....— I spuszczać
oey umilkła.

— A tobie co?—zapytał Tomek—czy ci smutno?

Hanka nie na to nie odpowiedziała, tylko się zwróciwszy
cokolwiek bokiem, skrobała palcem po ścianie. Tomek więc
mówił dalej głosem nieco chępliwym:

— No ja wiem, moja Hanuś, że ci będzie smutno, ale....

— A i o cóżto ma mi być smutno?—zapytała przerywając
dziewoja.

— No jużcie o mnie moja Hanuś—odpowiedział tonem pe-
wności Tomek—przeciećta wszyscy wiedzą, że mnie *nawi-
dzisz* (1).

— Że ja cię nawidzę?—z udanym drwiącym śmiechem od-
powiedziała Hanka, i podnosząc ramiona mówiła dalej:— a! to
o tój nowinie jeszcze mi nikt nie mówił.

(1) Nawidzić znaczy kochać.

Tomek tylko spojrział na mówiącą i nie nie odpowiedział, a Hanka z udaną wesołością mówiła dalej:

— Nie miałabym téż chyba roboty, żebym bez ciebie miała się smucić. Cóżto za uciechę ja mam przy tobie? Nieraz tylko zmartwienie, kiedy w karczmie po próżnicy fasujesz wódkę, albo jak nie wyspię się kiedy zapukasz w okno, i ja—ta muszę, Bóg wie jak długo z tobą rozgadywać się.

— Hanuś—odrzekł na to Tomek—tak gadasz, *nikićj* bez rozumu; a wszystko *herno*, jakbyś ty tylko jedna była na świecie.

— Mój śliczny, i tyś nie jeden—odpowiedziała pokręcając głową Hanka.—Znajdą się tu tacy, co o nich po sprawiedliwości ludzie powiadają, że ich nawidzę.

— A to się nawidzaj—odpowiedział rozgniewany Tomek, i postąpił ku stojącemu na drodze wozu.—*Wywodziła* Bóg wie nie co!—Stój *wiuro!*—mówił do jednego z koni—i ty mi na odjeźdném dogryzasz; a Boże kochany! Widzicie ją?—I gdy już miał nogę na stenwęgę zakładać, spojrział ku chałupie i zobaczył Hanke wchodzącą do sieni. Zatrzymał się, żal mu się zrobiło, a poczekawszy chwilkę, wolnym krokiem poszedł ku oknu i zapukał:

— Hanuś—miejże przecie rozum—mówił Tomek do wychodzącej z sieni dziewczuchy, i z płaczem tuląc jej twarz do rąk, że się aż prawie zanosila.—Płaczesz, i czegoż płaczesz?

— A bo mi jakoś tak smutno—odpowiedziała łkając dziewczyna—że *se* rady dać nie mogę, inobym płakała i płakała.

— I płaczesz, i mnie dokuczasz—odpowiedział Tomek biorąc ją za rękę—że—ta trudno się pomiarkować. Moja Hanuś—mówił dalej gładząc ją po twarzy—nie płacz, bo i mnie jakoś dziwnie wszystko się wydaje. Wiesz przecie, jaki ja dla ciebie życzliwy.

— A bo ty może nie wrócisz—odpowiedziała z płaczem—może i nie pomyślisz o naszej wsi; a ja jakoś tak nauczyła się z tobą rozgadywać, że już nie wiem, jakbym *se* bez takiej rozgadki poradziła.

— O! moja Hanuś—odpowiedział Tomek—chybaby ciebie we wsi nie było, żebym nie wrócił. Nie płacz, nie płacz, jak ten Bóg nad nami, tak wrócę i mieszkaniem będę pobrzdękiwał, i chustkę ci przywiozę, i.....

— Już jata nic nie potrzebuje—przerwała Hanka—tylko wy wracajta a prędko, bo jak ciebie nie będzie, to kto nam drzewa narąbie? kto wody przyniesie?

No! zostań z Bogiem moja Hanuś—odrzekł Tomek ściskając ją za rękę— już muszę jechać, bo fury dalekoby mnie odjechały. Nie płacz, bo te dwa tygodnie czasu jak nic przelecą, a co to uciechy będzie jak powrócę? Pozdrów moja Hanuś matusię i proś *ich*, żebyta wysłuchali na moją *intencyją* mszy świętej przed cudownym obrazem św. Antoniego. No, zostań z Bogiem, moja Hanuś!

— Jedź z Bogiem—odpowiedziała Hanka — niech cię Matka Boska Częstochowska szczęśliwie prowadzi!

I ozwał się turkot wozu. Hanka długo jeszcze stała przed chałupką patrząc za odjeżdżającym kochankiem, a gdy turkot zupełnie ucichł, i ona weszła do izby zakładając drzwi na haczyki.

IV.

Trzeciego dnia wieczorem już Tomek był w Warszawie.

Jadąc długą aleją od rogatek Jerozolimskich, fury zwróciły potem Nowym-Swiatem na lewo. Tomek przypatrywał się wysokim kamienicom, licznym przechodniom, uwijającym się powozom, a wszystkiemu się dziwił i myślał:

— Jużcié nie dziwota, *zeta* w tój w Warszawie tak łatwo o zarobek, kiedy w niéj tyła panów, a chłopu ani na nasienie *nikaj* nie napotka. O! Jędrzej mieli *raayja*.—I wesoło potrzaskiwał po ulicach Warszawy, bo widział już spełnione najgorętsze życzenia.

Przybywszy do jednego z hoteli warszawskich, Jędrzej poszedł z listami, a parobczaki powyprzęgawszy konie, nadali im obroki, napoili i stanęli w bramie, gapiąc się na przechodzących. Naturalnie, trzech takich młodych zuchów w czerwonych czapczkach, każdego mimowoli prawie zwracali na siebie uwagę. Tomek jednak i wzrostem i urodą celował między towarzyszami; na nim téż najczęściej zatrzymywało się oko tak kobiet, jak mężczyzn, bo zaiste było na co patrzeć!

Na drugi dzień dwaj drudzy fornale pojechali do ładowania z Jędrzejem, a Tomek został przy koniach. Uczciwie jednak dzień zaczął, bo poszedł do kościoła, zmówił pacierz, mszy św. wysłuchał, a potem myśląc sobie o Hance i porównyując ciszę Jaskułowa do wrzasku i turkotu warszawskiego, zajął znowu miejsce w bramie.

Wtém wyszedł jakiś pan na podwórze i zobaczywszy Tomka, zawołał:

— Hej! Krakowiaku, a nie pomógłbyś moim ludziom znośić z góry rzeczy?

— A dlaczego nie, Wny Panie — i zdjawszy czapkę, żwawo poszedł za owym panem.

Wpół godziny niespełna, bo Tomek się uwijał z wielkiem nieukontentowaniem innych robotników, którzy go naturalnie naśladować musieli, rzeczy wszystkie wyniesiono.

Ow pan nie mógł się napatrzeć dziarskiej postaci Tomka, jego swobodnym, zręcznym ruchom: często zwracał się do niego z mową, nazywając go „zuchem Krakowiakiem“, a gdy ukończono wynoszenie, z wielkiem Tomka zadziwieniem dał mu dwa złote.

Tomek odebrawszy skłonił się i ledwo mógł uwierzyć swoim oczom. Za taką marną robotę, któraby na wsi za ledwie kieliszkiem wódki była wynagrodzoną, dostać dwa złote! to już przeszło wszelkie jego oczekiwania.

Niedługo znów użył go któryś z podróźnych do zaniesienia rzeczy na pocztę, i złotówka przybyła do mieszka; a gdy sobie rozważał, jak łatwym sposobem już trzy złote zarobił nie się prawie nienapracowawszy: z miejscowej traktierni wyszedł kucharz z kuchni, i zobaczywszy go wolno idącego podwórzem, zawołał:

— Słuchajno Krakowiaku, bo to wy zuchy, nie tacy leniuchy, jak tutejsze *walkonie*: czybyś nie porąbał drzewa do kuchni, i naniósł do beczki wody, bo stróż zachorował.

— A dlaczego nie? A *kaj* siekiera? — odpowiedział ochoczo Tomek.

— Chodź za mną, to ci podam; tylko zwijaj się, to nie pożałujesz.

Tomkowi też tylko w to graj. Zdjął z siebie i sukmanę i czapkę, a rąbał, wodę nosił, uwijał się, że miło było potrzeć na taką szczerą pracę. A w kuchni tylko pokręcają głową i mówią między sobą:

— Jakto znać, że to Krakowiak, że nietutejszy. Zawołać tu którego z naszych, to ci się najprzód będzie godzić z godzinę, co pójdzie to znów przyjdzie, a jak zacznie się ładować, skrobać w głowę, namyślać, to i przez pół-dnia tego nie robi, co ten przez godzinę.

I nakarmiono po uszy pracowitego Tomka, a takiem jędzeniem, jakiego we wsi i na Wielkanoc nie widuje.

— A to *śliczno* w tój Warszawie—myśli sobie Tomek wykluwając zęby słomą—ludzie i grzeczni i rzetelni, a pieniędzy u nich *niktęj* lodu; żebyta człek tak z miesiąc pobyl, to jak nie zarobiłoby się ze sto złotych. Ej! mój Boże, toby dopiero było uciechy u Hanki!

I Tomek zadumał się, często sięgając ręką do kieszeni, czy nie zgubił mieszka z pieniędzmi, których wraz z oszczędzoném *strawnem*, wyrachował, że ma siedm złotych.

Stoi oparty w bramie, w myśli roi tysiączne plany użycia owych sta złotych, gdyby ich posiadał: jakby został gospodarzem, jakby sobie kupił konia, jakby się tём Hanka cieszyła, i syty i wesoły przypatruje się idącym ulicą.

Wtém przysunął się do niego stangret od koni właściciela hotelu i uderzając po ramieniu, przemówił:

— Słuchajno Krakowiaku, bo to wy śmiali do koni: czybys mi czasem nie pottrzymał klaczy, bo muszę jęj powystrzygać uszy i nogi, a strasznie bestya łechczywa; potém napijem się wódki.

— A dlaczego nie? Stać tak bez roboty, to się nawet przykrzy człowiekowi.

I Tomek ująwszy przy pysku wyprowadzoną klacz, śmiało ją i silnie przytrzymał, gdy stangret rozpoczął wystrzyganie.

Po wstępnej rozmowie zkąd, za czém, poco, i na jak długo przyjechał do Warszawy, stangret mówił dalej:

— No i cóż spodobała ci się Warszawa?

— A dlaczegoż mi się nie miała spodobać — odpowiedział Tomek—ludzie grzeczni, pieniądze mają *dowolna*, tota i *ładno* byłoby żyć między niemi.

— A żebyś wiedział jakie u nas dziewczyny, jak się ślicznie stroją, to nie tak, jak wasze wiejskie dziewczki.

— Ej! proszę pana—odpowiedział z uśmiechem Tomek, — *kajta* jaby się ośmielił do warszawskiej panny?

— Głupis, mój Tomku: one nie takie harde jak wasze.

— A to pan ich zna dobrze?—zapytał naiwnie Tomek.

— O dlaboga!

— A cóż *kobieta* (1) pana na to mówi?

— Albo ja mam żonę, albo ja głupi żenić się?—odpowiedział stangret.—A zresztą mała pensya, nie miałbym za co żywić żony i dzieci, jakby dał Pan Bóg.

(1) Tojest żona.

— A wieleż panu płacą—zapytał Tomek ciekawie.

— Ej! głupstwo—odpowiedział stangret spluwając — 150 zł. i liberya, ale już moje życie.

— Jakto *bez rok*?

— Ej! gdzieżta *bez rok* — odpowiedział stangret — na kwartał.

— Na kwartał 150 złp.!—powtórzył z największym zdziwieniem Tomek—i pan mówisz że to mało? A u nas parobkom to ino płacą 15 złp. na kwartał i życie we dworze, albo u gospodarza; a jak się ożeni, to bierze ordynaryą i jakośta wystarcza.

— To też mój kochany u was głupi, kto się żeni na taką biedę.

— A kiedy, proszę pana—odpowiedział Tomek—u nas to taki *obyczaj*, że jak tylko chłopu dochodzi 20 lat, to zaraz myśli o żeniacze: bo *jużcić przez żony*, to proszę pana jakże sięta można obejść?

— Jak można się obejść?—powtórzył z politowaniem stangret—Oj! ty dudku, dudku!—i potrząsnawszy z uśmiechem głową, mówił dalej:—No, chodź ty ochotniku do żeniaczki teraz ze mną na kieliszek, bośmy już przecie robotę skończyli.

I stangret poprzedzając Tomka wszedł do izby szynkowej, w której ze sześciu mężczyzn w liberyi i po cywilnemu, paląc fajki, piwo i wódkę zapijali. Dwie młode szynkarki uwijały się między gośćmi, odcinając się poufałym gościom, gdy zaloty i grzeczności coraz śmieliej zaczęły się pojawiać.

— Idź sobie Kasiu odemnie — mówił jeden mężczyzna w kurtce letniej, coś do lokaja podobny, oparty plecami i łokciami o stół—idź sobie, bo Zosia dla mnie grzeczniejsza.

— Alboż to prawda?—odpowiedziała Kasia.

— Jakto nie prawda?—odpowiedział lokaj; a odwracając się do drugiej szynkarki, mówił dalej:—Zosiu, czy kochasz mnie?

— Kocham, mój Piotrułku, jak kanarka, jak ostatniego kóchanka — i to mówiąc dziewczyna stanęła tuż przy Piotrze poprawiając sobie włosów.

Piotr wyprostował się, ujął w pól Zosię i podniósł ją w górę. Dziewczyna zaczęła niby się wydierać, obecni śmiechem i słowami potakiwali dowcipnemu Piotrowi, i wówczas to właśnie drzwi się otworzyły, kiedy do szynku wchodził stangret z Tomkiem.

Nasz Krakowiak jak spojrział na Zosię z Piotrem, cały się zaczerwienił ze wstydu, bo nigdy nie podobnego w życiu swoim nie widział.

Kasia jak tylko dojrzała tak urodziwego Krakowiaka, przybiegła zaraz do niego, i chwytając za rękę zawołała:

— Nie dbam teraz o ciebie, Piotrusiu, kochaj sobie swoją Zosię; ja teraz obieram sobie za kochanka ot tego zucha Krakowiaka. Jakże Janku, czy Stachu, czy tam inaczéj, będziesz mnie kochać?

— Otóż nie prawda—zawołała Zosia czepiając się z drugiej strony Tomka— i to mój kochanek, i tego ci odbiorę. Prawda Krakowiaku, że mnie lepiej będziesz kochał jak tamten; no powiedzże moje pawie piórko.

— Nie prawda, mnie kochaj, bo to bałamutka; mnie, mnie—wołały dziewczyny ciągle uwijając się około zdumionego Tomka, który nie wiedział, co ma z sobą począć.

— Słuchaj Zocha, pocałuj go—odezwał się Piotr—bo tak stoi, jak kolek między wami; pocałuj i ty Kasiu.

Tomek w początku nieco się bronił, podnosił głowy do góry, ale pomalu się rozochocił. Wszyscy obecni aż zanosili się od śmiechu, a Piotr mówił:

— A to zuch Krakowiak! Cóż Zosiu i Kasiu? lepsza podobno sprawa z nami Warszawiakami, jak z temi...

— Ej! albo to prawda—odpowiedziały; a odwracając się do Tomka dołożyły:—Ładnyś mój chłopcze, tylko pamiętaj delikatniejszym być dla nas!— A Kasia wzięwszy jego czapeczkę, włożyła sobie na głowę i przechodząc po izbie mówiła:

— A cóż nie ładnam Krakowianka? nie ślicznie mi po krakowsku?

Tomek tylko się uśmiechnął, bo patrząc na Kasię, obraz Hanki stanął mu w oczach; ale stangret poczęstowawszy go wódką, wywołał z szynku, gdyż potrzebował jeszcze od niego pomocy przy porządkowaniu stajni.

Wychodząc stangret mówił:

— A cóż Tomku nie wesoło?

— O! *judy* prawda—odpowiedział Tomek zamysłając się, i aż zadrzał tak mu się dziwnie zrobiło.

W końcu października, po południu około 4tej, stało dwóch wyrobników z siekierami i piłą przy kolumnie króla Zygmunta. Obadwa ubrani w stare surduciska, zabrudzone, połatane i dziurawe, a głowę okrywały czapki z daszkami, zwane zwykle furazerki. W całej ich postaci przebijała się jakaś niedola, zniechęcenie, opryskliwość, tak dobrze cechujące wyrobnika, zwanego dawniej przysłowiem: próznik Zyguntowski.

Jeden starszy, ospowatej i niemilej twarzy, poglądał po licznych przechodniach, oczekując zapewne zarobku; drugi młodszy, rosły, siedział na stopniu kolumny z podpartą głową na ręku i zdawał się drzémać.

Ktoby dobrze uważał, dostrzegłby ich od samego prawie południa w jednym i témże samém miejscu; widać, że włóczenie się między furami i po kamienicach, nie przyniosło dobrego, bo młodszy podnosząc głowę, przemówił z niecierpliwością:

— Niech ich tam diabli wezmą i z zarobkiem! Dokądże tak po próznicy będziewa wysiadywać?

— Ho!—odpowiedział drugi— lisa po ognie, a chłopca po mowie, to i w piekle pozna; zawsze te *będziewa i będziewa*.

— Niech mi-ta Józef nie psuje głowy—odpowiedział młodszy powstając—jakięj jeszcze od dziecka *naumiąłem się gadki*, to takięj już teraz nie *zabuczę*: lepiej chodźwa na *Bednarke*.

Twarz jego chociaż młoda, ale naznaczona była już śladem rozpusty. Oko ciemne nie błyszczało ogniem młodości, z jakim poglądało na urodziwą Hanke, gdyż niestety! byłto Tomek, i tak zmieniony do niepoznania, że dobrze trzeba by mu się przyglądać, nimbyś powiedział, że to ten sam zuch Krakowiak, co w czerwonej z pawiem piórkiem czapeczce, potrzaskując, pogwiżdżając, przed miesiącem przyjechał do Warszawy.

Smutny widok! Dlatego nie będziem opowiadać szczegółów, i historią całego miesiąca zamkniemy w kilku słowach: bo miesiąc między motłochem miast wielkich więcéj zdoła zepsuć człowieka, jak naprawić roczne towarzystwo prostych i poczciwych wsi mieszkańców.

Pierwsze dni pobytu w hotelu warszawskim mnięj więcéj były podobne do dnia już powyżęj opisanego. Nosił wodę,

rał drzewo do kuchni traktyerniczéj, za co go suto karmiono, dopełniał drobne usługi różnym wyjeżdżającym i przyjeżdżającym panom, gdyż dziarską i ochoczą postawą, każdemu zaraz wpadał w oczy, a piątaki i dziesiątaki, coraz to przybywały do mieszka.

Pomału pozbył się i nieśmiałości, i jak tylko miał wolny czas, zaraz biegł do szynku pogadać, pożartować z dziewczętami, które mu się jakoś z każdą godziną więcej podobały.

Stangret stary kawaler, znający wszystkie zwyczaje Warszawy jak na palcach, był mu początkującym doradcą i nauczycielem.

W złe, to człowiek z łatwością się posuwa, ale chcąc cofnąć się, jak to trudno, a często nawet niepodobną! Otóż i Tomek pomału, potrochu, przyszedł do takiego stanu, w jakim go dziś widzimy.

Naprzód zarabiał jak mu się nadarzyło: mało wiele, ze wszystkiego był rad; później już starał się o zarobek, a trzeciego dnia nawet nauczył się targować. Jeszcze to z początku wszystko było jako tako; zaczęsto wprawdzie zaglądał do szynku, tak dla zabawy, jak i wypicia kieliszka wódki, bo między tylą furmanami o to nie trudno; ale jeszcze nie nabrał tych manier warszawskich, i z oczu zawsze mu patrzyła dziarskość i zuchwałość krakowska, chociaż śmielój mówił, a śmielój jeszcze postępował.

Nieszczęście chciało, że zapoznał się z Józefem, który uważając w nim powolność i nieświadomość rzeczy, postanowił z niedoświadczenia jego korzystać, i przyjmąwszy go za współnika w zarobku, oddawał mu taką tylko część, jaka mu się podobać będzie. Onto także opowiadaniem Tomkowi o wielkości i łatwości zarobku w Warszawie, doreszty w głowie przekreślił, a zapoznawszy go z wysłańcem przedsiębiorcy budowy mostu na Narwi, szukającego zdatnych ludzi do siekiery, i obiecującego dziennie półtrzecia złotego; piérwszy dodał ochoty do pozostania w Warszawie, co już nawet często do myśli przychodziło Tomkowi, tylko nie wiedział, jak ma sobie radzić.

Józef wszystkie przeszkody usunął, wszystko wytłumaczył, usprawiedliwił, i gdy piątego dnia zabierano się z powrotem, Tomka nie mogli nigdzie znaleźć. Jędrzej połowy zaczął go wszędzie szukać: zbałamucono z pół dnia, ale w końcu nie mogąc dłużej czekać, wyruszyły fury z Warszawy bez Tomka, którego miejsce Jędrzej zastąpił.

Tomek tymczasem już był za rogatkami pragskiemi. Troszkę mu się smutno zrobiło, gdy spojrzął na Warszawę majestatycznie nad brzegiem Wisły rozłożoną, przyszła mu na myśl Hanka, zmartwienie jej gdy za powrotem fur dowie się o jego nieobecności, i pierwszy zaprojektował wstąpienie do szynku.

Kieliszek szedł za kieliszkiem, za każdym Tomkowi było coraz raźniej i weseliej, nawet zaczął pospiewywać, gdy ni ztąd ni zowąd, zwyczajnie jak między pijanemi, rozpoczęła się kłótnia Józefa z Janem, owym wysłannikiem do szukania ludzi. Od słowa do słowa przyszło do wymyślania, do odgrózek, a z nich jak nic do bitwy.

Jan uderzeniem w twarz Józefa pierwszy rozpoczął bitwę; czém ogłuszywszy przeciwnika, złapał go za włosy, i ciągnąc na dół, bił w kark, w plecy, koniecznie chcąc przewrócić na ziemię. Józef bronił się jak mógł: kopał nogami, chwycił rękami, ale mało była obrona, bo Jan jak kogut siedział na głowie i bił, walił, co tylko się zmieściło. Nareszcie pragnąc już z zupełnem wyjść zwycięstwem, Jan palnął pięścią w sam środek głowy Józefa, i podając się cały na niego, naturalnie zwałił go z nóg, który padając z bólu jęknął i zawołał:

--- Tomku ratuj, bo mnie zabije.

Tomek nie polecił się z udzieleniem pomocy, i godnie odpowiedział położonemu w sobie zaufaniu; a że był chłop tęg, silny i mocno zbudowany, rzucił się na Jana jak jastrząb na piskle, ścisnął naprzód żebra rękoma w kulak złożonemi tak silnie, że zdawało się iż popękają, a gdy z bólu Jan wypuścił ciągle za włosy trzymaną głowę Józefa, porwał go potem jedną ręką za czuprynę, a drugą za kołnierz surduta, i jak kota wynióstwszy z izby szynkowej, rzucił go w ogromną kałużę, z deszczowej wody i z gnojówek powstałej.

Wszystko to stało się tak nagle, że zaledwie pół minuty czasu zabrało zapaśnikom. Jan wrzucony silną ręką, klapnął w sam środek kałuży jak żaba. Twarz prawie z całą głową zanurzyła mu się w gnojówce, a grzebiąc rękoma i nogami usiłował wyjść z tego nie nader wygodnego położenia.

Józef tymczasem powstał i ciesząc się, wymyślając i odgrajając, rzucał jeszcze błotem na skapanego Jana.

Wypadek ten zrobił to, że Tomek z Józefem wrócili do Warszawy wstępywaniem do szynków doskonale utraktowani, i postanowili piłą i siekierą, kupionemi za pieniądze Tomka zarob-

kować przy rznieńciu drzewa. Z początku szło im nieźle, ubiór krakowski był nadzwyczaj dla wszystkich ponętny, roboty więc nigdy nie brakło. Ale starzy ludzie mówią, że jeżeli bięda jest bardzo potulna, to znów chleb ma rogi co niemi bodzie; Tomkowi też w miarę przybywania do mieszka, zaczęły i rogi pod-rastać. Przyszło święto lub niedziela, jakże się tu nie zabawić, kiedy złotówki tylko brzęczą w kieszeni, a tu tyle szynków, tyle katarynek; dziewczyny choć postrojone jak pokojówki dworskie, a takie przyjacielskie!

Tomek też bawił się całą gębą: hulał, tańczył, bo chociaż się trochę grosza zmarnowało, to i coż to znaczy? Przy pracy trzeba i zabawy, a jeden dzień zarobku z procentem wynagrodzi święteczny z mieszka ubytek.

Zabawy jednak tak dla niego nowe, a tak lechące zmysły prostego syna wioski, coraz lepiej zaczęły Tomkowi smakować. Już na święto czekać zdawało mu się zadługo; zaczął i w powszedni dzień zawadzać o szynki, a podobne hulanki przeciągane późno w nocy, niszcząc grosz i czerstwość duszy, zmuszały go do odpoczynku, do próżniactwa. To znów, jako od dziecka przyzwyczajonemu do pracy, wyradzało niesmak, niezadowolenie, które najlepiej i najpewniej leczył kieliszek anyżowki.

Tak więc Tomek pomalutku wszedł na drogę bardzo blizką zupełnego zepsucia; ratował się wprawdzie jak mógł wspomnieniami o Jaskułowie, o Hance, o tej radości, jakiej dozna przynosząc z sobą jakąś część zarobionych pieniędzy, ale dlatego brnął coraz głębiej, odkładając z dnia na dzień większą oszczędność w wydatkach. Z powiększaniem wydatków, coraz więcej zacierała się w Tomku dziewiczość i niewinność, tak pięknie cechująca naszych kmiotków, co zaledwie z nazwiska znają duże miasta; przez co naturalnie zmniejszony zarobek, wywoływał żal za straconemi nadziejami ubogacenia się, które w początkach tak łatwem się zdawało.

Józef był dla niego i mentorem i pijawką, bo nie tylko prowadził do złego, ale i wysysał ostatni grosz, póki go tylko czuł w kieszeni swego towarzysza. Na dobitkę przyplątało się jeszcze pokochanie, a raczej obalamucenie młodej i niedoświadczonej głowy Tomka przez młodą dziewczynę z szynku. Przy niej tracił resztki skromności, czerstwości i oszczędzonego grosza, a w chwilach rozwagi podnoszący się głos sumienia, przygłuszał kieliszkiem, oczywiście kosztem zdrowia i kieszeni.

Tak więc z dniem każdym coraz było gorzej około Tomka; już i do roboty chodzić mu się nie chciało, bo zbytek i takie materialne życie nie lubi bratania się z pracą; a gdy ulegając namowom Kasi, i własnej chęci nieodróżniania się niczém od Warszawiaków, zmienił ubranie: wszystko go na raz jeden zupełnie opuściło. Zdawało się, że biédak przymioty duszy i ciała zrucił wraz z poczciwą sukmaną krakowską, przyoblekając się we wszystkie wady wyszarzanych i połatanych surdutów warszawskich.

Nauczył się kłąć, wymyślać, umizgać, a nadewszystko próżnować tak doskonale, jakby z urodzenia był bratem motłochu miejskiego. Już się nawet kilka razy pobił w szynku, a ostatniego rubla wraz z mieszkaniem ukradziono mu wczoraj, kiedy odurzony trunkiem, na gołej podłodze przespał noc całą.

Ale na jednej biédzie nigdy nie dosyć: bo od rana wyszedłszy z Józefem na miasto błakali się dzień cały, i chociaż trafiała się im robota, ale jak zaczęli się targować, odchodzić i znowu przychodzić, tak przyszli drudzy chętniejsi, opuścili piątkę i zdmuchnęli im z przed nosa robotę. Koniec końców, dzień już chylił się ku zachodowi, a zarobku nie znaleźli: i Tomek zły, głodny, bez grosza i z bolącą głową, wysiaduje przy kolumnie króla Zygmunta.

Włosy krótko po miejsku ścięte, pokędzierzawione, wyglądają mu zpod czapki, w której pół daszka oberwanego spada na czoło. Surdut wytarty, umurzony, świeżo w kilku miejscach rozdarty, tak śmieszna robi całą postać Tomka, że przechodząc trudno nie spojrzeć na niego i zaraz nie rozśmiać się.

Całe ubranie zbakierowane: chustka na szyi przekreśliła się na lewo, półkoszulek poszedł na prawo, a surdut zapięty na dwa guziki podniósł się wraz z kamizelką aż blisko do piersi, cofając tęp samym kołnierz daleko od pleców.

Jak tylko objawił chęć pójścia na Bednarkę, co miało znaczyć do szynku, gdzie Kasia szynkowała, Józef odrzekł:

— Tak, łatwo pójść, ale kiedy ja ani grosza nie mam przy duszy; ale prawda, Kasia dobra dziewczyna, ona nam pokredytuje.

— Tak, tak, musi nam pokredytować— odpowiedział Tomek, a ściskając pięście dodał: — To nikt mi tego rubla nie mógł wziąć, tylko ten przeklęty ślępiec, podła dusza Wojciech.

— No, kto wziął to wziął— odrzekł Józef — ale to głupstwo rubel; nie bój się, znam ja dobrze Warszawę, i przy mnie nigdy ci biedy nie będzie, bo tu na różne sposoby zarabiać można.

I to powiedziawszy Józef, trząsnął głową, potem ręką nad uchem jakby kończył odpowiedź, i wzięwszy piłę, przygarbiony ruszył kolo Bernardynów.

Tomek leniwo poszedł za nim włożywszy obie ręce nakrzyż pod klapy surduta, bo biedakowi głodnemu i niewyspanemu, cokolwiek zimno było; i potem przeszedłszy około Dobroczyńności, spuścili się ulicą Bednarską.

Przy samym szynku Józef rozpoczął gawędę z jednym ze znajomych, czém wstrzymany Tomek, usłyszawszy nie wchoǳąc do izby najprzód śmiechy Kasi, a potem głos męzki, jakby śpiewał wesoło.

Po ukończeniu śpiewki, znowu powstał hałas, śmiech Kasi i szczebiotanie z przymileniem do Wojciecha.

Tomek słyszając to, z gniewem pchnął drzwi i wszedł do izby.

Kasia zaraz odskoczyła od Wojciecha, który półgłosem powiedział:—o wilku mowa, a wilk tuż.

Tomek nie wymówiwszy ani słowa usiadł na krzeselku, podpierając się łokciem o stół. Oczami zaczął wodzić to po Kasi uprzątającej niby po izbie, to po Wojciechu spokojnie pod nosem gwizdzącym; ale milczał, bo gniew i pewny rodzaj zazdrości, coś zakrawającej na obrazę miłości własnej, tak wrzał w nim całym, jak woda gotująca się w garnku, gdy tylko co ma wykipić.

Niedługo przyszedł Józef i zaraz się odezwał:

— Kasiu! dajno nam po półkwatku, bo się z panem Tomkowskim musimy pokrzepić.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że Tomek od czasu przebrania zmienił i nazwę, i przechrzcil się z Tomka na Tomkowskiego.

— I bułek, i kielbasy—dołożył pońtro Tomek.

Józef ponowił rozkaz, i wódka, bułki i kielbasa przyniesione zostały.

Gdy nowi goście zajadają, Kasia tymczasem kręci się po izbie, poglądając nieśmiało na nowoprzybyłych, i szukając sposobności zaczepienia Tomka.

— Jakoś człowiek zaraz weselszy—odezwał się Józef, —kiedy łyknie gorzalinę.

— A jużćie—odpowiedział Tomek—bo jak głodno, to człekowi się nie chce.

— No, ale tego już nie będzie bywało—odpowiedział Józef—bo o drugi taki nieszczęśliwy dzień to trudno.

— O! zapewne—odezwał się Tomek, odgryzając spory kawał kielbasy—ale nadarzało nam się do roboty same tylko ciarstwo: o piątkę albo o dziesiątkę, to się tak targowali, *nikiej* jakie gałgany.

— O! znam ja ich, to same szachraje; radziby za psie pieniądze—odpowiedział Józef—mieć wszystko zrobione, a robić byle za co, to lepiej leżeć do góry brzuchem.

— A juźcić — potwierdził Tomek — alboto nie kosztuje piła, siekiera, a mitręga, a zdrowie? O! nie było pocziwszych ludzi jak w hotelu; ino zawołali: hej! Krakowiaku!....

Tu umilkł Tomek, poprawił sobie włosów; chciał popić z kieliszka, ale zobaczywszy że pusty, odsunął go gwałtownie i powiedział:

— Józefie! kaźcie dać jeszcze kwaterkę, a zostawiewa siekierę na pewnoś.

— Co mamy się santować—odpowiedział Józef—oni i bez tego pokredytują. Kasiu! jeszcze kwaterkę.

I znów z kieliszków popijano. Tomek chciał przekręcić na bakier czapkę, ale zawadziwszy o daszek, rzucił ją na ziemię; chciał zatknąć rękę za pas, ale go nie znalazł: podniósł poły surduta i schował rękę w kieszeń tylko.

Kasia się kręciła, Wojciech pogwizdywał, a Tomek rozgrzany wódką, wspomniawszy sobie wieś rodzinną, spokojność jakiej tam doświadczał, rozmowy wieczorne z Hanką, kiedy jadąc na łuki pukaniem w okno z izby ją wywoływał; westchnął, sięgnął ręką po kieliszek i zaśpiewał:

„Cóż ja nieboraczek,
Cóż ja pocznę teraz;
Jak sobie przypomnę,
To zapłacę nieraz.”

Wszyscy po sobie z zadziwieniem spojrzeli: tak im to niezwykłym się wydawało. Wojciech splunął powiedziawszy:

— Znać zaraz wiejskiego człowieka, bo jak pije, to i śpiewa.

A Kasia przysuwając się do Tomka rzekła:

— Cicho Tomaszku, bo to nie w karczmie na wsi, tylko w Warszawie, to ludzie zaraz na ulicy postawać będą — i przysunąwszy stółek, usiadła tuż obok niego.

— Idź do diabła — zawołał rozniewany Tomek przerwaniem tak miłych myśli — albo se ruszaj do tego ślépeca, co tam

zpod pieca świdruje na ciebie ślipiami. Won odemnie, nie potrzebuje takięj—i to powiedziawszy, tak pchnął silnie Kasię, że ta ze stolkiem przewróciła się na ziemię.

— O! dlaboga!—krzyknęła Kasia—a co to ty niegodziwce sobie myślisz, będziesz mnie rozbijał? Ja nie chamka, ja uczciwa dziewczyna—i stojąc przed Tomkiem, biła pięściami w stół.— Tyś chłop cham, to szanuj szlacheckie dziecko, a nie rozbijaj, bo mój ojciec takim chamom jak ty, to walił po sto batów: rozumiesz, ty niemrawcze, ty urwipolciu, ty oberwańcze, ty....

— Ruszaj do diabła — przerwał zniecierpliwiony Tomek — ruszaj do sklepu, bo..... i Tomek zamierzył się — jak lunę, to popamiętasz.

— Co ty mi się jeszcze będziesz odgrażał?—wołała Kasia znany dobrze głosem przekupek warszawskich—ty tu się będziesz na mnie zamierzał—ty.....

I gdy Kasia wysiła się na wykrzykiwania, Wojciech zbliżywszy się do Tomka, odezwał się:

— Słuchajno ty: co ty chcesz odemnie? Czego ty mnie od ślépców przezywasz?

— Ruszaj sobie—odpowiedział Tomek cały aż dygocąc z gniewu—pókiś cały, i.....

— No dajcie panowie pokój—pojednawczym tonem odezwał się Józef—nie ma wam o co iść.

— Czego ty mnie tykasz? — zapytał znowu Wojciech omijając zastępującego drogę Józefa—ja tobie nie brat, żebyś mnie tykał: widzisz go, jaki poufały.

— Ruszaj—powiadam,—odpowiedział zgrzytając zębami Tomek—ruszaj! pókiś cały i pókim dobry.

— Ale dajcie pokój panowie! Panie Wojciechu, panie Tomkowski, cóż tam między nami o takie rzeczy mamy zaraz się sprzeczać jak chłopy w karczmie—i to mówiąc, Józef koleją zwracał się do sprzeczek.

Wojciech sądząc po milczeniu Tomka, że ma z tchórzem do czynienia, przystąpił do niego samego, i dając mu szcztuka pod nos, rzekł:

Oj! ty dudku, chamie, żebyś nie zważał.....

Już Wojciech nie dokończył, bo Tomek odebrany szcztukiem stracił zupełnie cierpliwość, i jak się odwinął i wyciął policzek, tak Wojciech jak kula leciał płatając nogami, i aż oparł się na stole. Tu zerwał się na nowo i z całą zapaleczywością wyru-

szyl na Tomka, i uchwyciwszy się obadwa, i okładając się gradem obelg, usiłował jeden drugiego przewrócić.

Długo chwiała się zwycięstwo, bo obydwaj byli silni; Tomek jednak cokolwiek już pijany nie dotrzymał na nogach, i zwałił się jak kłoda na ziemię. Wojciech na niego padł jak długi, ale pociągnięty upadkiem przeciwnika, wypuścił go z rąk i zsunął się na ziemię. Tomek korzystając z tego, zaraz wziął górę nad współzapaśnikiem, i pomimo kopań, gryzienia zębami i plucia Wojciecha, przygniół mu piersi kolanami, i tak bębnił po głowie i targał za czuprynę, że ten wyczerpnawszy siły, zaczął wzywać ratunku.

Gospodyni szynku przyzwyczajona widać do podobnych bólek, jak tylko rozpoczęła się kłótnia, z najobojetniejszą miną wyjrzała przez okienko, i wyrzekłszy do małej dziewczyny:

— Jagoś! już się zaczynają sprzeczać, pewno wezmą się niedługo za tby; idźno przyładuj konewkę wody, bo to najlepszy sposób na zgodę.

A gdy dały się słyszeć krzyki Wojciecha, gospodyni natychmiast wbiegła do izby szynkowej i wołając:— Jagoś, biegnij po budników, albo gdzie policyanta spotkasz; Kasiu, zamykaj drzwi, nikogo nie puszczaj.— Przy tych słowach wylewała na bijących się dzbanek za dzbankiem z wodą.

Sposób pani gospodyni przywrócenia zgody doskonałym się okazał; a lubo wysyłka po policyę była tylko fortelem wojennym, bijący się jednak, ochładzani zimną wodą, i straszeni wołaniem gospodyni, zerwali się z podłogi, i Tomek nieświadomy jeszcze rzeczy porwał czapkę, uderzył we drzwi i wymknął się na ulicę.

VI.

W drugiej połowie miesiąca listopada wiatr mroźny napół ze śniegiem harcował po ulicach Warszawy. Byłato godzina około ósmej wieczorem, latarnie chwiejące się na wszystkie strony rzuciły posępne światło, a przechodzący otuleni, przebiegali chodniki, każdy biegnąc w swoją stronę.

W jednej z kamienic znaczniejszej ulicy, w małej izdebce siedzi Józef przed małym piecykiem zatrudniony utrzymywaniem ognia, a drugi średniego wieku mężczyzna leżąc na tapczanie, niedbale na czynność swego towarzysza pogląda.

Oba ubrani jak wyrobnicy warszawscy, tylko dobrze pozapinani, ubiorem swoim ladajakim i podziurawionym zupełnie harmonizują z nędzą w całej izbie panującą. Oprócz bowiem siennika czarnego jak ziemia, a wypchanego bartlogiem, skrzynki z przykryciem utrzymującym się tylko na jednej zawiasie, stolka, stołu z dwoma garnkami, szklanką, kieliszkiem i kilku różnej wielkości flaszkami, nie więcej nigdzie nie dopatrzysz.

Cała podłoga zawalona drobném drzewem, zbieraném widać przy tarciu i rąbaniu, przedstawia pokład brudu, a raczej czarnej zeschniętej ziemi, w miarę rozgrzewania się pieca zięjącej najodrażliwszą wonią. Z pod tapczana wygląda zbiór różnych rupieci, kawałków skóry, części ubiorów sukiennych i płóciennych, stare bezużyteczne żelaziwo, dwa stare kapelusze męzkie: wszystko w dzikim nieładzie pomieszane jak groch z kapustą, i okryte kurzem i pajęczyną.

Dwaj jej obecni mieszkańcy za najmniejszym poruszeniem drzwi ciekawe na nie rzucają spojrzenie, prowadząc od czasu do czasu urywaną między sobą rozmowę:

— Coś Tomasza nie widać—odezwał się Józef—a już po ósmój, powinienby być.

— Może nie przyjdzie,—odpowiedział leżący na tapczanie Sylwester—bo to jakoś strasznie głupia sztuka.

— Przyjdzie, przyjdzie—odpowiedział Józef—bo on teraz wierzy we mnie jak w świętego.

I rozśmiał się mówiący.

— Chyba jak w diabła—dołożył Sylwester.—Ale powiedz mi czy on jeszcze nie siedział? (1).

— Ej! to dudek wiejski; niedawno przybył do Warszawy. W początkach to takie to było potulne, jak baranek, ale teraz jak porzucił sukmanę, nie pozwala sobie w kaszę dmuchać, i żebyś wiedział jak Wojciecha zdusił, to aż krzyczał *gwaltu, rety!*

— Patrzaj? — odrzekł Sylwester — to bestyjnik mocny, kiedy Wojciechowi dał radę.

— Ba!—odezwał się na to Józef—a Jana który nas zma-wiał do mostu, to jak kota za kark wyniósł z szynku i buchnął w błoto.

(1) Między szubrawcami w Warszawie zapytanie takie oznacza, czy nie był karany kryminalnie.

Tu obadwa rozmawiający zaczęli się śmiać; po małej chwili odezwał się Sylwester:

— Słuchajno Józefiel a gdzie on się chował przez tak długi czas, żeś go do mnie nie sprowadził aż dopiero wczoraj?

— A włóczył się po Warszawie jak błędna owca. Jak uciekł z szynku, gdzie się o Kasię z Wojciechem pobił, tak go już nie widziałem, aż dopiero przypadkiem napotkałem się z nim w szynku na Starém-Mieście wczoraj rano. Ale widać, że mu nie tego się wiodło, bo do reszty się obdarł, a w kieszeni takie były pustki, że nie miał sobie za co i kieliszka wódki kupić. Utraktowałem go więc i wódką i jedzeniem pod pompą, bo zaraz mi przyszedł interes dzisiejszy do myśli, a z nim dobra pomoc a mały podział, bo co do takich interesów, to on strasznie głupi.

— I przystał odrazu?—zapytał Sylwester niedbale się przeciągając.

— Ej! z takimi nowicyszami to nie można tak śmiało gadać, jak z innemi, coto i *Dzielny*, i Sandomierz i Zamość (1) i inne miejsca dobrze znają. Oho! z niemi robota chociaż dobra, ale co podział, to gorszej sprawy i z żydami nie ma: niech ich diabli wezmą.

— No—zapytał Sylwester— a z Tomkiem jakżeś sobie poradził?

— Ha!— odpowiedział Józef wrzucając kilka garści wiorów do pieca— najprzód wyciągnąłem go za język, co porabiał przez cały czas jak się ze mną nie widział, żeby potem wiedzieć, z jakiej beczki z nim zacząć.

— Naturalnie, ma się rozumić—przerwał potwierdzając Sylwester.

— Powiedział mi więc, że jak uciekł z szynku, zarabiał przy karowaniu drzewa w magazynach, i że przez ten czas połączył się widać z jakimś naszym Szpakiem, co mu nastreczył ten zarobek. Ale dudek, o! prawdziwy dudek— mówił dalej Józef liutośnie poruszając ramionami— uzbierało to sobie przez ten czas 15cie złotych, i dalejże się chwalić przed Szpakiem, że już ma tyle a tyle, i jak uzbiera ze złp. 100, tak powróci do domu.

— Oho!—odezwał się wzgardliwie Sylwester— jużto natura zawsze wilka ciągnie do lasu. Mnieby i kijem na wieś nie

(1) Nazwiska miejsc, gdzie się znajdują więzienia.

wygnął; co tam robić, pracy po uszy, a wikt gorszy psa, i zawsze bat nad plecami.

— No cóż, nie dziwota—odpowiedział Józef—zwyczajnie dzieciak, jeszcze żaden praktyk, to i tęskni do swoich, ale za pół roku to się to wszystko odmieni.

— I cóż mu Szpak zrobił?—zapytał Sylwester.

— A w nocy zawinął się koło kieszeni jak spali, i wyjął mu worek z pieniędzmi, i potem prysnął w świat, a jego zostawił bez grosza.

— A to nieuczciwie—odezwał się Sylwester—żeby się był podzielił na połowę, albo niechby złp. 5 chociaż zostawił, to by nie potrzebował być nawet i uciekać, i byliby się pomalu z sobą pogodzili; ale tak zabierać wszystko, to złodziejstwo. O! żebym go dostał kiedy w ręce—mówił dalej wyciągając zylaste ręce—tobym go nauczył tak ludzi obdzierać.

— Ma się rozumieć—odrzekł na to Józef—Pan Bóg wie zawsze co robi. Otóż jak mi to powiedział, tak zapytałem go się, co porabia w szynku? On mi powiedział, że przyszedł szukać Szpaka, bo tu zwykle na kieliszek przychodzili, ale ma się rozumieć, że nie znalazł go, i że teraz nie wie co ma z sobą robić, bo ani grosza nie ma w kieszeni, a tu panie zima i głód; mu, to dzień diabła długi.

— Ma się rozumieć—dołożył Sylwester.

— Mój Sylwestrze, jak mi to wszystko zaczął opowiadać: jak obchodził się tylko chlebem i barszczem, zwyczajnie po chłopsku, żeby mógł sobie coś grosza uzbierać; jak już teraz jest taki nieszczęśliwy, że chyba pójdzie się utopić: tak mi się bardzo żal zrobiło chłopczyśka. Kupiłem mu śniadanie, wpakowałem mu jeden, drugi kieliszek; chłopak jak się pokrzepił, dalejże mnie całować, ścisnąć i powiadać, że ja jestem najlepszy jego przyjaciel, że póki się mnie trzymał, to i zarobek był lepszy, i tak ciężko się nie napracował, i że mnie już ani kroku nie odstąpi.

— A no to dobrze—przerwał Sylwester—to go tak jak mamy.

— Ale bajki to są—odpowiedział Józef—i ja tak myślałem, i o mało co nie popsulem całego interesu: bo kiedy go zacząłem pocieszać i powiadać, że aby mnie słuchał, to bardzo prędko może wszystko co stracił załatać, i więcej nawet jeszcze zarobić: tak mnie zaczął ścisnąć, całować, dziękować. Tak ja

sobie myślę: nowicyusz, ale zuch jakiś, na wszystko odrazu przystaje; bo myślałem, że już dorozumiał się do czego ja wszystko prowadzę.....

Ma się rozumieć—potwierdził Sylwester—i jakże?

— A gdzie tam! Bo jak mnie wysłuchał, tak za ytał: a czy ten zarobek za Warszawą, bo mi się miasto naprzykrzyło; czy na długo się nadarza i wiele dziennie płacą?—Ja myśląc, że on tak sobie ze mnie pokpiwa, tak odpowiedziałem, że ten zarobek trafił się w mieście w piwnicy, że godzina na wszystko wystarczy, i że możemy zarobić odrazu po dwa albo i trzy dukaty. Jak to wymówiłem, Tomasz spojrział na mnie jak głupi, wytrzeszczył oczy, że myślałem, że mnie połknie, i szepnął: —Ale to musi być jakaś nieuczciwość, jakieś złodziejstwo, a kraść to wielki grzech.

— Głupiec—mruknął Sylwester.

— Jak mi to powiedział, mój Sylwestrze, tak o mało mu w oczy się nie rozśmiałem, bo sobie pomyślałem: a tom się złapał. Ja myślałem, że mam do czynienia już jakby z naszym, a tu trafiłem na osła, co mi gada o grzechu i mało mnie oczami nie zję, i jeszcze może wszystko popsuć.

— Zapewne, zapewne—poparł Sylwester — z takimi, to strasznie niebezpiecznie; ale cóż dalej?

— No ma się rozumieć, że ja mu wszystko jak mogłem tak inaczej poprzekręcałem: że robota łądzie w nocy i w ciemności, ale nie dlatego, żeby to było złodziejstwo, tylko że ten, co ma nam płacić, chce się przed matką swoją wynieść, co...

— No i cóż, uwierzył?

— Ej! niebardzo słuchał, ale pokręcał głową i potem powiedział, że na wszystko przystaje, aby tylko nie na złodziejstwo, bo nie chce zabijać duszy.

— Oj głupie chłopisko!—odpowiedział Sylwester z litośnym uśmiechem. — Złodziejstwo, złodziejstwo! że myślimy o piwnicy z winem w której od kilku lat stoją butelki, to nie jest złodziejstwo, bo z nich żadnego nikt nie ma pożytku; a jak my zabierzemy, to pójdą w świat, i niejeden dobrze przy nich zarobi.

— Ma się rozumieć—dodał Józef—Szpak to złodziej, bo biédnego nawet obdarł do ostatniego grosza.

— Tak jest, to dopiero łotr, to niepocziwa i podła dusza; ale jakże się ukończyło z Tomkiem?

— A przyprowadziłem go tu, wyspał się uczciwie; potem mu dałem złotówkę, bo powiedział, że musi poszukać swojej zguby, i że w wieczór przyjdzie.

Po tych słowach umilkli rozmawiający. Sylwester przeciągnął się i ziewnął jak tylko mógł najgłośniej, a Józef na nowo rozpałał ogień w piecu. Po małej pauzie milezenia Sylwester przemówił:

— Jakżeście ułożyli dzisiejszy interes, bo ja iść żadnym sposobem nie mogę. Od ostatniej sprawy z masłem i innymi rupieciami, gospodarz ma jakoś oko na mnie, a jak się brama zamknie, to raz po raz ktoś *dryndoli*, i wstawaj i otwieraj blisko bez noc całą.

— Ja wiem, że iść nie możesz: to też trudniej to będzie, ale będziemy musieli bez ciebie się obejść. Tu tylko bez noc u ciebie przeleżę, a nad ranem zaraz wyniesiemy się do Jukima, żeby żadnego śladu po nas nigdzie nie było.

— A Tomek jak nie będzie chciał pójść razem z tobą, to sam nie dasz rady.

— Już i na to ja poradzę: on zostanie w bramie, bo Paweł lokaj powiedział, że dobrze upoi stróża kamienicznego, bo to nie nasz...

— A to szkoda -- przerwał Sylwester.

— Nie, lepiej że nie nasz, bo policya na drugi dzień nie będzie mogła żadnym sposobem poszlaki znaleźć, i musi wszystko przyschnąć, bo Jukim to mądre żydzisko. Otóż Tomek będzie stał w bramie, a ja co mu wyniosę, to on zaraz zaniesie niedaleko za parkan, i potem wszystko zabierzemy razem i rzecz będzie skończona.

— To ty sam pójdziesz do piwnicy?

— A tylko sam, bo Tomka ani nie namówi; nawet nie można mu wszystkiego dobrze tłumaczyć, bo mógłby nas porzucić, i taki piękny interes chybiłby zupełnie.

— Zapewne, zapewne, samemu trudnoby było.

— A ani myśleć—odpowiedział Józef, i gdy tych słów domawiał, poruszyły się drzwi i wszedł Tomek.

Biédak tak był zmieniony, że do niepoznania. Twarz blada, od oczów aż do ust przewiązana była jakimś rodzajem brudnego gałgana. Surdut pełen dziur, cały z przodu był zbroczony krwią, która nawet jeszcze około ust po policzkach sączyła się, a z tyłu umurzany jakby w błocie.

— A tobie co się zrobiło?—zapytał z przestraczem Józef, —czy biłeś się z kim?

— A to ten skórczybyk Szpak—odpowiedział przez nos Tomek— tak mnie uczył. Spotkałem go nad Wisłą już przed wieczorem między berlinkami, i kiedy wyszedł między szychty, tak ja dalej do niego o moje pieniądze; nie widziałem, że miał jakiś kij w garści. Jakem też do niego leciał, jak mnie gwizdnął między oczy, tak Bóg strzegł, że nie zabił. Padłem, zemdlałem, cały oblałem się krwią, i żeby nie pocziwi ludzie co mnie otrzewili i zawiązali gębę, to chyba przyszłoby człowiekowi zdechnąć jak psu na ziemi.

I to powiedziawszy Tomek splunął i usiadł na tapczanie obok Sylwestra.

— No, kiedy chodzisz—odezwał się Józef—to ci już nic nie będzie; a my jego złapiemy kiedy, to zapłaci nam za wszystko. Ale dobrze zrobiłeś żeś przyszedł, bo tylko co nie widać tego pana, co nas wynajął.

— Ale to wszystko pójdzie po pocziwości?—zapytał nawiennie Tomek.

— Jużem ci raz powiedział, że my choć biedni, ale pocziwi ludzie nie Szpaki.

— O juda!—odezwał się na to Tomek, ściskając pięść— żeby go choć raz jeszcze dostał do garści, to jabym go nauczył ludzi zabijać. Ale dobrze to wszystko, mój Józefie powiadacie, tylko mi się to jakoś nie chce pomieścić w głowie, żeby można bez godziny dwa dukaty zarobić; bo ja se tak kalkulowałem, że....

— Głupis i z kalkulacją— odparł z małą niecierpliwością Józef.— On myśli że to na wsi, co trzeba cały dzień diablo pracować, żeby zarobić złotówkę albo więcej. To bratku Warszawa: czasem jedna godzina, w niej to więcej znaczy, jak rok na wsi.

— No juźcić to prawda—odpowiedział Tomek—ale jak wczoraj.... — Wejście nowej osoby przerwało dalszą mowę Tomka.

Był to lokaj ubrany w liberyą. Jak tylko przyszedł, Józef dał mu znak porozumienia się i zaraz przemówił:

— To proszę pana drugi jest najemnik: zuch, mocny, to łatwo się wszystko poprzemieni; ale o której godzinie będzie się można wziąć do roboty?

Józef — To też ja umyślnie za-tém przyszedłem — odpowiedział lokaj — ażeby wam powiedzieć, że z pewnością wszystko na 12tą będzie gotowe. Stróż spokojny, poczciwy, śpi jak zabity, a klucze od bramy u mnie.

— Więc o 12tej mamy się stawić? — zapytał Józef.

— Na pewne, na pewne — odpowiedział lokaj — a po zapłatę jutro przyjdziecie. — I rozśmiał się ironicznie, wyszedł powiedziawszy jeszcze w samych drzwiach:

— No! bywajcie zdrowi moi chłopcy; muszę już iść; a nie zapomnijcie punkt 12ta, w piwnicy znajdziecie dwa kosze do noszenia.

VII.

Godzina dwunasta tylko co ma wybić. Wiatr świszczy rzucając tumanami śniegu mokrego po ulicach Warszawy.

Wszystkie sklepy i sklepiki pozamykane, w oknach ciemno, widocznie całe miasto układło się na spoczynek. —

Panującą wszędzie ciszę przerywa tylko pisk kółek od poruszanych wiatrem latarni, czasem odgłos kroków jakiego przechodnia, z pośpiechem ślizami wracającego z zabawy do domu, albo brzęk ostróg żandarmskich, i w milezeniu ciężkim krokiem postępującej za nim warty. To patrol nocny, postrach złodziei, włóczęgów, próżniaków i pijaków warszawskich; a jakby dla odmiany czasem da się słyszeć głośnie zapytanie budnika: — kto idzie? — lub przeciągły głos szyldwacha pobudzający dalsze warty do czujności, a jakby echa coraz dalej i coraz słabiej odzywający się. —

Jedną z ulic Józef z Tomkiem, oglądając się na wszystkie strony, przyspieszonym krokiem posuwają się popod samą ścianą. Kiedyniekiedy Józef przystanie, nadślucha; widać, czy warta gdzie nie idzie, i znów biegnie oglądając się jak wilk, kiedy go krzykiem i hałasem od wsi odganiają. Nakoniec zatrzymując się przy zbiegu kilku ulic na samym rogu, z którego dokładnie wszystko mógł widzieć i słyszeć, odezwał się pociachu do Tomka:

— Tomasz! jak będziesz stał w bramie, uważaj tylko, czy kto nie idzie; a stań sobie w cieniu, z drugiego rogu furtki, i stój cicho, to pociemku nikt cię nie dojrzy. Jak zaś będziesz szedł już z-tém, co ci dam, to najprzód wyjrzyj, i przysłuchaj się, czy nie słychać gdzie rentu; a jak się przekonasz że cicho

wszędzie, dopiero zmiataj co masz siły, i w powrocie tak samo pamiętaj być ostrożnym.

Tomek nic na to nie odpowiedział, i w milczeniu ruszyli znowu.

Po małej chwili Józef znowu przemówił:

— No cóż, Tomaszu, słyszałeś com ci mówił?

— Słyszałem—głosem drżącym odpowiedział Tomek—ale to jakieś jest w tém wszystkiém matactwo: bo żeby my po sprawiedliwości szli, to nacóż to krycie się, to oglądanie, a ino *poomacku*, nikić koty. Jata nigdy nie byłem takim, to i...

— Głupis—z niecierpliwością odpowiedział Józef—zamiast dziękować Panu Bogu, że ci spuścił takiego człowieka, co ci sam w ręce pcha zarobek, to ty tam Bóg wie nie co wydziewasz. Jak ze dwa razy tak się uda, to zarobisz jak nie sto złotych, i pójdiesz w swoje strony. Widzisz, jakiś ty głupi.

— Dobrzeto wszystko—odpowiedział Tomek wzdychając, i na samo wspomnienie powrotu do wsi i spełnienia życzeń uzbierania sto złotych, nie umiejąc przytłumić wewnętrznej radości—dobrzeto wszystko, ale takim sposobem, to jakoś.....

— Co jakoś?—zapytał Józef—może powiesz, że to złodziejstwo?

— A bogaćta co innego—odpowiedział z widocznym wstydem Tomek— to wielki grzech.

— Głupis kiedy tak myślisz—odezwał się z gniewem Józef—bo Pan Bóg dał człowiekowi na to rozum, żeby sobie umiał we wszystkiém radzić.

— No, jużćie to prawda—odpowiedział Tomek—ale ja takich rzeczy nienauczny; i kiedy Józef powiada, że za dwoma razami można będzie zarobić sto złotych, ha!... to... i cóż..... Ino że....— i Tomek obejrzał się.

— Cóż, boisz się?—zapytał Józef—no masz, łyknij tylko dobrze, a zobaczysz, jak pokrzepisz siły.

Tomek łyknął porządnie, bo przez dziury w surducie tego wiatr kości ziębił, i splunąwszy, odezwał się:

— Dobrze, mój Józefie: gorzałka co się zowie. Ot! zaraz człowiekowi jakoś jankurniej. No, a gdzieto mamy iść? bo póki mam ochotę— i.....

— Ot widzisz, w tój bramie zostaniesz i będziesz na mnie czekał. A pamiętaj tylko śmiało, bo powiadam ci, że to taki prosty i głupi interes, że nawet nie ma co gadać.

— No, już dobrze, mój Józefie; ale dajcie wódki: jakoś zaraz człowiekowi odważniej. Ale czy tylko pewno za dwoma razami sto złotych zarobię?

— Pewno, pewno—odpowiedział z niecierpliwością Józef—nie tylko za dwoma, ale nawet może odrazu: zwyczajnie jak Pan Bóg poszczęści. Na, pij, ale już niedużo, żebyś się nie upił.

I Tomek pociągnąwszy z faszki, został przy bramie, a Józef wszedłszy na lewo, zaczął się spuszczać do piwnic.

Tomkowi gdy sam pozostał jakoś zrobiło się zimno, jakby go dreszcz przejął. Obejrzał się wkoło siebie i nie śmiał kroku postąpić. Dawna poczciwość i prostota, w których wzrosł i uchował się między pracowitym ludem wiejskim, zaczęła staczać walkę z podszeptami szatana.

— Przecie to nie złodziejstwo jest—szeptał sobie pod nosem—boć ja ta nie włożę nigdzie i zabierać nic nie będę, ino to, co mi Józef wyniesie; a on, bo ja wiem, może kupił, może mu kto dał? A chociaż i złodziejstwo, to grzechu nie ma, bo nie ze zbytku. Pamiętam ostatniej nocy kiedy mieliśmy jechać z Jaskułowa—i przy tych słowach mocniej westchnął—to jakęśwa prowadzili gadkę o rzepie i kartosłach, to i Janek i Franek, wszyscy mówili, że wziąć pokryjomu, aby na zjedzenie, to nie ma w tём żadnego grzechu.

I troszkę się zamyślił opierając się plecami o ścianę, a po małej chwili dodał:

— No, już cię zawsze to pójdzie na zjedzenie: bo niech mi tylko Pan Bóg pozwoli tak dorobić się, jak Józef powiada, to zaraz wracam do Jaskułowa, i ożenię się z Hanką. Ej! mój Boże, dopięroto będzie uciechy! A jakto wszyscy będą mnie *obserwować*, jakto będą słuchać, kiedy im zacznę rozpowiadać o Warszawie. Ej! mój Boże! żeby to.....

Wpółród tego monologu, tuż przy głowie Tomka odezwał się głos:

— A kto tam taki po nocy wzdycha i mamrocze?

Tomek został jak nieżywy. Nieznając miejscowości, stanął pod samém oknem stróża, który obudziwszy się, i usłyszawszy jakiś głos w bramie, zrobił zapytanie, i począł się krzątać po izbie.

Jednocześnie na schodach w sieni, w którą wszedł Józef, pokazało się światło, jakby je niosła osoba schodząca na dół. Tomek tak się zmieszał i stchórzył, że lękał się i kroku postąpić; a gdy światło pokazawszy się w sieni zaczęło znowu znikać pomału, gdyż niosący począł się spuszczać ku piwnicom: stróż macając rękoma po stole mówił do siebie:

— Nie wiem, gdzie te nieszczęśliwe klucze mi się podziały; nie mogę się ich nigdzie namacać: czyby w furtce zostały czy co? Trzeba iść, ale wezmę kij, bo tam oczywiście coś w sieni słyszałem.

Jeszcze minęło kilka sekund cichości. Stróż poszedł do furtki i zaczął macać, mrużyć pod nosem. Tomek zaś jak nieżywy, gdyż zupełnie prawie stracił przytomność, stał w tém samym miejscu, nie śmiejąc nawet silnie odetchnąć. Wtém naraz jeden wrzask dał się słyszeć z piwnicy:

— Złodziej, złodziej! Strózu, pilnuj bramy: złodziej.

Tomek cały aż zadrział, i gdyby nie to że był oparty o ścianę, może byłby i upadł. Krzyk, tupot biegnących po schodach z piwnicy coraz się powiększały, a stróż stojąc przy furcie, mówił:

— A tam co takiego? czy diabli się żenią! Zjé licha, czy go wypuszczę z kamienicy.

Wtém Józef wybiegł z sieni; poczęło się szamotanie ze stróżem, usiłującym nie pozwolić na otwarcie furty.

Tomek zebrał przecie przytomność, wsparł swego kolegę, i stróż odepchnięty, zostawił wolne przejście dla uciekających.

Józef wypadł pierwszy, za nim dopiero Tomek poczęstowany tak przez głowę i plecy kijem stróżowskim, że tylko, tylko co nie padł przy bramie.

VIII.

Cóż porabia Hanka, kiedy Tomek lekkim sposobem dorabia się chleba w Warszawie?— Biedaczka smuci się, boć i ona ma serce, i ona umie czuć nieobecność kochanka, z którym tyle wieczornych rozmów prowadziła.

Teraz choć parobcy jadą czyto na łąki, czy to do innej roboty, to żaden nie zapuka do chałupki, bo nikt nie zna tego sposobu wywołania z izby grackiej dziewoi; a Tomek daleko

odjeżdżając nie nauczył nikogo, i sekret wraz z nim zginął w Warszawie.

Lubo Tomek zwierzył się Jankowi, jednemu z fernali, z którym przybył do Warszawy, że nie powróci z niemi do Jaskułowa, i kazał powiedzieć Hance, że jak dużo pieniędzy zarobi, to dopiero ją i wszystkich powita; smuciła się jednak biedna dziewczyna, bo dzień za dniem mijał, nadchodziły i święta Bożego Narodzenia, a o Tomku *ani słychu, ani widu*.

Już Hanka i o karczmie zapomniała, bo pocóż tam pójdzie? Choć grają i tańczą, to Tomka nie ma, a jej z Tomkiem jakoś najładniej i najskładniej było wywijać. W karczmie ludzi jak nabił. Hance pójść wypada, a nawet i poskakać trochę, gdy ją kto weźmie do tańca; ale biedaczka choć nogami skacze, ale sercem płacze, i nieraz cichaczem, żeby się ludzie nie śmieli, skrycie obetrze łzy w oczach.

Wracają z kościoła. Dziewczeta postrojone w bieli, krasne jak maliny; na parobczakach tylko błyszczą pawie piórka u czerwonych czapeczek, a pyszniąc się w modrych sukmanach i pobrzdkując kółkami u pasa, rozmawiają, żartują, i chichoczą: Hanka jedna tylko smutna, bo chociaż się lęka, żeby z niej ludzie drwinków nie stroili, ale pocichu wzdycha i myślą goni Tomka, który gdzieś tam daleko buja po świecie, szukając szczęścia, nie wiedząc że uciekł od szczęścia, a z nieszczęściem poczyna się bratać.

Smutno więc w duszy u Hanki; często ocknąwszy się w nocy wychyli się z łóżka ku oknu, bo się jej śniło, że Tomek stoi na dworze i puka palcem w szybę; ale wnet złudzenie znika przed rzeczywistością: spojrzy na dwór, i nikogo nie widzi, tylko słyszy jak wiatr szumi między drzewami, strącając zeschnięty liść na ziemię, i znów cicho, i znów tuli się do poduszki tłumiąc łkania, mimowoli wydobywające się z piersi, żeby matki stariej nie przebudzić.

I tak dzień za dniem mija: biały śnieg okrył wszystko, i drzewa i strzechy wieśniacze, a Tomka jak nie widać, tak nie widać.

Matka jak może pociesza córkę i stara się namawiać, żeby sobie wybiła z głowy kochanie hultaja Tomka. O! bo serce matki to bardzo domyślne! Ale to wszystko nic nie pomaga: matka gada, zwyczajnie jak stara doświadczona kobieta;

a Hanka się smuci, wzdycha i płacze, zawsze jednak skrycie, zwyczajnie jak młoda dziewczoja, która czuje że kocha.

Chociaż ludzie Bóg wie nie co wydziewiają na Tomka, chociaż już jednego włosa pocziwego na nim nie zostawili, chociaż ona to wszystko słyszy uszami, ale milczy: do rozumu, do serca nie przylgnąć nie chce, bo każda czy to *dziewicą* w tiulach i atlasach, czy *dziewczyną* w zgrzebném ubraniu, kiedy kocha szczerze, to już całą duszą. Gadaj, perswaduj, wyszydź, tłumacz, wszystko napróżno: dziewica i dziewczyna kochać nie przestaną.

Byłato wilia Bożego Narodzenia. Już trzeci miesiąc upływał od wyjazdu Tomka do Warszawy, gdy Hanka z matką zjadłszy *posniak*, zabierały się ku spaniu, bo jutro rano chciały razem pójść do kościoła.

Pałący się kaganek rzuca blade światło na całą izdebkę. Hanka klęczy przy łóżku i modli się. Matka poprawiając pierzyne i poduszki, szepce pocichu pacierze, bo stare, spracowane kości już jej z trudnością służą, do kornego zanoszenia dziękczynień Bogu. Na dworze tylko chrupi śnieg po drodze, pod nogami nieczęsto zdarzających się przechodniów: wtenczas Hanka zwróci głowę ku oknu, radaby i z uchem i z okiem wybiędz przed sień, ale przechodzący mija chałupkę, a Hanka znowu zatapia się w modlitwie.

Nareszcie pokończyły pacierze. Matka już ułożyła się w łóżku, a dziewczoja wyjrzawszy przez okno, zdjęła z głowy chustkę i usiadła na skrzynce, założywszy nakrzyż ręce na piersiach i duma. Na dworze cicho, spokojnie, niebo wyiskrzzone świeci milionami gwiazd, posepném światłem księżycy pogładając na urodziwą buzię Hanki; a przypominając biędacze pożegnanie Tomka, budzi wspomnienia minionéj przeszłości, tak miłéj, tak szczęśliwéj, a tak odmiennéj od obecnych chwil pełnych żalu i boleści!

— Czemu Hanuś nie idziesz spać?— odezwała się matka— idź moje dziecko, idź: już późno, a trzeba wstać rano.

Hanka powstała i poczęła się krzątać około łóżka, a matka mówiła dalej:

— *Zawszeta* z tém wyczekiwaniem! Już *se* wybij raz z głowy tego ladaco. Póki statkował i nie chciało mu się latania po świecie, to przecieć chłopczysko był do ludzi; ale teraz wala się Bóg wie *kuj*, a ty po *próżnicy* głowę *se* nim zaprzatasz. Przecieć miéj swoją *kalkulacyą*; on teraz jak zakoszt-

wał *łętkiego* chleba, to mu się zawsze będzie chciało *łębko* pracować, a chleb śpiewający do człowieka nie przychodzi. Moje dziecko, słuchaj mnie, bo przecieć ja z twoją krzywdą nie mówię.

— Ja wiem moja matusiu—odpowiedziała smutnie Hanka—że wy-ta dobrze wszystko uważacie, ale on-ta w głowie nie miał Warszawy, i żeby nie Jędrzej, co mu-ta nabajał Bóg wie nie jakie dziwy, toby jemu ani bez myśl nie przeszło szukać wiatru po świecie.

— No, moje dziecko, czyta bez siebie, czy bez Jędrzeja tak se poczał, to zawsze *niepoń*: bo człowiek co ma jaką przychylność do swoich, to żeby mu-ta i złote góry obiecywał, to będzie siedział, a nie pójdzie na *poniewierkę między ludzi*.

— Ale on wróci, moja matusiu.

— Tak, wróci, może i wróci—odpowiedziała matka—ale jak ty będziesz jak *purchasek*, a on nikięj grzyb robaczywy.

— Moja matusiu—odpowiedziała Hanka—wy może się rozśmiejecie, ale kiedy wyjeżdżał do Warszawy, choćta Bóg wie nie jak mi gadał, to ja zawdy miałam przeczucie, że z tego jakieś złe wyrośnie; a teraz gadajcie mi znowu co chcecie, ja wam powiadam, że mam takie przeczucie, że wróci.

— No dobrze, dobrze—odpowiedziała matka—wróci czy nie wróci, to zawdy zabacz o nim, bo to już z tego nie będzie dobrego.

Hanka nie już na to nie odpowiedziała, przybliżyła się tylko do kaganka chcąc ogień ugasić, gdy wtém.... zapukano w okno. Hanka cała zadygotała, spojrziała w okno, i dostrzegła istotnie człowieka jakiegoś, który wprawdzie podobnie zapukał jak Tomek, ale w niczém do niego nie był podobny. Hanka cofnęła się pod ścianę, a pukanie znowu się ponowiło.

To nikięj Tomek, pomyślała sobie Hanka, bo on tak zawdy pukał; ale takiego nie znał ubrania, bo to nikięj szlachcic jaki: ani sukmany na nim, ani czapki. Kto to taki? Pukanie już mocniejsze ponowiło się i matka głośno z łóżka zapytała:

— Kto się tam tak dobija po nocy?

— To ja. A Hanka czy nie ma?—odpowiedziano.

— To Tomek — zawołała radośnie Hanka i poskoczyła ku oknu.

— Tak, Tomek, moja Hanuś— odpowiedział ze dworu— ale otwórz, bo zimno że ledwo nie zmarznę.

— A ktota z tobą jest drugi?—zapytała Hanka cofając się od drzwi, któremi chciała wybiedz.

— Nikt, nikt, tylko ja sam—odpowiedział Tomek—ale otwórz, bo już ledwo dyszę, tak mi zimno.

Hanka wybiegła, drzwi pootwierała i wkrótce stanął w izbie Tomek.

Łatwo można sobie wyobrazić zadziwienie matki z córką na widok Tomka, tak ubranego, jakieśmy go zostawili w Warszawie. Pozdrowiwszy obecnych, wziął się zaraz do rozpalenia ognia na kominie, i gdy ogień dobrze buchnął i oświetlił całą jego osobę, Hanka przyjrzawszy mu się dobrze, zawołała nawpół ze śmiechem:

— A ty co, czy oszalał, tak się przebierać?

— Tak moja Hanuś, oszalałem; ale zgotuj barszczu, bo mi się jeść chce, a wszystko ci opowiem.

Wkrótce wieczerza dla Tomka zaczęła się gotować.

Hanka usiadła na małym pieńku, a Tomek znowu na stołku, i pilnując ognia opowiadał jój wszystko, co się mu w Warszawie przytrafiło. Matka w połowie rozmowy usnęła, a oni długo jeszcze gwarzyli, aż nareszcie gdy kogut pianiem ogłosił północek, Hanka podając mu poduszkę, kozuch i płachtę, rzekła:

— No, idź Tomku na górę: jest tam słoma, a tём się przykryjesz, bo już późno; tylko idź ostrożnie po drabinie, bo szczerble słabe.

I w kilka minut w chałupce Hanki wszystko się uciszyło.

W lat sześć po opowiedzianych wypadkach, jesienną porą, kiedy po wsiach zgromadzają się koleją w chałupach dla wspólnego obierania rzepy i kapusty; niewielkie grono wieśniacze zeszło się do jednego z gospodarzy, i usiadłszy w jednym kącie izby, w cichości przysłuchiwało się stojącemu na środku gospodarzowi, który coś im opowiadał.

Mała dziewczynka kołysała z wielkim stukiem kołyskę z niemowlęciem, a sama gospodyni stojąc przy kominie, zajęta była gotującą się na nim wieczerzą.

— I cóżście potem zrobili, mój Tomaszu—odezwał się jeden z wyrostków—jak was tak gwizdnął stróż bez plecy, kiedyście uciekali z kamienicy.

— Ha! mój kochany—odezwał się Tomek, gdyż to on był—leciałem bez upamiętania, a coraz to mi się zdawało, że wołają: łapaj złodzieja!—i tak leciałem het! aż do okopów.

Przeskoczyłem *bez* okop i jakom się już dostał na drogę, dopięrom ożył. Długo potem szedłem i nie wiedziałem co robić, aż tak nad ranem zda mi się spojrzeć; patrzę, jedzie ktoś w cztery konie z Krakowskiego, bo konie w chomontach, sornał tak jak my ubrany, i *pęca* raz po raz z bata. Jakem dojrzał człeka ze swojej strony, tak moi kochani, tak mi się cośić dziwnego zrobiło, że musiałem odpocząć i powiedziałem sobie potem: niech się cò chce stanie, a wrócę do wsi, i wróciłem.

— I wrócił *nikiej miemiec* ubrany—odezwała się żona od komina—a takém go się przelekła...

— Tak, przelekła się—odpowiedział Tomek—a jednak moja Hanuś całowałaś potem, zem się aż musiał prosić, cobys mi dała pokój.

— Cicho ty zbytniku—odpowiedziała Hanka—bo jak wezmę drewna, to ja cię nauczę takie *gadki* nieprzystojne przy dziewuchach wywodzić.

— Ej! moja Hanuś, żebyś wiedziała, jakto mnie wycatowały w Warszawie zaraz...

— Cicho—zawołała poważnie Hanka a dziś Tomaszowa—to trzeba było zostać w Warszawie, bo my-ta nie *umiewa* tak *se* poczynać, jak Warszawianki.

Tomek kiwnął ręką i mówił dalej:

— Tak moi kochani, na drugi dzień, jak się dowiedzieli we dworze że powróciłem, zawołał mnie pan do siebie. Ha myślę sobie, w Warszawie nos mi łotr Szpak już na wieki przeciął, bo od tego czasu taki mam w środku splaszczony; stróż ledwo nie złamał kijem krzyża, a tu trzeba jeszcze skóry nadstawić. Ha! myślę sobie, trudna sprawa: jak se posłałeś, tak śpij Tomku. Idę *bez* wieś do dworu w surducinie i w czapezynie takich gałgańskich, że choćby dziad znalazł na drodze, toby nie wziął; wszyscy ludzie z chałup powylegali, dzieciaki wedle mnie wkoło, a wszyscy się przypatrują *nikiej* na jakie dziwowisko. Idę, a co kto spojrzy, albo się rozśmieję, to mnie zdaje się, jakby kto sztyłem kolnął. Doszedłem przecie do dworu, bo myślałem, że już nie dojdę od wielkiego wstydu.

No! panosko nasz, niech mu Bóg da zdrowie, wysłuchał wszystkiego, wypytał się; ja mu tak wszystko jak wam opowiedziałem. Rozśmiał się i potem rzekł:

— Na drugi raz już nie będziesz taki głupi? —

— Oj nie! Wny Panie—odpowiedziałam—jużem teraz nabrał rozumu.—A pan na to powiedział:

— No idź do domu, pracuj, a jak zobaczę żeś poczciwy, to ci sam pomogę i dam gospodarstwo. *Oj ty mędraku! mędraku!*

— Od tego też czasu, moi kochani, jak się ludzie chycili tego słowa *mędraku*, tak mnie zrobili mędrakiem; i już nie usłyszysz *nikuj* jak dawniej Tomek Blaszczak, ale wszyscy, i przy pańszczyźnie, i przy *delegacyi*, *zawdy* na mnie wołają Tomek Mędrak.

— Patrzajcie moi kochani—odezwała się jedna z kobiet — a waszego chłopaka to na *Mędraku* ochrzcili, bo wszyscy wołają na was: Mędrak, Mędrak, tak też i księdzu podaliśwa Mędrak, bośwa myśleli, że się tak nazywacie.

— Wszystkota jedno, moi kochani—odrzekł Tomek — jak się zwał, tak się zwał, aby go każdy znał, że poczciwy człowiek; bo-ta czy Wojtek, czy Tomek, czyta inaczéj, *zawdy* jeden człowiek i *jużci*. Mnie w Warszawie zwali *Tomkowskim*, wprzódy Tomek, a teraz Mędrak i wszystko mi równo. *Hanka*ta i tak rada była, ale musiałem się zaraz przebrać po naszemu, bo po dniu ani spojrzeć nie chciała.

— A bo takeś wyglądał—odparła Hanka—nikiej dziad zpod kościoła. Chciało mu się być panem Tomkowskim, widzicie go?

— Cicho Hanuś, cicho, bo oczy ci bez cały rok, nim dostałem gospodarstwo od pana, to ledwo nie wyskoczyły za mną; a na jesieni jak było wesele, to.....

— No, no, zatkaj sobie gębę—odpowiedziała na to Hanka stawiając na stole miskę z kaszą—bo jak się rozgadasz, to końca miary nie ma twemu gadaniu.

— A bo mam o czém powiedzieć; alboto nie byłem w świecie między ludźmi?

— Tyla też całej obrady wyniosłeś z Warszawy—odrzekła Hanka—bo.....

— W surdut i w czapkę, to stracha na wróble ubrali w ogrodzie dworskim—domówiła jedna z kobiet zgromadzonych. Wszyscy się rozśmieli, a Tomek poprawiając gestych włosów, po małej chwili dolożył:

— Nie, nie tyła — moi kochani — bo choć jak ostatni gałgan wróciłem do domu, ale w rozumie dosyć było pieniędzy; bo widzicie poznałem, że jak człowiek chce pracować, to mu i wszędzie będzie dobrze, a przy próżniactwie, to i niebo się naprzykrzy.

— Prawda, prawda, święta prawda — odezwali się wszyscy.

— I dlatego widzicie — mówił dalej Tomek — miałem dawniej tylko dziesięć palców; teraz mam gospodarstwo, dwie dobre szkapiny, cztery krowy, świń sześcioro, a w skrzyni....

— No, no, ty bogaczu — przerwała Hanka — chwali się nikiel Bóg wié czém; wszystko to nie twoje, tylko Boskie. Idź lepiej zamknij kołowrot, bo jeszcze otwarty.

Tomek poruszył ramionami i szepnąwszy pod nosem:

— Zawdy jęj zazdrość, że tego nie widziała, co ja — wyszedł na podwórze.

PAMIĘTNIKI LEKARZA

POŁAKA,

Z DOŚWIADCZEŃ ZA GRANICĄ ZEBRANYCH, SPISANE PRZEZ NIEGO SAMEGO.

PRZEDMOWA.

Wiele winniśmy lekarzom cudzoziemskim, którzy się pomiędzy nami osiedlili, żyli, pracowali i umarli, a po części jeszcze żyją i zaszczytnie powołania swego obowiązki wykonywają; ale większa jeszcze liczba lekarzy Polaków, kiedyś za granicą dla dobra ludzkości pracowała i dziś jeszcze pracuje. Gdyby każdy z naszych ziomków lekarzy zostawił byt, lub spisał, lub jeszcze zechciał spisać coś naksztalt pamiętników swoich, tak, jak niektórzy lekarze cudzoziemscy u nas bawiący uczynili: wówczas, nie wątpię o tém, posiadalibyśmy skarb nadzwyczaj zajmujących książek; dzieł mogących przyłożyć się znakomicie do wzniesienia w narodzie wiary w własną zdolność; dzieł mogących być ciekawym przyczynkiem do dziejów przeszłości. Ale na nieszczęście, rzadko kiedy Polak bierze się do pióra, gdy ma jakiegokolwiek czynne zajęcie; nawet wtenczas, gdy świadkiem jest, współdziałaczem lub sprawcą jakich wielkich historycznych wypadków. „Łatwiej mi było je zrobić, jak je opowiedzieć“, odpowiedział pewien bohater pani Staël, naglącej go o spisanie swoich czynów bohaterskich. Istotnie, bardzo mała liczba dzielnych wojowników zechciała pójść w ślady Xenofonta i Cezara, i spisać swe wielkie czyny; a niekażdy z nich znalazł i znajdzie takiego opiewacza, jakim dla Achillesa był Homer. Nawet ci, co tylko lancetem wojowali, opieszalemi się okazują w tym względzie; nie przewidywali może, że w pó-

źniejszych czasach, każda, żeby najmniejsza pamiątka, została krajowej nauce, drogą będzie narodowi spuścizną.

Nie brakło takich lekarzy Polaków, którzy w nadzwyczaj blizkich stosunkach żyli z zagranicznymi mocarzami i społecznością odległych krajów; pewno bardzo dziwnych i osobliwych doświadczeni kolei, a własną ręką spisanych nie zostawili nam ani życiorysów, ani pamiętników. Może kiedyś, gdy uzupełnię zbiór materiałów do tego potrzebnych, będę mógł wystąpić z słownikiem biograficznym lekarzy polskich, którzy się chlubnie za granicą poznać dali; oddawna bowiem nad tem pracuję. Obręb tej przedmowy pozwala mi przytoczyć tylko kilku więcej znanych. I tak: Józef Struś, Poznańczyk, protomedyk Zygmunta Augusta, autor dzieła w swym czasie bardzo cenionego, wezwany został przez sultana Solimana Igo, złożonego bolesną chorobą pęcherza, i miał szczęście go wyleczyć. Bawił ten lekarz półtora roku w Stambule, a żadnego nam nie pozostawił śladu z tego zajmującego ustępu życia swojego. Inny znów lekarz Polak, rodem z Biłgoraja z pod Radezczaicy, około r. 1757 był przybocznym medykiem sultana tureckiego, a poprzednio uczył się w Padwie. Po turecku nazywał się ten kolega Mase Toywe, ale polskiego jego nazwiska i szczegółów życia jego, dotychczas wysledzić nie mogłem; zdaje się, że na bisurmana przeszedł w Stambule. W przedmowie do dzieła swego o Sabsa-Cewym, wyraźnie mówi, że się urodził w Biłgoraju.

We Francji dało się wielu poznać lekarzy bardzo zaszczytnie; pomiędzy nimi, w dawniejszych czasach medycy, którzy towarzyszyli królom Janowi Kazimierzowi i Stanisławowi Leszczyńskiemu do Paryża i do Lotaryngii.

W służbie kompanii Wschodnio-Indyjskiej francuskiej w Pondiszery, w Chandernagor i w Valdaour, znajdował się lekarz polski nazwiskiem Łazowski, jeszcze w pierwszych początkach panowania Ludwika XVI. Był on głównym organizatorem służby zdrowia w Indyach Wschodnich francuskich, i doskonale znany całej armii, która go bardzo szanowała. Nawet Anglicy wspominają go w ówczesnych opisach kolonij, założonych przez Francuzów na brzegach Coramandlu, Oryxy, Malabar i Bengalu, i bardzo chwala jego sposoby przedsiębrane na zabezpieczenie wojska i mieszkańców od zarazy.

Po rewolucyi r. 1789, doktor Łazowski wrócił do Francyi, i wkrótce ogromnej dostąpił wziętości politycznej. Został nawet członkiem konwencji narodowej; niezachwianą jednakże wierność okazywał rodzinie nieszczęsnego króla Ludwika, i z narażeniem własnej osoby bronił prześladowanych. Wiele osób ocalił, ale pomimo wszelkich wysiłen nie mógł ocalić ani księżny Lubomirskiej, ani też rodziny królewskiej z pod topora rewolucyjnego. Lamartine wiele znał szczegółów z życia doktora Łazowskiego, i nie szczędził temu dzielnemu mężowi pochwał; ale kiedy i gdzie umarł, tego mi nawet własny jego wnuk stryjeczny, doktor Łazowski, któregom poznał w Montpellier, powiedzieć nie umiał. Ze szczegółów mnie znanych tego życia tak burzliwego a cnotliwego zarazem, wprawniejsze od mego pióro najpiękniejszy skreśliłoby dramat; pięknieby było widzieć doktora Polaka, przedstawionego wśród ogólnej trwogi i niebezpieczeństwa, zawsze wiernego swoim zasadom, zawsze stałego, niezachwianego obrońcę prześladowanych.

W Indjach Wschodnich, ale w angielskich, jeszcze wstawił się lekarz polski, o którym już Dr. T. T. w swym opisie Indyj Wschodnich wyszłym w Księdze Świata w r. 1850, wspomniał; bytło pan Łyszczyński Dr. edymburski, służący jako lekarz batalionowy w jednym z pułków kompanii Wschodnio-Indyjskiej angielskiej. Mocno ranny w nogę przy oblężeniu Kaboulu, wrócił po trzechletnim pobycie w Azji do Europy kaleką. Wiele nadzwyczaj zajmujących szczegółów z wielkim talentem umiał opowiadać o swych przygodach, doświadczonych pod tak odległymi niebami, o zarazach tam panujących, zwłaszcza o cholery i sposobach jakimi się leczyć umieją Braminowie; ale nie napisał, lubo do tego mocno był nakłanianym, i lubo mu na czasie nie brakowało.

Tenże sam zarzut można zrobić i nieboszczykowi Drowi Karasińskiemu, który lat kilka spędził w Meksyku, i Drowi Gałęzowskiemu, byłemu lekarzowi cesarza brazylijskiego, i bardzo wielu innym rodakom, arcyzdątnym lekarzom, rozsianym po całym przestworze ziemi, żyjącym w stosunkach nadzwyczaj ciekawych, tęskniącym do kraju, a nie chcącym pojmować: że każdy szczegół ich losu dotyczący się, że każde spostrzeżenie, cechę naukowości noszące, a przez ziomków zebrane, byłoby dla nas bardzo pożądaną i miłą zdobyczą, prawdziwą manną spadłą na zgłodniałą ziemię.

Tak, szkoda, nieodżałowana szkoda, że ci, którzy tak wiele i tak dziwnych doświadczyli kolei losu, żadnego nam nie chcieli pozostawić śladu z potocznego życia; że nam nie chcieli opowiedzieć, jakim zbiegiem okoliczności dostali się w tak odległe kraje, jakim sposobem zdobyli wziętość, znaczenie i majątek. Szkoda, że nasi ludzie czynu nie nawykają robić notat, i z tego powodu trudno im układać pamiętniki nawet wtenczas, gdy im chęć do tego przyjdzie. Niejednego też z rodaków, którzy bardzo wiele doświadczyli, skromność zbyteczna i nieprzelamana słabość do pozostania w cieniu, odstręcza od ogłoszenia drukiem własnych kolei życia; zaledwo w gawędzie wyciągniesz z niego część tych intelektualnych skarbów i wspomnień, które zbierał po odległych krajach.

Ale z tego, że tak dotąd było, nie wyływa wcale, że tak zawsze pozostać musi. Gdy ludzie znani już w świecie, sławni nawet, nie chcą ogłaszać pamiętników swoich, albo przynajmniej je spisywać: wziąć się musi do pióra, dla wzniecenia emulacyi, *anonymus*, *bezimienny*, żadnej nieposiadający sławy, i wystąpić z swojemi pamiętnikami, spisaniem niegdyś, gdy jeszcze był za granicą i pracował dla obcych.

Może też Bóg ze względu na dobre chęci *bezimiennego*, raczy pobłogosławić tej jego pracy, i wtrąci ją w ręce niejednego z licznój liczby tych, którzy tak niemiłosiernie ganili autora dopóki miał nazwisko, chociaż utworów jego może wcale nie czytali. Może też teraz czytać i chwalić go będą, gdy jego indywidualność razić ich przestanie, gdy jego nazwisko żadnych uprzedzeń już wzniecać nie będzie. Smutnato rzecz wypierać się tego, co się od kolebki i przez czas tak długi z dumą nosiło; ale na jakież poświęcenie nie zgodzi się biędny autor, dla nadziei uzyskania poklasków od swoich dotychczasowych niemiłosiernych krytyków!..

Nie jestto książka pedantyczna, ściśle naukowa, którą tu przedsięwzięliśmy napisać; bynajmniej; ma ona być łatwą do przeczytania i do pojęcia, zabawną nawet, a przecież nauczającą, i przedewszystkiém błogą wiarę w istność szlachetnych uczuć w sercu ludzkim drgających, wlewającą.

Od niejakiemu czasu zajaśniały na widokręgu literackim prawie wszystkich krajów oświeconych, nowe rodzaje płodów piśmiennych, pod tytułem *Pamiętników lekarza*, i z nadzwyczajną były czytane ciekawością, i wielkie wzbudziły zajęcie

w publiczności. I nie dziw, że tak zastanawiającem cieszyły się powodzeniem, że tak umiały ogarnąć umysły, chciwe wiedzy wszechstronnój. Wykonywanie sztuki lekarskiej powinno być monopolem tych, którzy się jój specjalnie oddali; ale nauka lekarska zawsze zajmować będzie każde żyjące, czujące a rozumujące stworzenie. Rady na to, przedstawień i zakazów, żadnym żywym sposobem być nie może.

Nadto, czerpie ona, nauka lekarska mówię, siły swoje z każdego źródła nauk dotychczas poznanych, albo przynajmniej badanych; a lekarz wchodzi w najbliższe i najtkliwsze stosunki z wszystkimi klassami towarzystwa: widzi wszystko złe i dobre z wiedzy wynikające, oddziaływające na zdrowie, życie nawet i na honor ludzkości. W domowych zaciszach, w kótkach familijnych, w poddaszach i w chatach pustelniczych, dotkliwszych boleści i gwałtowniejszych namiętności mieszczą się ofiary, szlachetniejsze nieraz drgają uczucia, jak w wielkim publicznym świecie, lub w pałacach kryształowemi oknami zlatarnionych. Prawdziwych tajemnic społeczeństwa nie dowiędzie się czytelnik z pism publicznych, z przeglądów trybunalskich, lub z dzieł umyślnie spisanych, dla wstrząsania nerwami, chciwemi wrażeń. Ten, który jest pierwszym przyjacielem człowieka, bo go na świat przyjmuje, i który ostatnim nieraz bywa, bo mu oczy zamyka: jedynym zapewne jest świadkiem najnędniejszych i najszczytniejszych chwil, które człowiek na tym świecie spędza.

Już w bardzo wczesnym wieku, kiedy wrażliwość najmłodsza, lekarz przypuszczanym bywa do tajemnic, którychby żadnej innéj najbliżéj stojącej osobie nie powierzono. Bierze on udział we wszystkich sprawach publicznych i prywatnych, w najodleglejszym nawet związku z zdrowiem i z szczęściem ludzkości stojących; a gdziekolwiek go nogi poniosą, pod dalekie nieba i pomiędzy obcych ludzi, wszędzie staje się wkrótce przyjacielem, domownikiem, nawet członkiem familii prawdziwego nieszczęścia, byleby lubił poradzić, i nauki swojej sprawdzić skuteczność.

W żadnym zawodzie, ani w sądowniczym, ani w duchownym, człowiek tak prędko i tak głęboko nie wkracza w tajemne sprężyny i kółka maszyneryi, pędzącej ruchami społeczeństwa, jak w lekarskim. Prawnik zna wszystkie niedorzeczności ludzkie i z nich poniekąd żyje; duchowny zna grzechy.

ludzkie i absolucją daje: ale tylko lekarz widzi zbliżka najdotkliwsze cierpienia ludzkie i zna ich bliżkie i odległe przyczyny. Jemu tylko daném widzieć i wiedzieć, co człowiek zdolny zrobić dla wybawienia bliźnich swoich od cierpień.

Więcej jak to: śmiało wyrzec można, że w położeniach najrzadszej się trafiających, najciekawszych, w tragiczne i komiczne następstwa najplodniejszych, częściej się znajduje lekarz, jak każdy inny. Dla niego kurtyny, przedzielającej publiczność od widowni, nie ma: joga jest powinnością stać zawsze między kulisami, gdy się odgrywają najciekawsze sceny wielkiego dramatu rzeczywistości. A jeśli przytém, to jest przytém częściej sposobności figurowania w dramatycznych sytuacjach, lekarz jest ciekawym, odważnym, i dobre, przenikliwe ma serce; jeśli żadnej sposobności służenia światu nie omija: wówczas zapewnić można, że sobie zdobędzie w lat kilkanaście własnymi oczyma ogrom wiedzy o stosunkach ludzkich, o jakich się ani śni idealistom, nieznajującym nie zajmującego w stosunkach ludzkich; ani też owym filozofom, co to niebędąc żadnym ogniwem społeczeństwa ludzkiego, kleją sobie najspokojniej w świetle, i przy kominku, systemata nowego porządku świata.

Oh! prawdziwie: nie masz na świecie nic więcej poważania godnego jak prawda, i nic bardziej zajmującego, jak owa gra dziwnie fantasmagoryczna namiętności, przedstawiana przez ludzi nie urojonych, nie fikcyjnych, lecz istotnie żyjących. Któż o tém lepiej wiedzieć może, jeżeli nie autor tój oto pracy? Pełnił on przez lat blisko dwadzieścia w rozmaitych krajach, klimatach i porządkach rzeczy, powołania swojego obowiązki, i do tego stopnia w nich był zamięłowanym, że sam nieraz będąc bardzo cierpiącym, jednego może dnia w życiu swoim nie przepuścił, bez udzielenia pomocy innym cierpiącym.

Słowem: Pamiętniki lekarza Polaka, spisane wiernie z notatek oddawna w chwilach młodzieńczego zapалу rzuconych, powinnyby zająć publiczność ciekawą wszechstronną wiedzą, a już przeświadczoną, że najtrudniejszą myśl oddać można w sposób dla każdego dostępny, byleby z niej autor dokładny i jasny zdać sobie umiał rachunek. Przecież kilka dzieł w tym przedmiocie i pod tym tytułem przez autorów *nielekarzy* w obcym języku spisanych, nadzwyczaj chętnie publiczność nasza czytała. Nie mówię już o Alexandra Dumasa *Mémoires d'un*

médecin, gdzie wszystko jest urojoném, albo przynajmniej przez dramatyczne prawidło przekształconém; bawiącém wprawdzie, ale zupełnie bezużyteczném dla rozumu czytelnika, bałamućącém go nawet: lecz mówię o wcale miłej książce, która się dodziśdnia wielką wziętością cieszy, i nawet na język polski ma być przełożoną, chociaż już od więcej jak ćwierć wieku w literaturach wszystkich krajów pokutuje; mówię o książce, której pierwotnym tytułem było: *Diary of a late physician by Samuel Warren*, a która w przekładzie francuzkim wyszła pod tytułem: *Mémoires d'un médecin par le Dr Harisson*. Zapewne dla zaostrenia jeszcze większej ciekawości, Francuzi udzielili autorowi téj zajmującej książki imię i godność bardzo sławnego, ale już w początku bieżącego stulecia zgasłego lekarza. Prawdziwym jednakże jój autorem jest pan Samuel Warren, adwokat bardzo uczony i jeszcze żyjący. Pomimo tego czyta publiczność z zachwyceniem piękne i uczuciowe pamiętniki lekarskie, i nikt się nie spostrzeże, że są spisane przez adwokata, chyba tylko lekarz; część bowiem czysto lekarska naukowa tego dzieła jest obrobioną nadzwyczaj niedokładnie, nawet niedołąźnie poprostu. Autor często występuje w patetycznych scenach jako lekarz, ratuje, leczy, rany goi, bóle uśmierza i agonią łagodzi, a wszystko to środkami, któreby najzdrowszego człowieka zabić mogły. Puszczenie krwi, opiaty i sól angielska, głównemi i prawie jedynemi są środkami lekarskiemi pana Warren. Bardzoto uboga terapeutyka, nawet na powieściopisarza. Eugeniusz Sue i Alexander Dumas lepiej szermierzą wiadomościami medycznymi, pozbieranemi tak *en passant* tu i owdzie. Niestety! lekarz chociażby z największym zajęciem czytał pamiętniki Dra Harisson, wątpić musi koniecznie o ich wiarogodności, i rzeczy całej, jako absolutnie urojonéj i praktycznie niemożliwéj, odmówić musi prawa do nazwania się książką naukowo-pożyteczną. A jednak mile się czyta, dążność jój nadzwyczaj szlachetna, bo jest tam jakiś błogi powiew wlewający spokój do duszy, a unoszący serce.

W niemieckim języku wyszło kilka dzieł pod tytułem pamiętników lekarza, mianowicie: *Memoiren eines Oldenburger Arztes*, i *Memoiren eines deutschen Arztes von ihm selbst erzählt*. Jedno i drugie zaleca się sumienném obrobieniem części czysto-lekarskiej, specyjalnéj; widać, że je istotnie lekarze, bardzo dobrze obeznani z swą sztuką spisali: ale za to jedno

i drugie grzeszy dwoma zupełnie przeciwnemi wadami. Pierwsze pisane jest zanadto lekko, krotochwilnie, anegdotycznie prawie, a niedość tkliwie i uczuciowo. Pomimo całego szacunku, jaki pielęgnujemy w sobie dla zmyślnego i pracowitego narodu niemieckiego, zmuszeni jesteśmy, znając go bardzo zblizka, odmówić mu prawie zupełnie talentu władania zrzęcznie lekkim dowcipem; rzadko się udają Niemcowi owe *bons mots*, które w umyśle Francuza wykwitają pomimowolnie z najpoważniejszej myśli, tak jak lekkie piękobarwne kwiatki z ciężkiego i sędziwego kaktusa. Nie zadowolnić nas oldenburski lekarz swemi pamiętnikami.

Szacowniejszém jest dzieło wyszło przed rukiem pod tytułem: *Memoiren eines deutschen Arztes*. Poznajemy w jego autorze dzielnego lekarza, znamienitego psychologa, uczonego w całym znaczeniu tego słowa; ale przyznać musimy, że jego praca jest ciężko-pedantyczna, głęboko-melancholiczna, w niektórych miejscach nekająca głęboką erudycją. Tak jest, zbywa temu dziełu na tém, czego publiczność naszego wieku koniecznie się domaga: brakuje mu owój żywej dramatyczności, która oczywistém i dotykalmóm robi to, co się choć najlżej i pobieżnie naszkicuje.

Nie wiem, jakich się wad przewidzianych lub nieprzewidzianych ustrzedz zdołamy w naszym dziełku; ale wyznajemy, że korzystając z zalet naszych poprzedników, starać się będziemy pozostać samoistnemi i napisać coś doskonalszego. Niech nas nikt nie posądza o zarozumiałość za to szczerze oświadczenie: wszakże godzi się obrać sobie cel jak najszczytniejszy i metę jak najodleglejszą, byleby się miało wiarę w własną wytrwałość. Któryż z piszących wąpi zupełnie o swym talencie, a któryż z uwieńczonych autorów weni wierzy zupełnie w każdą chwilę! Niezawsze duch na jednéj utrzymać się może wysokości; tak jak fale na morzu, tak i wiara i powątpiewanie kołyszą się ciągle w duszy naszej.

Co do kształtu i dążności, naśladować będziemy pamiętniki Warrena, bo się nam i całemu światu czytającemu wydały być wyborne. Przedstawimy czytelnikowi szereg obrazów częścią smutnych, częścią wesolych, często jaskrawym kolorytem promieniających, bo w nich wszystkie dobre i złe grają namiętności; ale zawsze miłe rzucających światło na honor ludzkości, wynoszących wszystkie odcienia szlachetnych uczuć, jakie drga-

ja w ludzkim sercu. Są w tych obrazach i cienie wypływające z ujemnych człowieka przymiotów, z jego nieudolności, słabości i niewiary; ale jest tych cieniów tylko tyle, ile koniecznie wypada do uwydatnienia piękności światła: wszystko razem dąży do wiania w nas błogiej wiary w możliwość lepszej przyszłości losów ludzkich. I nie silił się na sztuczne nagromadzenie tego światła, nie przepędzaliśmy jego promieni przez skupiającą soczewkę wyobraźni; istotnie, więcej dotąd widzieliśmy na świecie światła jak cienia, pamięć jego na wieki w naszej duszy osiadła, a te karty będą wiernym odbiciem tego, co się w niej dzieje. Zresztą utrzymujemy, że znajomość zbyt głęboką tego, co jest na świecie niedobrem i niepięknym, niezawsze człowiek od nieszczęścia uchronić się zdoła. Brudy mimowolnym jakimś wpływem częściej kalają dusze, jak rozum ostrzegają; częściej oswajają wyobraźnię z brzydotą, jak wstręt do zbrodni wzbudzają, a zawsze podobno w nas stępują wiare w uczucia szlachetne. W uwielbieniu piękna najłatwiej cnota wzrasta i w niej się krzepi, doskonali się i hartuje; moc swoją i odwagę dusza czerpie w wiedzy tego, co odeprzeć zdoła złe pokusy, chociażby tych pokus ani z nazwiska nie znała.

Możebyśmy nawet nie pisali o tém, co ludzkości pożytek lub szkodę przynieść zdoła, gdybyśmy nie mieli szczerego przekonania: że daleko łatwiej nakłonić niewzbudzoną jeszcze duszę do dobrego, jak błędzącą od złego odstręczyć; nie poczuwamy się bowiem do tak przemagającego talentu, któregoby głos zagłuszyć zdołał podszepty zbrodnicze.

A trzy są rodzaje ludzi pod względem moralności: dobrzy, źadni i zli—tego nikt nie zaprzeczy. Z źadnych, zbudziwszy drzemiącego ducha, można jeszcze zrobić dobrych; ale złego niezmiernie trudno nawrócić na dobrego. Staje on się najczęściej źadnym, gdy skolatane rozwiążnością i wyrzutami sumienia nerwy, odmówią mu na starość usługi; gdy siły swój woli, których wprzód używał na szkodzenie bliźnim, zaprzęgać musi do swych fantazyj zwierzęcych, aby się nikczemne życie jako tako wlekło.

Otóż z opisu przedsiębranój dla naszego dzieła formy, razem i wyznanie wiary autora.

Jednym jeszcze chcemy obdarzyć naszą pracę przymiotem, jakiego dzieło Warrena nie posiada, a dzieło lekarza niemieckiego zanadto pedantycznie i ciężko przedstawia. Starać się

będziemy w ten sposób obrobić część naukową, żeby i dla publiczności nielekarskiej była dostępną; i więcej jak to: żeby młodzi lekarze, jeszcze nie obznajmieni z dziwnymi położeniami, w które ich postawić mogą wypadki, nieprzewidziane w czysto naukowych dziełach, z zajęciem i z pożytkiem czytać je mogli. Potocznego życia szczegóły lekarskie, napozór bardzo mało znaczne, odnoszą się nieraz do najważniejszych źródeł; a węzłów wiążących tajemne lub umyślnie zacierane ślady, ten odgadywać powinien, który najodleglejszych przyczyn źródła we wszystkich gałęziach nauk przyrodzonych i filozoficznych szukać się uczył. Wielką znajomość serca ludzkiego posiadać powinien lekarz, bo na co się przyda nauka i specjalny rozum lekarzowi bez serca? Bogatego wyleczy, ubogim gardzi, i sam na milionach nędznie i od nikogo niezadowolony umrze.

Pogląd bystry, wszechstronny własnością być winien każdego, który się na lekarza sumiennie kształcił, który łany rozum swojego już za młodu zaprawiał wszystkimi naukami, wchodzącymi w poczet wiedzy, wymaganej obecnie od lekarza postępowego, godnie zadaniu swojemu odpowiedzieć pragnącego.

Z tej różnorodności, zawsze do jednego celu dążącej nauk, różnorodne dla lekarza i nader ważne a trudne wynikają obowiązki. Głowę swoją niegdyś beretem ozdobioną, pokryć musi nieraz szyszakiem, tak jak stary ojciec Galenus, i iść ją wystawić na ciosy i kule wrogów, a to dla niesienia pomocy i przyjaciółom i wrogom, gdy rannymi na placu pozostaną. Jako prawnik wystąpić musi, i jako sędzia nawet, aby ocalić bliźniego, gdy zbrodnię popełnił w obłąkaniu spowodowaném chorobą, lub aby zbrodnię wykryć w winnym, gdy istota czynu tylko jemu, jako człowiekowi sztuki czyli *fachu*, może być świadomą. Duchownym poradcą musi być nieraz lekarz, gdy trwałości ciała lub życia całości ocalić nie może inaczej, jak przez podniesienie sił stepiałego w pacyencie ducha, przez wzniecenie wiary w to, co trwać będzie wiecznie, lub ufności w Tego, który sądzić będzie łaskawie. Kapłanem nawet musi być lekarz i sakramentu dobrodziejstwo udzielać, gdy życie zaledwie tlić zaczynające gaśnie w nowonarodzonym. Przyjacielem zaś musi być zawsze i wszędzie każdego cierpiącego, do jakiegokolwiek stanu i narodu należy, lub jakkolwiek myśli; i wolno mu być przyjacielem każdego cierpiącego, żeby najwię-

cój potępionego, bo żadnemu się prawu przez to nie narazi. Pięknyto przywilej lekarza, stawiający go nieraz ponad wszystkie nienawiści, jako świadek najokropniejszego chaosu, pomiędzy ludźmi walczących z sobą jak tygrysy, pomiędzy rozkiełznane hydry wszystkich złych namiętności.

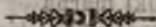
Tak piękne są przywileje lekarza; ale za to jakież ogromne trudności i niebezpieczeństwa, przez które torować sobie musi drogę! Na najmniej przygotowanego spadają nieraz jak piorun wrażenia i obowiązki, o jakich nigdy nie marzył!..

Takie jest nasze zadanie. Może wywiązując się z niego, choć w części zjednamy sobie jakiś rodzaj wdzięczności ze strony szanownych kolegów, mających czas do czytania, a pragnących wiedzieć, *co* w dalekich krajach bawiącego, często z miejsca na miejsce przerzucanego ziomka, utrzymać zdołało w ciągłej praktyce i przy ciągle wzrastającym szczerem zamiłowaniu do trudnego zawodu lekarskiego.

Kończąc tę długą przedmowę winienem jeszcze koniecznie nadmienić, że lubo każdy rozdział zawierać będzie osobny obraz i osobne opowiadzenie, bynajmniej jednakże nie myślimy wkraczać na pole powieścio-pisarzy, tyle dbałych o swój monopol i zaciętych w jego obronie.

Praca ta zupełnie nowa w swym rodzaju, i w naszym języku pierwszym będzie zjawiskiem. Szczęśliwemi się nazwać będziemy mogli, jeżeli wywoła podobne, a co do wartości lepsze prace ze strony doświadczeńszych, większym talentem pisarskim obdarzonych lekarzy; a że takich nie braknie w naszym kraju, miło mi tu niezmiernie wyznać.

(Dalszy ciąg nastąpi).



To też przed laty, niedarmo dano i słońce N
U nas niewiastom *połowić* mianol! N

Z rozpięrzchłej ptasząt rzeszy skrzydlatej
Biędny się tylko wrobel do chaty
Przytulit; syty miłej pociechy,
Kraży dokola niziuchnej strzechy;
Boć mu się przecie, od ciężkiej biedy,
Okroi ziarno, kiedy niekiedy.
A toć ptaszynie niewiele trzeba:
Wszakże i na nią patrzy pan z Nieba,
Przysiadł też doma—pełen otuchy,
Mimo dżdżu, chłodu i zawieruchy,
Nie rozstać mu się z gniazdkiem, jak z chatą
Kmieciowi, własną choć niebogata,
I tą się, w dole złej, wiarą krzepi,
Żeć zawsze w cichém gniazdeczku lepiej
Niżli u obcych. Toż on po świecie
Wiatru nie goni; ależ jak w lecie
Świergocze sobie, zcicha, nieśmiało,
Pioskę na jaką biedaka stało,
I pana Boga jak umie chwali,
Tak jako czynią ptaszkwowie mali.

Aleć nie tylko wrobel marny
Pozostał doma: toć kawek czarny
Ród, spośród z kruki został krwawem,
Ażby wróżyć stęsknionej ziemi
Dżdże i zadymki, i zawieruchy.
Toć i puchacze z nocnymi duchy
Harując spodem, pieśnią żaloby
Czczą stare zamki, i dawne groby
Z północnym zmrokiem; ależ z świtanie
Pierzchają z pierwszym kura zapianiem.

Na starym, obok dworku, kasztanie,
Sterczy samotne gniazdo bocianie.
Tu niegdyś przybysz w próg niskiej strzechy
Tchnął zapomniany promyk pociechy,
Gdy zapowiadał słonka błęsk złoty;
A teraz, kiedy wichry i słońce
Poniosły ptaka w dalekie knieje:
Smutno na drzewie. Brona czernieje
I czeka, rychło wiosna z pogodą
Umaj ziemię, znów trawką młodą;
Rychło poważny bocian zasiądzie
Nad niską strzechą, na cichej grzędzie:
Aby lotnemi skrzydeł swych pióry
Rozwiać tęsknotę i cień ponury

Z czoła; i prostym mieszkańcom wioski
Z serca wypłoszyły zimowe troski.

A za kasztanem, w pobliżu dworu,
Studnia z żórawiem starego wzoru
Wznosi się, zdala widna dla oka;
Dębem cembrzona, a tak głęboka
Że gdy kto na dno, kamykiem zmierzy
Nierychło łoskot ucho uderzy.
Tu z całej wioski niewiasty młode
Przychodzą czerpać zdrojową wodę;
Tu pacholeta i hoże dziewczki
Znoszą kubelki, dzbanki, konewki,
A napełniwszy je Bożym darem
Do chat wracają, gnąc pod ciężarem
Strudzone barki.

Tam pod parkanem
Tuli się budka wysłana sianem
Starego Brysia, co mnogie lata,
Styrał na służbie. Tać mu zapłata
Słusznie przystoi; bo gdy sen błogi
Wcisnie się nocą w domowe progi;
Gdy każdy zdjęty niemocą, marzy:
Brys tylko wiecznie czuwa na straży
I nie zasypia gruszek w popiele
Lecz grozi, warczy, ujada śmieie.
Nie trwożny nawet jeża, ni kija,
Ilekroć stopa naruszy czyja
Nocny spoczynek. Ależ Brys stary,
Pomimo zalet, ma i przywary:
Niedość, że zdala poczuje żyda,
Sroży go ludzka nędza i bięda.
Zbyt często z sukni sądzi człowieka.
U niego żebrak, albo kaleka
Nic nie wart, skoro odzian w łachmany;
Za to się chętnie korzy przed pany.
I choć przecuciem niecierpi brudu,
Nie zada sobie pracy i trudu,
Ażeby odkryć w świetnej osłonie
Przed okiem skrytą, zgniliznę w łonie.

Naprzeciw dworu, pośrodkiem płota,
Wiecznie rozwarte na ścieżaj wrota
Zdają się wzywać podróżnych z drogi,
By zawadzili o ciche progi.
Toż gość w szkapinów parę, czy czwórka,
Rad nie rad w małe skreca podwórko,

I okrążywszy je niby wiankiem,
 Z głośnym turkotem stawa przed gankiem.
 Bryś niegościnnie darmo ujada:
 Bo gdy gość ledwie z kolasy zsiada,
 Wnet i gospodarz stawa u proga
 I gościa wita imieniem Boga.
 Na Brysia z gniewem kija poruszy,
 A psisko idzie stuliwszy uszy
 Do swojej budy. Kolasa potem
 Zawraca w bramę z nowym łoskotem,
 Stawa przed stajnią, kędy koniki
 Znajdą dostatkim owsa i wyki.
 Boć pan nie szczędzi, czego potrzeba,
 I słudze nie brak, wódki ni chleba.

Gość z gospodarzem tymczasem społem,
 Zasiada w izbie za skromnym stołem
 Z prostej dębiny. Gospościa rada,
 Na stole biały obrus rozkłada;
 Przyrządza czyste do kawy czarki,
 Stawia lakocie, placki, sucharki,
 Brząka kluczami, a dziatki wkoło
 Jakby jaskółki krążą wesolo.
 A babulenka jak gołąb' siwa,
 Przy ogniu stare kości ogrzewa:
 To niby żartem z dziećmi się swarzy,
 To dykteryjki odwieczne gwarzy,
 To niuch albanki zażyje rada,
 To na ognisko drewek przykłada,
 To od półczoszki drutami miga.
 Bo choć już ósmy krzyżyk dościga,
 Choć wiek porańt pozółtkie skronie;
 Nie wytlił przecież ognia w jój łonie.
 Wszak kto szedł stale po ścieszcze bożej,
 Ten i na starość jary, i hoży
 I nie upada na ducha sile:
 Będzież dość czasu, spocząc w mogile!
 A wtém gospodarz zawoła „wina”!
 Dopierożto się wesolość wszczynal!
 Gospościa czyste stawia puhary,
 Wnet się i węgrzyn pojawia stary;
 A myszką trąci, boć od lat wiele
 Pamięta pono króla Popiela.
 Gospodarz wstaje, i nektar złoty
 Leje w puhary pełen ochoty.
 Wymyśla zdrowia, wiwaty pali:
 „Byśmy się zawsze, społem kochali!

„By nam się wszystko po Bogu działo!
 „By Pan Bóg działwę uchował cało!
 „Aby pomnażał plony w stodole,
 „Aby w trójnasób zrodziło pole!
 „By babuleńka stu lat dożyła!
 „Wiwat! niech żyje gosposia miła”!
 Nuż do trzewiczka—skoro gość prosi
 Trudno odmówić:—trzewiczek Zosi
 Mąż zdejmie z nóżki, i jednym łykiem
 Spełnia jej zdrowie, z głośnym okrzykiem.
 Gość bierze trzewik z mężowskiej dłoni.
 Próżno się biedna jak róża płoni,
 Darmo oczęta kryje rańtuszkim:
 Zdrowie z trzewiczka gość spełnia duszkiem.

A wtém na dworze wiecher, zamiecie,
 Że nic na bożym nie widać świecie.
 Grubemi płaty śnieg biały pada,
 A w lesie wyje wilków gromada.
 Gość chce odjeżdżać; gospodarz prosi,
 Przyzywa w pomoc nadobnej Zosi.
 Nic nie pomaga: daremnie dziatki
 Obskoczą gościa, z prośbą w ślad matki.
 Gościowi pilno, na Stacha woła—
 Lecz u kolasy, zdjęte już koła!
 Trzebaż więc zostać: cóż kto poradzi,
 Gdy pan rad gościom, rad i czeladzi!
 Gosposia ściele w bocznej komorze
 Z puchu i makat, wygodne łoże;
 A babuleńka przy ogniu gwarzy,
 Jak się bawili ojcowie starzy,
 Jak to bywało jeszcze za Sasa,
 Na dworze króla, albo prymasa;
 Jak wojowały stare hetmany,
 Jak rej wodziła szlachta i pany;
 Jak to przed laty zacne matrony,
 Ciche, potulne, czei nieskażonej,
 Przędły swą kądziel nućąc wesolo,
 Chęcią ni okiem za domu koło.
 Nie wybiegając, broń panie Boże!
 Żyły szczęśliwe, zdrowe i hoże.

Dano wieczerzę. Gość bez urazy
 Przyjął gryczaną kaszę i zrazy;
 Podano gaskę, smaczną i tłustą,
 Kluski z szwedami, bigos z kapustą.
 Wszystkiego sporo: boć srom, gdy komu
 Zabraknie stawy w szlacheckim domu.

Znalazł się nadto gąsior głęboki
 Starego miódka z własnej patoki,
 Sycony ręką nadobnej Zosi.
 Toć téż gospościa dopóty prosi,
 Dopóty błaga—aż miodek stary
 Spłynął do kropli z butla do czary.

A po wieczerzy znowu rozmowa;
 Snadna po miódka do niej osnowa.
 Wtém babuleńka nieznacznie skinie:
 Nie rada czuwać w późnej godzinie.
 Wszak Bóg dzień biały dał do czuwania,
 Mrok do gawędy, nockę do spania.
 A na skinienie gospościa gładka
 Poruszy dzwonek; a wtém czeladka
 Tłumnie się ciśnie we dworka progi.
 Przy panu klęka kmiotek ubogi,
 Klękują dziatki; i wszyscy społem
 Korném się w ziemię nachyla czołem,
 Gdy pani złoty oltarzyk bierze,
 I w głos wieczorne czyta pacierze.

Cisza we dworku—cisza wśród wioski—
 Jak makiem zasiał. Żywota troski
 Anioł rozprasza skrzydły białemi,
 Spływając z nieba, ku senniej ziemi.
 Boć kto o próżnych rzeczach nie marzy,
 Żyje, jak żyli ojcowie starzy;
 Kto sercem przyrósł do cichej strzechy:
 Toż mu choć we śnie anioł pociechy
 Kwiatem potrząśnie głowę strudzoną,
 I błogim natchnie spokojem łono;
 Toć mu, gdy czasem dusza boleje,
 We śnie promienną wskaże nadzieję.

O dawno, dawno, to się prześniło!
 Ci, co tak żyli śpią pod mogiłą!
 Wicher im tylko, szumiąc na grobie,
 Coś o przeszłości gwarzy w żalobie.
 Wałą się w gruzy niziuchne strzechy,
 Gdzie anioł szeptał słowa pociechy;
 Kędy przed laty, z złoconej czary,
 Kropla po kropli, pili miód stary
 Ojcowie pełni prostoty świętej,
 Chowając na dnie gorycz i męty.

Przykryły czasu złowieszcze pyły
 Stare pustkowie, stare mogiły!
 Wnuki wycięły dęby i klony,
 Gdzie dziady w burzy szukali schrony.
 Wicher dąbrową już nie powieje,
 Aby nam stare gwarzyła dzieje.
 Toż gdy się przeszłość jak mara prześni,
 Niech sobie w cichej odżyje pieśni.

Jarosza.

DZIEWCZYNA U ZDROJU.

(Z poezyj serbskich Branka Radiczewicza).

Jakem poszła w wieczór wczora
 Z dzbankiem, czerpać w zdroju wodę;
 Na bystrym nadjechał koniu
 Chłopiec młody, czarnooki.
 Pozdrowiwszy rzecze do mnie:
 „Daj mi wody, dziecię moje!”

Te wyrazy, słodkie strzały,
 Na wskrós piersi mi przeszły.
 Poskoczyłam, postąpiłam,
 Białą dłonią dzban podaję.
 Wtém dzban wypadł z drżącej dłoni
 I rozprysł się w dwoje, troje.
 Dotąd leży roztraskany;
 Ale ach! gdzież mój jeździec młody!
 Był raz go ujrzyć jeszcze
 I drugi dzban zbije rada!

R. Z.

KRONIKA LITERACKA.

Lalopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza; z rękopismu wydał K. Wł. Wojcicki. Warszawa. 1853. (T. I. napisów tyt. wstępu i życiorysu Jerlicza stronnice XLIV, textu str. 187. Tom II textu stronnice 213), w 12. W drukarni Wienhochera w Petersburgu.

Minęły te czasy, kiedy kronikarz był jedynym, używanym przez pisarzy źródłem historycznym. Postąpiliśmy o wiele naprzód, że nauczyliśmy się przedewszystkiem szukać; już dziś nikt nie weźmie się na seryo tak jak ś. p. książd proboszcz koniecki, Michał Krajewski, do napisania *Dziejów panowania Jana Kozimiέρza*, mając pod ręką tylko Kochowskiego, Rudawskiego i małą broszurkę Zieleniewickiego. Szanujemy zawsze kronikarzy, zwłaszcza takich, jakim był np. Kochowski; ale i to także czujemy, że nie we wszystkich tych kronikarzach jest dość życia do kreślenia historycznych obrazów. Jakże rzadko zapoznają nas oni z myślami, gadaniami i sądami o przeróżnych sprawach Rzplitej, tej większości rządzącej narodu, co się zwała szlachtą, albo też o jej gwarneń, pocziwem życiu domowem, o co nam właśnie głównie chodzi.

Odkąd zaprzestaliśmy gardzić broszurami, panegirykami i t. p., datuje się nasze zaznajomienie ze szlachtą Rzplitej; a gdy zjawily się owe prawdziwie dawno-szlacheckie pamiętniki Paska i Kitowicza, gdy Raczyński, Wojcicki i inni zaczęli wydawać całe tomy ciekawego materiału, zaprzyjaźniliśmy się lepiej jeszcze z tą szlachtą. Po ogłoszeniu tych materyałów, prawdziwy talent widzi dziś niektóre ustępy w dziejach tak czysto, wyraźnie, jakoby złote słońce przyswiecało tym czasom, od których nas mrok wieków oddziela. Nawet i my profani jakoś dziś jaśniej spoglądamy w przeszłość.

Świeżo wydana kroniczka Jerlicza przez K. Wł. Wojcickiego, wzbogaca ten szczupły zapas materyału, jaki zawdzięczamy pocziwym staraniom naszych pracowników.

Joachim Jerlicz szlachcic wołyński (ur. r. 1598) odbył za młodu kilka wypraw, między innymi i chocimską; popracował także nieco na dworze księdza podkanclerzego Lińskiego, który go jako znającego język ruski używał w kancelaryi. Gdy mu piąty dobiegał już krzyżyk, a nastaly nieszczęśliwe wojenne czasy za Jana Kazimierza, zniewolily go okoliczności do schronienia się w r. 1647 do klasztoru pieczarsko-kijowskiego; tu „wziawszy pana Boga na pomoc” rozpoczął swą kroniczkę. Życiorys obszerniejszy Jerlicza dał p. Wojcieki na początku; szczegóły w nim wzięte wprost z textu, gdyż nie można było gdzieindziej niczego doszukać się.

Jerliczowie na Podolu herbu Lis „z tą jednak różnicą tego herbu używają, że przez strzałę jelce nie wprost, ale na ukos kładą od prawej strony tarczy, z góry na dół, na lewą; tak go opisał Michał Jerlicz“. Tyle tylko o tej rodzinie powiedział Niesiecki (1). Nasz Joachim w kroniczce swojej poświęca kilka ustępów rodowodowi swych przodków; przybywa zatem jedna wiadomość więcej do znanych już pism o familiach szlacheckich. Byłto zwyczaj u przodków naszych układania dla pamiątki potomstwu drzew genealogicznych; obok drzewa spisywano także ciekawe podania, w których zazwyczaj szła legenda o zasługach i przygodach rycerskich praojców rodziny. Dawniej podobne notaty miały wartość w kółku rodzinném; dziś są one bardzo ważne nawet dla historii, jeżeli zwrócimy uwagę na to znaczenie, jakie miał każdy, bodaj chudy szlachcic w sprawach Rzplitej. Szczegóły drobnostkowe o rodzinie Jerliczów, mogłyby być zresztą niezmiernie pożądanym materiałem dla powieścio-pisarza.

Od smutnego wspomnienia o kłesce cecorskiej, poczyna Jerlicz kroniczkę Prawi dalej, jak na sejmie warszawskim (20 października. 1620 r.) na którym i „hetmanów niestawało”, obrano wodzami wyprawy przeciwko Turkom, mężów zacnych: Jana Karola Chodkiewicza hetmana W. ks. litew. i wdę wileń., i Stanisława Lubomirskiego star. sandomier.; „między temi dwoma głową był królewicz Władysław“. O chocimskiej wyprawie niewiele w Jerliczu; jeno rys o Sahajdacznym więcej tu zajmuje. Mówi: że pod Chocimem było 40,000 zaporozkich młodców, nad któremi był przelożonym mąż w dziele rycerskiem wywiczony i sprawca dobry Piotr Konaszewicz Sahajdaczny, człek „nie prostego urodzenia“, ale szlachcic od Samboru. Na radzie jego wiele głów polegalo: on wszystkie ciężary wojenne na siebie trzymał i radził koło tego, a jak radził, na tém hetmani i królewicz przestawali (str. 5.). Wyrzekł raz sultan przed szturmem do Chocima „ani jeść, ani pić nie będę, aż tego psa Sahajdacznego przywiedziecie” (str 13); taka nieważność nieprzyjaciela najlepszą jest pochwałą dzielności hetmana.

Inne notaty Jerlicza o wojnie chocimskiej, dziś nie na wiele przydadzą się nam, kiedy mamy już obszerne pamiątki o wypra-

(1) Kor. wyd. Bobr. T. IV s. 488.

wie chocimskiej, wydane przez Żegotę Paulego; a obok tego jeszcze znakomity poemat Lipskiego (czy téż Potockiego, jak chce P. Karol Szajnocha).

Zaraz w dalszym ciągu kroniczki mamy znowu charakterystyczne zarysy o Stefanie Chmieleckim dzielącym pogromcy ordy, którego imieniem matki tatarskie dzieci swe straszły. Wódza takiego i rycerskiego człowieka, mówi Jerlicz, dawno Korona polska nie miała; a słowa jego potwierdza stara pieśń:

Cny Chmielecki, mężu sławny,
Jakiego czasu nie miał dawny!
Nie jeden wiek, nie dwa minie,
A twa sława nie zaginie.

Póki żył Chmielecki, działo się dobrze na Rusi: Tatarzyni nie pustoszyli, zaludniły się miasta, odetchnęła Ukraina (T. I. 31); a gdy umarł (1630 r.) płakali po nim tak rycerskie ludzkie, jako i pospolity człowiek: tak jako dzieci ojca lub matki Chmielecki został przed skoncem za sprawą Zamojskiego wojewodą kijowskim, mimo że wahał się król Zygmunt IIIci, że panowie sarkali „bo niechętni mu byli możnowładcy, pisze Kochowski, którzy chcą, aby ich zastąpi tylko z hucznych biesiad, bogatych strojów, i dzielnych rymaków, wynoszono“. Sławy mu zazdrościli magnaci, bo nawet wieść chodziła, że śmierć jego z ich naprawy przypadła. Jerlicz rzuca chętnie pocziwe wspomnienie na mogiłę Stefana (s. 31) (1).

* * *

W jesieni 1648 r. ponad zamkiem krakowskim dziwna między obłokami zjawiała się kometa; było krzyż „do którego nakrztalt człowieka dwoma grotami z łuku strzelił: jeden mimo poszedł, drugi w krzyż ugodził“, a potem ukazał się człowiek w zbroi z dobytym orężem (T. I. 72.) „Tegoż roku w Chwastowie podczas nabożeństwa za potrzeby Korony polskiej, kiedy kapłan według zwyczaju śpiewał *Salvum fac*, cudownie po trzykroć w najświętszym Sakramencie zapłakał P. Jezus“.... (Opis ptu Wasilk. p. Kulik. 70.). Znaki te miały tłumaczyć śmierć króla Władysława IV, i wielkie klęski, które w krótkim czasie nastąpiły, jak zniesienie hetmanów i wojska kwarcianego przez Kozaków. Na ziemi od wieków przesiąkniętej krwią różnych plemion, w owej kozackiej poetycznej Ukrainie i Zaporozu, ojczyźnie dum i ludzi dzielnych do korda, ciągnie się smutny, rozwlekły dramat.... Nastąpiły owe nieustanne ugania się z Kozakami, zarówno szkodliwe dla obu stron walczących. Przyczyny tych starć wiadome. Powstają Kozacy pod wodzą Bohdana Chmielnickiego zaraz po śmierci króla Władysława; szczęście wojenne sprzyja im: znoszą naprzód Stefana Potockiego syna hetmana W. koronnego pod *Zółtemi wu-*

(1) Do żywota Chmieleckiego wiele materyału w *Ukrainnych sprawach* wydanych przez Przyłęckiego. P. Seweryn Gołębiowski opracował temi czasy życiorys tego wojownika (drukowany w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc czerwiec r. b.).

dami (2 maja 1648), zwycięstwo zaś pod *Korsuniem*. gdzie hetmani popadli w niewolę, czyni na czas pewien Kozaków wolnymi panami ruskich prowincyj Rzplitej. Wina przegranej leżała na Potockim, którego w bardzo niekorzystnym świetle przedstawia Jerlicz. Po tych zwycięstwach mając w ręku zdobyte armaty „zaczęto się kupić corazto więcej chłopstwa po różnych miasteczkach i wsiach ukraińskich“; tak zebrało się więcej 100,000. Wzięli Machnowkę z zamkiem murowanym i spalili; książe Hierani Wiśniowiecki wojewoda ruski, przypadł na odsiecz „ale już było po charapie“ (s. 68). Kozacy szli dalej ku Pawołoczy.

Podole, Wołyń, Ukraina smutny przedstawiały obraz. Obywatele porwawszy żony i dzieci na Wołyń i do Polski za Wisłę, uciekali od Kozaków, poddanych i swiniopasów swoich, jakoby od głównego nieprzyjaciela Turczyzna albo Tatarczyzna..... Bo poczęli Kozacy na domy szlacheckie najeżdzać, łupić, rozbijać komory, z obory i stajni wszystko brać i mordować, kogo w domu ze szlachty zastali; poddani własni swych panów zabijali.... Pomordowali też wiele szlachcianek panien, służyących ludzi i żydów (T. I 68); było „niestychany i strapiony czas karania Bożego krajów Ukrainnych“ (Opis ptu Wasil. 51).

Nieszczęśliwe te strony zostawiono losowi i opiece Opatrzności, bo w czasie bezkrólewia umysły inne miały zajęcie.

Ale było dwóch zacnych ludzi, co myśleli za wszystkich o odwróceniu nieszczęść od Rzplitej i nie szczędzili ofiar. Wojewoda Tyszkiewicz dał z własnej szkatuły sposobem długu pożyczanego kilkanaście tysięcy. Dzielny Wiśniowiecki, ojciec późniejszego króla Michała (I), zebrawszy lud swój i szlachtę, która majątności od niego za Dnieprem trzymała, radził w Żytomierzu o tym domowym nieprzyjacielu; a około księcia Hieremiego Wiśniowieckiego zaczął się później gromadzić corazto liczniejszy poczet.

Pod Pilawcami opuścili Polacy obóz (d. 23 września 1648 r.) w skutek jakiejś niepojętej obawy. Odstąpił naprzód pan Zasławski ze swym ludem, za nim Wda kijowski; którym przystało raczej, mówi Jerlicz, nie ludźmi sprawować, ale talmudu się uczyć, albo w dudę grać. Spracowany książe Hieremi, zostawiony sam jeden, musiał także ustąpić. Tabor dostał się w moc Chmielnickiemu; a były w nim srebrne i złote naczynia stołowe, szkatuły z pieniędzmi, drogie szaty, konie tureckie i armaty (str. 70).

Po pilawieckiej potrzebie szedł ciągle Chmielnicki naprzód; spalił przedmieścia Lwowa i wziął od mieszczan oprócz podarków, 200,000 zł. okupu; zapuścił się aż do Zamościa, pod którym, jak wiadomo, oczekiwał na rozwiązanie elekcyi. Zamek w Brodach i drugi dubieński broniły się i stały kością w gardle Kozakom; „nie mogli onych połknąć, bo słone były z różnemi przyprawami“ (T. I. 72).

(I. Syn Michała IIIgo) starosta owruckiego. Pod. Woł Ukraina p. Alex. hr. Przedzieckiego.

Od Zamościa wrócił się Chmielnicki do Kijowa „gdzie dwa albo i dziesięć razy lepiej byli mu radzi Kijowianie i poczciwość lepszą wyrządzali, aniżeli kiedy wojewodom”. Poczęły się rokowania o pokój. Przyjechali posłowie od prymasa do Kijowa (d 31 grud. 1648 r.), gdzie jeszcze poprzednio za pobudką niektórych duchownych, mieszczenie nocą, gdzie jeno widzieli szlachtę brali i topili, a drugich zabijali; tak do kilkudziesięciu szlachty stracili... (T. I. str. 70).

W Perejasławiu (d. 19 lut. 1649 r.) stanął pokój; ale było pokój nieszczerzy, więc niebawem naruszono go. W maju, skoro trawa pokazała się, że mógł konia napaść, znowu zaczęli się kupić Kozacy.

Nie będziemy tu iść ślad w ślad za Jerliczem, by kresić dalszy ciąg tego smutnego ustępu wojny domowej: krew lała się nieustannie na całej ziemi ukraińskiej, Podolu, Wołyniu i Czerwonój-Rusi; pośród nawet błot Pnieszczyny rozlegał się szcęk spis i szabel. Między walczących Kozaków i Polaków mieszały się Tatarzy, dopełniając miary nieszczęść; to jednę, to potem drugą pomagali stronie, obie zaś zarówno zwodzili. Wiedzeni niepowściągnią chucią grabieży wdzierali się wszędzie: rabowali, palili, niszczyli, bo duch zniszczenia jakby chodził z nimi w parze. Kozacy otwarli wrota Tatarom, wespół z nimi wsie i miasta pła-drowali „i podawali w niewolę pogańską biednych ludzi, których nałapawszy, za lada co przedawali, za nahajkę albo za niuch tabaki. Takto stworzenie Boże u bezbożnych tanie było” (T. I. str. 98). Podobnie i Polacy szukali w biedzie pomocy hord, pod Zborowem i pod Żwańcem.

W całym latopiscu Jerlicza sprawy Ukrainy i reszty stron polskiej Rusi są na pierwszym planie: przedstawiają się po kolei krwawe obrazy, widzimy jak toczą się wojny i zawierają traktaty z kozaczyzną. To znowuż zmienia się panorama i słyszysz dźwięki walk z Turkiem i Tatarem, spólnym nieprzyjacielem zarówno Kozaków jak i Polski, bo z wrogiem Sgo znamienia krzyża. Chmielnicki poddaje się Alexemu Michajłowiczowi i odsłania się inny teatr wojny. Tu klęski, tam tryumfy, tu haniebna ucieczka, i tuż zaraz meztwo nagrodzone zwycięstwem: zwyczajne koleje wojen. Pośród szcęku oręża uwydatnia się wiele postaci, których imiona pozostaną w dziejowej opowieści; upamiętniają się miejscowości klęskami i zwycięstwami. Zbaraż, Zborów, Beresteczko, Białocerkiew i inne posady znaczą swe imiona krwawymi głoskami na kartach historyi. Opowiadanie Jerlicza o tych wypadkach nie jest tyle zajmującym, ileby się po nim spodziewać należało, jako po Rusinie; znajdzie się tu przecież wiele ciekawych słówek: trzeba tylko umieć chwycić te słówka, coto niby niechęący pod wpływem wrażeń wychodzą a ust szlacheica.

Jeszcze mniej rozmownym jest Jerlicz, kiedy pisze o czasach szwedzkich wojen. Gdzieindziej o wojnach szwedzkich o wiele więcej możemy znaleźć. Jerlicz zdobył się ledwo na

nawiasowe wzmianki; bo téż dochodził go tylko odgłos walk i nieszczęść. Ale za to gdy mowa o śmierci Chmielnickiego, o Wychowskim jego następcy na hetmaństwo, o traktacie w Hadziaczu, o synu Bohdana co go zwano Chmielniczenkiem, lub téż o walkach z Trubeckim, Chowańskim i o zwycięztwie nad Szere-metem pod Cudnowém: wtedy nie zawadzi posłuchać Jerlicza, bo nawinie się zawsze w kroniczce coś więcej interesującego.

Związek Swiderskiego nie budzi wstępu w rozsądnym szlachcicu; owszem sympatyzuje on z konfederacją wojskową, bo wie, że żołnierz domaga się tylko krwawo zapracowanego dorobku, a złożenie konfederacyi nie ubliżało zresztą prawom Rzplitej. O Gąsiewskim hetmanie zabitym przez związkowych, niekorzystnie wyraził się układacz rymowanego nagrobku, zamieszczonego w kroniczce.

I w Jerliczu widzimy odbicie się umiemań ogółu co do postępku króla z Lubomirskim, w obronie którego stanęło do boju szlachty niemało. Pod wpływem niechęci dla Jana Kazimierza, wpisuje paszkwil przeciwko niemu, a dalej mówi, że umarła „pani Karolicha (królowa Marya Ludwika), która bardzo złego narobiła w Polsce licha, przez którą jak siła złego stało, wypisać trudno, która jako niedźwiedzia za nos królem wodziła....“ (T. II str. 116).

Uspokoilo się w Koronie od Szwedów; teraz tylko na Ukrainie (r. 1667) wrze jeszcze walka z Doroszenką, zakończona wreszcie mirem pod Podhajcami. Po stronie polskiej, Jan Sobieski odznacza się w tych harcach z Doroszenką.

Niebawem po nastąpieniu téj ciszy, gdy Kozacy w inną stronę zwrócili oręż, król Jan Kazimierz, którego zwano zazwyczaj *Kazi pokój*, przetłumaczywszy końcówkę (*Kazi-mir*), złożył na sejmie (1668), jak się wyraża Jerlicz „*urząd królestwa*, nie chcąc więcej onym sprawować, a być panem. Po którym daj panie Boże lepiej, nie masz czego żałować: nie jednego zabito, nie jednego do ordy pognano, nie jednego kaleką uczyniono; jak się począło za ojca (Zyg. III) dziać a za niego się spełniło, bo za ojca krzywo-przysięstwo powstało i nienawiść między pospółstwem.... a teraz i ostatek przepadł”! Mowy Jana Kazimierza przy składaniu korony, znanéj z kładiną w całości, tu wypisany tylko początek (1).

(1) Znaną jest ta jakby przepowiednia Jana Kazimierza w téj mowie, co do podziału Polski. Rzecz dziwna, że w znalezionym przez nas liście Jana Schlichtinga z r. 1656 (drukowanym w nr. 259 *Dziennika Warszawskiego* z r. 1852), czytamy podobną przepowiednię: „.... To mię najbardziej trapi, pisze Szlichting, że patrzę na zgubę ojczyzny i nieszczęście, a nikt jej nie chce podać ręki, aby się o pokój starać. Ufają swojej potędze, a nie uważają, że *mole sua ruunt* nierządem przyrodzonym. Trudnoć to będzie wydrzeć królowi szwedzkiemu Prusy. Trudno kurfirstowi Wielkopolskę. Trudno i Litwę i Chmielnickiemu Ukrainę, nie wspominam Rakoczemu Podgórze. Głodu spodziewać się, bo nikt nie sieje, a nietylko nieprzyjacieli, ale i plaga bosta na nas wojuje. *Grzech nasz, grzech nasz, Boże żywy! w to nas uprawił nieczłopek!*”

Idą nakoniec notaty o obraniu Michała. Co do intryg panów względem króla, jest w kronice osobiste jakoby wyznanie wiary Jerlicza, które podzielała większość szlachty. Nie mogli pojąć panowie, jakim prawem taki Michał Korybut, taki zubożały książę, przez tak dziwny, niemal cudowny zbieg okoliczności mógł posiadać tron polski. Nie chciano się nawet przyzwyczaić do nazywania go tak „jako zwyczaj jest królów mianować, jeno mospanie królu“ (T. II str. 183). „Ja byłem hetmanem, marszałkiem, mówił Sobieski, a onego (króla Michała) nie kazałem do budy (senatorskiej) dla namowy i rady potajemnej puszczać; za trzecimi drzwiami stał, a teraz ja u niego muszę za dziesięcioro pytać“... Kilka tu jeszcze szczegółów o Sobieskim, burzących konwencyonalne, t. j. idealne dotychczasowe pojęcia o nim.

Intrygują panowie. Sobieski posyła do Krymu prosząc Tatarów o posiłki, bo hetman nawet po dokonanej już elekcji Michała chciał jeszcze promować Kondusza. Prażmowskiemu zarzuca Jerlicz jeszcze czarniejsze zamiary względem króla.

Gdy panowie wicherzą, nie chcąc ugiąć się i ukrócić obrażonej dumy i miłości własnej, szlachta staje murem za swym królem, „bo to pewna, odzywała się szlachta, że panom król Michał nie upodobał się: zrucie go chcą, ale prędzej ojczyznę zgubią, niżeli tego dokażą. My wolimy (trzymać) z grzesznym Michałem, który to winien tylko, że go szlachta obrała“ (T. II 167, 170). Konfederacya średzka oświadczyła się za królem przeciwko niesprzyjającym mu fakcyom magnatów. Potem pod Lublinem szlachta powtórnie ofiarowała się z gotowością do obrony praw króla; przeciwnicy Michała (malkontenci) zjechali się do Łowicza.

Akt związku szlachty (w r. 1672) złożonego na korzyść króla, zakończy kroniczkę.

Przywiedzione przez nas zarysy nie odbiły w sobie wszystkiego, co kronika Jerlicza zawiera. Człowiek fachu przystępujący do czytania jej z zasobem już nagromadzonego materiału, znajdzie tu wiele nowych szczegółów, lub też owych nawiasowo wyrzeczonych, ale charakterystycznych słówek i zdań, o jakich już wspomnieliśmy, a które mu nieraz potrafią barwnie zaokrąglić zebrane dotąd szkice. Oto np. wiele postaci historycznych nabiera więcej życia po przeczytaniu Jerlicza. Takich ustępów, jak o Sahajdacznym i o Chmieleckim, jest tu więcej; wzmiankę o Czarnieckim z obszerniejszym opisem skonu dzielnego wojownika, zaliczamy do ciekawszych; podobnie zajmującą jest charakterystyka Mohiły metropolity kijowskiego i wielu innych. O każdej niemal z osób, które zajmowały pewne stanowisko w Rzplitej, uwijają się tu charakterystyczne uwagi, skreślone wedle modły zdrowych szlachekich pojęć: kiedy kto umarł, Jerlicz zazwyczaj zapisywał o nim w kronice jakby nekrolog, i te wspomnienia o nieboszczykach zasługują także na uwagę. Obok tych, tyle ważnych rzeczy, znajdujemy w kronice inne jeszcze, niemniej ważne wiadomości; przynajmniej musiały być takimi dla Jerlicza, skoro je zamieścił

w kronice. Oto dowiadujemy się niezmiernie ciekawej rzeczy, że w r. 1639 sprzedawano pieprz po zł. 6. Wciąga także skrupulatnie do kroniki, czego mu bynajmniej nie bierzemy za złe, wiadomości o urodzeniu się którego ze swych dzieci, o śmierci krewniaków, i o robakach, co zboże powyjadały; bo to były rzeczy, które go najbliżej obchodziły. Spotykamy się również nierzadko z opisami komet, pomorów, klęsk od szarańczy i. t. p.; zdało mu się stosownym i to zaciągnąć do latopisca, że ;d. Augusta 1651 r. słowiki śpiewali i kukawki kukali przez kilka niedziel nad zwyczaj swój przystojny“ i. t. p.

Nie można zresztą Jerlicza porównywać z Paskiem albo z Maskiewiczem; pisał on tylko *kroniczkę*, jak sam mieni skromnie swą pracę. Pasek jest pamiętnikarzem, a obok tego jeszcze, może mimo wiedzy, artystą; podobnie i Maskiewicz. To też pod względem artystycznym bardzo nisko stoi Jerlicz; zawiele bezładu w tej jego kroniczce, czasami zakrawa ona jakby na zwykłe *silva rerum*. Ale mniejsza o artystyczność; w dzieliach, które mają nam służyć jako materyał, nie tyle nam idzie o piękność, jako o treść. Chrapowickiego Dyaryusz pisany z mniejszym jeszcze zachodem, niżeli latopisiec Jerlicza, a przecież i tym dyaryuszem pana wojewody witebskiego nie możemy pogardzać. Nam się zdaje nawet, że Chrapowickiego notaty nieraz są ciekawsze od Jerlicza. Początek kroniki Jerlicza pisany widocznie z pamięci; dalszy ciąg podobnie nie na razie; ztąd powieść o wypadkach często zazbyt ogólna. Chrapowicki przeciwnie, dzień za dniem notuje w dyaryuszu, zapisuje on wszystko bez wyjątku, i dlatego wiele tam rzeczy bezużytecznych dla nas; ale też gdy trafimy na opis ważniejszego jakiego wypadku, opis taki dokonany z wszelką drobnostkowością. W tym właśnie upatrujemy tę wyższość.

W ciągu czytania dostrześliśmy błędy, których przecież wypadło uniknąć. Pominąwszy drobniejsze omyłki w nazwiskach, uderzyło nas kilka ważniejszych. I tak: (w tomie Iszym str. 184) czytamy np. że dnia 5 kwietnia 1665 roku umarł *ksiądz Domina Zastawski*; któżby się domyślił, że to ma być nie żaden *ksiądz Domina*, ale *ksiązę Dominik Zastawski*, jak o tym z porównania z dalszym ciągiem tekstu (t. II. str. 9—10) i z oznaczonego miejsca śmierci przekonać się można. Dalej wymieniony pod r. 1658 jako kommissarz do układów z Kozakami, kasztelan smoleński Kazimierz Ludwik Jabłuszowski (T. II. str. 12—14); przewracamy kart parę, a tenże sam kasztelan nazwany *Owłaszewskim*. Rudawski (s. 419) zwie go jeszcze inaczej, bo *Zebrażewskim*; gdy tymczasem właściwe jego miano jest: Kazimierz Ludwik *Jewłaszewski*. Pokrewny Jerlicza podkomorzy braclawski, nazwany w przedmowie *Tychonem Szaszkiwiczem* (1), w texcie *Żychonem Baszkiewiczem*. W punktach sporządzenia i uspokojenia wojska J. Kr. M. r. 1651,

(1 Zapewne dobrze, gdyż tak samo jest w życiorysie Jerlicza drukowanym w Bibliotece Warszawskiej.

Kozaków rejestrowych podana raz liczba na 20,000, drugi raz na 12,000. To już pewnie omyłka druku, że jednak jest ich więcej, przeto robią zamieszanie. Dziwniebo też wygląda taki np. błąd drukarski, gdy się przeczyta, że potwierdzenie traktatu nastąpiło 10 lat pierwej, niżli zawarcie jego.

Kronika Jerlicza nie pierwszy to podarek od p. Wojcieckiego, i nie ostatni także!.... Oto zaledwo ujrzeliśmy jedno dziełko, już słyszymy o nowém, większych rozmiarów przedsięwzięciu p. Wojcieckiego, wydawania *Archiwum domowego*, które zapewne niebawem ujrzymy.

Rękopism kroniki Jerlicza z którego wydał p. K. Wł. Wojcicki, pochodzi z tak zwanego archiwum tajnego Stanisława Augusta. Dostał się zaś do tego archiwum, ile możemy wnosić, po podróży króla na Ukrainę w roku 1787; mówi bowiem Naruszewicz (1), że d. 1 kwietnia w niedzielę „Najjaśniejszy pan.... odebrał od J. P. (Rocha) Jerlicza generała (majora) kopiją manuskryptu naddziada ręką własną pisanego, zamykający w sobie większą część panowania Zygmunta III i Władysława IV”. „Inny rękopism Jerlicza, pisze korespondent kijowski *Dziennika Warszawskiego* (2) przeszedł z rąk rodziny do zbiorów p. Konstantego Świdzińskiego”. Pan Rulikowski w opisie ptu wasilkowskiego kórzystał zapewne z tego kodexu.

W. Wie..... i.

DALSZE POSTRZEŻENIA PISOWNICZE (*).

XI. *Słowo do piszących i czytających po polsku o sprostowaniu niektórych pojęć grammatycznych i poprawie abecadła dzisiejszego, jako jedynym środkiem ustalenia pisowni polskiej, przez Adolfa Kudasiewicza.*

Pod tak osobliwym i na wielką rzecz zakrawającym napisem, umieszczony został dość obszerny o 53ch stronicach artykuł w dwóch zeszytach tegorocznej Biblioteki Warszawskiej. Cały ten artykuł złożony ze wstępu i sześciu urywkowych ustępów, pokazuje myślącego i wysoko uzdatnionego pisownika, ale który, bez żadnego względu na obecny stan rzeczy, jeszcze nie umie panować nad sobą: zbyt tedy żywo i ostro nalega o wprowadzenie zmian radykalnych do naszej pismo-

(1) Dyaryusz podróży Stanisława Augusta króla na Ukrainę w r. 1787 (wydanie Mostowskiego), str. 244.

(2) *Dzien. War.* z r. 1852, nr. 84. Pod wiadom. krajowemi tenże *Dziennik Warszawski* pierwszy doniósł o znalezieniu rękopismu w Warszawie, i o treści jego w nr. 67, i 78 (z 1851 roku) pod wiadomościami krajowemi.

(*) Patrz zeszyt kwietniowy z r. b. Biblioteki Warszawskiej.

wni, a w zapale młodego uniesienia chciałby ją od razu widzieć zreformowaną po swojemu i jak najprędzej ustaloną. Powinniśmy wszakże na to pamiętać, wśród najzagorzalszych nawet zapędów nowatorskich: że szczególnie w pisowni języka, będącego już na wyższym stopniu wykształcenia, powaga indywidualna, choćby najsilniejszym własnym przekonaniem wsparta, w miarę doskonalenia się tegoż języka coraz bardziej słabnie, nareszcie bezsilną i bezwładną się staje naprzeciw powadze zwyczaju. Owoż dziś i u nas, równie jak gdzieindziej, np. w Niemczech, Francji, Anglii, Rosyi, nowe lub niewczesne wznowione pomysły pisownicze, nie tak łatwo dadzą się przyjąć i upowszechnić, jak to się zdaje ich podawcom. Były wprawdzie u nas dawniej, i na zawsze już przeminęły czasy Parkosza, Zaborowskiego, Seklucyana, Januszowskiego, wreszcie czasy Kopczyńskiego i Deputacyi Tow. Przyj. N., następujące dobrą, choć zawsze z wielką trudnościami połączoną sposobność do zaprowadzenia zmian radykalnych w naszej pisowni. Jednakże wśród największej niepewności i wahania się pisowni w piśmach polskich i drukach XVI wieku, Zaborowski właśnie się wzdygnął na widok pisma czeskiego, tak upstrzonego mnogimi kreskami i kropkami; inni też dawniejsi od Zaborowskiego i późniejsi grammatycy lub ortografowie, zaledwo sobie pozwolili lekkich i stopniowych popraw grammatycznych i pisownicznych, mianowicie przez zamianę zdwojonych spółgłosek na pojedyncze, przez wprowadzenie znamię nad samogłoskami i spółgłoskami, przez sprostowanie i ujednostajnienie niektórych zakończeń w imionach i słowach, nareszcie przez rozleglejsze użycie litery *j*, której po długich dopiero sporach przyznano najślusniejszemu prawem brzmienie czysto-spolgloskowe. Nawet Deputacya Tow. Przyj. N., co po Kopczyńskim najwięcej bez wątpienia przyjęła i wniosła zmian, ograniczeń i popraw co do ówczasowej pisowni, nie narzucała nikomu swoich wniosków pisownicznych, tylko je należycie wyrozumowane ziomkom do przyjęcia lub odrzucenia podała. A teraz, gdy od r. 1830 tyle się namnożyło w naszej pisowni indywidualnych rozróżnień, gdy pomiędzy rozróżnionymi pisarzami, pisownikami i drukarzami zachodzi największa zubożniałość lub uporne obstawanie przy swoim, a nawet nie swoim, tylko zaswojonem zdaniu, gdy nikt na oślep zaciągnionego nałogu w pisaniu i drukowaniu porzucać nie myśli: więcej nam chodzić powinno o ujednostajnienie, niż o poprawę tak roztrojonęj pisowni, bo ujednostajnienie jęj i łatwiejsze i w tém szczególniej bardzo pożądanę, że ją najpewniej sprowadzić może na drogę stopniowego postępu i coraz bardziej zbliżać do ustalenia. Tylko nie róbmy sobie wielkich trudności w małych rzeczach i zdobądźmy się wreszcie na wzajemne ustąpienia, tam zwłaszcza, gdzie zachodzą wątpliwości, których rozstrzygnięcie można i należy zostawić czasowi; ani się wahaćmy uznać, że w niektórych wyjątkowych wyrazach nawet dwójakie pisanie dopuścić nie byłoby grzechem.

Po tych wstępnych uwagach moich, nie wdając się już w rozbiór myśli i uwag ogólnych, mianowicie we wstępie i dwóch pierwszych ustępach rzeczowego artykułu umieszczonych, a w których po większej części autor ma słuszość po sobie, przystępuję do wykazania

i rozbioru ważniejszych przynajmniej i najbardziej rażących pisowni-
czych szczegółów, albo sprzecznie i bezzasadnie, albo tylko niewłaści-
wie i niewczesnie podanych przez znanego autora.

1. Uderza przede wszystkim sprzeczność w odmienném pisaniu
wyrazów tegoż samego składu i pochodzenia, jako to: *loiczny*, *etymolo-
giczny* (str. 3), a znowu *probierz* (str. 3), *próbować* (str. 4), *pruba*
(str. 13); *oblóczyny* za *obwłóczyny* (str. 13), a *włukno* (str. 13).

2. Na stronie 13stėj podane są ryczałtowo wyrazy rozmaitego
pochodzenia, mające się pisać przez *u*: *but*, *pulk*, *plutno*, *curka*, *drut*,
dziub, *włukno*, *guru*, *pruszyć*, *kulczyk*, *krul*, *tul* (na szlarkę u su-
kien kobiecych), *ugul*, *ruzga*, *struż*, i. t. p. nareszcie *źrudło*. Przystaje
na pisanie przez *u* wyrazów cudzoziemskiego lub niepewnego pocho-
dzenia: *Juzef*, *Jakub*, (str. 12), *but*, *drut*, *furta* (str. 13), *curka*, *cure-
czka*, a nawet przystaje na Szulcowe *źrudło*, *źrudletko*, jako będące
również jak *córka* niepewnego pochodzenia; ale inne wyrazy, jako
swojskie lub ze słowiańskiego szczepu idące, przez *ó* pisać się powinny,
zwłaszcza, że w niektórych objawia się *o* lub *a* w pierwotnikach, a sa-
mo tylko *o* w odmianach grammatycznych. Takiemi są: *dziób* (dziobu),
król, *włókno*, (włedz, włóczyć, włok); *ogół* (miejsce góle, równina ni-
czém nie zarosła), *różga* i *rószezka* (od *rość*), *proszyc* (od *proch*), *kól-
czyk*, może nawet lepiej *koleczyk* (od *koło*). Tém bardziej nie zgodziłbym
się na Szulcowe *ktury*, *niekturzy*, bo zaraz mogliby się znaleźć nowato-
rowie doradzający, aby pisać *ktuż* zamiast *któż* dla zgodności z wyma-
wianiem, aż nareszcie i *ktu* zamiast *któ*, a tym sposobem długie, prze-
ciągle i jakby wilcze *u* wypierałoby najpiękniejszą po *a* samogłoskę *o*.

3. Na tejsze stronie 13stėj po przypuszczeniu albo raczej przyzna-
niu, że tryb rozkazujący formuje się od osoby 3ciėj l. p. czasu terażniej-
szego, nasznowy pisownik każe nam pisać: *źnij*, *tnij*, *trzyj*, *umrzyj*,
gnij, od *źnie*, *tnie*, *trze*, *umrze*, *gnie*, a zatem zapewne *umij*, *śmij* od
umie, *śmie*, a nawet *chcij* od *chce*, *klj* od *klei*, chociaż tych czterech
ostatnich słów nie przywodzi. Ale jakimże prawem odpadać ma w try-
bie rozkazującym słów tu przywiedzionych końcowa samogłoska *e*, będą-
ca rzeczywiście w osobie 3ciėj czasu terażniejszego, a miejsce jej jak
może również bezprawnie zastępować samogłoska *i*, której nie ma
w czasie terażniejszym, gdzie samogłoskowe *i* jest tylko znakiem miękczą-
cym! Wszakże ani znak miękczący *i*, ani samogłoska *e* nigdy w odmia-
nach grammatycznych nie zamieniają się na samogłoskę *i*, *e* zaś przed
przydaném *j* zawsze przybiera nad sobą znamię ściśnienia czyli kreskę.
Jeszcze ten dziwny wywód samowolnego formowania trybu rozkazu-
jącego tak tryumfalnie się kończy: „Odtąd więc o jeden kłopot mniej
znowu w pisowni”. Lecz daleko prościej i szykowniej przed przybra-
ném *j* w trybie rozkazującym kreskować *e*, jak to zachodzi w formo-
waniu przysłówków w stopniu równym kończących się na *e*, a w wyż-
szych na *ej*, niżeli wprowadzać niesłychaną w grammatyce naszej za-
mianę znaku miękczącego *i* albo samogłoski *e* na *i*. Piszmy tedy w try-
bie rozkazującym: *zamknij*, *tnij*, *drzej*, *trzej*, *gniej*, *rwiej*, od *zam-
knie*, *tnie*, *drze*, *trze*, *gnie*, *rwie*, a nawet *umiej*, *chcij*, *klj*, od *umie*,
chce, *klei*, jak piszemy w stopniu wyższym przysłówków, *szykowniej*,

szczęśliwiej, od *szykownie*, *szczęśliwie*, a zaś piszany *gnij* od *gnije*, *zapomnij* od *zapomni*, *drzyj* od *drzy*.

4. Na stronie 19 niewłaściwie i nienależycie jest powiedziano: „iż odtąd każda spółgłoska po której stoi i jest miękka, po której zaś *y* następuje, twardą“. Słuszna zaś i sprawiedliwa uwaga na stronie 20, że w wyrazach *Indyanie*, *Kappadocya*, *passya*, „*y* z przyciskiem i grubo się nie wymawia“; należało tylko przydać. iż ani *d*, ani *e*, ani *s* w tychże wyrazach wcale się nie miekczą, jak to często słyszeć się nam zdarza w błędnym wymawianiu. Dalej na tej samej stronie 20tej, nienależycie pomieszczone są spółgłoski twarde ze zmiękczone, które słusznie p. Rymarkiewicz *gemilderte* nazywa w swoim traktacie niemieckim *o konjugacyi słów polskich*. A nasz pisownik te zmiękczone spółgłoski jakimi są *cz*, *ż*, *dz*, *rz*, *sz* uważa za twarde, przydając na dowód swego przekonania i tę uwagę, że po nich jako twardych *i* stać nie powinno; należało jeszcze przydać i to, że po *e*, *dz*, które także nie do twardych, tylko do zmiękczonej należą, pisze się *y* lub *i* na wydanie różnostopniowego ich zmiękczenia. Niepotrzebnie też było przywozić błędnie w prelekeyach wydrukowane wyrazy *utilitarność*, *auditorium* i t. d.

5. Na stronicach 21ej, 22ej, 3ej i 4ej umieszczony jest rozbiór krytyczny podziału spółgłosek na *słabe* i *mocne*. Podział ten z rozróżnieniem spółgłosek słabych od mocnych, zapewne żywcem wzięt Mroziński z jakiej dawniej grammatyki powszechniej np. *Cours de Gebelin* albo *Siccarda*, i późniejsi grammatycy tak cudzoziemscy jako też i nasi, o ile mi wiadomo, jednozgodnie go przyjęli, i słowo w słowo powtórzyli. Owoż wbrew przekonaniu wszystkich poprzedników swoich, pisownik nasz zwracając się głównie do Mrozińskiego, utrzymuje i dowodzi, że lepiej byłoby spółgłoski *mocne* nazwać *trwałemi*, a *słabe* *nikłemi*, albo, co prawie toż samo znaczy, wprowadzić nowy podział spółgłosek zwanych *słabemi* i *mocnemi* na *łatwiejsze* i *trudniejsze*, albo *ciężkie* i *lekkie*; nareszcie na tém kończy, że spółgłoski dotychczas uznawane powszechnie za słabe, są rzeczywiście mocnemi, a mocne słabemi. Twierdzenie zaś swoje opiera głównie na trwałości lub nikłości brzmienia, przyznając trwałość samym tylko spółgłoskom słabym, uważanym przez siebie za mocne i w których wymawianiu większego, jak mniema, potrzebujemy natężenia organów mownych. A przy samym już końcu wywodu, na poparcie tak nowego i niesłychanego mniemania, przed wyszczególnieniem spółgłosek słabych i mocnych powiada jeszcze, że nam się nieraz zdarzyło „słyszeć cudzoziemców przekręcających *s* na *z* (raczej *z* na *s*, np. *smysły* za *zmysły*, *saras* za *zaraz*, jest więc *s* łatwiejsze do wymówienia a zatem słabsze od *z*. Zresztą do wymawiania mocnych spółgłosek trzeba więcej siły i sprężystości w krtani, a wiadomo jest, że osoby na krtań chore, wymawiają za *d*: *t*, za *b*: *p*“. Lecz spółgłoski uważane od naszego pisownika za mocne, jakimi są: *b*, *d*, *g*, nie mają żadnej trwałości brzmienia, równie jak spółgłoski im odpowiednie *p*, *t*, *k*, a zatem podług takiej zasady jedno i drugie słusznie uważałyby się powinny za nikłe; a znowu *z*, *ż* i odpowiednie im *s*, *sz*, jako syczące, mają trwałość

brzmienia również jak *obojętna* spółgłoska *r* i odpowiednia jej *rz*. Tak więc system podziału spółgłosek, na trwałości i nietrwałości brzmienia zasadzony, sam przez się upada; bo przezeń nie dadzą się odróżnić i rozgłunkować spółgłoski słabe, mocne i obojętne. I system podziału spółgłosek, na większym lub mniejszym natężeniu organów mownych oparty, chwieje się bardzo; bo niepodobna przypuścić, aby nam trudniej było wymawiać, *ba, da, ga, za, ża*, niżeli *pa, ta, ka, sa, sza*, a niepodobna także przypuścić, że wszyscy cudzoziemcy są chorzy na krtań, w czym zapewne pisownik nasz miał na myśli Niemców, zwłaszcza południowych, nie tak bezsilnych jako raczej zaniebdających się w wymawianiu spółgłosek (1). Ależ potężnego zdrowia, czerstwości i siły Rosssyanie mówią i piszą po swojemu przez *s*: *smysł* (смысль) *sa mnoju* (со мною). nie zaś po naszymu przez *z*: *zmysł, ze mną*; musi więc tu zachodzić przyczyna trudniejszego wymawiania spółgłosek *b, d, dz, dź, dż, z, ż, sz, g* nie w słabości krtań, ale w samejże mowie Niemców i Rosssyan, tak różnej od naszej polskiej mowy, w której nierównie częściej te spółgłoski a niektóre z nich nawet, jak *dz, dź, dż*, wyłącznie zachodzą. Wszakże przez często powtarzanie ustne pewnych brzmień nabywamy coraz większej wprawy, azatém i łatwości w ich wydawaniu, jak np. Francuzom łatwiej wymawiać łacińskie *dominus* i t. p. przez swoje cieniutkie i piskliwe *u*, niżeli przez nasze grube *u* czyli francuzkie *ou*, które rzadziej nierównie zachodzi w mowie Francuzów. Wreszcie gdyby komu nawet trudniej było wymówić spółgłoski *b, d, dz* i t. d. niż im odpowiednie, to jeszcze nie dowód, że one są mocne: bo delikatniejszy głos niejednemu trudniej jest wydać niż gruby, niejednemu też nawykłemu do krzykliwego mówienia, łatwiej wrzeszcząć niż mówić głosem ciszonym, a niektóre osoby z ochoty i upodobania szybko kręcące się w tańcu i wytrwale na hasankę całonocną, w nudnej dla siebie przechadce nie mogą wytrzymać długo szybkiego lub nawet powolnego kroku.

Nie mogę i tego pominąć, że na str. 23ej, w wyszczególnieniu spółgłosek słabych, mocnych i obojętnych, pominięte są: *h, ch, m, rz, j*, a w rzędzie pierwszym między spółgłoskami mocnymi położone jest *dz* zamiast *cz*, lecz to zapewne omyłka druku. Na téjże stronie i następnej znajdujemy wytłumaczenie zjawiska grammatycznego, jakim jest w naszym języku pochylanie się *o, e*, na *ó, é*. Jest tu rzeczywiście prawidło na naturze spółgłosek słabych i mocnych silnie oparte, lecz przez zbytne jego uogólnienie i w ścisłym zastosowaniu rozcią-

(1) Przed trzydziestą kilką laty jeden matematyk niemiec, nietylko biegły w matematyce elementarnej, ale oraz dość obeznany z językiem polskim przez czytanie książek; raz przy końcu swojej prelekcji z katedry lwowskiej tak prawił swoim uczniom o naszym języku: „Polacy sywne łymafiają, bo u nich *pes so* (co) szeka, i *pes so* kszeje”; czemuż jeszcze nie dodał, że *pics* i *bies* jednako się wymawiają. Nietylko zaś na drodze potocznej i anegdotycznej, ale i na drodze historycznej znajdujemy dowody potwierdzające podobne błędy wymawiania, np. *jusz a juszei* albo *a juści* dziś jeszcze z niedbalstwa lub niewiadomości języka niektórzy tak mówią i piszą.

gnięcie do wszystkich wyrazów, jakie tylko pod to prawidło, choćby przymusowym sposobem podciągnąć się dadzą, odjęlibyśmy naszemu językowi miłą swobodę, wykroczylibyśmy przeciwko względom eufonicznym, a co gorsza, ściąglibyśmy na siebie, zwłaszcza u krótkowidzów niestuszny zarzut niedołęstwa organów naszych, w wydawaniu niektórych brzmień spółgłoskowych. A gdy rossyjanie zgodnie z naturą swego języka i nawykniem dobrze wymawiają *мой, твой, свой, гробъ, городъ, горъ, до свѣхъ поръ, моеи, твоей, злодѣи*; my także dobrze wymawiamy i wymawiamy nadal po swojemu *mój, twój, swój, grób, gród, gór, pór* (roku), a nawet zgodnie z rossyanami *jej, mojej, twojej, złodziej*, nie zaś jak wszyscy niemal piszą choć tak nikt nie mówi: *jěj, mojej, twojej, złodziej*. Dla względów też eufonicznych bezpiecznie możemy mówić i pisać: *udaj* (od krowy) a nawet *ukoj* (żał), zamiast *udój, ukój*; toż *wyrob* (krajowy), *por* (ogrodnina), *upor, utwor, upior* i t. d. chociaż dobrze się mówi i pisze: tych *pór roku*, tych *piór, twór*.

Na samym końcu tegoż ustępu *ó, é* słusznie są nazwane *etymologicznemi* czyli *źródłostownemi*, jako będące w naszym języku „dla wykazania źródłostowu”; ale czemuż zacytowany nasz pisownik nie miał żadnego względu na źródłostów, każąc pisać przez *u* nie przez *ó*: *ruzga* od *rość, włukno* i t. p. str. (13), o czém już wyżej się wspomniało. W tymże ustępie 4 na stronie 22ej błędnie wydrukowany jest wyraz *organy* zamiast *organa*, bo mówi się dobrze i pisze *organy* (kościelne), ale trzeba mówić i pisać *organa* (mowne), a tu już akcent czyli przycisk pada na pierwszą zgłoskę *or*, w wyrazie zaś *organy* pada na drugą czyli przedostatnią *ga*.

6. Po długim wywodzie ciągnącym się od str. 25 aż do końca prawie str. 27ej, z którego ostatecznie wypada, że głoska *f* nie jest rośliną *egzotyczną*, ale głoską naszą, „bo jest brzmienie nią wyrażone w języku naszym”, nasz zacytowany pisownik gorzko narzeka (str. 28), iż tak długo „utrzymujemy w pisowni naszej przeciwieństwa znaków pismiennych do brzmień niemi oznaczonych, pisząc: *chwast, chwila, świst, szwargot, czwałem, twardy*; nie zaś: *chfast, chsila* i t. d. Podaje tedy na str. 29 takie prawidło, ażeby pisać *f* przed głoskami *ch, k, t, s, ś, sz, c, ć, cz*, i po nich, jak piszemy *w* przed i po *g, d, z, ż, ź, dz, dź, dźś*. Według tego więc prawidła pisać mamy: *chsiuć, się, schodzić, kfiestysty, fliadać, ffarz, starty, sfój, fsudzać, fsiety, fsiąć* i t. d.

Wreszcie nie myśląc wprowadzać żadnej niwelacji, zostawia nieuknięty przyimek *w*, choć ten przed spółgłoskami słabemi „brzmi jak *f*“ np. *w sercu, w głowie*, bez względu na to, że *w* przyimkowe w dobrem wymawianiu nie brzmi wcale jak *f*, ale swoje właściwe brzmienie wyraźnie zatrzymuje. Co innego z przyimkowe wymawia się wyraźnie jak *s* przed wyrazami zaczynającemi się od spółgłosek, podług dotychczasowej pisowni mocnych, a podług naszego pisownika słabych, i dlatego słusznie to z tracąc znaczenie przyimkowe w wyrazach złożonych, przed spółgłoskami mocnemi zamienia się na *s* np. *schodzić, ściierać*, nie zaś *zchodzić, źcierać*. Jakże można było równać przyimek *w* z przyimkiem *z*! Jeszcze przy samym końcu tej części ustępu 5go,

na poparcie potrzeby wprowadzenia *f* na miejsce *w* w tak wielu wyrazach polskich, przywiedziona jest powaga języka Bułgarów, w którym często *f* zachodzi, a co większa, powaga naszych dawnych pisarzy z wieku XVI, którzy pisali *chfała*, *kfapil się*, *chfiałby się*, *zufalecy*. Tu na pisanie ostatniego tylko wyrazu przez *f* chętnie przystaję, ale to ze względu na jego pochodzenie i znaczenie, nie zaś ze względu na eufonię, bo wyraz *zuchwalec* jest euloniczniejszym, niż *zufalec*.

7. W części 26j tegoż ustępu 5, pod napisem *O głosce j*, nasz młody pisownik na stronie 31 tak szumnie i samochwalczo się wyraża: „ile razy śmielsza młodzieńcza, ale silna rozumem językowym wola wystąpi, grupią się (czemuż nie po polsku *kupią się*) bałwochwalczy łacińsko-polskiej pisowni około swego bożyszcza, zapominając, że są wyznawcami polszczyzny. Organa swoje ku wybijaniu brzmień dane o tyle uznają za własność swoje, ile na to pozwoli łacina... Nie dlatego potępiamy (zamiast *potępiam*) łacinę, żebyśmy jej nieprzyjaciółmi byli... ale potępiamy bałwochwalców jej zbytecznych, zapamiętałych na sprawę ojczyznojęzyka“... (1). Po takiej zapowiedzi młody pisownik nie wyszczególnił nawet wszystkich błędów zaszytych u nas w użyciu głoski *j*, ani okazał z kąd te błędy powstały, np. w wyrazach *wzjąć*, zamiast *wziąć*, *objad* zamiast *obiad*, które tak wymawiane i pisane niemniej rażą nasze polskie ucho, jak *Anglja*, *Hiszpanja*, *Francja*, *Rossja*, *Historja*; jeszcze sam popadł w błąd przez drugich przygotowany w wyrazach również źle wymawianych i pisanych: *Anglija*, *Hiszpanija*, *Historyja*, a zatem i *wilija* (*rzeka* lub *przeddzień*), *ptwonija*, w których już i akcent wypadaloby przenieść na trzecią od końca zgłoskę, a zład urosłaby potrzeba wprowadzenia znaku akcentuacyi, bez czego dobrześmy się obchodzili, pisząc i wymawiając z łacińska *Anglia*, *Hiszpania*. Nie dość na tém: również gruby grammatyczny błąd zachodzi w zakończeniu przypadku 2go l. m. *źmij*, *szyj*, od *źmija*, *szycja*, kiedy możemy bezpiecznie pisać ten przypadek 2gi l. m. *źmii*, *szyi*, jak piszemy w przypadku 2gim l. p. *nadziei*, *kolei*, *pieśni*, nie zaś *nadziej*, *kolěj*, *pieśń*.

8. Na stronie 36tej i 7mej dodatek *O potrzebie znaku akcentuacyi w naszym języku* wcale niepotrzebny.

9. W 6tym i ostatnim ustępie na kilka osobnych części rozdzielonym, od str. 39tej zbyt długo a niepotrzebnie wywodzi nasz pisownik, że u nas *z* ma aż dwie funkcje: jako znak miękczenia i jako samogłoska miękcząca; radzi tedy, aby tej literze na pierwszą funkcję ująć kropkę, jak doradzał i Mroziński, a na wzór czeszczyzny w niewłaściwie nazwanych dwójkach *cz*, *sz*, *rz* radzi wprowadzić kropkę nad *c*, *s*, *r* zamiast *z*, i tak te dwójki oznaczać *č*, *š*, *ř*. Nareszcie w miejsce znowu niewłaściwie dwójką nazwanój spółgłoski *dz*, radzi wprowadzić do naszego łacińsko-polskiego alfabetu, nową dziwołężnie, niby po gre-

(1) Muszę się tu ująć nie za wiekiem, ale za sprawiedliwością: wszak nie wszyscy młodzi są postępowi, ani wszyscy starzy są wsteczni. Mroziński w znacznie już podeszłym wieku pełen energii i siły, walcząc za prawdę zgodną ze swoim przekonaniem, zbit na głowę aż dwóch młodszych od siebie przeciwników; nie był zaś zbytecznym bałwochwalcą łaciny, bo nawet po łacinie mówić i pisać nie umiał.

cku wyglądającą literę, którą podług potrzeby mamy kropkować lub kreskować na oznaczenie grubego i przyciskowego lub też miękkiego brzmienia. Owoż tedy na ujęcie kropki literze *z* wtenczas, gdy ta w piśmie naszym nie jest samogłoską, ale tylko znamieniem miękczącym, chętnie się zgadzam, z tym jednakże warunkiem, aby jej nie przydawać haczyka z lewej strony, który przeszkadzałby ciągłemu pisaniu; bo chcąc np. napisać *ciemienia*, musielibyśmy dla owego haczyka aż trzy razy rękę od papieru odrywać. Lecz na wprowadzenie kropki w miejsce *z*, oznaczającego znamię przyciskowe w tak zwanych dwójkach *cz. sz. rz.*, żadną miarą zgodzić się nie można, gdyż kropka nad *r* wprowadzałaby nawet w błąd wymawiających wyrazy *rząd, morze*, wypisane przez *r* kropkowane zamiast przez dotychczasowe *rz*; chociaż w tych i im podobnych wyrazach *r* wcale się nie wymawia, tylko *z* z mocniejszym przyciskiem, albo raczej z przydechem *h*: tu więc w *rz* litera *r* przydech właściwie oznacza, jak gdyby użytą była zamiast *h*, a *z* jest głoską główną i panującą, której z mocniejszym niż *z* przyciskiem wymawianej kropką nad *r* zastąpić niepodobna (1). Tęm bardziej nie można się zgodzić na osobliwsze wyrażenie tak zwanęj dwójki *dz* przez nową literę wyglądającą po grecku, której musielibyśmy się dopiero uczyć, jak ją pisać i wyczytywać. Sądźmy tylko bez uprzedzenia, a łatwo uznamy, że najtrafniej wybraną została na samym już końcu do alfabetu naszego wprowadzona litera *z* na wydanie brzmienia przyciskowego w *cz. sz.*, głoskach pojedynczych dla ucha, a podwójnych dla oka, jako też w *rz* na wydanie takiegoż brzmienia spólnie z literą *r*. Narozście bardzo dobrze służy *z* na wydanie osobliwego brzmienia polskiego w spółgłosce *dz*, której żadna nowa litera godnie zastąpić nie zdoła, zwłaszcza gdy u nas *d* i *dz* chociaż odmiennie mają brzmienie, nawzajem się zamieniają lub nawet niekiedy i wyręczają, np. *prędko, prędzój, rządzić, rządł, gładzić, gładzę, gładki, radzić, rada, radzca, lub radca*. Wielce tedy jest w naszym piśmie przydatną litera *z* jako znamię, bo i charakterystycznie wygląda i chroni od mnośtwa kropk tak łatwo opuszczanych w prędkiem pisaniu, a zacierających się w druku (2).

10. W tymże ustępie śłym na stronicach 43cięj i 44tęj z największą pogardą mówi nasz pisownik o literze *x*, która wszakże powinna by najlepszym prawem zostać w alfabecie polskim, choć ją „odrzućili Rosssyanie i inni Słowianie“. Powinna zostać nie w wyrazach ze słowiańskiego szczepu idących, ale z greckiego lub łacińskiego bez żadnej zmiany lub z bardzo małą zmianą do naszego języka wniesionych. Jakże opacznie wydaje się nieuprzedzonemu oku *ks* lub *gz* zamiast *x* w wyrazach: *Aleksander, Kserkses, l'eliks, eksces, taksza, tekst*, albo

(1) Że *r* w niedbatę n lub przesadnem wymawianiu zbliża się do *h* lub nawet na *h* się zamienia, mamy tego dowód na francuzach tak wymawiających: *pahol, sohtih*, zamiast *paol, sortir* lub nawet *paol* gdzie *r* całkiem niknie.

(2) Mógłby tu poać myśl całę nową jaki młody lub stary nowator, aby na wzór *i* bez kropki obieją z jednęj lub z drugięj strony z wtenczas, kiedy ta litera jest znamieniem modyfikującym brzmienie innych spółgłosek naszych; lecz jakżehy chromo znamię to wyglądało, gdy przez utratę kropki nad sobą, postradałoby tylko swoje ozdobe, a nie zostałoby wcale ochromionem.

egzamin, egzemplarz, egzystencya, egzaktor, w których brzmienie dwoiste i złożone jeżeli mogą francuzi łatwo odróżnić, tedy nam jeszcze łatwiej to przyjdzie; bo u nas w daleko mniejszej liczbie wyrazów powsplitych i technicznych ta litera zachodzi i dotychczas za użycia nie wyszła. Przedwczasnie więc było i niewłaściwie na str. 44tjej ogłaszać *x* za przepade dla nas na zawsze „bo straciło prawo obywatelstwa w naszej pisowni“; należało raczej powiedzieć, że tylko bezprawnie wyrugowaniem zostało przez niektórych koryfuszów naszych i ich naśladowników nie mających własnego zdania. Nikt też u nas, a zapewne i u francuzów nie uważa *x* za głoskę pojedynczą, a tém bardziej nikt w pisaniu polskiém ani francuzkiém nie wydaje przez *x*, brzmień *krz*, *ksz*, *ks. grz*, *gz*, na tejsze strony 44tjej nienależycie przywiedzionych, bo takich brzmień nie ma wcale w staro-greckim ani w łacińskim języku (1).

Daléj znowu na stronie 46tjej uderza nas osobliwością swoją wyrażenie: *chcąc być awoźni* (to jest *konsekwentni*). Wyraz *awoźność* przyjęty od autora *Myslińi* zapewne został uformowany z wyrazu *owoż* albo *owoź* tedy, a w nim początkowe *o* zamienione na *a* dla eufonii, ażeby w jednym wyrazie aż trzy *o* nie zachodziły. Czy nie lepiej byłoby tu użyć nowo złożonego wyrazu *samozgodność*, bo jak tylko kto przyjął jaką zasadę i ściśle się jęj trzyma; tedy zgodnym jest z sobą czyli samozgodnym.

Nareszcie daléj jeszcze na stronie 47miej czytamy nową osobliwość o tak zwanęj: dwójce *ch*: „Za *ch* możnaby przyjąć *h*, gdzie w wyższej części głoski możnaby widziéć początek dawnęj głoski *c* spływający z całością“. Jakżeby dziwnie ta głoska wyglądała, gdybyśmy do *h* przypiełi u góry z lewéj strony początek albo już lepiej koniec głoski *c*, a najlepší całą głoskę *c!* i na to jednak chętnie hymn

(1) Dobrze zrobili francuzi i lepiej zrobić nie mogli, że raz wprowadziwszy *x* do swojego pisma, stale je utrzymali dla ocalenia źródłosłowu, zwłaszcza gdy nie mając w swoim alfabcie *k* i *z*, nie mogli jak my zamienić *x* na *ks*, *gz*; i za cóż zacy nasz pisownik z tęj właśnie okoliczności jeszcze na tęj samej str. 44tjej tak poniza i upośledza pisownią francuską, a przechwała swoje albo raczej nasze? Ma wprawdzie pisownia francuzka oprócz błędu albo raczej wady konieczności w utrzymaniu *x*, inne nierównie ważniejsze wady, któreby nawet łatwiej zapewne przyszło poprawić, ale nikt nie śmie przyłożyć ręki do radykalnych popraw pisowniczych, wiedząc napród, że to wszystko byłoby napróżno, bo trudnoż skłonić cały naród do uczenia się na nowo pisać i czytać. Lecz pisownia francuzka, jakkolwiek bardzo w gruncie swoim wadliwa, tę ma wielką zaletę, iż jest ujednostajniona czyli powszechnie przyjęta; co zładada, zmniejsza i prawie zobojetnia wszystkie jęj wady, a nie tamując dojrzałym pisownikom drogi do wprowadzania w nią zwolna i nieznamcznie coraz nowych popraw, przynajmniej chroni i zabezpiecza ogół od coraz nowych błędów pisowniczych. Takiegoto ujednostajnienia brakuje naszej pisowni, a zład mnożą się w niej błędy i czynią coraz trudniejszą w przyszłości poprawę. Zgódźmy się tylko wszysey na jedno i nie robiąc sobie nawzajem przekornych trudności, zdobywajmy się na ustąpienia wzajemne, o ile tego natura naszego języka i względy na eufonię zgodne z jegoż naturą pozwalają a wtenczas dopiero widocznie, dotykalnie i jawnie, bo w samym skutku, pokaże się wyższość naszej pisowni nad ujednostajnioną pisownią francuską.

się zgodził, gdyby można było przyjąć kropkowane *e, s, r*, i nową pojedynczą głoskę w miejsce dotychczasowego *dz*.

11. Największą osobliwością jest podany na str. 49ój „świeżo poprawny na dawnym tle alfabet. Oto jest jego *wzornik* porządkiem logicznym skreślony:

a, b, b', d, e, é, e, f, f', g, h, ch, i, y, j, k, l, ł, m, m', n, ñ, o, ó, q, p, p', r, r', s, s, ś, t, u, c, ć, c, z, ź, ż, 6, 6', 6'. Mamy więc 42 głoski alfabetu naszego" i t. d.

Tu podawca alfabetu i wzornika pomylił się w obrachowaniu podanych przez siebie głosek, bo ich podał rzeczywiście 43, a obra- chował tylko 42. Jeszcze do tego we wzorniku opuścił przypadkowo czy też umyślnie dwie głoski, ażeń wszystkich głosek mamy nie 42, ale 45; z tych 10 jest samogłosek, a 35 spółgłosek, z których opuszczo- ne są *w* i *w'*. W układzie alfabetu trudno dojść, jakiej się trzymał zasady nasz pisownik; bo nie oddzielił samogłosek od spółgłosek, ale pomiesz- szal jedno z drugimi, jak było w starym dotychczasowym alfabecie: tylko samogłoskę *a* odsadził daleko od *a*, umieszczając ją aż po *ó*, sam- ogłoskę *u* włożył niewiadomo także dłaczego pomiędzy *l* i *e*, a osta- tnią w starym alfabecie samogłoskę *y*, umieszczoną przed *z*, włożył po- między *i* i *j*, nie bez przyczyny wprawdzie, gdyż upatrzył między *y*, *i*, podobieństwo brzmienia; powinien był wszakże położyć *y* przed *i*. Spółgłoski zaś *dz*, *dź*, *dż* odsadził aż na sam koniec, umieszczając je po *z*, *ź*, *ż*, a nie tuż zaraz po *d*, z którejto spółgłoski rzeczywiście one powstały; podobnie odsadził i *e*, *ć*, *cz*, od *t*, lubo nie tak daleko, bo tylko je przedziela samogłoska *u*; toż po staremu oddzielił *g* od *k* pięcią środkowemi głoskami, jako też *b*, *b'* od *p*, *p'* dwudziestą gło- skami, a *s*, *ś*, *sz*, od *z*, *ź*, *ż*, pięcią głoskami. W tém jeszcze popełnił wielki błąd niesamozgodności, że kiedy w swoim alfabecie spółgłoski słabe, a podług siebie mocne, jakimi są *b*, *d*, *g*, *h*, piérwej umieścił niż odpowiadające im mocne *p*, *t*, *k*, *ch*; tedy powinien był umieścić i spółgłoski słabe *z*, *ź*, *ż* przed odpowiadającemi im *s*, *ś*, *sz*, a *dz*, *dź*, *dż*, przed *e*, *ć*, *cz*. Nakoniec po wyszczególnieniu tak nieporządnie uło- żonych głosek, przywodzi dwa znaki miękczenia spółgłosek, z których piérwszym jest kreska kładąca się nietylko nad spółgłoskami jako znak miękczenia, ale i nad *a*, *e* jako znak ściśnienia, a druga *i* bez kropki z niepotrzebnym haczykiem, w dodatku zaś bezpotrzebny znak *akcentacyi* czyli *akcentuacyi*.

Po tak szczegółowym rozbiórze nowo ułożonego alfabetu, wi- nieniem szczerze i otwarcie wyznać, że nietylko mię razi nieporządek w układzie naszych głosek, które niezmiernie trudno w należyty ład wprowadzić, jak razi i dziwi niepomału umyślnie może opuszczenie dwóch spółgłosek *w* i *w'*. Jeżeliż bowiem mamy obchodzić się bez tych dwóch spółgłosek i zastępować je spółgłoską *f*, dającą się mię- kczyć przez *i* kropkowane lub niekropkowane: tedy samozgodnie so- bie poczynając, musielibyśmy się obchodzić i bez innych spółgłosek nazwanych przez naszego pisownika mocnemi, jakimi są: *b*, *b'*, *d*, *dz*, *dź*, *dż*, *g*, *h*, *z*, *ź*, *ż*. A ileżby przez takie zaprowadzenie samozgodnej nowości ubyło brzmień spółgłoskowych z naszój mowy ustnej, ażeń

i głosek z naszego alfabetu! Wtenczas z ostatniej potrzeby i biedy, do jakiejby nas przywiodło wyrugowanie z naszego alfabetu spółgłosek mocnemi nazwanych, musielibyśmy mówić i pisać przez *f* nie-tylko *sterek*, *fsadzić*, zamiast *wtorek*, *wsadzić*, ale w braku *w* i *w'* pisać: *fara* zamiast *wara*! *fiara f* *fierze*, zamiast *wiara w wierze*. A posuwając jeszcze dalej samozgodność na mylniej zasadzie oparłą, musielibyśmy w braku *b*, *d*, *g*, *h*, mówić i pisać *pułka*, *tama*, *karpaty*, *chart*, zamiast *bulka*, *dama*, *garbaty*, *hart*. Do takiego zbroczeń porywa i unosi zapęd młodzieńczego zapalu, tam, gdzie koniecznie potrzeba zimnej rozwagi i oględności na najbliższe i najdalsze nawet wypadki!

12. Kończąc już zamierzony przez siebie rozbiór nowej pisowni, może i tak zanadto długo przeciągniony, chociaż w nim jeszcze nie było mi podobna objąć wszystkich szczegółów prawdziwie nowego i nowatorskiego wywodu, winienem oddać sprawiedliwość zacnemu pisownikowi, że mianowicie na początkowych ośmnastu stronicach, gdzie mówi o rozróżnieniu dziś panującym w naszej pisowni, a następnie o *etymologii* i o *zwyczajach*, wiele świeżych myśli, wiele uwag sprawiedliwych a własnych i samorodnych żywem i mocném, chociaż cokolwiek zaostrém piórem wydał. Co też mię zachęciło i nareszcie skłoniło do zajęcia się szczegółowym rozbiorem tak osobliwego artykułu, zamieszczonego w Bibliotece Warszawskiej, zwłaszcza gdy w rozczytywaniu dalszych stronic aż do końca wzięła mnie może i niepróżna obawa, aby nasza pisownia nie wpadła jeszcze w większy zamęt, a nareszcie i w większe niż dzisiaj zaniedbanie i poniewierkę. Najwięcej zaś obawiałem się i obawiam zrażania niektórych współpracowników i wszystkich niemal czytelników naszych coraz nowemi trudnościami w pisowni; a nasz młody pisownik zapewne inaczej myśli: że od upartych lub zobojętniałych lepij jest zawiele wymagać, niżeli zamała.

T. Sierociński.

Dziennik podróży do Tatrów przez autora Sobótki. Petersburg. 1853.

(Nadesłano).

Gdy w naszym czasie tak nadzwyczajnie wiele książek drukują w Europie i Ameryce, warto się raz zastanowić: po co są książki? Dziwnem wyda się zapewne niejednemu takie zapytanie, a przecież niejednego pisarza wypada się ze słusnością o to pytać. Nie można przeczyć, że pisarze albo uczą ogół czytający czegoś pożytecznego, albo go bawią. W pierwszym przypadku zdaje się że więcej wiedzieć winni od ogółu, i wymagać należy od nich przynajmniej, aby się zapoznali z przedmiotem, który przedstawiają; w drugim przypadku wszystko prawie zawisło od pisarza: jego talent stwarza płody poetyczne. W obydwóch

przypadkach jednakże przewodniczyć winna ożywcza pochodnia rozumu. Nieśmiertelne dzieła Shakspear'a, Moliere'a, winne głównie swój urok owęj wielkiej prawdzie; w najpiękniejszych ich dziełach fantazyi zawsze prześwieca rozum, i trudno orzec, co w tych utworach przeważa: wyobraźnia czy rozum? Wiele wszakże dzieł posiadamy, w których przedmioty rozsądku mają być upiękzone, t. j. upstrzone wyobraźnią. Takie księgi wydalyby się za zbyt suche i dlatego trzeba im dodać czegoś pobudzającego: tym sposobem powstają te pośrednie utwory, które niech mi wolno będzie nazywać rozsądkowo-wyobraźniowe. Rodzaj ten najwygodniejszy dla wszystkich pisarzy, którzy się tylko z wierzchu z przedmiotem zapoznali. W miejsce jasnego opisu przedmiotu, kładą frazesy ogólnie podobające się w pewnym czasie, i czy ten frazes jest stosowny, czy niestosowny, o to nie idzie im wcale, byle tylko błyszczał. Tak samo postępują mierni malarze: zamiast wydać z prawdą jakowy przedmiot, dają mnóstwo pstrocin, oświetlają i zaciemniają go dowolnie. Zrazu przedstawia nam się taki obraz doskonałym, ale bliżej przypatrzwszy się mu, ginie pierwsze wrażenie.

Niedawno jeden z pisarzy chcący dać poznać geografją Tatrów, przywoził baśni ludowe i to wydał z całą powagą za prawdy umiejętnę. Zapewne geografia należy do rzędu wiadomości ludzkich, w których rozsądek powinien być li przewodnikiem, i w geografii szukać należy faktów pewnych. Ale takato bywa śmiałość albo raczej zuchwałość tych poetycznych pisarzy, którzy za ledwie cośkolwiek zachwytną, wdają się w przedmioty rozumu, nieoglądając się, czy są w stanie przedstawić prawdę; by zająć stylem i zewnętrzną formą, nie troszczą się o nic więcej. Jeżeli podobne prace sądzić mamy z widoku stylowego, jako ćwiczenia językowe, to mogą mieć jakąś wartość; jeżeli zaś będziemy się pytali: ile odpowiadają zamierzonemu celowi, to wartość ich okaże się arcy podrzędną. Dzieło, o którym zamierzam mówić, daje najlepszy przykład tej nieograniczonej śmiałości pisarzy, których dałem charakterystykę; pisarzy mających za ledwie mętne wyobrażenie o przedmiocie, z którym zamierzyli obznajomić ogół czytający, a przecież prawią o nim jakby z trójnoga. Z opisu podróży po Tatrach autora Sobótki pokazuje się, że przybył do małej wioski nad Dunajcem w obwodzie tarnowskim; tu obudziła się w nim chęć poznania źródeł tej cudnej rzeki. Udaje się do wioski Łopuszny, z której raduje się nad wspaniałością Tatrów, zjadł trzy razy wyjeżdża do nich na parę dni. Pierwszy raz nie nie widział, bo deszcz padał; drugiego razu opowiada, że się zapuścił w ich głąb, ale od szczytów zdawał się stromić, bo kosztują wiele wysilenia i mocołu. Zapomniał widzieć, że to jest coś nader poetycznego spoglądać ze szczytu na rozległe krainy i obejmować jednym rzutem, do czego długą pracą dochodzimy; wszakże to zazdrościmy orłom ich lotu. Po powrocie do Łopuszny wyjechał nasz autor w tarnowski obwód i znów przez Czorsztyn wrócił do Łopuszny, z kąd w bardzo miłym towarzystwie pojechał do Ruszbaków, kąpieli wapiennych na Spiżu, dawniej bardzo głośnych, a teraz zupełnie zapomnianych dla mody panującej w medycynie. W późnej jesieni trzeci raz puścił się w Tatry: był wtedy w Zakopanem, obejm-

rzał niektóre przyległe doliny, spojrzął na źródło Białego Dunajca, i był przy kopalni rudy żelaznej na Magórze. Na tém kończą się podróże naszego autora. Trudno zaprzeczyć, że wiele nie widział: zaledwie poznał kilka szczegółów. Czego zaś nie poznał, to albo pominął, albo spomniął poetycznemi wyrażeniami, albo z góry oświadczył, że nie nie znaczą. Szkoda, szkoda, iż ta książka nie wyszła przed 50 laty; wtedyby zrobiła wielkie wrażenie, ale teraz, gdy nierównie lepiej poznano te góry i w kraju i za granicą, wydaje się ta praca jakby jakieś powtórzenie znajomego, a przynajmniej opisuje nam tak znajome rzeczy, że prawie każdy kto używał wód w Szczawnicy i udał się, jak to w Galicyi zwykli mówić, do Karpat, ten to wszystko widział, a nie-jeden i więcej. Ale zapyta się nas kto: jak mogła powstać tak gruba księga? Autor nasz zapisywał codziennie w Łopusznej co myślał, co marzył; wiele zastanawia się nad obyczajami ludu i jego poczya, i przytacza nawet niektóre niezajome pieśni przez siebie zebrane. Nie możemy zaprzeczyć, że autor Sobótki posiada najwięcej wykształcenia do poznania z tej strony Tatrow, ale i tutaj widać w powierzchowności i dorywczosć, które przewodniczą mu w sądzie nad obyczajami, językiem ludu, jako i sąsiadami z nim graniczącymi. Dziwaczne rzeczy prawi nam o języku Podhalan; ma to być według niego złówek czterech języków (sic) słowiańskich: polskiego, morawskiego, słowackiego i ruskiego. Nadmienić musimy z góry, że nikt słowackiego narzecza nie odróżnia od morawskiego; to zdanie dzielą wszyscy filologowie słowacy, a mianowicie Kollar. Z ogłoszonych przez samego autora piosnek ludowych górali Tatrowych pokazuje się najjawniej, że język Podhalan jest polskim, z utrzymaniami zastarzałemi formami, z domieszaniem niektórych wyrazów i zwrotów wziętych od sąsiednich Słowaków węgierskich. Pierwiastku ruskiego niepodobna nam było odkryć. Spodziewamy się, że do tego zdania sam autor nie przywiązuje znaczenia. W słowniku wyrazów góralskich, przy określeniu ich znaczenia, znajdujemy mnóstwo usterków, powstających poprostu, że autor nie zna ich znaczenia; i tak: wyraz hole ma oznaczać Tatry albo pastwisko, a właściwiej góry, i na poparcie udał się aż do języka sarmackiego (!), w którym góra znaczy *ala*; od nich otrzymał swą nazwę naród Alanów, który wychodził z gór kaukaskich. Nie dzielimy tego zdania, chociaż nie znamy języka sarmackiego, w którym zapewne autor jest biegły, i prosto tłumaczymy źródłosłów tego wyrazu z języka polskiego. Wszyscy górale nie tylko polscy, ale niemieccy i francuzcy, odróżniają części gór lasem okryte od wyższych bezleśnych; te ostatnie nazywa polski, słowacki i ruski góral holami, połoniami. Różnica ta nadzwyczajnie uderza, patrząc zdala na góry Alpejskiej wysokości. Nasi górale nie nazywają ich właściwie halami, jak się podobało pisać naszemu autorowi, ale mają san, ogłoskę stojącą wo środku pomiędzy *a* i *o*. Przejdźmy do innych wyrazów niedokładnie oznaczonych w słowniku. *Uptaz* nie znaczy równinę pomiędzy skałami, ale jakąbądź pochyłą płaszczyznę czyli równię pochyłą skomponowaną przez matematyków; wyraz ten pochodzi od płożenia, t. j. kulania się skał. *Młaka*, nie młoko, znaczy kałużę bagnistą. *Juhas* nie oznacza jakiegokol-

wiek pasterza chodzącego około trzody, lecz pasterza stada owiec; wyraz ten pochodzi z węgierskiego, co nieraz było powiedzianem. Żytyca nie jest warzonką z jakiegokolwiek młéka, lecz serwatką z owczego. Linba drzewo do sosny podobno, *Pinus cembra* nazywane od botaników, nie ma z cedrom nic spólnego. Nie persé, ale pérc nazywa się każda ścieżka na holach wydeptana przez bydło lub owce i t. d.

Również niepewny jest pogląd na lud i stosunki przyrodzone; nie powtórzył nasz autor nawet nie już znajomego. Przyczyna tego jest, że autor nie ma dostatecznego usposobienia do opisu, a niemając ani wyższej bystrości, ani wprawy poznawania, prawi nam rzeczy zupełnie mijające się z prawdą. Oto kilka dowodów na to. Ciągłe mówi nam autor o lodnikach (glaciers) w Tatrach, a tych rzeczywiście nie masz wcale. Przyczyna tego zajmuje bardzo fizyków i geografów, dla czego te góry leżące prawie pod 49° północnej szerokości, ze szczytami 8.000 stóp przenoszącemi, nie mają odwiecznych lodów, gdy w Alpach szwajcarskich, o kilka stopni bardziej ku południowi wysuniętych, na wysokości 5.000 stóp nad poziomem morza, znajdują się takowe n. p. przy Chamounix. W Tatrach są tylko wązkie paski, rzadko większe płyty stwardniałego śniegu w miejscach zaciętych: na żadnym szczycie nie ma lodu. Przyczyna tego zdaje się pochodzić, że Tatry oddzielone od wysokich gór, owiewają ciepła z południa i zachodu dmiące wiatry.

W Ruszbakach, które według błędnego u nas zwyczaju, datującego się jeszcze od Petrycego, nazywają Druszbakami (nazwa ta pochodzi z niemieckiego Rauschenbach) opisuje nasz autor, że z jednego zagłębienia wychodzą wyziewy arsenikowe; podobnych wyziewów niepoznano dotąd na świecie: musiał ktoś zażartować sobie z naszego pisarza, a on z całą dobroduszością poety uwierzył temu. W Ruszbakach tryszczy szczawa przesycona węglanem wapna; niedużo tych źródeł jest wyziew gazu, kwasu węglowego, i podobnie jak w Grotta del cane pod Neapolem, zbliżające się zwierzęta giną. Arseniku w całym Ruszbakach nie ma śladu.

Nie możemy pominąć niektórych zalet téj książki, a jeżeli odznacza się dorywczością i lekceważeniem tego, co poznano, t. j. wiedzy ludzkiej, to pochwalamy styl łatwy i płynny. Książkę tę zalecam jak najmocniej matkom i gubernantkom, mającym pod swym dozorem młode panny z wyobraźnią nazbyt żywą, do egzaltacyi skłonną; będzie to wyborny środek dla wypełnienia pożytecznie czasu i ochłodzenia zbyt rozbujałej wyobraźni.



ROZMAITOŚCI.

Jerlyk hanu Złotej ordy Tochtamysza do polskiego króla Jagielly, wydany przez Michała księcia Oboleńskiego. W Kazaniu. 1850.

Rad jestem, że mogę podać wiadomość o nowém wydaniu Michała księcia Oboleńskiego i cześć oddać zasłudze, która nie ustaje w szlachetném usiłowaniu o rozjaśnienie zamierzchłej przeszłości. Zabytek ten ciekawy pod względem filologicznym i historycznym, został odkryty w Moskwie w główném archiwum ministerjum spraw zagranicznych, między papierami, które, znajdowały się niegdyś w krakowskiém koronném archiwum. Oryginał był pisany w starym tureckim języku, ugarskiém pismem (1), na dwóch kartach woskowanego papieru. Obie karty zapisane z jednej tylko strony. Nagłówek i kilka wyrazów w liście pisano złotem; na początku jerlyka pieczęć wyciśnięta na złocie. Oto jest zewnętrzna strona listu, który został teraz wydany przez księcia Oboleńskiego.

Alte oprócz oryginalnych jerlyków z kancelaryi hanów, wychodziły razem pisma w języku dostępnym i zrozumiałym dla tych, do których pisali. Tak i tutaj oprócz oryginału ugarskiego, mamy drugi list ruski, także na dwóch kartach papieru z jednej strony zapisanych, z tym samym znakiem wolój głowy. Nie jestto tłumaczenie, ale raczej list tój samej treści; miejscami zdarzają się nowe szczegóły, a co ważniejsza, na końcu znajdujemy żądanie przymierza zaczepnego i odpornego, czego nie ma w ugarskim jerlyku.

Prócz tego jest załączone niedołączne tłumaczenie w języku polskim, gdzieś tam z XVII wieku, którego wartość w notatce doskonale

(1) Ujgurowie byłoto jedno z plemion środkowej Azji, które za czasów Czngiz-hana wpłynęły w skład państwa Mogolów; a że znajdowali się na wyższym stopniu ukształcenia, uzyskali nad drugimi Mogolami, przewagę moralną. Pismo ugarskie pospolicie używane w stosunkach dyplomatycznych hanów Złotej ordy, dopiero w XV wieku ustąpiło miejsca pismu arabskiemu; pierwszy znany jerlyk Tochtamysza pisany pismem arabskiém, jest z r. 1382.

jest oceniona: kopia z ruskiej kopii, nie wiedzieć od jakiego cara, ale znać że to dawno było.

Książę Oboleński podobizny z listu Tochtamysza rozesał do znakomitych orientalistów: Hammer historyk, Kowalewski, Kazem-Bek, Bierezin professorowie kazańskiego uniwersytetu, i Dordzi Banzarow uczony Mogoł, nadesłali swoje uwagi, które zostały wydane razem z listem. Co który z nich dostrzegł w tym liście, co zrozumiał, wyczytał, wszystko zostało zebrane i oddane pod sąd znawców, dla wiadomości ogółu czytających. Załączone są także dwa odpisy tego listu arabskimi literami, Kazem-Beka i Bierezina.

Tłumacze Kowalewski, Kazem-Bek i Bierezin w wyczytaniu i w tłumaczeniu nie zgadzają się z sobą. Sposób czytania i tłumaczenia Bierezina zdaje się najpewniejszym. Banzarow niezadowolony nawet z tłumaczenia Bierezina utrzymuje, że niektóre wyrazy dla dzisiejszego Tataru są zupełnie niezrozumiałe.

Pomiędzy źródłami historycznymi niezmiernie jest mało zabytków ujęńskiego pisma: znane są tylko dwa listy perskich Czyngizidów, Arguna i Oldszeju do Filipa Pięknego z r. 1289 i 1305, paiza Abdutty z 1362 albo 1363, jerlyk Timura Kutlu z 1397, i kamień znaleziony w okręgu nerczyńskim. Do tak szczupłej liczby zabytków przybył list Tochtamysza, ważny pod względem filologicznym jako pomnik staro-tureckiego języka, pod względem historycznym jako dowód przyjaznych, a zwłaszcza handlowych stosunków Litwy i ordy. List był pisany w 1392 z nad Donu, gdzie koczował Tochtamysz rozbity w boju, i wypędzony przez potężnego burzyciela państw, Timura. Tochtamysz w oryginale daleko więcej zachowuje dumy jak w ruskiem piśmie, gdzie Jagiełłę królem i bratem nazywa, przyrzeka, że będzie oddawał wychody z włości do Litwy należących, i prosi o przynierzo zaczepne i odporne. Ta różnica między listem tatarskim a ruskim jest bijąca w oczy, dlatego uważałem za rzecz potrzebną, załączyć tu prawie dosłownie tłumaczenie obu listów.

Jerlyk tatarski.

Tochtamyszowe słowo (1)

Jagielle.

(Miejsce pieczęci) (2) My posłaliśmy posłów, z których główni Kotłobuga i Asan, dać znać o wstąpieniu na wielkie miejsce, i Ty także posłałeś do nas posła. Trzeciego roku kilku uhlanów, z których ważniejsi Bekbulat i Chodża Medin, i beki, z których główni, Begicz i Turduczak Berdi Dawud, wyprawiwszy naprzód człowieka na imię Idigija, posłali do Temira. W skutek tego wezwania on wystąpił. Gdy on, wierząc

(1) Wyrazy odznaczone, pisane są złotem.

(2) Na pieczęci taki jest napis literami arabskimi: Sprawiedliwy sultan Tochtamysz. W imię łaskawego i miłosiernego Boga. Nie ma innego Boga jak Bóg. Panowanie należy się Bogu.

chytremu sercu i takiomuż językowi ich, nadciągał skrycie, my dowiedziawszy się zebrałiśmy się; podczas bitwy, naprzód ci źli ludzie ustąpili z miejsca, zaczęm i naród ustąpił z miejsca. Oto przyczyna tego, co się dotychczas stało.

Bóg zmiłzawwszy się nad nami, oddał nam w ręce nienawistnych ułtanów i beków, z których główni: Bekbułat, Chodża Medin, Begicz i Turduczak Berdi Dawud. Teraz my posłaliśmy posłów, z których główni Asan i Tułu Odża dać znać o tém, co się zdarzyło. A dalej:

Z podległych *Nam* włości zebrawszy wychody, wręcz jadącym posłom dla oddania do skarbu. Jeszcze podług dawniej ustawy kupcy i twoi kupcy niech chodzą jedni do drugich; uznając to za dobre dla Wielkiego Ułusa, umocniliśmy pismo złotą pieczęcią. Kazano napisać kurzego roku, hidżry 795 nowo-księżycowego miesiąca redżeba 8 dnia, kiedy orda była nad Donem.

Pismo ruskie.

Słowo Tochtamyszowe. Do króla polskiego. Wiadomo czynimy naszemu bratu iżem zasiadł na tronie wielkiego carstwa. Jakom skoro zasiadł na carskim tronie, wtedy posłał był do was Asana i Koltubę, wam dać wiadomość; i nasze posły znaleźli was pod grodem pod Trokami stojącego. Wyście posłali do nas posła waszego Litwina na imię Niewoista. W drugim zaś roku nastąpiło między nami zamieszanie; nasz synowiec Bekbułat i Chodża Medin stali się nam wrogami i powstałi na nas, i jeszcze do tych Begicz i Turduczak Berdi Dawyd. Ci książęta głównymi moimi byli sługami, i ci stali się nam wrogami, i u mnie służąc, poczęli knuć spiski na mnie. Posłali jednego na imię Idigija do Aksak Temira (1) na mnie zło myśląc. Po ich posłaniu, po Idigijewem poselstwie, wyszedł na mnie Aksak Temir żelazna nogę, od Czarnego piasku; przyszedł tak skrycie, iż nie było u nas żadnej wieści ani słowa. Ledwie ujrzelśmy go w naszej dzierżawie, my nie spieszyliśmy zebrać wszystkiej siły naszej, tylko co koło nas dworu było, i z temi stanęliśmy przeciw temu Aksakowi. Ten chytry Bekbułat, nasz wróg, nas wydał i uciekł od nas. Kiedy ten żył Bekbułat uciekł, wtedy wszyscy ludzie, wszystko wojsko uciekło. Tak było.

Bóg zmiłzawwszy się nad nami znowu, naszych nieprzyjaciół wrogów dał nam wszystkich w ręce. Myśmy ich ukarali tak, że więcej nie będą nam bruździć. Teraz posławszy do was sługi nasze Asana i Tułu Odżę to powiedzieć wam, naszemu bratu, abyście to wiedzieli, że między twoją ziemią są książęce włości, co dawały wychód do Białej Ordy; to nam nasze dajcie, a co będzie waszój dzierżawy pod nami, a my o to nie dbamy, żądajecie swego a my wam damy. A jeszcze co było między nami zdawna, gościom droga wolna, i waszym i naszym kup-

(1) Lenk po persku, Aksak po turecku, oba te wyrazy jedno znaczą: kulawy. Timur Lenk nazwisko z przydomkiem, przekrecone zostało na Tamerlana.

com, bez opłat, bez dokuczania, każdemu czleku i pracowitym ludziom. Na to wszystko posłaliśmy ten nasz jerlyk, i z naszą złotą pieczęcią, aby to mocno było. A ten jerlyk pisany w ordzie nad ujściem Donu, kurzego roku a miesiąca iredzina.

Jak ojcowie nasi z ojcy waszemi byli za jedno, posły posyłałi do siebie, i my także chcemy z wami być. A jeżeli będzie wam potrzeba pomódz przeciw komu, przeciw wrogowi waszemu, ja sam gotów Tobie na pomoc ze wszystką moją siłą, tylko wiosę nam dajcie. A gdy potem namby trzeba, wy nam takowemiż bądźcie.

Secceryn Gołębineski.

Jak Francuzi znają naszą historiją.

Nieraz już zrobiono uwagę, że cudzoziemcy, mianowicie téż Francuzi, tyle wiedzą o nas i o naszych dziejach, co o jakimś dzikiem plemieniu zamieszkującym gdzieś odległo wyspy Oceanu. Niewiedomość taka godna politowania, skoro się ściąga do kraju, który jak nasz, położony jest w samym środku Europy, i miał oddawna tyle stosunków z Francją; nie jest jednakże tyle naganną, jak bezwstydną arrogancyą, z jaką niektórzy pisarze francuzcy, nie mając najbardziej elementarnych wiadomości o naszym kraju, zamiast lepiej o nim zamilczć, śmiać przeciwnie umieszczają w swych pismach najniedorzeczniejsze o nas baśni, które za prawdę historyczną podają. Niedawno, bo w roku przeszłym, *Illustration* w nr. 498 z dnia 11 września, przy pochwałach danych p. Fajansowi, umieściła twierdzenie, że dotychczas litografia prawie nieznaną u nas była, i że ją dopiero jemu winni będziemy. *Dziennik Warszawski* w nr. 304. r. z. w artykule: „Słowo o litografiach u nas,” zbił to twierdzenie, dowiódłszy przykładami, że mieliśmy litografie niemal jednocześnie z wprowadzeniem téj sztuki do Francji, a nawet nieraz wtedy lepsze od paryżkich (1). Ten błąd

(1) Żałujemy, że autor tego artykułu położywszy niejaką zasługę przez wykazanie błędu pana Dupays w sądzie jego o litografi w Polsce, sam również błąd popełnił dziwniejszy: że nie zadał sobie małej pracy przeczytania uważnie tych kilku wierszy autora francuzkiego w *Illustration*. Ja mając w téj chwili to pismo w rękach, czytałem w niem ten sam ustęp, który szanowny litograf warszawski przytoczył, i przekonywałem się, że mowa tam jest o rysunku na szarym papierze, wyobrażającym osoby ugrupowane z wdziękiem i leżące na murawie, rysowanym przez p. Couture, a litografowanym przez p. Fajansa; nie zaś bynajmniej o kopii jego z obrazu Ary Szefera „Krzyżak”, jak on powiada, i wychodząc z tak fałszywego punktu, robi zarzut niezawstwa *poczciwemu* panu Dupays. Gdyby ten autor mógł czytać wzmiankowany artykuł, wysmiałby pewnie krytyka, tak, jak to spotkało jednego z naszych młodych historycznych szperaczy, a razem nader ostrego krytyka, od polepionych przez niego najzasłużeńszych meżów w naszej literaturze, którzy w swej odpowiedzi na jego recenzję przekonali go: że nieprzeczytawszy nigdy w całości ich dzieł, wyznał w nich pełno błędów, których tam nie ma, i wydał na nie nielitościwy wyrok, zaprzeczając im wszelkiej prawie wartości.

Mowa o Tul. Bartoszewiczu

autora francuzkiego był ważnym z tego względu, że wyrokując o nas, rościł sobie do tego prawa; jednakże nie było to tak dziwném w cudzoziemcu, z uwagi, że niewiedomość jego ściągała się do historii sztuki w Polsce, która i u nas niedawno zaczęła być opracowywaną. Lecz co większa, Francuzi równie grube popełniają błędy, pisząc o głośnych wypadkach naszej historii. Na poparcie tych moich słów, podam tutaj jeden tylko, lecz dostateczny zdaniem mojem, przykład. Jestto wprawdzie fakt nienowyy i niejednemu może wiadomy, lecz że dotąd, o ile wiem, niezwrócono na niego uwagi publicznej, a wydaje mi się bardzo charakteryzującym Francuzów: z tych powodów sądzę, że zasługuje, abym go tu przytoczył. Wziąwszy niedawno do ręki pismo peryodyczne francuzkie pod tytułem: „Musée de famille“ z roku 1847 z miesiąca stycznia, na stron. 123, w artykule o Krakowie, po krótkim wstępie opisującym powierzchowność miasta i okolic, wyczytałem co następuje: „Głównym przemysłem krakowskim jest rolnictwo. Najznakomitsi panowie nie wstydzą się pracować nad niem własnymi rękami. Plug był zawsze w Polsce bratem miecza!..

„Pewnego dnia przed kilka wiekami sejm obrawszy nowego króla, wysłał po niego posłów do Krakowa; w drodze spotkali oni człowieka orzącego swe pole. Człowiek ten miał ubiór szlachecki, ale nadzwyczajnie skromny: jedną ręką trzymał plug, drugą poganiał woły śpiewając. Duży pies szedł tylko za nim raz stojąc, to postępując za swym panem. Długi miecz zatknięty był na końcu wyoranęj skiby i oznaczał granicę. Kilka kobiet równie skromnie jak rolnik ubranych, przyrządzały posłek pod cieniem wielkiego dębu.“

— „Przyjaciełul! — rzekli posłowie niosąc koronę — szukamy Jana *Wiesniowieskiego*: chcielibyśmy pokazać jego mieszkanie.

— Wielmożni Panowie! — odpowiedział wieśniak, przerywając swą pracę — ja jestem tym, kogo szukacie; czém mogę być wam użytecznym? — Przyjmij tę koronę — odpowiedział prymas *Guczerski* nieco zziwiony — Polacy wybrali cię swym królem — i kłękając przed rolnikiem, wręczył mu oznaki władzy królewskiej. Jan *Wiesniowieski* zwołał całą swoją rodzinę, podziękował posłom, zaprowadził do swego domu i podzielił z niemi swój skromny posłek. Pożegnawszy ich, poszedł ukończyć orać swe pole, poczem uściskał rodzinę, pojechał do Krakowa, i był jednym z największych królów polskich. Czyż ten nowy Cyncynal nie jest równym rzymskiemu? —

Niechęcąc niecierpliwie i gniewać czytelnika tłumaczeniem dosłowném całego artykułu, gdyż cały jest w tym rodzaju; opowiem tylko treść jego. Potém daje autor krótki rys historii Krakowa, którego, jak powiada, najświetniejsza epoka była pod *Piratami*, (zapewne *Piastami*) i *Jagiellonami* (1); następnie straszliwy kręśli obraz anarchii panującej w Polsce i zaburzeń wzniecanych przez pańów, na czele *miliona*

(1) Niedawno jeszcze, ze wszystkich naszych nazwisk, Francuzi umieli jedynie pisać Jagiellow i Sobieskiego, wszystkie inne niemilosiernie kalecząc; wprawdzie od jakiegoś czasu znać pewien postęp w tym względzie, przypisac go jednak wypada nie autorom francuzkim, lecz obcym wpływom.

uzbrojonej szlachty! Potem elekcyą Henryka Walezyusza, pobyt jego w kraju, jakaś jego tajemnicza wyprawa dla zbuntowania przeciw sobie samemu ludu, długim opowiadaniem tłumowi o swęj nieprzychylności, nienawiści dla całego kraju, a to w celu pozbawienia się nieznosnej sobie korony polskiej. Wszystko to wynalazki obfitego w pomysły historyczne autora; wreszcie szybko przechodzi do upadku Polski i do Kościuszki, który miał być ostatecznie rozbitym pod Modlinem!! (?)

Cały ten opis nie rozgniewał mnie, lecz serdecznie rozśmieszył. Zostawiając krytykę w nim błędów historycznych każdemu pojętmemu dziesięcioletniemu dziecku naszemu, powiadam: że gdy widzę tych Francuzów tak dumnych swą wielkością i zarozumiiałych, że przywłaszczają sobie berło rozumu nad całym światem; gdy ich przytém widzę tak ciemnych co do wszystkiego, co nie jest ich własnem: to wyznaję, że oni w mych oczach niezmiernie maleją.

Bo powiedźmy: czy zdarzyło się nam czytać w najlichszym nawet naszym piśmie taką ramotę o obcym kraju skleconą, jak ta, którą przytoczyłem? gdy tymczasem umieszczoną jest ona w piśmie przeznaczone do nauczania młodzieży, w piśmie mającém pod innemi względami niemałe zalety, którego współpracownikami byli najslawniejsi współcześni autorowie francuzcy, jak: Aimé-Martin, Balzac, Kazimierz Delavigne, Alexander Dumas, Wiktor Hugo, Egegeniusz Sue, Alfons Karr, Soulié, Scribé, Salvandy i mnóstwo innych, z których każdy, zdaje się, byłby w stanie podobnie rażące błędy sprostować. Było to zaś obowiązkiem głównego redaktora, a że nie uczynił tego, byłóż to skutkiem tak głębokiej ciemnoty, czy może złej woli?

Gdyby wreszcie to był jedyny przykład tak fałszywych opisów o kraju naszym, wtedy zasługiwałby tylko na wzgardliwy uśmiech; lecz mógłbyin wiele jeszcze artykułów temu podobnych przytoczyć, po innych znanych piśmiech francuzkich umieszczonych, i dlatego wziętem pióro, aby na ten fakt zwrócić uwagę naszych czytelników.

Jednakże jak łatwém byłoby Francuzom bez wielkiej pracy, bez uczenia się naszego języka, lub szperania po naszych łacińskich kronikarzach, powziąć chociaż ogółowe wiadomości o kraju naszym, mając tak wiele bibliotek publicznych, w których dzieła i rękopisma historyczne o Polsce, dość obficie się znajdują; mając oddawna takie dzieła jak np. „Histoire générale de la Pologne”, przez kawalera de Polignac z roku 1751, dzieła Coyer'a, Salvandego, artykuły niezłe o Polsce po encyklopedyach francuzkich w „Révue des deux Mondes” i wiele innych (1). Lecz od czasu, jak „dziennikarstwo i prasa peryodyczna zalały swemi pospiesznemi wyrobami pismienictwo francuzkie i zastąpiły w większej części wydawnictwo dzieł sumiennie i starannie opraco-

(1) Mógłbym przytoczyć przeszło pięćdziesiąt dzieł i broszur wydanych w języku francuzkim o Polsce, o których zebrałem wiadomości, a wiele jest takich, które mi nie są znajome! To dowodzi, że i we Francyi byli i są dotąd ludzie, którzy nie szczędzili czasu i pracy na badanie dziejów naszych; lecz to są tylko rzadkie wyjątki, większość zaś narodu nie czyta ich wcale i poprzestaje na swych własnych, często najpotworniejszych o nas wyobrażeniach. Znaczna część tych dzieł i w naszym kraju mało jest znanych, a nie je-

wanych, obok prawdziwej zasługi mężów, namnożyło się mnóstwo autorów — szarlatanów. Ci panowie przekonani są, że gdy kto urodził się Francuzem i posiada trochę wrodzonego dowcipu, już ma wszelkie prawo bez poprzedniej pracy i nauki, przemawiać publicznie, rozprawiać i wyrokować o wszystkiem. Uważają oni pracę około literatury nie jako wzniosłe powołanie, pewien rodzaj, że tak powiem kapłaństwa, lecz poprostu za środek spekulacyi, i jak to zwykle bywa w każdej spekulacyi, mają na celu nie dobro ogółu, lecz dobro własnej kieszeni.

Komentarz Herbersteina o Rossyi, wyszły w r. 1851 w tłumaczeniu angielskiem w Londynie, z objaśnieniami i wstępem R. H. Mayor.

We wstępie dał wydawca wiadomość o podróżnych, którzy przed Herbersteinem zwiedzili Rossyę, tudzież o pisarzach, którzy o tym kraju wzmiankę uczynili. Wiadomość ta oparta głównie na dziele Adelunga: „*Kritisch-Literarische Uebersicht der Reisenden in Russland bis 1700*. St Petersburg. 1846. 4to“, przedstawia przecież w szczegółach ważne dodatki i zmiany. Między innymi interesującą jest wiadomość o tłumaczeniu niemieckiem Macieja z Miechowa: *Tractatus de duabus Sarmatiis*; tłumaczeniu tak rzadkiem, że ani Adelung, ani Ebert, ani inni bibliografowie o niem nie wspomnieli. Exemplarz tego tłumaczenia, wydane w Augsburgu roku 1518, znajduje się w posiadaniu księcia Łabanowa, wydawcy zbioru listów Maryi Stuart. Nosi ono tytuł: „*Tractat von baiden Sarmatten und undern anstossenden Lunden in Asia und Europa, von sitten und geprüchen der völicher so darinen wonen Ain anders vo den lunden Scithia und den twonern des selben lands, genannt Cairchassi. Vast wunderpartich zu hören*“, Druk gocki, 34 str. w 4cc. Augsburg. 1518.

Traktat o Czerkasach, stanowiący drugą część tego wydania, jest tłumaczeniem z G. Interiano. Tłumaczem był *Johann Mair von Eckh*; pracę swoją przypisał Jakóbowi Fugger, od którego dzieło Miechowity był dostał, jak w przedmowie wyznaję (p. Notes upon Russia str. LXX i LXXI).

W tymże wstępie pana Mayor jest jeszcze (str. XII) wiadomość o hebrajskiem wydaniu w Żółkwi, w Galicyi, podróży rabiego Beniamina z Tudeli, któreto wydanie, mówi p. Mayor, przywiedzione jest przez słynnego i uczonego rabina Salomona L. Rapaport w geograficznej przedmowie do dzieła Shalom Cohena: „*Kore Haddoroth*“ wyszłego w Warszawie 1838 roku. Z.

dno z nich, zasługiwałoby na przyswojenie polskiemu językowi, podobnie jak to niedawno uczyniono z dziełami Coyer'a i Bizardier'a. Obecnie zakres niniejszego artykułu nie pozwala mi wdawać się w ich wyliczenie; później gdyby to mogło komu na co być użytecznem, chętnie podałbym osobno wiadomość o tym moim małym zbiorku bibliograficznych wiadomości.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1853.

81. Dodatek do teoryi i praktyki nowego pszczolarza czyli nowego sposobu chodowania pszczół, z najlepszym skutkiem zastosowanego i opisanego przez X. Dzierżonę Plebana w Katowicach na Szlązku. Z kamieniorytem. Przełożył na język polski A. Żmudziński. 8ka. Leszno. 1853. Nakład i druk E. Günthera. Str. 98. Kop. 60.

82. Grammatyka języka polskiego przez J. A. Czajkowskiego N.(auczyciela) J.(ęzyka) P.(olskiego) w S.(zkole) P.(owiatowej) Vkl. i S (zkole) R.(abinów). Część pierwsza: zawiera naukę rozbioru. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 1853. Druk Jana Jaworskiego. Kart 2 i str. 78. Kop. 15.

83. Grammatyka języka polskiego zawiera: 1. Naukę Rozbioru. 2. Naukę Słoworodu i Pisowni. 3. Naukę składni. Przez J. A. Czajkowskiego. N. J. P. w S. P. Vkl. i S. R. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 1853. Druk Jana Jaworskiego. Kart 2 i str. 256. Kop. 50.

84. Listy F. Ricorda o chorobie syfilitycznej. Tłumaczył Benjamin Rosenblum lekarz praktykujący w Warszawie. 8ka. Warszawa. 1853. Druk Jana Jaworskiego. Kart 2 i str. 317. Rejestru str. V. Rsr. 1 k. 50.

85. Miss Mary czyli Guwernantka przez Eugeniusza Sue, tłómaczyła J. R. 12ka. 2 tomy. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I. str. 236, II, 212. Kop. 90.

86. Oberon. Poemat romantyczny w dwunastu pjeśniach. Przekład z Wielanda przez Wiktora z Baworowa. 8ka. Lwów. 1853. Druk Zakładu Narodowego Ossolińskich. Napisów i przyp. kart 3 i str. 244. Objasnień karta 1. Rsr. 1 k. 80.

87. Prawidła wymowy i poezyi. Wyjęte z dzieł Euzebiusza Słowackiego. 12ka. Wilno. 1853. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. VIII, i 346. Kop. 75.

88. Rodzina w Salonie. Powieść Józefa Dzierżkowskiego. 8ka. Petersburg. 1853. Nakład B. M. Wolffa, druk J. Ungra w Warszawie (oddruk z Dziennika Warszawskiego). Kart nap. 2 i str. 360. Rsr. 1 k. 50.

89. Skorowidz Dzienników Praw Xięstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego po tom XLV włącznie, przez Urzędników Sądowych ułożony. 8ka. Warszawa. 1853. Druk Adolfa Krethlow. Str. 158. Kop. 90.

90. Sprawa z poselstwa Marcina Kromera do Ferdynanda Cesarza w latach 1558—1563. Przez Alexandra Bałowskiego. (Wyjątek z Dziennika literackiego z dodaniem pism polskich. Wytłoczono 100 exemplarze (y).) 8ka. Lwów. 1853. Druk Zakładu narod. Ossolińskich. Str. 59. Kop. 50.

91. Wędrowka studenta czyli serce i praca, człeka z bogaca. Napisał Stanisław Kowalski. 16. Sambor. 1853. Nakład Jana Rosenheima, druk E. Winiarza we Lwowie. Napisów i przedmowy kart 3 i str. 145. Kop. 60.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Znany i tyle zasłużony Stanisław Jachowicz, ogłosił prenumeratę na swoje „Różne pisma wierszem”, które w ciągu b. miesiąca mają wyjść z drukarni S. Strąbskiego. Zawierać będą poczyne nowe w IX oddziałach: pieśni pobożne, wiejskie, litewskie; pieśni chłopka Bartosza, zachęcającego do pracy i cnoty; obrazki wiejskie, legendy, nowe zupełnie bajki, powieści, fraszki i różne poezye. Prenumerata otwarta we wszystkich księgarniach.

— Sędziwy w latach szanowny Mrongowiusz kaznodzieja przy kościele św. Anny w Gdańsku, ogłosił przedpłatę na przekład polski, jak sam wyraża się „ważnej rozprawy filozoficznej o religii i moralności sławnego Kanta, mianój w prelekcjach przed młodzieżą akademicką, i od kilku słuchaczów, z posłuchu tylko skoropismem skopionanej”. Cenę egzemplarza oznaczył na talar pruski.

— P. Maxymilian Fajans po powrocie z Paryża założył i otworzył swój zakład litograficzny, i już w nim rozpoczął odbijanie dalszych tablic chromolitografowanych do dzieła A. Przędzieckiego, i E. Rastawieckiego p. n. „Wzory sztuki średniowiecznej”.

— Rozprawa Aug. Bielowskiego pod nap. „Rzut oka na dotychczasową pierwotną polską historią” wyszła z druku, i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Cena ex. kop. 60.

— Księgarz M. Frühling ogłosił przedpłatę na przekład dzieła: „Zasady fizyki i meteorologii, przystępnie dla ogółu wyłożone przez Pouillet'a”. Dzieło to wyjdzie z atlasem obejmującym przeszło 350 figur.

— W drukarni J. Kaczanowskiego rozpoczął się druk dzieła p. n. „Historyczno-statystyczne opisy miast starożytnych w ziemi sandomierskiej leżących, jakoto: udokładniony i pomnożony opis miasta Sandomierza, z dodaniem nowych opisów Zwichosta, Glinian, Opatowa, Włostowa, Klimontowa, Makowa, Radomia, Solca, Ilży, Kielc, Nowego-miasta Korczynna, Pińczowa, Chęcina, i Śto-Krzyżkiój góry, oraz powieść z rzeczywistych wypadków p. n. Pustelnik w Ilżyckiej puszczy”. Dzieło całe złożone będzie z 2 tomów, każdy o 15 arkuszach druku.

— „Wzorów sztuki średniowiecznej w dawniej Polsce” wydawanych przez A. Przędzieckiego i Ed. Rastawieckiego wyszedł poszyt 3 i 4. Wydawanie dalszych zeszytów ma następować w jak najkrótszych przerwach, tak, aby zapowiedziane 24 zeszyty, mogły wyjść koniecznie w ciągu jednego roku.

— Konstanty Wurzbach, o którego dziele „O przysłowiaach polskich“ już zdaliśmy sprawozdanie, wydał w r. b. monografią kościołów krakowskich p. n. „Die Kirchen der Stadt Krakau“. 8ka wielka, str. 402. Wydanie ozdobne.

(*Kraków. Z listu*). „O ważniejszych wyszłych tu książkach przysyłam wiadomość; o ważniejszych tylko, bo najwięcej wychodzi tu broszurek i to głównie treści religijnej. — Żywoty biskupów kijowskich i czerniechowskich z drzeworytami. Wydanie po łacinie i z polskim przekładem ks. Waleryana Serwatowskiego. — Żywot błogosławionego Antoniego Baboli, opisał w feiletonie Czasu Józef Łepkowski. Młody to człowiek, bo niemający lat 30, najmłodszy ze wszystkich literatów miejscowych, jednak z nich wszystkich okazuje najwięcej czynności; ma ciągle i nieustanne stosunki z literatami całej Polski. Korrespondencye wyczerpują mu czas, mimo tego postępuje w pracach archeologicznych, i ulatednia wszystkim literackim stosunki. — „Rocznik towarzystwa ochrony zaniedbanych dzieci“. Bardzo piękny i obszerny jest w nim wstęp, napisany zdaje się piórem kobiecim, a nie T. Głębockiego, jak to bywało lat poprzednich. — Katalog biskupów krakowskich przez ks. biskupa Łętowskiego; dzieło to rozebrał w swoim czasie J. Łepkowski, i przyznał mu wielką wartość. — Broszura doktoryzacyjna Józefa Schönborna nauczyciela w szkole żydowskiej: „O sądach polubownych“ w 8 str. 78, mieści w sobie nieco i o sądach w dawniej Polsce i Słowian, ale nic nowego. — Rozprawę Dra Zieleniewskiego o Szczawnicy, przełożono na język niemiecki, Tłumaczenie to wyszło w Pradze. Więcej jak literatura zaprzęta tu umysły i bałamuci mania stolikowa. Ciekawą rezultata osiągnięto z wypukiwań nóg stolikowych. Duch Fryderyka Szyllera miał podyktować odę niemiecką, która nie była jeszcze wydaną w tego poety działach. Duch Jacka Przybylskiego radził pokutę pytającemu. Feiletoniście na zapytanie „kto pisał i tłumaczył Królodworski rękopism? stolik odpowiedział, że „Niemcu“. Wywołany Skarga dyktuje kazania językiem swoim. Pierwszy Tęczyński wywołany w ruinach zamku tęczyńskiego, opowiada dzieje założenia zamku przez siebie, z pomocą sprowadzonego Włocha, i żegna pytających słowy: „spiesz mi się do Kalisza, do córki mojej, która padła ofiarą nieszczęsnych stosunków z Don Alonzo Guzmanem. Tyśiące podobnych bałamuctw zaprzęta umysły najpoważniejszych ludzi!“

† W dniu jednym, t. j. 9 sierpnia r. b. zmarli: sędziwy starzec w Kaliszu, archiwista akt dawnych Jakób Szreder, mąż pełen zasług, znany jako pisarz; i w Warszawie Norbert Alfons Kumelski członek redakcyi Gazety Rządowej, autor wielu dzieł z działu nauk przyrodzonych.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



Lipiec 1853.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium Astronomicznym w Warszawie

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 307,0 stopni parzystych nad poziom morza
Czyli w roku 1804, 1825, 30 na wzniesieniu

Czas dnia	TERMOMETR				BAROMETR			
	10	4	10	0	10	4	10	0
107	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
108	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
109	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
110	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
111	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
112	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
113	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
114	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
115	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
116	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
117	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
118	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
119	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
120	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
121	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
122	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
123	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
124	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
125	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
126	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
127	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
128	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
129	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
130	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
131	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
132	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
133	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
134	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
135	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
136	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
137	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
138	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
139	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
140	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
141	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
142	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
143	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
144	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
145	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
146	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
147	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
148	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
149	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
150	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatorium Astronomicznym
WARSZAWSKIEM.
Lipiec, 1853.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.353	27	8.85
Najwyżej dochodził — d. 18 o g. 6 r.	755.85	27	11.65
Najniżej — — d. 21 o g. 10 w.	740.77	27	4.30
Średnia zmiana dzienna barometru	2.883		1.218
Największa zmiana dzienna barometru d. 22—23 o g. 6 r.	8.08		3.582
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 27 lat poprze- dzających	0.515		0.529
Średnia temperatura lipca wynosi: +	19° 03 C.	27	+ 15° 22 R.
i ta jest wyższą o	0.35	"	0.28 "
od stanu normalnego z 27 lat poprze- dzających	18.68	"	14.94 "
Największe ciepło dochodziło d. 28 o godz. 4 wiecz.	29.0	"	23.20 "
Najniższa temperatura była d. 5 o g. 10 w.	10.6	"	8.48 "
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.393	"	1.914 "
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 1—2 o g. 4 w.	10.4	"	8.32 "

Termometrograf wskazał:

Maximum: +24° 8 R. d. 1 po połud.

Minimum: + 8° 2 „ d. 5, 21 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 160,1 milim. czyli 70,97 lin. par.; ilość ta wody jest o 32,67 lin. par., większą od tej jaka średnio u nas w lipcu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 76,0 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 12,33 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 5 setnych większa od normalnej.

Dni pogodnych było 8, napół pogodnych 6, pochmurnych 17.

— deszczu 24 (d. 1, 2, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 11, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 24, 25, 26, 27, 29, 30, 31).

— gradu 1 (d. 31).

— mgły 1 (d. 1).

— grzmotów 6 (d. 1, 8, 22, 24, 29, 31).

— błyskawic bez grzmotów 4 (d. 1, 8, 10, 16).

Wichrów było 3 (1 Pn.)

Wiatrów mocnych 6 (4 PnZ., 2 Z.).

Wiatr panujący: zachodni i północno-zachodni.

Lipiec r. b. był niepogodny, wilgotny, nadzwyczaj słotny i w deszcz obfity, o 0,3 stop. R. cieplejszy niż zwykle. Pierwszy dzień miesiąca był gorący; następne pięć dosyć chłodne, inne dni były ciepłe. Dni najcieplejsze: były: 1, 8, 10, 26, 27, 28, 29; najchłodniejsze: d. 2, 3, 4, 5, 20, 21. Deszcze padały często i obficie tylko 7 dni było w których deszcz nie padał, a 27 dni było słotnych. Wody z deszczu spadło blisko dwa razy więcej niż zwykle. Pod względem nie pogody, częstych i obfitych deszczów miesiąc ten zbliżał się do stauu lipca w r. 1844. W tym miesiącu, grady, burze, deszcze ulewne w różnych okolicach kraju były częste i wiele szkód zrządziły.

D. 9, 14, 16, 17, 26, pokazywały się plamy na słońcu.

Nauki społeczne.

	Stron.
O kanalizacji miast a w szczególności Warszawy, przez <i>Stanisława Ra-tyńskiego</i>	124

Opisy i podróże.

Orawa, przez <i>Ludwika Zejsznera</i>	319
---	-----

Literatura.

Północ skandynawska w ciągu ostatniego półwieku. II. O ruchu umy-słowym w Danii.....	64
Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Oddział monografii. Histo-rycy Warszawy. Przegląd <i>Juliana Bartoszewicza</i>	288
Jak Francuzi znają naszą historiją.....	574

Powieści.

Pocziwa szlachta. Powieść <i>Leona Kunickiego</i>	80, 225
Tomek Mędrak. Obrazek z życia ludu wiejskiego, opowiedziany ze zda-rzenia prawdziwego przez <i>Jana Kantego Gregorowicza</i>	480
Pamiętniki lekarza Polaka, z doświadczeń za granicą zebranych, spisane przez niego samego.....	531

Poezya.

Wodnica. Obrazek podług opowieści ludowej z okolic Dusy i Metel, przez <i>Karola Brzozowskiego</i>	61
Biszen i Menisze. Ustęp z Firdusego: Szach-Nameh, przełożony przez <i>Lucyana Siemieńskiego</i>	393
Pierwsza kommunia; ze szwedzkiego, Izajasza Tegnera, tłum. <i>Ig. Kula-kowski</i>	478
Obrazek wiejski, przez <i>Jarosza</i>	542
Dziewczyna u źródła, przez <i>R. Z.</i>	548

Bibliografia.

Komentarz Herbersteina o Rosyji wyszły w r. 1851 w tłumaczeniu an-gielskiem w Londynie. Przez <i>Z.</i>	577
---	-----

Rozbiory.

O nowém słownictwie chemicznem, przez <i>B. Podczaszyńskiego</i>	149
Przegląd dzieł historycznych rosyjskich ze zwrotem na rzeczy polskie, przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i>	158

	Stron.
<i>Die Sprichwörter der Polen, historisch erläutert von C. Wurzbach. Wien. 1852; przez K. Wł. W.</i>	165
Pamiętniki o dawniej Polsce, z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy Jana Franciszka Commendonii. 2 tomy. Wilno. 1851. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	342
Latopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza; z rękopismu wydał K. Wł. Wojcicki. Warszawa. 2 tomy. 1853. Przez <i>W. Wie...i.</i>	549
Dalsze postrzeżenia pisownicze. XI. Słowo do piszących i czytających po polsku o sprostowaniu niektórych pojęć grammatycznych i poprawie abecadła dzisiejszego, jako jedynym środkiem ustalenia pisowni polskiej, przez Adolfa Kudasiewicza. Przez <i>T. Sierocińskiego</i> ...	557
Dziennik podróży do Tatrów, przez autora Sobótki. Petersburg. 1853.....	567

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Chemia, przez <i>J. B...ę</i>	183

Język polski.

Pierwsze pomniki języka polskiego, przez <i>A. Bielowskiego</i>	20
<i>Kronika bibliograficzna</i>	186, 386, 578
Doniesienia literackie.....	187, 387, 579
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.....	189
— — czerwiec r. b.....	389
— — lipiec r. b.....	581

